



DAVID WALSH

OSZUSTWO NIEDOSKONAŁE

Jak zdemaskowałem
Lance'a Armstronga?

znak

SIEDEM ZWYCIĘSTW W TOUR DE FRANCE
NAJGŁOŚNIEJSZA AFERA DOPINGOWA W HISTORII

DAVID WALSH

OSZUSTWO NIEDOSKONAŁE

Jak zdemaskowałem
Lance'a Armstronga

Przekład
MATYLDA BIERNACKA
MIECZYŚLAW GODYŃ
MIŁOSZ HABURA

Wydawnictwo Znak
Kraków 2013

Dla Johna, jego braci, jego sióstr i mamy

Oglądam igrzyska olimpijskie, ale nie staram się już zapamiętywać nazwisk sportowców. To jest niczym teatr, ale wolę teatr, gdyż relacja między aktorem i widzem jest czysta. W teatrze, jakim jest sport, obaj wciąż udają, że to się dzieje naprawdę.

Sandro Donati

Żaden z ciebie mesjasz. Jesteś filmem tygodnia, w najlepszym razie przesłaniem na pieprzonej koszulce.

Brad Pitt, *Siedem*

PROLOG

Ostatnią rzeczą, jaką powiem ludziom, którzy nie mają wiary w kolarstwo, cynikom i sceptykom, będzie: Żal mi was. Żal mi was, bo nie potraficie marzyć o rzeczach wielkich. Żal mi was, bo nie wierzycie w cuda.

Lance Armstrong, fragment przemówienia po zwycięstwie w Tour de France w 2005 roku

*Le grand départ*¹

Po raz pierwszy rozmawiałem z Lance'em Armstrongiem w ogrodzie hotelu Château de la Commanderie znajdującym się około piętnastu kilometrów na południe od Grenoble. Było późne popołudnie we wtorek 13 lipca 1993 roku, dzień odpoczynku podczas Tour de France. Drzewa i krzewy, krzesła i stoły z kutego żelaza stojące nad basenem sprawiały, że trudno było o lepsze okoliczności naszego spotkania.

Kolega Armstronga z drużyny Andy Hampsten siedział z przyjaciółmi przy stoliku obok. Nieco dalej inny dziennikarz przeprowadzał wywiad z pochodzącym z Kolumbii góralek jeżdżącym w barwach tej ekipy, Álvarem Mejiją. Usiadłem z Armstrongiem w cieniu i rozmawialiśmy ponad trzy godziny. Mówił głównie on, bo też miał wiele do powiedzenia, ja zaś miałem napisać książkę.

Siła jego osobowości robiła wrażenie: była niczym uderzająca fala, która porywa cię ze sobą. Miał dwadzieścia jeden lat, ale nie zachowywał

się jak większość młodych mężczyzn w tym wieku. Gdyby tak było, opowiadałbym o jego podnieceniu związanym z pierwszym startem w Tour de France. Większość młodych sportowców zna frazesy, które lubimy odgrzewać raz za razem. Nie wspomniał o dreszczyku ani o zaszczycie. Nic podobnego. Szefowie jego ekipy powiedzieli mu, że startuje w Tourze, żeby zdobyć doświadczenie na przyszłość, ale on nie widział w tym żadnej korzyści. Chciał wygrać teraz. „Nazywam się Lance Armstrong. Zapamiętajcie moje nazwisko”. Podczas gdy z szybkością karabinu maszynowego opowiadał o swojej przeszłości i wybiegał w przyszłość, słuchałem go i byłem po jego stronie.

– Musisz poznać tego chłopaka – powiedziałem przy kolacji Paulowi Kimmage’owi, koledze po fachu i byłemu uczestnikowi Tour de France.

– Dlaczego?

– Jest inny. Ma w sobie to pragnienie. Wygra wiele wyścigów, a do tego jest bardzo otwarty. Zaczekaj, aż go poznasz.

– Zawsze zbyt łatwo się ekscytujesz – skwitował Kimmage.

Po raz pierwszy przyjechałem na Tour de France jedenaście lat wcześniej i zakochałem się. Fascynacja męską rywalizacją może być groźna dla życia dziennikarza sportowego. Pierwszy raz przyjechałem zaledwie na ostatnie dwa dni wyścigu w 1982 roku. Przy płynąłem promem z Rosslare na południowym wschodzie Irlandii do Hawru, a następnie pojechałem samochodem obejrzeć przedostatni etap wyścigu, a potem jego finisz na Polach Elizejskich w Paryżu. Podróżowałem z czterema osobami z Carrick-on-Suir, rodzinnego miasta Seana Kelly’ego, w owym czasie jednego z najlepszych kolarzy na świecie. Wśród nich była narzeczona Kelly’ego Linda Grant, jej ojciec Dan i tamtejszy sklepikarz Jim O’Keeffe. Kolarstwo zawodowe nie wzbudzało wówczas w Irlandii większych emocji i kiedy Kelly zwyciężył w jednym z etapów Tour de France, informacja o jego

sukcesie z trudem zmieściła się na sportowych stronach gazet. W Carrick-on-Suir O’Keeffe był o krok przed resztą z nas, ponieważ umiał nastawić swój radiodbiornik tak, by odbierał francuską stację nadającą regularne wiadomości z trasy wyścigu. Kiedy miejscowemu bohaterowi dobrze szło, sklepikarz pierwszy o tym wiedział.

Pewnego popołudnia O’Keeffe usłyszał wiadomość o zwycięstwie etapowym Kelly’ego w Tourze. Mógł to być etap z metą w Thonon-les-Bains w 1981 roku. Uradowany, wyszedł ze swojego sklepiku i szedł główną ulicą miasteczka w nadziei, że spotka kogoś, z kim będzie mógł się podzielić nowiną. Z naprzeciwka zbliżał się do niego jadący na rowerze wujek Kelly’ego Neddy.

– Neddy – powiedział O’Keeffe – nie uwierzysz. Właśnie usłyszałem, że Sean wygrał dzisiejszy etap Tour de France.

Przetrawiwszy nowinę, Neddy odparł po chwili:

– Dlaczego miałby nie wygrać, skoro nic innego nie robi, tylko pedałuje na tym swoim rowerze?

Pierwszym wyzwaniem, jakie przede mną stanęło, było uświadomienie Irlandczykom, że wydali na świat sportowca światowej klasy o nazwisku Sean Kelly. Niemniej jednak ich stosunek do jego waleczności zmieniał się powoli. Chcąc jechać w kolejnym roku na Tour de France, musiałem wziąć dwutygodniowy urlop i zaryzykować podróż jako pasażer na motocyklu BMW 1000 prowadzonym przez Tony’ego Kelly’ego. Na pustej drodze Tony był w stanie rozpędzić swoje cacko do 210 km/h. Miałem świadomość, że jeżeli będziemy mieli wypadek, zginiemy na miejscu. W Pau widzieliśmy, jak Sean zdobywa żółtą koszulkę, znaleźliśmy tanią restauracyjkę, zamówiliśmy butelkę wina i świętowaliśmy jego sukces.

Stephen Roche, inny nasz rodak w wyścigu, jechał w białej koszulce „najlepszego młodego kolarza” [do dwudziestego piątego roku życia –

przyp. tłum.] i tego wieczoru w baskijskim mieście czuliśmy się dumni z tego, że jesteśmy Irlandczykami, członkami elity. Następnego dnia czekaliśmy na przełęcz Col de Peyresourde i odmierzaliśmy rozmiary klęski minutami, które Kelly i Roche stracili do nowych liderów. Choć ciężko było patrzeć, jak rodacy gasną w górach, trudno było się oprzeć emocjom towarzyszącym rywalizacji rozgrywającej się wokół nich. Tour porwał mnie jak żadna inna impreza sportowa i zanim Tony odwiózł mnie z powrotem do Dublina, rozmawiałem z żoną o tym, że dobrze byłoby przeprowadzić się do Francji. W 1984 roku zamieszkaliśmy w Paryżu, a ja mogłem śledzić większość z najważniejszych wyścigów w kolarskim kalendarzu.

Trwało to do początku 1993 roku, kiedy zgodziłem się napisać dla brytyjskiego wydawcy Stanleya Paula książkę o Tour de France. Miał to być zbiór reportaży z trwającej trzy tygodnie pielgrzymki dokoła Francji, który wyobrażałem sobie jako *Opowieści kanterberyjskie*² w lycrze. Pierwszym z nich miała być historia żółtodzioba, nowicjusza jadącego w Tourze po raz pierwszy: bujającego w obłokach, przytłoczonego nadmiarem wrażeń i wyczerpanego fizycznie. Armstrong był oczywistym wyborem – najmłodszy kolarz w stawce, a jednocześnie debiutant czujący na sobie brzemień oczekiwań. Idealny.

Nie wiem, jak Lance, ale ja byłem podekscytowany i gotowy. W wieczór po prologu zgodził się udzielić wywiadu i załatwił mi wstęp do hotelu w Bourgenay, w którym mieszkała ekipa Motoroli.

Przyjechałem do Les Jardins de l'Atlantique, gdzie powitał mnie Jim Ochowicz, menedżer jego ekipy. Powiedział mi, że po rozczarowującej jeździe w prologu Lance nie jest w najlepszym nastroju. Kolarz chciał wiedzieć, czy nie moglibyśmy porozmawiać kiedy indziej, na przykład w dniu przerwy w Tour de France. Zgodziłem się, ale wciąż go

obserwowałem i robiłem notatki. Widziałem, jak szóstego dnia rano w obozowisku w Avranches włoski dziennikarz próbował przeprowadzić z nim wywiad. Lance nie był niegrzeczny, ale kiedy podczas rozmowy tuż obok nich przeszły dwie atrakcyjne francuskie dziewczyny w szortach, było oczywiste, że zainteresowały go o wiele bardziej niż pytania. „Człowiek” – pomyślałem.

Jestem zatem w Château de la Commanderie i siedzę w towarzystwie młodego człowieka, który stanie się najważniejszą częścią mojego życia na najbliższe dwadzieścia lat. Nie czuję, żeby miał to być początek wspaniałej przyjaźni, ale nie szkodzi. Teraz chcę wiedzieć o nim wszystko.

Biologiczny ojciec?

– Nigdy go nie poznałem. Ach, poznałem, ale miałem roczek, kiedy odszedł.

Ojczym, którego nigdy nie lubił?

– Kiedy byłem dzieckiem, dogadywaliśmy się ze sobą. W tym wieku nie umie się kogoś nie lubić. Mówię ci jednak, że w dniu, w którym posiadałem tę umiejętność, zacząłem nie lubić właśnie jego.

Phi! Gdzie się podziała szarlotka mamusi i bujający w obłokach żółtodziób?

Opowiedział mi o wpływie, jaki miało na niego rozstanie się jego matki z ojczymem.

– Dojrzewasz, masz czternaście, piętnaście czy szesnaście lat i chodzisz do liceum, kiedy rodzice twoich przyjaciół rozchodzą się, dzieciaki źle to znoszą. Zaczynają płakać, denerwują się i tym podobne. Jednak kiedy odszedł mój ojczym, urządziłem imprezę. Pozbyłem się ogromnego ciężaru. Byłem zdezorientowany. Myślałem: „Co się z tobą dzieje? Rozstania dają dzieciakom w kość, a ty się cieszysz, że pozbywamy się tego gościa”. Przez chwilę uważałem, że coś jest ze mną nie w porządku.

Chciałem go lubić. Dziennikarze sportowi już tacy są, zwłaszcza w stosunku do młodych sportowców, których drogę na olimp opisują. Chcemy móc powiedzieć, że część tej wędrówki pokonaliśmy razem z nimi. Znaliśmy ich, zanim usłyszał o nich świat. W przypadku Armstronga można było mieć pewność, że bycie przeciętnym go nie zadowoli.

Miał w sobie coś, co wyróżniało go spośród wszystkich innych młodych sportowców, których znałem. Radioaktywność. Skąd to wiedziałem? To było oczywiste.

– Kiedy jadę w wyścigu, wiem, że nie mam lepszych warunków fizycznych od innych, ale mam w sobie to pragnienie, pasję. Siedzę na rowerze i wpadam w furję, krzyczę przez jakieś pięć sekund. Trzęsę się jak szalenciec, a oczy wychodzą mi z orbit. Naprawdę. Trochę bardziej się pocę, a puls skacze mi do dwustu uderzeń na minutę. – W tym miejscu przerwał, zamyślił się. – To zabawne, ale za każdym razem kiedy to robię, myślę o matce. Naprawdę. Gdyby mogła to zobaczyć... Nie wychowała kogoś, kto łatwo się poddaje, a ja nigdy bym się nie poddał, przenigdy. Nie ma mowy. To nie jest kwestia fizyczności. Tu idzie o serce, a nie o nogi czy płuca. O serce. Duszę. Jaja.

Opuściłem Château de la Commanderie, wiedząc, że spotkałem mającego przyszłość przed sobą dzieciaka, który nie będzie jeszcze jednym kolarzem w peletonie. Nie mogłem się doczekać, żeby porozmawiać o nim z Kimmage'em, powiedzieć mu, że wsiadłem do windy z facetem, który jedzie do góry.

2 Zbiór opowiadań z XIV w. autorstwa Geoffreya Chaucera, na który składają się historie opowiedane przez pielgrzymów podążających z Southwark do znajdującego się w Canterbury grobu Tomasza Becketa, męczennika, świętego Kościoła katolickiego, arcybiskupa Canterbury i kanclerza Anglii – przyp. tłum.

ROZDZIAŁ 1

Dawna róża pozostała tylko z nazwy, same nazwy nam jedynie zostały.

Umberto Eco, *Imię róży*

Śniadanie w mieszkaniu na rue Kléber nr 10 w Courbevoie, na zachód od Paryża, odbywało się według tego samego rytuału. Spacer wczesnym rankiem do cukierni, wizyta w kiosku z gazetami po drodze do domu, a następnie luksus: mocna kawa, ciepłe croissanty i „L'Équipe”. Jest wrzesień 1984 roku. Podczas śniadania przy stole naprzeciwko mnie siedzi Paul Kimmage, młody irlandzki kolarz amator, którego wspólnie z żoną zabraliśmy z nory w Vincennes we wschodniej części Paryża. Poznałem Paula cztery lata wcześniej, kiedy jako początkujący dziennikarz sportowy relacjonowałem wyścigi kolarskie, w których startował. Miał swoje humory i był uparty, zresztą jest taki nadal. Ale jest też inteligentny i uczciwy. Da się z nim żyć.

Szybko się zaprzyjaźniliśmy. Kiedy Paul przyjechał do Paryża, żeby spełnić swoje marzenie o byciu zawodowym kolarzem, ja podążyłem za nim. Zgodziłem się napisać książkę o swoim idolu kolarzu Seanie Kellym i chciałem przenieść się do jego świata. Mieszkając w Paryżu, miałem szansę na niego wpaść. Paul przyjechał tu ze swoim bratem Raphaelem, który również miał nadzieję przejść na zawodowstwo. Razem jeździli w barwach najsłynniejszej paryskiej ekipy amatorskiej ACBB (L'Athlétic Club de Boulogne-Billancourt). Raphael często chorował i opuszczał

wyścigi. W końcu miał już dość i wrócił do Dublina, zostawiając brata samego w Vincennes. Wtedy Paul zamieszkał z nami.

Łączyła nas miłość do kolarstwa. On był urodzonym kolarzem, podczas gdy ja wykorzystywałem sukcesy odnoszone przez Kelly'ego. Niemniej jednak do tego momentu trzy razy byłem na Tour de France, relacjonowałem wszystkie wiosenne klasyki, wyścig Paryż – Nicea i wyścig dookoła Szwajcarii oraz znałem język na tyle, że mogłem czytać kolarskie strony w „L'Équipe”. Niemal uważałem się za Francuza. To właśnie moja marna znajomość języka wywołała napięcie podczas śniadania owego sierpniowego poranka 1984 roku.

– Cholera jasna! Roche nie pojedzie w mistrzostwach świata. Jakiś robak go ugryzł czy coś w tym stylu – powiedziałem, mając na myśli irlandzkiego kolarza Stephena Roche'a i zgadując znaczenie słów, których nie rozumiałem.

– Wolałbym sam poczytać gazetę, kiedy skończysz – powiedział Paul.

– Co za różnica? Mówię ci, że nie wystartuje w mistrzostwach świata.

– A ja ci mówię, że sam chciałbym o tym poczytać.

– To głupie.

– Niech ci będzie.

Następnie milczeliśmy przez godzinę lub dwie. Później zaś gawędziliśmy przez godzinę, a może nawet cztery. Opowiadał mi o trudach i upokorzeniach, jakie wiążą się z jazdą amatorską, a ja odwdzięczałem się historiami z Hollywood. Rozmawialiśmy o planach Kelly'ego i Roche'a, o tym, jak jest na Tour de France, jak bardzo utalentowany jest Amerykanin Greg LeMond, czy Laurent Fignon ma rację, szydząc ze swojego francuskiego rywala Bernarda Hinaulta. Głównie jednak rozmawialiśmy o Kellym i Roche'u.

Opowiedziałem Paulowi o tym, jak w sobotnie popołudnie po wyścigu Amstel Gold w Holandii czekaliśmy na Roche'a przechodzącego kontrolę antydopingową, żeby wyruszyć w drogę powrotną do Paryża. Miałem się z nimi zabrać do domu, podczas gdy narzeczona Kelly'ego Linda miała pojechać jego samochodem do ich domu pod Brukselą. Kiedy tak siedzieliśmy na parkingu, czekając na Roche'a, Linda oparła się o nieskazitelnie czystego citroëna Seana i położyła otwartą dłoń na masce. Kiedy odeszła, Sean przesunął się niepostrzeżenie w miejsce, w którym wcześniej stała, dyskretnie wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł ślad dłoni pozostawiony przez przyszlą żonę.

Widok owej milczącej reprimendy nie zrobił na Lindzie wrażenia.

– Sean, to takie typowe dla ciebie – powiedziała półzartem. – W twoim życiu liczy się najpierw samochód, później rower, a na końcu ja.

Kelly nawet nie mrugnął okiem. Na jego twarzy nie pojawił się choćby cień uśmiechu.

– Pomyliłaś kolejność. Na pierwszym miejscu jest rower.

To, skąd pochodziliśmy, określało nasze sympatie: Kimmage, podobnie jak Roche, był z Dublina i należał do jego obozu. Ja urodziłem się na południowym wschodzie Irlandii, nie dalej niż trzydzieści kilometrów od rodzinnego miasteczka Kelly'ego. To był mój człowiek. Niemniej jednak twardość Kelly'ego wzbudzała powszechne uznanie i nie było takiej historii na jego temat, której Kimmage nie chciałby posłuchać.

Interesował się też dziennikarstwem. Czytał to, co napisałem, i mówił, co o tym sądzi. Nie podobało mu się, że nie chcę używać tej odrobiny francuskiego, którą mógłbym się posługiwać. Pewnego dnia w kuchni poruszył ten temat w obecności kilku gości.

– Czyta „L'Équipe”, a nie chce mówić po francusku – oznajmił.

– Nie znam go na tyle, żeby móc w nim rozmawiać – odparłem.

– Znasz na tyle dobrze, żeby spróbować. Kiedy już zaczniesz, będzie ci łatwiej.

– Ty przebywasz wśród Francuzów z ACBB, więc musisz się nim posługiwać. Ja stykam się z dziennikarzami mówiącymi po angielsku.

– Musisz spróbować. Masz wystarczający zasób słów. Francuzi lubią, kiedy próbuje się mówić w ich języku.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Nie bój się mówić.

Paul umie być przekonujący, a ja nagle nabrałem śmiałości.

– OK – powiedziałem. – W niedzielę relacjonuję klasyk Blois – Chaville i muszę zarezerwować sobie hotel w Blois na sobotnią noc. Zadzwonię i zrobię to.

W sąsiednim pokoju przewertowałem opasły spis hoteli Michelin i znalazłem idealne miejsce na odpoczynek w Blois: Hôtel La Renaissance, sto pięćdziesiąt franków za noc.

– W porządku – powiedziałem do gości siedzących w kuchni. – Jestem gotów.

Zapadła pełna szacunku cisza i wykręciłem numer La Renaissance.

– Halo? – odezwał się głos w słuchawce.

– Dzień dobry – powiedziałem triumfująco.

– *Oui?*

– *Oh... Je m'appelle David Walsh, je suis journaliste irlandais, je voudrais une chambre avec salle de bains pour une nuit, ce samedi.* Nazywam się David Walsh i jestem irlandzkim dziennikarzem. Chciałbym zarezerwować pokój z łazienką na sobotnią noc.

– To pieprzony dom prywatny – odezwał się męski głos w słuchawce.

Chcę umrzeć, ale robię coś jeszcze gorszego.

– Skąd pan wiedział, że mówię po angielsku?

Mężczyzna odłożył słuchawkę. I tak moja kariera jako osoby mówiącej po francusku dobiegła końca. Od tej pory we francuskich filmach będę oglądał wyłącznie nieme sceny.

Przyjechałem do Blois i jadąc za wyścigiem, dotarłem do Chaville. Liczyłem na to, że Kelly'emu uda się wygrać trzeci jednodniowy klasyk w tym roku. Był dominującym kolarzem w tym sezonie, a ja jako jego biograf miałem nadzieję, że zakończy się on dla niego pomyślnie. Wcześniej tego samego dnia Paul startował w Grand Prix de „L'Équipe”, wyścigu, który również kończył się w Chaville. Czekał teraz na ostatnim zakręcie przed linią mety, żeby obejrzeć finisz zawodowców. Kelly wyszedł z wirażu na dziesiątym czy dwunastym miejscu i Kimmage sądził, że będzie potrzebował cudu, żeby dojechać w pierwszej trójce. Wygrał z łatwością.

Tego wieczoru w pokoju prasowym odbyła się zwyczajowa od niedawna procesja do miejsca, w którym siedziałem. *Parlez-vous avec Kelly?* Rozmawia pan z Kellym? Wszyscy wiedzieli, że Kelly ze mną rozmawia, a ponieważ nie zawsze chętnie udzielał wywiadów, byłem na uprzywilejowanej pozycji. Po powrocie do mieszkania na rue Kléber Paul i ja mówiliśmy o tym, jak dobrze pojechał Kelly i czy uda mu się spełnić marzenie i ścigać się z zawodowcami. Rozmawialiśmy o tym bez końca i wciąż nam było mało.

Oto jak bardzo byłem wówczas zakochany w kolarstwie. Prawdę mówiąc, o niewielu innych rzeczach myślałem, o niczym innym nie marzyłem. Jeśli brałem do ręki gazetę, to tylko po to, żeby przeczytać rubrykę kolarską. Podobnie z telewizją. Nawet kiedy myślałem o dwuznacznych sytuacjach, odnosiłem je do kolarstwa, a nie do seksu.

Na początku września 1984 roku w Barcelonie miały się odbyć mistrzostwa świata. Sean Kelly zawsze był rozdarty podczas przygotowań do imprezy tej rangi. Potrzebował startów w dobrych trzy- albo czterodniowych wyścigach etapowych. Wolał jednak inkasować gwarantowane premie za udział w kryteriach ulicznych rozgrywanych w małych miasteczkach. Dla niego ważne było, żeby zarabiać. Dlatego robił to, co robił.

I tak oto w sierpniu miał wystartować w podrzędnym kryterium odbywającym się w środku tygodnia w zapadłej dziurze o nazwie Chaumeil w regionie Limousin w centralnej Francji. Był gwiazdą. Nagroda pieniężna za zwycięstwo była nieważna. Liczyły się tylko pieniądze za udział. Dla mnie, jako jego Boswella³, kryterium stanowiło okazję. Skontaktowałem się więc z różnymi redakcjami irlandzkimi, dla których pracowałem, i sprzedałem ich głupkowatym redaktorom sportowym pomysł udania się do Chaumeil. Dawałem im gwarancję, że będę miał nieograniczony dostęp do Kelly'ego. Jako że byłem w trakcie pisania jego biografii, uznałem, że dobrze będzie połączyć pracę dla gazet z moją potrzebą gromadzenia materiałów do książki. Lepiej, żeby to redakcje płaciły za moją podróż, co zresztą się stało.

Uzgodniłem z Seanem, że dojadę na miejsce, obejrzę jego wyścig, a potem przeprowadzę z nim wywiad. Oprócz tego, że nasza rozmowa posłuży mi za materiał do książki, wywiad będzie też zapowiedzią zbliżających się mistrzostw świata. Dwie pieczenie na jednym ogniu. I to na koszt firmy.

Tak jak można się było tego spodziewać, dzień wyścigu był niewiarygodnie gorący. Czy początek sierpnia w centralnej Francji kiedykolwiek nie bywa upalny? Obejrzałem wyścig z porośniętego trawą nasypu. My, Irlandczycy, nie nauczyliśmy się radzić sobie z upałami

z wdziękiem czy godnością. Nie mając zielonego pojęcia na temat substancji przydatnych w takich sytuacjach ani nie znając późniejszych książek Beara Gryllsa, zacząłem umierać z pragnienia.

Zabrałem ze sobą rację irlandzkiego uczestnika obozu przetrwania: paczkę ciastek i kapslowaną butelkę napoju izotonicznego. Stałem w sierpniowym słońcu, moja skóra się piekła, a w ustach czułem coś na kształt papieru ściernego. Wszystko to działało się na długo, nim ludzkość wynalazła nakrętki do butelek. Im dłużej tam siedziałem, tym cieplejsza stawała się niedostępna dla mnie zawartość butelki izotoniku.

Pod koniec wyścigu, kiedy odwodnienie przekroczyło już poziom zakłopotania i groziło mi wejściem w stan śpiączki, postanowiłem działać. Nie miałem nic przeciwko zakłopotaniu, ale śpiączka niemal na pewno wpłynęłaby negatywnie na mój styl przeprowadzania wywiadu.

Na niewielkim wzniesieniu za moimi plecami stał rząd ładnych bungalowów. Żeby dojść do miasteczka Chaumeil, trzeba było pokonać ponad trzy kilometry. Opuściłem więc swój posterunek i asfaltową ścieżką ruszyłem w kierunku najbliższego domku. Od frontu sprawiał wrażenie, jakby nikogo w nim nie było. Zaszedłem od tyłu.

– Halo?

Z domku wyszła bardzo atrakcyjna kobieta w wieku dwudziestu kilku lat. Była przyjaźnie nastawiona. Zaatakowałem ją moim łamanym francuskim. Wykrztusiłem z siebie coś w stylu, że jestem *très désolé*, jest mi bardzo przykro, z powodu wtargnięcia na jej działkę, ale potrzebuję otwieracza. Wykonałem gest otwierania butelki.

Zrozumiała. Powiedziała, żebym się nie martwił. Zniknęła w domku i wyszła z otwieraczem do butelek. Patrzyła, jak żłopię napój z elegancją człowieka, który zbyt dużo czasu spędził na pustyni.

– Co pana sprowadza do Chaumeil? – zapytała.

Wy tłumaczyłem, że jestem dziennikarzem z Irlandii zajmującym się kolarstwem i że przyjechałem przeprowadzić wywiad z Seanem Kellym. Szczegóły te jakoś dziwnie nie zrobiły na niej żadnego wrażenia. Skierowała rozmowę na inne tory. Zapytała, gdzie mieszkam.

– W Paryżu – odparłem.

Zawsze dobrze jest móc powiedzieć, że mieszkasz w Paryżu.

Ach, Paryż. Jej mąż tam pracuje. Wyjeżdża z Chaumeil w poniedziałki rano i wraca dopiero w piątki.

Była środa.

– Czuję się bardzo samotna – powiedziała.

Pokiwałem głową ze współczuciem i rzuciłem coś w stylu: *Oui, oui, c'est très difficile*. Tak, tak, to jest bardzo trudne. Spytała, czy chciałbym wstąpić na kawę. Byłem mile widziany.

Sacré bleu! Niczego nie zrozumiała. Myślałem o Kellym i zaczynałem wpadać w panikę. Wycofałem się, dziękując, i zastanawiałem się, ile czasu zajmie mi spacer z powrotem do Chaumeil. Kelly był w drodze do Limoges, gdzie mieliśmy przeprowadzić wywiad. Ktoś musiał mnie podwieźć. Jedno wiedziałem na pewno: Sean Kelly nie będzie czekał na spóźnialskiego dziennikarza, nawet gdyby był jego Boswellem. Jak na faceta z paczką ciastek w jednej i butelką izotoniku w drugiej ręce musiałem się mocno nagimnastykować, żeby przekazać to wszystko za pomocą gestów. Spóźnienie się oznaczałoby zawodową i prywatną katastrofę.

Rok, może dwa lata później, opowiadając znajomemu o butelce napoju, wywiadzie i o tej miłej kobiecie, zrozumiałem, że historia ta mogła brzmieć dwuznacznie.

– Phi! – powiedział mój kolega. – To brzmi jak fabuła filmu porno. Pewnie cię kusilo?

– O co ci chodzi?

– To były wyraźne aluzje. Atrakcyjna samotna Francuzka. Mąż do piątku poza domem. Upał. Jak to o co mi chodzi?

– Chryste. Naprawdę tak myślisz?

Skoro już o żalu mowa: ile razy ta miła kobieta z Chaumeil leżała w łóżku, zastanawiając się, jak by to było z tym spalonym słońcem Irlandczykiem i jego paczką ciastek?

A ja? Byłem tylko kolejnym niewiniątkiem za granicą.

Rok 1984 był niesamowity.

Mary kochała Paryż. Przyjechaliśmy tam z dwójką dzieci, a wróciliśmy do domu z trójką. Simon urodził się w małym szpitalu oddalonym o niecały kilometr od naszego mieszkania na rue Kléber. To jest kolejna historia. W sobotnią noc, kiedy miał przyjść na świat, jego mama leżała w łóżku, pisząc listy i powtarzając, że jeszcze za wcześnie, by wzywać taksówkę. To potrwa jeszcze kilka godzin. Cierpliwie czekałem, dopóki nie zrobiło się blisko północy. Wtedy zacząłem się martwić, czy zdołam wezwać taksówkę o tak późnej porze. W końcu dostałem zielone światło, by pójść na postój taksówek przed Pentahotelem w Courbevoie i zamówić jedną z nich do domu.

Kiedy Mary odłożyła długopis i wstała z łóżka, żeby ubrać się do szpitala, okazało się, że sprawy zaszły dalej, niż myślała. Miała silne skurcze. Od drzwi wejściowych do taksówki było może dziesięć metrów, ale moja żona musiała pokonać tę drogę w trzech etapach: cztery metry, skurcz; trzy metry, silniejszy skurcz; trzy metry, potężny skurcz. Szeptła, że wszystko jest w porządku, że poród nie nastąpi tak szybko, jak to może się wydawać.

Taksówkarz obserwował to z przerażeniem, a następnie pokierował mnie na tył auta, żebym mógł się przekonać o czystości tylnego siedzenia.

– *Monsieur* – mówił po francusku, a ja zrozumiałem go bez problemu – dbam o czystość w mojej taksówce. Proszę, niech pan sam się przekona. Nie mogę zabrać pańskiej żony.

Próbowałem być nonszalancki. Musiałem przekonać go, że jestem ekspertem w tej dziedzinie, a on mylnie interpretuje znaki.

– Niech pan nie będzie głupcem – powiedziałem. – Dziecko przyjdzie na świat za cztery do pięciu godzin, a do szpitala mamy jakieś osiemset metrów.

Podczas gdy my się spieraliśmy, Mary stała wyprostowana, opierając się o otwarte tylne drzwi samochodu.

– Dojedziemy do szpitala w trzy minuty – powiedziałem.

Taksówkarz odmawiał, a ja nalegałem. W końcu niechętnie się zgodził. Wszystkie światła na naszej trasie były zielone. Jazda zajęła nam może dwie minuty, a półtorej minuty po naszym przybyciu urodził się Simon.

W połowie września Paul i ja udaliśmy się do leżącego około trzydziestu kilometrów na północ od Paryża pięknego Senlis na start półklasyka Paryż – Bruksela. Miałem tam pracę do wykonania, ale obaj pojechaliśmy jako fani, chcąc rozkoszować się atmosferą i mając nadzieję na spotkanie z Kellym, zanim wyścig wyjedzie z miasta.

Znaleźliśmy go na około pół godziny przed startem. Kiedy usiadł z nami, wydawało się, że rozmawiamy z najgorszym kolarzem w stawce, a nie z numerem jeden. Przez lata ludzie ciągle mnie pytali: „Jaki jest ten Kelly?”. Moja ulubiona odpowiedź brzmiała: „To taki facet, który gdyby znalazł gejzer, nie wróciłby, mówiąc, że wynalazł gorącą wodę”. Paul też zaczął go uwielbiać.

Pogadaliśmy jakieś dwadzieścia minut i Kelly musiał udać się na linię startu. Wstał, wskoczył na rower, jak to miał w zwyczaju, i kilka razy odbił tylne koło od drogi, żeby sprawdzić, czy ma odpowiednie ciśnienie w oponie. Kiedy to robił, nie dało się nie usłyszeć odgłosu tabletek podskakujących w małej plastikowej fiolce, którą miał schowaną w kieszeni na plecach. Spojrzałem na Paula i zapytałem go po cichu:

– Słyszałeś to?

Słyszał. Kelly odjechał, a my zamilkliśmy. Jak dzieci, które zauważyły, że Święty Mikołaj ma doklejoną brodę.

– Czy to mogło być coś innego?

– Nie, to na pewno był odgłos tabletek.

– Po co mu one podczas wyścigu?

– Nie mam pojęcia.

– Ani ja.

Zastanawiałem się, czy mogły to być suplementy, wiedzieliśmy jednak, że żaden kolarz nie używałby ich w trakcie wyścigu. To powinna być przełomowa chwila. Niechcący byliśmy świadkami rzeczywistości rządzącej zawodowym kolarstwem. Nie byliśmy jednak na to gotowi. Miałem do napisania biografie – jej bohater był synem chłopca z Carrick-on-Suir, mężczyzną, który jako dziecko zaspokajał głód, jedząc surową rzepe.

Dotarł na szczyt, ponieważ nigdy nie stracił tego głodu. Był kochany, pozostał bowiem wierny swojemu skromnemu pochodzeniu. Pigułki pobrzękujące w plastikowej fiolce nie pasowały do tej opowieści. Kiedy jesteś fanem, a ja nim byłem, nie pytasz swojego idola o odgłos dochodzący z jego kieszeni. Mimo to Paul i ja nigdy go nie zapomnieliśmy.

Tego dnia Kelly przyjechał na metę trzeci, poszedł na kontrolę antydopingową i wpadł. W jego moczu znaleziono niedozwoloną substancję o nazwie stimul. Wciąż pamiętam, jak Sean Kelly wyglądał tamtego

wieczoru. W Rhode-Saint-Genève stojący w półkołu dziennikarze zadawali mu pytania. Moją uwagę zwróciła jego śmiertelnie blada twarz i powiększone źrenice. Nie był sobą.

Kiedy informację o pozytywnym wyniku jego testu podano do publicznej wiadomości, zrobił to, co robili wszyscy kolarze: zaprzeczył, jakoby stosował stimuł, i stwierdził, że musiało dojść do pomyłki w pokoju komisji antydopingowej. Mówił między innymi, że kiedy oddawał próbkę, przebywało w nim sześć lub siedem osób, a nie dwie, jak wymagały tego przepisy. Byłby głupcem, stosując stimuł, łatwo bowiem można było go wykryć, a finiszując jako trzeci, miał pewność, że zostanie przebadany.

Szkocki kolarz Robert Millar lekceważył te zarzuty, jednak nie z powodów moralnych, ale ze względu na to, że stimuł był *passé*, był środkiem z lat siedemdziesiątych, którego już nikt nie stosował. Karl McCarthy, sekretarz do spraw międzynarodowych Irlandzkiej Federacji Kolarskiej (Irish Cycling Federation – ICF), przyleciał do Brukseli, żeby wstawić się za Kellym. Kiedy belgijska federacja nadal upierała się przy jego winie, Międzynarodowa Unia Kolarska (Union Cycliste Internationale – UCI) nakazała jej ponowne rozpatrzenie sprawy.

Po szesnastu miesiącach od wyścigu UCI podtrzymała pierwotne orzeczenie w sprawie Kelly’ego.

Ukarano go grzywną w wysokości tysiąca franków szwajcarskich, co stanowiło mniej więcej jedną szóstą sumy, którą zainkasował za udział w tym wiejskim wyścigu, i zawieszono na miesiąc. Pisząc o wyścigu Paryż – Bruksela z 1984 roku w jego biografii, nie wspomniałem o brzęczących tamtego ranka tabletkach i starałem się tak przedstawić tę sprawę, jakby trudno było uwierzyć, że Kelly zażywał środek tak łatwy do wykrycia. Woląłem traktować groteskową pobłażliwość władz kolarskich jako dowód na to, iż w najgorszym razie było to drobne wykroczenie. Nie

tak powinien zareagować dobry dziennikarz. Jednak wtedy wiedziałem, co robię.

W ciągu kolejnych piętnastu lat wszystko się zmieniło.

W 1985 roku niechętnie opuściliśmy Paryż i wróciliśmy do Irlandii. Znowu pisałem o rozmaitych najpopularniejszych dyscyplinach sportowych. Paul został we Francji na drugi rok w amatorskim cyklu, miał lepsze wyniki i udało mu się podpisać zawodowy kontrakt. To było jego marzenie, coś, o czym wiele razy rozmawialiśmy przy herbacie albo kawie w mieszkaniu na rue Kléber. Nie mogłem się doczekać, żeby zobaczyć, jak rozwinię się jego kariera. Jak się okazało, miało to być dla niego słodko-gorzkie doświadczenie, trwające cztery lata zderzenie z rzeczywistością panującą w zawodowym kolarstwie. Posmakował radości płynącej z ukończenia Tour de France, ale ostatecznie przyćmiło ją przekonanie o tym, że jeżeli się nie szprycuje, nie ma się szans na włączenie się do rywalizacji.

W ciągu tych lat często rozmawialiśmy przez telefon. Rozpacz Paula związana ze zwyczajem stosowania dopingu w kolarstwie była wręcz namacalna. Startował w Tourze w 1986 roku i w dniu, w którym Bernard Hinault i Greg LeMond przejechali linię mety w L'Alpe d'Huez, trzymając się za ręce, przeprowadziłem z nim wywiad na potrzeby artykułu zamówionego przez magazyn „Magill” z Dublina.

To była długa, trwająca niemal cztery godziny rozmowa. Mieliśmy dużo do obgadania. Kimmage nie mógł mówić o dopingu, ponieważ gdyby to zrobił, następnego dnia przestałby być kolarzem. Niemniej jednak opowiadał o wyścigu jak nikt inny spośród tych, z którymi kiedykolwiek rozmawiałem o Tour de France: szczerze, po ludzku, bez romantyzmu

i bardzo wnikliwie. W poniedziałek rano, w dniu zakończenia wyścigu, zadzwonił do mnie redaktor magazynu Fintan O'Toole.

– Co z tekstem?

Nie był to ostatni raz, kiedy słyszałem to pytanie.

– Jak długi ma być i na którą godzinę go potrzebujesz?

– Pięć tysięcy słów do czternastej trzydzieści.

Było krótko po dziewiątej rano, a ja musiałem jeszcze przesłuchać taśmy.

– Fintan – próbowałem być kategoryczny – tekst będzie w pierwszej osobie, bezpośrednia relacja nowicjusza.

– W porządku. Goniec będzie u ciebie o czternastej trzydzieści. Zgoda?

– Tak.

Wtedy stało się coś bardzo dziwnego. Usiadłem przy biurku, puściłem taśmę i zacząłem pisać na maszynie. Co parę minut natrafiałem na coś, co musiało znaleźć się w artykule. Paul miał talent do opowiadania. Mówił rozsądnie, bez romantyzmu, i to było wspaniałe. Był to najłatwiej napisany tekst na pięć tysięcy słów, jaki kiedykolwiek wyszedł spod mojego pióra: Tour de France, jakim go nie znaliście. Wciąż pamiętam opis bólu, jaki towarzyszył Paulowi podczas wspinaczki na przełęcz Col du Granon. Był tak wyczerpany, że ledwo pedałowal. Groziło mu, że nie zmieści się w limicie czasowym. Jego mozolna jazda i zmordowanie widoczne na twarzy były niczym nieme błaganie: *Poussez-moi, poussez-moi*. I fani to właśnie robili: pchali go, tak jak robili to z wszystkimi kolarzami przechodzącymi kryzys od chwili rozpoczęcia wyścigu.

Oczywiście przyjęcie takiej pomocy jest sprzeczne z kolarskimi przepisami i jadący tuż za nim w wozie ekipy mężczyzna, o którym Paul wiedział tylko, że ma na imię Robert, krzyczał do kibiców, żeby przestali. Zdezorientowani, schodzili z drogi, jednak kiedy powtórzyło się to kilka

razy, Paul zebrał w sobie siły, odwrócił się do tyłu w kierunku samochodu i krzyknął:

– Do kurwy nędzy, Robert, pozwól im mnie pchać.

Zawstydzony pomyłką Robert sam krzyczał do kibiców, żeby pomogli Paulowi.

Po ukazaniu się relacji z wyścigu napisanej słowami Kimmage'a w pierwszej osobie zadzwonił do mnie Fintan O'Toole, żeby mi powiedzieć, że był to najlepszy tekst, jaki kiedykolwiek puścił w swojej redaktorskiej karierze. Sądząc po łatwości, z jaką przyszło mi wybranie pięciu tysięcy słów z taśmy, uznałem, że Kimmage mógłby być dziennikarzem, i powiedziałem mu to. Nie uwierzył, ale to miało się zmienić.

W 1988 roku, dwa lata po ukazaniu się owego artykułu w „Magill”, Paul zaczął pisać felietony na temat swojego życia jako zawodowego kolarza dla „Sunday Tribune”, tygodnika, w którym wówczas pracowałem. Biorąc pod uwagę, iż nie miał doświadczenia w pisaniu o sporcie, jego teksty były niewiarygodnie dobre. W „Tribune” pracował znakomity redaktor Vincent Browne, którego rzadko zawodził instynkt. Czytał felietony Kimmage'a i uważał, że wie, co jest grane: Kimmage opowiada swoje historie Walshowi, a ten robi z nich dziennikarstwo.

– Vincent, Paul pisze swoje felietony całkowicie samodzielnie.

– Tak, Davidzie, ale ty je redagujesz.

– Nie robię tego, a nawet gdyby tak było, nie mógłbym stworzyć nic równie dobrego.

– Nadal nie wierzę, że pisze je samodzielnie.

– Dobrze, Vincencie. W takim razie kiedy Paul zadzwoni w tym tygodniu, żeby podyktować swój tekst, usiądź przy maszynistce i rzuć okiem na to, co pisze.

Vincent stał nad Ritą Byrne, podczas gdy ona spisywała słowa Paula na elektrycznej maszynie do pisania, i czytał każde zdanie od razu, kiedy pojawiała się na papierze. Ten mały eksperyment nie potrwał długo. Podczas następnego pobytu Paula w Dublinie Vincent zaproponował mu etat reportera sportowego. Pisanie szło mu lepiej niż ściganie się na rowerze i sprawiało o wiele większą frajdę. Rozmawialiśmy o kolarstwie zawodowym przez telefon i wtedy wiedziałem już wystarczająco dużo o stosowaniu dopingu w sporcie, żeby zrozumieć, że Paul stracił nadzieję.

Kimmage zakończył karierę w 1989 roku i w mistrzowski sposób opisał swoje życie w peletonie w książce zatytułowanej *Rough Ride* (Ostra jazda). Jego wspomnienia stanowiły zbiór niezaprzeczalnych faktów dotyczących dopingu w kolarstwie, a mimo to Paula potępiono za ich ujawnienie. Zresztą krytyka spadła na niego wyłącznie ze strony rodziny kolarskiej. Kłamstwa opowiadane przez niektórych ludzi były wstrząsające, a obserwowane wyrachowanych ataków na Paula wprawiało w przygnębienie. Jednym z tych, którzy najgłośniej występowali przeciwko niemu, był jego dawny kolega z ekipy i przyjaciel Roche. Kelly, drugi z wielkich irlandzkich bohaterów szos, starannie unikał krytycznych wypowiedzi zarówno pod adresem książki, jak i samego Paula.

– Chciałbym ją przeczytać, ale jeszcze nie miałem okazji – tak odpowiadał pytającym go o nią dziennikarzom jeszcze kilka lat po jej ukazaniu się.

Wielbicielowi, który w 1984 roku jeździł za Kellym z wyścigu na wyścig, oczy otwierały się powoli i nie bez bólu. Podczas Tour de France w 1988 roku w organizmie lidera wyścigu Pedra Delgada wykryto zakazany przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski środek probenecyd maskujący stosowanie sterydów. Niby przypadkiem władze kolarskie zdelegalizowały go dopiero dziesięć dni po zakończeniu Touru. Nie istniała żadna

usprawiedliwiona przyczyna, żeby którykolwiek z kolarzy biorących w nim udział miał stosować probenecyd, i kiedy informacja ta została upubliczniona, dyrektor Tour de France Xavier Louy udał się do hotelu Delgada i poprosił go, by wycofał się z wyścigu.

Hiszpan odmówił, twierdząc, że nie złamał żadnych przepisów. Teoretycznie tak właśnie było.

Nazajutrz rano zły, że facet stosujący substancję maskującą zwycięży w Tour de France, włóczyłem się po przemysłowej części Limoges. Spotkałem tam holenderskiego kolarza Stevena Rooksa, drugiego w klasyfikacji generalnej. To on zostałby zwycięzcą Touru, gdyby usunięto z niego Delgada.

– Nie czujesz się oszukany? Nie uważasz, że to ty jesteś prawdziwym zwycięzcą Tour de France? – zapytałem, chcąc, by się ze mną zgodził.

Spojrzał na mnie jak na kosmitę, który nie rozumie niczego, co ludzkie.

– Nie, wcale. Delgado jest najlepszym kolarzem jadącym w wyścigu i zasługuje na zwycięstwo. Cieszę się, że ukończę Tour jako drugi.

– Ale on stosował środek maskujący!

– To wciąż najmocniejszy gość w stawce.

Rooks chciał, żebym wiedział, iż doping to nie mój interes. Oburzał się na taką formę zadawania pytań, która sugerowała, że to on jest prawowitym liderem Tour de France. W rzeczywistości zarówno on, jak i Delgado rozumieli, co jest dozwolone, a co nie, i jego rywal nie złamał tych zasad. A ty, dziennikarzu, nie wtrącaj się.

Kolarstwo nie było jedynym sportem, w którym się „brało”.

Dwa miesiące później byłem w Seulu i widziałem, jak Florence Griffith-Joyner, zwalniając na finiszu, bije rekord świata w biegu na dwieście metrów. Chociaż przeszła pomyślnie kontrolę antydopingową i twierdziła, że jest czysta, jej rezultaty nie miały sensu. Wielu spośród

piszących o jej doskonałości na bieżni udawało. Kilka dni później, po finale na sto metrów mężczyzn, Doug Gillon z ukazującego się w Glasgow „Heralda” zapukał do drzwi mojego seulskiego mieszkania. Była trzecia trzydzieści w nocy.

– Co się stało, Doug?

– Johnsona przyłapano na dopingu. Ubieraj się.

Byłem gotów ucałować tego Szkota za to, że o mnie pomyślał. Reszta igrzysk olimpijskich była nieistotna, liczył się tylko Johnson. Po ich zakończeniu podążyłem wydeptaną przez wielu dziennikarzy ścieżką do Toronto, do siłowni, w której Johnson nadal ćwiczył, na bieżnię, gdzie trenował, oraz do biura jego ówczesnego prawnika Morrisa Chrobotka starającego się przedstawić Bena w jak najlepszym świetle.

Chrobotek był zabawny, czasem celowo, niekiedy w sposób niezamierzony. Na każdą sugestię, jakoby jeden z rywali Bena był czysty, odchyłał się do tyłu, a następnie pochylał w przód.

– Może i jestem brzydki – mówił – ale nie jestem głupi.

Później, kiedy pojawiały się podejrzenia o stosowanie dopingu, próbowałem odwołać się do zasady Chrobotka: można być brzydkim, ale nie głupim.

Dziennikarz sportowy musi dokonać wyboru, i nie jest to wybór łatwy. Większość z nas wybrała ten zawód z miłości do sportu. Mówimy, że kochamy naszą pracę, ale tak naprawdę kochamy to, że płacą nam za jeżdżenie na imprezy sportowe. Naszą pracę napędza entuzjazm, jaki mamy dla rywalizacji. Zanika, gdy pojawiają się wątpliwości co do wartości wyników.

Oto dlaczego tak wielu nie chce stawiać oczywistych pytań.

W przypadku Lance’a Armstronga miałem szczęście.

Najczęściej najważniejsze jest wyczucie czasu. Być może gdyby w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych zadawano właściwe pytania, okazałoby się, że powszechnie wówczas stosowane i niemożliwe do wykrycia EPO (erytropoetyna) zmieniło sport. Widziałem wiele edycji Tour de France i nigdy nie zadałem odpowiedniego pytania.

Dlaczego zatem kiedy Lance Armstrong odniósł pierwsze ze swoich siedmiu zwycięstw w Wielkiej Pętli, zareagowałem zupełnie inaczej?

Zawsze porównywałem swoją pasję pisania o sporcie do studni. Czerpiesz z niej, napełnia się z powrotem, ale woda nigdy nie wraca do takiego poziomu jak ten, kiedy po raz pierwszy zanurzyłeś w niej wiadro. Obawiałem się tego. A co jeśli studnia wyschnie? Już się tym nie przejmuję, ponieważ podczas Tour de France w 1999 roku, kiedy po raz pierwszy wyszła na jaw historia Lance'a Armstronga, mój entuzjazm dla zawodowego kolarstwa przechodził bardzo poważny kryzys.

Lance, nadzwyczajny mistrz Touru, pojawił się w moim dziennikarskim życiu w najlepszym z możliwych momentów.

³ James Boswell, prawnik i pamiętnikarz szkocki. Największą sławę przyniosła mu biografia jego wieloletniego przyjaciela doktora Samuela Johnsona zatytułowana *The Life of Samuel Johnson*, będąca jednym z pomników literatury brytyjskiej – przyp. tłum.

ROZDZIAŁ 2

Wyścig jest wszystkim i przesuwa na dalszy plan wszystko, co nie jest ściganiem. Życie jest metaforą wyścigu.

Donald Antrim

25 czerwca 1995 roku wróciłem do Irlandii po pięciu tygodniach relacjonowania Pucharu Świata w rugby odbywającego się w Republice Południowej Afryki. Była mniej więcej dziesiąta wieczorem, kiedy samolot wylądował w Dublinie. Mary przyjechała samochodem z naszego domu w hrabstwie Westmeath, żeby mnie odebrać, zjawili się też Paul i jego żona Ann mieszkający w pobliżu lotniska. Pijąc kawę, spędziliśmy razem kilka godzin, zanim rozjechaliśmy się w przeciwnych kierunkach.

Kiedy skręciliśmy na podjazd prowadzący do naszego domu, byliśmy pewni, że coś nie gra. Wokół stali sąsiedzi, ale nie tylko. Byli też dyrektor szkoły i ksiądz. Nikt nie wiedział, w którą stronę skierować wzrok. My w samochodzie czuliśmy, że kiedy tylko otworzymy drzwi, nasze życie zmieni się na zawsze. Nie pamiętam, kto mi powiedział, że John, nasz dwunastoletni syn, miał wypadek na rowerze.

- Ale nic mu nie jest? – zapytałem.
- Niestety. Ma złamany kręgosłup.
- Gdzie teraz jest?
- Karetka go zabrała.

– Jak się czuje? Wyzdrowieje?

– Nie.

Stało się. Już wiedzieliśmy. Wtedy pomyśleliśmy o naszych pozostałych dzieciach: Kate, Simonie, Danielu, Emily i Connorze, które dowiedziały się prędzej od nas. Gdzie były? W jakim były stanie?

Do wypadku doszło godzinę wcześniej. Tego dnia rano John grał mecz futbolu irlandzkiego. Jego drużyna przegrała. Nie został na kanapki i napoje serwowane po zakończeniu spotkania. Gdy skręcał w prawo na podjazd prowadzący do naszego domu, uderzył w niego nadjeżdżający samochód. Zginął na miejscu. Na jego twarzy i ciele nie było nawet zadrapania. Zabiły go siła uderzenia i kąt, pod jakim uderzył o ziemię.

John był drugim w kolejności naszym dzieckiem. Miał nienasycony apetyt na życie. Dobrze się uczył. Niesamowicie sumiennie podchodził do odrabiania lekcji.

– Tato, nie mogę teraz rozmawiać. Mam pracy na trzy godziny, a wieczorem w telewizji jest Liga Mistrzów.

Schodziliśmy mu z drogi i pozwalaliśmy robić swoje. Dużo graliśmy w piłkę nożną na trawniku przed naszym domem z dziećmi Kilmartinów, którzy mieszkali obok, i mecze te często kończyły się kłótniami. Głównie Johna ze mną.

– Nasz aut.

– Piłka nie wyszła za linię.

I wtedy rozpętywało się piekło, wybaczyliśmy mu jednak ze względu na jego pasję. Powinienem mieć więcej rozsądku.

Przed Tour de France w 1987 roku spędziliśmy wakacje w zachodniej Irlandii. Lubił wspinaczkę do statuy stojącej na wzgórzu trzysta metrów nad opactwem Kylemore. Żeby się do niej dostać, trzeba było iść krętym szlakiem biegnącym stromo pod górę. Na szczycie wszyscy byliśmy

zmęczeni, ale John chciał puścić się biegiem z powrotem. Ostrzegaliśmy go, że jest zbyt stromo, żeby biec, ale równie dobrze mogliśmy powiedzieć, że to będzie świetna zabawa, i zrobić to razem z nim.

John nie lubił czekać. Po prostu ruszył, a ja rzuciłem się pędem za nim. Miał cztery lata, ja trzydzieści jeden i w tamtym czasie regularnie biegałem. Po raz kolejny powinienem mieć więcej rozsądku. Przynajmniej trochę. Dając mu dziesięć metrów forów, zakładałem, że dogonię go po minucie. Nie widziałem go jednak, dopóki nie zbiegłem zupełnie na dół. Wystraszył mnie na śmierć. To go bawiło. Był taki mały, a już rozkoszował się zwycięstwem nad swoim tatą.

Nieważne było, jaki to sport – on go kochał. Grał w futbol irlandzki, uwielbiał Liverpool, nagrał wszystkie ważne mecze Pucharu Świata w rugby w 1995 roku, wiedząc, że po powrocie do domu będę chciał je obejrzeć. Widok opisanych taśm ułożonych na półce w moim gabinecie rozdzierał mi serce.

Umiał złamać serce także w inny sposób. Pewnego razu, kiedy Paul odwiedził nas w domu, John zastawił na niego pułapkę.

– Paul – powiedział – w tej książce, którą napisałeś z Andym Townsendem...

Paul był współautorem biografii byłego piłkarza, którą napisał z nim jako autor widmo.

– Tak, John...

– Townsend opowiada o meczu, w którym Arsenal wygrał z Liverpoolem na Anfield, nie dopuszczając do zdobycia przez niego podwójnej korony.

– Tak, pamiętam.

– Townsend mówi tam, że wciąż widzi, jak David Seaman podaje piłkę Lee Dixonowi. Ten zagrywa bardzo długą piłkę do Alana Smitha, który

przedłuża do Michaela Thomasa, a ten strzela gola.

– I?

– Bramki Arsenalu nie bronił w tym meczu Seaman, tylko John Lukic.

Miał dwanaście lat, a Paul był ugotowany.

We wrześniu 1994 roku pojechałem na krajowy finał mistrzostw w futbolu irlandzkim. Towarzyszył mi Martin McHugh, gwiazda drużyny Donegal, która zdobyła tytuł dwa lata wcześniej. McHugh i ja byliśmy przyjaciółmi. Zabraliśmy Johna ze sobą. Down wygrało wtedy z Dublinem. W drodze powrotnej John zadawał Martinowi pytanie za pytaniem. Nie przestawał ani na chwilę, ale cierpliwość Martina była niewyczerpana.

Następnego dnia, po powrocie do swojego rodzinnego Donegal Martin kupił parę butów piłkarskich marki Patrick dla Johna i wysłał je pocztą kurierską do naszego domu.

– Nie musiałeś tego robić – powiedziałem.

– Rozmawiałem o futbolu z wieloma dzieciakami – odparł. – Ale nigdy z jedenastolatkiem, który by zadawał takie pytania jak twój syn.

Możecie myśleć, że znalezienie pocieszenia po stracie syna jest niemożliwe.

Mnie się udało. Niedługo po jego śmierci dyrektor szkoły Tim Looney opowiedział mi historię o tym, jak pewnego dnia jeden z chłopców dla żartu napisał coś na tablicy.

– No dobrze, kto to zrobił? – zapytał pan Looney. – Nikt się nie przyznał. – W takim razie będziemy siedzieć tutaj, dopóki nie dowiemy się, czyja to sprawka.

Cisza trwała do przerwy na lunch i kiedy okazało się, że dyrektor nie ma najmniejszej ochoty ustąpić, ktoś musiał coś zrobić. John podniósł rękę do góry.

– Tak, John?

Mój syn, stojąc, zwrócił się do swojego najlepszego przyjaciela:

– Andrew – powiedział – wiesz, że to zrobiłeś, i my to wiemy.

Najpewniej nie zostaniesz ukarany, jeśli się przyznasz.

Andrew wstał i oznajmił:

– Ja to zrobiłem, proszę pana.

– Dziękuję ci za szczerość, Andrew. Teraz wszyscy możecie wyjść na przerwę.

Później inna nauczycielka, pani Twomey, opowiadała mi, jak pewnego razu czytała klasie Johna historię narodzin Jezusa. Doszła właśnie do fragmentu o skromnym życiu, jakie wiedli w Nazarecie Maria i Józef, ponieważ on był tylko prostym cieślą. John podniósł rękę do góry.

– Jeśli byli tacy biedni, to co zrobili ze złotem, które dostali od trzech mędrców?

Pani Twomey czytała dzieciom tę historię od ponad trzydziestu lat.

– John, pierwszy raz ktoś mnie o to pyta. Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie.

Zachowałem te historie w pamięci, szczególnie te szkolne. Jeśli tylko możesz, wstań i daj się zauważyć. Trzeba też stawiać oczywiste, choć czasem trudne, pytania. Co Maria i Józef zrobili ze złotem?

Sean Kelly przyjechał na pogrzeb Johna. Kiedy znalazł mnie stojącego samotnie, spytał o przebieg wypadku: z której strony nadjeżdżał John, a z której samochód? Przeszliśmy przez ogród, żeby mógł lepiej wyobrazić sobie, co dokładnie zaszło. Następnie Kelly wypytał o moją podróż z lotniska w Dublinie oraz o to, czy wracając do domu na rowerze, John mógł myśleć, że już tam jesteśmy. Powiedziałem, że do tej pory powinniśmy byli wrócić, ale zasiedzieliśmy się na lotnisku przy kawie z Paulem.

– John, wracając do domu – powiedział – patrzył już w tę stronę, żeby sprawdzić, czy twój samochód stoi na podjeździe. Spoglądał przez ulicę, mózg kazał mu skręcić, ale oczy nie patrzyły na drogę przed nim. Sam kilka razy skręcałem w ten sposób. Miałem szczęście, że z naprzeciwka nie nadjeżdżał żaden samochód.

Choć trudno było słuchać, jak ktoś opowiada o śmiertelnym wypadku mojego syna, byłem wdzięczny Kelly’emu za to, że pomógł mi zrozumieć, jak do niego doszło.

Rok po śmierci Johna, w parną letnią noc w Atlancie, znaleźliśmy się w małej grupce ludzi w niewielkim ogrodzie na tyłach basenu pływackiego Georgia Tech University. Zapadał zmierzch. Byłem z moim starym przyjacielem Paulem, obecnie uznanym dziennikarzem, i naszym nowym przyjacielem Tomem Humphriesem z „Irish Timesa”. Poczucie humoru Toma nas rozśmieszało, jego talent wzbudzał pokorę.

Irlandzka pływaczka Michelle Smith jak burza przeszła przez pierwszy dzień igrzysk olimpijskich, zdobywając złoty medal. Było to niesamowite osiągnięcie jak na kobietę, której dotychczasowa kariera zapowiadała, że jest ona raczej skazana na o wiele mniejsze dokonania. Oczywiście, lecz niełatwe pytania brzmiały: Czy wzrost jej formy był wiarygodny? Czy mogła zdobyć złoty medal bez stosowania środków dopingujących? Taki był początek tego, co stało się później.

Kiedy tak staliśmy pod rododendronami, wśród których buszowały cykady, rozmawiając o skutkach tego wydarzenia z grupką amerykańskich dziennikarzy, jedyne światło dawała nam pusta już teraz arena zmagania pływaków. Byliśmy zaniepokojeni. To, czego właśnie byliśmy świadkami, nie wyglądało dobrze.

Nie byliśmy ekspertami w dziedzinie pływania, ale znaleźliśmy stary dobry dowcip o tym, że korzystnym rezultatem dla irlandzkiej drużyny pływackiej jest to, że nikt nie utonął. Oczywiście to nie było *fair*, jednak Irlandczycy nie są narodem znakomitych pływaków. Wręcz przeciwnie. Nieżyjący już Jimmy Meagan, swego czasu mój kolega z „Irish Press”, opowiedział nam historię z zawodów pływackich rozegranych podczas igrzysk olimpijskich w Montrealu w 1976 roku. Pewnego ranka Jimmy walczył ze swoim sumieniem, nie mogąc podjąć decyzji, czy iść na poranną sesję, żeby zobaczyć wyścig z udziałem irlandzkiego pływaka. Nie miał on szans na to, by zakwalifikować się do kolejnego etapu, ale poczucie obowiązku Jimmy’ego wzięło górę nad zdrowym rozsądkiem. Chciał zdobyć wypowiedź zawodnika, którą miał zacytować w ostatnim wydaniu „Evening Press”.

Jimmy udał się na pływalnię z kolegą z „Irish Independent”. Zawodnik z Irlandii oczywiście zakończył wyścig ostatni, daleko w tyle za zawodnikiem, który dopłynął drugi od końca. Rozczarowujące nie było jednak to, że był ostatni, ale to, że uzyskał czas o wiele gorszy od swojego rekordu życiowego.

– Co się stało? – zapytali Jimmy i jego kolega.

– Jestem bardzo zawiedziony. Nie mogę uwierzyć, że płynąłem tak wolno.

– Co poszło nie tak?

– Zjadłem zbyt obfite śniadanie – odparł pływak.

– Ach tak!

Poranek w Montrealu i złoty medal z Georgia Tech dzieliła przepaść. Wiedzieliśmy jednak, że wiek naszej nowej bohaterki narodowej jest problemem: w jej dyscyplinie, mając dwadzieścia sześć lat, nie poprawia się już wyników. Co więcej, nie miała odpowiedniej sylwetki: była za

niska, i obracała się w złym towarzystwie. W dyscyplinie, w której trenerzy zyskali status naukowców, Michelle prowadził jej mąż Erik de Bruin, holenderski kulomiot, i jak na złość ciążyła na nim wówczas czteroletnia dyskwalifikacja za stosowanie niedozwolonych środków dopingujących.

W tym czasie odkurzono stary wywiad z Erikiem, w którym mówił o dopingu. Jego stanowisko wobec tego zjawiska było w najlepszym razie ambiwalentne.

Jako patrioci podzieliliśmy się z naszymi rozmówcami argumentami mogącymi świadczyć na korzyść Michelle. Chcieliśmy się przekonać, w jaki sposób zareagują na nie ci, którzy znają się na tym lepiej od nas. A jeśli trenowała „mądrzej”? Co jeśli szykując się do igrzysk w Atlancie, swoich trzecich, poważniej podeszła do sportu? Może lekkoatletyczne doświadczenie Erika dawało jej przewagę? A może to wszyscy inni się mylili, a nasza dziewczyna miała rację? Jednak ci, którzy mieli największą wiedzę, storpedowali nasze argumenty.

W tej chwili rozmowy ucichły. Po udzieleniu wywiadów telewizji holenderskiej Erik dołączył do nas w ogrodzie. W powietrzu wyczuł pewien sceptycyzm (a może się go spodziewał) i przyszedł nas czarować. Sęk w tym, że najlepiej wychodzi to osobom pełnym uroku. O Eriku można wiele powiedzieć, ale nie to, że jest urodzonym zaklinaczem.

Wymiana zdań, która nastąpiła między nami, była krótka i nerwowa. Najpierw padły okraszone komplementami delikatne pytania o jego marzenie, które właśnie się spełniło. Ale romantycznie! Później rozmowa zeszła na temat, o którym tak naprawdę chcieliśmy pomówić.

– Ludzie mówią, że kiedy byłeś zawodnikiem, wykryto w twoim organizmie sterydy.

– Nie, to nieprawda. Był problem z badaniem. Moja federacja i holenderskie sądy przywróciły mi prawa zawodnika. Nie chcę teraz do

tego wracać.

– Ale pomówmy o faktach.

– Jak już powiedziałem, to dla mnie szczęśliwa chwila. Nie chcę...

– Czy nadal startujesz w zawodach?

– Nie, jestem trenerem. Sądzicie, że mógłbym być jednocześnie trenerem i zawodnikiem? – odparł lekceważąco, wstając z miejsca. – Zawsze to samo – krzyknął, przeciskając się między nami, by wrócić na pływalnię. – Zawsze, kurwa, to samo.

Paul, Tom i ja odłączyliśmy się od większej grupy i zaczęliśmy wolno iść w kierunku busów wożących dziennikarzy. Była sobota, późna noc. Niedługo w Irlandii miał wstać nowy dzień i wielu naszych rodaków miało się obudzić z uśmiechem na ustach. Nasz kraj rzadko zdobywał złote medale, a już szczególnie w dyscyplinie zdominowanej przez Amerykanów. Tom musiał napisać artykuł do poniedziałkowego wydania „Irish Times”. Paul i ja cieszyliśmy się, że mamy tydzień na zastanowienie się, co napiszemy do naszych tygodników ukazujących się w niedzielę.

Idąc i rozmawiając, wiedzieliśmy, że nie unikniemy zadawania pytań. Nie było takiej możliwości. Wszyscy spośród obecnych w ogrodzie kilka minut wcześniej zdawali sobie sprawę z tego, iż podejrzenia środowiska pływackiego staną się istotną częścią tej historii. Zbyt dużo było narastającej złości. Wyczyn Michelle był zbyt osobliwy i zbyt cudowny, żeby można było uniknąć podania go w wątpliwość.

Wiedzieliśmy też, co się będzie działo w kraju. Zbiorowa radość. Szaleństwo. Ludzie, którzy nigdy wcześniej nie widzieli na oczy wyścigu pływackiego, będą oglądać, jak nasza rudowłosa, mówiąca w gaelic Michelle pruje wodę w drodze po złoto w olimpijskim finale. Tylko to będzie się liczyć. Dzwonisz do domu i zdajesz sobie sprawę, że twoja

rodzina naprawdę „wkręciła się w pływanie”, a ty chcesz powiedzieć: Lepiej dajcie sobie spokój.

Paul, Tom i ja pożegnaliśmy się z ciężkim sercem. Michelle miała startować przez cały tydzień. Pewnie co drugi dzień będzie na podium. Szaleństwo w kraju będzie rosło z każdym kolejnym wyścigiem. A my zamierzaliśmy prosić naród, by usiadł i napił się herbaty, bo mamy złe wieści.

Kiedy to się działo, my trzej byliśmy jedynymi przedstawicielami irlandzkich mediów, którzy chcieli stawiać pytania. Wszyscy pozostali wzięli się do wybielania: gruby pędzel, szerokie pociągnięcia. Wypijmy za Michelle, ale nie tę starą herbatę, dziękujemy.

– Michelle, jak się czułaś, kiedy grano hymn narodowy i widziałaś flagę idącą w górę?

Nie słuchaj trudnych odpowiedzi. Nie zadawaj trudnych pytań.

Jeśli się dobrze przyjrzeć, było w tym też coś niemal zabawnego.

Ludzie z ekipy Michelle uważali kwestionowanie jej wyników za nikczemne działanie zazdrosnych Amerykanów próbujących ukraść Irlandczykom radość. Ostatecznie Stany Zjednoczone nie miały przecież w sporcie większego rywala niż Irlandia. Nic tak nie zalażało Amerykanom za skórę jak widok rudowłosej, piegowatej irlandzkiej dziewczyny wygrywającej wyścigi na przekór wszelkim oczekiwaniom. Mogli pogodzić się ze zwycięstwem czerwonych Rosjan, komunistów z Chin, ale nie tej uśmiechniętej Irlandki. Chcieli więc zaciemnić obraz, napluć nam do gulaszu.

Wielu dziennikarzy zdecydowało się w ten sposób sprzedawać tę historię, a w kraju byli chętni, by ją kupować. Inni zupełnie ją zignorowali. Ale nie my. W naszych artykułach pisaliśmy, że nie można ufać w czystość jej zwycięstw, ponieważ wzrost jej formy był zbyt duży, by mógł być

naturalny. Znalazła się garstka ludzi, którzy karmili się atakowaniem nas w prasie i telewizji. Byliśmy dla nich szukającymi rozgłosu zdrajcami, którzy dostaną za swoje, kiedy tylko Michelle zacznie nas pozywać za zniesławienie. Prawda, że ich pozwiesz, Michelle? Pozbawisz ich domów, pracy i zniszczysz im reputację? Byle szybko, Michelle, prosimy.

Na długo przed naszym powrotem do kraju z Atlanty naszą trójkę spotkały izolacja i potępienie. Debata na temat igrzysk toczyła się w dwóch różnych językach. Paul, Tom i ja staraliśmy się przygotować grunt pod pytania o to, w jaki sposób gorliwa, ale drugorzędna pływaczka przemieniła się w jedną z wielkich olimpijek. W drugim języku powstawała historia pełna chwały: trwające tydzień alleluja, bajka napisana przez dziennikarzy, których entuzjazm przyćmił zdolność do jakiegokolwiek krytycznego osądu. Być może czuli, czego oczekiwała irlandzka opinia publiczna.

Zawsze lubiłem przekonywać innych do swojego punktu widzenia. W środę, w trakcie owego „tygodnia wyjątkowego dla irlandzkiego sportu”, rozmawiałem z Anne Cassin, reporterką irlandzkiej telewizji publicznej RTÉ. Była otwarta na perswazję.

– Idzie o to, że ona startuje w międzynarodowych zawodach od dziesięciu lat. Dwukrotnie brała udział w igrzyskach olimpijskich i nigdy wcześniej nie dotarła do finału. A teraz to.

– Naprawdę uważasz, że podejrzenia są uzasadnione?

– Oczywiście, że tak. Niewiarygodny wzrost jej formy nastąpił po tym, jak zakochała się w dyskobolu, a później w jego organizmie wykryto niedozwolone substancje i zawieszono go na cztery lata.

Udało się. Zanim skończyliśmy rozmowę, Anne, choć początkowo wierzyła w Michelle, była całkowicie przekonana do argumentów świadczących przeciwko niej. Miała porozmawiać ze swoim producentem w Dublinie i nakłonić go do pozwolenia jej na stawianie pytań. Wydawało

się, że odniosłem małe zwycięstwo. Później tego samego wieczoru spotkałem Anne na pływalni. Rozmawiała z producentem, który delikatnie odwiódł ją od tego pomysłu.

– Nie chcemy chyba burzyć nastroju w narodzie? – powiedział. Irlandia była *en fête*.

W dniu swojego ostatniego wyścigu Michelle Smith miała problem z okularami pływackimi i spóźniła się na start. Niedaleko od miejsca, w którym siedzieliśmy we trzech, znajdowało się dziewięciu czy dziesięciu irlandzkich dziennikarzy piszących hymny pochwalne na jej temat. Nie lubili nas wtedy za bardzo, a i my nie należeliśmy do ich największych fanów.

Niemniej jednak widząc, że Smith nie ma jeszcze przy słupku startowym, sześciu lub siedmiu jej miłośników dziennikarzy podniosło się i ruszyło w kierunku schodów prowadzących do basenu. Kiedy nas mijali, jeden z nich podniósł wzrok, spojrzął mi w oczy i cicho powiedział: „Mają ją”, dając do zrozumienia, iż uważa, że Michelle dowiedziała się o pozytywnym wyniku kontroli antydopingowej i dlatego nie wyszła na finał z pozostałymi siedmioma pływaczkami. Nie „mieli jej”, ale był to dowód na to, co o niej myślą jej wyznawcy.

Następne dwa lata były trudne, ale doprowadziły do zmiany.

– Tatusiu, dlaczego jesteś taki niemiły dla Michelle Smith? – zapytały mnie dzieci po powrocie ze szkoły.

Ostatecznie Michelle została zdyskwalifikowana na cztery lata za manipulowanie przy próbce moczu pobranej w jej domu w Kilkenny w 1998 roku. Jednak do czasu jej ostatniego przesłuchania w Lozannie [swoją siedzibę ma tam Światowa Federacja Pływacka (Fédération Internationale de Natation – FINA) – przyp. tłum.] wszystko to, co my trzej opublikowaliśmy na temat cudownego wzrostu jej formy, spotykało się

z wrogością i gwizdami. Paul i ja nieźle się spisaliśmy, komentując starty Michelle Smith, Tom zrobił to wybitnie.

Stawianie oczywistych pytań takich jak to, które mój syn John zadał w klasie: „Co Maria i Józef zrobili ze złotem?”, stało się niemożliwym do uniknięcia obowiązkiem. Nagrodą było to, że czułem, iż to właśnie jest dziennikarstwo.

*

Następnego lata los ponownie zetknął Paula, Toma i mnie. Mistrzostwa świata w lekkoatletyce w Atenach z perspektywy mediów stanowiły antyszczyt. Dla Soni O’Sullivan, odwiecznej faworytki Irlandczyków, był to kolejny trudny start. Ateńczycy wydawali się równie obojętni wobec wydarzeń na bieżni jak reszta świata. W pewnym momencie Międzynarodowe Stowarzyszenie Federacji Lekkoatletycznych (International Association of Athletics Federations – IAAF) zapytało Greków, czy nie mogliby zapęścić pustych miejsc na stadionie żołnierzami. To stary sportowy zwyczaj, jednak gospodarze odpowiedzieli, że nie po to utrzymują armię.

Niewiele mieliśmy do pisania, a nasze redakcje nie zmuszały nas do zbyt ciężkiej pracy. Mieliśmy czas, żeby nacieszyć się Atenami, Akropolem i okolicznymi atrakcjami, ale przede wszystkim na partyjkę golfa. Paul i ja jesteśmy zapalonymi golfistami, a Tom został przez nas zaciągnięty na wspaniałe pole w Glyfadzie na przedmieściach Aten. Tamtejsza śmietanka wyjechała z miasta, żeby spędzić najgorętsze tygodnie lata na wyspach, dzięki czemu mieliśmy wszystkie alejki tylko dla siebie. Właściwie to Paul i ja graliśmy w alejkach. Tom wolał obszary porośnięte „dziką trawą”.

Po raz pierwszy w życiu nasze akredytacje prasowe wywarły na kimś wrażenie. W klubie golfowym potraktowano nas jak członków rodziny

królewskiej. Otwarto przed nami szafki w szatni i pozwolono wybrać sprzęt z rzędów toreb należących do członków klubu. Każda z nich była wielkości przyczepy turystycznej, a znajdujące się w nich kije pozbawiły nas wszelkich zahamowań.

Coś gryzło Toma i nie chodziło wyłącznie o jego uderzenia. Było to niecodzienne dla niego zachowanie, gdyż – w przeciwieństwie do Paula i do mnie – Tom jest z natury prostolinijny. Kiedy wyrzucił to z siebie, wdaliśmy się w płomienną kłótnię i zapomnieliśmy o planie zwiedzania. Tom nasłuchiwał się od nas wielu opowieści o dawnych edycjach Tour de France, o dniach, w których Kelly zrobił to czy powiedział tamto. Zachęcaliśmy go, żeby pojechał na Wielką Pętlę i zobaczył to na własne oczy.

Tom nie potrafił zrozumieć rozdziwku między uwielbieniem i szacunkiem, jakim Paul i ja wciąż darzyliśmy Seana Kelly'ego, a stanowiskiem, jakie zajęliśmy w sprawie Michelle Smith.

– Sportowiec przyłapany na dopingu to oszust, prawda? – pytał. – A Kelly'ego złapano dwukrotnie.

– Ale różnica między Kellym i Michelle Smith polega na tym, że on zwyciężał z najlepszymi na świecie od czasu swojego pierwszego sezonu w zawodowym peletonie. Od zawsze miał prawdziwy talent, czego nie da się powiedzieć o niej.

– Nie stopniujmy winy. Nie ma dobrych i złych dopingowiczów – powiedział.

– To nie jest takie czarno-białe, jak się wydaje. Kolarstwo to nie pływanie. W tej dyscyplinie biorą wszyscy najlepsi zawodnicy.

– Obaj napisaliście dobrze przyjęte książki o kolarstwie. Paul, twoja książka pokazała, jak powszechne jest stosowanie dopingu w tej dyscyplinie, ale żaden z was nie wspomniał o Kellym.

– Tom – powiedział Paul – próbowałem skupić się na zwyczaju dopingu oraz na tym, że każdy kolarz musi podjąć decyzję: biorę i robię karierę albo nie biorę i patrzę, jak ona obraca się wniwecz. Gdybym wskazał palcem konkretne osoby, ludzie nie dostrzegliby tego, co ważniejsze. To ten sport deprawuje jednostkę.

– Mimo to obaj mieliście okazję, by przypomnieć ludziom, że Kelly został dwukrotnie przyłapany na stosowaniu dopingu, ale ponieważ lubicie gościa, nie zrobiliście tego.

To prawda, lubiliśmy Kelly’ego i albo zadawaliśmy mu delikatne pytania, albo nie zadawaliśmy ich wcale. Tego ranka w Senlis, kiedy wskoczył na swój rower, grzechocząc tabletkami, wiedzieliśmy dokładnie, co usłyszeliśmy. Jednak kiedy w próbce moczu oddanej przez niego tego dnia wykryto niedozwolone substancje, nikomu o tym nie wspomnieliśmy.

Wy tłumaczyliśmy to sobie w sposób, który nam odpowiadał, i próbowaliśmy powiedzieć Tomowi, że to on nie rozumie kontekstu.

– To ludzie znający się na pływaniu najgłośniej mówili, że nie wierzą Michelle Smith.

Ci związani z zawodowym kolarstwem kochali Kelly’ego i nigdy nie wysuwali podejrzeń co do jego statusu mistrza. Nie było zatem podstaw, żeby ktokolwiek inny coś podejrzewał.

– Dwa pozytywne wyniki badań to niewystarczająca podstawa?

– Eddy’ego Merckxa też dwa razy przyłapano na stosowaniu dopingu, ale i tak wszyscy uważają go za najlepszego kolarza wszech czasów. Czy powinniśmy zatem powiedzieć, że Merckx nie był prawdziwym mistrzem?

Mówiliśmy Tomowi, jak bardzo Francuzi i Belgowie kochają Kelly’ego i że jeśli ktokolwiek zna się na tej dyscyplinie, to właśnie oni. Dla nich był legendarnym twardzielem. Namalowaliśmy obraz świata, w którym – owszem – większość zawodników stosowała doping, ale w pewien

egalitarny sposób, dzięki czemu osiągnęli takie same wyniki. Bez względu na wszystko Kelly był dla nas jednym ze świętych peletonu.

Opowiedzieliśmy Tomowi kilka naszych ulubionych historii o nienasyconym apetycie Kelly'ego na trening i jego potrzebie odnoszenia zwycięstw oraz o nieśmiałości, przez którą podczas wywiadu dla radia w odpowiedzi na pytanie skinął głową. Opowiedziałem mu, jak pewnego razu widziałem go wciskającego sobie w majtki dwadzieścia tysięcy franków w małych nominałach, które otrzymał za start w kryterium.

– Po prostu nie chwytasz kontekstu, Tom.

– Ale chwytam skutek. Jeżeli biorą najsilniejsi, jak to wpływa na facetów znajdujących się na dole łańcucha pokarmowego? Czyż nie muszą się szprycować, żeby pozostać w rywalizacji? Oto wasza dyscyplina, tak piękna w swojej prostocie, tak inspirująca poprzez opowieści. A wy mówicie młodym kolarzom, że aby przetrwać, muszą zażywać to czy tamto.

Nie mieliśmy na to odpowiedzi.

Paul był jednym z tych młodych kolarzy zmuszonych do dokonania takiego wyboru.

– Kurwa. Pieprzę cię, Tom. Masz rację. Właśnie o tym napisałem książkę: o wyborze. O tym opowiedziałem w *Rough Ride*. W ten sposób doping spieprzył mi karierę. Dobiegła końca, zanim dowiedziałem się, jak dobry mógłbym być.

Paul ma prawo być dumny z napisania *Rough Ride*, ale sześć lat po ukazaniu się książki obaj chcieliśmy udawać, że da się oddzielić Kelly'ego od zwyczaju stosowania dopingu, jak gdyby jego akurat on nie dotyczył. Tom tego nie kupował. Zaślepiało nas uwielbienie dla Kelly'ego. Wróciliśmy do Aten w milczeniu.

Działo się to latem 1997 roku.

Przez lata często myślałem o tym, w jaki sposób moje życie zmieniło się przed 1999 rokiem i jak bardzo mój ówczesny stosunek do Tour de France różnił się od tego, jaki miałem w 1982 roku, kiedy byłem tam po raz pierwszy. Zastanawiałem się też, jak wpłynie na Armstronga to, że choruje na zagrażający życiu nowotwór.

Kiedy po jego powrocie pytano go o stosowanie dopingu, odpowiadał:

– Czy naprawdę sądzicie, że po tym wszystkim, co przeszedłem, szprycowałem tym swój organizm?

Był to przekonujący argument. Niemniej jednak jakiś głos w mojej głowie mówił: „Chwileczkę, przecież on musiał poradzić sobie ze świadomością, że może umrzeć. To z pewnością było straszne! Może teraz nie boi się już niczego”.

Teraz, latem 1997 roku, Armstrong zaczął rozważać powrót do ścigania się.

ROZDZIAŁ 3

*Im większe cierpienie, tym większa
przyjemność.*

Tim Krabbé, *The Rider*

Dwa tygodnie przed startem Tour de France w 1999 roku organizator wyścigu Jean-Marie Leblanc udał się do Notre-Dame des Cyclistes w Aquitaine, żeby zmówić krótką modlitwę. Siedząc w ławie pod witrażem przedstawiającym wielkich rywali Coppiego i Bartalego w zgodzie, Leblanc miał powody, żeby szukać dla siebie odrobiny spokoju ducha.

Dwanaście miesięcy wcześniej celnicy i policjanci odkryli przed światem tajemnicę Tour de France, ujawniając parszywą kontrkulturę napędzaną niewyobrażalnymi ilościami zakazanych środków dopingujących. Zamkniętemu kręgowi kolarzy zawodowych nie w smak było dzielenie się z policją i opinią publiczną sekretami swojego prywatnego stylu życia. Na znak protestu sześć ekip wycofało się z wyścigu. Kibice kolarscy byli przerażeni. W 1998 roku Tour miał tyle wspólnego ze sportem, że równie dobrze mógł nigdy nie wyjeżdżać na szosę.

Rok później Leblanc chciał mieć Boga po swojej stronie. Podczas wizyty w kościele kolarzy odbył też rozmowę z opatem Massierem, choć ten nie zdradził, o czym mówili. Leblanc obiecał światu, że Tour w 1999 roku będzie inny. Wymyślił nawet chwytliwe hasło: Tour Odnowy.

*Le grand boucle*⁴ miała być czystsza i bardziej wiarygodna niż jej edycja sprzed roku. Pojedzie niżej, wolniej i spokojniej. Leblanc zadeklarował, iż nie przeszkadza mu, że tempo wyścigu będzie słabsze, ponieważ pokaże to wszystkim, że w obrocie jest mniej niedozwolonych środków.

Nie tylko Boga Leblanc chciał mieć po swojej stronie. Media również. Podobnie jak sponsorów. Chciał odzyskać swoje dawne życie. Pragnął cieszyć się lipcem.

Znałem Leblanca od 1984 roku, kiedy był głównym korespondentem kolarskim „L'Équipe”. Spotykaliśmy się na wyścigach i od czasu do czasu ucinaliśmy sobie pogawędkę, gdyż często pytał mnie o Seana Kelly'ego. Pewnego popołudnia zobaczyłem go w akcji podczas eleganckiego przyjęcia wydanego w centrum Paryża przez organizatorów Tour de France. Wiedziałem już, że jego przeznaczeniem jest większy prestiż niż ten wynikający z zapełniania kolarskich kolumn „L'Équipe”.

Kiedy zjawiłem się na przyjęciu, był pochłonięty rozmową z trzema wyglądającymi na ważnych korporacyjnymi typami. Widząc, że się zbliżam, szybko odwrócił wzrok w obawie, że podejść się przywitać. Wtedy musiałby mnie przedstawić, a temperatura dynamicznie rozwijającej się rozmowy spadłaby o kilka stopni.

Nic osobistego, *mon ami*, ale to nie jest odpowiednia chwila. Zrozumiałem. W ciągu pięciu lat został dyrektorem Tour de France, kolejnym byłym dziennikarzem awansowanym na jedno z najpotężniejszych stanowisk w światowym kolarstwie. Zastanawiałem się, czy jako były zawodowiec wierzy, że Tour może być czysty.

W 1999 roku wracałem na wyścig po dwuletniej nieobecności. Powrót zawdzięczałem po części swojemu koledze Johnowi Wilcocksonowi, z którym z przerwami spotykałem się na trasie od 1984 roku. Mający łagodny głos i niewyczerpane pokłady uprzejmości John stanowi

uosobienie powściągliwego Anglika. Jest dyplomowanym inżynierem, ale jego ukrytą pasję stanowi kolarstwo. Najpierw ścigał się jako amator, później został reporterem i pisarzem. Dla kolarstwa zrobiłby wszystko.

John nie starzał się. Jego szczupłej sylwetce nie przybył nawet kilogram. Wydawało się, że z każdym rokiem jego włosy kręca się coraz mocniej, a jego entuzjazm, który narodził się na szczycie Mont Blanc, zbliża się teraz do Everestu. Uwielbiał rozmawiać z kolarzami, pisać o nich, przebywać wśród nich i kiedy akurat nie zastanawiałem się nad ciemną stroną tej dyscypliny, świetnie się razem dogadywaliśmy.

Gdy w 1998 roku rozpoczął się wyścig, miałem relacjonować mundial we Francji. Mój redaktor z działu sportowego „Sunday Timesa” Alex Butler zadzwonił do mnie z pytaniem, kogo moglibyśmy zatrudnić do pisania dla nas o Tour de France.

– Johna Wilcocksona – powiedziałem. – Dawno temu relacjonował dla nas Wielką Pętlę. Jest solidny i w przeciwieństwie do mnie będzie przysyłał teksty na czas.

Alex uznał to za dobry pomysł, John się zgodził i wszystko było cudownie, dopóki w środę przed startem celnicy nie zatrzymali Willy’ego Voeta, masażysty najlepszej wówczas ekipy – Festiny. W bagażniku jego samochodu znaleziono duże ilości niedozwolonych substancji dopingujących.

John napisał o przejęciu prochów i wzajemnych oskarżeniach, jakie pojawiły się później. Ale jego serce było gdzie indziej. Wolał romantyzm, bohaterskie ucieczki, kolarzy niegdyś tak elokwentnie opisanych przez naszego starego przyjaciela Robina Magowana jako „anioły na kołach, Simonów Pure’ów⁵ odpornych na pigułki zażywane przez nasze społeczeństwo lekomanów”. Wśród fiolek z EPO, plastrów z testosteronem, protestów kolarzy i przesłuchań prowadzonych przez policję John znalazł

w sobie wystarczająco dużo entuzjazmu, by opisać zwycięzcę tegorocznej Wielkiej Pętli Włocha Marca Pantaniego jako „ważącego pięćdziesiąt siedem kilogramów cudownego górala z Cesenatico”.

– Za rok – powiedział do mnie Alex – wracasz na Tour de France.

Wróciłem, ale jako inny dziennikarz. Sprawa Michelle Smith przypominała mi, że bajki w sporcie mogą pozostać wyłącznie bajkami. Konsekwencje Touru z 1998 roku oznaczały, że kolarze zawodowi muszą udowodnić swoją niewinność.

Wyścig rozpoczął się w parku rozrywki Le Puy du Fou w Vendée w zachodniej Francji. Zwycięzcą indywidualnej jazdy na czas tradycyjnie otwierającej zmagania kolarzy w Wielkiej Pętli został Lance Armstrong. Liczącą 6,8 kilometra trasę prologu przejechał o osiem sekund szybciej niż drugi na mecie Alex Zülle. Można było pomyśleć, że oto stało się coś, o czym dwa tygodnie wcześniej Leblanc i opat Massier rozmawiali na osobności w kościele kolarzy.

Cóż mogło być bardziej podnoszącego na duchu dla Touru niż mężczyzna, który pokonał groźnego dla życia raka jąder, a teraz wraca do uprawiania swojej dyscypliny, odkrywając przed światem jeszcze bardziej heroiczną wersję samego siebie? Zwłaszcza dla Touru Odnowy. Korzystne było to, że Armstrong nie brał udziału w imprezie w 1998 roku, a jego cztery starty przed zachorowaniem na raka były nieskażone podejrzeniami o stosowanie niedozwolonego dopingu. Wydawało się, że jest zawodnikiem, jakiego Tour potrzebuje.

Oczywiście ci, którzy rok wcześniej byli świadkami parady dopin-gowiczów i handlarzy prochami, mieli pytania i spodziewali się, że mężczyzna w żółtej koszulce da im na nie odpowiedź. Armstrong,

szczuplejszy i wyglądający na silniejszego fizycznie niż przed zachorowaniem na raka, był gotów na pytania o doping.

– Powiem o tym teraz, i to będzie wszystko, co mam w tej sprawie do powiedzenia – oznajmił w Le Puy du Fou. – To był długi rok dla kolarstwa i jeśli o mnie chodzi, to już historia. Być może był jakiś problem, ale one zdarzają się we wszystkich dziedzinach życia: sporcie, kolarstwie czy polityce. Możemy z tym walczyć. Przeprowadzamy tyle testów, ile się da, ale w pewnym momencie musimy sobie powiedzieć: wystarczy. Dziennikarze, przyjeżdżacie na nasze obozy treningowe, zakładając, że wszyscy jesteśmy na prochach. Gówna prawda. Nie jesteśmy. Wszyscy musimy na powrót zakochać się w kolarstwie. Nie było mnie tu rok temu i może dobrze się stało. Mam nadzieję, że kolarstwo się odrodzi. Powinniśmy zacząć od zaraz.

Kiedy mówił, przypomniałem sobie dzieciaka, z którym sześć lat wcześniej przeprowadzałem wywiad w Grenoble, i historię, jaką mi opowiedział o milionie dolarów premii. Zarobił ją za zwycięstwo w trzech zaplanowanych na tamten sezon wyścigach w Stanach Zjednoczonych. Zaproponowano mu dwadzieścia rocznych rat w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów albo jednorazową wypłatę sześćset tysięcy dolarów. Armstrong wybrał sześćset kawałków.

Następnie całą sumę przekazał dwóm najstarszym kolarzom w ekipie: Australijczykowi Philowi Andersonowi i Anglikowi Seanowi Yatesowi, żeby zdecydowali, w jaki sposób podzielić pieniądze między wszystkich kolarzy jeżdżących w barwach grupy. Anderson i Yates nie mogli dojść do porozumienia i dwudziestojednolatek Armstrong, najmłodszy stażem kolarz w teamie, szybko stracił cierpliwość.

– Hej, to moja forsa. Ja ją podzielę. Zostawcie to mnie. To ja będę tym złym i się tym zajmę.

Przejął kontrolę.

A w Le Puy du Fou zajął się odpowiadaniem na pytania o doping. Być może był jakiś problem, ale teraz dziennikarze musieli przestać myśleć, że kolarze są naszprycowani. Wszystko będzie dobrze, jeśli wszyscy na nowo zakochamy się w kolarstwie. W głosie Armstronga słyszałem starą arogancję właściwą dla tej dyscypliny, dochodzącą z nowego źródła. Nie będziemy publicznie dyskutować o dopingu, a jeśli już, to wyłącznie po to żeby przekazać opinii publicznej, iż to nie jej sprawa.

W zwycięstwie nie był równie ujmujący jak dzieciak w Grenoble. Być może było to spowodowane tym, że doping znajdował się teraz na tapecie, a on nie był w tej sprawie przekonujący. Dlaczego powiedział coś tak głupkowatego o Tourze 1998 jak to: „Być może był jakiś problem”? Kiedy zaczął prawić dziennikarzom kazanie na temat nadmiernej podejrzliwości, miałem ochotę iść za nim do pokoju hotelowego i opowiedzieć mu krótką historjkę.

Chciałem mu powiedzieć, że niedawne problemy są po części wynikiem zbytnej łatwości dziennikarzy. Przypomnieć mu o roli, jaką oni i prasa odegrali w powstaniu Tour de France. Sam wyścig jest wytworem wyobraźni dziennikarzy i w dużej mierze przetrwał dzięki ich umiejętności oddania wyjątkowego cudu i szaleństwa trwającej trzy tygodnie pielgrzymki dokoła Francji. Dziennikarze są sentymentalni, a sukces Tour de France został zbudowany na emocjach i pamięci.

Jeśli historia wyścigu coś dla niego znaczy, doceni to, iż Wielka Pętla (którą w jednej z nielicznych chwil uwielbienia opisał jako być może „najbardziej rycerskie przedsięwzięcie sportowe na świecie”) narodziła się po innej niekończącej się i zawziętej dyskusji na temat winny lub niewinności jednego człowieka. Alfreda Dreyfusa oskarżonego o sprzedawanie tajemnic państwowych Niemcom. „Le Vélo”, największe

w owym czasie pismo sportowe we Francji, publikował komentarze polityczne przychylne Dreyfusowi. Nie podobało się to części reklamodawców, którzy założyli konkurencyjny tytuł „L’Auto”. Był on fatalną porażką, dopóki jego redakcja nie wymarzyła sobie Tour de France, a jakiś czas później nie postanowiła, że lider wyścigu będzie jechał w żółtej koszulce nawiązującej do żółtego papieru, na którym drukowano pismo. „L’Auto” przekształciło się w „L’Équipe”⁶. Od ponad pół wieku tytuł ten jest blisko, niemal symbiotycznie, związany z wyścigiem.

Ale dziennikarze to też ludzie. Tamtego sobotniego wieczoru po zakończeniu prologu pokój prasowy kipiał od podniecenia reporterów czujących, że mają do opowiedzenia dobrą historię. Ofiara raka wraca i zdobywa żółtą koszulkę! Jednak od owej pierwszej odpowiedzi Armstronga na pierwsze pytanie o stosowanie dopingu miałem co do niego wątpliwości. Jakim sposobem koszulka lidera wyścigu dała mu prawo ustalić zasady, na jakich będzie mówił o dopingu? „Powieм o tym teraz, i to będzie wszystko, co mam w tej sprawie do powiedzenia”. Jak gdyby wymijająca odpowiedź na jedyne pytanie, które się liczy, była wystarczająca.

Istniały też mocne powody, żeby można było się zastanawiać nad poprawą jego wyników między rokiem 1993 a 1999.

Nasza rozmowa w 1993 roku początkowo miała się odbyć wieczorem po prologu i została przełożona wyłącznie dlatego, że Armstrong był zdruzgotany swoją kiepską postawą na tej samej liczącej 6,8 kilometra trasie, która teraz była areną jego wielkiego triumfu.

Liczyby wymagały pewnych wyjaśnień.

W 1993 roku stoicko spokojny i niezwyciężony Miguel Indurain w połowie swojej serii pięciu zwycięstw w Tourze pożarł prolog jednym kęsem, pokonując 6,8 kilometra w 8 minut i 12 sekund. Był specjalistą

w jeździe na czas. Lance przyjechał na wyścig z konkretnym planem jako kolarz mocny w wyścigach jednodniowych. Wiedząc, że nie będzie dość szybki, by pokonać Induraina i innych specjalistów w prologu, uznał, że jeżeli da w nim z siebie wszystko, będzie w stanie skończyć go w czołowej piętnastce. Z tej pozycji mógłby następnie w pierwszym tygodniu pilnować uciekających grup i pokusić się o zdobycie żółtej koszulki.

Tyle że pojechał prolog fatalnie. Zaczął zbyt szybko i po pokonaniu czterech kilometrów dojechał do Côte du Fossé bez żadnego zapasu. Ostatecznie wykręcił czas 8 minut 59 sekund, co dawało mu osiemdziesiąte pierwsze miejsce w stuosiemdziesięciodzieciuosobowej stawce. Nie był w nastroju do zabawiania dziennikarza. Osiemdziesiąty pierwszy? Żaden Teksańczyk nigdy w niczym nie był osiemdziesiąty pierwszy. „Czy możemy przeprowadzić wywiad w dniu wolnym?”

Sześć lat później ta sama trasa, te same warunki i kolejna masakra. Jednak tym razem dokonał jej Armstrong. Przejechał trasę w 8 minut 2 sekundy, o ponad osiem sekund na kilometr szybciej niż podczas startu w 1993 roku. Wynik ten wyniósł go na nowy poziom. Był także o dziesięć sekund szybszy niż zwycięski Indurain w 1993 roku. Ludzie zaangażowani w sam wyścig oraz wszyscy zainteresowani sprawą zastanawiali się, jak to możliwe, że Lance osiągnął tak dobry rezultat podczas tak krótkiej czasówki⁷.

W centrum prasowym nie wszyscy dziennikarze przyjęli to bez zmrúżenia oka, jednak większość z nich wciąż cierpiała na uporczywe zmęczenie spowodowane obserwowaniem afery z udziałem teamu Festina. Proste wytłumaczenie podpowiadało, że był to tylko prolog, króciusięki etap w trwającym trzy tygodnie maratonie: ładna historia – to na pewno, ale Armstrong nie da rady utrzymać prowadzenia i wygrać. Dziennikarze

relacjonujący Tour zrozumieli też, że im bardziej zdystansują się od tej historii, tym łatwiejsza do uwierzenia będzie się wydawać.

– To ten gość, który chorował na raka, tak?

– Zgadza się, jąder. Dawali mu tylko pięćdziesiąt procent szans na przeżycie.

– Niezła historia. Niesamowite, prawda? Facet, który pokonał raka, mający szansę na zwycięstwo w najbardziej wyczerpującym wyścigu w tej dyscyplinie!

Wszelkie twierdzenia, jakoby zwycięstwo w prologu było wyczynem jednorazowym, szybko zostały obalone. Kiedy tylko peleton opuścił Le Puy du Fou, stało się jasne, że Armstrong jest bardzo mocny, podobnie jak cała jego ekipa US Postal, a ich strategia jest doskonała. Pozwolili Estończykowi Jaanowi Kirsipuu zdobyć żółtą koszulkę po pierwszym etapie, przenosząc ciężar kontrolowania wyścigu na jego francuski team Casino. US Postal odpoczywał i oszczędzał siły na góry. Zanim wyścig do nich dotrze, Kirsipuu będzie z powrotem w peletonie.

Moimi towarzyszami podróży podczas Touru byli: mój stary kumpel Wilcockson, jego kolega z magazynu „VeloNews” Charles Pelkey i australijski dziennikarz Rupert Guinness, którego znałem od lat.

Zgodnie z naszą rutyną podczas Touru opuszczaliśmy hotel wcześniej rano, żeby mieć czas powąłęsać się wokół odgradzonej wioski sponsorów, do której zapraszali oni swoich gości, a dziennikarze kręcili się tam w nadziei, że uda im się wpaść na kolarzy. Czasem dopisywało nam szczęście, ale głównie jednak braliśmy gazetę, siadaliśmy przy kawie i plotkowaliśmy z innymi reporterami.

W trakcie pierwszego tygodnia rywalizacji dwudziestopięcioletni Francuz jadący w Tourze napisał felieton do „Le Parisien”, który śmiało

można było uznać za najbardziej wstrząsający tekst na temat wyścigu. Christophe Bassons wylał na Tour Odnowy kubek zimnej wody.

„Ścigamy się ze średnią prędkością ponad 50 km/h, jak gdyby drogi we Francji nie były niczym innym niż tylko gigantycznym zjazdem”.

„Le Parisien” wydrukował felieton Bassonsa pod paskiem następującej treści: „Bassons jedzie w Tourze o samej wodzie, to znaczy bez środków dopingujących”.

Bassons napisał również, iż nie uważa, aby możliwe było znalezienie się w pierwszej dziesiątce, jeżeli jest się czystym.

W samochodzie rozmawialiśmy o wyścigu. Charles Pelkey był naszym kierowcą. Był to jego trzeci Tour. Wysoki, szczupły, zawsze gotowy do śmiechu, ale też dociekliwy Charles przejawiał amerykański entuzjazm dla kraju i wyścigu o tak bogatej historii. I chociaż kochał kolarstwo, właśnie on słuchał najuważniej, kiedy zacząłem dzielić się z towarzyszami swoim sceptycyzmem.

Rupert był doświadczonym dziennikarzem piszącym o kolarstwie i entuzjastą hawajskich koszul. Podobnie jak ja przeniósł się kiedyś do Francji, żeby doświadczyć tej dyscypliny z pierwszej ręki, zanim wrócił do Australii, żeby tam się osiedlić. Nigdy nie stracił swojej miłości do Touru. Biegaliśmy razem co rano, a on miał niespożyte siły.

Pewnego razu, po pięćdziesięciu minutach biegu, zatrzymał się, żeby pomóc starszej pani, która spytała go o drogę. Nie zczekałem na niego. Był to jedyny raz, kiedy zdołałem go pokonać. Kolarze go lubili, bo był fajnym facetem. Chociaż Rupert nie negował słuszności zadawania pytań, które stawiałem, nie chciał popaść w nadmierny sceptycyzm.

John, wieczny entuzjasta, rzadko udzielał się w rozmowach, podczas których kwestionowaliśmy dokonania Armstronga.

Podczas pierwszego tygodnia dyskutowaliśmy na temat poglądu Bassonsa, jakoby niemożliwością było znaleźć się w pierwszej dziesiątce bez stosowania dopingu.

– Wierzę temu gościowi. Po co miałby tak mówić, gdyby to nie była prawda? – powiedziałem.

– Poniekąd się zgadzam – odezwał się Charles. – I jestem całkowicie przekonany, że Bassons myśli, że to prawda.

– Sęk w tym, że Bassons jest w peletonie i czuje, jak szybko wszyscy jadą. Z dotychczasowej średniej prędkości wiemy, że ten Tour będzie szybszy niż zeszłoroczny, podczas którego powszechnie stosowano doping.

Rozmawialiśmy bez końca. Charles próbował wysuwać kontrargumenty, ale coraz bardziej skłaniał się ku sceptycyzmowi. Czułem, że Rupert myśli, iż prawdopodobnie mamy rację. Nie odzywając się słowem, John wydawał z siebie odgłosy wyrażające potępienie. Nie miał czasu na naszą debatę.

Jego niechęć do uczestnictwa w naszych rozważaniach irytowała mnie o wiele bardziej, niż gdyby atakował nasze podejrzenia. Oczywistym kontrargumentem był przecież ten, że za bardzo opierałem się na przecuciu i nie byłem w stanie przedstawić żadnych dowodów świadczących o winie Armstronga. Wolałbym, żeby powiedział, że Armstrong jest czysty, a on nie ma ochoty dyskutować. Jego postawa sprawiała, że moje szyderstwa nie ustawały. Niczym matador wymachiwałem czerwoną płachtą, podczas gdy byk wciągał powietrze przez nozdrza i wypuszczał pyskiem, grzebiąc kopytem w ziemi.

W pokoju prasowym panowała powszechna obojętność wobec Bassonsa. Historia Armstronga była lepsza. Relacjonowanie narzekań Francuza osłabiłoby wprawiający w dobry nastrój efekt bohatera, który

wygrał walkę z rakiem. Więcej uwagi poświęcili Bassonsowi jego koledzy kolarze.

– Musisz skończyć z tymi swoimi pierdołami – powiedział któregoś dnia Bassonsowi Pascal Chanteur, kolarz jadący w barwach innej francuskiej ekipy. – Jesteś sam. Wszystkich nastawiłeś przeciwko sobie. To, co robisz, jest złe. Dziennikarze to idioci.

Thierry Bourguignon, francuski kolarz weteran, był jednym z nielicznych jadących w peletonie, którzy rozmawiali z Bassonsem, i delikatnie zasugerował mu, że dziennikarze wykorzystują go do osiągnięcia własnych celów.

– Wiem o tym, ale ja też wykorzystuję ich, żeby przekazać to, co mam do powiedzenia – odciął się Bassons.

Bourguignon obawiał się konsekwencji wynikających z łączenia go z młodym buntownikiem.

– Dlaczego zawsze wspominasz o mnie w swoich felietonach?

– Bo tylko ty wciąż ze mną rozmawiasz – odparł Bassons.

Mój przyjaciel Pierre Ballester poznał mnie z fizjologiem wysiłku fizycznego i trenerem Antoine'em Vayerem, mieszkającym w Laval w departamencie Mayenne. Trzydziestosześcioletni Vayer był trenerem przygotowania fizycznego w Festinie. Odmówił jednak uczestnictwa w realizowanym w niej programie systematycznego stosowania dopingu i odszedł. Bassons był jednym z trzech kolarzy w liczącej dwudziestu trzech zawodników ekipie Festiny, którzy jeździli czysto. On i Vayer zaprzyjaźnili się.

Ich przyjaźń i relacja trener – zawodnik przetrwała rozpad teamu Festina.

Czwartego dnia Tour de France w 1999 roku peleton zawitał do Laval i Vayer uznał, że jest to dobra okazja do zaproszenia podobnie myślących

dziennikarzy na nieformalne spotkanie w barze Gobelen. Zaproszenie przekazywano sobie ustnie, przez co zgromadzenie to miało nieco potajemny charakter. Powiadomiono o nim wyłącznie dziennikarzy otwarcie występujących przeciwko stosowaniu dopingu. Nasza grupa nie liczyła zatem więcej niż dwadzieścia osób.

Kiedy wszedłem do Gobelen, właściciel dyskretnie skinął głową. Wiedział, z kim przyszedłem się spotkać, i wskazał na mały ogród na tyłach baru. W wieczornym powietrzu unosił się zapach dymu z węgla drzewnego, a stojący za grillem mężczyzna wyglądał niczym olbrzym z dwoma widelcami.

Przy stolikach zasiedli rewolucjoniści, ci, którzy nie wierzyli, że Tour Odnowy jest tym, czym miał być, i rozumieli potrzebę bardziej radykalnego dziennikarstwa. Byli tam Pierre Ballester, Stéphane Mandard z „Le Monde” i jedna czy dwie inne osoby, które rozpoznawałem. Spotkanie prowadził łysiejący Vayer, a my wszyscy siedzieliśmy wokół niego.

Wszyscy obecni wiedzieli więcej ode mnie. Mieszkali w tym kraju, oddychali Tour de France. Wśród nich najbardziej interesujący był jednak Vayer, ponieważ to on pracował w teamie stosującym doping, badał ścigających się w jego barwach kolarzy i na własne oczy widział skutki przyjmowania niedozwolonych substancji. Pod koniec wieczoru podszedłem do niego i rozmawialiśmy po angielsku. Jak się czuł w Festinie?

– Oczywiście byłem marginalizowany. Nie uważano mnie za godnego zaufania. Nie wolno mi było uczestniczyć w spotkaniach ekipy, a kiedy byłem w pobliżu, kolarze nie mówili otwarcie. Przyszedłem jednak do tego teamu, będąc uczciwym człowiekiem, i jako taki z niego odszedłem.

W porównaniu z 1998 rokiem Vayer widział pewną poprawę, ale nie była ona zbyt duża.

– Jeszcze rok temu kolarstwo zawodowe było dyscypliną ćpunów. Nie z powodu tego, co kolarze brali, ale z powodu ich nastawienia. Nastąpiła pewna poprawa, ale prawdę mówiąc, sedno pozostało takie samo. Weźmy na przykład stosowanie kortykosteroidów: kolarze biorą je, kiedy są zestresowani, kiedy mają gorszy nastrój, kiedy im nie idzie. Według nich życie musi być pozbawione stresu. To mentalność ćpuna.

Kiedy Antoine mówił o kolarzach zawodowych, jego brak uwielbienia dla nich wyróżniał go spośród większości pracowników teamów i dosłownie wszystkich w namiocie prasowym. Postrzegał ich jako wessanych przez nawyk stosowania dopingu ludzi, którzy rozpaczliwie potrzebują pomocy.

– Któregoś dnia spotkałem Heina Verbruggena [prezesa UCI – przyp. tłum.] i rozmawialiśmy przez godzinę. Powiedział, że przewodniczy stu siedemdziesięciu jeden federacjom, a ja mu na to: „Przestań chrzanić. Twoim jedynym obowiązkiem jest powstrzymać doping. To wszystko, co musisz zrobić”.

Pasji Antoine’a towarzyszyła empatia. Był przekonany, że stosowanie dopingu nie tylko rujnuje zdrowie, ale również odczłowiecza.

– Wielu najlepszych kolarzy popadło w chorobę psychiczną. Chcą wygrywać pieniądze, oszukiwać innych, bo w porównaniu z nimi wszyscy pozostali są mali. Chcą mieć ładny dom, ładną żonę, dobry samochód i robią wszystko, żeby je zdobyć. Nie okazują już żadnych emocji, nie myślą, nie czują i nie mają żadnego życia wewnętrznego. Ich sukces określa wszystko, czym są. Mogliby zabić, byle tylko dalej wygrywać⁸.

Rozmawialiśmy o Bassonsie i trener opowiedział mi, jaki był dobry jako amator i jak z powodzeniem udało mu się przejść na zawodowstwo. Mówiło się, że przez pierwsze dwa sezony w zawodowym peletonie jeździł czysty. Wiadomo też było, iż ma naturalnie niski hematokryt, co czyniło go

jeszcze cenniejszym. Gdyby bowiem zaczął stosować EPO, mógłby je przyjmować w dużych ilościach, nie przekraczając maksymalnej wartości pięćdziesięciu procent określonej przez UCI⁹.

Antoine mówił o Bassonsie w sposób, w jaki ojciec mówi o swoim synu. Pewnego razu Christophe otrzymał przepisany przez lekarza zastrzyk kortyzonu na bolące kolano i mógł nadal się ścigać. Czując jednak, że kortyzon pomaga mu w lepszej jeździe, z własnej woli wycofał się z rywalizacji.

Jego wyniki nigdy nie były takie, jak powinny, i radzono mu, żeby przejrzał na oczy i wziął udział w programie, w ramach którego stosowano doping. Nawet jego rodzice powiedzieli mu, że zrozumieliby, gdyby czuł, że musi to zrobić. Rozmawiał na ten temat ze swoją narzeczoną Pascale, od której usłyszał, że nie chciałaby wyjść za mężczyznę przyjmującego niedozwolone substancje. Pascale była dla niego ważniejsza niż zwycięstwa w wyścigach kolarskich i nigdy poważnie nie brał dopingu pod uwagę.

Wszystko, co Antoine powiedział o Christophe, sprawiło, że zaskarbił on sobie moją sympatię.

Jego koledzy z teamu Festina pogodzili się z tym, że nie jest jednym z nich, i go wykorzystywali. Był przydatny, kiedy zjawiali się testerzy. Wysyłali go pierwszego, żeby ich zajął, podczas gdy oni podłączali się do kroplówki z solą fizjologiczną, która rozcieńczała ich krew, utrzymując hematokryt bezpiecznie poniżej poziomu pięćdziesięciu procent.

Wtedy zdarzył się Tour 1998. Team Festina, podobnie jak wiele ekip, został złapany z ręką w torbie z anabolikami, a Bassons myślał, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Większy nadzór sprawi, że dopingu będzie mniej, a w nowej rzeczywistości jego kariera nabierze tempa.

Tak się nie stało. Od początku sezonu średnia prędkość w wyścigach była tak duża, że Bassons wiedział, iż doping nadal jest powszechnie

stosowany. Jeszcze zanim wystartował w Tourze, był zrozpaczony. Kiedy okazało się, że w Wielkiej Pętli peleton znowu jedzie o wiele szybciej, tego było już zbyt wiele. Dzielił się swoją szczerością ze wszystkimi dziennikarzami, którzy prosili go o rozmowę. Peleton traktował go jak pariasa.

Uważałem, że został oszukany przez swoją ukochaną dyscyplinę. Po czterech dniach wyścigu stał się jedynym kolarzem, którego byłem pewien.

Podekscytowany wywrotową atmosferą spotkania w ogrodzie na tyłach baru Gobelen i wzmocniony pasją Antoine'a w działaniu na rzecz większej sprawiedliwości w sporcie, czułem się, jakbym przyłączył się do podziemnego ruchu, którego celem jest walka z dopingiem w kolarstwie zawodowym. Niezauważony, wślizgnąłem się z powrotem do hotelu, w którym mieszkałem z Johnem, Rupertem i Charlesem. Myślałem o tych dwudziestu paru dziennikarzach obecnych na spotkaniu. Uważałem, że należą do najlepszych, najinteligentniejszych reporterów relacjonujących ten wyścig.

W ciągu dnia moja wiara w Tour Odnowy słabła, ale wieczór w Gobelen przypomniał mi, że trzeba próbować. Jak ktoś, kto nie popierał Christophe'a Bassonsa, mógł uważać się za dziennikarza?

O przebiegu Tour de France przeważnie decyduje wynik pierwszej niebędącej prologiem indywidualnej jazdy na czas rozgrywanej po ośmiu-dziewięciu dniach od rozpoczęcia wyścigu. Jeśli wygra ją jeden z głównych pretendentów do zwycięstwa w całym wyścigu, zazwyczaj to on zdobywa żółtą koszulkę i to on może ją później stracić. Wkrótce po tej czasówce peleton wjeżdża w góry i często ów pierwszy etap w Alpach albo Pirenejach stanowi największą próbę dla faworytów.

Armstrong wygrał jazdę indywidualną na czas na pętli liczącej 56,6 kilometra w leżącym na wschodzie Francji Metz. Odzyskał żółtą koszulkę lidera, którą wywalczył pierwszego dnia i musiał oddać następnego. Jego zwycięstwo w walce z czasem było wyraźne i dało mu 2 minuty 20 sekund przewagi nad drugim Christophe'em Moreau. Z pretendenta Armstrong stał się wspólną dla wszystkich ikoną triumfatora Tour de France.

Dla mnie jego wynik w jeździe indywidualnej na czas był w najlepszym razie zagadkowy, w najgorszym – mocno podejrzany. Cztery razy startował w Wielkiej Pętli, zanim w 1996 roku zachorował na raka, trzykrotnie uzyskując wyraźnie spójne rezultaty w jeździe indywidualnej¹⁰. W roku 1993 miał 6 minut 3 sekundy straty do zwycięzcy, w 1994 roku strata wynosiła 6 minut 23 sekundy, a w 1995 roku 6 minut 24 sekundy. Nie jechał źle, ale nawet nie zbliżył się do najlepszych. Stąd do zwycięstwa trzeba było wykonać nadzwyczajny skok.

Dwa dni później peleton wjeżdżał po raz pierwszy w góry. Wtedy mieliśmy się przekonać, czy Armstrong wygra Tour, czy będzie wyłącznie jego ozdobą. Góry absolutnie nie były jego ulubionym krajobrazem. Stanowiły próbę dla formy. W poprzednich Tourach najlepszym rezultatem Armstronga w etapie górskim było trzydzieste dziewiąte miejsce wywalczone na trasie z Saint-Étienne do Mende w 1995 roku. W pozostałych ośmiu etapach górskich, w których jechał, zajmował jeszcze dalsze miejsca, a jego strata do najlepszych była znacznie większa.

W 1999 roku rosnąca grupa jego wyznawców w namiocie prasowym oczekiwała, iż nowej wersji Armstronga pójdzie lepiej. Rok wcześniej pokazał wysoką formę w wyścigu dokoła Hiszpanii i odkąd pokonał raka, był mocniejszy. Z kolarza finiszującego osiem czy dwadzieścia osiem minut za zwycięzcą przeistoczył się w górską kozicę. Wszystko było

gotowe na kolejny wyczyn Clarka Kenta¹¹. Nie ma co się zastanawiać, wszystko można logicznie wytłumaczyć.

A co ja o tym myślałem?

Instykt podpowiadał mi: „Nie wierz w to. To wszystko jest równie prawdziwe jak to, że na czele Touru jedzie homar na rowerze. I to homar w kasku ze wzruszającą historyjką o tym, jak w ostatniej chwili uciekł z garnka z wrzątkiem”.

Pierwszy etap górski to morderczy 213-kilometrowy wyścig do leżącego po włoskiej stronie granicy Sestriere. To legendarna wspinaczka zarówno podczas Giro d'Italia, jak i Tour de France. Sama w sobie nie jest szczególnie długim, trudnym czy morderczym podjazdem, ale jest uwielbiana ze względu na swoje położenie i styl zawodników, którzy ją pokonują.

To tutaj, jadąc po zwycięstwo w Giro w 1949 roku, charyzmatyczny Fausto Coppi uciekł swojemu odwiecznemu rywalowi Ginowi Bartalemu, urywając mu prawie dwanaście minut. W tym samym roku Coppi triumfował też w Tourze, zdobywając swój pierwszy dublet.

Trzy lata później Sestriere po raz pierwszy znalazło się na trasie Tour de France. Wyznaczono w nim metę jedenastego etapu. Etap dziesiąty, który odbył się dwa dni wcześniej, był pierwszym, jaki kończył się na szczycie L'Alpe d'Huez. Coppi zmierzający po swoją kolejną podwójną koronę Giro-Tour włożył złotą koszulkę w Alpe d'Huez i po heroicznej samotnej jeździe w deszczu i wietrze zdeklasował rywali w drodze na szczyt w Sestriere.

Dla świadków jego wyczynu było to wspomnienie życia. Coppi był postacią kultową. Opowiadano o nim historie przy kominku. Ułożyły się one w romans, który stał się otoczką Tour de France.

Jedną z historii o Coppim dotyczy wydarzeń z 1943 roku, kiedy trafił do niewoli brytyjskiej w Tunezji. Dzielił w niej miskę z innym jeńcem, kolarzem amatorem Arduinem Chiappuccim. Coppi poszedł na wojnę jako wielka postać włoskiego sportu. Uwielbiano go do tego stopnia, że włoska armia próbowała trzymać go z dala od niebezpieczeństw, dopóki było to możliwe.

W niewoli Chiappucci zbliżył się do swojego idola Coppiego. Chcąc utrzymać wielkiego mistrza w formie i podnieść jego morale, często oddawał mu swoją rację żywnościową. Kiedy wojna się skończyła, Coppi i Chiappucci poszli każdy w swoją stronę. Zanim Coppi wsiadł do ciężarówki wiozącej byłych jeńców, część drogi do domu przejechał na swoim rowerze¹².

Chiappucci wrócił do domu i wychował syna Claudia. Naopowiadał mu historyjek o czasie spędzonym z wielkimi Coppim, który największe sukcesy wciąż ma przed sobą.

Czterdzieści lat po samotnej ucieczce Coppiego do mety w Sestriere syn Arduina Chiappucciego zwyciężył na tej samej górze. Byłem tam tego dnia w 1992 roku. Jechał niczym wyjęty prosto z mitu Coppiego. Sobotnie popołudnie i wyniszczające dwieście pięćdziesiąt cztery kilometry z Saint-Gervais do Sestriere. Już po zaledwie dwunastu kilometrach Claudio Chiappucci zaatakował. Wydawało się, że nazbyt się pośpieszył. Nie wiedzieliśmy jednak, co miało się wydarzyć¹³. Widzieliśmy w tym wyłącznie szaleńczą ambicję. Żadnej strategii, tylko atak, atak i jeszcze raz atak. Prosto do krainy bólu.

Najpierw zostawił w tyle pozostałych uciekinierów. Za jego plecami jechał jednak potwór w żółtej koszulce – Miguel Indurain miał go w zasięgu wzroku. Tempo Chiappucciego było za szybkie dla kolegów Induraina z drużyny, więc lider musiał gonić go samodzielnie, co

wyrównywało ich szanse. Uwielbiałem styl i lekkomyślność Chiappucciego, jego włoską chęć odniesienia zwycięstwa w dniu, w którym wyścig wjechał do jego ojczyzny. To była brawura. Tour serwował nam epopeję końca XX wieku. To był sport. Po to tu przyjechaliśmy.

W kolarstwie kibicuje się zawodnikom, którzy – jak mawiają Francuzi – „robią wyścig”. Jednak Chiappucci jechał sam tak cholernie długo, że zaczęliśmy mieć złe przeczucia. Tacy kolesie zawsze zostają połknięci przez peleton. Romantyzm Touru polega na tym, że brak w nim romantyzmu. To twardy, okrutny i miażdżący wyścig. Podczas wspinaczki do Sestriere Indurain był na tyle blisko, że wiedział, iż może wyprzedzić Chiappucciego. W każdej chwili.

W swej ostentacyjnej chępliwości Indurain, niczym jeden z jeźdźców Apokalipsy, był bezwzględny i pozbawiony charyzmy.

Jego cień miał dopaść Chiappucciego lada moment. Wiedzieliśmy, że już po Chiappuccim i jego marzeniu. Indurain jechał szybciej. Chiappucci trzymał się zbyt długo, a Indurain wiedział, co się stanie, kiedy zanudzi rywala. Połknie go niczym pyton kończący Wielki Post. *Ciao, Claudio.*

I wtedy ten na wpół szalony Włoch odrodził się. Siły wróciły do jego nóg z siłą rzeki przerywającej tamę. Marzyciel we mnie wyobrażał sobie, że ten napływ energii pochodzi z jego włoskiego serca. Znowu odjechał. Ostatecznie wszystko skończyło się happy endem. Chiappucci uzyskał niewielką przewagę, powiększył ją i na ostatnich wyczerpujących kilometrach uciekł potworowi.

Zwyciężył z przewagą 1 minuty 45 sekund w dniu tak brutalnej walki, że osiemnastu kolarzy, którzy ukończyli etap, przekraczając limit czasowy, zostało wyeliminowanych z wyścigu. Ta wygrana nie wystarczyłaby Chiappucciemu do zwycięstwa w całym Tourze, ale w jego ucieczce nie chodziło o wysokie miejsce w klasyfikacji końcowej, lecz o chwałę, piękno

samo w sobie. Tego dnia pokazał nam wyścig tak wielki i zawadiacki, o jakim mogliśmy tylko marzyć. Bardziej uroczo już nie mogło być. Romantycznie.

To trochę zawstydzające, ale kiedy Chiappucci znalazł w sobie siłę, żeby odeprzeć ataki Induraina, popłakałem się w pokoju prasowym. Nie mogłem się powstrzymać, gdyż był to najpiękniejszy, najbardziej romantyczny, heroiczny moment, jaki kiedykolwiek relacjonowałem. Odwaga pokonała kalkulację, zupełnie jak sportowiec, który przekracza granice swoich możliwości, chcąc dobrze zaprezentować się przed swoimi rodakami.

EPO i męczący cynizm, który wywołuje, zniknęły nam z pola widzenia. Stałem tam i płakałem. Zresztą nie byłem jedyny. Właśnie dlatego kochaliśmy Tour i właśnie dlatego lipiec we Francji był najlepszym miesiącem w roku. Każdego roku.

Cztery lata później Chiappucci zeznał przed włoskim sędzią Vincenzem Scolastico, że stosował EPO od 1993 roku. Wtedy już starszy, mądrzejszy i bardziej cyniczny pomyślałem: „To wygodne, Chiappa, twój najlepszy występ odbył się, zanim zacząłeś brać EPO. Akurat”. Chiappucci odwołał później swoje zeznanie. Cóż jednak z tego, kiedy w 1997 roku przed Giro miał pozytywny wynik testu na obecność EPO i później tego samego roku został wyrzucony z kadry Włoch na mistrzostwa świata z powodu zbyt wysokiego hematokrytu wskazującego na przyjmowanie przez niego EPO.

Nigdy później nie byłem już w stanie spojrzeć na jego ucieczkę przed Indurainem na ostatnich kilometrach w sposób, w jaki widziałem ją na żywo. Czy to EPO daje ten drugi oddech? Czy to była pierwsza tak wspaniała jazda po EPO? Ten cyrk zrobił z nas buraków, naiwniaków, frajerów i głupców. Piękna opowieść o Fauście i Arduinie zniknęła pod

wpływem środków chemicznych. Już koniec ze łzami szczęścia w pokojach prasowych. Kwestionuj wszystko. Pytaj, co Maria i Józef zrobili ze złotem.

.....

4 *Le grand boucle*, francuska nazwa potoczna Tour de France, dosłownie Wielka Sprzączka / Klamra, w języku polskim funkcjonuje jako Wielka Pętla – przyp. tłum.

5 Simon Pure, kwakerski kaznodzieja z Pensylwanii, to jeden z bohaterów XVIII-wiecznego angielskiego dramatu satyrycznego *A Bold Stroke for a Wife* autorstwa Susanny Centlivre. Autorka poddaje w nim krytyce torysów, hipokryzję religijną i chciwość właściwą kapitalizmowi – przyp. tłum.

6 „L’Auto” uważano za zbyt blisko związane z marionetkowym prezydentem Francji Philippe’em Pétainem sprawującym urząd w czasie drugiej wojny światowej i po wojnie nakazano jego zamknięcie. „L’Équipe” pozwolono zostać spadkobiercą dawnego tytułu, jednak pod warunkiem że pismo będzie drukowane na białym papierze, gdyż żółty zbyt mocno kojarzył się z „L’Auto”.

7 Edycja Tour de France z roku 1999 rozpoczęła się prologiem rozegranym 3 lipca. Armstrong wygrał go, jednak w ciągu kilku następných dni otrzymał informację o wykryciu w jego organizmie niedozwolonej substancji, na której stosowanie nie miał zgody lekarza. Wymyślono wymówkę, antydatowano recepty na maść zawierającą kortyzon i zasugerowano, że przepisany lek był stosowany na otarcia spowodowane siodełkiem. Nazwaliśmy to „obroną na krem do tyłka”. Jednak UCI to kupiła.

8 Kiedy Vayer powiedział, że najlepsi kolarze cierpią na chorobę psychiczną, nie miał na myśli Lance’a Armstronga, który w owym czasie był jednym z pretendentów w czymś, co mogło wydawać się otwartym wyścigiem. Z perspektywy czasu wiele z tego, co powiedział, można by jednak odnieść do Armstronga.

9 Hematokryt oznacza wyrażoną w procentach liczbę erytrocytów (krwinek czerwonych) we krwi w stosunku do całej objętości krwi. Jako że w 1999 roku UCI dopuszczała u kolarzy hematokryt na poziomie 51 procent, kolarz z naturalnie niskim hematokrytem, jak Bassons, miał naturalną przewagę nad innymi. Dzięki swojemu niskiemu hematokrytowi mógł przyjmować znaczne ilości EPO w celu wygenerowania czerwonych krwinek, nie przekraczając przy tym granicy 51 procent. Bassons nie chciał się szprycować i dlatego też jego „naturalna przewaga” nie miała żadnego znaczenia.

10 Chorobę Armstronga wykryto na początku Tour de France w 1996 roku i wycofał się on z rywalizacji przed pierwszą jazdą indywidualną na czas.

11 Clark Kent to imię i nazwisko Supermana – przyp. tłum.

12 Coppi to jedna z wielkich postaci kolarstwa, ale nie święty. Gino Bartali, jego dawny rywal, w czasach gdy ścigali się ze sobą, obserwował go niczym jastrząb. Po zakończeniu kariery często pojawiali się razem w telewizji. Bartali, który miał w zwyczaju przeszukiwać pokój Coppiego po jego wymeldowaniu się z hotelu, tropiąc ślady tego, co rywal jadł i pił, droczył się z nim. Nucił, patrząc w jego stronę: „Prochy, które brałeś”. Jedną ze znanych wymian zdań między nimi wiele mówi o czasach, w których doping już istniał, ale nie był jeszcze zakazany:

Bartali: Czy kolarze biorą *la bomba*, amfetaminę?

Coppi: Tak, a z tymi, którzy twierdzą inaczej, nie warto rozmawiać o kolarstwie.

Bartali: A ty brałeś *la bomba*?

Coppi: Tak. Kiedy było trzeba.

Bartali: Czyli kiedy?

Coppi: Prawie cały czas!

13 Później dowiedzieliśmy się, że podczas etapu do Sestriere Chiappucci miał na sobie monitor pracy serca, co w owym czasie było niespotykane.

ROZDZIAŁ 4

Buczenie jest głośniejsze niż wiwaty.

Lance Armstrong

W 1999 roku Sestriere stało się rozstajem dróg dla korespondentów pracujących przy Tourze. Ci, którzy chcieli uprawiać dziennikarstwo, poszli w jedną stronę, ich starzy towarzysze w drugą. Przez długi czas nic nie miało być jak dawniej.

Sprawdzamy trasę tej 213-kilometrowej harówki przez Alpy. Zaczynamy w stacji narciarskiej w Le Grand-Bornand, a następnie wspinamy się przez Col du Télégraphe, nad którą już zbierają się chmury burzowe, na wspaniałą Col du Galibier (w 1911 roku, kiedy Tour przejeżdżał przez nią po raz pierwszy, tylko trzech kolarzy z peletonu nie zsiadło z roweru, żeby iść na piechotę), przejeżdżamy przez dolinę Maurienne i wspinamy się na przełęcz Montgenèvre. Później jeszcze tylko 11-kilometrowy zjazd i finiszujemy w Sestriere.

Na początku etapu koledzy Armstronga z drużyny US Postal ciągnęli peleton do Col du Télégraphe, pozwalając swojemu liderowi koncentrować się wyłącznie na kole przed sobą. Przypilnowali rywali, a następnie popędzili w kierunku miasteczka Valloire. Nabrali sił i ponownie przyspieszyli na początku podjazdu pod Galibier¹⁴.

Pada deszcz. Szczyty spowija lodowata mgła. Niewiele rzeczy jest w stanie równie mocno osłabić morale peletonu, jak ziąb, deszcz i mgła.

Trzęsąc się z zimna, kolarze toczą się naprzód. Prowadząca grupa skurczyła się do dziesięciu zawodników. Goni ją dwunastu innych *desperados*, którzy tracą do niej minutę. Armstrong jedzie w prowadzącej grupie. Bezpieczne.

Podjeżdżają pod Montgenèvre. Teraz przetrwają wyłącznie silni. Zwycięży ktoś z grupy, w której znajdują się Armstrong, Alex Zülle, Fernando Escartin, Ivan Gotti i Richard Virenque. Armstrong wciąż wygląda na mocnego, ale nie ma już przy nim kolegów z drużyny. Może się wydawać, że chętnie będzie się trzymał tej grupy. Podczas zjazdu z Montgenèvre Gotti i Escartin ruszają do przodu. Przyjeżdżają do Sestriere dwadzieścia pięć sekund przed pozostałymi.

Przed nimi, a właściwie nad nimi, malowniczy kurort narciarski z porozrzucanymi tu i ówdzie domkami. Ostatnie wyzwanie. Armstrong jedzie w drugiej grupie, ale wszystko, co musi zrobić, to utrzymać kontakt wzrokowy ze swoim najgroźniejszym rywalem Züllem. Po pięciu i pół godzinie jazdy w najgorszych warunkach musi tylko zachować pozycję. Trzymać się tego, co ma.

Finałowe potyczki tego dnia zapierały dech w piersiach, ale nie w stylu Chiappucciego. Nie da się dwa razy wejść do tej samej rzeki, ponieważ ani ty, ani rzeka nie jesteście już tacy sami. Osiem kilometrów przed szczytem Armstrong stanął na pedałach i pozwolił działać chemii. Na dystansie kilometra odrobił dwadzieścia jeden sekund do Gottiego i Escartina. Obaj byli zdruzgotani¹⁵.

Jego tempo nie spadło i Zülle został z tyłu. Armstrong, w żółtej koszulce, zdążył udzielić wywiadów na mecie i wrócić do autobusu ekipy Pocztców, podczas gdy większość kolarzy w peletonie wciąż pedałowiała pod górę do Sestriere.

Oglądałem finałową wspinaczkę do Sestriere na wielkim ekranie umieszczonym w pokoju prasowym. Kiedy Armstrong przyspieszył, dało

się słyszeć zbiorowy wdech, a kiedy jechał już samotnie – ironiczny śmiech potrząsających głowami widzów. Nie wszyscy dziennikarze, nawet nie większość, byli nastawieni do tego sceptycznie, jednak było ich wystarczająco wielu, żeby sformować pluton niedowiarków. Czyżby nie dla wszystkich był to Tour Odnowy?

Tego wieczoru zadzwoniłem do Alexa Butlera, mojego redaktora sportowego w „Sunday Timesie”.

– Cóż za etap – powiedział. – Armstrong już to ma, co?

– Wygra Tour. Nie ma wątpliwości.

– Nie jesteś co do niego przekonany?

W jego głosie wyczułem rozczarowanie.

– Obawiam się, że nie. Prawdę mówiąc, myślę, że to śmierdzi. Ten facet startował wcześniej w Tourze cztery razy, przejechał dziewięć górskich etapów i nigdy nawet nie zbliżył się do takich rezultatów. A nagle stał się wybitnym górale.

– Davidzie, jeśli rzucimy na niego cień podejrzania, wielu czytelników to zdenerwuje.

– Wiem, ale nie sądzę, żebyśmy mogli temu przyklasnąć. W wyścigu jedzie młody facet Bassons. Chciałbym napisać o nim krótki artykuł. On mówi o dopingu. Twierdzi, że to wciąż duży problem. Pozostali kolarze zwrócili się przeciwko niemu.

– Wróćmy na chwilę do Armstronga, Davidzie. Uważasz, że się szprycuje?

– Tak uważam, choć oczywiście nie mogę tego udowodnić. Porozmawiam z ludźmi, posłucham, co inni mówią.

– Wyślij to nam na tyle wcześnie, żeby prawnicy mogli to przeczytać.

Pierwszy raz usłyszałem od Alexa coś takiego. Ale nie ostatni. Nie wzdragał się przed uczciwością.

Relacjonowanie Tour de France oznacza, że spędza się dużo czasu w towarzystwie dziennikarzy, z którymi się podróżuje. Może nie tak jak Brian Keenan i John McCarthy¹⁶ skuci razem łańcuchem w Bejrucie, ale prawie. Wspólnie załatwia się noclegi w hotelach, przy tym samym stole je kolacje, a śniadania nazajutrz rano i jedzie się na start etapu, żeby następnie spędzić razem pięć, czasem sześć godzin jazdy do mety. I tak przez dwadzieścia trzy dni.

Rupert, nasz australijski wędrowiec, siedział ze mną z tyłu. Za sprawą imponującej kolekcji jaskrawych koszul codziennie dostarczał nam odrobiny karaibskiego słońca. Jego styl ubierania się odzwierciedlał jego zrelaksowaną i uroczą naturę. Samą swoją obecnością mógłby pocieszać żałobników podczas pogrzebów. Na fotelu kierowcy siedział Charles. Był świeży, co było nawet zabawne. Raz za razem pytał mnie, dlaczego nie mogę przekonać się do Armstronga i nie wierzę w Tour Odnowy. John nie wychylał się. Notował za to nazwisko każdego kolarza w grupie uciekinierów, choć wiedzieliśmy, że za chwilę i tak zostaną doścignięci.

Dzień po dniu w samochodzie, wieczór po wieczorze przy kolacji rozmawialiśmy o wyścigu i o tym, co widzieliśmy. Często dyskutowaliśmy o tym, dlaczego odmawiam uznania tego, iż postęp Armstronga może być możliwy bez stosowania dopingu.

– Nie rozumiem, jak facet może czterokrotnie startować w Tour de France, nie pokazując nic, co mogłoby wskazywać, że pewnego dnia będzie kandydatem do zwycięstwa, i nagle jechać jak jeden z wielkich mistrzów Touru.

– Czy był aż tak kiepski w tych czterech wyścigach?? – zapytał Charles, jakby wystawiał mi piłkę, żebym mógł ją ściąć i zdobyć punkt.

– Zawsze był w stanie wygrać jeden z płaskich etapów, ale nawet nie wszedł do rywalizacji o żółtą koszulkę w klasyfikacji końcowej. Na długich

etapach tracił zazwyczaj sześć minut, a w górach od siedmiu do trzydziestu.

– Davidzie, kiedy po raz pierwszy wystartował w Tourze, miał zaledwie dwadzieścia jeden lat – zauważył Charles.

– Ale Anquetil, Merckx i Hinault, z których każdy triumfował w Tourze pięciokrotnie, wygrywali swoją pierwszą Wielką Pętlę. LeMond był trzeci w swoim pierwszym starcie, drugi w drugim, który powinien był wygrać, aż w końcu wygrał w trzecim. W 1995 roku Armstrong wystartował w swoim trzecim Tourze, będąc w dobrej formie, i zajął dotychczas najlepsze miejsce – trzydzieste szóste. Idzie o to, że nie był wystarczająco dobry na czasówkach i nie był w stanie przetrwać w górach.

Od czasu do czasu zadawałem pytanie bezpośrednio Johnowi.

– Byłeś tu w zeszłym roku. Powiedz, ile prochów znalazła policja. Jesteśmy tu po roku i średnia prędkość jazdy jest wyższa. Czy to ma sens?

Przynajmniej raz zabrał głos:

– Prędkość wyścigu ma wiele wspólnego z lepszym stanem dróg i lżejszymi ramami rowerów. W tym roku panują też dobre warunki pogodowe.

Najczęściej, kiedy zwracałem się bezpośrednio do Johna, ten odwracał lekko głowę na bok, aby moje słowa mogły wpaść mu jednym i wylecieć drugim uchem. Być może tak bardzo koncentrował się na samym wyścigu, że nie chciał zdrapać z niego żadnej farby.

Zostawał więc Charles.

– To szaleństwo. Czysty gość jedzie szybciej niż pokolenie EPO? Jak myślisz, Charles? Lepsza nawierzchnia dróg? Wiatr w plecy każdego dnia? Lżejsze rowery? A może liderzy są na doping, jak mówi Bassons? ¹⁷

– Nie jestem w stanie dyskutować z twoją logiką – powiedział Charles – ale trudno mi uwierzyć, że facet, który miał raka, zresztą całkiem

poważnego, wraca i pakuje ten syf w swój organizm.

– Wiem, to ta część, w którą trudno uwierzyć. Jednak z drugiej strony, jaki środek podają ci, kiedy dochodzisz do zdrowia po raku? EPO. Skutki uboczne? Wygląda na to, że jest ich o wiele mniej niż w przypadku większości leków. Chodzi o to, że nie da się szybciej jechać bez EPO niż z nim, a nas proszą, żebyśmy uwierzyli, że się da.

Podróżowałem z Johnem jednym samochodem od Tour de France w roku 1984, ale w Sestriere nasza znajomość znalazła się na rozdrożu. Nie był w stanie żyć z tego wyścigu bez dostępu do Lance'a i konkretnych zawodników, głównie najlepszych spośród Amerykanów. Swoją codzienną robotę reporterską wykonywał lepiej niż większość innych dziennikarzy, ale prawdziwą wisienką na torcie było dla niego załapanie się wieczorem w hotelu, w którym mieszkały ekipy, na piętnasto- czy dwudziestominutowy wywiad z jednym ze swoich ulubieńców.

Drażnił mnie jego entuzjazm płynący z przebywania w towarzystwie gwiazd, ponieważ nigdy nie równoważył go jakimkolwiek wyrazem troski o mniej znanych kolarzy, których kariery mogły zostać zniszczone wskutek stosowania dopingu przez innych. Nigdy nie słyszałem, żeby zastanawiał się nad Christophe'em Bassonsem i tym, że być może ktoś kradnie mu karierę. Podobnie jak nigdy nie słyszałem, aby okazał empatię w związku z niesprawiedliwością, którą Paul ujawnił w swojej książce *Rough Ride*.

Miałem dość obłudy. Testy były bezużyteczne, ponieważ nie było takiego, który wykryłby najchętniej stosowaną substancję – EPO. Zamiast tego UCI próbowała kontrolować jego nadużywanie, wykluczając z wyścigów kolarzy z hematokrytem powyżej pięćdziesięciu procent, który uważano za niebezpieczny dla zdrowia zawodników, a nie za dowód na stosowanie dopingu. Rzeczywiście nie dowodził on tego, ale wszyscy

wiedzieli, że hematokryty podchodziły do poziomu pięćdziesięciu procent dzięki przyjmowaniu EPO.

Charles był ciekawski i rozmawiał z doktorem Leonem Schattenbergiem z komisji medycznej, który wierzył, iż określenie górnej wartości hematokrytu gwarantuje kolarzom jeżdżącym czysto, że nie będą zmuszeni rywalizować z zawodnikami z absurdalnie wysokim hematokrytem, a to lepsze niż nic. Zachęcony przedsiębiorczością Charlesa, ja również rozmawiałem z Schattenbergiem.

– Czy dzięki przeprowadzanym przez was testom krwi znacie poziom hematokrytu wszystkich kolarzy jadących w Tour de France?

– Owszem – odparł.

– Nie zapytam o hematokryt każdego z zawodników, bo wiem, że powie pan, że to poufne dane medyczne. Nie zapytam też o średnią dla każdej drużyny, ale czy opierając się na wynikach badań krwi, może pan powiedzieć, jaka jest średnia wartość hematokrytu uczestników tegorocznego Tour de France? Żadnych nazwisk, tylko średnia wartość.

– Przykro mi – powiedział. – Nie mogę udzielić panu takiej informacji.

– Dlaczego?

– Ponieważ są to dane, których nie wolno mi ujawnić.

– Nie chcecie tego zrobić, gdyż wówczas opinia publiczna dowiedziałyby się, że średnia jest o wiele wyższa, niż powinna, i zdała sobie sprawę z tego, że wielu jadących w tym wyścigu stosuje EPO.

Schattenberg zadowolił się tym, co w gruncie rzeczy było przykrywką, a UCI twierdziła, iż bez testu na obecność EPO ma związane ręce. Mogli jednak zrobić więcej, nawet jeśli oznaczało to przyznanie publicznie, że hematokryty są wyjątkowo wysokie (szczególnie w niektórych teamach), Tour nie był bowiem czysty, a władze kolarstwa dobrze o tym wiedziały¹⁸.

Niektórzy spośród bardziej myślących praktyków naszego zawodu lubią mawiać: „Jeśli chcesz być dziennikarzem sportowym, lepiej, żebyś pisanie kochał bardziej niż sport”. Kocham sport. Kochałem rolę, jaką dziennikarze mogli w nim odegrać: dręczyć zadowolonych i pocieszać udręczonych, jak mawiali reporterzy. Nie uważałem już, że naszą rolą jest uśmieszanie się podczas konferencji prasowych do tych na podium, utwierdzając organizatorów i zawodników w przekonaniu, że mają do czynienia z baranami.

W 1998 roku francuscy policjanci i celnicy zmusili nas, byśmy otworzyli oczy, i nie zamierzałem ich już więcej zamykać. Nie chciałem, aby moja miłość do sportu zrobiła ze mnie głupca. Nie chciałem też w imieniu UCI robić głupców z czytelników i kibiców. I to miał być Tour Odnowy! Na razie było wiele pytań i żadnych odpowiedzi.

Dwa dni po tym jak Armstrong zademonstrował w Sestriere swoją dominację nad pozostałymi, kręciłem się po pokoju prasowym, smucąc z powodu biegu wydarzeń. Sceptycyzm, który wielu odczuło, patrząc, jak Lance niczym orzeł wlatuje na szczyt podczas tego pierwszego etapu górskiego, stał się teraz mniej wyraźny, jak gdyby zdali sobie oni sprawę z tego, że Armstrong wygra i lepiej pogodzić się z jego wynikami, ba! – nawet cieszyć się z nich.

Znałem nielicznych, o których wiedziałem, że nie dadzą się łatwo przekabacić, ludzi niezainteresowanych handlem fantazją. Jednym z nich był Philippe Bouvet, obecnie główny korespondent kolarski „L'Équipe”, syn byłego zawodowca, dorastający z tą dyscypliną. Przez pierwsze dwa tygodnie wyścigu pisał dociekliwe teksty na temat Armstronga i kolarstwa.

Uważał, że Tour jechał z *deux vitesses*, dwiema prędkościami, co było spowodowane tym, iż wielu, choć nie wszyscy, stosowało EPO. O Armstrongu wyrażał się: „pozaziemski”. Nie trzeba było być geniuszem,

żeby się domyślić, przez jakie okulary Philippe patrzy na wyścig, i nie były to te różowe, w których chętnie widzieliby go organizatorzy.

– Co sądzisz o tym wszystkim? – zapytałem go.

– Pojawił się nowy rodzaj kolarstwa – odparł. – Widzisz rzeczy, których nie rozumiesz. Doping to w kolarstwie stara śpiewka, ale w ciągu ostatnich kilku lat manipulacja krwią zawodników zmieniła naturę rywalizacji. To, co otrzymujemy, to jej karykatura. To zabija sport. Nadal potrafię pisać o kolarstwie, ale już nie w ten sam sposób, nie z tą samą pasją co dawniej. Kolarstwo musi się zmienić.

Przekonanie Philippe'a o tym, że EPO zabija tę dyscyplinę, jest istotne. Niemal za każdym razem pierwszą linią obrony dopingowiczów, kiedy pada pytanie o aferę z ich udziałem, jest wypowiedzenie kwestii, że stawianie takich pytań krzywdzi sport. Przez wiele lat były prezes UCI Hein Verbruggen strofował dziennikarzy za to, że „za dużo mówią o dopingu”.

W oczach zbyt wielu kolarzy i działaczy doping był zawsze problemem przeszłości. „Być może był jakiś problem... Powinniśmy zacząć od zaraz” – powiedział Armstrong pierwszego dnia. Chciał, żebyśmy zapomnieli, podczas gdy imperatyw nakazywał pamiętać. W rzeczywistości pierwszą rzeczą, jaką każdy, komu zależy na tej dyscyplinie, nie wspominając już o takich zakurzonych abstraktach jak dziennikarstwo i prawda, powinien zrobić, jest wstać i krzyknąć: „Stop!”.

Wśród dziennikarzy, których bardziej interesowało kolarstwo niż trzytygodniowa wycieczka po Francji w lipcu, powszechne były smutek i niechęć do świętowania. W swoim codziennym felietonie w „L'Équipe” Jean-Michel Rouet napisał, że nie wierzy w odrodzenie się Armstronga ani w to, że ta edycja Wielkiej Pętli ma być Tourem Odnowy. Jego podejście wynikało z gorzkiego doświadczenia.

– W zeszłym roku dowiedzieliśmy się, że każdy związany z tą dyscypliną może nas wydymać – powiedział.

Rouet pozostał nieufny podobnie jak inny nieugięty francuski dziennikarz Jean-François Quénet pracujący wówczas dla „Ouest-France”.

– Nie napisałem ani jednej entuzjastycznej linijki o Armstrongu – powiedział mi. – Obiecali nam, że kolarstwo się zmieni, ale tak się nie stało. Po tej aferze z prochami w zeszłym roku mówili, że ten wyścig będzie wolniejszy, bo zniknie niedozwolony doping. Tymczasem ten Tour będzie najszybszy w historii.

W zawodowym kolarstwie zawsze obowiązywała *omertà*, która odegrała istotną rolę w przetrwaniu zwyczaju stosowania dopingu. Niemniej jednak działa tu coś więcej niż zmowa milczenia. To nie przypadek, że owo sycylijskie słowo tak często kojarzono z peletonem, kiedy bowiem kolarz złamie tę regułę, może się spodziewać reakcji w stylu mafii.

Po występie w indywidualnej jeździe na czas w Metz Christophe Bassons oglądał w swoim pokoju hotelowym telewizyjną relację z przejazdu liderów. Nie mógł uwierzyć w to, jak szybko jadą, choć kiedyś sam specjalizował się w czasówkach. Szczególnie interesował go przejazd Armstronga, ponieważ ich profile fizjologiczne nie różniły się zbyt od siebie: ten sam wzrost, waga, VO2 max Armstronga, czyli jego pułap tlenowy, wynosiło 83 w porównaniu z 85 Bassonsa. VO2 max uważane jest za kluczowy wskaźnik wydolności fizycznej. Określa on maksymalną zdolność organizmu do transportu i pochłaniania tlenu. Jednak kiedy później Antoine Vayer wszystko policzył, powiedział Bassonsowi, że gdyby on i Armstrong wystartowali w tym samym czasie, straciłby do niego sześć kilometrów.

Wieczorem po zakończonym etapie z metą w Sestriere Bassons i jego koledzy z drużyny oglądali najciekawsze momenty górskiej ucieczki Amerykanina i byli zszokowani łatwością, z jaką odjechał rywalom. Nie mogli w to uwierzyć. Bassons nadal mówił wszystkim dziennikarzom, z którymi rozmawiał, że stosowania dopingu nie zaprzestano.

Nieprzestrzeganie przez niego zmowy milczenia stanowiło wyzwanie dla liderów peletonu, zwłaszcza dla kolarza jadącego w żółtej koszulce. Armstrong bardziej niż chętnie chciał się zająć zuchwalcem.

Rankiem następnego dnia po swoim zwycięstwie w Sestriere posiadacz żółtej koszulki postanowił, że etap mający się odbyć kolejnego dnia powinien przebiegać spokojnie, dopóki kolarze nie zbliżą się do pierwszego podjazdu. *Patron* ma do tego prawo i zazwyczaj takie postanowienia są ściśle respektowane. Ale Bassons pomyślał sobie: „Co mi tam, i tak jestem czarną owcą”, i zaczął uciekać wbrew nieformalnemu zawieszeniu broni.

Kiedy Bassons odjechał, Armstrong skinął głową w kierunku swoich kolegów z teamu US Postal, którzy natychmiast ruszyli w pościg. Wkrótce dogonili uciekającego. Kiedy zwolnili i dołączyli z nim do peletonu, Armstrong położył dłoń na ramieniu Bassonsa, dając do zrozumienia, że ma mu coś ważnego do powiedzenia, niczym mafijny boss, który postanowił osobiście wymierzyć karę.

- Co ty wyprawiasz? – zapytał Armstrong.
- Ścigam się. Atakuję.
- Zdajesz sobie sprawę, że to, co mówisz, nie jest dobre dla kolarstwa?
- Po prostu mówię, co myślę. Mówię, że doping jest wciąż obecny.
- Jeśli po to tu jesteś, lepiej byłoby, gdybyś wrócił do domu i znalazł sobie jakieś inne zajęcie.
- Nie wrócę, dopóki czegoś nie zmienię. Jeśli będę miał coś do powiedzenia, powiem to.

– Ach, pierdol się.

W tym czasie przeciwko Bassonsowi zwrócił się jego własny team, uważając, że jest prześladowany przez peleton z powodu rzeczy, które ten opowiada. Kazano mu przestać, on odmówił. Było jednak widać, że jest pod presją. Dwa dni po otrzymaniu reprimendy opuścił hotel w Saint-Galmier, w którym nocowała jego ekipa, i wycofał się z wyścigu.

Tego ranka wyjechaliśmy z Saint-Galmier i w Radio Tour usłyszeliśmy o wycofaniu się Bassonsa. Poprzedniego wieczoru załamał się. Pomimo próśb swojej narzeczonej Pascale i przyjaciela Antoine'a o to, żeby ścigał się dalej, nie był w stanie poradzić sobie z wrogością, jaką okazywali mu koledzy z ekipy. Kiedy jechaliśmy naszym samochodem, pomstowałem na to, co go spotkało, szczególnie ze strony Armstronga. Charles i Rupert przyznali mi rację. John wciąż milczał.

Gdzieś po drodze do Saint-Flour przejechaliśmy pod transparentem zawieszonym wysoko nad drogą: **ŻEBY TOUR BYŁ CZYSTY, MUSICIE MIEĆ BASSONSA**. Była to dla mnie najlepsza chwila tego dnia.

Zanim Armstrong wyżył się na Bassonsie, uważałem go za prawdopodobnego, niemal pewnego oszusta, jednego z bardzo wielu zawodowych kolarzy nadal podłączonych do starej kroplówki sączącej środki dopingujące. Sposób, w jaki potraktował Bassonsa, ujawnił jego wstrętne, niemal socjopatologiczne oblicze.

Tego ranka, kiedy Bassons wycofał się z wyścigu, pojawiły się rozmaite doniesienia, w których cytowano wypowiedzi innych zawodowych kolarzy. Były one całkowicie pozbawione współczucia dla niego.

– Nie był kontuzjowany, więc dlaczego pojechał do domu? – dziwił się jeden z nich.

Panowało zresztą powszechne przekonanie, że Bassons zachował się nieprofesjonalnie. Była to ważna chwila dla Touru. Nowy *patron* wysłał

wiadomość: zajmiemy się każdym, kto złamie znowę milczenia.

– Czy zawodnik jeżdżący czysto, któremu zależy na sporcie bez prochów, potraktowałby Bassonsa tak, jak zrobił to Armstrong? – zapytałem podczas kolejnej dyskusji w samochodzie.

– Nie sądzę – odparł Charles w sposób jak zwykle wyważony.

Słyszeliśmy, jak John po cichu wypuszcza powietrze przez nos.

Po obronieniu żółtej koszulki w Alpach pozycja Armstronga wydawała się niezagrożona nawet w perspektywie zbliżających się dwóch etapów w Pirenejach. Pod nieobecność Bassonsa w peletonie nie było już odmieńców, a mimo to francuska prasa trzymała się na dystans. „Le Monde” i „Libération”, być może dwa najbardziej rozsądne tytuły, odnosiły się do ostatnich wydarzeń z drwiną, jeśli nie lekceważeniem, podczas gdy najważniejsi autorzy „L'Équipe” – Bouvet, Rouet i Ballester – otwarcie nie wierzyli w to, co się dzieje.

Ponieważ „L'Équipe” jest częścią grupy kapitałowej będącej właścicielem Tour de France i wiele stron poświęca na codzienne relacje z wyścigu, jej brak życzliwości w stosunku do czempiona elekta był znamieny. Wyglądało to, jak gdyby liderowi wyścigu odmówiono oficjalnego uznania. Armstrong to czuł i w Saint-Gaudens, na ostatnim postoju przed wjazdem w Pireneje na tydzień przed końcem Wielkiej Pętli, zajął się Ballesterem.

Znali się już wcześniej, ponieważ Ballester odwiedził Armstronga w Austin, żeby przeprowadzić z nim wywiad, kiedy ten dochodził do siebie po wygraniu walki z rakiem. Ta znajomość nie na wiele się zdała w Saint-Gaudens, kiedy kolarz złapał Ballestera za rękę, przyciągnął go do siebie i głośno, tak żeby wszyscy usłyszeli, powiedział:

– Ten dziennikarz nie jest profesjonalistą.

Ballestera wprawilo to w oslupienie.

– Hej, Lance, nie mozesz tego tak zostawic. O co tu chodzi?

Ale Armstrong zdazył juz zniknac w autobusie ekipy Pocztcowców.

Tego wieczoru Armstrong zadzwonil do Ballestera na jego telefon komorkowy. Skarzył sie, ze „L'Équipe” nie jest wobec niego *fair*. Ballester, jak zrobilby to kazdy dobry dziennikarz, przekonal kolarza, ze najlepszym sposobem na wyrazenie jego poczucia niesprawiedliwosci jest udzielenie wywiadu gazecie. Umowili sie na nastepny dzien. Armstrong byl rozczarowany niesprawiedliwym jego zdaniem traktowaniem go przez prase. Ballester pomyslal: „No dobrze, ale to tylko czesc historii”. Przygotowal pytania o stosowanie dopingu, ktore mialy dac kolarzowi sposobnosc ucięcia wszelkich spekulacji.

– Czy stosujesz jakiegokolwiek substancje przepisane przez lekarzy?

– Nie – odparl Armstrong.

– Zadnych? Nie bierzesz nawet kortykosteroidów ani EPO?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek przyjmowales EPO podczas leczenia raka?

– Nie, nigdy.

– Czy przyjmujesz jakiegokolwiek leki zapobiegajace nawrotowi choroby nowotworowej?

– Absolutnie zadnych. Musze jedynie co cztery miesiace konsultowac sie z moim onkologiem doktorem Einhornem.

Ballester to twardy i bezposredni dziennikarz. Reputacja rozmowcy nie robi na nim zadnego wrazenia. Jego artykul na temat Armstronga nie byl hymnem pochwalnym, jaki zazwyczaj poswieca sie sportowcom odnoszacym swoje najwieksze triumfy. *Dementi* Armstronga bylo wystarczajaco przekonujace, ale nie w czesci, w ktorej upieral sie, iz nie podawano mu EPO, kiedy dochodzil do siebie po wygraniu walki z rakiem.

Bo podawano. Wydawało się, że ciężąca na nim presja sprawia, iż nie może przyznać się do przyjmowania EPO, chociaż było to legalne i zalecane jako normalna część w terapii nowotworów.

Jean-Marie Leblanc, organizator Tour de France, był wściekły na Ballestera. Uważał jego pytania za niesprawiedliwe i zbyt agresywne. Dał mu do zrozumienia, co o tym sądzi, skarżąc się, że wywiad czytało się jak protokół „policyjnego przesłuchania”. Spotkał się także z Rouetem, głównym redaktorem działu kolarstwa w „L'Équipe”.

Następnego dnia rano widziałem się z Rouetem. Opowiedział mi, że Leblanc jest bardzo niezadowolony ze sposobu, w jaki „L'Équipe” relacjonuje wyścig, a szczególnie ze stosunku, jaki gazeta ma do Armstronga. Gdyby Rouet pracował dla tytułu całkowicie niezależnego od Wielkiej Pętli, mógłby wpuścić narzekania Leblanca jednym i wypuścić drugim uchem. Było jednak inaczej.

On i Leblanc byli kiedyś kolegami, a obecnie stanowili dwie gałęzie tego samego drzewa. Pod względem komercyjnym Tour jest dla gazety niczym manna z nieba, ponieważ nakład i liczba reklam w lipcu rosną. Jednak w ramach grupy kapitałowej organizator Tour de France zajmuje wyższe miejsce niż redaktor działu kolarstwa.

Przeczuwając, że rozmowa z Leblankiem mogła wstrząsnąć Rouetem, przez ostatnie pięć dni, jakie pozostały do końca wyścigu, czytałem każdy tekst opublikowany w jego gazecie. W stanowisku „L'Équipe” nastąpiła łatwo zauważalna zmiana. Jej dziennikarze z większą życzliwością pisali o Armstrongu, coraz bardziej godząc się z tym, że zostanie on zwycięzcą Tour de France.

Nie wiem, jak duży wpływ na treści ukazujące się w „L'Équipe” mógł mieć organizator Wielkiej Pętli ani jakimi konsekwencjami (jeśli w ogóle) zagroził lub choćby o nich wspomniał, ale gazeta przestała stawiać pytania

w tytułach i wydawało się, że zrezygnowała z wyrażania swojej nieufności. Co prawda, jej redaktorzy nigdy nie zachowywali się jak cheerleaderki, a Bouvet, Rouet i Ballester pozostali wierni swoim przekonaniom, ale nie można już było powiedzieć: „»L'Équipe« nie wierzy Armstrongowi”.

Uczyłem się i wyciągałem z tego wnioski. Pierwszy był taki: kiedy piszesz o prochach i wiesz, że coś masz, ten, kto stoi nad tobą, będzie kazał ci przestać i być może delikatnie da do zrozumienia, żebyś pamiętał, skąd bierze się masło na twoim croissancie.

Niecałe dziesięć lat wcześniej, kiedy Paul zrezygnował ze ścigania się i napisał *Rough Ride*, jego dawni koledzy głośno i w sposób agresywny wyrażali dezaprobatę i swoją niechęć do niego. Jeden z jego byłych kolegów z drużyny próbował fizycznie go zaatakować. Rzucali mu kłody pod nogi. Wielu z jego nowych znajomych w namiocie prasowym nie było lepszych. Jedli z tej samej ręki.

Ostatnim stojącym przed Armstrongiem dużym wyzwaniem nie były Pireneje ani nawet czasówka rozgrywana przedostatniego dnia w parku rozrywki Futuroscope, ale dziennikarskie śledztwo, które przeprowadził Benoit Hopquin z „Le Monde”. Ujawnił on, że na początku wyścigu w organizmie Amerykanina wykryto niedozwolony kortykosteroid. Stosowanie takich substancji jest dopuszczalne, jeśli przepisze je lekarz. Podpisując formularz kontroli dopingowej, Armstrong nie wspomniał, że miał takie zalecenie. Podczas konferencji prasowej w Saint-Gaudens Hopquin zapytał go, co się stało.

Nie wahając się ani sekundy, Armstrong przeszedł do ataku i nazwał „Le Monde” szmatławcem. Następnie zwrócił się do Hopquina z pytaniem:

– Panie „Le Monde”, nazywa mnie pan ćpunem czy kłamcą?

Agresja Armstronga wprawiała dziennikarza w osłupienie. Reszta reporterów na sali ucichła, instynktownie obawiając się, iż jakakolwiek

interwencja ściągnie na nich gniew amerykańskiego kolarza.

„Le Monde” opublikował artykuł o pozytywnym wyniku testu Armstronga na obecność kortyzonu, ale UCI szybko wydała oświadczenie, w którym napisała, iż nie był to pozytywny wynik, i wyjaśniała, że środek wykryty w moczu Amerykanina został przepisany przez lekarza. Przypomniała też dziennikarzom, by pisząc o tej sprawie, zachowali ostrożność. W swoim komunikacie UCI nie sprecyzowała, kiedy otrzymała od teamu US Postal kopię recepty lekarskiej¹⁹.

Tour dotarł do Paryża. Lance Armstrong, któremu w ciągu dwóch lat, jakie minęły od czasu jego ostatniego startu w Tourze, usunięto jądro, cysty płucne i przeprowadzono lezje w mózgu, nie okazywał nawet śladów zmęczenia. Rankiem w dniu ostatniego etapu kolarze pojechali pociągiem z Futuroscope do Arpajon, na południe od Paryża. Tylko trzech z nas wyruszyło w tę podróż samochodem. John otrzymał zgodę na wywiad z Lance’em Armstrongiem w cztery oczy i pojechał pociągiem jako jego gość.

Historia z kortyzonem podzieliła nie tylko bywalców pokoju prasowego, ale także naszą czwórkę. Jeden z holenderskich dziennikarzy narzekał do mnie na Francuzów.

– Nie ma żadnych dowodów. W Holandii wszyscy odnoszą się do Armstronga z uznaniem.

Zapytałem go, co będzie, jeśli podejrzenia okażą się prawdziwe. Spojrzał na mnie z politowaniem.

– Wszyscy wiedzą, że kolarze jadący w Tour de France są naszprycowani. Jeśli tego nie akceptujesz, nie powinieneś pisać o tym sporcie.

I to my, pytający o doping, byliśmy cynikami?

Armstrong miał absolutną kontrolę nad wyścigiem. Coraz mniejsza grupa dziennikarzy uważała to za denerwujące. Podziw, jaki dla Amerykanina mieli pozostali, kazał im uważać wszelkie podejrzenia czy pytania za atak na niego. Najbardziej zorientowani w temacie mówili najmniej.

Według mnie masy sprzyjające Lance'owi wiwatowały, podczas gdy ta wspaniała dyscyplina zmierzała w kierunku hospicjum. Kiedy wyścig zbliżał się do Paryża, Jean-Marie Leblanc, niech Bóg błogosławi jego komercyjną duszę, ogłosił, że Tour „został ocalony”.

W dniu kiedy peleton wjechał na Pola Elizejskie, w „Sunday Timesie” ukazał się mój artykuł pod tytułem *Flawed Fairytale* (Brudna baśń). Byłem z niego dumny, ponieważ artykuł został nim opatrzony w Londynie, a to oznaczało wsparcie, które ciężko było otrzymać w środowisku towarzyszącym wyścigowi.

„To nie był żaden renesans Touru – pisałem w drugim akapicie tekstu w »Sunday Timesie« – ale raczej ucieczka w kierunku starego porządku, w którym doping jest sprawą peletonu, nie naszą, a zmowa milczenia jest ważniejsza niż wszystko inne”.

Zbierając materiał do tego artykułu, rozmawiałem z doktorem Armandem Mégretem, szefem komisji lekarskiej Francuskiej Federacji Kolarskiej (Fédération Française de Cyclisme – FFC). Zapytałem go, czy uważa, że Tour ściga się z *deux vitesses*.

– Jeśli rozumie pan przez to, że są kolarze czyści i tacy, którzy biorą, to moja odpowiedź brzmi: tak. To jest kolarstwo dwóch prędkości. Doping nie został wypleniony.

Gilles Delion był dla mnie drugim Kimmage'em, starszą wersją Bassonsa. W tym czasie był trzydziestodwuletnim weteranem, któremu dawno już odebrano niewinność. Kiedyś był jednak młodym,

utalentowanym i ambitnym kolarzem. Swój pierwszy start w Tourze zakończył na piętnastym miejscu, dwadzieścia jeden pozycji wyżej niż najlepsza lokata Armstronga w jego pierwszych czterech startach w Wielkiej Pętli. Jednak Delion się nie szprycował i jego kariera szybko dobiegła końca.

Zapytano go o Tour Odnowy:

– Śmiać mi się chce. Odnowa dotyczy tylko części peletonu – odparł.

Pisząc o Delionie, Kimmage’u czy Bassonsie, czułem się o wiele lepiej jako dziennikarz sportowy.

Myśląc o czytelnikach „Sunday Timesa”, miałem nadzieję, że trochę pomysłą, zanim pokochają tego nowego bohatera. „Zbyt długo dziennikarstwo sportowe przypominało niepohamowany doping, powstrzymujący się od uzasadnionych wątpliwości i zadowolający się historiami o sportowym heroizmie. Oczywiście są okazje, kiedy dobrze jest świętować, ale są też takie, kiedy równie właściwe jest powstrzymanie się od tego”.

Tamtego popołudnia na Polach Elizejskich nie miałem ochoty oklaskiwać zwycięzcy Tour de France.

¹⁴ Zabawna historia. W 1996 roku w szpitalu w Indianie Betsy Andreu usłyszała, jak Lance Armstrong mówi lekarzowi, że stosował środki dopingujące. Wymogła na swoim mężu Frankiem [kolarzu amerykańskim, kapitanie drużyny US Postal, w której jeździł razem z Armstrongiem – tłum.], aby ten przysiągł jej, iż nigdy nie zrobi czegoś takiego. Betsy oglądała pierwsze dwa tygodnie Touru w 1999 roku w telewizji w swoim domu w Dearborn w stanie Michigan. Widziała, jak Frankie prowadził swojego przyjaciela Lance’a na pierwszych podjazdach tego dnia, i kiwała głową. „To był pierwszy górski etap, miał metę w Sestriere, i kiedy zaczęli się wspinać, Frankie jechał na czele kolarzy zespołu US Postal. Taki z Frankiego góral jak z papieża ateista. »O co tu chodzi, do diabła?« – powiedziałam”. Zadzwoiła do męża i oznajmiła, że już mu nie wierzy, iż jeździ czysty. Frankie był zbyt zmęczony, żeby się kłócić, ale kłopoty Lance’a dopiero się zaczynały. Później Betsy

przypomniała sobie, jak pewnej nocy, podczas późnej kolacji w Nicei, na kilka miesięcy przed rozpoczęciem Wielkiej Pętli w 1999 roku, zjawił się Pepe Marti, trener drużyny US Postal Service.- Przyjechał dać Armstrongowi coś, o czym powiedziano jej, że to EPO. Kolacja była późna, ponieważ Marti jechał z Hiszpanii i uznał, że „bezpieczniej będzie przekroczyć granicę w nocy”. Armstrong wziął od Martiego brązową papierową torbę, uniósł ją do góry i nazwał jej zawartość „płynnym złotem”.

15 W swojej autobiografii zatytułowanej *Mój powrót do życia. Nie tylko o kolarstwie* Armstrong opisuje, jak niemal wpadał w pasażerów siedzących z tyłu eskortujących go motocykli. Píše, że jechało mu się „bez wysiłku”.

16 Brian Keenan jest irlandzkim pisarzem, porwanym w Bejrucie przez Islamski Dżihad i przetrzymywanym w niewoli od 11 kwietnia 1986 roku do 24 sierpnia roku 1990. Przez kilka lat dzielił celę z brytyjskim dziennikarzem Johnem McCarthym również uprowadzonym przez tę organizację i więzionym od kwietnia 1986 roku do 8 sierpnia roku 1991 – przyp. tłum.

17 Teraz wiemy, że podczas pierwszych dwóch tygodni Touru Armstrong, Tyler Hamilton i Kevin Livingston przyjmowali EPO co trzy–cztery dni, robiąc sobie szybkie zastrzyki. Następnie wkładali strzykawki do puszek po coli, które zgniatali na płasko. Doktor Luis del Moral wyrzucał je wtedy najszybciej, jak się dało.

18 W swojej książce *The Secret Race* (Tajemniczy wyścig) Tyler Hamilton napisał, że badania krwi przeprowadzane przez UCI przed wyścigiem wykazały, iż u większości kolarzy ekipy US Postal hematokryt wynosił nieco mniej albo nieco więcej niż 50 (w 1999 roku dopuszczano wartość 51). Te wysokie wartości spowodowane były przyjmowaniem EPO. UCI nieoficjalnie wyraziła swoje niezadowolenie i na tym sprawę zakończyła. Jest mało prawdopodobne, aby władze kolarstwa nie były świadome, że większość kolarzy w tej ekipie przyjmuje EPO.

19 Emma O’Reilly, ówczesna masażystka Armstronga, opowiadała w książce *L.A. Confidential. Les secrets de Lance Armstrong* [Co ukrywa Lance Armstrong? Tajemnice L.A. – jej tytuł nawiązuje do tytułu filmu Curtisa Hansona *L.A. Confidential*, który w Polsce wyświetlany był pod tytułem *Tajemnice Los Angeles*; książka napisana została wspólnie przez Pierre’a Ballestera i Davida Walsh – przyp. tłum.], że była świadkiem, jak pewnej nocy Armstrong i dwóch przedstawicieli teamu uzgodnili, że zwrócą się do dr. Luisa del Morala, żeby antydatował receptę, i w ten sposób załatwią ten problem. Dużo później, w oświadczeniu złożonym pod przysięgą przed Amerykańską Agencją Antydopingową (United States Anti-Doping Agency – USADA), Jonathan Vaughters powiedział, iż słyszał od kogoś z ekipy Armstronga, że przyjmował on przed Tourem zakazany kortykosteroid o nazwie kenacort, i to jego obecność wykrył test.

ROZDZIAŁ 5

*To nie żaden mesjasz, tylko bardzo
niegrzeczny chłopak.*

Monty Python, *Żywot Briana*

Amerykanie, którzy uważają Francuzów za naród jedzących sery tchórzcy, nigdy nie spotkali Pierre'a Ballestera. Gdyby każdy z nas, gamoni w namiocie prasowym, był jak Ballester, pewnie nawet Lance odnosiłby się do nas z szacunkiem. Pierre robi wrażenie. Dużo razem pracowaliśmy, robiąc rzeczy, z których jestem dumny. Zresztą każdy, kto ma okazję z nim popracować, czuje się niczym Garfunkel przy swoim Simonie.

Polubiłem go od samego początku: jego poczucie humoru, podejście do dziennikarstwa. Poznaliśmy się podczas Tour de France w 1993 roku. Pracował wtedy dla „L'Équipe”. Od razu dobrze się rozumieliśmy. Pierre z powagą podchodzi do swojej pracy, zawsze jest o krok przed innymi z materiałami, niemniej do życia ma większy dystans. Jest, jak przystało na Francuza, zabawnym towarzyszem przy stole, ale kiedy wciągnie się w historię, staje się bystrym i uważnym słuchaczem. Tym, co zbliżyło nas do siebie jako dziennikarzy, było zaniepokojenie i obrzydzenie wywołane przez Tour w 1999 roku oraz wspólna alergia na oficjalną wersję historii Lance'a Armstronga. Im więcej dobrych wiadomości wpychali nam do gardeł UCI, Jean-Marie Leblanc i wielu z naszych przyjaciół dziennikarzy, tym bardziej stawaliśmy się złośliwi.

Największą trudność stanowiła dla nas zagadka, którą był Lance Armstrong. W sposobie, w jaki postrzegali go inni zawodnicy, istniała ciekawa sprzeczność. Wielu kolarzom w peletonie nie podobały się jego teksaska arogancja i to, że uważa się za naturalnego przywódcę. Jednak większość sądziła, że jego obecność jest korzystna dla dyscypliny, która po skandalu z ekipą Festiny wciąż znajdowała się na oddziale intensywnej terapii. Zaledwie rok wcześniej, kiedy afera z udziałem Festiny ukazała cały swój brud, Armstrong wygłaszał komentarze na temat Touru, w których mówił o tym, iż wielu kolarzy czuje się zaszczutych przez policję i odizolowanych od kibiców. Teraz znowu był wśród nich, niczym bohater, na którym nie ciąży skaza z roku 1998. Zawodnicy jadący w jego cieniu aerodynamicznym dobrze się czuli w kojącym ciepłe bijącym od jego aureoli.

Pogląd, że jego obecność jest korzystna dla tej dyscypliny i że stanowi on balsam dla Touru, stał się obowiązujący i był propagowany przez jego organizatora Leblanca, sponsorów, UCI i większość dziennikarzy. W mocy pozostało moratorium na stawianie pytań, żywotny interes kolarstwa wymagał bowiem tego, by Lance ocalił honor Touru i oczyścił wszystkich, przechodząc pomyślnie testy na doping.

Lance był zbawicielem oferującym dodatkowe korzyści. Miał przetrzeć szlak do eldorado, lukratywnego rynku amerykańskiego, i niczym magnes przyciągnąć publiczność do kolarstwa. Miała ona zrozumieć, jak bardzo kocha ten sport i jak bardzo go jej brakowało. Miała chcieć być częścią tej ery, bo – jak by to powiedzieć – Lance Armstrong był bohaterem cholernie dobrej historii.

Wszystko to było oczywiste i wielu dziennikarzom w pokoju prasowym, podobnie jak władzom kolarstwa, ulżyło, że to znowu jest zwykły biznes. Właściwy człowiek we właściwym czasie *et cetera*.

Niemniej jednak podczas naszych rozmów Pierre i ja odkryliśmy, że podzielamy ten sam pogląd na tę sytuację zaczerpnięty z *Żywotu Briana* Monty Pythona. Chcieliśmy powiedzieć światu: „To nie żaden mesjasz, tylko bardzo niegrzeczny chłopak”. Być może był to odruch przekory w obliczu tak powszechnego szumu medialnego. Uważam jednak, że nasze instynktowne reakcje są autonomiczne, niezależnie od tego, co inni nam wmawiają. Kiedy odbiorą nam wszystko inne, pozostanie nam jedynie przecucie. Dziennikarze zawsze powinni podążać za własnym przecuciem. Pierre, podobnie jak ja, nie wierzył w Armstronga. Już od dawna miał wątpliwości z nim związane. Pamiętał, jak nieswojo się czuł po odwiedzinach u Lance’a w Austin w Teksasie w listopadzie 1996 roku, kiedy dochodził on do siebie po wygraniu walki z rakiem jąder czwartego stopnia. Teraz, podczas Touru w 1999 roku, przecucie podpowiadało Pierre’owi, że zbyt dużo w tym *déjà vu*.

Kiedy Pierre przeprowadza wywiady, jest wyjątkowo nieustraszonym dziennikarzem. „Cierpi” na pewien brak respektu dla swojego rozmówcy. Nie jest arogancki. Po prostu nikt nie robi na nim wrażenia ani go nie onieśmiela. Jego sesja z Armstrongiem, która odbyła się na zasadzie „pytanie – odpowiedź” i którą organizator Touru Jean-Marie Leblanc określił jako „policyjne przesłuchanie”, była kawałem dobrego dziennikarstwa. To, co nie podobało się Leblancowi, podobało się mnie. Pierre nie padł na kolana przed czempionem elektem. Nie pokrył trudnych pytań lukrem moralnego tchórzostwa.

- Twoi krytycy twierdzą, że...
- Co odpowiesz tym, którzy...
- Czy gorzej się z tym czujesz z powodu...

Pierre zapytał Lance’a, czy stosował EPO. Proste pytanie: tak czy nie?

Pierre Ballester chciał wiedzieć. Jednak zadając to pytanie w ten sposób, trafił na czarną listę Armstronga, z której nie sposób było się wykreślić. Leblanc wpadł we wściekłość. Szkoda wyrządzona Lance'owi jest szkodą wyrządzoną nam wszystkim – tak krzyczeli ci, którzy chcieli chronić środowisko kolarskie przed dziennikarzami.

Brak ich aprobaty nie zrobił na Pierze najmniejszego wrażenia. Wyglądał, jakby zdobył jakąś nagrodę. Jego wywiad z Lance'em był podręcznikową nauką, że wszyscy powinniśmy powstać z kolan, patrzeć gwiazdom prosto w oczy i stawiać im rzetelne pytania. Dotarło to do mnie i poczułem się lepiej, stałem się silniejszy.

Pierre zadał pytania, a ponieważ Armstrong nie był otwarty i szczery w swoich odpowiedziach, mieliśmy silne przeczucie, że oto patrzymy na młodego mężczyznę, w którego nekrologu przeczytamy kiedyś: mógł jeździć, ale nie był w stanie się ukryć. Pierre zrobił tylko to, co do niego należało, jednak ze względu na niebezpieczną wręcz liczbę pochlebców i oportunistów obecnych w namiocie prasowym chciało mu się przyznać Pulitzera tu i teraz.

Wiedzieliśmy, że Tour de France 1999 pada łupem wielkiego symulanta, ale byliśmy bezsilni. Nie chodziło wyłącznie o przeczucie co do tego, że Armstrong się szprycuje i wygrywa. Tym, co napęśniało nas największą goryczą, była konfederacja jego sympatyków biorących go pod ochronę: szefów UCI, którzy byli świadomi powszechności podwyższenia poziomu hematokrytu, zwłaszcza w ekipie Pocztowników, i postanowili uczynić z tego najpilniej strzeżoną tajemnicę; dziennikarzy, którzy widząc, jak biedny Bassons został sterroryzowany i wycofał się wyścigu, myśleli: „Nic się nie stało, to tylko płotka”, i organizatora Tour de France, który ogłosił, że Armstrong „ocalił” Wielką Pętlę.

Biedny stary Jean-Marie Leblanc. Pojechał do Notre-Dame des Cyclistes, żeby pomodlić się o pojawienie się podczas tego wyścigu zbawcy. Ale zapomniał poprosić o dodatkowy cud, jakiego potrzebował, żeby przekonać wszystkich agnostyków obecnych na miejscu. Leblanc musiałby wygłosić naprawdę charyzmatyczne kazanie, żebyśmy ja i Pierre kupili to, co miał do sprzedania.

Pierre miał do tego stopnia dość nieuczciwości, że podczas jednej z naszych ostatnich rozmów w trakcie Tournu w 1999 roku powiedział, iż nadal będzie pisał o kolarstwie, ale już nie tak jak wcześniej. Od tej pory każdy jego artykuł, w ten czy inny sposób, będzie dotyczył dopingu i jeśli jego gazeta mu na to nie pozwoli, zajmie się czymś, co da mu większą satysfakcję.

(Przypomniało mi to o być może zmyślonej historii pewnego dziennikarza „New York Timesa”, który powiedział swoim szefom, że będzie nadal relacjonował igrzyska olimpijskie, ale pod warunkiem że pod każdym jego tekstem znajdzie się dopisek: „Niniejszy tekst nie odzwierciedla osobistych poglądów autora”).

Kiedy mówiło się Pierre’owi, że pisanie artykułów wyłącznie na temat dopingu w kolarstwie zaszkodzi jego karierze w „L’Équipe”, wzruszał tylko ramionami i mówił:

– No i co z tego?

Kochałem go za ten upór i czułem podobną potrzebę większej dociekliwości, pisania więcej o dopingu. Stałem przed lustrem i ćwiczyłem wzruszanie ramionami, naśladowując styl Francuza.

Linford Christie, mistrz olimpijski z Barcelony w biegu na sto metrów, rozumiał moją sytuację. Wyszedł mi naprzeciw. Sześć miesięcy wcześniej, w lutym, startował w mityngu halowym w Dortmundzie, w Niemczech,

i został wylosowany do poddania się kontroli antydopingowej. Poziom niedozwolonego sterydu nandrolonu w jego próbce niemal stukrotnie przewyższał dopuszczalną normę. Działo się to na dwa miesiące przed jego trzydziestymi dziewiątymi urodzinami. Ekipa Linforda kpiła z absurdalności tej sytuacji.

– Czy naprawdę uważacie, że właśnie teraz, kiedy jego kariera jest już niemal zakończona, narażałby swoją reputację, przyjmując nandrolon?

Była to inna wersja wydającej się nie do obalenia obrony Armstronga:

– Naprawdę wierzycie, że po tym wszystkim, co przeszedł, szprycowałyby swój organizm niedozwolonymi prochami?

W obu przypadkach myślałem:

– Tak, sądzę, że jest to zupełnie możliwe.

Christie miał trzydzieści osiem lat, ale nie biegał jak „staruszek”. Trzy tygodnie przed badaniem, które dało pozytywny wynik, w Karlsruhe przebiegł sześćdziesiąt metrów w czasie 6,57 sekundy, co było jego najlepszym początkiem sezonu halowego od sześciu lat.

– Rezultat drugiego na mecie Linforda Christiego jest naprawdę sensacyjny – powiedział obecny na mityngu reporter „Athletics International”.

Christie był w takiej formie, że założył się z przyjacielem, iż do końca sezonu zejdzie do 6,5 sekundy, co do tej pory udało się zaledwie trzem Europejczykom, w tym właśnie jemu.

Po mękach, jakie cierpiałem w trakcie Tour de France, gdy większość głównych pretendentów do zwycięstwa faszrowała się niemożliwym do wykrycia EPO, był to przykład na to, że testy mogą być czasem wiarygodne. Choć często za sprawą ślepego trafu. Zdumiewające jest to, że nawet wówczas gdy próbka pobrana od sportowców daje wynik pozytywny, pojawia się grupa ludzi tworzących dla nich usprawiedliwienia. Jej

zadaniem jest znaleźć furtkę, przez którą ich człowiek zdoła się wymknąć. Doping to wielka plaga. Trzeba przeprowadzać więcej badań. Na razie wygląda jednak na to, że wpadają sami niewinni.

Wielu ludzi z brytyjskiego środowiska lekkoatletycznego nie chciało wierzyć, że Christie zażywał nandrolon. Był najbardziej atrakcyjną z gwiazd, pupilem mediów. Poparli go wszyscy jego koledzy spośród ekspertów w dziedzinie lekkoatletyki pracujących dla BBC: Roger Black, Steve Cram i Sally Gunnell²⁰. Być może powinni porozmawiać z profesorem Wilhelmem Schanzerem, szefem akredytowanego przy Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim laboratorium w Kolonii, który badał próbkę Christiego.

– Po przeprowadzeniu analizy nie musiałem wiele myśleć o tej sprawie – powiedział profesor. – Wyniki były oczywiste. Jeśli stężenie niedozwolonej substancji jest niskie, musimy wykonać dodatkową pracę, żeby upewnić się, że to, co podejrzewamy, jest prawdą. W tym przypadku nie było takiej potrzeby. Można powiedzieć, że wskaźnik był prawie sto razy wyższy niż dopuszczalny poziom. To oczywista sprawa.

Dobrze było opisać historię Christiego i zapytać, dlaczego upubliczniono ją dopiero po sześciu miesiącach. Ujrzała ona światło dzienne dopiero wtedy, kiedy w wyniku przecieku z IAAF informacja ta trafiła do redakcji „L'Équipe”. Brytyjskie władze lekkoatletyczne, które już w marcu wiedziały o pozytywnym wyniku badania próbki Christiego, zaprzeczyły, jakoby tuszowały sprawę. Według nich czekały jedynie, aż zakończy się wewnętrzne postępowanie dyscyplinarne. Do ujawnienia tej informacji zmusił je przeciek. Brytyjska Federacja Lekkoatletyczna (British Athletics Federation – BAF) zawiesiła byłego mistrza olimpijskiego i mistrza świata na dwa lata.

Dla dziennikarza sportowego, który swój zawód ceni bardziej niż bycie fanem (i, bądźmy szczerzy, zależy mu na tym, żeby wyprzedzić Sally Gunnell w wyścigu po Doroczną Nagrodę dla Dziennikarzy Sportowych), uprawianie go staje się trudniejsze, jeśli zastanowi się, jaką szkodę kwestia dopingu wyrządza jego entuzjastom.

Armstrong zwycięża w Tour de France, ale ty jesteś pewien, że oszukiwał, więc to żadna przyjemność. Cały świat bije brawo, a ty stoisz obok, jakbyś właśnie został spoliczkowany, i tylko kiwasz głową. Jednak jeśli lepiej się przyjrzyj, okaże się, że nie jesteś jedyny. Po stronie marzących o ratowaniu prestiżu rozwodnionej *maillot jaune*²¹ stał też Włoch Vincenzo Santini.

– Mam nadzieję – powiedział – że rządy państw i władze kolarstwa znajdą sposób na wyciągnięcie tej dyscypliny z tarapatów, w jakich się znalazła. Dopóki tak się nie stanie, możemy zapomnieć o radości płynącej ze zwycięstwa.

W tym samym czasie w Anglii starzejący się sprinter czempion również mógł zapomnieć o radości, jaką daje zwycięstwo, gdyż został zdyskwalifikowany na dwa lata.

Jeśli zaś o mnie chodzi, jadę do pięknej Sewilli w słonecznej Hiszpanii na rozgrywane tam mistrzostwa świata w lekkiej atletyce. Liczę na to, że dadzą mi one zastrzyk nowej energii, przywrócą mi dawny entuzjazm, odbudują wiarę. Później, gdy ludzie świętowali, obcałowywali się i śpiewali, ja siedziałem posepnie w kącie w barze. Obok mojego drinka stał niewielki znak. Było na nim napisane: „Uwaga! Człowiek ze Zbyt Dużą Liczbą Pytań”.

Niestety, kiedy dotarłem do Sewilli, w mieście mówiło się wyłącznie o jednym: o wykluczeniu Merlene Ottey w następstwie pozytywnego wyniku kontroli antydopingowej. Kolejny sportowiec przyłapany na

stosowaniu nandrolonu. Dźwiganie głowy pełnej pytań jest męczące. Zwłaszcza pytań o Merlene Ottey, ówczesną królową Jamajki, która pewnego dnia zostanie królową Słowenii. Jest olśniewająca, ma piękną atletyczną sylwetkę, w tym momencie swojej kariery jest trzydziestodziewięcioletnią zawodniczką mającą na koncie osiem medali olimpijskich i wciąż rywalizuje na najwyższym poziomie. Niezwykle sympatyczna osoba. Mimo to na cztery dni przed startem w Sewilli ogłosiła, że w jej organizmie wykryto obecność nandrolonu. Och, powiedz, że to nieprawda, Merlene, powiedz, że to nie tak.

Zatem w tym samym miesiącu dwoje trzydziestodziewięcioletnich sprinterów: złoty medalista olimpijski w biegu na sto metrów i ośmiokrotna medalistka igrzysk, zostaje zdyskwalifikowanych z powodu pozytywnych wyników badań antydopingowych.

Nieważne, ile razy mówisz ludziom, że jesteś dziennikarzem sportowym, zawsze reagują w ten sam sposób: „Och, chciałbym mieć taką pracę”. Dyskusowanie z takim przekonaniem wydaje się gburowate. Kiedy wszyscy dokoła wiwatują, dziwnie jest zastanawiać się, czy to naturalne, że dobiegający czterdziestki sprinter ma tak świetne wyniki²². Najłatwiej byłoby odrzucić wątpliwości i dać się ponieść prądowi. Niech to będzie zwykła rozrywka, a nie sport. Uwolnijmy go od brzemienia, którym go obarczamy, z miłości i wiary weń, dlatego że chcemy, by nas inspirował. Żeby osiągnąć taki stan w Sewilli, trzeba było spróbować zapomnieć o tym, że świeżo upieczona mistrzyni świata na dwieście metrów Inger Miller urwała w finale 0,3 sekundy ze swojego rekordu życiowego. Lepiej też nie pamiętać, że wcześniej w tym samym roku w jej organizmie stwierdzono za wysoki poziom kofeiny.

W trakcie dyskusji nad pozytywnym wynikiem kontroli antydopingowej Merlene Ottey z odsieczą pospieszyła jej rywalka Marion Jones. Mając

takich przyjaciół jak Marion...

– Nie jestem w stu procentach przekonana, że badanie przeprowadzono zgodnie z procedurą. W ciągu ostatnich kilku tygodni wszystko to tylko zaszkodziło naszej pięknej dyscyplinie²³.

Dzięki, Marion. Do zobaczenia podczas rywalizacji o medale.

Widziałem majestatyczne biegi na czterysta metrów Michaela Johnsona, świetność Hichama El Guerrouja na tysiąc pięćset metrów i Maurice'a Greena zwyciężającego w biegu na sto metrów, ale nie byłem już dzieciakiem zachwycającym się rywalizacją Kipa Keiny z Jimem Ryunem ani młodzieńcem, który niegdyś pasjonował się wyczynami Steve'a Ovetta i Seba Coego. Po finale na tysiąc pięćset metrów mężczyzn w Sewilli mój biedny mózg kipiał od pytań. Zastanawiałem się, dlaczego na trzecim, czwartym i piątym miejscu byli sami Hiszpanie i wszyscy przebiegli dystans w czasie poniżej 3:32²⁴. Czy ja śnię? Czy teraz robią prochy, które nie tylko sprawiają, że ludzie biegają szybciej, ale też docierają na metę dokładnie w tym samym czasie?

Kiedy spotkałem działacza IAAF, wspomniałem, jak dalece było to nieprawdopodobne.

– Myślisz, że ja w to wierzę? – zapytał.

Zadowolilem się pisaniem o Pauli Radcliffe: mowie jej ciała, grymasie na twarzy i czerwonej wstążce odważnie przypiętej do stroju reprezentacji Wielkiej Brytanii. Wstążka stanowiła wezwanie władz do większej aktywności antydopingowej, a konkretnie: do wprowadzenia badań krwi. Moje zainteresowanie Paulą Radcliffe sprowadzało się jednak przede wszystkim do przecucia, że można jej ufać. Dała z siebie wszystko, dobiegła druga za Etiopką Gete Wami i upadła kilka metrów za linią mety. Jej wyczerpanie przypominało nam lekkoatletykę z czasów naszego

dzieciństwa, sport bardziej ludzki, z którym łatwiej można było się identyfikować.

Spytałem ją, dlaczego postanowiła przypiąć sobie tę wstążkę.

– To we mnie narastało – odpowiedziała. – Wypruwałam sobie żyły na treningach, poświęcałam się i zadawałam sobie pytanie: „Czy chcę to wszystko robić, skoro i tak nic z tego nie mam?”. Nikogo nie oskarżyłam, ale czułam, że kobiety poszły śladem mężczyzn i zaczęły stosować doping. Źle mi się robiło na myśl, że ludzie mogą pytać: „Co ona bierze?”.

W styczniu 2000 roku we włoskich miastach: Turynie, Bolonii, Ferrarze, Wenecji, Trydencie i Brescii, toczyły się odrębne śledztwa w sprawie dopingu w sporcie. Dwa z nich dotyczyły sportowców, którymi się interesowałem. W Ferrarze w dochodzeniu dotyczącym tamtejszego lekarza profesora Francesca Conconiego wśród nazwisk dwudziestu trzech kolarzy znajdujących się w czymś, co później zostanie nazwane „kartoteką EPO”, pojawiło się nazwisko irlandzkiego triumfatora Tour de France Stephena Roche’a.

Równie intrygujący był udział Kevina Livingstona w sprawie innego lekarza z tego miasta, Michele Ferrariego, którego podejrzewano o pomoc kolarzom w stosowaniu dopingu. Livingston był najbardziej zaufanym „porucznikiem” Lance’a Armstronga podczas Touru w 1999 roku i jego udział w tym śledztwie zmuszał do postawienia istotnych pytań.

Redakcja „Sunday Timesa” zgodziła się, żebym pojechał do Włoch i zobaczył, czego uda mi się dowiedzieć. To była owocna podróż, którą zapamiętam dzięki wywiadowi z Fulviem Gorim, sympatycznym włoskim policjantem pracującym w wydziale antynarkotykowym (Nucleo Antisofisticazioni e Sanità – NAS) we Florencji. Gori siedział za wielkim biurkiem w pokoju wielkości małego magazynu, w którym na podłodze pełno było pudeł i teczek na akta. Był korpulentnym, uprzejmym

mężczyzną, który śmiał się przy każdej możliwej okazji. Na ścianie w jego biurze wisiało zdjęcie amatorskiej drużyny piłkarskiej, którą trenował. Próba zrozumienia mechanizmu stosowania dopingu w kolarstwie była najgorszą rzeczą, jaka spotkała go w życiu.

– W ramach tego dochodzenia – powiedział – przesłuchałem niemal trzydziestu kolarzy. Sprowadziłem ich do tego biura, posadziłem na krześle i żaden z nich nie chciał ze mną współpracować. Nie powiedzieli niczego o tym, co robią.

W maju 1996 roku karabinierzy odkryli, że jedna z aptek w Toskanii sprzedaje zawodowym kolarzom duże ilości EPO. Nie potrzebowali w swoich szeregach Sherlocka Holmesa, żeby się domyślić, iż zawodnicy uzupełniali swoje zapasy przed rozpoczynającym się kilka tygodni później Giro d'Italia. Florency karabinierzy postanowili więc złożyć zawodnikom niespodziewaną wizytę podczas wyścigu i przekonać się, czy uda im się znaleźć część owych zapasów EPO.

Tego roku Giro rozpoczęło się w Grecji, gdzie ścigano się przez trzy dni, a następnie wszyscy uczestnicy przeprawili się promem do Brindisi. Policja planowała pojawić się w chwili, kiedy samochody ekip będą zjeżdżać ze statku.

– No i jedziemy – opowiadał Gori – stąd do Brindisi, osiemset kilometrów. Czytam „La Gazzetta dello Sport”, nogi trzymam na desce rozdzielczej i znajduję króciutki artykuł na jednej ze stron poświęconych kolarstwu. Piszą w nim: „Policja planuje nalot na wyścig w Brindisi i przeszukanie samochodów, by sprawdzić, czy zawodnicy nie przewożą w nich niedozwolonych środków dopingujących”. Uderzyłem pięścią w deskę. Byłem wściekły. Skąd wiedzieli? Dlaczego zostało to wydrukowane w gazecie? Staliśmy się jeszcze bardziej zdeterminowani. Przysiągłem sobie, że od tamtej pory nigdy im nie popuszczę.

Wiedząc, że karabinierzy będą czekać w Brindisi, część samochodów ekip przebyła długą drogę lądem przez Albanie, Czarnogóre i Chorwację, zanim wjechała do Włoch od północy. Pozostałe ekipy wyrzuciły swoje zapasy prochów do morza. Gori i jego partner przejechali kawał drogi z powrotem do Florencji, nie znalazłszy choćby śladu zakazanych substancji, a ich koledzy czekali na nich w biurze.

– Słyszeliśmy, że w Adriatyku pływają ogromne i bardzo wytrzymałe ryby.

Goriemu nie było do śmiechu.

Można się spodziewać, że kolarze nie zechcą opowiadać o stosowaniu przez siebie dopingu dziennikarzom, ale stwierdzenie Goriego, że włoscy zawodnicy uważają, iż mogą przestrzegać omerty na posterunku policji we Florencji, było już zaskakujące. W tym czasie stosowanie dopingu nie było we Włoszech przestępstwem, dlatego mogli oni bezkarnie uchylać się od odpowiedzi na pytania Goriego i jego kolegów. Jakimś sposobem uważali oni, że są ze swoim sekretnym obyczajem niedosiężni dla prawa.

Zamiast uświadomić sobie, że lekarze zalecający im przyjmować niedozwolone substancje oraz farmaceuci, którzy im je sprzedawali, łamią prawo, czuli się honorowo zobowiązani do chronienia swoich dostawców.

Fulvio Gori był stosunkowo młodym człowiekiem, nieco po czterdziestce, żonatym, bez dzieci. Trzydzieści miesięcy później zmarł na raka. Po części dlatego że odszedł tak wcześnie, czas spędzony z nim pozostaje żywym wspomnieniem.

Udział Stephena Roche'a w sprawie Conconiego był dla mnie trudny, gdyż Roche i ja znaliśmy się od dawna. Przestał się ścigać sześć lat wcześniej, ale akta dotyczyły ostatnich dwóch lat jego kariery. Figurował w nich pod swoim nazwiskiem, ale również pod różnymi przydomkami, z których dwa brzmiały: Rocchi i Roncati.

Kariera Roche'a obfitowała w sukcesy. W 1987 roku wygrał Giro d'Italia, Tour de France i mistrzostwa świata, zdobywając potrójną koronę. Przed nim dokonał tego jedynie legendarny Eddy Merckx. Zanim jego nazwisko wypłynęło w związku ze śledztwem w sprawie Conconiego, Roche nigdy wcześniej nie był łączony z dopingiem. W 1987 roku napisałem jego oficjalną autobiografię zatytułowaną *The Agony and the Ecstasy* i chociaż nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi, utrzymywaliśmy stały kontakt.

Podczas pracy nad tą książką mieszkałem w jego domu w Paryżu i w letnim domu jego ówczesnych teściów w południowo-zachodniej Francji. Spędziliśmy mnóstwo czasu w swoim towarzystwie. Nie było mi łatwo zadzwonić do niego w związku z tą sprawą. Był względnie spokojny.

– Spotkałem Conconiego po oddaniu próbek krwi dla lekarza naszego zespołu Giovanniego Grazziego. Wiem, że pracował on na uniwersytecie w Ferrarze [podobnie jak Conconi], i możliwe, że w ten sposób znaleźliśmy się w jego aktach.

Próbował dać do zrozumienia, że to wszystko jest nieporozumieniem.

– Kiedy się ścigałem, mój hematokryt był na poziomie 46 lub 47 procent, 44 w czasie odpoczynku. Nigdy nie przekroczył tego poziomu – tłumaczył, najwyraźniej nie mając świadomości, że hematokryt spada podczas wyścigu i rośnie po ustaniu aktywności.

Zapytałem Roche'a, dlaczego Conconi używał przydomków.

– Zadałem Grazziemu to samo pytanie. Powiedział mi, że używanie ksywek w przypadku bardzo znanych sportowców to nic niezwykłego.

Ale dlaczego?

Jako że Roche był niegdyś irlandzkim skarbem narodowym i pozostał dobrze znanym byłym mistrzem, historia dotycząca możliwego stosowania

przez niego dopingu wywołała poruszenie. Wiedziałem, że odbije się czkawką, ale nie wiedziałem jak bardzo.

Pozwólcie, że coś wyjaśnię.

W Irlandii są tylko dwa typy ludzi, choć w tym momencie trudno byłoby powiedzieć, który z nich stanowi mniejszość. Są zatem ci, którzy oglądają *The Late Late Show*²⁵, i ci, którzy wystąpili w *The Late Late Show*. W 2002 roku zostałem awansowany do tej drugiej grupy.

Program jest tygłem, w którym zapoczątkowano wiele debat kształtujących przez lata irlandzkie społeczeństwo. Ponieważ prowadzący się zmieniali, jego coraz sztywniejszy format musiał stać się bardziej przewidywalny i bezpieczny. Mimo to *The Late Late Show* zachował część klimatu z okresu swojej świetności. Nadal stara się godzić obowiązki narodowego forum z wymogami lekkiej rozrywki. Wciąż też ma renomę takiego, do którego „wszyscy przychodzą”.

Zaproszenie do uczestnictwa w *The Late Late Show* nie różni się zbyt od zaproszenia do Buckingham Palace. Oczekuje się, że gość będzie mało absorbujący i pod lekkim wrażeniem. Powinien się ładnie ubrać, przyjechać trzeźwy i postarać się współpracować z członkami rodziny królewskiej niezależnie od tego, czego się po nim spodziewają. Oto jaki format „debaty” na temat dopingu ze Stephenem Roche’em zaproponowali mi scenarzyści *The Late Late Show* w związku z ujawnieniem przeze mnie obecności jego nazwiska w aktach Conconiego. Miała to być produkcja, w której Stephen Roche byłby obsadzony w roli tego złego. Wszedłby pierwszy, a nasz gospodarz Pat Kenny przeprowadziłby z nim wywiad z zachowaniem pełnej szacunku sztywności. Po jakimś czasie rozmowa zesłaby na temat prochów i oto kamera zaczęłaby patrzeć to w tę, to w tamtą stronę, a na widowni, niczym niezycliwy natręt, siedziałbym ja.

Miałbym wytłumaczyć się z tego wszystkiego, co napisałem o człowieku cieszącym się w irlandzkim społeczeństwie wystarczającą sławą, żeby być tym właściwym gościem *The Late Late Show*. Pat Kenny i Stephen Roche spojrzeliby na mnie, a ludzie siedzący wokół mnie wyglądaliby na zawstydzonych tym, że pokazują ich w towarzystwie takiego czubka. Odmówiłem więc.

Poirytowani moją niewdzięcznością scenarzyści *The Late Late Show* dali za wygraną i uznali, że podczas debaty mogę usiąść w fotelu dla dorosłych obok Pata i Stephena. Miałem jednak zająć swoje miejsce po dobrych piętnastu minutach łagodnego „sam na sam” tych dwóch. Stephenowi świetnie idzie pozowanie na świętego. Ma minę niewiniątka. I wtedy wchodzę ja. Buu!

Niechętnie na to przystałem. Tego wieczoru Stephen miał na sobie ciemny garnitur, ciemną koszulę, taki sam krawat i zaczesane do tyłu włosy. Gdyby nie jego szalenie teatralny pół francuski, pół dubliński akcent, mógłby uchodzić za fałszywego grabarza mafijnej rodziny, której często przydarzają się różne wypadki. Zgodnie z planem przez jakieś piętnaście minut rozmawiał z Patem Kennym o swoim życiu i karierze. Wtedy, na okrzyk „wpuścić pokrakę”, wprowadzono dziennikarza.

Wstępna wymiana zdań była uprzejma, może nawet trochę nudna. Zapewniliśmy wszystkich, że nie dojdzie do krwawej jatki, że znamy się od wielu lat i darzymy wzajemnym szacunkiem.

Stephen grał zranioną duszę.

– Daviiiiidzie, przyjmuję to, co mówiiiisz, ale nigdy cię nie okłamałem.

Ja zaś, jak każdy doświadczony rodzic, mówiłem, że nie gniewam się na Stephena za to, że jego nazwisko pojawiło się w aktach Conconiego. Nie, nie jestem zły, tylko trochę zawiedziony. Staralem się być opanowany i przekazać, co mam do powiedzenia. Roche nie był pewien, czy może

wystąpić się jako ten, który próbuje zadać nokautujący cios, więc albo zachowywał się, jakby był zakłopotany, albo dowody rzeczywiście wprawiły go w taki stan.

Żeby zademonstrować swoje zdumienie, Stephen przyniósł ze sobą do studia kartkę papieru, którą pokazał do kamery. Wypisane były na niej różne przydomki, jakie nadał mu Francesco Conconi podczas badań przeprowadzanych we Włoszech. Pokrywały ją też liczne adnotacje tak obficie podkreślone pisakiem fluorescencyjnym, że dokument ten wyglądał jak plan lekcji ucznia podstawówki. Obok dat i wyników rozmaitych badań znajdowały się litery „S” albo „N” (*si* albo *no*), które dopisał tam Conconi w zależności od parametrów, jakie ustalił. Wszystko to nie miało żadnej wartości, a publiczność i tak była już wystarczająco skonsternowana.

Kiedy zapytano Stephena, czy miał do czynienia z Conconim, odpowiedział, że nie był on lekarzem teamu, dając tym samym do zrozumienia, iż on, Stephen, jest typem faceta, który chodzi wyłącznie do jednego lekarza. Temperatura debaty spadała, szczegóły zawarte w dokumencie były dezorientujące dla wszystkich i dyskusja miała już umrzeć, kiedy Pat Kenny wyciągnął asa z rękawa.

Na widowni, prawdopodobnie w miejscu wcześniej przeznaczonym dla mnie, Pat posadził pomocnika: doktora Billa Tormeya ze szpitala Beaumont w Dublinie. Ujmując to w kategoriach telewizyjnych: jeśli drążysz temat wystarczająco długo, docierasz do samego dna, żeby przekonać się, co jest pod spodem, i kopiesz jeszcze trochę głębiej, aż dochodzisz do punktu, w którym na widowni masz Billa Tormeya. To facet, który nazwał koleżankę ze swojego szpitala „niezłą szparką”, a później zasłynął prymitywnymi poglądami na kwestię małżeństw gejowskich i wezwaniem do badania misjonarzy wracających z Afryki na obecność wirusa HIV.

Teraz jego zadaniem było zagrać pod publikę. Czuł, że powinna być mu z tego powodu wdzięczna. Parafrazując Wilde'a: Czy gdybyś musiał zrobić to jeszcze raz, Bill, i tak zakochałbyś się w sobie? Zaczął od wyrecytowania litanii nazwisk irlandzkich gwiazd sportu i następnie ogłosił:

– Stephen Roche jest jedną z nich.

Następnie, bez zbędnej straty czasu, przeskoczył do części naukowej. Przerwijcie lekturę, jeśli nie macie Nobla z fizyki albo chemii.

– Jak wiesz, Pat, jestem cynikiem. Jedynym powodem, dla którego jestem tu dzisiaj, jest to, co robi się temu człowiekowi. W przeciwnym razie nie przyszedłbym, choć z ciebie też fajny gość [widownia reaguje ekstatycznie]. Powiem wam coś. Stephen Roche to świetny facet. [Cholera. Pat i Stephen Roche to goście od fajnego po świetnego. Czułem się osamotniony i nic niewart]. Atakuje się człowieka, jakim jest Stephen Roche, który w 1987 roku wygrał Tour de France, Giro d'Italia i mistrzostwa świata, jestem wdzięczny Jimmy'emu Magee, że pokazał nam to w TV [dla niewtajemniczonych: Jimmy Magee jest komentatorem, a nie stacją telewizyjną]. Muszę powiedzieć jedną rzecz o Stephenie: miał stosować EPO w czasach, kiedy nie było ono jeszcze dostępne? Wszyscy muszą zdać sobie sprawę z tego, że nie mogłeś w 1987 roku wstrzykiwać sobie EPO, ponieważ wtedy go jeszcze nie było. To po pierwsze i bardzo ważne. Zatem Stephen wygrał te wyścigi, jeżdżąc czysto. Gdyby brał amfetaminę, a pamiętacie, co stało się z Tommym Simpsonem²⁶, który ją brał [zmarł, ale – jak podkreślał sam Lance Armstrong – nie został przyłapany na dopingu], Stephen wpadłby na jej stosowaniu. Jedyną rzeczą, która jest coś warta, jeśli chodzi o testy wytrzymałości w sporcie takim jak kolarstwo, według mojej wiedzy, przynajmniej w tej chwili...

Zacząłem myśleć, że to jest jakiś skecz, lekka rozrywka – ekspert wagi ciężkiej w roli klauna. Wtedy Tormey poszedł jeszcze o krok dalej

i ostatecznie zaczął mówić o sobie w trzeciej osobie. Zwracał się bezpośrednio do Stephena Roche'a jak świetny facet do świetnego faceta.

– Załóżmy, że siedzący obok ciebie kat, sędzia i ława przysięgłych z „Sunset Timesa”²⁷, organu Murdocha, ma rację. Tormey jest w takim razie sędzią apelacyjnym i zajmie się tą sprawą...

Następnie pokazał, iż ma konkretną wiedzę nie tylko na temat dopingu na poziomie bystrego pierwszoklasisty, ale na dokładkę – związanych z dopingiem zagadnień prawnych na poziomie tępego sześciolatka. Odegrał udawane przesłuchanie w sądzie apelacyjnym, posługując się monologiem, i uroczyście ogłosił wyrok uniewinniający Roche'a. Ku ośmieszeniu „Sunset Timesa” [*à propos* – złoty medal w dziedzinie dowcipu! „Sunset Times”!].

Wróciliśmy na kilka minut do naszej rozmowy na scenie, brnąc do końca tej części programu i przerwy reklamowej. Bill Tormey i Pat Kenny powiedzieli Stephenowi Roche'owi, co ma mówić, niemal co do linijki. Ja zaś, *domestique* w medialnym peletonie, nagle zrozumiałem, jak to jest być Christophe'em Bassonsem w zły dzień.

Kiedy opuszczałem budynek RTÉ tego wieczoru, jeden z pracowników stacji powiedział mi, że odebrali niemal czterysta telefonów od widzów, które rozłożyły się po połowie: część opowiedziała się po stronie Stephena, część po mojej. Dla mnie to się liczyło²⁸.

Pierre, który zachowuje się dużo pewniej, kiedy zwącha jakąś historię, poradziłby sobie z Roche'em i Tormeyem o wiele lepiej ode mnie.

Tak jak ja Pierre przeszedł z Lance'em Armstrongiem całkiem długą drogę. Poznali się w klubie nocnym w Oslo w noc po tym, jak Teksasczyk został najmłodszym w historii mistrzem świata.

Świeżo upieczony czempion miał się dopiero przekonać, że my, dziennikarze, wszyscy jesteśmy – jak sam nas nazwał – węzami mającymi

ręce. Popijał piwo, otwarcie gawędził z nieliczną grupką dziennikarzy i według rozmawiających z nim wówczas reporterów był dobrym towarzyszem. Dużo się śmiał i nie pozwalał, żeby rozmowa zwolniła tempo.

Biorąc pod uwagę piwo, świętowanie, hałas i luźną atmosferę, był to inny Lance niż ten, którego później poznamy. Tamtego wieczoru nie istniało żadne tabu. Nie było żadnych granic. Dużo mówił. Pierre dostrzegł, że Armstrong lubi rozmawiać i gdyby nie to, że przyjaciele wyciągnęli go stamtąd, pewnie siedziałby tam i opowiadał historyjki do wschodu słońca.

Następnego dnia musieli wczesnie wstać. Cztery godziny po wyjściu z klubu nocnego byli już w samolocie wiozącym ich na kryterium w Châteaulin. Niemniej jednak Paul i Lance zawarli znajomość. Po raz kolejny rozmawiali ze sobą podczas wywiadu w 1996 roku. Lance powiedział wówczas, że podczas startów w La Flèche Wallonne (Walońskiej Strzały) i w Liège zachowywał się jak palant. Pierre napisał to, co słyszał. Kiedy następnym razem spotkał Armstronga, był przygotowany na to, że Teksańczyk wygłosi mu wykład, ale Lance tylko wzruszył ramionami.

– W porządku. Tak było. To właśnie ci powiedziałem.

Pierre czuł, że darzą się wzajemnym szacunkiem. Kiedy później w tym samym roku Lance zachorował, jego agent Bill Stapleton został zasypany prośbami o wywiad. Pokazał je Lance'owi, który wybrał dwie: weterana Sama Abta, od wielu lat piszącego do „New York Timesa” i „Herald Tribune”, i Pierre'a.

Po przylocie do Austin w listopadzie 1996 roku przywitał Pierre'a wychudzony i wyglądający na osłabionego Lance. Na łysą głowę mocno naciągnął czapkę. Świeciło delikatne teksaskie słońce, ale Armstrong witający dziennikarzy na progu swojej willi w stylu śródziemnomorskim

położonej nad odnogą rzeki Kolorado nie wyglądał na kogoś, kto czuje jego ciepło.

Abt i Pierre przyjechali jednocześnie i Lance wprowadził ich do kuchni, gdzie spędzili czas, gawędząc, podczas gdy gospodarz przygotowywał sobie koktajl warzywny. Goście zaproponowali, że przeprowadzą z nim wywiad jednocześnie, ale Lance powiedział, że wolałby porozmawiać z nimi osobno.

Dziennikarze sportowi zawsze wolą rozmawiać w cztery oczy, więc Ballester i Apt cieszyli się w duchu, że Amerykanin chce udzielić dwóch wywiadów. Lance postanowił, że najpierw porozmawia z Abtem. Nie mając nic do roboty, Pierre kręcił się po ogromnym domu. Armstrong zawsze był miłośnikiem malarstwa i Pierre obejrzał, co ma na ścianach. W garażu przejechał powoli dłonią po pięciu wiszących w nim rowerach. Pochylił się, żeby spojrzeć na prędkościomierz czarnego porsche. Od owej nocy w Oslo trzy lata wcześniej w życiu tego młodego człowieka zaszły ogromne zmiany.

Tak, przechadzając się, Pierre znalazł się w korytarzu prowadzącym do sypialni. Wyczuł, że ktoś za nim stoi.

– Szukasz czegoś? – zapytał Armstrong.

– Czegoś? Nie, niczego konkretnego. Nie chciałem przeszkadzać tobie i Samowi w wywiadzie, więc szwendam się po domu. To wszystko. Dobrze wiesz, że artykuł potrzebuje atmosfery.

– Ale w mojej sypialni niczego nie ma.

– Niczego? Co masz na myśli? Niczego? Absolutnie?

– Jeśli myślisz, że znajdziesz tam torbę prochów...

– Torbę pro...? O czym ty mówisz? Wybacz, ale nie rozumiem.

Armstrong nagle zakończył rozmowę i uśmiechnął się szeroko. Był to dziwny epizod i teraz dobiegł końca.

Kiedy jakiś czas później Pierre usiadł, żeby przeprowadzić swój wywiad, spotkał innego Lance'a potrafiącego wzruszająco mówić o tym, jak stanął twarzą w twarz ze śmiercią. Pierre tego Lance'a lubił.

Ich stosunki uległy zmianie podczas Tour de France w 1999 roku. Lance uważał, że „L'Équipe” traktuje go niesprawiedliwie, a wywiad w cztery oczy przeprowadzony przez Pierre'a tylko jeszcze zaognił niełatwe relacje lidera wyścigu z gazetą. Pierre też się zmienił od czasu spotkania w nocnym klubie w Oslo.

Lance'owi bardziej podobałby się wcześniejszy model Pierre'a.

Po raz kolejny spotkali się w 2000 roku w San Luis Obispo na obozie treningowym, podczas którego team US Postal przygotowywał się do sezonu. Był styczeń. Drużyna zaprosiła tam w celach promocyjnych trzydziestu dziennikarzy z różnych krajów. Pierre nie uważał, że po pokonaniu dziewięciu i pół tysiąca kilometrów powinien zadowolić się konferencją prasową. Udało mu się złapać Lance'a po jej zakończeniu.

– Czego chcesz?

– Nie tego.

– Co to znaczy „nie tego”?

– Nie tych piętnastu minut poświęconych prasie. Niektórzy pokonali dziewięć i pół tysiąca kilometrów, żeby się z tobą spotkać. Jestem jednym z nich.

– Wiem. Widziałem twoje nazwisko na liście.

– Niezależnie od tego, jak interesująca była konferencja, rozumiesz, że moja gazeta i ja chcemy spędzić z tobą trochę więcej czasu.

Lance odwrócił się. Bawił się kluczem do pokoju, który trzymał w dłoni, udając, że się zastanawia. Uśmiechnął się przelotnie.

– Gdybym nie chciał, żebyś tu był, nie wpuściliby cię. Ile czasu chcesz?

– Czterdzieści pięć minut powinno wystarczyć. Jutro ci pasuje?

– W porządku. Jutro. Pół godziny.

– Dzięki, Lance.

Rozmowa, która odbyła się następnego dnia, trwała dokładnie pół godziny. Ani minuty dłużej. Pierre poprosił, żeby mógł w niej uczestniczyć John Wilcockson. Lance odmówił. Jego odpowiedzi były krótkie i zwięzłe. Nic z tego, co usłyszał Pierre, nie rozwiało jego podejrzeń. Wszedł z tej rozmowy z poczuciem, że Lance'a Armstronga niewiele to już obchodzi. Pierre został wygnany do świata, do którego Amerykanin posyła ludzi, gdy już ich nie potrzebuje.

Mniej więcej na miesiąc przed startem Tour de France w 2000 roku ukazała się autobiografia Lance'a Armstronga zatytułowana *Mój powrót do życia. Nie tylko o kolarstwie*. Napisana we współpracy z felietonistką „Washington Post” Sally Jenkins historia chorego na raka, który wrócił znad krawędzi i wygrał Tour de France, została znakomicie opowiedziana. Talent pisarski dziennikarki jest wyraźnie zauważalny w całej książce, która stała się światowym bestsellerem. Co więcej, historia ta stanowiła źródło inspiracji dla wielu osób dotkniętych poważnymi chorobami, zwłaszcza chorych na raka. Oprócz tego, że Armstrong zarobił na niej miliony dolarów, książka ta bardziej niż cokolwiek innego uczyniła z niego ikonę.

Czytałem tę książkę i dałem się ponieść wyśmienitemu stylowi Sally Jenkins, kiedy ktoś z otoczenia Armstronga powiedział mi, że Lance nie miał dla autorki tyle czasu, ile oboje by sobie życzyli, przez co musiała polegać na wywiadach z jego przyjaciółmi i członkami rodziny, a zwłaszcza z jego bliskim przyjacielem Johnem „Collidge'em” Koriothem. Jakie to miało znaczenie, skoro historia była wciągająca, inspirująca, bardzo zabawna, a czytelnicy ją kochali?

Znalazło się w niej jednak kilka sprzeczności. Armstrong przedstawiony został jako postać sympatyczna, która nigdy nie naskoczyłaby na

Christophe'a Bassonsa tak, jak uczynił to podczas Touru w 1999 roku. Naturalnie, w książce nie wspomniano o jego scysjach z francuskim kolarzem.

Drugim elementem niepasującym do układanki była opisana w niej niechęć do badań antydopingowych, które Armstrong nazywał „ponizającymi”:

– Tuż po przejechaniu zapraszano mnie do otwartego namiotu, gdzie siadałem na krześle; lekarz, ściskając moje ramię gumową rurką, wbijał igłę w żyłę i pobierał krew. Podczas tego niemiłego zabiegu błyskały flesze fotoreporterów i oślepiały mnie światła kamer²⁹.

Dodał jeszcze:

– Z drugiej strony testy dopingowe działały na moją korzyść, bo potwierdzały fakt, że jestem czysty. Kolejne testy niczego nie wykazywały³⁰.

Opis badań antydopingowych przeprowadzanych podczas Tour de France był tak mylący i niedokładny, że nie warto byłoby się nim przejmować, gdyby nie to, że ukazywał on antypatię, jaką Armstrong czuł do tego systemu. Czy nie byłoby bardziej ponizające jeździć czysto i rywalizować z czterdziestoma czy pięćdziesięcioma naszprycowanymi kolarzami? Również sugestia, że badania potwierdziły czystość Armstronga, brzmiała niczym kiepski żart. Jak mogły to uczynić, skoro najważniejszy środek, EPO, był nie do wykrycia?

W 2000 roku Wielka Pętla rozpoczęła się w Futuroscope, i to właśnie tam w moim życiu pojawił się Bill Stapleton. Nigdy wcześniej go nie spotkałem. Nie przedstawił mi się, a ja go nie rozpoznawałem. On wiedział, kim jestem, i pewnie uważał, że i ja jego znam. Zrozumiałem to w połowie naszej rozmowy.

– Chciałbym zamienić z tobą słówko, Davidzie.

- Nie ma sprawy.
 - Posłuchaj, mamy świadomość tego, co napisałeś o Lansie w zeszłym roku i co piszesz o nim teraz.
 - Tak?
 - Moglibyśmy być w lepszych stosunkach, między tobą i Lance'em mogłoby być lepiej.
 - Co masz na myśli?
 - To, że gdybyś był bardziej wyważony w tym, co piszesz, moglibyśmy ułatwić ci do niego dostęp.
 - Uważam, że pisałem prawdę.
 - Będziemy się bacznie przyglądać temu, co piszesz, i kiedy będzie trzeba, nie zawahamy się podjąć stosownych działań.
 - Czy to ma być groźba, Bill?
 - To jest groźba.
- Bill Stapleton, agent i adwokat Lance'a Armstronga, przekazał swoją wiadomość.

20 Roger Black – brytyjski biegacz na 400 m, medalista olimpijski z Atlanty i Barcelony, wielokrotny mistrz świata i Europy; Steve Cram – brytyjski biegacz średniodystansowiec, medalista olimpijski, mistrz świata i Europy; Sally Gunnell – brytyjska płotkarka, mistrzyni olimpijska z Barcelony, mistrzyni świata i Europy – przyp. tłum.

21 *Maillot jaune* (franc.) – żółta koszulka lidera wyścigu – przyp. tłum.

22 Merlene Ottey twierdziła, że pozytywny wynik jej badania był wynikiem „błędu”, i po zawieszeniu jej przez IAAF na dwa lata odwołała się do Sportowego Sądu Arbitrażowego (zwanego też Trybunałem Arbitrażowym do spraw Sportu) (ang.: Court of Arbitration for Sport – CAS, franc.: Tribunal Arbitral du Sport – TAS). Po wykazaniu nieprawidłowości w laboratorium badającym próbki jej odwołanie zostało uwzględnione, a zakaz startów cofnięty. W 2002 roku Merlene mieszkająca obecnie w Słowenii otrzymała obywatelstwo tego kraju. W 2012 roku, mając pięćdziesiąt dwa lata, wystartowała w mistrzostwach Europy w lekkoatletyce w Helsinkach.

23 Podczas rozegranych rok później igrzysk olimpijskich w Sydney Marion Jones zdobyła cztery złote medale. W 2007 roku przyznała się do zażywania niedozwolonych środków dopingujących już podczas igrzysk w roku 2000. Odebrano jej wywalczone wówczas medale. Rok później została skazana na sześć miesięcy pozbawienia wolności za składanie fałszywych zeznań podczas śledztwa w sprawie stosowania dopingu w sporcie.

24 Byli to: Reyes Estévez, Fermín Cacho i Andrés Manuel Díaz. Ich czasy to odpowiednio: 3:30.57; 3:31.34 i 3:31.83 – przyp. tłum.

25 Irlandzki program typu *talk-show* nadawany przez telewizję publiczną RTÉ od 1962 roku w każdy piątek od września do maja. Jest to najdłużej emitowany przez tego samego nadawcę *talk-show* na świecie. *LLS* uważany jest za instytucję telewizji irlandzkiej – przyp. tłum.

26 Thomas „Tommy” Simpson, gwiazda brytyjskiego kolarstwa szosowego, mistrz świata z 1965 roku. Zmarł w wieku dwudziestu dziewięciu lat podczas trzynastego etapu Tour de France w 1967 roku – przyp. tłum.

27 Gra słów: *Sunday* (niedziela) – *Sunset* (zachód słońca). David Walsh pisał do „Sunday Timesa”.

28 Kwestię tego, czy Roche i inni kolarze z akt Conconiego szprycowali się, czy nie, rozstrzygnęła później sędzia Franca Oliva, podsumowując zakończony proces przeciwko oskarżonym doktorom: Conconiemu, Grazziemu i Ilariowi Casoniemu. „Oskarżeni przez kilka lat, zachowując systematyczną ciągłość, pomagali i podżegali sportowców wymienionych w akcie oskarżenia do stosowania erytropoetyny [EPO]. Wspierali ich i *de facto* zachęcali do tego dzięki wielu badaniom stanu ich zdrowia, analizom i testom mającym na celu maksymalizację wpływu stosowania tej substancji na wyniki sportowe. Dlatego też, z prawnego punktu widzenia, podtrzymuję wobec oskarżonego zarzuty popełnienia przestępstwa”.

29 Lance Armstrong, Sally Jenkins, *Mój powrót do życia. Nie tylko o kolarstwie*, przeł. Aldona i Witold Matuszyński, Wydawnictwo Studio EMKA, Warszawa 2003, s. 283.

30 Tamże.

ROZDZIAŁ 6

*Żadnych łez u pisarza, żadnych łez
u czytelnika. Żadnego zaskoczenia u pisarza,
żadnego zaskoczenia u czytelnika.*

Robert Frost

Historyjka ze świata mediów.

Po Tour de France w 1999 roku Pierre Ballester usiadł ze swoim redaktorem z działu kolarstwa i przyjacielem Jeanem-Michelem Rouetem, żeby spokojnie porozmawiać o trudnych sprawach. Pierre wyjaśnił, że nie ma już nerwów, by pisać o sporcie. Nie da rady pisać o nim tyle, ile przez większą część minionej dekady. Nie był w stanie dłużej relacjonować wyścigów, przeprowadzać wywiadów ze zwycięzcami, przedstawiać ich jako bohaterów. Jean-Michel rozumiał dylematy Pierre'a i cieszył się z tego, że chce się skoncentrować na dopingu w sporcie.

– Zajmowanie się kolarstwem w jakikolwiek inny sposób nie wchodziło dla mnie w grę. Nie mogłem dłużej pisać wzruszających historii, ponieważ nie wierzyłem już w tych gości. Nie byłem też pewien, jak na moje wątpliwości zareaguje redakcja „L'Équipe”. Miałem świadomość, że pisanie o dopingu może zaszkodzić mojej karierze, a nawet że ryzykuję utratę pracy. Okazało się jednak, że mnie potrzebują i chcą, żebym był zadowolony.

„L'Équipe” to poważna firma. W gazecie pracuje trzystu osiemdziesięciu dziennikarzy. Pierre był jedynym, który prosił, by pozwolono mu skoncentrować się na dopingu, będącym bez wątpienia najważniejszym tematem w sporcie naszych czasów. Przez jakiś czas gazeta uważała Pierre'a za uosobienie swojego sumienia. Doping stawał się coraz ważniejszym tematem i dziennikarskie śledztwa w sprawie jego stosowania podnosiły sprzedaż. Być może był to dobry pomysł, który przyszedł w odpowiedniej chwili, gdyż w październiku 1999 problem dopingu z pewnością był na czasie. W Lille na północy Francji ruszał proces w sprawie ekipy Festina.

Stanowił on ukoronowanie oficjalnego dochodzenia w sprawie zakrojonej na szeroką skalę afery dopingowej ujawnionej przez celników i policję podczas Tour de France w 1998 roku. Pierre cieszył się każdą chwilą spędzoną w Lille na przeczesywaniu szczątków Touru '98. Choć raz czuł, że jest w stanie opisywać rzeczywistość zawodowego kolarstwa. Kolejni świadkowie zeznawali po sobie, a każdy z nich opowiadał historię jeszcze koszarniejszą od swojego poprzednika. Skandal z poprzedniego lata zostawił po sobie długotrwały niesmak i Francuzi domagali się od środowiska kolarskiego uczciwości i skruchy.

Pascal Hervé, kolarz teamu Festina, zeznał, że powiedziała by prawdę wcześniej, gdyby nie to, że „tylko (...) dziewięciu idiotów [ekipa Festiny podczas wyścigu w 1998] zostało złapanych”. Laurent Brochard, kolejny kolarz Festiny, opowiedział, jak po zdobyciu mistrzostwa świata w wyścigu szosowym w 1997 roku został przyłapany na dopingu. Działacz UCI poinformował menedżera jego drużyny, iż antydatowane zaświadczenie lekarskie pomoże mu się z tego wywinąć. Thomas Davy, który jeździł w hiszpańskim teamie Banesto z pięciokrotnym zwycięzcą Touru Miguelem Indurainem, zeznał:

– W naszej ekipie działał systematyczny program stosowania dopingu nadzorowany przez lekarzy.

Richard Virenque, który przez osiemnaście miesięcy bezustannie kłamał na temat stosowania przez siebie dopingu, usłyszał od sędziego Daniela Delegove'a, że ma powiedzieć prawdę. I w końcu to zrobił.

– Mimo że stosowałem doping – dodał Virenque – nie miałem przewagi nad rywalami.

Antoine Vayer, fizjolog wysiłku fizycznego, który nie chciał w żaden sposób uczestniczyć w tym procederze, kiedy pracował w Festinie, zeznawał jako biegły.

– Armstrong jeździ z prędkością 54 km/h – powiedział. – Uważam, że to skandal i nonsens. Pośrednio dowodzi to, że jest na dopingu.

Inny ekspert uznał analizy Vayera za całkowicie wiarygodne. Pierre Ballester był w swoim żywiole, pisząc artykuły, które mogły pomóc kolarstwu zmierzyć się z problemem dopingu.

Szefowie Ballestera z „L'Équipe” byli z niego zadowoleni, jednak chociaż nie brakowało historii związanych z dopingiem, entuzjizm gazety dla jego pracy był daleki od tego, jakiego życzyłby sobie Pierre. Szefowie chwalili go za robotę w Lille, ale jego koledzy z działu kolarstwa nie dzielali ich zachwytów.

Najbardziej popularnymi dyscyplinami sportu zajmuje się w „L'Équipe” odrębny dział. Na przykład działem kolarstwa kieruje jego redaktor Rouet, który ma swojego zastępcę (Philippe'a Bouveta) i dziewięciu reporterów.

– Znam Jeana-Michela i Philippe'a od dawna. To dobrzy ludzie. Kiedy jednak skoncentrowałem się na dopingu, wiedziałem, że niektórym się to nie spodoba. Nie uważali oni, że moje pisanie o dopingu jest dobre dla gazety. Co najmniej dwaj z nich, Philippe Le Gars i Manuel Martinez, twierdzili, że przeze mnie mają utrudniony dostęp do zawodników.

Jeden z szefów rozmawiał z Pierre'em o swoich obawach.

– Powiedział, że uważa, że nie jestem w harmonii z gazetą. Odpowiedziałem mu: „Kto tu jest problemem: ja czy wy?”. Chcieli, żebym pisał o dopingu, ale jak dla nich było zbyt dużo afer z nim związanych.

Zajmując się wyłącznie dopingiem, Pierre odkrył coś zaskakującego. Za każdym razem wracała do niego wiadomość, że kolarze i pozostali zainteresowani narzekają na jego artykuły. Kiedy jednak siadał sam na sam z kolarzem i patrzył mu w oczy, reakcja z drugiej strony stołu była pozytywna.

– Ci, którzy chcieli rozmawiać, mieli duży szacunek do tego, co robiłem, i wielu z nich chciało, żebym dalej się tym zajmował.

Napięcie w dziale kolarstwa „L'Équipe” narastało.

Początkowo niektórzy z pozostałych dziennikarzy jego działu byli w stosunku do niego podejrzliwi, później przestali z nim rozmawiać i wkrótce Pierre stał się całkowicie samotnym w grupie dziewięciu osób pariasem. Był jak pan Proper. Jego obecność krępowała ludzi. Pierre przeżywał okropny okres. To, co robił, szczególnie nie podobało się Philippe'owi Le Gars i Manuelowi Martinezowi. Było oczywiste, że byliby zadowoleni, gdyby Pierre został zwolniony.

Pierre wiedział, że Le Gars i Martinez przyjaźnią się z niektórymi kolarzami z czołówki i lubią spędzać z nimi czas. Był to okres, kiedy imprezujący kolarze zamieniali prochy zwiększające ich wydolność na narkotyki rekreacyjne, wstrzykując sobie *pot belge* [belgijski miks], zabójczą mieszankę zawierającą heroinę, kokainę i amfetaminę.

Na temat Le Gars i Martineza krążyły plotki. Mówiło się, że byli obecni podczas niektórych imprez z *pot belge*. Przeczuwając, iż to ci dziennikarze podkopują jego pozycję w gazecie, Pierre postanowił popytać o towarzyskie zwyczaje swoich kolegów.

Rozmawiał z Brunonem Rousselem, byłym dyrektorem teamu Festina; Willym Voetem, byłym masażystą, i Jérôme'em Chiottim, byłym kolarzem ekipy. Powiedzieli mu, że wiedzą o tym, iż Le Gars i Martinez uczestniczyli w niektórych z tych imprez, upijali się z zawodnikami i wstrzykiwali sobie *pot belge*, korzystając z tych samych igieł co kolarze. Podczas powrotu z jednej z takich zabaw uszkodzony został samochód ekipy.

Pierre poprosił każdego ze swoich rozmówców, żeby notowali to, co wiedzą na temat dziennikarzy, jak gdyby składali pisemne zeznania, i podpisali się pod tym. Wiedzieli, że ich oświadczenia zostaną pokazane szefom w „L'Équipe”, a mimo to zgodzili się złożyć takie formalne zeznania dotyczące uczestnictwa Le Gars i Martineza w tych imprezach.

Początkowo Pierre chciał załatwić sprawę z Jeanem-Michelem, jednak po przedstawieniu redaktorowi działu kolarskiego trzech obciążających zeznań zrozumiał, że jego przyjaciel nie chce zająć się ujawnieniem tego, że dwóch jego reporterów zażywa narkotyki z zawodowymi kolarzami. Pierre uważał, iż zachowanie tych dziennikarzy szkodzi reputacji „L'Équipe” jako poważnej gazety.

– Nie chciałem, żeby stracili pracę. Chciałem im tylko powiedzieć: „Posunęliście się za daleko. Nie możecie się tak zachowywać”. Sądziłem, że zasłużyli na karę dyscyplinarną i powinno im się przypomnieć o odpowiedzialności wynikającej z ich fachu i pracy w „L'Équipe”.

Jean-Michel Rouet i Philippe Bouvet to świetni dziennikarze i dobrzy ludzie, ale nie mają konfrontacyjnej natury. Nie chcieli mieć nic wspólnego z trzema oświadczeniami. Pierre pomyślał: „W porządku. Pójdę z nimi wyżej”. Rozmawiał o swoim odkryciu z redaktorem naczelnym gazety Jérôme'em Bureau i jego prawą ręką Claude'em Droussentem.

W lutym 2001 roku Bureau, Droussent, Ballester, Le Gars i Martinez spotkali się w siedzibie „L'Équipe”. Bureau przeczytał oświadczenia

Roussela, Voeta i Chiottiego. Był wyraźnie zły na Le Gars i Martineza. Pierre czuł, że jego koledzy są wrogo do niego nastawieni, ale nie martwił się tym. Oni uważali, że to on stanowi problem. On natomiast myślał, że problemem są oni. Bureau i Droussent mieli to rozstrzygnąć.

Mniej więcej tydzień później Bureau spotkał się z Pierre'em. Le Gars i Martinez otrzymali upomnienie. Pierre nie był pewien, w jaki sposób gazeta się wobec niego zachowa.

– Jeśli czegokolwiek się obawiałem, to braku entuzjazmu dla roli, jaką widziałem dla siebie w redakcji.

Pierre chciał być korespondentem piszącym o dopingu w gazecie, której pozostałych trzystu siedemdziesięciu dziewięciu dziennikarzy sprzedawało iluzję. Był wystarczająco rozumny, by zdawać sobie sprawę, iż „L'Équipe” tworzy wizerunek sportu, w którym obecne są wzory do naśladowania i bohaterowie, wielkie zwycięstwa i rozdzierające serce porażki, triumfy i emocje. Gazeta nie chciała zaglądać za kulisy tego wszystkiego. Wiedział, że nie pasuje do wyobrażeń swoich szefów o potrzebach redakcji.

– Przez ostatnie sześć miesięcy nie mogłem opublikować tyle artykułów na temat dopingu, ile bym chciał, powiedziałem więc Michelowi: „Pozwól mi tylko pisać o dopingu i redagować. Nie przeszkadza mi, że będę siedział za biurkiem i redagował teksty gości relacjonujących wyścigi, ale proszę, nie posyłaj mnie tam już więcej”. Kiedy spotkałem się z Jérôme'em, myślałem, że będzie chciał mnie udobruchać i pozwoli mi robić swoje.

Tak się jednak nie stało.

– Spotkałem się z Jérôme'em, który powiedział mi, że ludzie pracujący w tym samym dziale muszą być drużyną, a ja nie umiem pracować w zespole. Powiedział mi, że postąpiłem źle, zbierając dowody przeciwko kolegom, i muszę odejść.

Dwa tygodnie później Pierre został zwolniony.

Redakcja „L'Équipe” uważała, że zachował się nieprzyzwoicie i ma prawo pozbyć się go bez jakiegokolwiek odszkodowania. Pierre zaś był przekonany, że nie może tego zrobić. Różni ludzie ostrzegali go, że „L'Équipe” może próbować usprawiedliwić jego zwolnienie i uparcie trwać na stanowisku, że nie należy mu się z tego tytułu żadna odprawa. Sytuację Pierre'a dodatkowo komplikowało to, że jego żona Liliane Trevisan pracowała w tej samej redakcji, pisząc o koszykówce. Mimo to nie zamierzał puścić „L'Équipe” płazem czegoś, co według niego było niesprawiedliwym wyrzuceniem go z pracy.

Pierre znał paryskiego adwokata Thibaulta de Montbriala – jeśli się kiedyś poznało tego młodego człowieka, nie sposób było go zapomnieć. Oprócz tego, że jest przystojny, czarujący i wyjątkowo pewny siebie, ma też wybitny intelekt i naturalną sympatię dla dziennikarzy rzucających wyzwania instytucjom.

Thibault wiedział, jakim Pierre jest dziennikarzem, i lubił go. Kiedy usłyszał historię o zwolnieniu go z pracy, był wstrząśnięty. Chciał, żeby Pierre potraktował to nie jako prosty konflikt pracodawcy z pracownikiem, ale jako coś poważniejszego, co on skieruje do sądu pracy. Według jego profesjonalnej opinii Pierre został bezzasadnie zwolniony, poniósł uszczerbek na swojej reputacji i za to należało mu się spore odszkodowanie.

– Była to dla mnie trudna decyzja. Liliane lubiła swoją pracę w „L'Équipe” i gdybym wytoczył duży proces jej gazecie, znalazłaby się w nieciekawej sytuacji. Nie chciałem, żeby moje problemy z redakcją odbiły się na niej. Nie sądzę, żeby mogła tam zostać, gdybyśmy poszli do sądu. Postanowiliśmy nie iść tą drogą. Thibault był pewny wygranej i mówił, że odprawa będzie znacznie większa, niż byłaby normalnie. Powiedziałem mu: „Posłuchaj, chcę tylko, żeby zapłacili mi tyle,

ile powinni wtedy, kiedy mnie zwalniali”. Odparł, że to nie będzie stanowić problemu, i ostatecznie zmusił ich do wypisania czeku na całkiem pokaźną sumę. Było to dobre i dla mnie, i dla Liliane, gdyż ona chciała tam nadal pracować.

Liliane Trevisan wciąż pisze dla działu koszykówki „L'Équipe”. Philippe Le Gars i Manuel Martinez nadal pracują jako reporterzy działu kolarskiego.

ROZDZIAŁ 7

*Im jesteś starszy, tym trudniej o bohaterów,
a wtedy właśnie są najbardziej potrzebni.*

Ernest Hemingway

Kiedy jako dziennikarz decydujesz się zadrzeć z peletonem, dobrze jest rozumieć, po co to robisz, i wiedzieć na ten temat więcej niż ci, którzy powiedzą, że to nie twoja sprawa. Oznacza to zazwyczaj konieczność cofnięcia się do początku, dotarcia do dobrych źródeł informacji, złożenia w całość łańcucha następujących po sobie wydarzeń. Jeśli ktoś już tam był przed tobą, przetaił szlak i ułatwił ci pójście jego śladem – tym lepiej.

Pozwólcie, że przedstawię Sandra Donatiego.

Słyszałem o działalności Sandra na rzecz walki z dopingiem w jego rodzinnych Włoszech, zanim w listopadzie 2000 roku pojechałem do Kopenhagi na konferencję zorganizowaną przez duńską organizację Play the Game. Sandro miał podczas niej wygłosić odczyt, ale jego pracodawca Włoski Komitet Olimpijski (Comitato Olimpico Nazionale Italiano – CONI) w ostatniej chwili odmówił mu urlopu. Ze swoich doświadczeń walki z dopingiem Sandro wiedział, że nie przebiega ona łagodnie. Władze tego nie lubią.

Pociągnięto za stosowne sznurki, wywarto nacisk na CONI i trzy dni później, niż planowano, Sandro Donati wylądował w Kopenhadze. Być może dzięki temu, że oficjalne ramię włoskiego sportu próbowało

powstrzymać go przed mówieniem, być może dzięki naturalnej charyzmie, Sandro zgromadził podczas swojego wystąpienia największe audytorium w trakcie trwającej tydzień konferencji. Nie przyjechał uzbrojony w slajdy, prezentacje w PowerPoincie ani chwytliwe zdania. Po prostu opowiedział o swojej walce z dopingiem i korupcją we Włoszech. Facet zatykający dziurę w grobli palcem. Nie trzeba było niczego więcej. Usłyszeliśmy, jak bardzo sport został zatruty. Sandro przypomniał nam o tym, jak trudno jest ujawnić nazwiska winowajców powiązanych z odpowiednimi ludźmi. Dzięki swoim opowieściom z pierwszej linii frontu trzymał nas na miejscach przez półtorej godziny.

Jego pasja przypominała nam, czym według nas powinien być sport.

Kiedy skończył, wszyscy wstali i zgotowali mu owację. Wydawało się, że klaszczą całą wieczność. Pojawiło się kilka łez. Była to bodaj najbardziej inspirująca historia o sporcie, jaką kiedykolwiek słyszałem. „Kto jest twoim bohaterem w świecie sportu?” Od tamtego popołudnia znałem już odpowiedź.

Małeńki Sandro, o delikatnej sylwetce byłego zawodnika biegającego na trzy tysiące metrów z przeszkodami, jest czarującym i sympatycznym człowiekiem. Prowadząc wojnę z dopingiem i wszelkimi oszustwami, twardo stąpa po ziemi i niczego się nie boi. Mimo to jego twardość ma ludzką twarz: nie chce demonizować sportowca, ale nie cofnie się przed niczym, żeby wsadzić jego lekarza do więzienia. W głowie mi się nie mieści, jak zdołał przetrwać tyle lat. Wiem jednak, że po spędzeniu godziny w jego towarzystwie samozadowolenie zostaje zachwiane, wiara odnowiona.

Pochodzi z winiarskiego regionu Frascati, niedaleko Rzymu, i wita cię z takim ciepłem, które jest w stanie odmienić twój nastrój danego dnia.

– *Ciao, Daviiiiidzie!* – mówi, otwierając szeroko ramiona.

Myśląc o Donatim, wyobraźcie sobie następującą rzecz: uczestnicząc jako trener włoskich sprinterów w mistrzostwach świata w lekkiej atletyce rozgrywanych w 1987 roku w Rzymie, zauważył, że jeden ze skoków zaliczonych brązowemu medalistcie olimpijskiemu w skoku w dal Giovanniemu Evangelistiemu wyglądał bardzo podejrzanie. Na oko Sandra był to kiepski skok, co potwierdzała reakcja samego Evangelistiego. Niemniej jednak na elektronicznej tablicy wyników wyświetliła się informacja, że skok był dobry. Donati godzinami przeglądał taśmy wideo, aż w końcu znalazł dowód. Odległość, której Włoch nie skoczył, była już wprowadzona do systemu, gotowa, by oficjel wcisnął guzik. Donati użył gwizdka. Gwizdnął długo i głośno.

Brązowy medal dla Evangelistiego był ustawiony. Sandro mógł odwrócić wzrok, nie wtykać nosa w coś, co go bezpośrednio nie dotyczyło, ale to oznaczałoby zdradę. Nie była to wina zawodnika, tylko działaczy wysokiego szczebla, którzy myśleli, że dzięki „jeszcze jednemu medalowi dla Włoch” mistrzostwa okażą się sukcesem. Trop prowadził na szczyt włoskiej i światowej lekkiej atletyki i Sandro nim poszedł. Odgwizdał faul ukochanego włoskiego skoczka jeszcze na Stadio Olimpico w Rzymie. Gladiatorzy zabijali ludzi za o wiele mniejsze przewinienia, ale nasz bohater stracił tylko pracę.

Zbyt nieustępliwy, żeby długo pozostawać bez zajęcia, Sandro doszedł do siebie. Musiał być silny, ponieważ nieważne, ile razy odetniesz bestii głowę, ona powraca. Kiedy teraz słyszę, jak zwycięzca Tour de France Bradley Wiggins mówi, że czuje się rozczarowany, kiedy musi mówić o dopingu, bo jest on grzechem przeszłości, chcę go posadzić naprzeciwko Sandra i powiedzieć mu, że doping nigdy nie przejdzie do historii.

Świadomość tego, że bestia zawsze się odradza, nigdy go nie odstraszała: w 1989 roku Sandro wydał swoją książkę na temat dopingu

pod wspaniałym tytułem *Worthless Champions* (Bezwartościowi mistrzowie). Jeśli możecie znaleźć egzemplarz, przeczytajcie ją. Dwa tygodnie po ukazaniu się książka zniknęła. Mówi się, że zapłacono wydawcy, żeby ją wycofał, ułożył stos i zrobił sobie ognisko. Została stracona na zawsze.

Sandro Donati nie przestał machać swoją siekierą w okolicach szyi bestii. Pięć lat później został szefem działu badawczego CONI i zaczął przyglądać się nadużywaniu EPO w kolarstwie zawodowym. Biorąc pod uwagę opóźnienie występujące między pojawieniem się nowatorskich sposobów oszukiwania a oficjalnym uznaniem przez władze sportu, że dzieje się coś niedobrego, badania Sandra były prorocze. Nie dalej niż dwa lata wcześniej Claudio Chiappucci pokonał Miguela Induraina podczas podjazdu do Sestriere w być może pierwszym pojedynku z wykorzystaniem EPO.

Sandro po cichu pracował dalej. W zamian za informacje gwarantował anonimowość. Kolarze, z którymi rozmawiał, chcieli wiedzieć, jak bardzo źle wygląda sytuacja. Trop prowadził go do dawnego oponenta – profesora Francesca Conconiego. Po raz pierwszy skrzyżowali ze sobą szpady, kiedy na początku lat osiemdziesiątych Sandro został trenerem włoskiej reprezentacji w biegach średniodystansowych. Tuż po objęciu przez niego posady powiedziano mu, że powinien spotkać się z Conconim, biochemikiem pracującym na uniwersytecie w Ferrarze.

Owo spotkanie pozbawiło Sandra złudzeń. Conconi z entuzjazmem mówił o programie dotyczącym wykorzystania dopingu wydolnościowego, który miał już poparcie Włoskiej Federacji Lekkiej Atletyki (Federazione Italiana d'Atletica Leggera – FIDAL) i CONI. W tamtym czasie transfuzje krwi nie były zakazane i Sandro został poproszony o skierowanie kilku swoich biegaczy do udziału w programie.

Szybko domyślił się, że Conconi uważa pracę trenerską za podrzędną w stosunku do jego transfuzji. Rozmawiał więc ze swoimi zawodnikami, nakreślając im wybór, przed którym stoją. Żaden z nich nie chciał być częścią wielkiego planu Conconiego. Sandro zyskał wroga. I to potężnego. Pojawiły się naciski z góry, które nie ustawały.

Sandro nie wziął udziału w programie. W przeciwieństwie do reszty trenerów kadry lekkoatletycznej i wszystkich pozostałych dyscyplin sportu. Conconi pracował z zawodnikami uprawiającymi kolarstwo, kajakarstwo, wioślarstwo, biegi narciarskie, łyżwiarstwo szybkie, pływanie, zapasy i lekką atletykę. Sandro nie przestawał kręcić głową. Nie.

– On był przekonany, że powinienem się tym zainteresować. Powiedział: „Możemy ściąć od 30 do 40 sekund na dystansie dziesięciu kilometrów, 15 do 20 sekund na pięć kilometrów i być może kolejne 5 sekund w biegu na półtora kilometra”.

To była przyszłość, ale Sandro wiedział, czym to pachnie. Rozwiązanie znalazł dopiero w 1985 roku. Za sprawą pomocnego polityka i nowego prawa transfuzje krwi zostały uznane we Włoszech za doping. Reszta świata miała pójść ich śladem. Niewielkie zwycięstwo z bestią, która nigdy nie umiera.

Jest rok 1994 i Sandro znów jest na linii frontu. Tym razem walczy z potomkiem transfuzji w prostej linii – EPO. Przypomina to *sequel* oryginalnego filmu: ten sam czarny charakter dysponujący bardziej wyszukanym arsenałem. Zastrzyk rekombinowanej erytropoetyny, EPO, którego podanie trwa sekundy i po którym w ciągu kilku minut liczba czerwonych ciałek krwi w organizmie sportowca rośnie i mnoży się. *Ta da!* Sandro wiedział, że ten środek może zniszczyć sport.

Doktor Mario Pescante, ówczesny prezes CONI, przyjął od Donatiego *dossier* na temat EPO (jak się później mówiło o tym dokumencie),

podziękował i nic się nie wydarzyło. Kilka lat później jakimś sposobem raport trafił do „La Gazzetta dello Sport” a następnie do „L'Équipe” (żeby tak się stało, Donati musiał wykraść go z powrotem i doprowadzić do przecieku). Pescante został odwołany ze stanowiska szefa CONI.

Bestii nie da się jednak zabić. Pescante jest obecnie wiceprezesem Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego i ministrem sportu w rządzie Włoch³¹. Conconi okazał się równie niezniszczalny. W latach osiemdziesiątych zajmował się dopingiem wydolnościowym, później, w latach dziewięćdziesiątych, pomagał sportowcom w stosowaniu EPO, a jednocześnie był uważany za człowieka stojącego po stronie władz sportu. Posiadał osobliwy talent do bycia po obu stronach jednocześnie.

I tak w surrealistycznym świecie włoskiej polityki wobec sportu tamtejszy komitet olimpijski sam poprosił niemiecką firmę farmaceutyczną o dostarczenie Conconiemu EPO, żeby kontynuował badania mogące doprowadzić do stworzenia testu na jego obecność w organizmie. Ta wspaniałomyślność doprowadziła do powstania niesławnych akt Conconiego dotyczących EPO, jego „grupy badawczej składającej się z dwudziestu trzech amatorów”, którą w rzeczywistości stanowiło dwudziestu dwóch zawodowych sportowców i on sam. EPO, dzięki uprzejmości Włoskiego Komitetu Olimpijskiego, było wykorzystywane do oszukiwania. Witamy w nowym wspaniałym świecie z jego Orwellowskim językiem: nowomową. Tylko ktoś taki jak Donati mógł chcieć nadal brodzić w tym bagnie.

Sandro i ja spotkaliśmy się po raz pierwszy w Rzymie w 2000 roku. Zabrał mnie do swojej ulubionej pizzerii i wtedy zrozumiałem, że w świecie antydopingu z mozołem pokonywałem pagórki, podczas gdy Sandro wspinał się już tak wysoko, że był w stanie ujrzeć szerszy krajobraz. To, co zobaczył, przygnębiło go, ale nie pokonało.

Sandro powiedział mi coś ważnego: pościg za Lance'em Armstrongiem nie był tu najważniejszy, gdyż bardziej liczyła się ogólna perspektywa. Kolarstwo było o wiele ważniejsze niż jeden zawodnik. Źle by się stało, gdybym ścigał jednego i za bardzo utożsamił się z tą gonitwą. To, co mówił, miało sens, niemniej jednak nadal czułem, że Armstrong jest przypadkiem szczególnym. Żadna inna postać ze świata sportu nie miała równie dużego wpływu na swoją dyscyplinę, jak Armstrong miał na peleton.

Po roku 1998 i skandalu z ekipą Festina na kolarstwie na nowo zaciążył obowiązek walki z epidemią dopingu. Nie spełniono go jednak. Największym polem bitwy w tej wojnie był Tour w 1999 roku. Zwycięstwo Armstronga było dla peletonu wiadomością: „Róbcie jak dawniej, nic się nie zmieniło”. Kiedy władze urządzały koronację zbawcy Tour de France, najbliższa przyszłość tej dyscypliny wyglądała posępnie.

Sandro rozumiał znaczenie Armstronga, ale nie miał złudzeń co do sportu zawodowego.

– Oglądam igrzyska olimpijskie – powiedział – ale już nie staram się zapamiętywać nazwisk sportowców. To jest jak teatr, choć akurat teatr wolę, bo relacja między aktorem i widzem jest czysta. W teatrze, jakim jest sport, obaj wciąż udają, że to jest prawdziwe.

Niestety, to my, dziennikarze sportowi, często jesteśmy najbardziej gorliwymi promotorami tej obłudy.

Mniej więcej w tym okresie Sandro zaczął poświęcać więcej czasu na edukowanie młodych sportowców i ich trenerów w kwestii etyki sportu. Nie mam wątpliwości, że więcej osiągnie jako mentor niż jako tropiciel³².

W miarę jak rozwijała się nasza przyjaźń, rosło wzajemne zaufanie. Sandro pomógł mi poruszać się we włoskim podziemiu dopingowym. To przez niego poznałem we Florencji pogodnego policjanta Fulvia Goriego

i lepiej zrozumiałem mechanizm, z którym mamy do czynienia, tropiąc doping w każdej dyscyplinie sportu. To nie tylko jego wypaczenie, narażanie zdrowia sportowców, robienie kibiców w konia: to biznes.

Kiedy słyszę, jak dziennikarze narzekają, że nie ma sensu zadawać pytań ani grzebać za kulisami wydarzeń, co do których mają podejrzenia, tracę dla nich sympatię. Nie dlatego że uważam siebie za superszpicla kopiącego głębiej i głębiej, ale dlatego że zazwyczaj odpowiedzi nie są zakopane zbyt głęboko. Zwykle ktoś już tam był przed tobą i zadawał odpowiednie pytania.

Jako młody człowiek zakochany w Seanie Kellym i mitologii peletonu, Sandro obserwował początek wydarzeń, które teraz układają się w idealną oś czasową nowoczesnego oszustwa. W pewnym momencie chcieliśmy myśleć, że programy stosowania dopingu były czymś, co ambitne państwa realizowały równoległe z planami gospodarczymi i zakrojonymi na szeroką skalę manewrami wojskowymi. Niemniej jednak trzydzieści lat temu wyzwoliliśmy świat i każdy mógł sam wykroić dla siebie kawałek obłudy.

Kiedy w 1981 roku Sandro spotkał się z Franceskiem Conconim, żeby porozmawiać (jak sam mówi, został wtedy wprowadzony do jaskini dopingu), świat był bardziej niewinny. Byli w nim już jednak ludzie tacy jak Conconi, którzy zamierzali go zmienić. Pionierzy, można by powiedzieć.

Chcąc dostrzec złożoność systemu zarządzania jakimkolwiek zorganizowanym oszustwem, trzeba przyjrzeć się nazwiskom i działaczom będącym blisko z Conconim. Mario Pescante, jeden z działaczy najwyższego szczebla w światowym sporcie, nie zrobił nic z pierwszym *dossier* na temat EPO. Niezjący już Primo Nebiolo, kierujący IAAF, wiercił Sandrowi Donatiemu dziurę w brzuchu, żeby wziął udział w dopingowym programie Conconiego.

Księżę Alexandre de Mérode, niegdyś car dopingu w Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim, zatrudnił Conconiego w komisji medycznej Komitetu i pomógł sfinansować jego badania, dzięki którym miał on rzekomo opracować test pozwalający stwierdzić stosowanie EPO. Akredytowane przy MKOl Laboratorium Antydopingowe w Rzymie pracowało jedynie nad stwierdzeniem, po jakim czasie ślady niedozwolonych substancji znikną z próbek moczu poszczególnych sportowców.

Zarówno te, jak i wiele innych informacji dostępnych było już wcześniej. Trzeba było jedynie je prześledzić i podziwiać Sandra Donatiego za to, że mimo podróży przez tak cudaczny krajobraz skorumpowanego sportu udało mu się pozostać przy zdrowych zmysłach. Sandro śmieje się na wspomnienie przyjemności, jaką sprawiło mu to, że na początku lat dziewięćdziesiątych znowu sobie o nim przypomniano i mianowano go szefem Wydziału Badań i Eksperymentów (Divisione Ricerca e Sperimentazione) CONI. Chcielibyśmy, abyś teraz dołączył do naszej uczciwej, dynamicznie rozwijającej się komisji antydopingowej, Sandro. I co najlepsze, wśród twoich kolegów znajdzie się wybitny profesor Conconi, którego, jak sądzimy, już znasz. Tak było cały czas. O czymkolwiek byśmy rozmawiali, Sandro wcześniej już tam był, robił to i najczęściej otrzymał za to reprimendę.

Drażnienie? Należało bardziej skupić się na śledzeniu strumienia pieniędzy, oszustów i osób niekompetentnych. Musieliśmy wytypować zwyczajowych podejrzanych: dyscypliny sportowe zarządzane przez durni, sportowców i agentów próbujących się dorobić oraz lekarzy, którzy przeszli na ciemną stronę. Sandro już wcześniej wykonał brudną robotę. Nie był rozgoryczony. Jednak kiedy zostaliśmy znajomymi, był już nieco sceptyczny co do dziennikarskiego entuzjazmu.

Mimo to lepiej mieć jakieś towarzystwo w okopach niż żadnego. Proponował mi, że mną pokieruje i doda mi otuchy. Mądrze wskazał na konflikt interesów istniejący między instytucjami medialnymi zaangażowanymi finansowo w dyscypliny sportu, które później opisują. Kolarstwo jest oczywistym przykładem: Giro d'Italia organizuje firma będąca właścicielem „La Gazzetta dello Sport”; Tour de France – właściciel „L'Équipe”, nawet Team Sky jest sponsorowany przez BskyB będący częścią News Corp, głównego udziałowca „The Sunday Times”. Mediom byłoby trudno się wyplątać z tego typu mariażu.

Sandro zakończył nasz wspólny posiłek kilkoma ciepłymi słowami zachęty, przypominając mi, że dążenie do ideału nie musi być wcale czymś wstydlivym w tym zblazowanym, przesiąkniętym ironią świecie. Będąc dziennikarzem, masz zawodowy obowiązek uczciwości i informowania opinii publicznej o wszystkim zgodnie ze stanem faktycznym.

To dawało do myślenia, ale jednocześnie stanowiło zachętę do działania. Następnym krokiem było podjęcie tropu w miejscu, gdzie Conconi się wycofał, a pałeczkę po nim przejął jego najlepszy uczeń Michele Ferrari.

Wiedziałem, że Ferrari pracował z najlepszym przyjacielem Lance'a Armstronga i jego kolegą z teamu Kevinem Livingstonem. Wydawało się mało prawdopodobne, aby Livingston, jeden z wyznawców życia, trafił do Ferrariego z własnej woli.

Byłem kilka kroków w tyle za Donatim. Filmowy potwór Wiktora Frankensteina miał spore poczucie humoru. Kiedy stanął przed swoim stwórcą, przedstawił mu się, mówiąc: „Dobry wieczór, jestem Adam twojej pracy”. Kiedy myślę o Lansie Armstrongu i o tym, w jaki sposób stał się największym farmaceutycznym potworem, jakiego kiedykolwiek widział

peleton, mam przed oczami Michele Ferrariego jako Frankensteina. Nie jestem pewien, czy którykolwiek z nich miałby coś przeciwko.

– Sie ma, Michele, jestem Lance, jestem twoim Adamem, ziom!

Następnie wyobraźcie sobie wzruszającą scenę rozgrywającą się pewnego ranka na progu nierzucającej się w oczy willi stojącej wśród drzew, nieopodal Ferrary, zakurzonego, ale eleganckiego miasteczka uniwersyteckiego, kilka chwil potem, jak kurier doręczający paczkę zapukał do dębowych drzwi. Jest czerwiec 2000 roku i Michele Ferrari, wciąż w szlafroku, z uśmiechem na ustach kwituje odbiór przesyłki. Amazon – Panie, pobłogosław ich dotcomowe serca – przesłał zamówiony przez niego egzemplarz przełomowej książki Lance’a Armstronga *Mój powrót do życia. Nie tylko o kolarstwie*. Radośnie rozrywa mocny karton i przez chwilę wpatruje się w znajomą, przystojną twarz pochylającą się ku niemu z okładki. Choć Michele Ferrari nie należy do mężczyzn potrzebujących aplauzu tłumów, zastanawia się, w jaki sposób został uwzględniony w indeksie.

Może pod literą „F”? Najpewniej. **Ferrari**, Michele, jestem jego dłużnikiem, geniusz, nauki *et cetera*.

Może więc pod „K”. **Kahuna**, Wielki, mądrość.

A może „M”. **Michele**, przyjaciel, lekarz, odpowiedni człowiek do wykonania zadania.

Być może pod „S”. **Schumi**, czułe zdrobnienie od Michele.

Zazwyczaj Michele Ferrari nie pozwala sobie, aby ludzie wzbudzali w nim uczucie zawodu, ale w tej chwili czuje, że jego rola została umniejszona. W książce opowiadającej o jego największym dziele nie ma indeksu? Lance, przecież nie tylko powiedziałem ci, co może działać EPO, jak oszukać testy, ale podałem ci też liczby. Żadnego indeksu. Musi zatem przewertować książkę rozdział po rozdziale. Oczy skaczą mu ze strony na

stronę, szukając słów: „Ferrari”, „Michele” czy choćby „Schumi”. Ale nic tam nie ma. *Rien! Nichts! Nada! NIENTE!*

Pracujesz z gościem przez pięć lat, tworzysz go, a teraz to? Nic od Adama twojej pracy. I to w książce wyraźnie zatytułowanej *Nie tylko o kolarstwie?*

Po ciemnej stronie świata dopingu jest się samotnym.

W peletonie dużo się mówi o Michele Ferrarim, ale rzadko się go widuje. Od czasu do czasu zjawia się niczym duch, a potem ulatnia z hotelu, w którym nocuje team, ale mówi się, że się przebiera, żeby nikt go nie rozpoznał. Najczęściej jednak wykonuje swoją pracę w nierzucającym się w oczy kamperze. Po zakończeniu etapu jego klienci wślizgują się do środka, zakładają ciemne okulary i mocniej naciągają czapki bejsbolowe. Wiemy, że czasem odbiera telefony od Johana Bruyneela, *directeur sportif* Lance’a, zastanawiającego się, czy rywal, który uciekł w górach, może utrzymać swoją pozycję w klasyfikacji generalnej.

Wiemy, że jeśli kolarz jest Włochem, może mówić o Ferrarim *Il Mito* – Mit. Albo, jeśli jest Amerykaninem, może używać imienia, które ukuł sam Armstrong: Schumi. Tak jak w przypadku Michaela Schumachera i włoskiego bolidu Ferrari, którym niegdyś jeździł. Wiemy również, że Ferrari jest ważny w ramach osi czasowej. Albo osi krwi. Conconi stworzył Ferrariego. Ferrari stworzył Lance’a. A Lance może być twórcą nowego pokolenia dopingowiczów.

Wszystko, co wiemy, to rzeczy, które Michele Ferrari wolałby utrzymać w tajemnicy przed nami. Ferrari bardzo rzadko udziela wywiadów. Pracuje najczęściej po cichu. Kiedy mówimy o dopingu i wszystkich odcieniach braku moralności, hipokryzji, zaangażowania i strachu związanych z tym zagadnieniem, Ferrari znajduje się w centrum tej łąmigłówki. Myślmy o nim, o ludziach takich jak on i umowach, jakie zawarli. Stoi na drugim

brzegu moralnej debaty na temat dopingu, wpatrując się w nas, których własne obawy wprawiają w zakłopotanie. Szaleni fanatycy nakręceni czymś, co Philip Roth nazwał „ecstasy bigoterii”.

Ecstasy nie ma z tym nic wspólnego. Nie chodzi też o bigoterię. Kiedy Sandro uświadamiał mnie na temat początków tego dopingu, według niego punktem, od którego wszystko się zaczęło, był moment na początku lat osiemdziesiątych, kiedy Francesco Conconi postanowił zastąpić fiński wynalazek w postaci dopingu wydolnościowego stworzoną przez siebie jego śródziemnomorską wersją.

Żeby przyjrzeć się temu, w jaki sposób Lance stał się tym wszystkim, czym był, muszę cofnąć się do mojego punktu wyjścia w jego historii. Dzieciak, którego poznałem w 1993 roku w Grenoble, był bezczelny i arogancki. To na pewno. Wątpię jednak, żeby dużo wówczas myślał o igłach i tabletkach. Kilka trudnych, otrzeźwiających lat to zmieniło. Sezon 1994 był szczególnie kształcący dla wszystkich w ekipie Motoroli, w której jeździł wówczas Armstrong.

Kto zabił Lance’a podczas Flèche Wallonne owego popołudnia w Belgii? Chłopcy z teamu Gewiss: Argentin, Furlan i Bierzin. A kto go stworzył? Ferrari. Jeśli chcesz być najlepszy, pracujesz z najlepszymi. Po tym dniu jeszcze jeden Tekszańczyk miał dość dostawania batów.

Przedstawił ich sobie Eddy Merckx, stary pożeracz szos. Wiosną 1995 roku syn Eddy’ego Axel dobrze pojechał w barwach Motoroli w klasyku Mediolan – San Remo. Był jedynym zawodnikiem teamu, który nie przyniósł jej wstydu. Zajął dwudzieste pierwsze miejsce. Axel to nie Eddy i dwudziesta pierwsza pozycja nie była najgorsza. Zawodnicy wiedzieli, że Axel pracował z Ferrarim.

Armstrong i Eddy rozmawiali o Ferrarim i Eddy zadzwonił do niego. Czy Michele mógłby przyjąć nowego klienta? Silnego dzieciaka. Wiesz,

mistrza świata z 1993 roku. Ferrari opierał się, ale ostatecznie w listopadzie 1995 roku Armstrong pojechał do średniowiecznego miasteczka Ferrara i spotkał się z Michele Ferrarim. Spotkanie to odmieniło życie ich obu.

Ferrari nie wpadł w zachwyt, kiedy po raz pierwszy zobaczył Armstronga. Był silny fizycznie, ale za ciężki. Jego ramiona, niczym ramiona pływaka, dźwigały zbyt dużo bezużytecznych mięśni. Tak, być może uda się zwędzić jakieś zwycięstwo w jednodniowym klasyku, ale to ciało nie wytrzyma długiego wyścigu.

Mimo to po poddaniu Armstronga badaniom Ferrari był dobrej myśli. Nie dlatego że zawodnik był wyjątkowy z fizjologicznego punktu widzenia (bo nie był), ale ze względu na odpowiednie nastawienie. Umiał znosić ból i po skończeniu testów zadawał właściwe pytania. Najlepsi uczniowie to tacy, którzy umieją się uczyć. A ten chciał nauczyć się wszystkiego.

Ferrari powiedział Armstrongowi, że może do niego wrócić. Od tamtej pory blisko współpracowali, a Lance regularnie pokonywał trzygodzinną trasę z Como do Ferrary. Na początku kolejnego roku jego ekipa udała się na obóz treningowy do San Diego. Ferrari przyjechał tam z Włoch, a kiedy roku później u Armstronga wykryto raka, pozostali w kontakcie.

W styczniu 1997 roku Armstrong, wspólnie z Livingstonem, Bobbym Julichem i Frankiem Andreu, przyjechał do Europy na coroczną prezentację francuskiego teamu Cofidis, w którego barwach miał się ścigać. Złożył także cichą wizytę Ferrariemu, z którym się przyjaźnił. W lutym 1997 roku Lance dowiedział się, że wygrał walkę z rakiem, i wkrótce potem rozpoczął długą i mozolną drogę do odbudowania kariery. Michele Ferrari znalazł idealny materiał do stworzenia dzieła swojego życia.

Ferrari dorastał w Ferrarze, tradycyjnym miasteczku uniwersyteckim, w którym wspaniałe stare kamienice i place ożywają dzięki energii, jaką wnoszą do niego studenci. Jako nastolatek Ferrari był niezłym biegaczem.

Jeszcze jako uczeń zdobył mistrzostwo kraju w biegu na tysiąc metrów. Był wystarczająco dobry, żeby musieć dokonać wyboru: studia czy sport? Wybrał edukację i został w rodzinnym miasteczku, żeby studiować medycynę na tamtejszym uniwersytecie.

Jeden z jego profesorów miał podobne zainteresowania. Doktor Francesco Conconi i Ferrari często razem biegali, a następnie, ręka w rękę, wracali do pracy w laboratorium. W 1981 roku Ferrari był asystentem Conconiego, kiedy ten wynalazł prosty test pozalaboratoryjny znany jako test Conconiego. Pozwalał on sportowcom określić próg przemian anaerobowych (beztlenowych) [PPA – przyp. tłum.], a przede wszystkim maksymalną prędkość, jaką są w stanie osiągnąć.

Podczas biegu na bieżni stacjonarnej [w przypadku kolarzy stosuje się trenażery – przyp. tłum.] Conconi mógł zmierzyć puls badanej osoby na różnych poziomach obciążenia, zaznaczając liczbę uderzeń serca na jednej osi, a prędkość na drugiej. Puls zwiększa się wówczas mniej więcej liniowo do momentu, w którym następuje jego stabilizacja. Punkt ten nazywa się progiem anaerobowym. Test trwa, dopóki zawodnik znacznie nie przekroczy tego progu.

Test ten uważano za narzędzie przydatne do lepszego zrozumienia potencjału wytrzymałościowego sportowca, niemniej jednak Conconi miał w zanadrzu o wiele bardziej ekscytujące odkrycia. Wiedza na temat możliwości człowieka to jedno, ale posiadanie środków, dzięki którym będzie mógł je przekroczyć, to zupełnie co innego. Transfuzje krwi, a następnie EPO były narzędziem przyszłości, a grupa doktorów z uniwersytetu w Ferrarze wskazywała do niej drogę.

Musieli zdecydować, po której stronie staną w mającej się niedługo rozpocząć wojnie. Conconi sprytnie opowiedział się za jedną, udając

jednocześnie, że stoi po drugiej. Ferrari to zupełnie inna para kaloszy. Nigdy nie chciał, by widziano go po stronie establishmentu.

W 1984 roku spokojne tempo uniwersyteckiego życia zaczęło się Ferrariemu nudzić. Lubił pracować z włoskim kolarzem Franceskiem Moserem, rekordzistą świata w jeździe godzinnej na czas z Mexico City z 1984 roku. Wszyscy wiedzieli, że Moser był przyjacielem i klientem Conconiego, ale nikomu nie podobała się rola, jaką odgrywał Ferrari. To właśnie wtedy dzięki wpływom Mosera został on lekarzem w jego teamie Gis Tuc Lu.

Jako lekarz teamu pracował do roku 1994. W tym czasie był członkiem zespołu Gewiss-Ballan i zyskiwał coraz większą sławę. Widział siebie bardziej w roli *preparatore* (trenera przygotowania fizycznego) niż lekarza³³. Ferrari z uczuciem mówił o swoich początkach i pracy z kolarzami takimi jak Moser i szwajcarską gwiazdą Tonym Romingerem³⁴. Moser i Rominger byli silnymi facetami w typie, który odpowiadał Ferrariemu. Jeszcze więcej tej siły dostrzegł w Armstrongu.

Na początku lat dziewięćdziesiątych Ferrari zyskał rozgłos jako guru zwiększania wydolności organizmu. Jego reputacja zależała jednak od tego, kogo o niego zapytać. Klienci zawodowcy gromadzili się wokół niego i po cichu opowiadali o nim innym³⁵. Poza kręgiem kolarzy chętnie oddających Ferrariemu część swoich zarobków istniał świat domysłów i plotek na temat tego, co tak naprawdę kupowali ci chłopcy³⁶.

Coś musiało się wydać. I wydało się. 12 sierpnia 1998 roku karabinierzy zrobili nalot na willę Ferrariego, zabezpieczając głównie dyski z plikami i zapiskami. Wśród nich były dzienniki treningów jego klientów. Lance Armstrong miał szczęście, że policjanci zajęli pliki z danymi dotyczącymi 1997 roku, który spędził, wracając do zdrowia w Ameryce.

W czasie tego roku pozostawał w kontakcie z Ferrarim, ale nie był u niego częstym gościem. Poza tym nie ścigał się, więc nie potrzebował dopingu.

Ferrari powiedział później przeprowadzającemu z nim wywiad dziennikarzowi „Cycling News”, że zapytał oficera dowodzącego akcją, czego dokładnie szukają. Policjant odpowiedział: „Chcemy wiedzieć, czym się pan zajmuje”.

Wśród kolarzy, których akta wyszły na światło dzienne, byli: Claudio Chiappucci, Axel Merckx, Gianluca Bortolami (jego team Festina znalazł się w centrum o miesiąc wcześniejszego skandalu) i Kevin Livingston.

Od początku byłem przekonany, że Armstrong musiał pracować z Ferrarim, i rozmowy z Sandrem Donatim tylko mnie w tym utwierdziły. We wrześniu 2001 roku przed sądem w Bolonii miał się rozpocząć proces Michele Ferrariego. Miało to nie być ostatnie takie jego doświadczenie. Na początku tego samego roku Sandro skontaktował mnie ze swoimi informatorami wśród karabinierów z grupy do walki z narkotykami we Florencji. Dokumenty z zabezpieczonego komputera Ferrariego pokazano mi tylko dlatego, że jestem przyjacielem Sandra Donatiego. Przejrzałem je pod kątem liczb obok nazwiska Livingstona³⁷. Duże wahania jego hematokrytu: od bardzo niskich wartości w okolicach 40 do zbliżających się do 50, wskazywały na stosowanie przez niego EPO.

To było intrygujące. Livingston był dobrym, lubianym członkiem zespołu, jednak raczej typem, który pójdzie za przykładem innych, niż sam ich poprowadzi. Jego związki z Ferrarim musiały zacząć się po tym, jak Armstrong rozpoczął z nim współpracę, nie wcześniej. Livingston podziwiał Armstronga³⁸. Jego powiązania z Ferrarim kazały postawić oczywiste pytania.

31 Stanowisko to zajmował w latach 2009–2012. Obecnie jest przewodniczącym Komisji Stosunków Międzynarodowych MKOl. Urzędującym ministrem sportu Republiki Włoskiej jest Piero Gnudi – przyp. tłum.

32 W lutową noc 2004 roku, kiedy Marco Pantani, zwycięzca Tour de France w 1998 roku, został znaleziony martwy w swoim pokoju hotelowym, rozmawiałem z Sandrem Donatim. Był zasmucony tą tragedią i zły na tych, którzy do niej doprowadzili, zwłaszcza na lekarzy pomagających Pantanemu stosować doping. „Właśnie oglądałem we włoskiej telewizji zdjęcia z jego triumfów w Tour de France i Giro d’Italia. To nie było nic innego jak tylko pornografia. Życie i śmierć Pantaniego miały znaczenie, ale na tych zdjęciach nie sposób go odnaleźć”.

33 Kilka lat później Ferrari rozmawiał z „Cycling News”. Podczas zabawnie delikatnego i miejscami wprawiającego w osłupienie wywiadu prowokował do wymiany zdań w tym stylu:

„Doktor M.F.: Gdyby mnie pan poprosił »niech pan zdefiniuje swoje metody”, musiałbym powiedzieć, iż wyniki badań kolarzy odzwierciedlają całkiem złożone, konkretne naukowe aspekty i wartości. Potrzebowałbym dużo czasu, żeby to panu wyjaśnić...

»Cycling News«: Przykład niektórych kolarzy, których pan przygotowywał, pokazuje, że pracuje pan z nimi w szczególny sposób, stosując humanistyczne podejście, które bardzo im odpowiada”.

Nie do końca przypomina to hiszpańską inkwizycję.

34 Zwłaszcza Rominger mógłby życzyć sobie, żeby Ferrari był mniej wylewny. Pod koniec 2012 roku gazety donosiły, iż Rominger „zaprzeczył oskarżeniom, jakoby jego firma menedżerska była powiązana z czymś, co według włoskich śledczych jest siatką mającą na celu finansowanie doping, pomoc w unikaniu podatków i praniu pieniędzy”. „La Gazzetta dello Sport” pisała w październiku 2012 roku, że szeroko zakrojone śledztwo w sprawie działalności Ferrariego otworzyło „puszkę Pandory”, ujawniając podejrzane interesy, w tym pranie brudnych pieniędzy przez różne państwa europejskie. Wśród osób będących przedmiotem zainteresowania w śledztwie znaleźli się też kolarze.

35 Dopiero po sześciu latach od nawiązania przez nich współpracy niektórzy z kolegów Armstronga z teamu zorientowali się, że pracuje on z Ferrarim. Można przyjąć też, że autorka widmo jego autobiografii Sally Jenkins również o tym nie wiedziała, gdyż w *Nie tylko o kolarstwie* nie ma żadnej wzmianki o *maestro*.

36 W grę wchodziły całkiem duże pieniądze. Oto transakcje między Armstrongiem i Ferrarim ujawnione przez USADA w raporcie z 2012 roku:

21/2/1996: \$14 089,65 CREDITO SWIFT NATIONSBANK NA 1, NATIONS HEADQUA O-LANCE ARMSTRONG AC-XXXXXXX RE F.XXXXXXXX USD 13615 – LESS CO USD 14’089.65 (wyciąg bankowy)

9/5/1996: \$28 582,33 CREDITO SWIFT LANCE ARMSTRONG AC/XXXXXXX./SPESEN/SKA US 7.32 USD 28’582.33 (wyciąg bankowy)

24/7/1996: \$42 082,33 CREDITO SWIFT LANCE ARMSTRONG. LINDA WALLING/RFB/XXXXXXXXX/CABLE ADV AT NOC USD 42'082.33 (wyciąg bankowy)

6/5/2002: \$75 000,00 Armstrong L. – US\$ 75'000. – (wpis w dzienniku)

29/8/2002: \$75 000,00 Armstrong L. – US\$ 75'000. – (wpis w dzienniku)

5/6/2003: \$100 000,00 Lance Armstrong US\$ 100'000. – (wpis w dzienniku)

10/9/2003: \$75 000,00 Lance Armstrong US\$ 75'000. – (wpis w dzienniku)

6/10/2003: \$300 000,00 Lance Armstrong US\$ 300'000. – (wpis w dzienniku)

2/7/2004: \$110 000,00 AVIS DE CREDIT DONNEUR D'ORDRE: /LANCE ARMSTRONG XXXXXXXXXXXX AUSTIN TEXAS 78703 USD 110,000.00 (wyciąg bankowy)

29/3/2005: \$100 000,00 Avviso di accredito D'ORDINE DI LANCE ARMSTRONG USD 100 000.00 (wyciąg bankowy)

31/12/2006: \$110 000,00 Lance Armstrong US\$ 110'000. – (wpis w dzienniku)

Łącznie: 1 029 754,31 dolarów.

37 Były to materiały, do których w 2012 roku odwołała się w swoim raporcie USADA. „Podczas przeszukania jego domu w ramach pierwszego śledztwa w sprawie dr. Ferrariego wśród należących do niego dokumentów znaleziono wiele odręcznie spisanych planów treningowych dla Kevina Livingstona. Kolarze, którzy współpracowali z dr. Ferrarim, opisali przygotowywane przez niego odręcznie plany treningowe. Zeznali, iż umieszczał on adnotacje na ich planach, zaznaczając daty, kiedy mieli przyjąć środki zwiększające wydolność. Na wszystkich planach treningowych znajdujących się w dokumentach dotyczących Kevina Livingstona widocznych jest wiele »gwiazdek«” – stwierdziła USADA.

38 Znajomość Livingstona z Armstrongiem jest jedną z nielicznych, jakie przetrwały. Prowadzi on centrum fitness Pedal Hard mieszczące się obok należącego do Armstronga sklepu z rowerami Mellow Johnny's w Austin w Teksasie. Livingston był oprócz Armstronga jedynym amerykańskim kolarzem, który odmówił współpracy z USADA podczas jej śledztwa w sprawie teamu US Postal.

ROZDZIAŁ 8

*Nie powinniśmy ufać sobie wzajemnie. To
nasza jedyna obrona przed zdradą.*

Tennessee Williams

W kwietniu 2001 roku zadzwonił do mnie Bill Stapleton. Był szary, suchy poranek w Anglii i dopiero co zatrzymałem się na parkingu przed gabinetem mojego dentysty. I telefon, i planowana wizyta sprawiły, że byłem podekscytowany.

W tym życiu pamięta się dwie najważniejsze rzeczy. Pierwsza: gdzie byłeś, kiedy został zastrzelony Kennedy. Druga: gdzie byłeś, kiedy zadzwonił Stapleton. Podczas ubiegłorocznego Touru to Bill pochylił się nade mną w centrum prasowym i grzecznie zaproponował, żebym dokonał życiowego wyboru. Jeśli nie będę postępował zgodnie z programem, ludzie Lance'a zajmą się mną. Ale jeśli nie będę wywoływał wilka z lasu, być może za jakiś czas będę miał łatwy dostęp do mistrza.

Kij czy marchewka? Mój wybór.

Choć próbowałem tego nie okazywać, pochlebiało mi to, że moja osoba nie jest zupełnie obojętna dla obozu Armstronga. Od tamtej pory nie rozmawialiśmy ze sobą i zaczynałem już myśleć, że najprawdopodobniej nic ich nie obchodzi. Teraz, podobnie jak poprzednio, Bill przedstawił siebie jako emisariusza przybywającego w pokoju. Wspomniał, że on

i Lance wiedzą o pewnych ludziach, z którymi rozmawiałem, i o pytaniach, jakie im zadawałem.

Zrobił pauzę, wziął głębszy oddech i przemówił.

– Davidzie, wiem, że między tobą i Lance'em nie jest najlepiej. Jednak Lance byłby gotów udzielić ci wywiadu.

– Kiedy?

– Kiedy tylko przyjedziesz do Francji.

Bez zastanowienia chciałem chlapanąć słowo „tak”. Chciałem mu powiedzieć: – Bill, miałeś mnie już, kiedy usłyszałem twoje „cześć”.

Ale żadne słowa nie przeszły mi przez usta. Zdałem sobie sprawę, że nie chciałem, żeby Bill zameldował Lance'owi, że tak, plan się powiódł: Walsh trysnął entuzjazmem i telefonicznie padł mi w ramiona na samą wzmiankę o wywiadzie. A nie mówiłem, koleś?

Powiedziałem Billowi, że oddzwonię do niego. Następnie usiadłem w fotelu dentystycznym, żeby przeżyć godzinę kontemplacji po całkowicie legalnych zastrzykach.

Audjencja u Lance'a. Interesujący pomysł. To, że wyszedł z jego obozu, było intrygujące. Większości gazet bardzo zależy na takim dostępie do mistrza. Wywiad z wielką gwiazdą, nawet bezbarwny, jest tańszy i łatwiej się sprzedaje niż długie śledztwa z prawnikami krążącymi dokoła niczym sępy. To była duża szansa, ponieważ miałem mnóstwo pytań o doping, które chciałem zadać Armstrongowi.

– Alex – powiedziałem tego popołudnia redaktorowi sportowemu „Sunday Timesa” – pozwól, że cię dziś uszczęśliwię.

– Proszę bardzo.

– Mam umówiony wywiad w tym tygodniu.

– Z kim?

– Z Armstrongiem.

– Nie?

– Tak. Jego prawnik-agent Bill Stapleton dzwonił do mnie. Chcą, żebym pod koniec tego tygodnia przyjechał do Francji.

Dostałem małą gwiazdkę do przypięcia do garnituru, a moje zdjęcie trafiło na tablicę z napisem „pracownik tygodnia”. Drugie miejsce należało do Alexa.

Moje myśli zwróciły się ku Lance’owi. Albo raczej w stronę wywiadu Frosta z Nixonem, jak wkrótce zacząłem go traktować. Być może Lance uważał, że ta rozmowa może być pierwszym rozdziałem przyjaźni odnowionej w celach taktycznych. Może ta cała sprawa z prochami była zwykłym nieporozumieniem. A może po prostu sądził, że będzie w stanie mnie zmiążdżyć.

Gdyby przypomniał sobie naszą rozmowę z 1993 roku, wiedziałby, że nie myślę obsesyjnie wyłącznie o dopingu. Gawędziliśmy wówczas przez trzy godziny, ani razu o nim nie wspominając. Rozmawialiśmy ze sobą tak, jak może to robić dwóch mężczyzn z pasją: moją było kolarstwo, jego odnoszenie zwycięstw i wykorzystanie szansy, jaka stała przed jego karierą. Być może chciał mi pokazać, że ten człowiek, do którego poczułem sympatię tamtego wieczoru, wcale nie odszedł.

Dwa dni później przeprowadzałem wywiad z Lance’em Armstrongiem w hotelu La Fauvelaie nieopodal wioski Saint-Sylvain-d’Anjou, we wschodniej Francji. Siedzieliśmy w lobby zupełnie pustego hotelu. Lance miał na sobie ubranie z logo swojego teamu. Dało się od niego wyczuć delikatną obojętność. Siedzieliśmy ze sobą po raz pierwszy od owego popołudnia w Grenoble osiem lat wcześniej.

Dużo się zmieniło. Lance pozbył się kwadratowych, muskularnych ramion pływaka, które niegdyś miał, i choć był szczuplejszy, sprawiał

wrażenie silniejszego. Miał atletyczną sylwetkę. W tym czasie był już oczywiście dwukrotnym triumfotorem Tour de France. Jego zarobki z tytułu uprawiania kolarstwa szacowano na osiem milionów dolarów rocznie. Ale rower to nie wszystko. Kolejne pięć milionów zarabiał na reklamach. Donald Trump pojawił się na konferencji prasowej Lance'a w Nowym Jorku, żeby go posłuchać. Ludzie mówili o tym, jak gdyby było to coś dobrego.

Model Lance'a Armstronga z 2001 roku miał wszystko to, czego brakowało jego modelowi z 1993, a co chciał posiadać. Umiał teraz jeździć czasówki lepiej niż ktokolwiek inny, był najsilniejszy w górach i cieszył się wsparciem najlepiej wyposażonego i zorganizowanego teamu w peletonie. Wszystko to dało mu to, czego chciał najbardziej: kontrolę nad swoim przeznaczeniem.

Zachorował na raka.

Wyzdrowiał.

Wrócił.

Rozejrzał się.

I dał czadu.

Gdyby miał opisać to wszystko jednym słowem, powiedziałby: „świetnie”.

Dlaczego zatem siedząc naprzeciwko mnie na sofie ze sztucznej skóry, nie wygląda na szczęśliwego?

Być może dlatego że w rajskim ogrodzie nie wszystko kwitnie. Wie, że przynajmniej ja i wiele innych węży z rękoma podejrzewa, iż stosuje doping. Sprowadził mnie tutaj, żeby dowiedzieć się, co wiem, i na wszelki wypadek sprawdzić, czy można mnie kupić iluzją przyjaźni i obietnicą dostępu do siebie.

Jadąc na miejsce z Londynu, powiedziałem sobie, że wywiad uda się najlepiej, jeśli mój umysł pozostanie otwarty, a Lance będzie miał pełną szansę odpowiedzieć na pytania. Niemniej jednak spuścizna po Tourze z 1998 roku była taka, że nie mogło być już mowy o domniemaniu niewinności. W głowie cały czas miałem to, co powiedział mój przyjaciel Jean-Michel Rouet: „Dzięki aferze z udziałem teamu Festina dowiedzieliśmy się, że każdy w tej dyscyplinie może nas wydymać”.

Taka była prawda. Wystarczyło, że facet w żółtej koszulce powiedział: „cip, cip, cip, cip”, a my, kurczaki, zbieraliśmy się wkoło, żeby pożerać okruchy spadające nam do stóp.

Pierwszą rzeczą, o jaką zapytał Lance, było, czy miałbym coś przeciwko temu, żeby Bill Stapleton był obecny podczas wywiadu. Nie chciałem, żeby Bill wtrącał się do naszej rozmowy, ale język ciała Lance’a sugerował, że tak naprawdę nie pyta. Bill Stapleton usiadł więc i położył dyktafon na stole. Ja ustawiłem obok swój.

Następnie wyłożyłem karty na stół³⁹.

– Oto jak chciałbym do tego podejść, Lance. Będę ci zadawał pytania wyłącznie o doping, gdyż tylko to jest dla mnie ważne. Skoro nie wierzę w to, że go nie stosujesz, nie ma sensu pytać cię o kolejne wyścigi. Nie interesuje mnie to. Będzie to dla ciebie szansa, dzięki której być może przekonasz ludzi, że jesteś czysty.

Byłem całkiem spokojny, co jest zaskakujące, kiedy patrzę na to z perspektywy czasu. Nie lubię konfrontacji, a w następnych latach dzięki anegdotom o swojej umiejętności zastraszania ludzi Lance zyskał reputację socjopaty. Być może ocaliła mnie ta odrobina przekonania o własnej nieomyślności. A może konfrontacja ta była łatwiejsza, ponieważ poznaliśmy się osiem lat wcześniej, kiedy obaj byliśmy innymi ludźmi. Nie jestem twardzielem, ale nie czułem, żeby Lance w najmniejszym choćby

stopniu wzbudzał we mnie grozę. Niemal chciałem powiedzieć: „Hej, zaczekaj, znałem cię, kiedy byłeś dzieciakiem, i podobało mi się, jak po wejściu do świata kolarstwa zatrzasnąłeś za sobą drzwi tak mocno, że aż zatrzęśły się ściany”.

Spotykając się z nim teraz, zastanawiałem się, jak się rozwinął, co się zmieniło. Byłem przekonany, że stosuje doping, ale przecież nie przyznałby się do tego.

Interesowało mnie, jak radzi sobie z agresywnymi pytaniami. Dla mnie ten wywiad był szansą na nagranie odpowiedzi na pytania dotyczące kwestii, o których zazwyczaj nie musiał mówić.

– W porządku – odparł. – Zadawaj wszystkie pytania o doping, jakie tylko chcesz.

Moja taktyka polegała na tym, żeby zacząć od szerokich pytań natury ogólnej, mających zasugerować, że niewiele wiem. Lance miałby na nie wygodne odpowiedzi. Później mieliśmy przejść do szczegółów.

Zapytałem o klasyk Flèche Wallonne z 1994 roku znany jako wyścig, który uczynił Michele Ferrariego sławnym. Wszyscy znaliśmy tę historię. Kolarze przygotowani przez niego zajęli pierwsze, drugie i trzecie miejsca. Lance Armstrong był mocny tego dnia, gonił trzy ucieczki, ale nie był w stanie ich doścignąć. Podobnie jak wszyscy zawodnicy teamu Motorola został w końcu pokonany. Nie mieli ani jednego kolarza w pierwszej dziesiątce. Doping w jakimkolwiek sporcie nie zawsze ewoluuje stopniowo. Zdarzają się olbrzymie postępy. To był jeden z nich. Trzech kolarzy z tego samego teamu ucieka z peletonu podczas klasyku – to coś niesłychanego.

Moreno Argentin był pierwszy. Giorgio Furlan i Jewgienij Bierzin przyjechali na drugim i trzecim miejscu. Tego było już zbyt wiele. Wszyscy dziennikarze mieli pytania. Gdzie lepiej zacząć niż na dworze doktora

Michele Ferrariego. Było to tak oburzające, że dano sobie spokój ze zwyczajowymi subtelnościami.

Co z tym środkiem EPO?

– Samo EPO nie jest niebezpieczne – odpowiedział w sposób zapadający w pamięć dobry doktor – tylko jego nadużywanie. Podobnie jak niebezpieczne jest wypicie dziesięciu litrów soku pomarańczowego.

Team Gewiss zwolnił go, ale dzięki Flèche Wallonne i wypowiedzi o soku pomarańczowym Ferrari zyskał reputację. Gdyby rozpoczynał swój interes, rekomendując światu swoje usługi, nie mógłby wyraźniej dać do zrozumienia, co oferuje.

Był to jeden z punktów zwrotnych w historii dopingu. Ale nie dla Lance’a Armstronga.

– Ich lekarz Michele Ferrari w dniu zakończenia wyścigu wydał słynne oświadczenie, w którym stwierdził, że EPO nie jest bardziej niebezpieczne od soku pomarańczowego. Pamiętasz swoją reakcję na te słowa?

– [Długa pauza]. Ahmm, nie.

– Nie zastanawiałeś się nawet, czym jest EPO?

– Myślę, że czasem wypowiedzi mogą zostać wyrwane z kontekstu, i wtedy chyba tak właśnie sądziłem.

I tak to szło.

W połowie lat dziewięćdziesiątych dobrze wiedziano, że EPO jest podstawowym środkiem stosowanym przez wielu zawodników jadących w Tourze. Jak bardzo świadom tego zjawiska byli Lance i jego koledzy z teamu Motorola?⁴⁰

– Nie myśleliśmy o tym. Dla nas nie było problemu. To nie wchodziło w grę⁴¹...

W koło Macieju. Lance’a wersja omerty.

– Wiedziałeś o tym, że nazwisko Kevina [Livingstona, kolegi z drużyny US Postal] pojawia się w [policyjnym] śledztwie w sprawie Michele Ferrariego we Włoszech?

– Tak.

– Rozmawiałeś z nim o tym?

– Nie.

– Nigdy?

(Skinienie głową).

– Z gościem, który jest twoim najlepszym przyjacielem?

– Znowu pośrednio starasz się wciągnąć w to całą naszą dyscyplinę.

Klasyka! Nigdy nie zadawaj kolarzowi trudnych pytań! Nie stawaj okoniem.

Niszczysz sport. Obrzydzasz go wszystkim.

Podczas naszej rozmowy postać Michele Ferrariego wisiała nad nami niczym duch Banqua. Nazwisko Ferrariego zmuszało Lance'a do najbardziej pokrętnych wypowiedzi.

– Czy byłeś kiedykolwiek u Michele Ferrariego?

– Znam Michele Ferrariego⁴².

– Jak go poznałeś?

– Będąc kolarzem, jeździsz na wyścigi i poznajesz ludzi. Są na nich trenerzy od przygotowania fizycznego, lekarze. Znam lekarzy wszystkich teamów. To niewielka społeczność.

– Czy kiedykolwiek go odwiedziłeś?

– Czy mnie badał, czy konsultowałem się z nim w konkretnych sprawach?

Być może.

– Konsultowałeś się?

(Przyznaje skinieniem głowy).

– Będzie sądzony za zмовę przestępczą.

– Uważam, że prokuratorzy i sędziowie powinni ścigać wszystkich niezależnie od tego, kim są. Na tym polega ich praca.

Z perspektywy czasu osobliwą naturę tych odpowiedzi (i wykonywanie gestów w stylu Seana Kelly’ego, takich jak skinienie głową w kierunku dyktafonu) przypisuję pewnym obawom Lance’a, że mam większą wiedzę, niż miałem w rzeczywistości. Z pewnością był świadom, że rozpytywałem o jego powiązania z Ferrarim i byłem na komisariacie policji we Florencji, w którego piwnicach znajdowało się wiele pudeł z dokumentami zabezpieczonymi przez NAS podczas rewizji u lekarzy podejrzewanych o związki z dopingiem.

Nie mając pewności, co wiem, Lance pytany o kwestię wizyt u Ferrariego nie chciał ani zaprzeczać, ani potwierdzać. Dopiero przed rozpoczęciem Touru w 2001 roku byłem w stanie odtworzyć kalendarz wizyt Lance’a u włoskiego doktora.

W ciągu roku, który minął od naszej rozmowy, Armstrong ugruntował swoją pozycję ikony kolarstwa. Ludzie często mówili mi, jak mądrze umie sobie radzić z mediami i nimi manipulować. Nigdy tego nie zauważyłem. Na przykład zaprzeczanie, jakoby on i Kevin kiedykolwiek rozmawiali o Ferrarim, podczas gdy Kevin był zamieszany w sprawę przeciwko niemu, było zwykłą głupotą.

Jedno nie ulegało wątpliwości: zmienił się.

W klasycznym już nakręconym w późnych latach siedemdziesiątych filmie o kolarstwie i dojrzewaniu zatytułowanym *Uciekać* czterech młodych chłopaków z małego miasteczka w stanie Indiana wprowadza koloryt do swojego życia, rozpoczynając romans z zawodowym kolarstwem. Pisarzowi, który we mnie siedzi, bardzo by się podobało,

gdyby Lance ze swoim pokręconym dzieciństwem w Plano w Teksasie żył takim samym marzeniem.

Ale to nie on. On nie miał okresów, które można by pokazać w sepii. Nie miał czasu marzyć, chodząc od sklepu do sklepu i szukając sponsora, który finansowałby jego karierę nastoletniego triatlonisty. Kiedy nikt nie zdecydował się wyłożyć swoich pieniędzy, Lance kupił sobie koszulkę, na której w miejscu gdzie powinno znaleźć się logo sponsora, napisał: KOCHAM SWOJĄ MAMĘ.

– Nic nie wiem o historii kolarstwa – mówi.

Patrzę na niego i zdaję sobie sprawę, że to prawda. To nie jest gość z Hollywood. To wszystko, Tour de France to góra. Wszyscy ją widzą. Potrzebujesz planu i musisz sobie wyobrazić siebie stojącego na szczycie. Lance Armstrong z Plano w Teksasie. Ktoś.

Pomyślałem więc o innej górze. Ventoux. Wspomniałem o jej legendzie.

– Zatem nigdy nie słyszałeś o Tommym Simpsonie? Nie żartuj, musiałeś o nim słyszeć.

Słyszał, ale jego odpowiedź była dziwaczna.

– Słyszałem, ale Tommy Simpson nigdy nie wpadł na doping.

Nigdy nie spotkałem kolarza, który automatycznie nie pokiwałby głową ze smutkiem nad losem Tommy'ego Simpsona i nad tym, co jego śmierć uświadomiła nam o kolarstwie. Ów smutek nie bierze się z wiedzy wyłącznie o tym, co się wydarzyło tego dnia, ale także o tym, że po tej tragedii peleton postanowił nadal stosować doping. I oto mamy rok 2001, żyjemy w erze po Simpsonie, po Festinie, w świecie, w którym kolarski czempion próbuje odpowiadać językiem prawniczym za każdym razem, kiedy poruszony zostaje temat doping. Oto gdzie przebiegał mur między peletonem i resztą świata.

Śmierć Tommy'ego Simpsona podczas Tour de France w 1967 roku była tragedią⁴³. W jego krwi znaleziono ślady amfetaminy i alkoholu. Narkotyk znaleziono również w kieszeni koszulki, w której jechał. Według stanowiska lekarzy Simpson sam przyczynił się do swojej śmierci, niemniej jednak był również ofiarą zwyczaju stosowania dopingu w kolarstwie⁴⁴.

Ale, słuchajcie, nigdy nie został przyłapany.

Odpowiedź Lance'a była zgodna z prawdą, jednak bez znaczenia. Simpson miał narkotyki we krwi, w kieszeni koszulki i swojej walizce. Riposta Lance'a była jednak pouczająca, jak gdyby była lustrzanym odbiciem odpowiedzi udzielanej przez kolarzy i innych sportowców od dziesięcioleci. Z jednej strony nic nam nie mówiła, a z drugiej strony mówiła nam wszystko. Bernard Hinault⁴⁵ powtarzał to na okrągło.

– A więc, Le Blaireau, przyjmowałeś środki dopingujące?

– Przeszedłem wszystkie testy.

Lance odrobił lekcję. Testy, którym go poddawano i które „przechodził”, nie dowodziły niczego. Zawsze jednak znajdowało się grono chętnych do wzięcia go w obronę powtarzające do znudzenia, że jest on najczęściej badanym sportowcem na planecie i nigdy nie został przyłapany.

W 1993 roku był dzieciakiem, na którym romantyzm Touru nie robił wrażenia albo nie był go świadomy. Miał jednak determinację, żeby wykorzystać tę okazję i zaistnieć. Osiem lat później był już kimś i chciał, żebym wiedział, iż nieważne, jakie on i jego team stosują metody... no właśnie, to była ich sprawa. Ja nie miałem tam czego szukać.

W zamian za ograniczony dostęp do niego dziennikarze mieli sprzedawać jego mit. Reszta była biznesem. Ich, nie naszym. Nie ogląda się chciwych kalkulacji rozgrywających się w kularach w Las Vegas. Lance uważał, że również to, co się dzieje za kulisami zawodowego kolarstwa,

jest sprawą prywatną. Brak romantyzmu, twardość, surowa arogancja – to wszystko psuło jego wizerunek, ale on nigdy tego nie dostrzegął.

Frankie Andreu, albo jeden z jego kolarzy, powiedział mi, że słyszał, iż Lance był wściekły, kiedy po wywiadzie wrócił do swojego pokoju. Kipiał ze złości. Pozostali zawodnicy odnieśli wrażenie, że był wstrząśnięty tym, co uważał, że mogą wiedzieć. Ja zaś byłem pod wrażeniem jego udawania, że o niczym nie wie. Wieści o jego złości rozśmieszyły mnie. W naszej grze opartej na obrażaniu się i blefie Lance i ja zegraliśmy na remis.

Wiosną, kiedy rozmawiałem z Lance'em twarzą w twarz i przedstawiłem mu sytuację Livingstona, on, starając się zachować ton wywiadu, udzielał odpowiedzi niemal absurdalnych. Jak to możliwe, żeby najlepsi przyjaciele nie rozmawiali o tym, że jeden z nich został wciągnięty w śledztwo kryminalne? Tym, co wówczas przeoczyłem, było jego przekonanie, że nie musi nikomu odpowiadać na takie pytania. I co z tego, że udzieliłem głupiej odpowiedzi? Co z tym teraz zrobisz?

Mogłem zrobić tylko jedno. Wróciłem do Sandro Donatiego i zapytałem go o to, czy istnieją jakieś dowody na obecność Armstronga w Ferrarze. Chciałem coś mieć na wypadek następnej audiencji u Stapletona bądź Armstronga. Poprosiłem Sandra, żeby sprawdził, czy karabinierzy mają absolutną pewność, że Lance nie odwiedzał Ferrary. Donati najpierw oddzwonił do mnie, mówiąc, że nie może znaleźć dowodów na obecność Armstronga w tym miasteczku. Mój przyjaciel był jednak zawzięty. Wkrótce skontaktował się ze mną i przekazał mi informacje z tamtejszych hoteli. Wiadomość pochodziła od karabinierów, a Sandro był jedynie pośrednikiem.

Armstrong tam był.

W marcu 1999 roku Lance spędził w Ferrarze dwa dni, w maju 2000 roku trzy dni, dwa dni w sierpniu 2000, jeden dzień we wrześniu 2000 i trzy dni na przełomie kwietnia i maja 2001 roku. Jego ostatnia wizyta w tym włoskim miasteczku nastąpiła krótko po naszej rozmowie w La Fauvelaie. Wszystkie te wizyty odbyły się w kluczowych momentach: przygotowań do Touru i tuż przed igrzyskami olimpijskimi w 2000 roku w Sydney, gdzie Armstrong chciał zdobyć medal. W Ferrarze zatrzymywał się w pięciogwiazdkowym hotelu Duchessa Isabella i czterogwiazdkowym hotelu Annunziata. Podczas naszej rozmowy obawiał się, że wiem więcej, niż daje po sobie poznać. Teraz wiedziałem⁴⁶.

W poprzednim roku odbyłem podróże do Stanów Zjednoczonych, Rzymu i Florencji. Coraz więcej wiedziałem o świecie, który starałem się zrozumieć. Byłem zawiedziony wywiadem, który przeprowadziłem z Lance'em na wiosnę. Pojechałem na niego, mając całkiem mocne dowody, tymczasem nawet go nie sprowokowałem.

Istotnym elementem tej układanki był też jego trener. Jeśli Ferrari był geniuszem stojącym w ukryciu, to Chris Carmichael, coach i mentor Lance'a, był twarzą, którą można było pokazać. Carmichaelowi udało się uniknąć uwikłania w dziwną sprawę o stosowanie dopingu przez członka amatorskiej reprezentacji kolarskiej USA Grega Strocka. Zawodnik twierdził, że wstrzykiwano mu kortyzon wbrew jego woli, co zrujnowało mu karierę. Chcąc odciąć się od tej sprawy, Carmichael zawarł polubowną ugodę ze Strockiem i zapłacił mu jakieś pieniądze.

Zapytałem Armstronga, co sądzi o tym, że jego wieloletni trener zapłacił za to, żeby wypłatać się ze sprawy o stosowanie dopingu. Odpowiedział, że to problem Chrisa i Grega.

– Czy to, że Chris zapłacił, żeby uniknąć wiązania swojego nazwiska ze sprawą o stosowanie dopingu, nie świadczy o tym, że ma coś do ukrycia?

– To hipoteza.

– Ale nie wyglądałoby to dobrze, prawda?

– A czy to, że Greg Strock wziął te pieniądze, wygląda dobrze? Odwróćmy sytuację. Czy chodzi tu o pieniądze, czy o zasady?

Dysponowałem materiałem Hugues'a Hueta, dziennikarza telewizji francuskiej, który poprzedniego lata śledził nieoznakowany samochód zespołu US Postal i nakręcił wyrzucanie przez dwóch jadących nim ludzi pięciu plastikowych toreb ze śmieciami. Znajdowało się w nich sto sześćdziesiąt opakowań po strzykawkach, zakrwawione waciki i pudełka wskazujące na użycie środka o nazwie actovegin, będącego na granicy legalności.

Do tego jeszcze dochodził cynk o tym, co robi Kevin Livingston.

Jak powiedziała Lance: to nie wyglądało dobrze. Tworzyła się z tego mała górnica dowodów. Jednak kiedy przedstawiłem je Armstrongowi, skwitował to wzruszeniem ramion. Podczas wywiadu zdołał wyrwać remis z paszczy porażki. Mistrzom remis wystarczy.

Te wieści z Ferrary były jednak inne i całkowicie zmieniały obraz gry. Czuję, że mamy coś konkretnego. Chodziło tu łącznie o szesnaście dni spędzonych w Ferrarze w ciągu dwóch lat. Informacja ta nie obejmowała podróży Ferrariego w przeciwnym kierunku. Wiemy teraz, że zdarzały się one zarówno wtedy, kiedy Lance mieszkał w Nicei (Ferrari lubił go badać na podjeździe pod Col de la Madone tuż za miastem), jak i wtedy, kiedy w 2001 roku przeprowadził się do Girony.

Lance celowo nie wspominał o swoim pobycie w Ferrarze. Ani w autobiografii, ani podczas konferencji prasowych, ani podczas wywiadu, który z nim przeprowadziłem.

Teraz dysponuję tymi informacjami. Zdobycie ich nie wymagało włamania się do danych zapisanych w komputerze albo do budynków ani

spotykania się z anonimowymi informatorami na podziemnych parkingach. Było to proste dziennikarstwo. Pytania. Nie do wiary, że nazwisko Michele Ferrariego nie pojawiło się w autobiografii Lance'a, która ukazała się mniej więcej rok wcześniej. Ferrari był podejrzanym w śledztwie o doping, wkrótce miał zostać oskarżony i postawiony przed sądem.

Mieliśmy mocne dowody.

W dniu rozpoczęcia Tour de France w 2001 roku ujawniliśmy jako „Sunday Times”, że Lance Armstrong, zwycięzca pierwszych dwóch Tourów w okresie odnowy, pracował z lekarzem, który ma stanąć przed sądem w sprawie związanej z dopingiem. A Armstrong ani razu o tym nie wspomniał. Nie powiedział o swoich powiązaniach z człowiekiem, który zapytany kiedyś, czy miałby coś przeciwko, gdyby jego kolarze jeździli do Szwajcarii i kupowali EPO bez recepty, odpowiedział: „Nie byłbym tym zgorszony”.

Kiedy patrzę na ten artykuł z perspektywy czasu, uważam go za jeden z najgorszych, jakie kiedykolwiek napisałem: zawierał za dużo informacji i był zbyt chaotyczny. Cenny materiał w tekście kiepskiej jakości. Ja sam wykazałem się natomiast naiwnością, odkrywając się w ten sposób przed obozem Armstronga. Moje informacje na temat wizyt Amerykanina u Ferrariego pochodzące od źródeł we włoskiej policji wywołały alarm w świecie Lance'a.

Gdy przygotowywaliśmy ten artykuł do druku, byłem w Australii, relacjonując *tournée* brytyjskiej i irlandzkiej drużyny rugby. Chcąc dać Lance'owi możliwość odniesienia się do informacji o jego związkach z Ferrarim, zadzwoniłem w czwartek, trzy dni przed publikacją, do Billa Stapletona.

– Mam do ciebie kilka pytań, Bill.

– Wyślij nam informacje, które posiadasz, a my się do nich odniesiemy.

Wysmażyłem e-mail, w którym napisałem wszystko, co wiedziałem. Na końcu mogłem jeszcze dodać: „szach-mat”.

„Posiadam informacje, że Lance był z Ferrarim w te i te dni. Oto nazwy hoteli, a to daty, kiedy w nich przebywał. Wszystko to wskazuje na jego bardzo bliskie stosunki z Michele Ferrarim. Czy ty albo Lance możecie się do tego odnieść?”

Odpowiedź: „Davidzie, przekażę to Lance’owi i odezwiemy się do ciebie”.

Żadnej reakcji. Dzwonię jeszcze raz. Bill mówi, że jest we Francji w związku z Tourem i ma problem z e-mailem. Czuję się jak chłopiec próbujący bawić się ze starszymi. Dzwonię więc ponownie, zostawiam kolejną wiadomość. Nic. Bill Stapleton zszedł do podziemia i wziął ze sobą telefon. Nic więcej od niego nie usłyszałem. Wysłałem więcej e-maili. Wielokrotnie dzwoniłem. Żadnej odpowiedzi. Oczywiście było, że Armstrong, wojowniczy i drażliwy jak zawsze, postanowił ubiec mnie i mój ekskluzywny materiał.

Następnego dnia Pier Bergonzi, szanowany korespondent kolarski włoskiej „La Gazzetta dello Sport”, został zaproszony do hotelu teamu US Postal, żeby przeprowadzić wywiad z Lance’em Armstrongiem. Pierowi obiecano rozmowę z nim podczas Touru, ale wywiad tuż przed *le grand départ* był niespodzianką. Bergonzi pisał o kolarstwie od wielu lat i był w dobrych stosunkach z Armstrongiem. Wywiad, który z nim przeprowadził, nie miał konfrontacyjnego charakteru i przebiegał zgodnie z możliwym do przewidzenia scenariuszem wyścigu.

Pod koniec wywiadu Lance powiedział Pierowi:

- Nie zapytałeś mnie o Michele Ferrariego.
- Dlaczego miałbym o niego pytać? – zdziwił się Pier.

Ta da!

Mam dla ciebie wiadomość, Pier! Lance miał wiadomość!

– Pracujemy teraz razem, ponieważ przymierzamy się do ataku na rekord świata w jeździe godzinnej.

Oto co następnego dnia trafiło na pierwszą stronę „La Gazzetta dello Sport”. To był sposób Lance’a i Stapletona na osłabienie materiału, który miał ukazać się w niedzielę⁴⁷. Do tego czasu związki Armstronga z Ferrarim będą już powszechnie znane, nawet jeśli ich wytłumaczenie było bezczelnym kłamstwem. Lance zadbał o to, żeby „Sunday Times” nie mógł nazwać swojego artykułu zatytułowanego *Saddled with Suspicion* (Pod ciężarem podejrzeń) „materiałem na wyłączność”. Zatem wielki kolarz, który pokonał raka, typowany na triumfatora trzeciego w swojej karierze Tour de France, zamierzał teraz pobić rekord świata w jeździe godzinnej.

Nikt nie spodziewał się, że dojdzie do próby pobicia tego rekordu. I oczywiście nigdy do niej nie doszło.

Mogło być gorzej. Niemal wszyscy dziennikarze piszący o związkach Amerykanina z Ferrarim uważali artykuł w „Gazzetta dello Sport” za atak wyprzedzający dokonany przez obóz Lance’a w celu osłabienia znaczenia śledztwa „Sunday Timesa”. Choć raz nie zostałem objęty ostracyzmem. Wyglądało na to, że Lance posunął się za daleko w swojej cynicznej manipulacji mediami.

Po południu po zakończeniu pierwszego etapu centrum prasowe w Boulogne oddychało w zdrowej atmosferze dociekań w tej sprawie. Po zakończeniu rywalizacji w tym dniu grupa napompowanych reporterów udała się do hotelu, w którym zatrzymała się ekipa US Postal. Bill Stapleton bez zająknięcia odpowiadał na pytania. Cisza wszyscy! Przygotowujemy oświadczenie, które będzie gotowe za pięć minut. Dało się słyszeć pomruk narzekań. Oświadczenie. A co z Lance’em? Daj nam Lance’a.

Niestety, Lance był zbyt wyczerpany, żeby odpowiadać na pytania.

W końcu pojawiło się oświadczenie. Dotyczące tylko jednej kwestii: Michele Ferrariego.

Chris [Carmichael] i ja poznaliśmy Michele Ferrariego podczas obozu treningowego w San Diego, w Kalifornii, w 1995 roku. Rola, jaką odgrywał, zawsze była ograniczona. Ponieważ Chris nie może stale przebywać w Europie, Michele przeprowadzał moje badania fizjologiczne i regularnie dostarczał Chrisowi ich wyniki.

Chris ufał opinii Michele Ferrariego co do wyników moich badań i formy kolarskiej. Ostatnio pracujemy głównie nad próbą pobicia rekordu w jeździe godzinnej. Nie wiem, kiedy dokładnie ją podejmę. Wiem natomiast, że stanie się to w niedalekiej przyszłości. [Ferrari] konsultował się również z Chrisem i ze mną w kwestiach diety, przygotowań wysokościowych, treningu hipoksyjnego i wykorzystania namiotów wysokościowych, z których wszystkie są naturalnymi metodami zwiększania wydolności organizmu⁴⁸.

W przeszłości nigdy nie zaprzeczałem moim związkom z Michele Ferrarim. Z drugiej strony nigdy ich nie nagłasniałem. Powodem tego była wątpliwa reputacja, którą w 1994 roku zyskał wśród opinii publicznej za sprawą swoich nieodpowiedzialnych komentarzy na temat EPO. Chcę jasno dać do zrozumienia, że nie utożsamiam się z tymi komentarzami ani z nikim, kto stosuje nieetyczne procedury [medyczne].

Jednakże sam nigdy nie miałem powodów, by kwestionować postawę etyczną lub standardy opieki Ferrariego. Zwłaszcza że nigdy nie rozmawiał ze mną na temat EPO, a ja nigdy EPO nie przyjmowałem.

I to by było w tym czasie na tyle. Jeśli reszta świata sądziła, że Michele Ferrari prowadził dobrze prosperujący biznes jako doktor od dopingu, to prawda według Lance'a wyglądała tak, że Ferrari zarobił pieniądze wyłącznie na udzielaniu wskazówek dotyczących diety i wypożyczeniu namiotu tlenowego.

Ktoś gdzieś robił kogoś w balona.

³⁹ Taśmy z zapisem tego wywiadu miały stać się kontrowersyjną kwestią podczas późniejszego postępowania przed sądem. Pomimo że Bill Stapleton sam nagrał całą naszą rozmowę, prawnicy

Armstronga naciskali na mnie, żebym udostępnił im dokładną transkrypcję tego, co zostało powiedziane.

40 W raporcie opublikowanym w 2010 roku przez „Journal of Sports Sciences” czytamy, iż w latach 1989–1997 średnia długość Tour de France rosła z 3285 km do 3944 km, w tym dodatkowe 17 000 m przewyższenia. Średnia prędkość powinna w związku z tym zmaleć o 11,3 procent. Poprawiła się jednak o 4,5 procent.

41 Zeznając w późniejszej sprawie SCA [firmy ubezpieczeniowej z Dallas sponsorującej Armstronga – przyp. tłum.], Stephen Swart, nowozelandzki kolarz jeżdżący w połowie lat dziewięćdziesiątych w barwach teamu Motorola, zeznał, że w 1995 roku najlepsi jej kolarze rozmawiali na temat EPO. Według niego Armstrong powiedział kolegom z drużyny, że istnieje „tylko jeden sposób” na to, żeby liczyć się w rywalizacji. Wiedziałem o zeznaniach Swarta w czasie, gdy przeprowadzałem wywiad z Armstrongiem. Wkrótce potem dowiedzieliśmy się, że Armstrong rozpoczął współpracę z Ferrarim już w 1995 roku.

42 Później dowiedziałem się, że na krótko przed naszą rozmową Lance spędził kilka dni z Ferrarim. Podczas trzech osobnych wizyt w poprzednim sezonie był u niego w sumie dziesięć dni.

43 Różnie relacjonowano to, co wydarzyło się na Ventoux. Słynne heroiczne słowa Simpsona: „Wsadźcie mnie na rower!”, nigdy nie padły. Wymyślił je Sid Saltmarsh, który relacjonował wyścig dla „The Sun” i „Cycling”. Saltmarsh nie było jednak na miejscu wydarzeń. W rzeczywistość tam gdzie był, nie docierała nawet radiowa relacja z Tournu.

44 Czwartej władzy należały się jednak pewne wyrazy uznania. Brytyjski reporter J.L. Manning z „Daily Mail” relacjonował te wydarzenia w bardziej uczciwy sposób. Manning był poważnym człowiekiem, który dobrze wykonywał swoją pracę. To on pierwszy pokazał, że istnieje rzeczywisty związek między prochami i śmiercią Simpsona, i na szczęście zapoczątkował wśród swoich kolegów falę dobrej reporterskiej roboty. Manning napisał, że „Tommy Simpson jechał ku swojej śmierci podczas Tour de France tak naćpany, iż nie wiedział nawet, że dotarł do kresu swojej wytrzymałości. Zmarł, siedząc na siodelku i powoli dusząc się z powodu intensywnego wysiłku i fali gorąca, jaka ogarnęła go po zażyciu metamfetaminy i środków pobudzających na bazie alkoholu”. Jeden ze skutków pracy Manninga i dziennikarzy, którzy go popierali, wydał się nam, relacjonującym Tournu (Odnowy) w 1999 roku, znajomy. Po śmierci Tommy’ego Simpsona padły obietnice: „Drogi Tomie Simpson – powiedział organizator Tournu Jacques Goddet – twoja śmierć na skalistym pustkowiu Ventoux nie poszła na marne”, podobnie jak po skandalu z udziałem teamu Festina w 1998 roku. A rzeczywistość? Im większe zmiany zachodziły, tym bardziej wszystko było po staremu.

45 Francuski kolarz szosowy. Jako trzeci w historii pięciokrotnie triumfował w Tour de France. Jako jedyny wygrywał też kilkakrotnie w trzech wielkich wyścigach (oprócz Tour de France również w Vuelta a España i Giro d’Italia). Mistrz świata w wyścigu szosowym z 1980 roku. Francuzi nazywali go Le Blaireau (Borsuk) – przyp. tłum.

46 Podczas swojego spotkania z „Cycling News” w 2004 roku Ferrari przedstawił umiarkowanie rozczulającą wersję tych wydarzeń.

„»Cycling News«: Czy nie było tak, że dziennikarze śledczy przyjechali do Ferrary i na miejscu zdobyli informacje na temat pobytów Lance’a Armstronga w tamtejszych hotelach podczas jego odwiedzin w pańskiej klinice?

Dr M. F: Nie, to nie tak było. Ten dziennikarz sportowy pracujący dla brytyjskiej gazety nie przyjechał do Ferrary. Udał się do Florencji i rozmawiał z funkcjonariuszami oddziału NAS karabinierów. Oni zadzwonili na posterunek policji w Ferrarze i poprosili miejscowych o sprawdzenie, czy w księgach meldunkowych w hotelach pojawia się nazwisko Lance’a Armstronga. I taka informacja znalazła się w gazecie.

»Cycling News«: Jak pan na nią zareagował?

Dr M. F.: To nie było normalne! To nadużycie władzy ze strony karabinierów: nie powinni udzielać dziennikarzom takich informacji. Niemniej jednak w sprawie Lance’a nie mamy nic do ukrycia: przyjechał tutaj na badania i nigdy się tego nie wypierał! W ogóle się z tym nie kryliśmy. Nie znam tego dziennikarza. Nigdy go nie spotkałem”.

47 „Sunday Times”, dla którego pracuje David Walsh, jak sama nazwa wskazuje, wychodzi w niedziele – przyp. tłum.

48 Kilka lat później spotkałem się z Mikiem Andersonem, swego czasu osobistym asystentem Armstronga. Pamiętał on, że w szopie na ranczu Dripping Springs Lance trzymał namiot hipoksyjny. Któregoś razu bawiły się w nim dzieci Armstronga. Mike nie przypominał sobie, żeby został on wyciągnięty z opakowania przy jakiegokolwiek innej okazji.

ROZDZIAŁ 9

Bycie uczciwym jest dla mnie oczyszczające.

Lance Armstrong, 13 lipca 2001 roku

Lance Armstrong, niczym kot grzebiący łapą w mysiej dziurze, uważał nas, dziennikarzy, za stały fragment gry. Byli wśród nas tacy, stanowili oni zresztą większość, którzy biegali za nim i opiewali go jako kota czempiona. Byli też jednak tacy, którzy mówili: „Zaraz, chwileczkę”. Ten gatunek znany był jako trolle. Żyłem i pracowałem wśród trolli i, muszę to powiedzieć, przynajmniej przez jakiś czas Lance uważał mnie za burmistrza Miasta Trolli.

Trolle nie są szczególnie niebezpieczne ani jadowite. Mimo to Lance uznał, że lepiej trzymać rękę na pulsie. Miał świadomość, że plaga trolli mogłaby mu zaszkodzić. Denerwowało go, że nie zawsze wie, co planują. Zachowywał więc czujność. Trzymał szkodniki pod kontrolą. Kiedy natknął się w Internecie na artykuł, który mu się nie podobał, zapamiętywał, kto z trolli był jego autorem, i w myślach wrzucał go do teczki z innymi. Nigdy nie zapominał nazwisk.

Każdego lipca wychodziliśmy na powierzchnię, stając naprzeciwko niego przed samym startem Tour de France. Spryskaj ich chemikaliami, Johan. Przegoń ich miotłą, Bill. Lance był w tym dobry, po części dlatego że lubił potyczki na słowa i pewnie się czuł z mikrofonem w rękę. Ale również dlatego że od czasu zachorowania na raka często przemawiał

publicznie i wiedział, jak przyciągnąć uwagę słuchaczy. Umiał zabawiać tłumy niczym prawdziwy artysta estradowy.

Jednak pierwszeństwo przed oratorium miała strategia. Trolle były nieliczną mniejszością i plan zawsze polegał na tym, żeby je odizolować, wywołać w nich poczucie, że zostają w tyle za resztą. Dlatego Lance i jego ludzie notowali, kto siedział obok kogo podczas konferencji prasowych i kto z kim podróżował podczas wyścigu. Kiedy rozgryźli już powiązania, wysyłali wiadomość. Miejcie się na baczności, wy, którzy podróżujecie z trollami. Wielki Brat na was patrzy.

Pewnego razu, kiedy w trakcie długiego, płaskiego etapu jechałem z dwoma swoimi starymi towarzyszami Johnem Wilcocksonem i amerykańskim reporterem Rupertem Guinnessem oraz Andym Hoodem, Guinness dostał esemesa od Jogiego Mullera, byłego kolarza, który w teamie US Postal zajmował się PR-em.

– Cześć, Rupert, co powiecie na przerwę na kawę?

Nic nie jest w stanie zatrzymać auta z dziennikarzami tak jak zaproszenie od kogoś z ekipy zawodnika, szczególnie z ekipy Lance'a. Myśleliśmy też, że może kawa będzie za darmo. Zostawiliśmy za sobą na drodze ślady hamowania.

I oto jesteśmy: espresso w garści i pogawędka z gościem, który tego ranka mógł rozmawiać z Lance'em. A przynajmniej oddychał tym samym powietrzem co on. Rozmawialiśmy przez chwilę niezobowiązująco. Muller starał się udawać, że cieszy go nasze towarzystwo, a my pozwoliliśmy, by poczuł, że wrażenie to jest odwzajemnione.

Później zdradził Rupertowi, że powodem, dla którego zaprosił nas na kawę, było szpiegostwo niskiego szczebla. Za cenę kilku espresso mógł zameldować, kto podróżuje z Walshem i co mówi, a także czy pozostali są już zakażeni.

W tamtych latach dostęp Ruperta do teamu zależał od tego, czy widziano go w moim towarzystwie.

– Musisz mądrze dobierać przyjaciół – powiedział mu kiedyś Muller, zginając swój palec niczym głupkowaty szwajcarski Joda.

Rupert nie mógł się ze mną przyjaźnić i jednocześnie liczyć na to, że zbliży się do teamu Pocztców. Dlaczego? To po prostu nie byłoby odpowiednie. Jeśli nawet wydaje się to dziecinne, była to gra, w którą Lance lubił grać.

Musiał znać wroga i jego towarzyszy.

Kiedy w pierwszą niedzielę Tour de France w 2001 roku pojawiła się informacja o jego związkach z Ferrarim, Lance nie chciał rozmawiać z dziennikarzami, którzy tego wieczoru przyszli do jego hotelu. Był zbyt zmęczony. Niespodzianka. Pięć dni później wybrani dziennikarze, głównie Amerykanie i wszyscy, których uznano za życzliwych, zostali zaproszeni do jego hotelu na audiencję.

To normalne wśród kolarzy biorących udział w Tour de France, że wyświadczają przysługi dziennikarzom ze swojego kraju: Jan Ullrich Niemcom, David Millar Brytyjczykom, a Lance Amerykanom. Jednak jako że Lance był Lance'em, dwadzieścia minut w jego towarzystwie oznaczało dobry temat na następny dzień.

Nie wszyscy zaproszeni reporterzy byli spłoszeni ani też nie wszyscy siedzieli w kieszeni Armstronga. Wiedzieli jednak, że istnieje pewna granica i kolejne zaproszenie zależeć będzie od tego, czy jej nie przekroczą. Nie oznaczało to, że nie mogą pytać o Ferrariego. To byłoby niepoważne i nigdy by się na to nie zgodzili. Zatem Lance został zapytany o swojego kontrowersyjnego doktora.

– Nie uważam, żeby był winny. A kiedy słyszę „wątpliwa reputacja”, myślę, że takie właśnie jest kolarstwo. Kto nie jest podejrzany? W czyjej

sprawie nie toczy się śledztwo? Ale proszę, przyjrzyjmy się faktom. Wyłóżmy je na stół. – Mocno uderzył pięścią w stolik do kawy. – Dopiero później zastanówmy się, czy ktoś jest świętym czy grzesznikiem. Wielu ludzi związanych z kolarstwem próbuje coś insynuować, spekulować o powiązaniach, mnożyć pogłoski: „On zażywa to, tamten co innego, jest nowy środek, on nie jest czysty, to oszustwo. On nie jest bohaterem, ależ zawód”. – Drugi raz uderzył w stolik. – Przejdźmy do faktów. Nie, nigdy nie wypierałem się pracy i znajomości [z Ferrarim]. Poza tym czuję się lepiej dzięki temu, że o tym mówię.

Na tym polega potęga żółtej koszulki i oczywiście uwodzicielska moc Lance’a Armstronga. Mówi gładko, przekonująco: problemem kolarstwa są insynuacje, pogłoski, te okropne rzeczy, w które tacy poważani dziennikarze jak wy nie chcieliby się angażować. Oczywiście ci poważani słuchają tego, co mówi Lance, i myślą: „Skoro tak mówisz”.

Liczą się fakty. Lance je lubi. Podobnie jak dowody. Wyłóżmy je wszystkie na stół. „Nigdy nie wypierałem się pracy” z Ferrarim.

Chwileczkę, Lance. Czyżbyś naśladował Billa Clintona?

Nikt nie wiedział o Ferrarim.

Zatem nikt nie pytał o Ferrariego.

Dlatego nigdy nie musiałeś kłamać na jego temat.

A zatem nie wykazałeś się cywilną odwagą.

Po sześciu latach pracy z Ferrarim ich znajomość została ujawniona. Teraz Lance przygląda się siedzącym przy stoliku, patrzy w oczy ludziom, o których wie, że rozumieją, i mówi:

– Teraz, kiedy o tym porozmawialiśmy, czuję się lepiej.

Phi! To dopiero dobra wiadomość dla wszystkich.

Z kręgu zaufanych Lance’a Armstronga nie dochodzi choćby pomruk wątpliwości czy niedowierzania. Nie mówią: „Ale sześć lat, Lance? Nie

pamiętałeś jego nazwiska? Chciałeś później o nim wspomnieć?”.

Nikt nie będzie taki niegrzeczny. Nie po tym jak Lance ich tu zaprosił. Jeśli choć jeden z nich przekroczy granicę, narazi szanse pozostałych na zaproszenie do tego kręgu w przyszłości. Tak czy inaczej, jest dobrze. Armstrong współpracuje z Ferrarim. I co z tego? Brzmi to całkiem wiarygodnie. Lance daje zaproszonym coś, czego nie da pozostałym dziennikarzom. Zbliżcie się i posłuchajcie.

– Na koniec tego wyścigu, jeśli będę miał na tyle szczęścia, żeby go znowu wygrać, wszystko to, co piszą: wszystkie insynuacje, spekulacje, krytyka, wszyscy ci ludzie, którzy nie chcą niczego dobrego dla kolarstwa – wszystko to będzie nieważne. To bez znaczenia dla mojej rodziny, przyjaciół czy teamu. Bycie uczciwym jest dla mnie oczyszczające.

O to chodzi. To właśnie jest stawką. Oczyszczenie.

Pozostali dziennikarze w pokoju prasowym musieli czekać do dnia przerwy w wyścigu, sześć dni przed jego końcem, żeby usłyszeć coś od Lance’a. Takie są reguły tej gry. W tym czasie Lance był już pewny trzeciego z rzędu zwycięstwa w Wielkiej Pętli. Zrzedliwe komentarze wygłaszane przez Jeana-Marie Leblanca przed rozpoczęciem wyścigu zachęciły Lance’a do większego kontaktu z publicznością. Podejmował go, powtarzając jednocześnie, że Tour de France to nie konkurs popularności i że atmosfera w tym roku jest lepsza. A jeśli atmosfera była dobra, większość myszy była zadowolona.

Gdyby nie sprawa z Michele Ferrarim, którego w Ameryce nikt nie znał, a już na pewno nikogo tam nie obchodził, byłby to najlepszy spośród trzech dotychczasowych Tours de Lance. Ale problemy nigdy nie znikają, nie na zawsze. Czekają w korytarzu, robiąc pompki. I oto mamy Lance’a w Palais des Congrès w Pau, na południowym zachodzie Francji, jak po raz kolejny staje przed zgromadzeniem ogólnym trolli.

Proces Lance'a Armstronga trwa już trzeci rok, ale nawet nie zbliżył się do wydania wyroku.

W niewielkiej sali znajduje się ponad stu dziennikarzy. Z tyłu w rzędzie stoi dwadzieścia lub więcej kamer telewizyjnych. Lance będzie gotowy, bo to przypomina sam wyścig: wmawiasz sobie, że rywal jest mocniejszy niż w rzeczywistości, i dzięki temu sam jesteś w stanie lepiej się przygotować.

Przykład.

W zimie Lance czytał wszystkie wywiady, jakich udzielił jego największy rywal Jan Ullrich i jego koledzy z teamu Telekom. W każdym z nich Ullrich wspominał o koncentracji wyłącznie na Tour de France. Dzięki temu, że Lance przyglądał się swoim wrogom, wiedział, że w tym roku nastawienie niemieckiej ekipy jest inne niż w poprzednich latach. Mówił sobie, że tym razem będą silniejsi. Ta myśl pomogła mu ciężiej trenować.

Teraz siedział naprzeciwko dziennikarzy, którzy zapytają go o Michele Ferrariego. Ale on wiedział, co im powie. Poradzi sobie. Tak jak poradził sobie z podobnym bajzłem w Saint-Gaudens dwa lata wcześniej.

– Nazywa mnie pan kłamcą czy dopingowiczem? – powiedział wówczas do Francuza, wiedząc, że ten nie ma jaj, żeby odpowiedzieć: „Jednym i drugim”. Czasem wystarczy tylko zagrać ostro i ci koleś uciekną.

Kiedy wyścig wystartował, byłem w Australii. Do Francji dotarłem pod koniec pierwszego tygodnia rywalizacji, ale jestem już na miejscu i czuję się upoważniony do zapytania najczystszej kolarza świata, dlaczego pracuje z najbrudniejszym lekarzem. Tłum dziennikarzy jest większy niż zazwyczaj. Państwo na popołudniowy *show*? Tędy, proszę!

Zanim wszystko się zacznie, rozmawiam z duńskim dziennikarzem Larsem Wergem pracującym dla gazety „Ekstra Bladet”. Uważa, że

Armstrong stosuje doping, i daje do zrozumienia, że zamierza zadać kilka pytań z nim związanych. To dobrze, bo życie trolla czasem staje się samotne. Lars i ja postanawiamy usiąść daleko od siebie, aby Armstrong i jego sługusy nie pomyśleli, że tworzymy duet.

Poza pogawędką z amerykańskimi reporterami przeprowadzoną w hotelowym zaciszu Lance nie odniósł się jeszcze publicznie do swoich związków z Ferrarim, choć wiadomość o nich pojawiła się na początku wyścigu. Mam nadzieję, że co najmniej czterech czy pięciu dziennikarzy będzie chciało zapytać o jego związki z włoskim doktorem.

Kiedy wchodzimy na konferencję prasową, jest mi żal Ruperta. Idzie obok mnie i biedak musi zdecydować, co robić. Jeśli usiądzie przy mnie, zostanie uznany za umysłowego niewolnika trolli i będzie mógł zapomnieć o dostępie do zespołu Postal. Z drugiej jednak strony nie chce mnie zostawić, bo jest porządnym facetem, który nie lubi być zastraszany. Nie odzywa się, po prostu idzie za mną i zajmuje miejsce obok.

Cieszę się, ale wiem, że jego dyskomfort pogłębia dodatkowo to, co ma na sobie. Tego ranka Rupert włożył najweselszą hawajską koszulę spośród tych, które ma w swojej walizce pełnej słońca. Policja wypatrująca trolli nie może go nie zauważyć.

Spokojnie, to sala pełna dziennikarzy sportowych i dla większości z nich to dobry temat na artykuł.

Zaczyna się.

Pytają Lance'a o „spojrzenie”, o chwilę kiedy podczas podjazdu pod Alpe d'Huez odwrócił się, by przyjrzeć się uciekającym z nim kolarzom, i wydawało się, że utkwiał na dłużej wzrok w twarzy swojego największego rywala Jana Ullricha.

Niemiecki dziennikarz przymila się do Lance'a, mówiąc:

– Czy spojrzenie to miało oznaczać: „To jeden z najlepszych sportowych momentów tego roku”?

Chyba w Bawarii. *Ja?*

Lance’owi podoba się to pytanie.

– Słyszałem o tym, cytuję, „spojrzeniu”, koniec cytatu, i oczywiście wszyscy się zastanawiają, co ono znaczy. Co to było? Brawura? Taktyka? Pytanie? (...) Musiałem przyjrzeć się sytuacji [na trasie]. To nie była arogancja. Chciałem zobaczyć jego twarz, jego usta. Ich wyraz. Ale chciałem też spojrzeć na drogę, żeby zobaczyć, kto z nami jedzie.

To jest temat. Lance i Jan, rywale na śmierć i życie, a jednocześnie szlachetni mężczyźni darzący się wzajemnym szacunkiem.

– Wasz uścisk dłoni wczoraj i „spojrzenie”, czy to dwie symboliczne chwile etapów górskich?

Czy taka rozmowa nie podnosi bardziej na duchu niż węszenie wokół Lance’a i jego Wiktora Frankensteina? Zapytany o „uścisk dłoni” Armstrong uśmiecha się do dziennikarza, mówiąc:

– Mogłem się założyć, że będziecie dużo o to pytać.

To pytanie podoba mu się jeszcze bardziej niż poprzednie, ponieważ daje szansę zademonstrowania uprzejmości, skromności, a nawet odrobiny klasy. Wypada jedynie komplementować dziennikarza za zadanie tak wnikliwego pytania.

– Naprawdę lubię Jana Ullricha. To nie jest rywalizacja pełna nienawiści. Myślę, że mamy dla siebie nawzajem dużo szacunku. Jest on jedynym kolarzem, którego naprawdę się boję. Jeśli będzie miał dobry dzień albo rok, może być nie do pokonania.

I w ten sposób konferencja prasowa toczyła się swoim torem, jak gdyby w budynku nie było ani jednego trolla. Ale szesnaście pełnych uwielbienia pytań to za dużo.

– Co sprawia, że jesteś najlepszy w całej stawce?

Spojrzałem na Larsa. Czy Lance powie po prostu, że to EPO, i wyrzuci to z siebie raz na zawsze? „Jestem najlepszy dzięki EPO i Michele Ferrariemu!”

Brwi Larsa uniosły się w górę. Kilku innych dziennikarzy czuło się podobnie, gdyż oto właśnie się zaczyna: debata na temat dopingu. Zaczął ją francuski dziennikarz, ponieważ, mówiąc najogólniej, dziennikarze francuscy, zwłaszcza ci pracujący dla „Libération” i „Le Monde”, należeli do najmniej łatwowiernych w pokoju prasowym. Lance został zapytany o doping. Udziela zwyczajowej odpowiedzi: to zagadnienie dotyczące sportu w ogóle, nie tylko kolarstwa. Problem globalny. Mówi:

– Myślę, że kolarstwo jest na drodze do wyjścia z tego kryzysu, ponieważ zrobiło w tej sprawie więcej niż jakakolwiek inna dyscyplina.

Oczywiście zawsze znajdą się tacy, którzy nie będą chcieli wierzyć. Trolle takie jak ja, które toczy rak ducha.

Kiedy debata schodzi na temat dopingu, dzieje się coś dziwnego. Odpowiadając na pytania, Lance patrzy na mnie, nawet jeśli to nie ja je zadałem. Jak gdyby chciał przekonać wyłącznie mnie, a nie wszystkich obecnych w sali. Za każdym razem kiedy mówi o dopingu, wpatruje się we mnie.

Czyżby zastanawiał się na głos, czy cynizm będzie mu już towarzyszył do końca kariery?

Lance odpowiada, patrząc mi prosto w oczy:

– Jestem gotów z tym żyć. To przykre. Codziennie rano wstaję i mogę spojrzeć w lustro. Mogę też patrzeć w oczy swojej rodzinie. Tylko to się liczy.

Podniesienie ręki w górę, żeby zadać pytanie człowiekowi, który tobą gardzi, to ciekawe doświadczenie, bo nigdy nie wie się, jak zareaguje.

Słyszałem, jak mówił o problemach kolarstwa i o tym, co ta dyscyplina robi, żeby wyjść z bagna. Pytam więc, czy czuje osobistą odpowiedzialność za promocję jej lepszego wizerunku i jak zamierza to pogodzić z tym, że jego lekarz fizjolog jest wiązany z dopingiem?

Przygotował się na tę chwilę.

– Cóż, Davidzie, cieszę się, że w końcu się pokazałeś. Dobrze widzieć, że wreszcie tu jesteś.

Choć mówi to sarkastycznie, daje mi również do zrozumienia, że wie, kiedy jestem obecny podczas Tour de France, a kiedy mnie nie ma. Interesuje go to.

– Jestem spokojny o tę znajomość. Nigdy się jej nie wypierałem, nawet podczas rozmów z tobą. Wierzę, że jest uczciwym człowiekiem. Wierzę w jego przyzwoitość i niewinność. Nigdy nie zaobserwowałem niczego, co skłaniałoby mnie do innego sądu na jego temat.

Nie odpowiada na pytanie o to, czy związek z kontrowersyjnym doktorem jest dobry dla kolarstwa, ale odjeżdża ku zachodowi słońca i to Lance przeprowadza wywiad z Lance'em. W przeszłości stosował tę technikę wiele razy i zawsze podsuwa mu ona odpowiedzi, które sam chce usłyszeć.

– Ludzie przyjrzą się faktom i powiedzą: „W porządku, jest Lance, jest związek [z doktorem]. Czy to podejrzane?”

– Być może.

– Czy powiedzą: „Czy Lance wpadł?”

– Nie.

– „Czy Lance Armstrong był badany?”

– Wielokrotnie.

– „Czy w sprawie zespołu Lance'a Armstronga toczyło się śledztwo i czy próbki moczu jego zawodników pobrane podczas Tour de France

w 2000 roku zostały przebadane?”

– Tak.

– „Czy były czyste?”

– Absolutnie.

– „Czy obecnie istnieje test na obecność EPO?”

– Oczywiście.

– „Czy [Lance Armstrong] przejdzie każdy test, ponieważ nie przyjmuje EPO?”

– Tak.

Owe przerywniki, podczas których Lance przeprowadza wywiad z Lance'em, są magiczne w swojej prostocie i skuteczności. Sam zadaje sobie trudne pytania, ale ponieważ jest zarazem dziennikarzem i gwiazdą sportu, ma wszystko pod kontrolą. Sprawiedliwie trzeba mu oddać, że są to pytania, których i tak nie zadałoby mu dziewięćdziesiąt pięć procent reporterów obecnych w sali.

Jeśli chodzi o trolle, to równie dobrze mogą się wczłgać z powrotem pod kamienie. Ale nie robią tego.

Siedząc daleko po mojej lewej stronie, Lars przypomina Lance'owi, że nie odpowiedział na „pytanie pana Walsh’a” o to, dlaczego czysty kolarz miałby chcieć pracować z brudnym lekarzem.

– Dopóki ktoś nie zostanie skazany, dopóki nie zostanie mu dowiedziona wina, nie mogę uważać go za winnego. Czy to wystarczająca odpowiedź na twoje pytanie, Davidzie?

Jest dla mnie oczywiste, że kłamie, jednak w tej sali to pogląd mniejszości. Pytanie, które zadawałem każdemu spotkanemu w czasie wyścigu dziennikarzowi, brzmiało: Dlaczego zawodnik, twierdząc, iż jest czysty i przeciwny dopingowi, pracuje z mającym najgorszą reputację w środowisku kolarskim lekarzem, który stanie przed sądem za pomaganie

zawodowym kolarzom w stosowaniu dopingu? Szczególnie kiedy ten zawodnik zawsze jest męczony pytaniami o czystość. Pytam teraz o to Lance'a.

W połowie pytania Armstrong przerywa mi:

– Mam dowód, w który ty nie wierzysz.

– Pozwól mi dokończyć pytanie – mówię ze stanowczością, która zadziwia mnie samego. Czekam przez chwilę na gromy, które spadną na mnie z nieba. Nic się nie dzieje. Kontynuuję z nutą nieposłuszeństwa w głosie. – Czy nie byłoby to w interesie kolarstwa, gdybyś zawiesił swoje stosunki z Ferrarim do czasu, kiedy nie odpowie na zarzuty o doping pod swoim adresem?

Lance jest zbity z tropu sensownością tej sugestii.

– Masz rację.

Prawdopodobnie rozważał już z Billem Stapletonem możliwość publicznego zdystansowania się od Ferrariego. Ale Adam Frankensteina nie może odwrócić się plecami do swojego stwórcy.

– To mój wybór. Uważam, że jest niewinny. Według mnie to czysty człowiek. Niech stanie przed sądem. Niech udowodni swoją niewinność... jak mogę oskarżać człowieka, kiedy nigdy nie widziałem, żeby robił coś niezgodnego z prawem?

Konferencja prasowa trwała godzinę i dziesięć minut. Kolejny dzień procesu Lance'a Armstronga, podczas którego ten umiejętnie się bronił. Zauważył jednak, że w miarę rozwoju dyskusji liczba dziennikarzy zadających pytania o doping rośnie. Padało ich więcej niż podczas wszystkich poprzednich konferencji prasowych organizowanych podczas przerw w wyścigu. Wydawało się, że dziennikarze myślą, iż mają prawo pytać. On widział jednak, kim są. Ich twarze zostały zapamiętane i wkrótce

ich przepustki zezwalające na wstęp do kręgu zaufanych Lance'a Armstronga zostaną cofnięte.

Dobrze sobie dzisiaj poradził, a taktyka wpatrywania się we mnie podczas rozmowy na temat dopingu zostawi we mnie podprogowe wrażenie, jakoby była to niemal prywatna rozmowa między nim i mną.

Zanim Lance wyjdzie wolny z sali sądowej, pada ostatnie pytanie:

– Wracając do twoich sukcesów: co ci daje szczęście? Odnoszenie zwycięstw, ściganie się na oczach tych wszystkich ludzi czy sama jazda na rowerze?

Ach! Tuż za linią.

– Wszystko to, o czym mówisz – odparł. – Zrozumcie, wyjdę stąd za trzydzieści sekund i wszyscy znikniecie z mojego życia. Po powrocie do hotelu pójdę na masaż i odpocznę. Po zakończeniu wyścigu wrócę do rodziny i wtedy już was naprawdę nie będzie⁴⁹.

Lars zapłacił cenę za zachęcenie Armstronga do odpowiedzi na „pytania pana Walsh”. Kiedy później zwracał się z pytaniem do Johana Bruyneela, dyrektora teamu US Postal, za każdym razem słyszał, że nie ma on czasu. Był zbyt zajęty.

– To wyglądało tak, jakby zasunęli zasłony, a mnie nie wolno było już tam wchodzić – mówi Lars.

Kilka wieczorów później siedziałem w samochodzie z Rupertem. Jechaliśmy do naszej kwatery, ale po drodze zatrzymaliśmy się na chwilę w hotelu, w którym mieszkali zawodnicy. Rupert musiał coś sprawdzić u jednego z Australijczyków jadących w wyścigu. Pech Ruperta polegał na tym, że w hotelu tym nocowała też ekipa Armstronga. Kiedy tylko wszedł do lobby, natknął się na *directeur sportif* US Postal Johana Bruyneela.

Bruyneel widział Ruperta ze mną. Naskoczył na biedaka, mówiąc, że nie może ze mną współpracować i spodziewać się tego, że będzie miał

dostęp do kogokolwiek z teamu US Postal. Bruyneel był wściekły. Wymachiwał Rupertowi palcem przed nosem.

– Jesteś pieprzonym zdrajcą! Trzymasz z Walshem. Wiemy, w co pogrywasz.

Rupert bronił się. Bruyneel nie przestawał, dopóki Rupert nie powiedział mu w końcu, że czekam w aucie przed hotelem i że może iść i powiedzieć mi to wszystko prosto w twarz.

Bruyneel odwrócił się i poszedł sobie.

Dla ludzi żyjących poza Lance World musiało to wyglądać na najbardziej osobliwą potyczkę: dwaj mężczyźni w średnim wieku kłócący się jak szaleni z powodu tego, że jeden z nich był widziany z innym facetem. Bruyneel nie skorzystał z propozycji Ruperta i nie wyszedł przed hotel, z czego zresztą później się cieszyłem. Choć teraz zdarzenie to może wydawać się zabawne, wtedy nie było mi jednak do śmiechu.

Znałem Ruperta od ponad dwudziestu lat. Biegaliśmy ze sobą rano mnóstwo razy, razem jadaliśmy kolacje i spędziliśmy dużą część naszego życia, dzieląc ze sobą tylne siedzenie w samochodzie. Przez ten czas widziałem go rozzłoszczonego tylko raz.

Właśnie tamtej nocy.

W dniu kiedy Lance przejechał przez linię mety na Polach Elizejskich, po raz trzeci z rzędu zwyciężając w Tour de France, napisałem kolejny artykuł do „Sunday Timesa”, w którym stwierdzałem, iż nie ma czego świętować, ponieważ na zbyt wiele pytań nadal nie znamy odpowiedzi.

Był to tekst, jaki pisałem każdego lipca przez trzy ostatnie lata. Stanowił świadectwo zarówno mojej chęci powtarzania się bez końca, jak i cierpliwości mojego redaktora Alexa Butlera. Mógł on stwierdzić, że ma już dość, podobnie jak musiała myśleć większość naszych czytelników,

a jednak pozwolił mi to napisać. Artykuł na zakończenie Tour de France w 2001 roku ukazał się pod tytułem: *Paradise Lost on Tour* (Raj utracony na trasie) i ratowało go jedno: cytowałem Grega LeMonda wypowiadającego się na temat Armstronga.

LeMond zwyciężał w Tour de France trzykrotnie i wiedział, że krytykując Lance'a w dniu jego trzeciego triumfu, narazi się na oskarżenia o zazdrość. LeMond usłyszał jednak coś ciekawego od swojego byłego mechanika Juliana DeVriesego, wówczas mechanika Armstronga. Julien opowiedział mu o atmosferze dyskrecji wokół teamu, która według niego miała na celu ukrycie stosowania dopingu.

LeMond rozmawiał z dziennikarzem Jamesem Starttem. Reporter powiedział mu, że były kolega Lance'a z teamu Frankie Andreu i jego żona Betsy słyszeli, jak Lance przyznaje się lekarzom w Indiana University Hospital do stosowania środków dopingujących. Było to w 1996 roku w trakcie jego kuracji nowotworowej. To zasiało wątpliwości u LeMonda'a, niemniej jednak informacja ta była poufna i nie zamierzał publicznie o tym mówić.

Ale z Michele Ferrarim to co innego.

Kropla.

Czara.

LeMond uważał, że od kiedy doktorzy zastąpili przy dopingu *soigneurs* (nieposiadających wykształcenia medycznego „opiekunów fizjologów”, którzy dawniej aplikowali takie środki), sytuacja w kolarstwie zmieniła się ze złej na o wiele gorszą. Z tego, co LeMond słyszał i czytał na temat Michele Ferrariego, wynikało, że to toksyczna postać. Na stronie internetowej „Sports Illustrated” Greg przeczytał zdanie napisane przez dziennikarza Alexa Wolffa, które podsumowywało jego opinię o włoskim

doktorze: „Do Ferrariego można iść wyłącznie po to, żeby mu powiedzieć, żeby zostawił, do cholery, sport w spokoju”.

Trzy dni po konferencji prasowej w Pau zadzwoniłem do LeMonda i złapałem go w dobrym momencie. Był gotów rozmawiać o Lansie i Ferrarim, ale przede wszystkim nie chciał, aby ludzie zrozumieli, że dawny mistrz krytykuje swojego następcę.

– Kiedy Lance wygrał prolog Tour de France w 1999 roku, byłem bliski płaczu. Wrócił po chorobie nowotworowej. Ja sam w środku swojej kariery wróciłem do sportu po przypadkowym postrzale [podczas polowania w 1987 roku] i czułem się, jakbyśmy mieli ze sobą wiele wspólnego. Ale kiedy usłyszałem, że Lance pracuje z Michele Ferrarim, byłem zdruzgotany. Nie chcę komentować tegorocznego Tour de France w świetle ich znajomości... – LeMond zrobił pauzę, zastanawiając się, czy powinien coś jeszcze powiedzieć. Nie mógł się powstrzymać. – Krótko mówiąc, jeśli Lance jest czysty, jest to największy powrót w historii sportu. Jeśli nie jest, będzie to największe oszustwo.

Te słowa musiały dotrzeć do Armstronga.

Kilka dni później LeMond wrócił do swojego rodzinnego miasta Minneapolis-Saint Paul z podróży służbowej do Londynu. Kathy, jego żona, przyjechała po niego na lotnisko ich audi kombi.

– Chcesz prowadzić? – zapytała.

– Tak, poprowadzę.

Wtedy zadzwonił jego telefon.

– Greg, mówi Lance.

– Cześć, Lance. Co porabiasz?

– Jestem w Nowym Jorku.

– Ach, świetnie.

– Greg, myślałem, że jesteście przyjaciółmi. Dlaczego to powiedziałaś?

– O Ferrarim? Mam z nim pewien problem. Jestem zawiedziony, że spotykasz się z kimś takim. Osobiście jestem przeciwny Ferrariemu i lekarzom takim jak on. Uważam, że moja kariera zakończyła się przedwcześnie. Widziałem, jak umiera mój kolega z teamu. Widziałem, jak szybki koniec kariery niszczy niewinnych kolarzy. Nie podoba mi się to, co stało się z naszą dyscypliną.

– Daj spokój. Chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie stosowałeś EPO?

– Dlaczego miałbym powiedzieć, że stosowałem EPO?

– Bo wszyscy przyjmują EPO.

– Dlaczego uważasz, że i ja je stosowałem?

– No cóż, twój powrót w 1989 roku był imponujący. Mój był cudem, podobnie jak twój. Nie mógłbyś być taki silny, jak byłeś wtedy, bez EPO⁵⁰.

– Posłuchaj, Lance, wygrałem Tour de France, jeszcze zanim EPO pojawiło się w kolarstwie. W pierwszym starciu w Wielkiej Pętli zająłem trzecie miejsce [w 1984 roku]; w drugim powinienem był wygrać, ale wstrzymał mnie mój team [w 1985 roku Greg ukończył wyścig na drugim miejscu za kolegą z drużyny Bernardem Hinaultem]. Za trzecim razem wygrałem [w 1986 roku]. I nie dzięki EPO, gdyż mój hematokryt nigdy nie był wyższy niż 45 procent, ale dlatego że moje VO2 max wynosiło 95. Twoje zaś 82. Wymień choć jedną osobę, która powiedziała, że przyjmowałem EPO.

– Wszyscy to wiedzą.

– Grozisz mi?

– Jeśli chcesz krytykować, ja też zacznę.

– Czyli jednak mi grozisz? Posłuchaj, Lance. Dobrze się znam na fizjologii. Żaden trening nie zmieni sportowca z VO2 max na poziomie 82 w takiego, u którego będzie on wynosił 95, a ty jeździłeś szybciej ode mnie.

– Znajdę co najmniej dziesięciu ludzi, którzy powiedzą, że stosowałeś EPO. Dziesięciu, którzy się ujawnią.

– To niemożliwe. Nigdy tego nie robiłem. Nikt nie może powiedzieć, że było inaczej. Gdybym przyjmował EPO, mój hematokryt przekroczyłby wartość 45. A nigdy tak nie było. Mógłbym przedstawić wyniki badań wszystkich parametrów krwi, żeby udowodnić, że poziom mojego hematokrytu nigdy nie przekroczył tej wartości. Jeśli takie oskarżenie padnie pod moim adresem, będę wiedział, że wyszło od ciebie.

– Nie powinieneś był mówić tego, co powiedziałaś. To nie było w porządku.

– Staram się unikać rozmów z dziennikarzami. David Walsh zadzwonił do mnie. Wiedział o twoich związkach z Ferrarim. Co miałem powiedzieć? Bez komentarza? Nie jestem kimś takim. Później zadzwonił do mnie dziennikarz ze „Sports Illustrated”. W sumie rozmawiałem z dwoma reporterami. Może nie powinienem był tego robić, ale powiedziałem im wyłącznie prawdę.

– Myślałem, że mamy do siebie szacunek.

– Ja również. Posłuchaj, Lance. Próbowałem cię ostrzec przed Ferrarim. We wrześniu rusza proces tego gościa. To, co robił w latach dziewięćdziesiątych, zmieniło kolarzy. Powinieneś się od niego odciąć. Jak według ciebie miałem zareagować?

Ta rozmowa zakończyła znajomość Lance’a z Gregiem. Żadnych więcej kartek świątecznych.

Nadszedł czas, żeby podporządkować sobie LeMonda. Pierwszy zadzwonił do niego Thom Weisel, przedsiębiorca z Zachodniego Wybrzeża, który dorobił się małej fortuny na świadczeniu usług finansowych – dzięki jego wizji powstał team US Postal. W delikatny sposób powiedział Gregowi, że to niedobrze dla niego, że opowiada takie rzeczy o Lansie. Po

Weiselu przyszła kolej na Terry'ego Lee, prezesa Bell Helmets, firmy produkującej akcesoria kolarskie, który również mówił pojednawczym tonem.

– Gdybym był na twoim miejscu, Greg, nie robiłbym tego.

Po Lee zadzwonił John Bucksbaum, dyrektor wykonawczy firmy zajmującej się handlem nieruchomościami, i jeszcze jeden biznesmen z obozu Lance'a. Dzwonił oczywiście jako przyjaciel. Trwał napór na Grega na całej linii. Pod koniec tygodnia LeMond otrzymał wiadomość z prośbą o telefon od Johna Burke'a, dyrektora wykonawczego firmy Trek mającej umowę licencyjną z LeMondem na produkcję, sprzedaż i dystrybucję jego rowerów.

Burke powiedział LeMondowi, że jest w trudnej sytuacji, ponieważ jego firma sponsoruje również Lance'a. Chciał, żeby Greg publicznie wycofał się ze swoich słów o Ferrarim i Lansie. Uzależniał od tego dalszą z nim współpracę.

– Wyglądało to tak, jakby zmobilizowano ludzi, żeby zamknąć Gregowi usta – powiedziała Kathy LeMond.

Często rozmawiałem z Gregiem, kiedy miał problemy z Trekiem i był poddawany naciskom ze strony wysoko postawionych biznesmenów z otoczenia Lance'a. Przez jakiś czas Greg opierał się, ale niekończące się rozmowy z jego prawnikiem i niepewność co do tego, co Trek zamierza zrobić z ich współpracą, w końcu wzięły górę. Powiedział prawnikowi, żeby zrobił to, co konieczne dla zamknięcia tej sprawy, ponieważ chce się wypłatać z tego wszystkiego.

Nieco ponad dwa tygodnie po burzliwej rozmowie z Lance'em w „USA Today” wydrukowano przeprosiny Grega:

Szczerze żałuję, że niektóre z moich wypowiedzi mogły zostać odebrane, jakobym kwestionował wiarygodność osiągnięć Lance'a. Chcę, żeby było jasne, iż uważam Lance'a za wielkiego mistrza i absolutnie nie wierzę, że kiedykolwiek stosował jakiegokolwiek substancje zwiększające wydolność jego organizmu. Jestem przekonany, że jego osiągnięcia są wynikiem równie ciężkiej pracy, poświęcenia i koncentracji jak moje dziesięć lat temu.

Sal Ruibal, dziennikarz, który wiernie wspierał Lance'a na początku jego kariery, został nagrodzony za swoją pracę możliwością zredagowania tego oświadczenia i uprzejmą reakcją Lance'a.

– To miłe – powiedział Armstrong – usłyszeć takie wyjaśnienia. Zawsze bardzo szanowałem Grega jako kolarza i za to, co zrobił dla naszej dyscypliny. Szanuję i doceniam to tym bardziej, że słowa te nie przyszły mu łatwo. Nie czułem do niego urazy wcześniej i nie czuję jej teraz.

LeMond po raz pierwszy zobaczył treść tego oświadczenia na sportowych stronach „USA Today”. Przyprawilo go ono o mdłości. Nie tylko dlatego że nie odzwierciedlało jego stosunku do sukcesu Armstronga, ale bardziej ze względu na to, że dał się zastraszyć ludziom na wysokich stanowiskach. LeMond przyrzekł sobie, że to już się więcej nie powtórzy.

49 Armstrong często to powtarzał. Jego kariera się skończy, zniknie, znajdzie sobie ładną plażę, będzie spędzał czas z rodziną przy zimnym piwie, a my nadal będziemy siedzieć w pokoju prasowym, zastanawiając się, jak to zrobił. Ostatecznie jednak, kiedy przestał startować w 2005 roku, nie mógł wytrzymać „na emeryturze” i w 2009 roku wrócił. Gdyby nie wrócił, prawda na jego temat zapewne nigdy nie została by w pełni odkryta.

50 Nie ma żadnych dowodów na stosowanie EPO przez kolarzy przed rokiem 1989. Większość zgadza się, że EPO zadebiutowało w kolarstwie na początku lat dziewięćdziesiątych.

ROZDZIAŁ 10

Czy mamy wierzyć we wszystko, co opowiada

Betsy Andreu?

Lance Armstrong

Oto Betsy Andreu. Niska, ciemnowłosa, mająca znajomości. Nieprzejednana. Od momentu kiedy ją poznasz, wiesz, że jest twarda i waleczna jak lwica. Gdyby Lance Armstrong choć w najmniejszym stopniu umiał oceniać charaktery ludzi, z którymi się styka, zamknąłby swój kram z medykamentami w chwili, gdy ją poznał. Ale nie. Oto Betsy Andreu. Kiedyś w tym procederze uczestniczyła. Teraz jest po mojej stronie.

Minusem opisanie historii z Ferrarim w 2001 roku była mniejsza liczba kartek świątecznych, jakie otrzymałem, i świadomość, iż mój atak na najślynniejszego pogromcę raka wyeliminował mnie z ubiegania się o tytuł Dobroczyńcy Roku. Znowu.

Jedną z wielu korzyści było zaś to, że znalazłem się na radarze innych biednych dusz, które przejmowały się tymi samymi rzeczami.

James Startt był mieszkającym w Paryżu amerykańskim fotoreporterem pracującym dla „Bicycling”. Wybrał pracę w Europie, ale zaprzyjaźnił się z wieloma amerykańskimi kolarzami. Poznałem go podczas Tour de France. Polubiłem go. Znał Frankiego Andreu. Jeśli znało się Frankiego, musiało

się też znać jego żonę Betsy. Jeśli zaś znało się Betsy, znało się też jej opinię na temat utalentowanego pana Armstronga.

Któregoś razu – czy to osobiście, czy przez telefon – Betsy, posiadająca naturalną zdolność do budowania sieci społecznościowych, zapytała Jamesa, czy zna tego gościa Davida Walsha. Tak się złożyło, że James znał Davida Walsha i był gotów się do tego przyznać.

– Powiedz mu, żeby do mnie zadzwonił.

– Tak jest, Betsy.

James zgodnie z obietnicą przekazał wiadomość.

– Powiedziała, że wie o czymś, co powinno cię zainteresować.

Niezwłocznie wykręciłem numer. W Dearborn, w amerykańskim stanie Michigan, ktoś natychmiast podniósł słuchawkę. Betsy Andreu.

Informatorzy są jak randki w ciemno. Zanim trafisz na kogoś wartego zachodu, musisz się spotkać z wieloma niewypałami. Czasami jednak po prostu wiesz, że znalazłeś odpowiednią osobę. Głos dochodzący ze słuchawki świadczył o inteligencji i surowej moralności. Nic, czego dowiedziałem się o Betsy w ciągu wielu lat, jakie minęły od dnia, w którym się poznaliśmy, nie zmieniło tego pierwszego wrażenia.

Z Betsy nie trzeba było chodzić na palcach wokół tematu Lance’a Armstronga. Pierwszą dłuższą rozmowę odbyliśmy w piątek wieczorem. Przyleciałem na lotnisko Heathrow, zakończywszy pracę nad innym materiałem, i musiałem od razu jechać przez cały kraj do Cardiff na mecz rugby, który miał się odbyć następnego dnia po południu. Zadzwoniłem do niej, wyjeżdżając z Heathrow. Kiedy zaparkowałem przed hotelem w Cardiff, rozmowa wciąż trwała. To mówi coś o wsparciu, jakie miałem ze strony swoich pracodawców w „Sunday Timesie”, którzy płacili moje rachunki za telefon bez słowa sprzeciwu. Gdyby Vodafone sponsorował nagrodę dla dziennikarza roku – wygrałbym ją.

Już kilka minut po moim wjeździe na autostradę M4 Betsy zaproponowała mi (używając słów Lance'a) płynne złoto. Opowiedziała mi o spotkaniu w pokoju badań w Indiana University Hospital w październiku 1996 roku. W walecznej naturze pełnego energii Frankiego było coś, co zaskarbiło mu szacunek Lance'a podczas ich pobytu w Europie. Byli przyjaciółmi. Kiedy w październiku 1996 roku nadeszła wiadomość o chorobie nowotworowej Armstronga, Betsy i Frankie mocno to przeżyli. Za sześć tygodni mieli się pobrać, a ich przyjaciel chorował na raka. Życie bywa okrutne i rządzi nim przypadek.

Pojechali na kilka dni do Indianapolis z zamiarem spędzenia każdej wolnej chwili na dotrzymywaniu towarzystwa przyjacielowi. W sali, w której stało jego łóżko, zrobiło się zbyt tłoczno i przenieśli się do szpitalnej świetlicy. Lance doczłapał tam ze swoją kroplówką.

W telewizji leciał mecz Dallas Cowboys. Nieliczna grupka przyjaciół i znajomych oglądała go z różnym zainteresowaniem. W pokoju znajdowali się: Betsy Andreu, Frankie Andreu, trener Lance'a Chris Carmichael i jego żona Paige, ówczesna dziewczyna Lance'a Lisa Shiels i kobieta o nazwisku Stephanie McIlvain, która pracowała jako łącznik z firmą Oakley, sponsorem dostarczającym Lance'owi okulary.

Do pokoju weszło dwóch lekarzy. Mieli kilka pytań do pacjenta. Niecierpiących zwłoki.

– Powinniśmy wyjść – powiedziała Betsy, kiedy lekarze zaczęli po kolei odczytywać pytania.

– W porządku – odparł Armstrong. – Możecie zostać.

Wtedy Betsy usłyszała coś, co na zawsze zmieniło i skomplikowało jej życie oraz sprawiło, że i życie Lance'a Armstronga stało się o wiele trudniejsze.

– Czy stosował pan środki dopingujące? – zapytał jeden z lekarzy.

Armstrong dosłownie je wyrecytował:

– EPO, testosteron, hormon wzrostu, kortyzon i sterydy.

Betsy była zszokowana. Wyraz jej oczu zdawał się mówić jej narzeczonemu Frankiemu Andreu: „Ty i ja musimy porozmawiać na zewnątrz. Teraz”.

Frankie wiedział, że lepiej będzie, jeżeli wyjdzie z nią na korytarz.

– Jeśli, do kurwy nędzy, bierzesz to gówno, nie wyjdę za ciebie – powiedziała.

Frankie był szosowym twardzielem. Uczył się ścigać na rowerze podczas swawolnych przejażdżek wokół Dearborn Towers koło domu i ciężkich wyścigów w zapadłych dziurach takich jak Downers Grove. Był coraz lepszy. Tego lata był czwarty w wyścigu szosowym ze startu wspólnego podczas igrzysk olimpijskich w Atlancie. Tym razem jednak był w tarapatach.

Kiedy po jakimś czasie Armstrong zapytał, jak Betsy zareagowała na ujawnienie przez niego tych informacji, wystarczyło jedno słowo: „Niedobrze”.

Przez lata Betsy trzymała się swojej wersji wydarzeń w owym pokoju. Parę dni po nich zadzwoniła do swoich przyjaciół: Dawn Polay, Piera Boccarossy i Lory Testasecci, i rozmawiała z nimi o tym, co zostało wówczas powiedziane. Nadal była zszokowana i zdenerwowana. Czy po tym wszystkim, co usłyszała, może wyjść za Frankiego? Czy powinna? Powiedzieli jej, że muszą to przegadać. Długo i twardo. Tak zrobili.

Frankie obiecał, że będzie czysty. Nieco ponad dwa miesiące później, w sylwestra 1996 roku, Betsy Kramar została Betsy Andreu.

Była jednak samotna. Betsy ani przez chwilę nie rozumiała, dlaczego miałyby kłamać i kryć Lance’a Armstronga. Kiedy jej opowieść stała się znana i ludzie dowiedzieli się, że oczernia amerykańską ikonę, mogła liczyć

wyłącznie na przyjaciół, mamę i kilku innych ludzi. W świecie, w którym żył i pracował jej mąż, wsparli ją jedynie Greg LeMond, jego żona Kathy, Jonathan Vaughters i były kolega Frankiego z teamu James Startt. Przez długi czas do tego grona należała też Stephanie McIlvain. Betsy nie dbała o to, że grupka ta jest tak nieliczna. Uczciwość nie wymaga poklasku.

Kiedy zaraz na początku naszej znajomości opowiedziała mi historię z sali szpitalnej, byłem oszołomiony. Ufność Lance'a Armstronga to taka mała ludzka rzecz. Tak bardzo wierzył wtedy w ludzi. Później mówili oni: nigdy nie przyznałby się do stosowania środków dopingowych w obecności szóstki przyjaciół.

Betsy i Frankie rozmawiali o tym.

– Dlaczego był taki niedyskretny, Frankie?

– Kochanie – powiedział Frankie – dzień wcześniej usunięto mu z mózgu lezje. Nie miał pewności, czy będzie żył. W tamtym momencie środki dopingujące nie były jego największym zmartwieniem.

W owej sali w Indianie znajdującej tak daleko od natrętnych kontrolerów antydopingowych i cwanych Europejczyków, w owym pokoju, gdzie tak niewyraźnie ustalono granice poufności, choroba pożerająca jego ciało zmieniła kontekst wszystkiego.

Mała ludzka rzecz, a jednak relacja Betsy była całkowicie wiarygodna. Lance czuł się bezpiecznie w otoczeniu tych, którzy w ten czy inny sposób stanowili część jego zespołu. Źle rozpoznał teren. Nawet nie sądził, że będzie to miało znaczenie. Nie wiedział, że Betsy będzie martwić się o mężczyznę, którego zamierzała poślubić, o jego honor i zdrowie.

Rozstrzygające słowa padły na szpitalnym korytarzu, gdzie Betsy wyciągnęła Frankiego i poddała go najbardziej niespodziewanej próbie w jego karierze. „Ty i ja musimy porozmawiać”. Lance Armstrong, nawet

ten z 1996 roku, nie mógł sobie wyobrazić, że stanie się bohaterem tej rozmowy.

Betsy opowiedziała mi tę historię, a ja, jak każdy, kto usłyszał tę opowieść wcześniej albo później, uwierzyłem jej. Jej słowa nie stanowiły jednak dowodu. Nie był to rewolwer z dymiącą lufą. Dla ludzi zajmujących się sprawami dopingu coś takiego nie istnieje. W 1996 roku w Atlancie spotkałem znanego amerykańskiego dziennikarza. Opowiedział mi on o długim śledztwie, które przeprowadził w sprawie dopingowych praktyk bardzo podziwianego amerykańskiego sportowca. W końcu, po serii szkodzących mu artykułów, sportowiec rzucił do walki swoich prawników. Zorganizowano spotkanie, na którym obecni byli ów dziennikarz, jego pracodawcy, zawodnik i jego prawnicy.

Gazeta, wytrącona z równowagi na widok tak znanej osoby i tak wielu zamachowców w drogich garniturach, po prostu ustąpiła. Zgodzono się co do tego, że reputacja zacnego człowieka jest kwestionowana, i redakcja zapewniła jego prawników, że to się skończy. Wszyscy wstali i uścisnęli sobie dłonie. Bardzo uprzejmie i serdecznie. Ostatni uścisnęli sobie dłonie mój kolega dziennikarz i jego „ofiara” sportowiec. Kontakt wzrokowy i agresywnie mocny uścisk. Sportowiec na odchodne rzucił mu spojrzenie i uśmiech, z którego był znany.

Mój przyjaciel spojrzał na swoją dłoń. Zawodnik wcisnął mu w nią małą tabletkę dianabolu.

– Kurwa.

Pokazał ją swoim szefom, na których był już wtedy bardzo zdenerwowany.

– Och! – powiedzieli. – No popatrz! Miałeś rację. Ale posłuchaj: to niczego nie dowodzi. Nie możesz nawet tego opisać, bo to wyraźnie coś zasugeruje.

Opowieść Betsy była małą niebieską tabletką w mojej dłoni. Na szczęście trafiła do mnie bez afery z prawnikami i zakazów sądowych. Nie stanowiła dowodu, ponieważ dyskusja typu „jej słowo przeciw jego słowu” toczyłaby się latami. Dla mnie stanowiła ona jednak potwierdzenie. Podnosiła mnie na duchu. Pracuj dalej. Przyglądaj się. Rozmawiaj z ludźmi. Zadawaj pytania. Pisz. Była to ironia, która nie spodobałaby się Lance’owi, ale uważałem informację otrzymaną od Betsy za środek dopingujący.

Betsy zadawała co najmniej tyle samo pytań, na ile sama odpowiadała. „Co wiesz? Skąd to wiesz? Powiedziałeś mu o tym? Co odpowiedział?” Gdybym miał redaktora takiego jak ona, wypaliłbym się lata temu. Przeglądała prasę z całego świata i wiedziała, jakie stanowisko zajmują poszczególni dziennikarze. Chciała, żebym zdobył numery telefonów tych bez kręgosłupa, by mogła do nich zadzwonić i zapytać, co się stało z ich szacunkiem dla samych siebie.

Betsy jest jedyna swoim rodzaju. Jej sposób bycia i postępowania sprawiały, że natychmiast się jej wierzyło. Była córką serbskiego jubilera i słowackiej bibliotekarki. Dorastała jako pobożna katoliczka w Dearborn w stanie Michigan i ukończyła stanowy uniwersytet. W kwietniu 1994 roku poznała Frankiego w pizzerii. Był żyłastym zawodowym kolarzem o etyce pracy robotnika fizycznego i promiennym uśmiechu. Kiedy się poznali, Betsy szykowałą się do otwarcia kawiarni stylizowanej na włoską.

Włochy! Frankie mieszkał na drugim końcu świata w Como, we Włoszech. Trzymał z liczną i pełną życia społecznością kolarzy składającą się z ambitnych Amerykanów. Był współlokatorem Lance’a Armstronga i wydawało się, że są sobie bliscy. Ich sąsiadami byli Kevin Livingston, Jeff Pierce i Bob Roll.

Frankie był przybity śmiercią kolegi z teamu Fabia Casartellego podczas Tour de France w 1995 roku. Fabio zginął podczas zjazdu z Col de

Portet d'Aspet. Betsy widziała zdjęcia. Krew na szosie. Frankie i Lance cierpiący podczas minuty ciszy zarządzanej w celu uczczenia pamięci zmarłego kolarza. Czarne opaski na rękach. Frankie w okularach przeciwsłonecznych z boczną osłoną ukrywający swój ból. Płaczący Lance. Byli braćmi na szosie. Razem żyli i uczyli się życia.

Amerykanie poznawali kolarstwo, które amatorowi może wydawać się najczystszy z sportów, od jego niełatwej, zawodowej strony. Z podziwem i zakłopotaniem obserwowali kolarzy takich jak Mario Cipollini, którzy stawali na starcie wyścigów organizowanych na początku sezonu i pożerali podjazdy. Co, do diabła? Wszędzie krążyły pogłoski. Ludzie mówili o EPO, porównywali między sobą poziom hematokrytu, zewsząd dobiegał odgłos kostek lodu grzechoczących w termosach – niezbędnych rekwizytach przy stosowaniu środka, który musi być przechowywany w chłodzie.

Opowiadano sobie upiorne historie o kolarzach, którzy byli tak nakręceny od tych substancji, że ich hematokryt przekraczał 60 procent. Musieli zakładać na noc pulsometry, które alarmowały, kiedy ich tętno spadało poniżej pewnej wartości. Wstawali wówczas i ćwiczyli jak szaleni, żeby ich krew nie zamieniła się w melasę. To jest to cholerstwo, które w latach dziewięćdziesiątych zabiło osiemnastu belgijskich i holenderskich kolarzy? I to działa?

Niemniej jednak Betsy Andreu nie obchodziło, jakie Frankie wygrał wyścigi ani ile zarobił, jeśli środkiem do osiągnięcia tego celu było oszustwo i narażanie na szwank własnego zdrowia. EPO było przeznaczone dla ludzi chorych, prawda? Niektóre żony i partnerki kolarzy były jak Betsy, ale inne uważały doping za część tej dyscypliny i nawet pomagały swoim partnerom w tym procederze.

Przed Frankiem otwierały się drzwi do świata, który nie bardzo mu się podobał. Był dobrym zawodowcem, chłodnym i zdolnym strategiem na szosie. Cechowała go naturalna szorstkość, dzięki której zyskał szacunek wśród rówieśników. Nie po to został zawodowym kolarzem, żeby zacząć bawić się prochami. Niemniej jednak wszystkie te pogłoski i plotki były niczym chmura kurzu mająca przejść nad jego życiem. Nie wiedział też, jak ma się pogodzić z radykalnym podejściem swojej przyszłej żony do tego, co dobre i złe.

Z wielu rozmów z Betsy Andreu najbardziej zapamiętałem to, iż wydawało się, jakby trwały one zaledwie chwilę, a mimo to pozostawiały we mnie takie wspomnienie, jakbym sam był świadkiem tego, co opisywała. Jej historiom nigdy nie brakowało szczegółów ani spójności. Bill Clinton mówił ludziom, że czuje ich ból. Gdyby poznał Betsy, poczułby jej ból, frustrację, gniew, poczucie humoru i lojalność. Dawała z siebie to wszystko. Kiedy opisywała kłótnię z Frankiem, który sam nie był żadną trusią, lecz mężczyzną na linii frontu wiecznego dylematu: dostosować się do kumpli albo mieć dobre stosunki z żoną, zgadzałem się ze stanowiskiem Betsy, ale żał mi było Frankiego. Zmagał się z siłami natury.

Frankie wiedział jednak, że jest szczęściarzem. Jak miałem się przekonać, dobrze było mieć go za sojusznika. Stawianie pytań dotyczących Lance'a Armstronga, sportowca bohatera i pioniera walki z rakiem, mogło sprawić, że sam czułeś się jak rak. A jeśli sam nie postrzegałeś tego w ten sposób, inni byli chętni ci w tym pomóc.

Jeden z pierwszych listów nadesłanych do redakcji „Sunday Timesa” pochodził od czytelnika Keitha Millera, który nie był zachwycony moim sceptycyzmem.

Uważam, że zwycięstwo Armstronga było niezwykle, stanowiło triumf w sporcie i życiu. Myślę, że jest on dla nas dobrym przykładem. Wierzę w sport, życie i ludzkość (...). Czasem przestajemy w nie wierzyć z byle powodu. Niekiedy ludzie chorują na raka ducha. I to chyba dużo nam o nich mówi.

– Betsy, pozwól, że ci powiem, co ten facet napisał w liście...

A ona, będąc w Michigan, słuchała przez telefon kogoś, kto będzie jej towarzyszem podczas długiej drogi.

– Powiedziała Frankiemu, że nie będę kłamać dla Lance'a.

Jeśli ludzie w moim otoczeniu byli już znudzeni ciągłym opowiadaniem o szczegółach dotyczących tej sprawy, zawsze mogłem zadzwonić do kogoś, kogo ten temat nigdy nie nudził. Betsy siedziała w tym po uszy i obrywała za to równie mocno jak inni. Przyjmowała te ciosy spokojnie.

Wtedy się pobrali. Frankie i Betsy przez jakiś czas mieszkali razem w Europie. Zanim Lance zachorował na raka, Frankie ścigał się u jego boku w teamie Motorola, a kiedy po wyzdrowieniu Lance podpisał kontrakt z US Postal, Frankie poszedł w jego ślady. Armstrong wciąż był częścią ich życia.

Rozmowa, która odbyła się sali szpitalnej w Indianapolis, nie została zapomniana. Betsy wyszła za Frankiego z miłości, choć nie bez zastrzeżeń. Uznała jednak, że być może trop dopingowy zaczyna się i kończy na Lansie. Frankie był inny. Nie miał zimnego instynktu zabójcy, bezwzględności. Lance mógł żyć swoim życiem. Betsy i Frankie będą żyli swoim. Tak było w porządku.

Były jednak między nimi napięcia. Tak to jest, kiedy żyjesz w cieniu wulkanu. Frankie i Lance zmierzali w różnych kierunkach.

W 1998 roku, kiedy Willy Voet został zatrzymany za posiadanie całego arsenału farmaceutycznego horroru, Frankie rozmyślał na głos w autobusie teamu po prologu w Dublinie. Miał trochę współczucia dla Willy'ego, ale

jednocześnie żywił nadzieję, że jest to początek końca dopingu podczas Tour de France. Nienawidził presji, która się z tym wiązała, i tego, że Betsy się martwi. Przede wszystkim jednak powiedział, że to nie jest *fair*. Kiedy debiutował w Wielkiej Pętli, przez trzy tygodnie można było jeździć na spaghetti i wodzie. A teraz?

Jeszcze zanim Lance zachorował, Frankie dołączył do francuskiego zespołu Cofidis. Liczył na to, że stary przyjaciel stanie po jego stronie. Tour w 1998 roku jechał w barwach francuskiej ekipy, podczas gdy Lance był gdzie indziej i dochodził do siebie.

Tego roku Betsy pojechała na Wielką Pętlę z żoną Kevina Livingstona Becky. Kiedy wybuchł skandal z nalotami policji, zespoły robiły uniki, wycofywały się z rywalizacji i dochodziło do siedzących protestów, wiele osób ze świata zawodowego kolarstwa czuło, że sytuacja wymknęła się spod kontroli. Frankie miał mieszane uczucia. Żywił nadzieję, że nastąpi przełom, ustanie presja na to, by brać. Ale policja nie musiała działać tak stanowczo. Absolutnie. Reakcja Betsy była jak zwykle wyrazista. Skoro kolarze tak bardzo się zdenerwowali, muszą mieć sporo do ukrycia. Koniec, kropka!

To nie do wiary, ale Betsy nigdy nie miała złych relacji z Kristin Armstrong. Kiedy wiosną 1999 roku Kristin była w ciąży, Betsy rozmawiała z nią o zatrudnieniu niani. Jechały samochodem na klasyk Mediolan – San Remo. Betsy uważała, że jeśli ma się dziecko i może się poświęcić mu czas, niania jest zbędna. Kristin zgodziła się z nią. Jakiś czas później Betsy przeglądała internetowe forum kolarskie i trafiła na dyskusję na temat ciąży Kristin. Ktoś szyderczo spekulował, czy Armstrongowie zatrudnią opiekunkę do dziecka. Betsy, lwica jak zawsze, zalogowała się i odpowiedziała na ten post. Napisała, że zna Kristin i że nie zatrudni ona żadnej niani, więc niech lepiej przestaną chrzanić.

Kiedy rozmawiała z Kristin przy następnej okazji, wspomniała o tej internetowej wymianie zdań i że ktoś miał czelność napisać coś takiego. Powiedziała Kristin, że wstawiła się za nią i zakończyła tę dyskusję. Ku jej zaskoczeniu Kristin wybuchła płaczem. Przez chwilę nie mogła się uspokoić, a później przeproszała. Powiedziała, że przechodzi burzę hormonów. Betsy zrozumiała.

Jednak dzień później Kristin musiała niewinnie wspomnieć o wszystkim Lance'owi. Armstrong naskoczył na Frankiego, pukając go palcem w klatkę piersiową:

– Powiedz swojej pieprzonej Betsy, żeby odczepiła się od mojej żony. Ma przestać denerwować Kik.

Ci dwaj spośród najtwardszych *hombres* wśród kolarzy wdali się w zajadłą kłótnię niczym jelenie na rykowisku. Lance i tak był niezadowolony, gdyż Betsy była blisko z żoną Kevina Livingstona Becky i spędzały razem dużo czasu. Oznaczało to, że Kristin Armstrong była trochę osamotniona, i to denerwowało Lance'a, który wygarnął to Frankiemu w sposób najbardziej chamski z możliwych⁵¹.

Latem 1999 roku stosunki między Frankiem i Lance'em ochłodziły się. To, co zaszło, nie zniszczyło ich przyjaźni, ale nie było już między nimi jak dawniej. Betsy wysłała Lance'owi e-mail, wytykając mu w nim, iż nie traktuje ludzi w sposób, w jaki sam chciałby być traktowany, oraz że ma nawyk deptania wszystkich, którzy wejdą mu w drogę.

Później nastąpiły dobre czasy. Zmiana pogody. Noce mijające na picciu i rozmowach w Chez Wayne, ich ulubionym lokalu w Nicei; wieczory, podczas których Betsy i Frankie gościli Armstrongów i Lance rozplýwał się nad cudem, jakim było przyrządzane przez panią domu risotto. Chodził z nią do supermarketu. Ona kwestionowała jego ateizm, on przedstawiał argumenty przeciwko jej wierze w Boga. Dogadywali się.

Najlepsze czasy i jeszcze nie te najgorsze. Lance wyzdrowiał. Razem z Frankiem wrócili do pracy. Zanim ich paczka przeprowadziła się do Nicei, mieszkali razem w Como. Nie dało się tego zapomnieć. US Postal był poważnym teamem, najlepszym, w jakim do tej pory jeździł Frankie. Lance stawał się dokładnie taką gwiazdą, jaką planował zostać, kiedy przeprowadzał się do Europy. Znowu nastały dobre czasy.

W lipcu Lance wygrał zgodnie z planem swój pierwszy Tour de France. Pracowała na niego cała drużyna. Ponieważ Frankie był zajęty, Betsy wróciła do domu w Dearborn i większość wyścigu obejrzała w telewizji, robiąc sobie przerwy na odwiedziny u przyjaciół i rodziny. Opowiedziała mi o owym dniu w Sestriere, pierwszym etapie górskim. Była w domu i z niepokojem oglądała, jak jej mąż ciągnie stawkę na pierwszych alpejskich podjazdach, torując Lance'owi drogę do pierwszego zwycięstwa w górach. Znała Frankiego Andreu jak nikt inny. Nie poznawała tej wersji swojego męża. Zadzwoiła do przyjaciółki w Paryżu Becky Rast, żony Jamesa Startta, żeby przekonać się, czy widzi to samo co ona.

– Czy to nie wspaniałe?

– On nie jest góralem. Co on, do cholery, robi, ciągnąc wszystkich przed podjazdem pierwszej kategorii? Taki z Frankiego góral jak z papieża ateista.

Pod koniec wyścigu poleciała do Francji ze swoim dwumiesięcznym synem Frankiem. Dołączyli do kolarzy, kiedy ci byli w Carcassonne, na dalekim południu Francji. To nie były jednak ani czas, ani miejsce, żeby rozmawiać z mężem.

Przez resztę trasy do Paryża Lance prowadził. Betsy oglądała swojego męża w chwili jego największego triumfu, jadącego ramię w ramię z mistrzem. Słynny przejazd z zawrotną prędkością rue de Rivoli na place

de la Concorde, a następnie finisz na Polach Elizejskich. Pozwoliła Frankiemu nacieszyć się chwilą.

Tego wieczoru dołączyła do chłopców podczas przyjęcia zorganizowanego w Musée d'Orsay z okazji triumfu. Świat chciał w tym uczestniczyć. Pomyślała o czasach Motoroli i spokojnych niedzielnych nocach, które przed laty spędzali w Paryżu. Tymczasem teraz panował nastrój radości i może nieco triumfalizmu. Podbili Europę. Jednak teraz Betsy interesował wyłącznie jeden wątek poboczny: prochy.

Podczas przyjęcia powinna pogratulować Lance'owi Armstrongowi, ustawić się w kolejce i pocałować go w tyłek jak wszyscy inni.

– Uścisnęłaś dłoń i pogratulowałaś Lance'owi? – zapytał Frankie, kiedy ją odnalazł podczas przyjęcia.

– Nie.

– Musisz to zrobić. Inaczej będzie to źle wyglądało.

– Nie obchodzi mnie to. Chcę z tobą porozmawiać o EPO.

Kiedy Betsy opowiedziała mi tę historię, uśmiechnąłem się. Rozmawialiśmy teraz codziennie, czasami nawet dwa razy. Ludzie lgnęli do niej z powodu jej zamiłowania do prawdy. Choć dla wszystkich było jasne, iż nie wierzy ona w legendę Lance'a, regularnie rozmawiała z członkiem jego dalszej rodziny, z kimś będącym bardzo blisko Billa Stapletona, i wiedziała dużo, dużo więcej, niż mógłbym opublikować, nie narażając się na proces o zniesławienie.

Wyszukiwała artykuły i relacje i przekazywała je mnie. Dwa, trzy, cztery e-maile z linkami do tekstów o Lansie.

– Spójrz, co ten idiota napisał.

Nie mogłem się powstrzymać przed wyobrażaniem sobie twardego Frankiego Andreu, który przejechał trzytygodniowe piekło do zwycięstwa tylko po to, żeby stanąć przed swoją najcięższą próbą.

– Przy okazji, Betsy, czy ostatecznie uścisnęłaś Lance’owi dłoń? – zapytałem ją dużo później.

– Dziękuję Bogu, że dał mi tyle siły, żeby nie uścisnąć dłoni tego dupka.

Krótko po wygraniu przez Lance’a jego pierwszego Tour de France Betsy znalazła termos Frankiego z EPO w lodówce w ich mieszkaniu w Nicei. Coś sobie uświadomiła w o wiele bardziej brutalny sposób niż wówczas, kiedy oglądała go w telewizji jadącego na czele peletonu do Sestriere. EPO było w ich domu. Po tych wszystkich rozmowach, które odbyli w następstwie wizyty w szpitalu w 1996 roku, po wszystkich zapewnieniach i obietnicach było to niczym zdrada. Betsy stanęła z mężem twarzą w twarz.

– Co to jest?

– Nic – odpowiedział i natychmiast ustąpił.

Wy tłumaczył jej, iż przed Wielką Pętlą oczekiwania były tak duże, że czuł na sobie presję jak nigdy dotąd. Nie mógł sprawić chłopakom zawodu. Zgodnie z obowiązującymi zasadami, jeśli nie brałeś, oznaczało to, że nie starasz się wystarczająco. Frankie nie chciał brać, ale jego poświęcenie dla drużyny wzięło nad nim górę. Pojechał do Szwajcarii i trzęsąc się z nerwów, kupił EPO w wolnym obrocie w aptece. Zaaplikował je sam, wbijając sobie w mieszkaniu w Nicei igłę w ramię, po czym szybko zaczął realizować swój plan dnia, żeby zapomnieć o tym, co zrobił. Nie zabrał termosu na Tour de France, ale czuł korzyści, jakie dała mu jego zawartość.

Był skruszony i przepraszał, ale nic nie mógł poradzić. W świecie Betsy wszystko mogło być czarno-białe. W świecie Frankiego wyglądało to inaczej.

Betsy przypomniawszy sobie rozmowę, jaką odbyła na początku tego sezonu z Kristin w dniu, w którym jechały na wyścig Mediolan – San

Remo. Betsy zapytała żonę Lance'a, co myśli o EPO.

– Zło konieczne. – Kristin wzruszyła ramionami.

Dla Betsy Andreu żadne zło konieczne nie było. Dla Frankiego przyniesienie do domu prochów oznaczało, że czasem musi się podporządkować, żeby być częścią drużyny. Pokłócili się.

– Nie rozumiesz. Tylko w ten sposób mogę teraz ukończyć Tour. Po tym wszystkim obiecuję, że już nigdy tego zrobię.

Nie cierpiała tego argumentu, gdyż okres odprężenia i dochodzenia do siebie po Wielkiej Pętli należał do jej ulubionych. Miała jednak coś w zanadrzu. Skoro to team zmuszał Frankiego, żeby się szprycował, miał tylko jedno wyjście.

– Odejdź z teamu US Postal Service. Po prostu odejdź.

– Ten problem dotyczy wszystkich teamów, kochanie.

– Musisz mi obiecać, że nigdy więcej tego nie zrobisz. Nie chcę, żebyś to brał, nawet jeśli to oznacza, że nie będziesz jeździł tak szybko.

– Więcej tego nie zrobię.

Betsy postawiła na swoim. Zresztą od samego początku wiedziała, że tak właśnie będzie. Po zwycięstwie w Tour de France w 1999 roku wypadło na Frankiego, żeby poszedł do Armstronga i poprosił go o wypłacenie każdemu z ośmiu kolegów z drużyny po dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, które był winien za pomoc w wygraniu wyścigu. Betsy znamienne wydało się to, że Armstrongowi trzeba było o tym przypomnieć. W tym czasie przenosił się on do innej stratosfery zarówno pod względem wysokości zarobków, jak i statusu celebryty. Ci, którzy osłaniali go przed żywiołami, nadawali mu tempo podczas wspinaczek, prowadzili go na zjazdach, potrzebowali każdego dolara, jakiego mogli zarobić.

Lance nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego Frankie nie chce pracować z Ferrarim. Nazywał go kutwą, zbyt skąpym, żeby płacić. Oczywiście

Frankiemu nie podobała się wizja przekazywania dużej części zarobków włoskiemu lekarzowi, ale nie chodziło wyłącznie o pieniądze. Wiedział, że Ferrari zajmuje się poważnym dopingiem, i nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Poza tym Betsy by go zabiła.

Przed końcem 2000 roku życzenie Betsy się spełniło. Frankie pojechał przeciętnie podczas Tour de France. Był nieżywy, kiedy dojechał do mety, i został zwolniony z US Postal. Lance, który mógł temu zapobiec, tylko wzruszył ramionami.

Betsy przeszła twardą szkołę, zanim ją poznałem. Opowiedziała mi historię o tym, jak Frankie, krótko po odejściu z US Postal z powodu niechęci do oddania się pod opiekę Ferrariego, odebrał pewnej nocy telefon od dyrektora sportowego teamu Johana Bruyneela.

Jeśli, jak zagadkowo mawiali Francuzi, Lance był na „innej planecie”, Bruyneel był jego przedstawicielem na ziemi.

Kiedy zadzwonił telefon, Frankie był w trakcie ratowania swojej kariery. Po 1998 roku zasady panujące wewnątrz ekipy US Postal szybko się zmieniły. Tych, którzy nie stosowali dopingu, uważano za poświęcających się dla teamu w niewystarczającym stopniu. Kropka. Frankie otrzymał z dwóch teamów propozycje objęcia w nich funkcji dyrektora. Był mądry, twardy i miał w sobie tyle pasji do tego sportu, że dobrze sprawdziłby się na takim stanowisku.

– Jakie to teamy? – zapytał Bruyneel.

Z drugiego końca pokoju Betsy dawała Frankiemu znaki, żeby trzymał buzię na kłódkę. Nic Bruyneelowi nie mów. Frankie i tak chlapnął nazwy ekip. Pieprzyć Bruyneela. Nie bał się.

W ciągu kilku dni propozycje pracy zniknęły⁵². Rozeszła się fama, że Frankie Andreu mający swoim życiorysie dziewięć startów w Tour de France jako *super domestique* [kolarz pracujący na rzecz drużyny albo

przeciwko innym drużynom – przyp. tłum.] nie gra dla dobra teamu. Bruyneel pojawił się znowu. Zaproponował Frankiemu, że z powrotem umieści go na liście płac. Oferował mu pracę amerykańskiego dyrektora US Postal. Betsy i Frankie od razu go przejeździ. Nie podobało im się to, ale mieli teraz rodzinę i nie mogli sobie pozwolić na odrzucenie takiej propozycji. Bruyneel znowu płacił Frankiemu. Trzymał go w Ameryce z dala od ludzi zadających niewygodne pytania. Kupił jego milczenie na dłużej.

Wydarzenia takie jak to sprawiały, że na początku naszej znajomości Betsy nie chciała od razu upubliczniać tych informacji. Niezależnie od tego, jakie korzyści odniósł Lance Armstrong dzięki swoim napędzanym prochami sukcesom, nagrodą dla Frankiego Andreu za bycie jego „porucznikiem” było życie ograniczone przez skąpy domowy budżet. Małe rzeczy, takie jak odmowa Armstronga wypłacenia Frankiemu marnych sześciu tysięcy dolarów w chwili kiedy skończył mu się kontrakt z US Postal, miały poważne skutki dla budżetu jego rodziny. W szerszej perspektywie dla US Postal sześć tysięcy nie stanowiło wielkiej sumy. Dla Frankiego i Betsy, owszem.

Praca Frankiego zawsze sprawiała trudności. Przestał się ścigać w 2001 roku, ale pozostał związany z tą dyscypliną sportu. Praca kolarza zawodowego była jedyną, jaką znał, i Betsy wiedziała, że Armstrong może zaszkodzić karierze jej męża. Frankie chciał, żeby się wycofała i pozwoliła innym zająć się szukaniem prawdy na temat Armstronga.

– Kto, Frankie? Kto będzie to robił? – pytała, kończąc rozmowę swoją zwyczajową puentą: – Nie zamierzam dla niego kłamać. Nie waż się mnie o to prosić.

Betsy strasznie frustrowało to, że musiała się tak bardzo pilnować, co mówi na temat Armstronga. Chciała prawdy, ale wiedziała też, jakie

konsekwencje dla Frankiego i rodziny miałyby jej oskarżenia pod adresem Lance'a. Była jednak w stanie spojrzeć na wszystko z dystansu. Wierzyła, że pewnego dnia będzie w stanie powiedzieć dokładnie to, co myśli.

Równocześnie z rozmowami, które ja i Betsy prowadziliśmy w 2003 roku, od czasu do czasu rozmawiałem też z Pierre'em Ballesterem. Chociaż nie relacjonował już Tour de France i odszedł z „L'Équipe”, pozostaliśmy przyjaciółmi. Historia z Ferrarim z 2001 roku nauczyła mnie, że nawet dobra gazeta – a „Sunday Times” był bardzo dobrą gazetą – zawsze będzie mogła opowiedzieć tylko część historii Armstronga.

Od chwili kiedy podczas Tour de France w 1999 roku instynkt podpowiedział mi: „Ten facet nie jest czysty”, mój redaktor sportowy Alex Butler powtarzał:

– Skoro tak to widzisz, pisz o tym.

To była nasza historia, nasz materiał na wyłączność, który nasza konkurencja chętnie omijała. Niemniej jednak artykuły w gazecie nie są zbyt obszerne. Nadszedł czas na napisanie książki.

Pierre Ballester i ja po raz pierwszy rozmawialiśmy o tym w sierpniu 2001 roku i wiedząc, że odszedł z „L'Équipe”, pomyślałem, że byłby idealnym współautorem. Wierzył w tę historię, a dzięki swoim kontaktom we Francji i znajomości kolarstwa mógł wiele wnieść do tego projektu. Ustaliliśmy, że rozpuścimy wici: ja wśród znajomych w wydawnictwach w Londynie, Pierre miał spróbować w Paryżu.

Większość szefów londyńskich wydawnictw była entuzjastycznie nastawiona do tego pomysłu, za to wszyscy ich prawnicy byli temu przeciwni. Dzięki innemu podejściu francuskiego prawa do zniesławienia Pierre'owi poszło lepiej we Francji i wkrótce prowadziliśmy rozmowy z wydawnictwem La Martinière. Szybko podpisaliśmy umowę i na początku 2002 roku dzieliliśmy się wątkami. W tamtym czasie czułem, iż

jest to najbardziej ekscytująca rzecz, jaką kiedykolwiek robiłem. Betsy ucieszyła się na tę nowinę:

– Książka – powiedziała. – Wiesz, że pomogę wam, jak tylko będę mogła.

W grudniu 2003 roku poleciałem do Ameryki. Podzieliłem sobie tę podróż na cztery etapy. Rozmawiałem z kolarzami: Martym Jemisonem w Park City w stanie Utah i Jonathanem Vaughtersem w Kolorado (kiedy tam byłem, udało mi się też pogadać z Andym Hampstenem). Pojechałem do Minnesoty, żeby spotkać się z Gregiem LeMondem, i do Dearborn na spotkanie z kobietą, której nigdy nie poznałem, choć uważałem ją niemal za siostrę.

Podczas tej podróży miałem przede wszystkim zebrać informacje. W przypadku historii takich jak ta zawsze istnieje duża różnica między tym, co się wie, a tym, co ostatecznie można wydrukować. Na tym etapie cieszyłem się jednak z tego, że wiem coraz więcej. Dlatego też wywiady z Martym Jemisonem, Jonathanem Vaughtersem i Frankiem Andreu odbyły się dwuetapowo. Pierwsza, dotycząca spraw ogólnych część, którą wolno mi było nagrywać, była przewidywalnie bezbarwna. Później następowała część bardziej soczysta, podczas której mogłem jedynie robić notatki. To było to. Wtedy opowiadali mi to, co chcieli, żebym wiedział, ale czego nie mogli mi powiedzieć publicznie. Nie mam pewności co do mocy prawnej tego typu umowy, ale wszyscy ufaliśmy, że będziemy trzymać się zasad.

W Dearborn w stanie Michigan zatrzymałem się w luksusowym hotelu nieopodal miejsca, w którym mieszkała rodzina Frankiego. Był to jedyny raz, kiedy on i Betsy pozwolili mi mieszkać w hotelu: potem dostałem pokój w suterenie ich domu. Relacja zawodowa zamieniła się w przyjaźń: chodziłem z Betsy do kościoła, piłem kawę w jej ulubionej knajpce, spacerowaliśmy po ładnym miasteczku uniwersyteckim Ann Arbor, zabrała

mnie na mecz ligi uniwersyteckiej futbolu amerykańskiego, kiedy grała drużyna jej ukochanej uczelni, Uniwersytetu Michigan. Z dużym Frankiem poszedłem obejrzeć, jak mały Frankie gra w hokeja na lodzie.

Betsy i ja rozmawialiśmy bez końca. Robiła mi wykłady na temat konieczności dążenia do prawdy. Śmialiśmy się też wspólnie. Bawiło nas to, jak widzi nas Lance. Ja nazywałem ją „oszałą suką”, a ona mnie „trollem”. (Przezwiseko to nie znajdowało się nawet na liście dziesięciu najgorszych przydomków, jakie kiedykolwiek mi nadano).

Uwielbiałem obserwować dynamikę związku Frankiego i Betsy. Pewnego wieczoru Betsy przyrządziła wspaniałe steki, a do tego pysznie przyprawioną sałatę. Frankie usiadł, zlustrował stół i zmarszczył brwi.

– Gdzie keczup?

– Chcesz keczupu? Do tego? Frankie? To obrzydliwe.

– Tak, chcę keczupu.

Podła mu keczup. Frankie wziął go do ręki i potrząsał butelką, dopóki morze czerwonego sosu nie zalało połowy jego talerza. Betsy kręciła głową w kierunku gościa, ale mężowi posłała uśmiech Mony Lisy.

Na internetowych forach kolarskich i tam gdzie ludzie próbowali ustalić różne wersje historii Lance’a, związek Betsy i Frankiego był źródłem intryg. Niektórzy dziwią się, że przetrwali jako para. Wielu uważa, że ich małżeństwo było bliskie rozpadu.

Ale to nieprawda. Oczywiście żyli w dużym stresie, ale godne uwagi było to, że im bardziej stresowała Betsy sytuacja z Lance’em, tym bardziej zbliżała się ona do swojego męża. I sprawy między nimi zawsze się jakoś układały. Gdy Frankie tracił posady i przesuwano go na specjalnie dla niego utworzone stanowiska, byli w dołku. Wtedy Betsy zasugerowała mężowi, że powinien powiedzieć ludziom, iż się rozwodzą.

– Powiedz, że się rozstajemy, i dostaniesz pracę.

– Nie mów tak – powiedział. – To nie jest śmieszne.

– Nie żartuję. Po prostu powiedz, że się rozwodzimy. Dostaniesz pracę, a później powiemy im, że się rozmyśliliśmy.

– Betsy, nie zrobię tego. Nigdy. Nie proś mnie o to.

Uważała, że to urocze, ponieważ Frankie nieczęsto wpadał we wściekłość, a tym razem widziała, że jej propozycja go zdenerwowała. Poza tym, tak czy inaczej, nigdy by się nie rozwiodła przez Armstronga.

Ponieważ Betsy i Frankie musieli utrzymać rodzinę z pieniędzy zarobionych na kolarstwie, wiedzieliśmy, że Betsy nie może upublicznić swojej szpitalnej opowieści. Kara za to byłaby błyskawiczna. Postanowiliśmy więc sprawdzić, czy ktoś, kto nie ma nic do stracenia w branży albo u Lance’a, będzie mógł ją potwierdzić. Osobą, którą należało odnaleźć, była Lisa Shiels – tego wieczoru jakieś siedem lat temu jako ówczesna dziewczyna Lance’a również była w owej sali szpitalnej.

W 1996 roku Lisa ukończyła inżynierię chemiczną na University of Texas. Lance miał wśród kolarzy reputację kobieciarza. Przez jakiś czas koledzy nazywali go FedEx („Kiedy jesteś absolutnie pewien, że musisz to mieć przez noc”)⁵³. Kiedy dojrzał, bez wątpienia stał się bardziej US Postal⁵⁴. Lisa była z Lance’em, kiedy zdiagnozowano u niego nowotwór i podczas jego leczenia. Mówiło się, że chciał się z nią zaręczyć... Ale wtedy spotkał Kristin i się zakochał. Wówczas Lisa najprawdopodobniej wróciła do swojego normalnego, spokojnego życia. Betsy postanowiła, że zadzwoni w kilka miejsc, próbując ją odnaleźć. Wtedy do akcji wkroczę ja i sprawdzę, czy Lisa jest gotowa opowiedzieć o tamtym dniu w szpitalu.

Kilka lat później Betsy zastanawiała się, czy ktoś nie włamuje się do jej komputera. Działo się z nim wiele dziwnych rzeczy. Kiedy fachowcy do niego zajrzeli, zgodzili się, że coś jest nie w porządku. Niemniej jednak dojście do tego, kto za tym stoi, kosztowałoby dużo pieniędzy. Betsy ich nie

miała. Tak czy inaczej, Lance zawsze miał orszak lojalnych sługusów, którzy wysyłali mu e-mail lub dzwonili do niego za każdym razem, gdy usłyszeli jakiś szum wokół jego osoby. Bardzo szybko dowiedział się o poszukiwaniach Lisy przez Betsy. Zapytała ona Becky, żonę Kevina Livingstona, czy ma do niej numer.

15 grudnia 2003 roku o godzinie czwartej dwadzieścia dwie rano w komputerze w domu Betsy pojawił się komunikat o nadejściu nowego e-maila. Jego adresatem był Frankie. Z pozdrowieniami od Lance'a. Nawiązywał on do poprzedniej korespondencji, w której udzielił Frankiemu reprimendy za zachowanie jego żony.

Dzięki, że mi w tym pomogłeś, Frankie. Im dłużej o tym myślę, tym trudniej mi zrozumieć, dlaczego twoja żona zrobiła to, co zrobiła. Powiem wprost: pracujesz dla teamu (albo jakiejś części USPS), oln [stacji telewizyjnej] (gdzie codziennie razem pracujemy), a jej zależało tylko na tym, żeby ten mały idiota się od niej odczepił (...) i mogła iść powiedzieć Becky: „Proszę, nie mów Kevinowi”. To podstępne i przebiegłe. Wiem, że Betsy nie jest moją fanką. W porządku. Ale pomoc w doprowadzeniu do mojego upadku wam nie pomoże. Powodzenie nas wszystkich jest bezpośrednio powiązane ze sobą. Proponuję, żebyś jej o tym przypomniał. Nie chcę być kutasem, ale to naprawdę mnie zakłuło i za nic w świecie nie mogę tego pojąć.

dzięki, la

Oczywiście to ja byłem tym małym idiotą, o którym pisał. Później miałem zostać małym trollem – i byłem za to wdzięczny. Trolle mają w sobie coś więcej. Pogodziłem się też z tym, że Lance i ja już się nie kochamy. Bardziej przejmowałem się sytuacją, w jakiej znaleźli się Betsy i Frankie.

Jeszcze tego samego dnia Frankie odpisał Lance'owi. Rozsądnie nie wspominał o tym, że kilka godzin wcześniej jadł kolację ze swoim gościem, małym idiotą.

15 grudnia 2003 roku, godzina 16.50

Mówiłem ci, że będę rozmawiał z Walshem. Próbowałem zdobyć dla ciebie jakieś informacje i w końcu oddzwonił. Betsy odebrała telefon, a on zaczął zadawać jej pytania. Odparła mu, że nie ma nic do powiedzenia, i zawołała mnie do telefonu. Pytał głównie o Ferrariego. Nie podejrzewam, żeby jeszcze miał dzwonić, więc nie sądzę, żebym miał okazję dowiedzieć się czegoś jeszcze. Nie wiem, czy w ogóle ci to pomoże, ale starałem się.

I to byłoby tyle. Gdzieś tam Lance Armstrong czekał i obserwował. Serce biło mi trochę szybciej.

[51](#) Co ciekawe, Armstrong pokazał Emmie O'Reilly obraźliwy e-mail od Betsy bardzo ważnego dnia w bardzo ważnym miejscu: 18 maja 1999 roku w Sestriere. Tego wieczoru Michele Ferrari zjadł kolację z kilkoma członkami teamu w restauracji Ostatnie Tango. Armstrong i Ferrari usiedli razem i rozmawiali cały wieczór. Gdyby tylko Betsy o tym wiedziała.

[52](#) Nie był to ostatni raz, kiedy coś takiego się wydarzyło. Najbardziej wymowny przykład podobnego działania zdarzył się w 2006 roku, kiedy wyciekły zeznania Frankiego złożone w sprawie teamu SCA. Został on natychmiast zwolniony z funkcji *directeur sportif* ekipy Toyota United. Nigdy nie przedstawiono mu zadowalających powodów podjęcia takiej decyzji.

[53](#) Jest to gra słów polegająca na dwóch znaczeniach słowa *overnight* wykorzystanego w ówczesnym sloganie reklamującym usługi tej firmy kurierskiej. Brzmiał on: „*When you absolutely, positively have to have it overnight*”, co można rozumieć jako: „Jeśli jesteś absolutnie pewien, że chcesz mieć to przez noc / na rano” – przyp. tłum.

[54](#) Kolejna zabawa znaczeniami: FedEx (Federal Express) to firma kurierska, podczas gdy US Postal to skrót od nazwy United States Postal Service – poczty amerykańskiej – przyp. tłum.

ROZDZIAŁ 11

Kiedy Johan Bruyneel i Lance zalecają i popierają stosowanie środków zwiększających wydolność wysiłkową, a potem twierdzą, że są czyści jak łąza, dyskredytując tych, którzy wychylają się z szeregu – no cóż, coś takiego nie może bez końca uchodzić na sucho.

Emma O'Reilly, cyt. za: *L.A. Confidential*, 2004

Jedną z dobrych stron pisania opowieści, która nikomu specjalnie się nie podoba, jest to, że nie ma się konkurencji. Człowiek pracuje nad tematem, sprawdza fakty, robi notatki, stawia kropkę nad „i” i kreskę w poprzek „t”, a w nocy śpi spokojnie. Wie, że nie czyha obok żaden młody i gorliwy superdetektyw, który z zimną krwią podkradnie mu temat.

Weźmy na przykład Emmę O'Reilly. Łatwo mogła ją zgarnąć jakaś inna gazeta, ale w maju 2003 roku, zaledwie kilka miesięcy po tym jak odszukała mnie Betsy Andreu, Emma spadła prosto z nieba w moje życie.

Słyszałem o niej wcześniej. W kilku relacjach na temat pierwszych lat US Postal padło irlandzkie nazwisko. O'Reilly? Emma? Kto wie?

Paul Kimmage miał wśród kolarskiej społeczności Dublina lepsze i świeższe kontakty niż ja. Próbowałem zdobyć namiary na tę Emmę O'Reilly, ale mi się nie udało. Paul też natrafił na ścianę. Trudno, cóż

zrobić. Może jeszcze kiedyś do niej wrócę. A potem pewnego dnia zagadnął mnie jeden z angielskich kolegów, z którymi wspólnie obsługiwaliśmy jakieś zawody sportowe. Znał się na kolarstwie. I to dobrze. Zgadzał się, że w sprawie Armstronga istnieje wiele pytań, i nie uważał, że zadając je, postąpiłem niewłaściwie. Przy okazji dodał:

– Myślę, że Emma O'Reilly mogłaby dużo na ten temat powiedzieć.

Nie dałem nic po sobie poznać, ale w głębi duszy miałem ochotę go uściskać.

– Jak się można z nią skontaktować?

– Jej były mąż nazywa się Simon Lillistone. Dotrzyj do niego, a on da ci numer do Emmy.

Zaskoczyło mnie, że kolega gotów jest mi pomóc w skontaktowaniu się z Emmą. Nie pracowaliśmy przecież dla tej samej gazety, jedyne więc wyjaśnienie było takie, że on sam, w obawie przed konsekwencjami ze strony grupy US Postal, nie chciał napisać artykułu, który mógł zostać odczytany jako krytyka Armstronga. Z tego, co powiedział, wynikało, że Emma może puścić trochę farby. A ja miałem laptop zasilany taką właśnie farbą.

Zadzwoiłem do Simona. Zachowując ostrożność, zgodził się wysłać e-mail do Emmy, sprawiał zresztą wrażenie faceta, który wszystko robi ostrożnie. Wytłumaczyłem mu, w czym rzecz, i poprosiłem, żeby się zorientował, czy ona chciałaby ze mną porozmawiać. Cztery czy pięć dni później Emma O'Reilly zatelefonowała.

– Nie, nie mam nic przeciwko temu, żeby opowiedzieć panu, co widziałam, kiedy pracowałam z tym zespołem – powiedziała. – To, co się tam działo, nie było w porządku.

Nie wiem, czy była to najszcześniejsza chwila mojego życia, ale mało która z innych chwil mogłaby się z nią równać.

Emma O'Reilly pochodziła z Tallaght, rozległego przedmieścia na południu Dublinu, które ze względu na swój niepohamowany rozrost często jest nazywane Tallaghtfornią. Tallaght to przerośnięte miasto, któremu generalnie brakuje cech prawdziwie miejskich, mimo to wydaje na świat ludzi zadziornych i dumnych. Mieszkańcy Tallaght mają silne poczucie więzi plemienną. Emma O'Reilly jest zadziorna i trochę plemienna. Lepiej nie wchodzić jej w drogę.

W jej rodzinie jeździło się na rowerze – nie za dużo, ale w sam raz. Jej brat Norbert ścigał się w miejscowym Irish Road Club i gdy Emma zaczęła chodzić na zawody, spodobała jej się panująca tam swobodna atmosfera i polubiła towarzystwo weekendowych wojowników. Sama była biegaczką, w barwach tallaghtańskiego klubu Cú Chulainn, ale kolarstwo wydało jej się fajniejsze. Odtąd biega już tylko dla zachowania formy.

Emma miała w sobie tę awanturniczą żyłkę, która sprawia, że Irlandczyków zawsze nosi po świecie. Zaczęła się szkolić w zawodzie elektryka – co w Irlandii na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku było wyborem dość niezwykłym – później jednak doszła do wniosku, że gdyby została również fizjoterapeutką i zdobyła uznanie w irlandzkiej społeczności kolarskiej, mogłaby dzięki temu zobaczyć kawałek świata.

Pomysł okazał się trafiony. W 1991 roku zdobyła uprawnienia elektryka, ale przez ostatnie parę lat szkolenia zawodowego uczęszczała także na wieczorowe kursy masażu i leczenia kontuzji sportowych. Włożyła w to dużo serca, zwróciła na siebie uwagę i już niebawem pracowała z irlandzką drużyną narodową. Marzenia dotyczące pracy i podróży się ziściły. Zawód elektryka dawał jej chleb, fizjoterapia umożliwiała podróże. Obsługiwała kilka mistrzostw świata, przenosiła się ze swoim stołem do

masażu z Anglii do Francji i z powrotem. Dobre czasy, ale głód podróży nie mijał. Świat to przecież coś więcej.

Podczas jednego z wyścigów wdała się w pogawędkę z mechanikiem ekipy LA Sheriff z zachodniego wybrzeża Ameryki. Od jakiegoś już czasu myślała o Stanach, a gdy ów mechanik zobaczył ją przy pracy, polecił ją swojej drużynie jako *soigneur*.

Na razie wszystko szło jak z płatka. Emma uporządkowała swoje dokumenty wizowe i udała się z nimi do ambasady amerykańskiej w Dublinie. Nazywam się Emma O'Reilly i wybieram się do Santa Barbara, gdzie będę pracować z zespołem kolarskim jako *soigneur*. Tamci przyjrzeni się Emmie i jej kwalifikacjom. Elektryk i fizjoterapeutka? Tak jest. Aha, czyli wszystko jasne. Dostajemy fikcyjną pracę jako *soigneur*, cokolwiek to u diabła znaczy, a potem znikamy w świecie przedsiębiorców budowlanych i deweloperów, prawda? Nie z nami te numery, panienko. I nie podbili jej wizy.

Jak ktoś miał jej później powiedzieć w chwili kryzysu: co kołem odchodzi, kołem powraca. W kolejnym roku wygrała zieloną kartę w amerykańskiej loterii imigracyjnej. Wiosną 1994 roku, niedługo przed swoimi dwudziestymi czwartymi urodzinami, wylądowała w Boulder w stanie Kolorado.

Zaczęła pracować dla ekipy Shaklee z bazą w San Francisco, ale okazało się, że nie mogą jej tam zapewnić zatrudnienia na całe lato. Wróciła więc do Boulder i podjęła pracę w branży elektrycznej. W następnym roku Shaklee znów się do niej zgłosili, co nie było dziwne, bo Emma świetnie sobie radziła jako fizjoterapeutka. Tym razem uciekła z cyrkiem i już z nim została.

Świat kolarski jest niewielki i szybko zdobywa się w nim reputację dzięki charakterowi i temu, co się umie. Emma dobrze wykonywała swoją

robotę i miała podejście do ludzi. Nie leniła się, miała poczucie humoru i iskrę bożą. Była członkiem zespołu. Kolarz Mike Engelman znał jej pracę i kiedy przeniósł się z Coors do US Postal (a właściwie Montgomery Securities, jak do 1997 roku nazywał się zespół), szepnął o niej dobre słowo komu trzeba.

Jednak sprawa nie była jeszcze definitywnie załatwiona. Emma nie miała pojęcia, w co wchodzi. Dostała telefoniczną informację, że zespół zafunduje jej samolot do San Francisco na rozmowę w sprawie pracy. Nie mogliby do mnie po prostu zadzwonić? – pomyślała, ale była pod wrażeniem. Nazwa Montgomery Securities kojarzyła jej się z przedsiębiorstwem sprzedającym systemy alarmowe do zabezpieczania domów. Nie chciała sprawiać wrażenia osoby szczególnie wdzięcznej za przelot samolotem do San Francisco, ale taki szczodry gest zespołu pokazywał, że w grę wchodzi duże pieniądze.

Przez przypadek zorientowała się w ostatniej chwili, że ma do czynienia z firmą finansistów. Czyli zmiana ubioru. Żegnajcie, dzinsy. Witaj, biznesowa garsonko.

Po wylądowaniu w San Francisco podjechała wahadłowym autobusem do Financial District, gdzie idąc za otrzymanymi wskazówkami, znalazła Pyramid Building. Nawet jak na spółkę finansową budynek był naprawdę imponujący. A więc tak sobie żyje druga połowa. Strażnik zawiózł ją cichobieżną windą na dwudzieste trzecie piętro i zaanonsował w biurze Thoma Weisela.

Wszystko poszło dobrze. Przez kilka minut Emma martwiła się, że tamci chcą ją wkręcić w pracę z nową żeńską drużyną, którą mieli nadzieję powołać. Taka perspektywa wcale nie wydała jej się podniecająca. Dała wyraz swoim odczuciom: „Dzięki, ale nie chcę być zaangażowana w ten

żeński program. Wiem, że to strasznie zabrzmiało, ale nie potrafię zajmować się cyklistkami. Lepiej, żeby dogadały się z jakimś mężczyzną”.

Żeński program nigdy nie doszedł do skutku. Ale Thom Weisel marzył przede wszystkim o męskiej drużynie z prawdziwego zdarzenia, która mogłaby rywalizować w Europie. Wszystko było podporządkowane temu wielkiemu marzeniu. Emma opuściła San Francisco z uczuciem, że rozmowy się udały.

Był grudzień. Na święta Bożego Narodzenia pojechała do Tallaght. Przyleciała z powrotem do Boulder w styczniu i już następnego dnia znalazła się w Ramonie, nieopodal granicy z Meksykiem, trzy kwadransy jazdy samochodem od San Diego. Obóz treningowy. Zaczęła się prawdziwa przygoda.

To był jej bilet do kariery.

Emma i ja gadaliśmy kilka razy przez telefon. Była gotowa do poważnej rozmowy, ale też ostrożna. Liczyła się z konsekwencjami. W końcu uzgodniliśmy, że przyjadę się z nią spotkać w Liverpoolu, gdzie mieszkała razem ze swoim chłopakiem Mikiem Carlisle'em. Chciałem jej sprzedać pomysł dużego wywiadu, który by został później opublikowany w formie książki i w którym padłoby wiele pytań o stan kolarstwa i o niepodzielne rządy Lance'a Armstronga.

Jej głos byłby jednym z wielu.

Nie miałem pojęcia, co mi opowie, ale wiedziałem, że spędziła pięć lat z ekipą US Postal, w tym przez dwa lata była osobistą masażystką Lance'a. Wiedziała znacznie więcej niż ja.

To pierwsze spotkanie w Liverpoolu było czysto zapoznawcze. Pojechaliśmy na kolację do Villa Jazz w Oxton na półwyspie Wirral. Mike też się z nami wybrał i przez większość wieczoru rozmawialiśmy o jego

ukochanym Manchesterze United. Inne sprawy mogły poczekać. Choć płonąłem z niecierpliwości, nie wziąłem dyktafonu ani notesu. Emma musiała się najpierw do mnie przekonać, uwierzyć, że jestem szczerzy i można mi zaufać. Ja z kolei musiałem się zorientować, czy jest wiarygodna.

Ciekawiło mnie, dlaczego chce się wypowiedzieć publicznie na temat okresu spędzonego z US Postal. Kilka razy napomknęła, że może sobie tym narobić kłopotów, ale nie było, jej zdaniem, powodu, by nie mówić o czymś, co widziała na własne oczy. Tego jednak wieczoru nie chciałem, żebyśmy poruszali jakiegokolwiek sprawy związane z zespołem. To mogło poczekać.

Emma uważała – o ile dobrze rozumiałem – że kolarstwo utraciło duszę, że z powodu brudnego dopingu nie jest to już ten sport, w którym zakochała się jako nastolatka w Tallaght, przemierzając szosy z chłopakami z Irish Road Club. Nadal jednak czuła powinowactwo duchowe z różnymi ludźmi z kolarskiego świata i była wobec nich lojalna.

Jak wspomniała podczas tej pierwszej rozmowy, słyszała o kolarzach, którzy zmarli wskutek stosowania środków dopingujących. Była zatrudniona w głównej drużynie i pod koniec, jak się miałem dowiedzieć, nie traktowano jej tam dobrze. Jako osoba twardo stąpająca po ziemi nie skarżyła się ani nie narzekała, ale uważała, że to złe traktowanie zwalnia ją ze zmowy milczenia, która cementowała grupę. Skoro ona, Emma, nie chce dźwigać na głowie sekretów US Postal, to nie będzie. Najpierw jednak musi znaleźć kogoś godnego zaufania, kto poradzi sobie z tym, co ona ma do powiedzenia.

Myślę, że na początku naszych rozmów tym, co skłoniło Emmę do udzielenia zgody na cytowanie jej wypowiedzi w książce (która miała się ukazać jako *L.A. Confidential*), było przeświadczenie, iż jest jedną z wielu

osób zabierających głos. Takie rozwiązanie wydawało się lepsze i bardziej wykonalne niż wywiad rzeka z jedną osobą. Tego pierwszego wieczoru w Oxton bardzo dobrze się dogadywaliśmy i pod koniec kolacji ustaliliśmy, że będziemy w kontakcie telefonicznym, a po kilku tygodniach spotkamy się i przeprowadzę z nią oficjalny wywiad.

Doszło do tego na początku lipca. Spotkaliśmy się w domu Emmy w Oxton. Siedzieliśmy na kanapie przedzieleni moim cyfrowym dyktafonem. Kiedy dotarłem na miejsce, rozpoczęła się już transmisja rozgrywanego w tym dniu kolejnego etapu Tour de France, więc zanim zaczęliśmy rozmawiać, obejrzelśmy kawałek krzykliwej relacji na Eurosporcie. Etap był płaski i niezbyt ciekawy.

Patrzyliśmy przez chwilę w ekran, po czym Emma powiedziała stanowczo:

– Nie chcemy tego oglądać, prawda? – I wyłączyła pilotem telewizor. Co innego, gdyby był to przyzwoity etap górski.

Opowieść Emmy miała potrwać sześć godzin, a jej zapis liczył czterdzieści tysięcy słów. Kiedy mówiła, zdałem sobie sprawę, że jej głos nie będzie tylko jednym z wielu. Będzie się zdecydowanie wyróżniał. Mówiła o świecie, który ją wziął w posiadanie. A teraz puszczał ją wolno.

Za nowo powstającą grupą, z którą Emma związała się w styczniu 1996 roku, może i stały duże pieniądze, ale sami kolarze nawet ich nie powąchali. Ramona to była dziura i wieczorami wszyscy jedli razem kolację w tej samej miejscowej smaźalni. Oprócz Emmy była jeszcze druga kobieta *soigneur*, siostra Darrena, kolarza z tej grupy⁵⁵. Bratanek dyrektora zespołu pracował jako mechanik. Atmosfera była dobra, a plan taki, że w ciągu najbliższych dwóch lat drużyna weźmie udział w kilku mniejszych wyścigach europejskich, potem zaś zaatakuje Stary Kontynent na całego. Emma jakoś nie mogła sobie wyobrazić, że wszystko pójdzie aż tak

gładko – nie w małej, zapyziałej Ramonie – ale w końcu była to przygoda, w dodatku pięknie opakowana w regularnie wypłacane czeki.

Potem do zespołu dołączył Andy Hampsten. Był on weteranem w przededniu emerytury, ale miał nazwisko – ano właśnie – i wciąż lepiej jeździł w górach niż ktokolwiek inny z drużyny. Faceci tacy jak Tyler Hamilton i Eddy Gragus mieli pewien potencjał, ale generalnie nie było się czym entuzjasmować.

Ten pierwszy rok to była nauka pokonywania podjazdów, długich i stromych – istna przełęcz Galibier! Emma przez pierwsze miesiące roku pracowała na miejscu, w Stanach, ale w kwietniu przeniosła się z drużyną do Europy. Chłopcy uczestniczyli wyłącznie w mniejszych wyścigach. Ilekroć próbowali się zmierzyć z prawdziwymi kozakami, dostawali straszne lanie. W miarę upływu czasu zaczęli się zastanawiać, dlaczego są tak daleko w tyle za innymi.

Stało się to źródłem napięć w zespole. Im bliżej był Tour de Suisse, tym częściej kolarze nagabywali lekarza ekipy Prentice’a Steffena o coś, co daje większego kopa niż anadin i witaminy, które im aplikował, lekarz pozostawał jednak niewzruszony. Doping był stałym tematem rozmów. Emma, wciąż zakochana w sporcie, nie brała w nich udziału. Nie chciała rozczarowania, które zepsułoby całą przygodę.

Miała coraz więcej obowiązków, ale rosła też jej reputacja jako wysokiej klasy masażystki, która zna się na robocie i nie odwala dziadostwa. W owym czasie drużyna miała wyraźnie polskie zabarwienie, a głównym *soigneur* był niejaki Waldek Stępniewski. Waldek musiał przede wszystkim nauczyć się paru rzeczy.

Pewnego dnia zapytał:

– Emma, powiedz no mi, kiedy ty masz okres?

– A bo co?

– Chcę zrozumieć twoje zmiany nastroju.

– Przynajmniej wiadomo, skąd się biorą. A twoje skąd? – odpaliła Emma.

Innym razem zobaczyła, że Waldek, rozmawiając z jednym ze swoich kumpli, mierzy ją taksującym spojrzeniem.

– Nigdy więcej tak na mnie, kurwa, nie patrz! – powiedziała. Wkrótce zdobyła sobie odpowiednią przestrzeń w ociekającym testosteronem świecie zespołu.

Później, jeszcze w tym samym roku, grupa wygrała jeden z etapów w Tour of China i pieniądze podzielono między wszystkich członków zespołu. Emma dostała około trzech tysięcy dolarów, co podniosło jej zarobki do dwudziestu tysięcy rocznie. Biorąc pod uwagę, że żyła w nieustannej podróży i musiała być gotowa na każde zawołanie dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu, były to nędzne grosze, ale Emma doszła do wniosku, że kiedy jest w trasie, nie ma żadnych wydatków i robi przecież to, po co pojechała do Ameryki.

Od tamtego pierwszego spotkania z Thomem Weiselem w jego biurze w Pyramid Building wiedziała, że bez względu na wyniki w 1996 następny rok będzie lepszy, i ta perspektywa działała na nią pobudzająco. Wysokie zarobki czy nie, chciała w tym być.

Rzecz jasna, pod koniec 1996 roku działy się jeszcze inne rzeczy. Lance Armstrong, młody amerykański kolarz związany z Motorolą, zachorował na raka. I oto konkurencyjna ekipa Motoroli schodziła ze sceny. Gdy w styczniu 1997 roku Emma wróciła do Ramony na przygotowania do sezonu, jej grupa, teraz znana jako US Postal, pozyskała już kilka drobnych płotek z Motoroli i jedno większe nazwisko – Wiaczesława Jekimowa. Nazwisko zresztą nie do wymówienia dla większości członków zespołu. Odtąd już zawsze wołano na niego Jeki.

Andy Hampsten odszedł na emeryturę, grupa miała też nowego dyrektora sportowego, sympatycznego Duńczyka Johnny'ego Weltza, oraz nowego lekarza, Hiszpana Pedra Celayę. A także obiecującego amerykańskiego kolarza George'a Hincapiego.

Emma obsługiwała wiosenne wyścigi amerykańskie, ale z Europy nadchodziły wieści, że stosunki między Johnnym Weltzem a Waldkiem nie układają się najlepiej. Kulała też dopiero co nawiązana współpraca Waldka z Pedrem Celayą. Emma słuchała o tym z uśmiechem. Za jakiś czas przyszedł sygnał SOS. Potrzebny *soigneur*. Emma przybyła do Europy tuż przed kwietniowym Tour des Flandres (Ronde van Vlaanderen).

W sezonie, o którym mowa, Pocztcowcy nie stanowili dla nikogo poważnej konkurencji ani nie byli zbyt dobrze zorganizowani, ale radzili sobie i coraz lepiej poznawali arkana sztuki kolarskiej. Nadal większość rozmów dotyczyła środków dopingujących. Chłopcy mawiali, że jeżdżą *pan y agua* – o chlebie i wodzie. Niektórzy przeciwnicy najwyraźniej posilali się w inny sposób. Kolarze US Postal przyglądali się zdumiewającym wyczynom swoich rywali, potrząsali z niedowierzaniem głowami i pytali jeden drugiego: „Z jakiej planety pochodzi ten facet?”.

Zmieniało się nastawienie, ale w teamie wciąż jeszcze panowało zgodne przekonanie, że rywal, który w oczywisty sposób bierze, jest oszustem albo kretyńcem i należy nim pogardzać.

Emma sądziła, że jeśli nawet wśród chłopców z US Postal krążą jakieś środki dopingujące, to w porównaniu z tym, co przypuszczalnie działo się gdzie indziej, była to czwarta liga. Raz tylko zastanowiła się dłużej nad całą sprawą, gdy pod koniec sezonu kolega z drużyny Rabobank powiedział do niej: „No, cóż, wszyscy wiemy, że macie teraz dobrego lekarza”.

Emma wzięła ten komplement za dobrą monetę. Drużyna liczyła dziewięciu zawodników i wszyscy cieszyli się świetnym zdrowiem, więc

Pedro Celaya rzeczywiście musiał być dobrym lekarzem. Ale może w słowach kolegi kryło się coś jeszcze.

Johnny Weltz, w ramach wpisowego, wprowadził do grupy hiszpańskiego *soigneur* o imieniu José. Nie był on zbyt wysoko cenionym masażystą, słynął za to z mistrzowskiego dawania zastrzyków. Co zawierały strzykawki, którymi José tak zręcznie operował, to nie była sprawa Emmy. Trochę europejskości przeszczepiono jednak wraz z nim na grunt amerykański.

Później w tym samym roku Emma pojechała z irlandzką drużyną narodową na mistrzostwa świata w San Sebastian. W hotelu dostała telefoniczną wiadomość od kolegi z US Postal: „Podpisali z nim kontrakt. To będzie coś wspaniałego. Wszystko się zmieni”.

Owym „nim” był Lance Armstrong. Wszystko istotnie się zmieniło.

Emma ma naturalny dar opowiadania historii. Od pierwszej zjedzonej wspólnie kolacji wiedziałem, że usłyszę od niej wiele rzeczy. Wiedziałem, że będą cenne, nie miałem natomiast pojęcia o jej wyjątkowym wyczuciu szczegółów. W dodatku pisała pamiętnik. Bystra, elokwentna kobieta z pamiętnikiem. Żadnych minusów. Co więcej, miała poczucie humoru i zachowała sympatię dla Lance’a Armstronga. Nie był człowiekiem doskonałym, ale traktował ją dobrze i z szacunkiem. Emma miała nadzieję, że będzie tak nadal.

Lance Armstrong pojawił się w życiu Emmy w 1998 roku, i to nie gdzie indziej jak w Ramonie. Przyjechał razem z Christianem Vande Veldem. Emma uścisnęła dłoń Vande Veldego:

– Cześć, jestem Emma.

Miała wrażenie, że Armstrong, wchodząc do pomieszczenia, rozmawia z kimś przez telefon, więc nie zwróciła na niego uwagi. Vande Velde

roześmiał się i gdy spojrzała ponownie, zobaczyła, że Armstrong stoi przed nią z wyciągniętą ręką.

– On też chciałby się przywitać – powiedział Vande Velde.

Uścisnęli sobie dłonie i odtąd ich wzajemne relacje układały się po prostu świetnie.

Emma była dobrą pracownicą, a przy tym na tyle bystrą, że dostrzegała różne uchybienia organizacyjne w zespole. Armstrong, zanim zachorował, miał kontrakt z Motorolą i próbował europeizować podejście nowych kolegów do sportu oraz ich sposób prowadzenia przygotowań. Teraz, gdy po powrocie do zdrowia nikt inny nie dał mu szansy, zadowolił się skromnym kontraktem ze średniej wielkości drużyną – wiedząc, że jeśli będzie dobrze się spisywał, pójdą za tym wysokie premie.

Podobnie jak Emma, on również widział, czego brakuje zespołowi w porównaniu z liczniejszymi i odnoszącymi większe sukcesy ekipami. To ich połączyło. Armstrong lubił pracować z Emmą, bo wyróżniała się z tłumu przeciętniaków.

Jednak w 1998 roku, po dwóch latach zasłaniania uszu, ilekroć była mowa o dopingu wśród kolarzy, Emma i tak została wciągnięta w ten zaklęty krąg. George Hincapie usłyszał, że musi jechać do Belgii. Spytał, czy nie mogłaby odebrać dla niego pewnej rzeczy od kolegi. Żaden problem. Znała tego kolegę, choć od jakiegoś czasu nie był już związany z zespołem.

Umówiła się z nim w hotelu Nazareth w Gandawie. Przesyłka przeszła z rąk do rąk. Emma zdziwiła się jej niewielkimi rozmiarami i powiedziała, że spróbuje ją doręczyć Hincapiemu, jeśli zobaczy się z nim w hiszpańskiej Gironie, gdzie kwaterowała część zespołu. Jeśli nie, to złapie go w Stanach i tam przekaże mu paczuszkę. Zapadła cisza. Znajomy powiedział:

– Emma, nie rób tego. Oddaj to jak najprędzej George’owi. To jest testosteron. Nie chcesz go chyba przewozić do Ameryki.

– No nie – przyznała. – A po co mu testosteron? – spytała, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

– Musi mieć siłę do sprintu pod koniec długich etapów.

– Aha.

U schyłku 1998 roku taka niewielka kurierska robota wydawała się czymś całkiem niewinnym. Tour de France rozpoczynał się w jej rodzinnym Dublinie, toteż Emma zjawiała się w Irlandii parę dni wcześniej, żeby pobyć trochę z bliskimi. Z drużyną miała się spotkać na przystani promowej.

Nie miała pojęcia, że kiedy ona spędzała dzień z rodziną, Willy Voet, *soigneur* Festiny, został aresztowany za przewożenie w samochodzie całej masy zakazanych środków wspomagających wydolność i rozluźniających. Gdy więc Emma w godzinę po tym zdarzeniu dotarła na prom, byli tam irlandzcy policjanci. W pierwszej chwili pomyślała, że mają zamiar zapewnić eskortę drużynie US Postal, i podziękowała im.

– Nie – powiedzieli. – Jesteśmy celnikami. Musimy dokonać kilku przeszukań.

Emma była na swoim terenie, w dodatku znanym z tego, że nikt się tam specjalnie nie przejmuje mundurami. Udzieliła celnikom rady.

– Pozwólcie, że coś wam powiem, chłopaki: nawet tego nie próbujcie. Dla waszego własnego dobra. Zrobi się zadyma. Oni jechali cały dzień, są w złych humorach. Jak już musicie, to przyjdźcie jutro rano do hotelu.

I stała się rzecz zadziwiająca. W pobliżu kroił się największy skandal w dziejach Touru, a celnicy dali Pocztownicom spokój. I tak już pozostało przez cały czas trwania wyścigu. Kolarze US Postal byli w jakiś sposób chronieni przez swoją niewinność, swoją amerykańskość i swoich

potężnych popleczników, pozostawiono ich na boku, choć trwała już wojna policji z innymi ekipami. A gdy pewnego popołudnia zrobiło się naprawdę groźnie – bo policjanci wkroczyli na teren, gdzie były zaparkowane samochody zespołu – Pocztownicy po prostu spuścili zakazane prochy do kanalizacji.

Jest lato 2003 roku. Siedzimy i gadamy w domu Emmy: mijają właśnie niemal dokładnie cztery lata od chwili, gdy w 1999 roku zobaczyłem jazdę Lance'a w prologu i odszedłem, drapiąc się w głowę. Przez te cztery lata okrążyłem twierdzę, znajdując małe szczeliny w murach obronnych, za małe jednak, żebym mógł się przez nie przecisnąć. Podejmowałem wyprawy po okolicy, rozmawiając z naukowcami, kolarzami, policjantami, lekarzami i testerami.

A tu raptem rozmawiam sobie z dublinianką, która – rzecz nie do wiary! – była wewnątrz tego wszystkiego. Opowiada mi o Lansie Armstrongu, ikonie światowego sportu i cudzie medycznym. I ma na niego haki. Takie jak ten. Zerkam co chwila na dyktafon, żeby sprawdzić, czy czerwone światełko wciąż się świeci. Staram się nie otwierać ust z wrażenia. Idzie coraz lepiej. Nie mogę uwierzyć, że udało mi się wpaść na ten trop. Emma snuje swoją opowieść, sypie anegdotami, a ja marzę, żeby ten wywiad nigdy się nie skończył. Co najwyżej można by go przerwać na chwilę, złapać świat za ucho i powiedzieć: „Posłuchaj tej kobiety, tylko posłuchaj”.

W 1998 roku Lance nie startował w Tour de France, ale pojawił się w Europie, żeby wziąć udział w wyścigu w Holandii. Po zawodach Emma odwiozła go na lotnisko samochodem z emblematami US Postal. Wysiadając, Armstrong wręczył jej jakąś torbę i powiedział: „Wiesz, Emmo, nie zdążyłem się tego pozbyć. Mogłabyś mi zrobić przysługę i gdzieś to wyrzucić?”.

Torba była pełna pustych, zużytych strzykawek.

Emma wzięła torbę, ale nie wiedziała, co z nią zrobić. Ruszyła w drogę do Gandawy. Po przejechaniu belgijskiej granicy rozluźniła się i nieznacznie przekroczyła prędkość. W chwilę potem zobaczyła policjanta pokazującego jej, że ma zjechać na pobocze. Opuszczając szybę, klęła pod nosem jak szewc. Zauważyła też, że trzęsie się ze strachu.

– Przepraszam za ten wybryk, panie władzo.

– Nie ma o czym mówić. Zna pani Marka Gorskiego?

– Tak, to mój szef.

Policjant okazał się byłym kolarzem. Emma dała mu numer telefonu do dawnego przyjaciela. Potem odjechała razem ze strzykawkami w ciemną noc, zostawiając na drodze machającego jej wesoło policjanta.

Zdumiewa mnie nonszalancki charakter tego wszystkiego. Oczywiście sprawy, o których opowiada Emma, mają w sobie pewną potajemność, ale jest w tym także brawura. I bezczelność. Ot po prostu: zrób mi przysługę i wyrzuć gdzieś te śmieci.

Emma mówi mi, że rozmyślnie nie interesowała się tym, co kto bierze. Jej styl działania był taki, że otwierała szafkę, w której trzymano medykamenty, i mówiła: „Proszę bardzo, częstujcie się, chłopcy”.

Dopóki tam była, zdanie Armstronga na temat innych *soigneurs* pozostawało niezmiennie: chciał pracować wyłącznie z nią. Emma robiła mu więc masaż i słuchała, co mówi – jego narzekań i opinii o innych zawodnikach. Jeśli chodzi o personel, to Armstrong był tym, kto rozdaje karty. Ludzie przychodzili i odchodzili zależnie od jego kaprysu. Johan Bruyneel pojawił się w zespole w 1999 roku jako dyrektor sportowy, prędko jednak został ochroniarzem Armstronga. Mianował Emmę na stanowisko głównej *soigneur*, jednak sielanka nie trwała długo.

Z nakreślonego przez Emmę wszechstronnego obrazu wynika, że zespół był o wiele mniej zgrany, niż mogłoby się wydawać komukolwiek patrzącemu z boku. Wodzireje, dyletanci, mądrale, blagierzy. Słuchając Emmy, raz po raz wybucham śmiechem. Jej znajomość z Bruyneelami – Johanem i jego była żoną Christelle – to materiał na osobną książkę.

– Wiem, że okropnie jest tak mówić, ale Bruyneel nosił tanie ubrania, choć był całkiem zamożny. Pełnił funkcję dyrektora zespołu, a nigdy się porządnie nie ubrał. Kiedy wszyscy inni nosili spodnie khaki, on chodził w tych kretyńskich portkach z zamkami błyskawicznymi – takich, co to jednym ruchem można je zmienić w rybaczki. O, Boże, ten biedak naprawdę miał nierówno pod sufitem.

Chociaż świat myślał, że Bruyneel jest adiutantem i ochroniarzem Lance’a, Emma miała inne zdanie: to był jego piesek pokojowy.

Emma potrafiła posklejać wszystkie zbierane przeze mnie latami fragmenty na temat życia w grupie US Postal. Była w restauracji Last Tango w Sestriere tego wieczoru, gdy Michele Ferrari przyszedł na kolację z drużyną. Nie zdziwiła się, widząc Ferrariego z Lance’em. To potwierdzało wiele rzeczy.

– Wiedziałam, że rola Ferrariego w kolarskim świecie jest podejrzana, że żaden zawodnik, który z nim pracował, nie jest czysty.

Opisała mi także pogorszenie swoich stosunków z Johanem Bruyneelem i zdumienie, jakie przeżyła, gdy poproszono ją w maju 1999 roku, żeby pojechała samochodem z Francji do Hiszpanii. Tego dnia, w bazie zespołu w Port-de-Piles, Bruyneel zdołał nawet wydusić z siebie kilka uprzejmych słów, wsuwając Emmie do ręki paczkę pigułek dla Lance’a.

Po drodze powiedziała Simonowi, swemu ówczesnemu narzeczonemu, co przewożą. Zareagował bardzo nerwowo. Wcześniej, podczas sprzeczki

z personelem, Bruyneel zażądał, aby oddano mu do dyspozycji ostatni dostępny samochód zespołu, w związku z czym Emma i Simon musieli wziąć auto z wypożyczalni. Czekaając, aż zostaną przepuszczeni przez granicę, Emma zastanawiała się, czy przypadkiem Bruyneel nie ukartował całej sprawy, ponieważ prawdopodobieństwo zatrzymania przez policję wynajętego samochodu było mniejsze niż w przypadku serwisowego wozu drużyny.

Zawiozła pigułki Armstrongowi i więcej nie wracała do tego w myślach. Wkrótce potem jej stosunki z Bruyneelem zaczęły się stawać nie do zniesienia.

Tour de France z 1999 roku był oczywiście wielkim triumfem, a Emma zanotowała przed startem w swoim dzienniku: „Szykujemy się na zwycięstwo”.

Ale właśnie wtedy, w przeddzień prologu, Lance, idąc na obowiązkowe badania lekarskie, zauważył, że ma na ręce ślady po igle. Chciał, żeby Emma zamaskowała mu sińce swoim różem do policzków, ale ona powiedziała, że róż się do tego nie nadaje. Poszła do drogerii i kupiła właściwie dobrany korektor kosmetyczny. Z przerażeniem patrzyła na swoje dzieło, bo jej zdaniem ręka wyglądała okropnie, ale Lance był najwyraźniej zadowolony.

Pewnego wieczoru, gdy wyścig trwał już na dobre, Emma robiła Lance'owi masaż. Raptem powstał ogromny rwetes z powodu dodatniego wyniku testu na kortyzon. Na miejscu było dwóch oficjeli zespołu, wkrótce dołączył do nich trzeci. Ustalili, że najlepszym rozwiązaniem problemu będzie antydatowanie recepty. Pomysł został przyjęty, Emma zaś odniosła wrażenie, że wszyscy po prostu pragną, aby Tour był czysty.

Oficjele twierdzili, że Lance ma otarcia od siodełka, ale on sam nigdy nie wspomniał o tym Emmie, w związku z czym nie uwierzyła tamtym.

Zauważyła natomiast, że Luis del Moral, lekarz, który na początku sezonu zastąpił Celayę, pocił się nad receptą, jakby przeformułowywał prawo grawitacji. Ale cel został osiągnięty. Armstrong był czysty jak łąza.

Pod koniec owego wieczoru powiedział:

– Teraz, Emmo, wiesz wystarczająco dużo, żeby mnie pograć.

Tour de France w 1999 roku miał być dla Emmy ostatnim wyścigiem. Stosunki między nią a Bruyneelem zaczęły się szybko pogarszać. Emma przypuszczała, że Bruyneel czuje się zagrożony przez szacunek, jaki Armstrong okazywał swojej *soigneur*. Wiedziała też, że ten szacunek wzmacnia jej pozycję. Taki stan napięcia nie mógł trwać w nieskończoność. A piesek pokojowy wiedział, jak ugryźć. Bruyneel marginalizował i gnębił Emmę, aż zrozumiała, że ten etap jej życia dobiega końca. Potem wykradł jej pamiętnik, poszedł z nim do kolegów z drużyny i nakłamał, że Emma wypisuje o nich okropne rzeczy.

Na początku 2000 roku Emma zrezygnowała z pracy.

O tym, że Bruyneel czytał jej pamiętnik, dowiedziała się od innego członka personelu. Ten sam człowiek powiedział jej, żeby się nie martwiła.

– Kiedy z nim rozmawiałam, zakręcił przednim kołem roweru, który właśnie naprawiał. Powiedział, używając niderlandzkiego zdrobnienia mojego imienia, bo byliśmy przyjaciółmi: „Popatrz, Emmatje. Popatrz na ten wentyl. Kiedy kręcę kołem, ono porusza się do przodu, ale wentyl zawsze wraca na swoje miejsce. Pamiętaj, Emmatje, co kołem odchodzi, kołem powraca”.

Z całą pewnością teraz właśnie powracało.

⁵⁵ Kiedy w październiku 2012 roku domek z kart zaczął się rozpadać, dwóch byłych kolarzy US Postal wydało oświadczenie wzywające przewodniczącego UCI Pata McQuaida i jej honorowego

prezesa Heina Verbruggena do rezygnacji. Jednym z autorów oświadczenia był Scott Mercier, drugim Darren Baker.

ROZDZIAŁ 12

*Nie wolno nikogo, nawet świata, oszukiwać,
odbierając mu zwycięstwo.*

Franz Kafka

Pewnego wieczoru, w okresie gdy sprawy szły raczej kiepsko, Jan Swart zwróciła się do męża z pytaniem:

– Stephen, dlaczego to zrobiłeś?

To. To ściągnęło na nich ogień piekielny. Przez to stracili przyjaciół i dobrze prosperujący interes. Przez to zostali zmieszani z błotem w brukowych mediach. Przez to jej męża przedstawiano jako żalosego nieudacznika, co ją szczególnie mocno raniło.

To. Dlaczego on to zrobił?

A Stephen odparł:

– Jan, kiedy w wieku osiemdziesięciu czterech lat będę siedział w bujanym fotelu, niewiele już mając przed sobą, spojrzę na tę rzecz z perspektywy czasu i uznam, że jest jedną z najlepszych, jakie zrobiłem w życiu.

Tyle tylko chciała wiedzieć. Ciężko dziś znaleźć dobrego człowieka. Będą walczyć.

Kiedy Lance Armstrong rozpruje swoje życie i wysnuje zeń wszystkie nici, będzie (chyba) zaskoczony przypadkowym charakterem wydarzeń, które doprowadziły go w końcu do klęski. Stephen Swart był jednym

z pierwszych elementów tej układanki: dawny kolarz i, jak to mówią, poczciwy chłop.

Wszedł w moją orbitę w okrężny sposób. Szanse spotkania były niewielkie. Oto irlandzki dziennikarz w średnim wieku przybywa w wyniku różnych zdarzeń do Anglii, żeby rozpocząć nowe życie. On, żona, ich pięcioro starszych dzieci i nowo narodzona córka Molly lądują ostatecznie w Cambridge. Molly, choć nie chodzi jeszcze do szkoły, widuje na co dzień prawdziwych uczonych.

W Cambridge przyjdzie im poznać wytwornego Nowozelandczyka, dziennikarza śledczego, który po uzyskaniu w 1996 roku doktoratu na Oksfordzie kończy właśnie studia podyplomowe w Cambridge.

W ramach przewodu doktorskiego w Wolfston College Phil Taylor, bo o nim mowa, prowadził badania nad stosowaniem środków dopingujących w sporcie. Buszował po Internecie w poszukiwaniu dziennikarzy piszących o dopingu, a ponieważ akurat w tym samym miesiącu przeprowadzałem we Francji wywiad z Lance'em Armstrongiem, Phil wkrótce potem natknął się w sieci na moje nazwisko.

Jako doświadczony dziennikarz bez specjalnego trudu zdobył mój numer telefonu.

– Davidzie, czy przypadkiem nie mieszka pan gdzieś w pobliżu Cambridge? – spytał.

– Około czterech mil – odpowiedziałem.

Przyjechał na obiad i został całe popołudnie, które minęło nam jak z bicza strzelił. Powiedziałem mu, że powinien pojechać do Rzymu i spotkać się z Sandrem Donatim, co też uczynił. I, podobnie jak ja, pokochał Sandra. Rozmawialiśmy o sprawie Armstronga i Phil opowiedział mi o wywiadzie, jaki w 1997 roku przeprowadził ze swoim rodakiem

Stephenem Swartem, który jeździł w drużynie Motoroli, w tym dwa lata z Lance'em Armstrongiem.

Phil chciał napisać historię o szczególnych doświadczeniach Stephena w ekipie Motoroli oraz odpowiedzieć na pytanie, jak doszło do tego, że jedyną nadzieję na zwycięstwo ekipa pokładała w erytropoetynie. Dwudziestotrzyletni Lance Armstrong był jednym z najzagorzalszych zwolenników stosowania dopingu. Phil chciał więc napisać o osobistych przeżyciach Stephena, ale dla samego Swarta było na to jeszcze za wcześnie: zaledwie jeden sezon wcześniej odszedł z kolarstwa i nie był gotów na ostre starcie. Niedługo potem Phil dał mi spisane przez siebie wspomnienia Stephena na temat stosowania nielegalnego dopingu w drużynie Motoroli.

Chciałem poznać Stephena Swarta.

Rzecz w tym, że Auckland w Nowej Zelandii jest jednym z tych miejsc na świecie, gdzie nie można uczciwie twierdzić, że jest się tylko przejazdem. Kiedy więc w 2003 roku wybierałem się jako sprawozdawca do Australii na Puchar Świata w rugby, napomknąłem Alexowi, mojemu anielskiej cierpliwości przyjacielowi i szefowi, że dowodem prawdziwej wielkości redaktora byłoby wydelegowanie skrzydlatego posłańca do Nowej Zelandii w celu zrobienia reportażu o Jonahu Lomu, wspaniałym skrzydłowym drużyny All Black, który chorował w tamtym czasie na nerki.

Niedługo potem Alex wpadł na pomysł wydelegowania skrzydlatego posłańca do Auckland w celu napisania reportażu o Jonahu Lomu. Zupełnie bezinteresownie odbyłem czterogodzinny lot z Sydney i – dlaczego nie, skoro miałem po drodze? – znalazłem czas, żeby się zobaczyć ze Stephenem Swartem. Spotkaliśmy się w śródmiejskim hotelu, a potem pojechaliśmy jego samochodem do portu, gdzie jachty kołysały się łagodnie

na kotwicach, a Tour de France wydawał się częścią jakiegoś innego wszechświata.

– To tutaj zatopili Rainbow Warrior?

– Aa, ci Francuzi... – przypomniał sobie z uśmiechem Stephen. – O, tam. A to jest drugi Rainbow Warrior. Wygrał Puchar Ameryki.

Znaleźliśmy restaurację. Patrząc na port i jachty, rozmawialiśmy o najróżniejszych rzeczach. Spytałem, czy nie miałby nic przeciwko temu, żebyśmy następnego dnia umówili się na wywiad u niego w domu. Bardzo mu to odpowiadało. W ogóle wyglądał na człowieka, który nie lubi robić ceregieli. Opowiedziałem mu o Betsy i Frankiem Andreu, Gregu LeMondzie, Jonathanie Vaughtersie, Prentisie Steffenie, Emmie O'Reilly i wielu innych ludziach, którzy pomogli pokazać, że Lance Armstrong stosował doping zarówno w Motoroli, jak i w US Postal.

Zależało mu tylko na tym, żeby nie być jedynym, który da głowę pod topór.

Stephen wychował się w Morrinsville na North Island, on i jego starszy brat Jack już jako juniorzy zasłynęli wśród społeczności kolarskiej Nowej Zelandii. Jack miał sześciokrotnie zostać nowozelandzkim kolarzem roku, ale to Stephena czekały kariera zawodowca i udział w Tour de France.

Dziś, będąc w średnim wieku, obaj wciąż jeżdżą. Widziałem wycinek prasowy zaledwie sprzed paru lat o tym, że Jack wygrał etap w nowozelandzkim wyścigu, a tego samego dnia Stephena uznano za najbardziej agresywnego kolarza zawodów. Byli naprawdę kimś.

Jeszcze osiem lat przed naszym spotkaniem w 2003 roku Stephen zarabiał na chleb, jeżdżąc jako kolarz w Europie. Uwielbiał Europę, mimo że nie obsypywała go deszczem nagród. Stał się twardym i szanowanym zawodowcem, a Tour de France był dla niego najbardziej radosną częścią sezonu, ukoronowaniem całorocznych wysiłków.

Kiedy przestał się ścigać, wrócił wraz z żoną i dziećmi do domu. Jako człowiek, który całe życie jeździł na rowerze, przez pewien czas pracował w firmie związanej z kolarstwem. Potem założył własne przedsiębiorstwo. Jest inwestorem budowlanym. Wyszukuje budynki, którym trzeba poświęcić trochę uwagi, kupuje je, remontuje i ponownie wprowadza na rynek nieruchomości. Niełatwa praca, ale dająca utrzymanie, i to nieźle.

Jest w nim jednak jakieś pęknięcie, z którego zdaje sobie sprawę. Słyszałem, jak Paul Kimmage i inni mówili o czymś podobnym. O pustce i dezorientacji. Stephen oddał kolarstwu najlepsze lata życia, a gdy ten sport go wypuł, poczuł się, jakby go oszukano, wystrychnięto na dudka.

Sprawił to doping. Stephen nie umiał pójść na całość ze strzykawkami. Spróbował i było mu z tym źle, podobnie jak z samym sobą. Nigdy się nie dowie, jak daleko mógłby zajść, gdyby jeździł w czystym peletonie.

Powrót do normalnego życia był trudny. Swartowie nie mieli zbyt dużo pieniędzy, a tu raptem sen się skończył i została szara rzeczywistość. Łatwo było rozpakować walizki, trudniej – uporać się z ich zawartością.

– Spytałem sam siebie: Czy nauczyłem się jakiegoś zawodu? Innymi słowy: Czy wiem wystarczająco dużo o medycynie? Może nie znam się tak dobrze, jak powinienem, na środkach farmakologicznych? Ale niby czemu miałbym się znać? Człowiek nie po to zajmuje się sportem, żeby się uczyć tego rodzaju rzeczy. Nie idzie się do szkoły z myślą: „Chcę być zawodowym kolarzem, a żeby nim zostać, będę musiał poznać medycynę i uzyskać dyplom z farmacji”. Czułem, że mam ponadprzeciętne możliwości, że gdyby zniknęło wszystko inne i zostali sami kolarze na rowerach, miałbym przewagę. Wiedziałem, że ją mam, ale przeciwko zawodowym kolarzom to było nic.

Stephen Swart został zawodowcem już w roku 1987. Nie towarzyszyły temu wystrzały fajerwerków. Nie wspomniano o nim w głównym wydaniu

wiadomości. W porcie nie żegnały go tłumy rodaków. Podpisał kontrakt z angielską drużyną ANC-Halfords. Ale лихо nie spało. Sześć miesięcy później Stephenowi przestano wypłacać co miesiąc pięćset funtów. Zespół był bez grosza.

Stephen był wtedy niewinnym nowozelandzkim poczciwcem. Zanim grupa się rozpadła, Angus Fraser, ich starej daty *soigneur*, co jakiś czas zwoływał kolarzy i każdemu robił zastrzyk z jakiejś bliżej nieokreślonej substancji. Wszyscy byli zdziwieni, ale nikt nie zadawał pytań.

– Ufaliśmy bez reszty temu facetowi, bo myśleliśmy, że wie, co robi. Tak samo, jak jesteś chory, idziesz do lekarza i masz do niego zaufanie. Dopóki testy niczego nie wykazują, myślisz, że nie może być źle. A ja nie byłem na tyle wybitnym kolarzem, żebym miał prawo zadawać pytania. Pamiętam dwóch chłopaków z zespołu, którzy chodzili z własnymi aktówkami, ale bynajmniej nie nosili w nich papierów.

Kiedy Halfords znaleźli się na krawędzi, Stephenowi zamarzyła się Belgia. W 1988 roku związał się z ekipą SEFB, zauważając przy tym, że zespół jest sponsorowany przez bank. W tamtych czasach niektórzy ludzie wierzyli, że kolarstwo jest czyste, a inni, że banki gwarantują bezpieczeństwo. Stephen wierzył w jedno i drugie.

Kiedy przyjechał do Liège, zorientował się, że SEFB jest skromną organizacją i kolarską zapchajdziurą. Drużyna walczyła o to, żeby zapraszano ją do udziału w wyścigach z prawdziwego zdarzenia. Jej dyrektor sportowy Ferdinand Bracke był nie lada postacią: w 1967 roku pobił rekord świata w jeździe godzinnej na czas, pokonując w ciągu 60 minut 48,093 kilometra. Był także zwycięzcą Vuelta a España z 1971 roku, trzecim zawodnikiem Tour de France z 1968 roku i kolarzem należącym niegdyś do ścisłej czołówki.

Wśród kolegów Stephena z zespołu znajdował się człowiek z drugiego krańca skali barw, kolarz nazwiskiem Johan Bruyneel.

W tamtym czasie Bruyneel dopiero zaczynał profesjonalną karierę i nie był jeszcze członkiem pierwszej drużyny. Przedtem nie jeździł w zawodowym pelotonie, a dobrą opinię zdobył wcześniej w belgijskich wyścigach amatorów. Koledzy z zespołu dużo sobie po nim obiecywali.

Niewielki budżet SEFB i brak udziału w liczących się wyścigach oznaczały, że drużyna nie miała stałego lekarza, a w sprawach związanych z dopingiem każdy był zdany na siebie. Oczywiście *soigneurs* mieli najwięcej do powiedzenia.

– Któregoś wieczoru wszedłem do pokoju rehabilitacyjnego – wspomina Stephen. – Były tam najróżniejsze środki farmakologiczne, a kolarze przychodzili i brali sobie, co chcieli. Innego wieczoru, w czasie trwania Tour de Suisse, siedzieliśmy w pokoju, kiedy wszedł *soigneur* z medykamentami. Obdzielił wszystkich. Chłopcy napełniali ogromne końskie strzykawki i robili sobie zastrzyki. I powiem ci, że nie był to pierwszy raz. To było jak hodowla ogierów.

Swart nie wie, co brał. Ponieważ był młody i nie mówił po niderlandzku ani francusku, pozostawiono go samemu sobie. Bał się leków i nie wiedział, jak je stosować, więc generalnie ich unikał. Było to przed epoką erytropoetyny, kiedy ludzie stosowali znacznie słabsze środki. W czasach Stephena czysty kolarz wciąż jeszcze mógł nawiązać równorzędną walkę z koksiarzem.

Swart jeździł żywiołowo i kiedy zdrowie mu dopisywało, uwielbiał swoją pracę. W generalnej klasyfikacji Tour de Suisse był trzynasty. Na trudnych górskich etapach dorównywał najlepszym. Po zakończeniu wyścigu wracał samochodem do Belgii razem z Bracke'em. Dużo rozmawiali.

– Bracke był narwańcem, nawet samochodu nie potrafił normalnie prowadzić. Byle głupstwo wytrącało go z równowagi. Coś w nim źle funkcjonowało. Podczas tej podróży opowiadał mi o wszystkich wielkich projektach, jakie wiązał z moją osobą.

„Przemysłne plany w gruzy się wałą”⁵⁶...

Tamten sezon skończył się dla Swarta przedwcześnie. Jego matka poważnie zachorowała i zmarła dwa tygodnie po powrocie syna do Nowej Zelandii. Stephen podjął pracę w sklepie rowerowym w Auckland i powoli zaczął myśleć o powrocie do treningów. Pod koniec roku postanowił, że swoją karierę kolarską wznowi w Stanach Zjednoczonych, kraju, który wysoko cenił, ponieważ wyścigi nie były tam tak mordercze, a sport wiązał się z modą i miał trochę inny, bardziej mieszczański charakter. Wszechobecny w Europie doping w Ameryce niemal nie istniał.

Zaczął jeździć w jednym z kalifornijskich klubów i już po niedługim czasie wygrał tyle wyścigów, że zwrócił na siebie uwagę Jima Ochowicza, dyrektora sportowego ekipy Motoroli. Ochowicz zaoferował mu miejsce w zespole i możliwość powrotu na europejskie szosy.

Swart nie mógł się oprzeć pokusie. Ameryka już mu się znudziła. Jeździł wprawdzie w przyzwoitym klubie Coors, jednak pejzaż się nie zmieniał: wiele entuzjazmu, ale co roku te same trasy i mało wymagający rywale. Przybywało mu lat, a domowe rachunki pochłaniały cały zarobek z kolarstwa. Czas sięgnąć wyżej.

Kiedy wrócił do Europy, był zaskoczony zmianami, do jakich tymczasem doszło.

– W 1994 wszystko całkowicie się zmieniło. Nastąpił niewiarygodny wzrost szybkości. Zwłaszcza w górach. W 1988 byłem równie dobry jak niektórzy z najlepszych. Na podjazdach utrzymywałem się w czołowej dziesiątce. Podczas Tour de Suisse w tamtym roku wjechałem na szczyt

razem z Holendrem Gertem-Janem Theunisse i Stevenem Rooksem, którzy miesiąc później zostali najlepszymi góralami Tour de France. A teraz, choć wiedziałem, że zrobiłem postępy, nie byłem w stanie dorównać innym.

Nie jeździło się tak jak przedtem. Nikt nie wrzucał miękkich przełożeń. Wszystko to znikło w ciągu pięciu lat. Niewiarygodne, poziom był o niebo wyższy. Dość prędko zrozumiałem, że będę się musiał z czymś zmierzyć. Słyszałem już wcześniej o EPO, to słowo dotarło do Stanów Zjednoczonych. Wiedzieliśmy, że erytropoetyna stymuluje krew, zwiększając jej natlenienie, nigdy jednak nie myślałem, że potrafi dokonywać tak ogromnych zmian.

W Motoroli niektórzy ze starszych zawodników byli trochę zniechęceni. Na przykład w otwierającym sezon wyścigu Tirreno-Adriatico (włoskim wyścigu etapowym organizowanym na początku marca) przez tydzień jeździliśmy na cały gaz tylko po to, żeby przetrwać. Po prostu żeby ukończyć wyścig. To było kompletne wariactwo.

Rywalizacja była zafałszowana. To był farmaceutyczny biznes z wątkiem sportowym. Drużyny, które stosowały EPO, były silniejsze od tych, które nie stosowały. Kropka. A władzom najwyraźniej to nie przeszkadzało. Albo się brało udział w tym wyścigu zbrojeń, albo odpadało. Kolarskie wyścigi zostały zdominowane przez tych, którzy brali najwięcej, szprycowali się do granic.

Jednym ze współtowarzyszy Stephena Swarta był teraz niecierpliwy młody Amerykanin Lance Armstrong. W poprzednim sezonie został mistrzem świata. Był perłą zespołu. Ich ścieżki przecięły się niecały rok wcześniej na amerykańskim gruncie. Stephen opowiedział mi, w jaki sposób doszło do tego, że Lance wygrał Thrift Drug Triple Crown of Cycling. Wtedy, w 1993 roku, najważniejszym wydarzeniem amerykańskiego sezonu był potrójny wyścig rozgrywany we wschodnich

stanach: klasyk Thrift Drug w Pittsburghu, klasyk K-Mart w zachodniej Wirginii i filadelfijskie mistrzostwa CoreStates.

Trzy wyścigi z nagrodą w wysokości miliona dolarów dla tego, kto zdobędzie potrójną koronę.

Lance brylował. Po Pittsburghu, gdzie pokazał swoją bezwzględną wyższość w wyścigu jednodniowym, rywalizacja przeniosła się na drogi Wirginii. Lance w dalszym ciągu dominował w tym pięciodniowym wyścigu etapowym. Pod koniec drużyna Stephena Swarta Coors Light otrzymała pewną ofertę.

Kontakt, o ile Stephena nie myliła pamięć, został nawiązany przez Frankiego Andreu z Motoroli za pośrednictwem Scotta McKinleya z Coors. Oferta była prosta: nie atakujcie, to dostaniecie do podziału pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Sprawę dyskutowano na szosie podczas jazdy, a potem urządzono spotkanie w pokoju hotelowym Lance'a Armstronga i Phila Andersona. Lance był jeszcze młokosem, Anderson – starym australijskim wyjadaczem, który podczas Touru w 1981 roku walczył do upadłego z Bernardem Hinaultem.

Stephen tak czy owak nie czuł się na siłach, by rywalizować z Armstrongiem. Jeśli nawet ktoś z pozostałych uważał, że stać go na taką rywalizację, to o tym nie powiedział. Ani McKinley. Ani chluba drużyny Mike Engelman. Nikt. A pięćdziesiąt tysięcy dolarów było całkiem miłą premią za powstrzymanie sportowej agresji.

Rozegrali więc wszystko zgodnie z umową. Lance jechał na czele, a Mike Engelman i Steve Hegg byli jedynymi zawodnikami, którzy mieli cień szansy na nawiązanie z nim walki. Podczas drugiej fazy Triple Crown Armstrong poprowadził ich do mety. A w Filadelfii postawił kropkę nad „i”. Chłopcy z Coors Light nie byli pewni, czy *entente cordiale* ma nadal

obowiązywać w mieście braterskiej miłości, jednak Armstrong rozwiązał ich wątpliwości, bo był po prostu poza zasięgiem.

Kilka tygodni później zawartość koperty z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów w gotówce została rozdzielona między kolarzy Coors Light. Nikt się o niczym nie dowiedział⁵⁷.

Swart i Armstrong byli na miejscu w jednym z kluczowych dla dopingu dni – kiedy to w 1994 roku wspierany przez Michele Ferrariego włoski zespół Gewiss-Ballan zdobył trzy pierwsze pozycje w wyścigu Flèche Wallonne.

Od początku sezonu ekipa Gewiss-Ballan była wyjątkowo silna, ale teraz jej zawodnicy się z tym afiszowali. Ferrari zachwalał swój program w taki sposób, że każdy musiał to zauważyć. Na wypadek zaś gdyby ktoś pozostał ślepy, Ferrari następnego dnia niby to przypadkowo porównał EPO do soku pomarańczowego. Nie powiedział wprost, że kolarze Gewissa biorą EPO, ale wyraźnie dał to do zrozumienia. EPO na krótką chwilę wyszło z cienia, przedstawiło się szerokiemu światu i ponownie wycofało ze słowami: „Teraz wiecie, gdzie mnie szukać”.

W tamtym czasie erytropoetyna była już od trzech lat zakazana przez UCI, ponieważ jednak nie było testu pozwalającego wykryć jej obecność w moczu, stała się najnowszym krzykiem mody. Hulaj dusza, piekła nie ma!

Jedynym kolarzem, który podniósł głowę i dobrze się przyjrzał temu, co się dzieje, był Lance Armstrong noszący tego dnia tęczową koszulkę mistrza świata. Był w świetnej formie i czuł głód zwycięstwa. Jechał jak szatan, próbując doścignąć trzech włoskich uciekinierów, ale mu się nie udało. Był tego dnia jednym z wielkich przegranych. A ponieważ był Lance'em Armstrongiem, nie czuł się pokonany, lecz oszukany.

Rok później, w marcu 1995 roku, po wyścigu Mediolan – San Remo, Stephen pojechał do Como, gdzie mieszkała część kolarzy Motoroli, w tym Lance, Frankie Andreu, Kevin Livingston i George Hincapie. Nieopodal miał też swoją kwaterę lekarz drużyny Max Testra.

Dzień po wyścigu chłopcy z Motoroli wybrali się na przejażdżkę – ot, żeby rozruszać mięśnie i rozprostować kości. Bez napięć, bez forsowania się – chodziło o to, żeby po prostu przez parę godzin pokręcić pedałami i pogadać.

Jednym z tematów poruszonych owego dnia było EPO. Pytano także, jak to się stało, że po batach, jakie dostali w poprzednim sezonie, nadal są jako zespół tak daleko w tyle za drużynami europejskimi. Jako zawodowcy czuli, że muszą poważnie się zastanowić, w jaki sposób rozwiązać ten problem. W przeciwnym razie wrócą do domu i będą się ścigać na samotnych drogach zachodniej Wirginii, za publiczność mając garstkę widzów.

Była to pod każdym względem „wolnobieżna” rozmowa. Kolarze, jadąc i gawędząc, najrozmaiciej dobierali się w pary. Grupę tworzyli w większości młodzi Amerykanie, którzy wychowali się w innej kulturze kolarskiej niż Europejczycy. Nigdy wcześniej nie myśleli, że doping stanie się częścią ich dyscypliny. Swart jako Nowozelandczyk wiedział, że to możliwe. Armstrong przyznał, że nie po to zajął się sportem, żeby brać doping, ale – koniec końców – trzeba iść do przodu.

Powiedział drużynie, że jeśli myśli o Tour de France, to musi mieć efekty. Nie wyjaśnił dokładnie, co zamierza robić ani kiedy chce zacząć. Tego dnia wśród jadących nie było wybitnych intelektualistów, ale i tak wszyscy się domyślili, o co mu chodzi.

Czując, że powinien wprowadzić w czyn idee Armstronga (kto nie bierze, ten nie jest oddany sprawie), Swart sam sięgnął po EPO. Podobnie

jak Frankie Andreu i inni koledzy z zespołu, którzy nie mieli dostępu do wysoko opłacanych włoskich konsultantów, poszedł w Szwajcarii do apteki i kupił EPO bez recepty.

Tour de Suisse, rozgrywany około trzech tygodni przed rozpoczęciem Tour de France, był dla niego poligonem doświadczalnym. Przyjmował EPO przez cały czas trwania wyścigu, martwiąc się jednocześnie tym, w co się pakuje. Jeśli nawet wzrost liczby czerwonych ciałek krwi dał mu jakąś dodatkową energię, to i tak pochłonał ją stres związany ze skokiem w ciemność.

– Nie pamiętam, na jak długo wystarczyło mi jedno opakowanie EPO, ale zasadniczo brałem co drugi dzień. Jechało mi się wtedy gorzej. Potem, w Tour de France, EPO skończyło mi się zaraz po prologu i wtedy doszedłem do wniosku, że to nie dla mnie.

Tak to z grubsza wyglądało. Stephen przypomniał sobie, że kiedy wyścig dotarł do gór, zespół przeprowadził wewnętrzny test w celu zmierzenia poziomu hematokrytu u zawodników. Maszyna mogła jednorazowo oznaczyć dziesięć próbek, więc wszyscy zostali przebadani. Liczby wywoływano niczym numery na loterii. Stephen miał wskaźnik w granicach 46 czy 47, co w tym nowym wspaniałym świecie było wynikiem dość żalnym. Spośród pozostałych prawie wszyscy, łącznie z Lance'em, mieli 50 i więcej. Swart mówi o tym tak, jakby się wahał, czy był świadkiem śmierci sportu, czy po prostu nie wiedział, co brać. Przetrwiał Tour, dojechał do Paryża, ale tak naprawdę nie nawiązał rywalizacji z tymi, którym EPO lepiej służyło.

Smutne to wszystko, bez dwóch zdań. Na półeczce nad kominkiem stoi zdjęcie z Champs-Élysées po zakończeniu Tour de France w 1995 roku. Ukazuje pięciu kolarzy Motoroli, którzy dojechali wtedy do mety wyścigu. Szczęściarze. Nie tylko dlatego że ukończyli Wielką Pętlę, ale i dlatego że

przeżyli – w przeciwieństwie do Fabia Casartellego, ich kolegi z drużyny, który miał kraknę na zjeździe i zmarł. Na fotografii widać też córkę Stephena i Jan, czteroletnią wówczas Olivię, siedzącą na kierownicy roweru Lance’a.

Ta fotografia jest jedynym w pokoju dowodem, że Stephen był kiedyś wyczynowym kolarzem. On sam nie widzi powodu, żeby się tym chwalić. Był częścią świata sportu, którego dewiza brzmiała: oszukuj albo sam zostaniesz oszukany. Stephen nie chciał oszukiwać, ale nie chciał też, żeby jego oszukano. I w końcu był ni taki, ni siaki: ubrudził sobie ręce, a i tak wyszedł na durnia.

Kiedy tak teraz słucham, jak wspomina lata spędzone z Motorolą, testy na hematokryt i pnącego się błyskawicznie w górę Lance’a, wracam myślą do rozmowy na innej sofie, na której dwa lata wcześniej siedziałem w westybulu hotelu La Fauvelaie we wschodniej Francji. Wypytywałem tam Lance’a Armstronga o te same dwa lata w Motoroli.

– Kiedy uświadomił pan sobie istnienie dopingowej subkultury?

– Nie umiem odpowiedzieć, bo Motorola była czysta jak śnieg, a ja tam byłem przez cały 1996 rok.

– W jak dużym stopniu zdawał pan sobie sprawę, że erytropoetyna stała się jednym z czynników wpływających na wynik wyścigów?

– Nie myśleliśmy o tym. To nie był nasz problem. Takie rzeczy nie wchodziły w rachubę. Jim Ochowicz kierował stworzonym przez siebie programem i był to program czysty.

Armstrong mówił jedno, Swart drugie. Czarna i biała wersja. Zastanawiam się nad motywacją Stephena. Sześć lat wcześniej odszedł z kolarstwa wyczynowego i wrócił wraz z rodziną z Europy, by rozpocząć w Nowej Zelandii nowe życie. Nieźle im się powodziło. Stephen założył przedsiębiorstwo remontowo-budowlane i mieszkał z rodziną w jednym

z lepszych miast. Dlaczego miałyby kłamać na temat swojej dawnej kariery, a zwłaszcza dlaczego miałyby mówić rzeczy, które szkodziły jemu samemu i jego bliskim? Po co miałyby im to robić?

Otóż powiedział to wszystko, bo zawodowe kolarstwo nie powinno było tak wyglądać i w żadnym razie nie może takie pozostać w następnym pokoleniu.

Wysłuchałem tych dwóch sprawozdań na temat lat spędzonych w Motoroli i wiem, że to nie Swart kłamie.

Upewnia mnie w tym przekonaniu rzeczowość, z jaką Stephen opisuje własne doświadczenia z EPO. Nigdy nie zamierzał propagować środków dopingujących. Mimo że kupił, a potem przyjmował EPO podczas Tour de Suisse i na początku Tour de France w 1995 roku, nie przyniosło to obiecanych efektów. Kaczka nie zmieniła się w łabędzia. W istocie rok wcześniej, kiedy nie brał EPO, jeździł lepiej.

Ale walczył. Przez trzy tygodnie. Cały sezon sprowadził się do bezlitosnej walki o to, by przetrwać Tour i zapracować na kolejny sezon. Jeszcze jedno lato z cyrkami. Pod koniec Wielkiej Pętli w 1995 roku wciąż kręcił pedałami, a w szalony dzień finału naprawdę cieszył się barwnym świętem na Champs-Élysées. Nie wygrał, rzecz jasna, ale to, że tam się znalazł, samo w sobie było zwycięstwem. Pokazał swoim pracodawcom, że wciąż jest zdrowy i silny i może się ścigać przez kolejny rok.

Stephen Swart i Steve Bauer usłyszeli wiele ciepłych słów o swoim bezinteresownym poświęceniu dla zespołu. Na twarz Stephena powrócił uśmiech. To uznanie ze strony kolegów było dobrym znakiem. Jeśli on i Jan mieli jakieś wątpliwości co do przedłużenia kontraktu Stephena, zostały one teraz rozwiane przez wdzięczność, jaką okazywała mu tego wieczoru drużyna.

Po Tour de France kolarze przez tydzień odpoczywali, a potem rozpoczęli przygotowania do wyścigów kończących sezon. Najpierw do sierpniowego klasyku w angielskim Leeds i do Grand Prix w Zurychu, później zaś do Vuelta a España, wyścigu, który rozpoczynał się we wrześniu. Jim Ochowicz zaprosił Stephena do swojego pokoju. Tam niespodziewanie oznajmił mu, że jego kontrakt nie zostanie przedłużony na 1996 rok.

– Zupełnie się tego nie spodziewałem. Powinniśmy to byli przegadać podczas Tour de France, ale do takiej rozmowy nie doszło, więc myślałem, że wszystko jest w porządku. Jim poprosił, żebym zaszedł do niego, i tam mi powiedział, że nic dla mnie nie ma. Tak jakby mówił: „Za dwie godziny odlatuje samolot, a ponieważ jutro nie startujesz w wyścigu, zarezerwowaliśmy ci bilet na ten lot”. Próbowałem się z tym pogodzić. Były przecież jeszcze inne drużyny, ale pomyślałem: „Nie, dość tego. Nie chcę już dalej iść w tę stronę”. Nie chciałem być związany z Motorolą. Mogłem zacząć od nowa w jakiejś innej grupie, ale nie byłem tym zainteresowany.

Swart zaczął obchodzić pokoje, żeby się pożegnać z kolegami. Już wiedzieli. Szczególnie zależało mu na uściśnięciu dłoni z Seanem Yatesem i Frankiem Andreu, których uważał za przyzwoitych facetów.

– Starąłem się nie tracić fasonu i zachować dumę. Powiedziałem: „Powodzenia, i do następnego spotkania”.

Stephen wystarczająco dobrze znał politykę zespołu, by podejrzewać, że Ochowicz omówił jego sytuację z Armstrongiem, ale i tak chciał się pożegnać z Lance'em.

– Zastukałem do jego drzwi. Były otwarte, więc wszedłem. Zobaczyłem, że jest w łazience. Zawołałem, że chcę się z nim pożegnać. Wystawił tylko zza drzwi rękę.

„Do zobaczenia, Lance”.

„No, cześć, trzymaj się”.

Nie powiedział: „Zaczekaj chwilę”. Nie próbował pożegnać się ze mną jak należy. Zrozumiałem, że uczestniczył w podjęciu decyzji na mój temat i zabrakło mu odwagi, żeby mi spojrzeć w twarz.

Zachowanie Lance’a pogłębiło smutek Stephena. Dawniej uważał, że Armstrong ma w sobie prawdziwą wielkość i że nawet gdyby nie istniały środki dopingujące, Teksańczyk i tak byłby mistrzem. Teraz więc przygnębiło go, że widzi taką małość człowieka, który mógł być wielki.

– Kiedy zachorował na raka, myślałem, że wykorzysta sposobność i powie całemu światu: „Popełniłem błąd”. Gdyby tak postąpił, a potem wrócił na dobry poziom, miałbym o nim inne zdanie. Miał szansę zrobić coś pozytywnego dla sportu, zamiast tego pomógł utrzymać taki stan rzeczy, jaki był przed jego chorobą. Cóż się zmieniło od czasu skandalu z 1998 roku?

Nic. Stosowanie dopingu stało się po prostu bardziej wyrafinowane. Myślę, że on oszukuje tych ludzi – tych, którzy wyszli z choroby nowotworowej. Stał się ich rzecznikiem, ale jego przeszłość jest mętna. Oczywiście był chory na raka. Ale trudno oprzeć się pytaniu, czy aby sam się do tego nie przyczynił. Mam większy szacunek dla takich kolarzy jak Szwajcar Alex Zülle, który przynajmniej podniósł rękę i powiedział: „Robiłem to. Przepraszam”. Lance miał szansę, żeby być uczciwy. Po wyjściu z raka mógł choć trochę pomóc sportowi, ale postąpił odwrotnie.

Dla Stephena tamto lato w 1995 roku było przebłyskiem przyszłości. Był już wtedy na tyle dojrzały, by wiedzieć, że Europa nie może mu obiecać niczego w rodzaju tej czystej radości, jaką odczuwał w latach dorastania, gdy kibicował swojemu bratu Jackowi ścigającemu się na

asfaltowej dwupasmówce wokół Nowej Zelandii. Nie w takie ślady chciał wtedy wstąpić.

Teraz miał za sobą zawodową karierę, przejechał Tour, wiele osiągnął. Skoro nie brał EPO, zostałyby daleko w tyle za innymi. Więc porzucił zawodowe kolarstwo. Wrócił do Nowej Zelandii. Opowiedzenie własnej historii zajęło mu cztery czy pięć godzin miłego wieczoru na antypodach. Był człowiekiem o silnym charakterze i facetem, który odnalazł w końcu szczęście poza peletonem.

Stephen swoimi zeznaniami nie mógł ani nie zamierzał pogrążyć Lance'a Armstronga. Opowieść o dawnych latach była potrzebna jemu samemu.

Wyjeżdżając z Auckland, miałem jednak lepszy obraz życia Lance'a z połowy lat dziewięćdziesiątych, rozumiałem, co czuł, kiedy po raz pierwszy został omamiony przez Michele Ferrariego. Stało się to daleko stąd i dawno temu, ale Lance jeździł tak dynamicznie i tak szybko, że przekraczał granice, nawet ich nie zauważając. Natomiast ludzie tacy jak Stephen Swart po prostu schodzili z roweru i oddalali się, póki jeszcze był czas. Historia Stephena zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Ale opuszczając Auckland, miałem coś jeszcze.

Poczucie odpowiedzialności wobec takich ludzi jak on.

⁵⁶ Aluzja do wiersza Roberta Burnsa *Do myszy*, w przekładzie Stanisława Barańczaka – przyp. tłum.

⁵⁷ Historia ta byłaby dość banalna, gdyby nie jej ironiczne następstwa. Kupowanie i sprzedawanie etapów, wyścigów jednodniowych i kryteriów jest w kolarstwie od dawna stosowaną praktyką. Ale po odejściu z zawodowego kolarstwa Swart znów pojawił się w centrum uwagi podczas procesu SCA w 2006 roku, kiedy Stephen przedstawił tę historię jako część swoich zeznań. SCA wycofywało właśnie pieniądze należne Lance'owi Armstrongowi. SCA było firmą

ubezpieczeniową, przyjmującą wpłaty pod zabezpieczenie wysokich nagród, takich jak te, które Armstrong otrzymywał w kolejnych Tours de France. (Albo jak milion dolarów za Thrift Drug Triple Crown of Cycling).

ROZDZIAŁ 13

Przez większość życia trzymałem się prostego schematu wygrywania i przegrywania, ale rak uczył mnie tolerancji dla wieloznaczności.

Lance Armstrong

Wciąż jeszcze pamiętam, że jednym z powodów mojego dobrego samopoczucia podczas pogawędki z Emmą O'Reilly w lipcowy dzień 2003 roku była cicha, mściwa satysfakcja. Coś, do czego nigdy bym się nie przyznał Sandro Donatiemu. Gdzieś tam we Francji Lance Armstrong wypluwał płuca, ścigając się w kolejnym Tourze. Niewykluczone, że zauważył – może nawet z odrobiną smutku – moją nieobecność na konferencjach prasowych. Może pomyślał, że dałem za wygraną, wycofano mnie ze sprawy, umieszczono w końcu w domu bez klamek.

Gdy tak siedzę z Emmą, mam nadzieję, że dostrzegł, iż mnie nie ma, a może i myślał przez chwilę: „Gdzie się podziewa ten mały troll?”. Mam taką nadzieję, ponieważ teraz, właśnie teraz, kiedy on, zlany potem, prowadzi peleton przez francuski krajobraz, ja rozmawiam z jedną z osób, które zostały wyplute przez maszynę US Postal. Patrzę na tę inteligentną, młodą kobietę i zastanawiam się, co było nie w porządku z Lance'em Armstrongiem, że nie zabiegał o to, aby pozostała wobec niego lojalna. Czyżby nie wiedział, że Emma pochodzi z Tallaght?

Zanim spotkałem się z Emmą, znaczącą częścią mojego życia była praca nad książką, która miała później otrzymać tytuł *L.A. Confidential*. Po aferze z Ferrarim w 2001 roku zrozumiałem, że jeśli wszystko to naprawdę coś dla mnie znaczy, nie mogę poprzestać na jeżdżeniu na kolejne Tours de France i wysyłaniu do „Sunday Timesa” trzech niepokornych artykułów na rok. To za mało.

Pierre i ja obmyśliliśmy tę książkę, a potem, jak to dziennikarze, przez dłuższy czas nic poważnego z nią nie robiliśmy. Dość wcześnie stało się jasne, że angielskie wydawnictwa nie będą się zabijać o prawa autorskie do niej, więc miała stać się książką francuską, a oprócz tego postanowiliśmy, że będzie książką dobrą. Po latach z satysfakcją mogę powiedzieć, że w raporcie Amerykańskiej Agencji Antydopingowej z 2012 roku jest bardzo niewiele rzeczy, które by nie pojawiły się osiem lat wcześniej w *L.A. Confidential*. Raport jest wprawdzie bardziej szczegółowy, ale historie są te same⁵⁸.

Przystępując do pracy, podzieliliśmy się zadaniami i tak się jakoś złożyło, że mnie się dostało złoto, a Pierre’owi żwir. Jeśli ktoś pochodzi z hrabstwa Kilkenny i wchodzi w spółkę z charyzmatycznym Francuzem, jest to najlepszy interes, jaki można zrobić w życiu.

Podczas gdy ja, podróżując samolotami, spędzałem wiele godzin w obłokach, on harował jak wół. Pierre zna od strony medycznej wszystkie tajniki dopingu, rozumie też naukową wymowę liczb, tabelk i wykresów. Ja krążyłem po świecie, podsuwając ludziom dyktafon pod nos i zadając pytania, Pierre odwiedzał laboratoria chemiczne i gabinety lekarskie, ślęczał nad danymi, a potem znów wracał, szukając wyjaśnienia. Pod koniec tego okresu, gdyby chciał, bez trudu mógłby udawać, że jest onkologiem.

Załadowałem baterie do dyktafonu i ruszyłem w drogę. W 2001 roku udałem się do San Francisco, żeby przeprowadzić wywiad z byłym lekarzem drużyny US Postal doktorem Prentice'em Steffenem⁵⁹. Tą rozmową miała się rozpoczynać nasza książka.

Kiedy Armstrong wszedł w 1997 roku do zespołu US Postal, Steffen od roku był lekarzem tej drużyny. W istocie współpracował z grupą od roku 1993, kiedy nosiła jeszcze nazwę Subaru-Montgomery. Uważał, że jego podopieczni są zespołem wybitnie amerykańskim i powinni reprezentować amerykańskie obyczaje kolarskie.

Jednak wraz z poparciem i pieniędzmi w grupie US Postal pojawiła się ambicja rywalizowania z najlepszymi ekipami europejskimi. W 1996 roku Pocztcowcy wzięli udział w Tour de Suisse. Wielki krok naprzód.

Potem Steffen przytoczył pewną rozmowę, która budzi kontrowersje po dziś dzień.

– Zostaliśmy zmiażdżeni – opowiadał. – Przyszli do mnie dwaj nasi kolarze i oświadczyli, że chcą „porozmawiać o programie medycznym”. Twierdzili, że z tym, co dla nich robię, nie jesteśmy w stanie dojść jako zespół tam, gdzie byśmy chcieli. Odparłem, że robię wszystko, co w mojej mocy. Oni na to: „Można by zrobić więcej”, a ja: „Tak, rozumiem, ale nie zamierzam w to wchodzić”.

Steffen był przekonany, że ci dwaj kolarze, Tyler Hamilton i Marty Jemison, proszą go o zaaplikowanie im środków dopingujących. Głos zabierał wyłącznie Jemison, bardziej doświadczony z tej pary (jeździł wcześniej w Europie w tamtejszych ekipach). Hamilton tylko się przysłuchiwał⁶⁰.

Po tej nieoficjalnej rozmowie stosunki między lekarzem a kolarzami uległy ochłodzeniu. Cztery miesiące później z wiadomości głosowej

nagranej na automatycznej sekretarce Steffen dowiedział się, że zespół już go nie potrzebuje.

Wysłał wtedy list do swego szefa Marka Gorskiego.

Drogi Marku,

od tygodnia rozmyślam nad wiadomością, którą mi zostawiłeś w związku ze swoją decyzją, aby lekarz Johnny'ego [mowa o Johnnym Weltzu, nowym dyrektorem sportowym drużyny] zajął od następnego sezonu moje miejsce. Obawiam się, że zupełnie źle mnie osądziłeś i że powinieneś przemyśleć swoje stanowisko.

Jestem z zespołem od 1993 roku. Uważam, że swoimi wysiłkami zapracowałem na to, by udzielać drużynie wsparcia medycznego w chwili, gdy wkraczamy w nową i ekscytującą fazę naszego rozwoju. Z całą pewnością nie można też podważyć moich kwalifikacji, doświadczenia, wiedzy i poświęcenia. Skąd więc Twoja decyzja?

Zgodnie ze swoim zwyczajem omówiłem tę sytuację z dwoma spośród moich bliskich przyjaciół. Wyjaśnienie nasunęło się samo. Cóż takiego może zaoferować drużynie zupełnie nieznanemu hiszpańskiemu lekarzowi, czego ja bym nie umiał dać? Odpowiedź jest oczywista: doping.

W listopadzie 1996 roku Steffen otrzymał odpowiedź. Nadeszła z firmy Keesal, Young & Logan świadczącej usługi prawnicze zespołowi US Postal. List mówił, że podejrzenia Steffena co do powodów zwolnienia go z pracy są niesłuszne, ale że będzie pociągnięty do odpowiedzialności za swoje komentarze, jeśli poda je do publicznej wiadomości.

Steffen odszedł. Lekarzem zespołu został Pedro Celaya. Podczas Tour de France w 1997 roku wszystkich dziewięciu kolarzy US Postal dojechało do mety. Prentice Steffen wiedział dlaczego.

Ten wywiad był początkiem układanki.

Późną jesienią 2003 roku spotkałem się w Nowej Zelandii z dawnym Pocztowcem Stephenem Swartem. Potem udałem się do Park City w stanie Utah, gdzie odbyłem długą rozmowę z Martym Jemisonem. W Kolorado odwiedziłem Jonathana Vaughtersa (który prowadzi obecnie drużynę

Garmin, Prentice Steffen jest tam lekarzem). Pojechałem na spotkanie z LeMondami do Minneapolis, a stamtąd do państwa Andreu w Michigan.

Wróciłem do Cambridge, do Mary i dzieciaków, tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Nowy rok niósł ze sobą całą górę rzeczy do napisania.

Kiedy książka ukazała się latem 2004 roku, jej siłą były właśnie świadectwa zawarte w tych wywiadach. Gazety zawsze szukają sensacji: żona byłego kolegi z drużyny rozbija Armstronga w proch. Dawna masażystka dobiera się Lance'owi do skóry.

Oczywiście Emma była główną postacią książki. Najdłużej przebywała w brzuchu bestii, a jej opisy tego, co tam widziała, przykuwały uwagę. Scena ze szpitala w Indianie też wzbudzała zainteresowanie, ogólnie jednak trudno było dostrzec, jakie wrażenie wywołała książka, bo gdy tylko się ukazała, Armstrong rozpętał przeciwko niej istną zamieć najróżniejszych działań prawnych.

Uderz w stół, a nożyce się odezwą.

Swoją rzeczowość *L.A. Confidential* zawdzięczała w dużej mierze pracy Pierre'a, na ogół niedocenionej przez czytelników, którzy oczekiwali czegoś bardziej podniecającego. Pierre zajął się naukowym aspektem sprawy. A nauka jest sucha i bezstronna.

Pierre zadawał pytania, na które tak naprawdę nigdy nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Oto Lance, w obliczu rozpadu Motoroli, podpisuje kontrakt z grupą Cofidis dosłownie kilka tygodni przed wykryciem u niego czwartego stadium raka. Anglik Paul Sherwen, który był w owym czasie kierownikiem do spraw *public relations* Motoroli, powiedział: „Armstrong od długiego czasu odczuwał przenikliwy ból, który jednak niezbyt go martwił. Zrobiliśmy mu nawet specjalną wyściółkę na siodełko”.

Główny kolarz ekipy startującej w Tour de France odczuwa ból na tyle silny, że dowiaduje się o tym fagas od PR, natomiast rzecz najwyraźniej

uchodzi uwadze personelu medycznego, który przecież trzął się co wieczór nad jego zdrowiem.

Jeśli wiedzieli, dlaczego nie powiedzieli Cofidisowi? I co takiego robił Cofidis, że płacąc ciężkie pieniądze za podpisanie nowego kontraktu, nie zażądał od Armstronga obowiązkowych badań lekarskich?

A potem pojawiła się sprawa gonadotropiny kosmówkowej.

Ludzka gonadotropina kosmówkowa, czyli hCG, jest powszechnie kojarzona z „hormonem ciąży”, ponieważ po zapłodnieniu jej poziom w organizmie kobiety wzrasta. Wzrost stężenia produkowanej przez łożysko gonadotropiny jest wykrywalny jedenaście dni po zapłodnieniu. Na tej podstawie oparty na analizie moczu test ciążowy daje pozytywny wynik. Na razie wszystko w porządku.

Ale oprócz ciąży istnieją jeszcze inne związane ze zdrowiem czynniki, które mogą zwiększyć stężenie hCG. Po zakończeniu cyklu przyjmowania sterydów wielu wyczynowców sięga po hCG, żeby znów podwyższyć sobie poziom naturalnego testosteronu. Obniżenie mocy w testach wysiłkowych jest skutkiem ubocznym nadużywania sterydów.

U mężczyzn, a także u niebędących w ciąży kobiet, wyższy poziom hCG łączy się niekiedy z rozwojem złośliwych i niezłośliwych guzów nowotworowych. Podwyższenie poziomu hCG jest zazwyczaj pochodną guzów w gruczołach rozrodczych – jądrach i jajnikach – ale może być także powodowane przez inne guzy w obrębie jamy brzusznej.

To wiedzie nas z powrotem do roku 1996. W przypadku mężczyzn syntetyczna hCG od dawna jest w sporcie produktem zakazanym. Latem 1996 roku Armstrong był trzynastokrotnie poddany testom. Skoro więc odczuwał przejmujące bóle, używał siodełka ze specjalną wyściółką, a jesienią miało u niego zostać wykryte czwarte stadium raka, śmiało

można założyć, że wspomniane testy wykazywały u niego odbiegające od normy poziomy hCG.

Sam Armstrong mówił: „Wiedziałem, że podczas kontroli antydopingowej szuka się śladów hCG. Chciałbym wiedzieć, jaki miałem poziom hCG w czasie tej kontroli [chodzi o kontrolę antydopingową przeprowadzoną przy okazji szwajcarskiej Grand Prix, w sierpniu, sześć miesięcy przed wykryciem u niego raka]. Jeśli to prawda, że UCI przechowuje wszystkie wyniki, powinno być możliwe ustalenie, gdzie był wtedy mój rak”.

O dziwo, Lance nigdy już potem nie podjął tej sprawy. Ani też, o ile nam wiadomo, nie komunikował się z UCI. UCI natomiast starannie unikała jakichkolwiek wyjaśnień.

W tamtym czasie szefem francuskiego państwowego laboratorium antydopingowego był Jean-Pierre Lafarge. Indagowany przez „Le Monde’a” Lafarge powiedział:

– Kontrole hCG były systematyczne. Przypadki chorobowe trafiają się rzadko, prawdopodobnie mniej niż jeden przypadek na dziesięć tysięcy próbek. Jeśli chodzi o Lance’a Armstronga, zadziwiające jest to, że podczas tych kontroli nie wykryto żadnych śladów choroby.

Pierre wiedział, że wyniki kontroli antydopingowych przeprowadzonych podczas szwajcarskiej Grand Prix w sierpniu 1996 roku były analizowane w instytucie biochemii niemieckiego uniwersytetu sportu w Kolonii.

Dyrektor instytutu Wilhelm Schänzer potwierdził, że jego „laboratorium dysponowało możliwością wykrycia śladów hCG”. Wydaje się całkiem jasne, że w sierpniu 1996 roku krew Lance’a Armstronga poddano badaniom na obecność beta-hCG. Jednocześnie laboratorium w Kolonii

odkryło niewielką nieprawidłowość podczas badania poziomu testosteronu, ale nie znalazło powodu do podejrzeń i wysłało do UCI wynik negatywny.

Jedyną osobą, która oficjalnie zareagowała na tę sprzeczność, była Anne-Laure Masson, pełniąca wówczas funkcję koordynatora medycznego UCI.

– Jestem zakłopotana, bo jeśli poziom hCG również był wysoki, to wynik testu Lance'a Armstronga siłą rzeczy powinien być pozytywny. Nie bardzo da się to wytłumaczyć.

Wiemy, że w czasie gdy u Armstronga wykryto nowotwór, jego poziom beta-hCG był niebotycznie wysoki. Normalny poziom u mężczyzn wynosi 1–2 nanogramy na mililitr krwi, a z reguły nie przekracza 5 miligramów na mililitr. Armstrong, wspominając okres, kiedy go diagnozowano, podaje kilka różnych liczb.

Wskaźniki te różnią się także w zależności od źródła, któremu zaufamy: 52 000 ng/ml, 92 380 ng/ml bądź 109 000 ng/ml. Pierwszą liczbę podał sam Armstrong w rozmowie z Pierre'em dla „L'Équipe” z listopada 1996 roku. Dwie inne pochodzą z jego autobiografii *Mój powrót do życia. Nie tylko o kolarstwie*.

Zadziwiająca. Przecież nawet jeśli przyjmiemy ten najniższy wskaźnik, stężenie beta-hCG u Armstronga musiało już wzrastać od jakiegoś czasu. Jeszcze dziwniejsze jest to, że przez lata, jakie minęły od tamtej pory, Armstrong najwyraźniej zadowolony był z tymi mętными odpowiedziami diagnostów.

Czy było to zaniedbanie? Czy kolarze wychodzili czysto z testów niezależnie od tego, co u nich znaleziono? Skoro mocz Armstronga zawierał hCG, czyż nie należało o tym poinformować jego samego, a następnie upewnić się, czy jest to skutek stosowania środków

dopingujących, czy też jakaś odmiana raka niemająca związku z dopingiem?

Doktor J. Dudley Youman, jeden z opiekujących się Armstrongiem lekarzy, podjął próbę ustalenia daty pojawienia się tego nowotworu. „Moim zdaniem rak był w jego organizmie od kilku miesięcy”.

Inny lekarz powiedział Pierre’owi, że istnieje matematyczna zależność między poziomem właściwie oznaczonego markera hCG a stopniem zaawansowania choroby.

Nowotwór jądra rozwija się gwałtownie, ale dla Lance’a Armstronga to, że miał raka na mniej niż miesiąc przed zdiagnozowaniem, „jest po prostu niemożliwe”.

Pierre zapuszczał się w ten świat kartka po kartce, raport po raporcie, rozmawiając z wieloma lekarzami. Nie sposób tutaj oddać sprawiedliwości jego rzetelności dziennikarskiej, ale w tej sprawie w ogóle było kiepsko ze sprawiedliwością, a pytania, które Pierre postawił, po prostu pozostały zawieszony w próżni.

To właśnie dzięki spokojnej dociekliwości Pierre’a ujawniona została rzecz, która dla mnie jest wciąż jedną z tajemnic Lance’a: list od Alaina Bondue z grupy Cofidis do Billa Stapletona, z kopią dla François Migraine’a, szefa Cofidisu. List nosi datę 22 kwietnia 1997 roku.

Muszę Cię poinformować, że w okresie swojego styczniowego treningu [w Marcq-en-Baroeul] Lance polecał do Włoch, żeby się spotkać z doktorem Ferrarim, a Cofidis załatwił mu rezerwację i zapłacił za przelot, mimo że był to wyjazd prywatny i Cofidis o nim nie decydował.

Nadal mnie to zadziwia. Konferencja prasowa Cofidisu na rozpoczęcie sezonu odbyła się 8 stycznia. Następnie grupa udała się na treningi do Marcq-en-Baroeul. Armstrong zaledwie trzy tygodnie wcześniej zakończył

chemioterapię. Nie oczekiwano, że będzie pracował razem z kolegami, którzy zresztą byli autentycznie zdumieni, widząc go na konferencji.

Lance, jak pamiętamy, nie poświęcił w swojej autobiografii żadnej wzmianki Ferrariemu, ale zanim jeszcze ogłoszono, że jest całkowicie wyleczony z raka (w lutym 1997 roku), nieraz zbaczał z drogi, żeby побыć chwilę w Ferrarze.

O czym myślał? Jakie podjął decyzje?

Mam nadzieję, że pewnego dnia opowie nam o tym wszystkim.

[58](#) *L.A. Confidential* wywoływała w tamtym czasie sprzeczne reakcje, a nawet dziś komentatorzy nie są zgodni co do oceny jej wartości. Poniżej dwie najnowsze opinie na temat książki: „Nic rewelacyjnego – oto, co najbardziej zdumiewa w środowych zeznaniach Lance’a Armstronga ujawnionych przez Amerykańską Agencję Antydopingową. Oczywiście USADA podaje wiele szokujących szczegółów na temat praktyk dopingowych Armstronga, ale w głównym zarysie historia ta jest znana od 2004 roku, kiedy to dziennikarze śledczy David Walsh i Pierre Ballester wydali przełomową pracę *L.A. Confidential*, która wtedy została niemal całkowicie zignorowana”, magazyn „Outside” 2012. „Łatwo powiedzieć: tak, dziennikarze powinni dążyć głębiej. Mój Boże, przecież Walsh i Ballester dążyli tak głęboko, jak się tylko da, i popatrzcie, do niczego nie doszli. Naprawdę do niczego. Przejrzałem ponownie kilka rzeczy, które wtedy napisałem, i nie znalazłem nic, czego musiałbym się wstydzić. To znaczy teraz, oczywiście, widzę, że byłem niedoinformowany”, Samuel Abt, „New York Times”, „Herald Tribune” 2012.

[59](#) Wywiad ten miał długotrwałe reperkusje. W 2005 Steffen powiedział „L’Équipe”, że w jakiś czas po naszej rozmowie zadzwonił do niego Armstrong i oświadczył: „Mam dużo pieniędzy, dobrych prawników i jak nie przestaniesz paplać, to cię zniszczymy”.

Z kolei w 2008 roku, podczas Tour of Utah, dostał pięścią w twarz od Marty’ego Jemisona, którego nazwisko pojawiło się w wywiadzie.

[60](#) Hamilton twierdzi, że nie pamięta tej rozmowy. Jednak Prentice Steffen trwa przy swojej wersji. Jemison utrzymuje, że prosił o całkowicie legalny zastrzyk z witaminy B12. Możliwe, że z powodu stresu wywołanego porażką drużyny on i Steffen mówili wtedy o dwóch różnych rzeczach.

ROZDZIAŁ 14

Spór sądowy: maszynka, do której wchodzisz jako świnia, a wychodzisz jako kiełbasa.

Ambrose Bierce

Wyszedłem z gabinetu szefa, wiedząc, co muszę zrobić. Alan English, zastępca kierownika działu sportowego, siedział przy biurku po lewej.

– Alanie, odchodzę z „Sunday Timesa”. Nie mam wyboru.

Pracowałem w tej gazecie od ponad ośmiu lat, a przez ostatnie trzy byłem głównym autorem rubryki sportowej. Słowa wypowiedziane kiedyś przez piłkarza Teddy’ego Sheringhama na temat Manchesteru United dobrze odzwierciedlały to, co czułem do „Sunday Timesa”. „Kiedy odchodzisz z United – powiedział Sheringham – musisz się pogodzić z myślą, że tam, gdzie teraz idziesz, nie będzie już tak dobrze”.

Czułem ogromny smutek. Osiem lat i akurat w chwili gdy na półkach księgarskich w całej Francji ma się pojawić *L.A. Confidential. Les secrets de Lance Armstrong*, żegnam się z pracą i gazetą, którą kocham.

Alan widział, co czuję.

– Odprowadzę cię do samochodu.

Szliśmy w milczeniu.

– Przemyśl to jeszcze – powiedział, gdy wsiadałem do auta.

– Już przemyślałem. Nie mam wyjścia.

Był czwartkowy wieczór, parę minut po siódmej, i londyńska godzina szczytu już minęła. Wiedząc, co mnie czeka, nie spieszyłem się do domu.

Im więcej myślałem o całej sprawie, tym gorzej wyglądała. Emma O'Reilly, Betsy Andreu i Stephen Swart zaufali mi bez reszty i oto teraz, gdy potrzebowałem wsparcia gazety, czułem, że go nie mam. Gniew minął, zastąpiony przez smutek i poczucie bezradności. Wybrałem numer do Alexa.

- Myślę, że się z tego powodu nie pokłócimy, ale odchodzę z gazety.
- Przykro mi, że to robisz – odparł. W jego głosie słychać było zawód.
- Jak tylko dojadę do domu, wyślę ci e-mail z potwierdzeniem.
- Dobra.

Zadzwoiłem do Betsy.

- Odszedłem z „Sunday Timesa”.
- O, Boże, chyba żartujesz?
- Nie. To prawda.
- Co będziesz robić?
- Jeszcze nie wiem. Mam nadzieję, że coś znajdę.
- Nie mogę uwierzyć. To szaleństwo. Nic dziwnego, że się odłączyliśmy od angoli z tym ich durnym prawem dotyczącym zniesławienia.

W domu napisałem krótki e-mail do Alexa, potwierdzający moją rezygnację. Powiadomienie Mary nie przyszło mi łatwo, ale widziała mój smutek i próbowała nie myśleć o konsekwencjach. „Skoro uważasz, że tak musisz zrobić, to nie masz wyboru”.

A miał to być jeden z lepszych tygodni w mojej karierze zawodowej.

Książka *L.A. Confidential* stanowiła owoc dwuletniej pracy. Trzeba było dotrzeć do odpowiednich ludzi, wzbudzić ich zaufanie, dodawać im otuchy,

a później przekonać, żeby pozwolili na ujawnienie swoich opowieści. Kiedy robocza wersja książki była już gotowa, wysłałem do Lance'a Armstronga i Johana Bruyneela e-maile z listą pytań, które dawały im sposobność odniesienia się do wielu zarzutów zawartych w naszym tekście. Bruyneelowi posłałem jedenaście pytań, Lance'owi dziewięć.

Pytania do Bruyneela:

Według wielu źródeł o niektórych kolarzach z grupy US Postal wiadomo, że przyjmują środki dopingujące. Co może Pan o tym powiedzieć?

Czy kiedykolwiek przewoził Pan takie środki? Czy prosił Pan o ich przewiezienie kogokolwiek z ekipy US Postal?

Pytania do Armstronga były również dobitne:

Słyszałem, że przyznał się Pan kiedyś swoim onkologom do stosowania środków dopingujących.

Świadkowie twierdzą, że widzieli na Pana ręce ślady po wkłuciach. Co Pan na to?

Pytania te zostały wysłane pod koniec maja 2004 roku, na około trzy tygodnie przed oddaniem *L.A. Confidential* do druku. Było wystarczająco dużo czasu, żebyśmy włączyli odpowiedzi Armstronga i Bruyneela do książki, ale nie na tyle dużo, żeby tamci zdążyli sięgnąć po jakieś środki prawne, które mogłyby opóźnić publikację. W e-mailach rozmyślnie nie wspominałem, czy piszę artykuł prasowy czy książkę, oznajmiłem tylko, że rozmawiałem z członkami zespołu i potrzebuję kilku odpowiedzi. W świątku Lance'a ogłoszono alarm spowodowany niewątpliwie przez agresywny charakter pytań.

Odpowiedź została dostarczona za pośrednictwem londyńskiej kancelarii prawniczej Schillings w liście adresowanym do mnie, a zarazem

przesłanym faksem do „Sunday Timesa” we wtorek 8 czerwca. Myśleli, że zamierzamy zamieścić w gazecie artykuł o Armstrongu, i przekazali sprawę do firmy Schillings reprezentującej właściciela drużyny, czyli Tailwind Sports LLC, oraz Lance’a Armstronga i Johana Bruyneela. Pierwszy list z kancelarii prawniczej był krótki i zapowiadał jedynie dłuższą odpowiedź, która miała nadejść następnego dnia. „Tymczasem pragniemy jedynie zawiadomić, że interesujemy się sprawą”.

Tego samego dnia w dziale sportowym gazety odbyło się spotkanie, w którym oprócz mnie wzięli udział szef działu Alex Burden, Alan English i prawnik „Sunday Timesa” Alastair Brett. Chcieli poznać najbardziej przekonujące świadectwa zebrane w książce. Przedstawiłem je w takim porządku:

Emma O’Reilly: dawna główna *soigneur* w US Postal i masażystka Armstronga w latach 1998–1999, która z porażającą szczerością opisała mi pięcioletni okres spędzony z zespołem. Wyrzuciła do śmieci zużyte strzykawki Lance’a, przewiozła do Hiszpanii zakazane środki farmakologiczne, zamaskowała korektorem kosmetycznym ślady po ukłuciach na ręce Armstronga, była świadkiem, jak podczas Tour de France tuszowano pozytywny wynik jego testu, i dostarczyła testosteron innemu zawodnikowi Pocztovców. Rozmowę z Emmą nagrałem na dyktafon.

Stephen Swart: były kolega Armstronga w Motoroli w latach 1994–1995. Mówi, że w 1995 roku zespół zdecydował się stosować EPO i że Armstrong gorąco namawiał drużynę do sięgnięcia po ten zakazany środek. Swart przyznaje, że przyjmował erytropoetynę w czasie Tour de France w 1995 roku, a zrobił to dlatego, że taka była decyzja zespołu.

Betsy Andreu: powiedziała mi, że w październiku 1996 roku słyszała, jak Armstrong mówił swoim lekarzom ze szpitala w Indianie, że zanim zachorował na raka, przyjmował środki poprawiające wydolność wysiłkową. Obecna wówczas w tym samym pomieszczeniu Stephanie McIlvain potwierdziła, że też to słyszała. Ponieważ mąż Betsy był z racji swojego zawodu związany z kolarstwem, a Stephanie pracowała u Oakleya, sponsora Armstronga, żadna z kobiet nie chciała otwarcie mówić o tym, co słyszała, jednak w razie potrzeby obie potwierdzą pod przysięgą to, co mi powiedziały.

Greg LeMond: Le Mond i jego żona Kathy opowiedzieli mi o obciążającej rozmowie między Gregiem a Lance’em po Tour de France w 2001 roku, kiedy według relacji

Grega Lance powiedział, że może przedstawić dziesięciu świadków, którzy zeznają, że LeMond przyjmował EPO, i dodał, że „wszyscy biorą”.

Ponieważ nikt przede mną nie zadawał takich pytań o Armstronga, musiałem przekonać ludzi, z którymi o nim rozmawiałem, żeby zgodzili się na publiczne ujawnienie swoich wypowiedzi. Alex podszedł do moich rewelacji z ostrożnym entuzjazmem, Alan był bardzo podekscytowany, natomiast Alastair zachowywał się nerwowo, ale doceniał to, że odkryto nowe dowody przeciwko Armstrongowi. Poproszono mnie o udostępnienie dłuższego fragmentu książki, który można by podzielić na dziesięć albo dwanaście odrębnych opowieści, ponieważ plan był taki, żeby zamieścić czterostronicowy materiał o Armstrongu i US Postal w „Sunday Timesie”.

Materiał miał około jedenastu tysięcy słów. Nadeszła dla mnie chwila, kiedy mogłem powiedzieć: „To są nasze argumenty przeciwko Armstrongowi, co o nim myślicie w świetle przedstawionych dowodów?”. Byłem dumny z książki, irytowało mnie jednak, że ukaże się drukiem wyłącznie po francusku. Wszyscy moi rozmówcy występujący w *L.A. Confidential* należeli do świata anglojęzycznego i uważałem, że czterostronicowy reportaż w „Sunday Timesie” będzie właściwą platformą do zaprezentowania ich opowieści.

W czwartek na trzy dni przed publikacją zjawiłem się w redakcji z liczącym jedenaście tysięcy słów wyciągiem z *L.A. Confidential*, pełen tego nerwowego podniecenia, jakie odczuwają dziennikarze, kiedy mają w laptopie potencjalnie wybuchową historię. Chwilę przede mną do dyżurki „Sunday Timesa” na Pennigton Street w Wapping przybył kurier. Przyniesiony przez niego list, opatrzony napisem „do rąk własnych”, był adresowany do mnie i pochodził od moich przyjaciół z kancelarii Schillings. Była to ich „odpowiedź”, wynikająca z przeświadczenia, że

„Sunday Times” chce w sobotę wydrukować artykuł o ich klientach, Armstrongu i Bruyneelu.

Ich klienci zapoznali się z przysłanymi przeze mnie drogą internetową pytaniami. Zdaniem kancelarii zawarte w nich zarzuty są fałszywe, wybitnie oszczercze i wysoce szkodliwe. Z moich e-maili wynika, że uważam, iż Armstrong i grupa US Postal osiągnęli sukcesy, uciekając się do oszustwa, w szczególności poprzez stosowanie środków dopingujących. Firma Schillings pragnie, abym zrozumiał, że publikowanie fałszywych i bardzo poważnych zarzutów dotyczących jej klientów byłoby rzeczą wysoce niewłaściwą.

Gdyby więc owe zarzuty zostały upublicznione, „nasi klienci” będą zmuszeni do podjęcia odpowiednich kroków prawnych.

Innymi słowy: spróbujcie wydrukować, to pójdziecie pod sąd.

Jedną z konsekwencji uwikłania się w tego rodzaju historię jest to, że oddzielasz się od głównego nurtu społeczeństwa i żyjesz w mniejszym świecie, gdzie liczą się tylko twoi świadkowie oraz pragnienie zdemaskowania tych, którzy czynią zło. W moim przekonaniu kancelaria Schillings dostarczała po prostu prawnego wsparcia grupie ludzi zaprawionych w zastraszaniu. W ciągu poprzednich pięciu lat doświadczałem z pierwszej ręki różnych sposobów, jakimi machina Armstronga próbowała odbierać odwagę oskarżycielom i wątpiącym. Ten zawierający czytelną groźbę list był po prostu najnowszym przykładem działania owej maszyny.

Alastair, prawnik naszej spółki, widział rzecz trochę inaczej.

Rozmawialiśmy o spisanej przeze mnie historii i o tym, co można zrobić, żeby wzmocnić jej wiarygodność. Alastair chciał, żebym uzyskał od Betsy Andreu i Stephanie McIlvain pisemne potwierdzenie, że gdyby

doszło do procesu, podtrzymają swoje słowa o tym, co słyszały w szpitalu. „Dobra – powiedziałem – zadzwonię do nich”.

Sytuacja Stephanie McIlvain była wyjątkowo trudna. Ona i Lance znali się od dawna, a chociaż ich przyjaźń przechodziła wzloty i upadki, praca Stephanie u Oakleya zależała od zachowania przez nią dobrych relacji z Armstrongiem, co na ogół jej się udawało. Jej mąż Pat był wiceszefem całego marketingu w firmie Oakley, McIlvainowie mieli więc wiele do stracenia, gdyby się poróżnili z Lance'em.

Stephanie i Betsy, po pierwszym spotkaniu w szpitalu w Indianie, zostały przyjaciółkami. Ja sam poznałem Stephanie przez Betsy. Na początku 2004 roku zacząłem do niej dzwonić i wielokrotnie ze sobą rozmawialiśmy. Była zapaloną biegaczką, opowiadała mi, ile kilometrów przebiega i w jakim tempie, rozmawialiśmy też, rzecz jasna, o Lance'cie. Na początku, zanim Armstrong stał się całym przedsiębiorstwem, ich relacje były bliskie, Stephanie wspominała na przykład, że Lance zasięgał jej rady przy wyborze agenta. Było kilka wielkich nazwisk w tej branży, ale Stephanie zaproponowała, żeby zwrócił się do Billa Stapletona, prawnika z Austin, i cieszyła się, że Armstrong tak właśnie zrobił.

Rozmawialiśmy także o złożonym w szpitalu wyznaniu i Stephanie powiedziała mi, że owszem, słyszała słowa Lance'a, ale ze względu na związki jej samej i jej męża z Oakleyem nie może wypowiadać się o tym publicznie. Obie z Betsy były w takiej sytuacji, że nie chciały kłamać, a zarazem nie mogły powiedzieć prawdy. Ustaliliśmy więc w drodze kompromisu, że wspominając w *L.A. Confidential* o zdarzeniu ze szpitalnego pokoju w Indianie, wyraźnie dam do zrozumienia, że Lance przyznał się do stosowania zabronionych środków, ale żadna z nich obu nie będzie musiała powiedzieć tego wprost.

Tak więc w książce opisana jest scena w szpitalu, odwiedzający słuchają, a potem ja pytam Betsy:

– Czy byłaś tam, kiedy Lance przyznał się lekarzom, że przyjmował zakazane leki zwiększające wydolność organizmu?

– Nie mam na ten temat nic do powiedzenia. To jest raczej pytanie do Lance’a niż do mnie.

– Ale słyszałaś, jak to mówił?

– Już powiedziałam. Nie mam nic do powiedzenia na ten temat.

– Jeśli nigdy nie słyszałaś, żeby tak mówił, to powiedz.

– Nie mam nic do dodania.

Ten sam schemat powtórzyłem w przypadku Stephanie:

– Byłaś tego dnia u niego w szpitalu?

– Tak, byłam.

– Czy słyszałaś, jak mówił lekarzom, że stosował środki zwiększające wydolność wysiłkową?

– Przykro mi, ale nie mam nic do powiedzenia na ten temat. To pytanie do Lance’a.

– Ale posłuchaj, powiedz tylko tak albo nie. Mówił, że brał takie środki?

– Nic więcej nie powiem. Jeśli masz jakieś pytania, które wymagają odpowiedzi, musisz zwrócić się do Lance’a.

Betsy, Stephanie i ja wierzyliśmy, że nikomu nie umknie doniosłość tych słów. Obie kobiety przyznały, że były w pokoju szpitalnym, a wszystko, co muszą powiedzieć, brzmi: „Nigdy nie słyszałam, żeby tak mówił”, ale nie wypowiadają tego zdania, dając czytelnikom do zrozumienia, że słyszały, jak Armstrong się przyznał, ale boją się to potwierdzić. Obie zapewniły mnie, że gdyby trzeba było zeznawać pod przysięgą, nie będą kłamać. Betsy dodała, że jej mąż Frankie, który również był obecny tamtego dnia w szpitalu, powie w sądzie prawdę.

Alastair nadal wzdragał się przed zamieszczeniem w gazecie jakiegokolwiek wzmianki o scenie w szpitalu bez pisemnego potwierdzenia ze strony Betsy i Stephanie. Wyszedłem więc z gabinetu Alexa, gdzie odbywała się rozmowa, i połączyłem się w trybie konferencyjnym z moimi dwiema informatorkami. Wyjaśniłem im, czego potrzebuję. Betsy była gotowa napisać e-mail z potwierdzeniem, ale Stephanie wahała się w obawie przed konsekwencjami, jakie mogły wyniknąć, gdyby Lance dowiedział się o jej udziale w sprawie.

– Stephanie, musisz postąpić właściwie – powiedziała Betsy.

Zapanowało napięcie. Stephanie była przestraszona i wytrącona z równowagi. Betsy pewna swego i nieugięta. W końcu obie zgodziły się przysłać e-maile potwierdzające, że w razie procesu wyjawią to, co usłyszały w szpitalu. Gotowość Betsy i Stephanie do powiedzenia prawdy zrobiła na mnie wielkie wrażenie, bo przecież obie miały tyle do stracenia. Bez życzliwości Lance’a Stephanie nie miałyby pracy, a szczere wypowiedzi Betsy na temat Armstronga już wcześniej zaszkodziły karierze jej męża.

Wróciłem do gabinetu Alexa w przeświadczeniu, że zrobiłem, co trzeba, abyśmy mogli włączyć do naszej książki scenę w szpitalu. Jednak Alastair – który przez ten czas dobrze się namyślił, zwłaszcza nad listem z kancelarii prawniczej – był teraz znacznie ostrożniejszy.

– Betsy i Stephanie przyślą e-maile – powiedziałem.

– Uważam, że musimy otrzymać od nich pisemne oświadczenia złożone pod przysięgą – odparł Alastair.

– To niedorzeczne. Przecież właśnie szukamy sposobów, żeby utrzymać tę historię z dala od papieru. Te kobiety zachowują się wyjątkowo dzielnie, a my próbujemy im to uniemożliwić.

– Staramy się po prostu chronić własną skórę – stwierdził Alastair. – Dostaliśmy ten list od Schillinga, wiemy świetnie, że oni chcą nas zaskarżyć, więc musimy robić wszystko, co w naszej mocy, żeby do tego nie doszło.

Wiedząc, ile trudu kosztowało mnie namówienie Stephanie, żeby zgodziła się przysłać e-mail, po prostu nie mogłem teraz wrócić do niej i powiedzieć, że potrzebujemy oficjalnego oświadczenia na piśmie. Zaatakowałem więc Alastaira.

– Słuchaj, Alastair, trzy tygodnie temu byłem w Paryżu, żeby dopełnić wszystkich formalności związanych z wydaniem książki, i pracowaliśmy tam z prawnikiem Thibaultem de Montbrial, który od pierwszej chwili zapewniał Pierre’a Ballestera i mnie, że jest po naszej stronie. Chciał, żeby nasza historia weszła do domeny publicznej, i domagał się wszelkich szczegółów. Potem pokazał nam, jak moglibyśmy to zrobić. Zachęcał nas do działań w tym kierunku. A ty tu coś smętnie pieprzysz.

Alastair był urażony moją obelżywą krytyką i miał do tego wszelkie prawo. Była ona rażąco nieuczciwa, nie wziąłem bowiem pod uwagę istotnych różnic między francuskim a angielskim prawem dotyczącym zniesławienia. Francuzi nie przeszkadzają dziennikarzom, którzy rzetelnie poszukują prawdy, ale w Anglii tak nie jest. Mieliśmy pięcioro świadków: Emmę O’Reilly, Swarta, Betsy Andreu, Stephanie McIlvain i LeMonda, z których wszyscy w bezpośredni sposób wskazali na związki Armstronga z dopingiem – a jednak z jakiegoś powodu to nie wystarczało.

Jeśli coś wniosłem do tej rozmowy, to na pewno nie obiektywizm. Poczuwałem się do lojalności wobec ludzi, którzy się narażali i wiele ryzykowali po to, żebyśmy napisali z Pierre’em jak najlepszą historię. Podczas tej dyskusji, trwającej całe czwartkowe popołudnie i część wieczoru, nie uświadomiłem sobie ani znaczenia listu z kancelarii

Schillings, ani też tego, jak trudno będzie nam się bronić przeciwko wielokrotnemu zwycięzcy Tour de France i ikonie walki z rakiem.

To, że nie rozumiałem zagrożenia, wiązało się z moim trochę prostodusznym sposobem myślenia. Poprzedniego dnia holenderska gazeta „De Telegraaf” przytoczyła komentarze Armstronga na temat mojej osoby: „Walsh to najgorszy dziennikarz, jakiego znam – powiedział podczas przeprowadzonego wcześniej wywiadu. – Istnieją dziennikarze, którzy gotowi są kłamać, zastraszać ludzi i kraść, żeby mnie wyeliminować. A wszystko to dla sensacji. Etyka, normy, wartości, wierność prawdzie – nic z tego nie interesuje takich ludzi jak Walsh”.

– A więc on – wściekałem się na Alastaira, Alexa i Alana – a więc on może o mnie wygadywać takie rzeczy, a my nie możemy zamieścić w gazecie wywiadów z ludźmi, którzy z nim pracowali i jeździli i przedstawiają całkowicie inny obraz Armstronga niż ten, którym się karmi publiczność? Gdzie tu uczciwość? Czy istnieje w ogóle szansa, że „Sunday Times” poprze swojego dziennikarza?

Z biegiem lat odkryłem, że gniew nie pomaga mi przekonać ludzi, z którymi o coś się spieram. Wtedy, podczas rozmowy w redakcji, nie wziąłem pod uwagę, że holenderskie prawa dotyczące zniesławienia są odmienne od obowiązujących w Anglii i że powtórzone przez „De Telegraaf” uwagi Armstronga na mój temat prawdopodobnie nie były w ich świetle zniesławiające. I tak zresztą nie zamierzałem podawać go do sądu. Alastair natomiast wiedział, że Armstrong wytoczy nam sprawę niezależnie od tego, co o nim wydrukujemy. Groźba zawarta w liście z kancelarii Schillings wcale nie była zawołowana.

Wyszedłem z gabinetu, zadzwoniłem do Betsy i przedyskutowaliśmy możliwość uzyskania od niej oficjalnego zeznania na piśmie – ale właściwie po co? Stephanie i tak nie mogła sobie pozwolić na coś takiego.

Betsy była oczywiście więcej niż chętna: „Nie będę kłamać na korzyść Lance’a. Powiedziałam to już Frankiemu”. Im dłużej Alastair rozmyślał nad sprawą, tym bardziej czuł, że liczący jedenaście tysięcy słów artykuł jest bezużyteczny bez potwierdzonych na piśmie zeznań obu kobiet. Gdybym umiał wtedy spojrzeć z boku i ocenić całą sytuację bez emocji, stałoby się dla mnie oczywiste, że w Anglii właśnie przesądzono o naszym losie⁶¹.

W głębi duszy wiedziałem, że Alastair ma rację.

Wspomnienia Emmy O’Reilly o tym, co się działo w US Postal podczas spędzonych tam przez nią pięciu lat, były szczegółowe i całkowicie przekonujące. Słuchając jej opowieści, wiedziało się, że mówi prawdę. Ale Armstrong powie, że ona kłamie, i przedstawi pięciu świadków z drużyny, którzy mu przytakną. Co wtedy?⁶²

Kiedy wróciłem do gabinetu Alexa, Alastair powiedział, że radzi nie publikować artykułu o Armstrongu, bo na pewno zostaniemy pozwani do sądu i prawie na pewno przegramy. Alex nie mógł lekceważyć jego głosu, zwłaszcza że dla wszystkich poza mną samym było jasne, iż prawnik ma rację. Alastair, Alan i Alex nie mieli wątpliwości, że mój raport jest rzetelny, byli też pewni, że Armstrong brał środki dopingujące. Jednak poczucie odpowiedzialności wobec gazety nie pozwalało im wdać się w walkę na paragrafy, w której – jak czuli – nie mieli szans na zwycięstwo.

Dziś to rozumiem, ale wtedy nie rozumiałem. Zniechęcony, postanowiłem zwolnić się z pracy.

Poranek następnego dnia po tym, jak człowiek zrezygnował z pracy, z której tak naprawdę nie chciał odchodzić, nie należy do najjaśniejszych chwil w życiu.

Alan English nie mógł się pogodzić z myślą, że odchodzę w taki sposób, i próbował mnie odwieść od decyzji. Jego zdaniem stanowisko,

jakie zająłem, oznaczało, że trudno mi będzie wrócić – nawet gdyby gazeta mnie chciała – jeśli „Sunday Times” w weekendowym wydaniu nic nie napisze o Armstrongu. Rozmawiał z Alexem i spytał, czy mógłby rzucić okiem na liczący jedenaście tysięcy słów pierwotnie przedłożony artykuł i z jego pomocą doszlifować tekst, który miał opublikować Alan.

Alex dał mi wolną rękę, a potem przysłał mi e-mail z wiadomością, że gazeta szuka jakiegoś wyjścia z sytuacji i żebym się wstrzymał z decyzją o rezygnacji. Choć wciąż czułem się niewiarygodnie kiepsko, byłem szczęśliwy, że tak to rozwiązał. Nie chciałem pracować dla żadnej innej gazety.

Paul Kimmage przyszedł do „Sunday Timesa” dwa lata wcześniej, a w tamten weekend był akurat na Florydzie jako sprawozdawca turnieju golfowego. Kiedy mu powiedziano o mojej rezygnacji, również postanowił odejść z pracy, ponieważ wiedział, ile serca włożyłem w napisanie historii Armstronga, i niemal równie niecierpliwie jak ja oczekiwał na jej ogłoszenie w gazecie. Nie doszło do tego, jednak Alan napisał artykuł, który powtarzał wiele zarzutów przedstawionych w *L.A. Confidential* oraz zawierał mocne argumenty na rzecz zadania licznych pytań o Armstronga. Tekst Alana zachowywał równowagę, której brakowało mojej opowieści, nie było w nim jednak kilku najpoważniejszych oskarżeń przeciwko kolarzowi.

Pomny na brytyjskie prawa dotyczące zniesławienia Alan przytoczył niedawno wypowiedzianą opinię sędziego Sądu Apelacyjnego Brooke’a, że media są oczami i uszami społeczeństwa. „W wolnym społeczeństwie – stwierdził sędzia – odważni dziennikarze często ujawniają informacje, których znajomość leży w interesie społecznym”. Z pewnością leżała w interesie społecznym świadomość, że istnieją poważne powody do podejrzeń, iż Lance Armstrong nie jest tym, za kogo się podaje.

Alan przekonywał też w swoim artykule, że tam, gdzie prawnicy żądają czterystu funtów za godzinę pracy, gazety mogą stać się zakładnikami tych, których stać na płacenie takich stawek. „Sunday Times” wiedział, że Armstrong posiada środki pozwalające mu zaangażować się w spór sądowy i że im dalej ten spór będzie postępował, tym skuteczniej brytyjskie prawa dotyczące zniesławienia będą działać na jego korzyść.

Prócz tego Alan odrzucał zawartą w liście z kancelarii Schillings sugestię, jakoby prowadził wendetę przeciwko jej klientowi. Podkreślał, że moja batalia była zwrócona przeciwko stosowaniu w sporcie zakazanych środków farmakologicznych – co odpowiadało prawdzie. Pisałem już wcześniej o dopingu w lekkoatletyce, na igrzyskach olimpijskich, o Benie Johnsonie, Linfordzie Christiem, Michelle Smith, Stephenie Roche’u, a Alan przypomniał czytelnikom o młodych kolarzach, którzy zmarli na skutek stosowania dopingu.

W ciągu dwóch miesięcy na przełomie lat 2003 i 2004 zmarli kolejno: zwycięzca Tour de France w 1998 roku Marco Pantani, jego rówieśnik, wybitny hiszpański specjalista od jazdy w górach José María Jiménez oraz dwudziestojednoletni Belg Johan Sermon.

Alan próbował wyjaśnić czytelnikom moje zaniepokojenie głęboko zakorzenionym w kolarstwie dopingiem. Cieszył się, że Alastair, Alex, a także redaktor naczelny John Witherow wprowadzili kilka zmian do jego tekstu.

Wszyscy z nich wiedzieli, że Armstrong trzyma palec na spuście, ale nie próbowali się ukryć.

Około piątej w sobotni wieczór, na godzinę przed oddaniem tekstu do druku, Alan przesłał mi go e-mailem. Powiedziałem, że niezbyt mi się podoba, bo nie idzie wystarczająco daleko i pomija zbyt wiele najbardziej

obciążających dowodów. Alan był wściekły, ale ja, wciąż traktując siebie jak ofiarę, nawet tego nie zauważyłem.

Artykuł Alana miał kosztować „Sunday Timesa” sześćset tysięcy funtów, z czego trzysta tysięcy tytułem zwrotu poniesionych przez Armstronga opłat za czynności adwokackie, a drugie trzysta tysięcy na pokrycie własnych kosztów procesowych gazety⁶³.

Sprawa ciągnęła się dwa lata, zgromadzono całe tomy akt, wielu świadków przyrzekało, że przyjedzie i będzie zeznawać na naszą korzyść, ale gdy sąd orzekł, że treścią artykułu jest oskarżenie Armstronga o doping i że aby wygrać sprawę, dziennik będzie musiał udowodnić swoje zarzuty, gra była skończona. Jak mamy udowodnić, że kolarz stosował nielegalny doping? Trzeba było poczekać, aż testy dadzą pozytywny wynik. Brytyjskie prawo dotyczące zniesławienia chciało z nas wszystkich zrobić cheerleaderki.

Tim Herman, długoletni prawnik Armstronga z Teksasu, przyleciał do Londynu, żeby sfinalizować ugodę z ówczesnym redaktorem naczelnym „Sunday Timesa” Richardem Casebym. Obyło się bez zgrzytów, a Richard wspomina, że Tim mówił, iż nigdy nie zamierzali oddawać sprawy do sądu. Podobno Lance miał pewnego dnia przejść ze sportu do polityki, a wtedy sprawa sądowa o doping nie przysłużyłaby mu się najlepiej⁶⁴.

We Francji Armstrong pozwał do sądu autorów *L.A. Confidential*, wydawnictwo La Martinière, które opublikowało książkę, oraz magazyn „L'Express”, który zamieścił jej fragmenty. Po złożeniu skargi miał trzy miesiące na jej podtrzymanie. Tuż przed upływem tego terminu skarga została wycofana. Mało kto jednak zauważył, że Lance ustąpił.

W Ameryce Armstrong pokazał, do jakiego doszedł mistrzostwa w odpieraniu zarzutów o stosowanie dopingu. Utrwalił się już pewien schemat: co sześć lub dziewięć miesięcy pojawiała się nowa fala oskarżeń,

ale on obracał je na swoją korzyść. „Nie pierwszy raz przez to przechodzę – powiedział. – Do tej pory siedzieliśmy cicho i nie protestowaliśmy. Ale teraz pomówienia doszły do punktu, w którym naprawdę nie możemy już dłużej ich tolerować. Jesteśmy nimi zmęczeni, budzą w nas obrzydzenie i zrobimy wszystko, żeby je odeprzeć. Są absolutnie nieprawdziwe. Co za dużo, to niezdrowo. Nie używamy środków dopingujących, a tych, którzy sugerują, że jest inaczej, podamy do sądu”.

Judith McHale, szefowa Discovery Communications – firmy, która wydała miliony dolarów na Armstronga i jego zespół – była zbudowana. „Lance jest wzorem determinacji, prawości i ducha, który nigdy się nie poddaje. Nie ma lepszego ambasadora wysokiej jakości i godnej zaufania informacji”.

W Anglii następstwa wydania książki były bardzo odmienne. Emma O'Reilly odczuła je bardziej niż ktokolwiek inny. Znalazła się na celowniku. Pochodziła z Tallaght i miała odporność właściwą ludziom z tamtego obszaru, ale nie była przygotowana na coś takiego: oto pracuje na swoim, mieszka w Anglii z uczciwym człowiekiem borykającym się ze stwardnieniem rozsianym, a tu dzwonek do drzwi i wchodzi policjant z wezwaniem do sądu. I to nie raz.

W okresie poprzedzającym publikację *L.A. Confidential* Marc Grinsztajn – ujmujący, inteligentny człowiek pracujący dla naszych wydawców – powiedział mi, żebym bardzo uważał na Emmę, gdy książka już się ukáže. Z nas wszystkich – twierdził – ona będzie najbardziej narażona na ataki. Pokiwałem głową, ale nie wiedziałem, o czym mówi.

Mój wywiad z nią miał po spisaniu z kasety prawie czterdzieści tysięcy słów. Poprosiłem, żeby go przeczytała, a ona bardzo sumiennie to zrobiła. Wprowadziłem poprawki redakcyjne, ponownie poprosiłem ją o przeczytanie, a potem skróciłem całość do dwudziestu pięciu tysięcy słów

i po raz trzeci spytałem, czy jest zadowolona z tekstu. Bez przerwy do niej wydzwaniałem, żeby potwierdziła rzeczy, których nie byłem pewien, albo dodała tu i ówdzie parę konkretów.

Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, wyjaśniłem, że jej udział w książce będzie polegał na włączeniu własnego głosu do chóru innych. Jak się później okazało, Emma została główną atrakcją książki, a wszyscy inni stanowili jedynie tło. Pierre i ja byliśmy już wtedy jak z teflonu – nie przywierała do nas żadna ze złośliwości i obelg, którymi nas obrzucano. Ale to Emma robiła najwięcej i podejmowała największe ryzyko.

W końcu odbyliśmy z Pierre'em rozmowę i uzgodniliśmy, że każdy z nas da po dwa i pół tysiąca euro, abyśmy mogli wręczyć Emmie tę skromną sumę za to, że przez pięć tygodni, wieczorami i w czasie weekendów, pracowała nad książką. Nie była to zapłata, ale rodzaj podziękowania.

Podczas wywiadu dla amerykańskiego czasopisma „Outside” powiedziałem o tym Joemu Lindsayowi, co nieoczekiwanie znów posłużyło jako pretekst do nagonki na Emmę. Patrząc wstecz, widzę, że była ona obiektem ataków od samego początku. Na zorganizowanej przez siebie w czerwcu 2004 roku konferencji prasowej w Maryland, podczas której ogłoszono, że Discovery Communications obejmuje patronat nad drużyną, Lance zaatakował personalnie właśnie Emmę.

Na ogół mówił prosto i otwarcie, jednak w razie potrzeby potrafił być przewrotny. „Nie powiem złego słowa na jej temat – zapewnił podczas wspomnianej konferencji, mając na myśli Emmę, po czym właśnie to zrobił – ale były pewne problemy w gronie kierownictwa drużyny, w gronie zawodników i uszło jej to płazem”. Nie uściślił, o jakie problemy chodziło, tylko po prostu tak to zostawił, a im gorsze rzeczy ktoś sobie wyobraził, tym lepiej dla Armstronga.

Rozmawiałem z wieloma osobami, z którymi Emma pracowała, i wszystkie z nich wysoko oceniały jej profesjonalizm i charakter. Trzej kolarze – Frankie Andreu, Jonathan Vaughters i Marty Jemison – powiedzieli, że ją lubią zarówno jako fizjoterapeutkę, jak i jako osobę⁶⁵. Sugerowanie więc przez Armstronga naganego zachowania Emmy bez wyjaśnienia, co ma na myśli, było wstrętne. Emma uważała to za cios poniżej pasa, ale nie była zaskoczona. „Lance to Lance” – mawiała często, tak jakby to wszystko tłumaczyło.

Nie wiedziałem, że będzie czuła się tak winna z powodu swojej „zdrady” wobec ludzi z drużyny US Postal, których szczególnie lubiła. Należeli do nich Tyler Hamilton, Jonathan, Frankie i główny mechanik Julien DeVriese, z którym łączyła ją przyjaźń. Julien, Belg z pochodzenia, należał do starej szkoły: był mechanikiem Eddy’ego Merckxa, potem Grega LeMonda. Za czasów Emmy dbał o sprzęt Armstronga. Ze względu na wiek mógłby być ojcem Emmy, jednak łączyło ich serdeczne koleżeństwo.

Julien nie rozumiałby powodów, dla których Emma miała skalać własne gniazdo.

Potem, wkrótce po ukazaniu się *L.A. Confidential*, do akcji wkroczyli prawnicy. Wezwania do sądu zaczęły przychodzić tak często, że dostarczający je policjant przez jakiś czas telefonował do domu Emmy i mówił Mike’owi, żeby nastawił wodę na herbatę, bo „przyszedł następny papier”. Keith Schilling, prawnik reprezentujący Armstronga, poprosił ją o spotkanie. Emma zadzwoniła do naszego dziarskiego francuskiego prawnika Thibaulta de Montbriala, który dał jej zielone światło na rozmowę z Schillingiem. Mike oświadczył, że chce być obecny przy tym spotkaniu.

Emma powiedziała Schillingowi, że wszystko, co napisano w „Sunday Timesie” i w *L.A. Confidential*, jest prawdą. Schilling chciał wiedzieć, czy mój wywiad z nią został nagrany. Odparła, że owszem. Jednak znalazła się

teraz w sytuacji, która ją przerosła. Emma nigdy nie zapomni, co powiedział Schilling w trakcie ich rozmowy: „Dziwię się, że przed domem nie ma jeszcze paparazzich”. Zapamiętała jego słowa, ponieważ i ona, i Mike czuli, że Schilling nie mówi tego z troski o nich.

Najbardziej bolało ją to, że cała historia odbija się na cierpiącym na stwardnienie rozsiane Mike’u. Oboje wiedzieli, że stres pogłębia chorobę. Mike denerwował się tym, na co Armstrong pozwala sobie wobec jego dziewczyny, i widać było, że to wzburzenie pogarsza jego stan. Ostateczną zgodę na zamieszczenie wywiadu z nią w *L.A. Confidential* Emma wyraziła pod wpływem wstrząsu, jakim była dla niej śmierć Marca Pantaniego na początku 2004 roku. Teraz jednak czuła się odpowiedzialna za Mike’a. I nie była zadowolona ze mnie, uważając, że powinienem był przewidzieć, jak się sprawy potoczą.

Podczas naszych rozmów telefonicznych i w e-mailach czasem dostawałem z jednej lufy, czasem z dwóch. Przez cały 2004 rok źle było między nami. Emma poprosiła mnie, żebym skontaktowałem się z jej byłym mężem Simonem Lillistone’em, który był z nią w samochodzie podczas pamiętnej podróży do Hiszpanii ze specyfikami dla Armstronga. „On może potwierdzić tę historię”. Zadzwoiłem do Lillistone’a, który z początku zasłaniał się niepamięcią, ale potem przyznał, że było tak, jak mówi Emma. Jednak już podczas następnej rozmowy zażądał nerwowo, żeby nie podawać jego nazwiska, bo to zaszkodziłoby jego karierze. Pracował wtedy dla British Cycling, miał odegrać ważną rolę podczas igrzysk olimpijskich w Londynie i jego kariera zawodowa kwitła⁶⁶.

Emma nigdy nie zmieniła swojej opowieści i nigdy się z niej nie wycofała. Twarda dziewczyna z Tallaght.

Po latach powiedziała mi, że to doświadczenie rzeczywiście sprawiło, iż przez długi czas czuła się napiętnowana i winna. Było jej smutno zarówno

dlatego, że naraziła bliskich ludzi na ciężkie przejścia, jak i dlatego, że Armstrong z upodobaniem próbował odebrać jej wszystko: pieniądze, dobre imię, szacunek do samej siebie.

W końcu brytyjskie prawo dotyczące zniesławienia zatkało Emmie usta. Nie miała żadnej ochrony w kraju, w którym żyła i pracowała. Udzieliła wywiadu amerykańskiemu tygodnikowi „Sports Illustrated”, a jego pracownicy powiedzieli jej, że w Ameryce to, co mówi, jest w porządku, ale skoro Armstrong wytoczył jej proces w Anglii, mogą być problemy.

– Więc się zamknęłam. Mnóstwo innych ludzi stchórzyło, to czemu ja miałam ryzykować, że mówiąc prawdę, zrujnuję życie najbliższym osobom?

Nic dodać, nic ująć.

Armstrong zastraszył wszystkie media w Wielkiej Brytanii, co jednak nie wyjaśnia, dlaczego tak niewielu dziennikarzy interesowało się w tamtym czasie sprawą Emmy. Jej zarzuty przeciwko US Postal były konkretne i wskazywały na wszechobecność dopingu w drużynie. Pamiętam, jak stary wyga Sam Abt – ówczesny redaktor „International Herald Tribune”, który także relacjonował Tour de France dla tego dziennika i dla „New York Timesa” – napisał niewielki, sympatyczny artykuł o Emmie, kiedy jeszcze była związana z US Postal.

Znałem dobrze Sama, spytałem więc, jak mu się podoba Emma. Powiedział, że bardzo się cieszy, iż ją poznał, i że artykuł odzwierciedla jego entuzjazm dla niej. W swojej naiwności myślałem, że Sam spotka się teraz ponownie z Emmą, ustali, co ją skłoniło do ujawnienia praktyk Pocztowców, i osobiście przekona się o prawdziwości jej historii. Ale on był już wtedy za pan brat z Lance'em i gdyby miało się odbyć jedno z tych kameralnych spotkań Armstronga, na które dziennikarze musieli mieć zaproszenia, Sam znalazłby się w czołówce listy gości.

Emma oznaczała trudności: trzeba się było pofatygować do Anglii, a potem, co gorsza, wrócić do Stanów i napisać artykuł.

Rozmawiałem z Samem po ukazaniu się książki i krok po kroku przedstawiłem mu zebrane tam zarzuty, dodając, że choć wiemy wiele – zwłaszcza dzięki Emmie i Stephenowi Smartowi – nie są to niepodważalne dowody. Oczywiście Sam przytoczył w swoim artykule tylko tę ostatnią frazę. Czułem się jak świętej pamięci Severiano Ballesteros, który po fatalnej podpowiedzi swojego *caddie*⁶⁷ rzekł: „Proszę, nie obwiniaj się, to ja jestem tym idiotą, który cię zatrudnił”. No, cóż, to ja byłem idiotą, który dał Samowi gotowy cytat. Czego innego mogłem oczekiwać?

Czerwiec 2004 roku był ciekawym miesiącem dla „Sunday Timesa”: groźba procesu sądowego, niekończąca się dyskusja nad wybranym specjalnie dla gazety fragmentem książki, główny sprawozdawca sportowy tak pochłonięty jedną sprawą, że stracił z oczu wszystkie inne, a potem jednostronicowy artykuł, który mnie samemu wydał się zbyt łagodny, a przez londyńskich sędziów od zniesławień został uznany za bluźnierstwo wobec świętego Lance’a. Czy możemy zadać kilka pytań o faceta, który szykuje się, żeby wygrać szósty z rzędu Tour de France? Nie, nie możecie.

Ale zadaliśmy i zapłaciliśmy za to.

Zrobiliśmy to, w swoim przekonaniu, dla czytelników, jednak oni sami nie byli zachwyceni. Oto dwa listy obrazujące powszechną reakcję odbiorców:

Ile razy Lance Armstrong musi się bronić przed oskarżeniami o doping i dlaczego David Walsh uważa, że nadal powinien drążyć ten temat? Może dlatego że rozpoczyna się właśnie Tour de France i wydanie książki ukazującej faworyta w złym świetle może przynieść autorowi niezłe pieniądze?

Martin Clayton, Holmfirth

Przeżyłem szok, kiedy zobaczyłem, że „Sunday Times” promuje książkę, której współautorem jest potępiający Lance’a Armstronga David Walsh, jeden z Waszych dziennikarzy. Jako ktoś, kto przeszedł taką samą chemioterapię jak Armstrong, uważam, że oskarżanie go o przyjmowanie szkodliwych dla zdrowia środków jest po prostu niedorzeczne. Może lepiej wydrukować coś pozytywnego na temat Armstronga i jego działań na rzecz walki z rakiem jąder?

Colin Millsop, Les Lecques, Francja

.....

61 Po latach Alex Butler powiedział, że skoro i tak mieliśmy zostać pozwani do sądu, niezależnie od tego, co napiszemy, powinniśmy byli pójść na całego i opublikować artykuł w pierwotnej postaci.

62 W ciągu dziewięciu lat, które upłynęły od naszej pierwszej długiej rozmowy, Emma O’Reilly nieraz rozpaczła z powodu angielskich praw dotyczących zniesławienia. Wszystkim, czego chciała, było powiedzenie prawdy – jak się przekonała, było to możliwe w Stanach Zjednoczonych i we Francji, ale nie w Anglii. Sędzia Leveson, prowadzący dochodzenie w sprawie kultury i etyki środków przekazu, nie zrobiłby źle, zapraszając Emmę, aby opowiedziała jemu i biegłym o swoich doświadczeniach z brytyjskim prawem dotyczącym zniesławienia.

63 W świetle raportu USADA z października 2012 roku „Sunday Times” postanowił domagać się zwrotu sumy zapłaconej Armstrongowi oraz własnych kosztów poniesionych podczas procesu z lat 2004–2006. Sprawa pozostaje otwarta.

64 Otaczający Armstronga prawnicy byli mistrzami w wywieraniu nieustannej presji na przeciwnika. Był moment, że prowadzili jednocześnie kilka różnych spraw. Pierwszą z nich był pozew przeciwko „Sunday Timesowi” i mnie w związku z artykułem o *L.A. Confidential* – rzecz dotyczyła roszczenia związanego z bezpodstawnym zwolnieniem osobistego asystenta Armstronga Mike’a Andersona i kontrroszczenia Lance’a. Oprócz tego w Paryżu miał się rozpocząć proces o publiczne zniesławienie Armstronga przez włoskiego kolarza Filippa Simeoniego. Trzecia sprawa, również o zniesławienie, także w Paryżu, przeciwko mnie, Pierre’owi, Emmie O’Reilly i Stephenowi Swartowi. Czwarta, znów o zniesławienie, przeciwko La Martinière, wydawcy *L.A. Confidential*. I jeszcze jedna – przeciwko „L’Expressowi”, który opublikował fragmenty książki. W tym czasie Lance był także przesłuchiwany przez włoską policję w związku z oszustwami w sporcie. Ostatecznie we wszystkich tych sprawach udało mu się uniknąć zeznawania pod przysięgą.

65 We wrześniu 2012 roku Tyler Hamilton powiedział publicznie o Emmie O’Reilly: „Emma była najlepszą *soigneur*, jaką kiedykolwiek miałem. Wspaniała, wspaniała osoba. Widać to w jej oczach: ona jest solą ziemi i każdy w drużynie to wiedział. Kiedy ujawniła, że Armstrong stosował nielegalny doping, nie poparłem jej otwarcie, ale wiedziałem, że mówi prawdę. I sprawiło mi to

dziwną przyjemność. »Ten dupek – pomyślałem – dostaje w kość«. Co zresztą w moim odczuciu słusznie mu się należało”.

[66](#) W czasie związku z Emmą Simon poznał wiele osób z kręgu US Postal i być może jego niechęć do potwierdzenia świadectwa Emmy na temat przewiezienia prochów do Hiszpanii pochodziła po części z pragnienia zachowania tych znajomości. Lillistone jeszcze niedawno wymieniał na Twitterze wiadomości z Johanem Bruyneem.

[67](#) *Caddie* (albo *caddy*) – osoba, która podczas gry w golfa nosi torbę z kijami zawodnika, a także doradza mu zagrania i wskazuje optymalną strategię – przyp. tłum.

ROZDZIAŁ 15

Być pariasem to żaden wstyd.

Marge Simpson

Liège nie jest miastem, dla którego można stracić serce. Może właśnie dlatego dwukrotnie nadawano mu nazwę⁶⁸. Nikt nie śpiewa: „To moje miasto, to jest Liège”.

A ja?

Ja zawsze będę miał w sercu Liège. Zawsze będę coś czuł do tego największego ćwieka w belgijskim Pasie Rdzy.

Place Saint-Lambert w Liège to bardzo rozległy plac, łączący starą i nową część miasta. Jest okolony ciekawymi budynkami, ale jakby w obawie przed nadmiarem piękna Belgowie wypełnili całą jego powierzchnię betonem.

Dwa razy w życiu byłem pyłkiem w tym szarym ogromie. Za pierwszym razem podczas rozpoczęcia powszechnie uwielbianego klasyku kolarskiego wyścig Liège – Bastogne – Liège. Była kwietniowa sobota 1984 roku. Do dziś mam zdjęcie wykonane tego ranka na krótko przed rozpoczęciem wyścigu.

Zdjęcie zrobił fotograf, którego wtedy znaleźliśmy tylko pod imieniem Nutan. Ukazywało wielkiego belgijskiego mistrza kolarskiego Erica Vanderaerdena przeciskającego się przez tłum kibiców na linię startu. W trakcie tego przeciskania młody, trzydziestoparoletni mężczyzna,

trzymający na lewym ręku dziecko, ujął prawą dłonią lewą rączkę dziecka i wyciągnął do przodu, tak że palce malucha dotknęły pleców kolarza.

Nigdy jeszcze miłość do sportu nie została tak przejmująco wyrażona i tak pięknie uchwycona. Wtedy, w tamtych czasach, bez reszty mogłem się utożsamić z niewinnością zawartą w tym akcie adoracji.

Dwadzieścia lat później znów znalazłem się na Place Saint-Lambert. Ten sam szary plac, ale mój świat stał się tymczasem innym miejscem, a kolarstwo całkowicie się zmieniło. Paul Kimmage przeszedł na emeryturę i napisał *Rough Ride*, książkę, która zapoczątkowała w kolarstwie długi okres bolesnej retrospekcji. A Pierre Ballester i ja wydaliśmy *L.A. Confidential*. Przybiliśmy nasze tezy na drzwiach katedry. Teraz czekaliśmy na trąbę powietrzną.

To znaczy ja czekałem. Inni byli już zmęczeni. Mój współautor i przyjaciel Pierre zaprzestał relacjonowania Tour de France. O dopingu nie wolno mu było pisać, a fikcji nie lubił. Odszedł także Benoît Hopquin z „Le Monde’a”, dziennikarz, który ujawnił, że podczas pierwszego zwycięstwa w Wielkiej Pętli w 1999 roku Armstrong miał pozytywny wynik testu na kortykosterydy. Benoît pisał teraz o ochronie środowiska i miał poczucie, że robi coś sensownego.

Nawet Jean-Michel Rouet, wnikliwy główny sprawozdawca „L'Équipe” podczas Tour de France w 1999 roku – człowiek, który subtelnie i elokwentnie wyraził budzące się w nim wątpliwości, za co otrzymał osobistą naganę od Touru – nawet Jean-Michel zamienił rower na piłkę nożną.

Jest teraz piątek wieczór, następnego dnia zaczyna się Tour de France 2004, a niewinność, z jaką przyszedłem na ten plac w 1984 roku, stanowi tylko wspomnienie. To będzie szóste zwycięstwo Lance’a Armstronga

w Tour de France i choć jestem tu, żeby relacjonować wyścig, przyjechałem też po to, żeby bronić książki, którą napisaliśmy wspólnie z Pierre'em.

Obrona będzie jej potrzebna. Przez kilka minionych tygodni byłem w Portugalii – kraju, który uwielbiam – relacjonując mistrzostwa Europy w piłce nożnej. Pojechałem tam tego samego dnia, w którym zmieniłem decyzję o odejściu z „Sunday Timesa”, i choć spędziłem dwa tygodnie, oglądając futbol, przez cały czas odbierałem też telefony od dziennikarzy chcących rozmawiać o *L.A. Confidential*.

Oprócz tego działy się jeszcze inne rzeczy. Miesiąc wcześniej Armstrong ogłosił publicznie w Maryland, że zdobył nowego sponsora – Discovery Channel. Relacja z tego spotkania była dość nudna, ale ubarwiła ją obszerna wzmianka o zespole prawników Armstronga. Poprzedniego dnia Armstrong przekazał nieoficjalnie radosną wieść o wytoczeniu w Londynie procesu o zniesławienie przeciwko mnie, „Sunday Timesowi”, mojemu koledze Alanowi Englishowi oraz Emmie O'Reilly i Stephenowi Swartowi.

Tymczasem sąd w Paryżu oddalił wniosek Lance'a o zobowiązanie naszego wydawcy do zamieszczenia we wszystkich egzemplarzach książki noty, w której Armstrong odrzuca oskarżenia o doping. W oschłym francuskim stylu pani sędzia Catherine Bezio nazwała wniosek Armstronga nadużyciem prawa procesowego i nakazała mu zapłacić Pierre'owi, mnie i wydawcom symboliczną grzywnę w wysokości jednego dolara i dwudziestu centów⁶⁹. Było to dość zabawne, ale prognoza klimatu prawnego na najbliższą przyszłość wyglądała znacznie poważniej.

Książka miała się sprzedać w nakładzie stu tysięcy egzemplarzy i znaleźć na drugim miejscu francuskiej listy bestsellerów, ale dla Armstronga i jego otoczenia były to *Szatańskie wersety*.

Teraz, w Liège, w chwili gdy wchodziłem do saloniku dla prasy, dostrzegłem mnie dyrektor drużyny US Postal Johan Bruyneel i zawołał na całe gardło: „Hej, panie Walsh, dobra robota, dobra robota, nie ma co!”. Biedny Bruyneel, jego brak klasy był niemal chorobliwy. Widziałem w wyobraźni, jak biegnie w podskokach do Lance’a, żeby się pochwalić, jak to dogryzł trollowi.

Nic dziwnego, że Bruyneel był tam tego dnia. Armstrong miał właśnie wystąpić na konferencji prasowej otwierającej jego Tour. A Bruyneel, jako wierny pałkarz, dreptał zwykle przy nodze szefa. Żył cudzym życiem. Jak kilka lat później miał zauważyć Armstrong, „J.B. Confidential” raczej nie byłaby rozchwytywaną książką.

Ci, którzy przyszli późno, musieli stać, ale mnie udało się znaleźć siedzące miejsce w drugim rzędzie, niedaleko podwyższenia, gdzie miał zasiąść Armstrong. Czułem, że dziennikarzom po moich obu stronach powinienem był dać koszulki z napisem na piersi: „Nie trzymam z trollem”.

Już na początku konferencji zapytano Lance’a o *L.A. Confidential*. Uporał się z tym raz-dwa. Ilekroć widywałem go na konferencjach prasowych i wśród dziennikarzy, zawsze świetnie sobie radził z pytaniami, mając zarazem świadomość, że wiele osób na sali chciałoby być kimś takim jak on. Wiedział, że to właśnie ci ludzie będą najgłośniej śmiać się z jego kąśliwych dowcipów i najgorliwiej przytakiwać jego powiedzonkom. Tego dnia Lance był nie do pobicia.

Jeden z dziennikarzy zadał bojaźliwie coś w rodzaju pytania, starając się, aby jego drżący głos brzmiał sympatycznie:

– Lance, czy te kontrowersyjne zarzuty zakłóciły w jakiś sposób twoje przygotowania do wyścigu?

Brakowało mu tylko transparentu z napisem: „Nie mam na myśli nic złego”.

– Powiem o książce jedną rzecz – odparł Lance. – Zwłaszcza że szanowny autor jest tutaj z nami. Otóż moim zdaniem nadzwyczajne oskarżenia wymagają przedstawienia nadzwyczajnych dowodów. A panowie Walsh i Ballester pracowali tyle lat, jednak takich dowodów nie dostarczyli.

Riposta była celna i spodobała się obecnym. Wielu z siedzących wokół mnie dziennikarzy po prostu wolało pisać o Tour de France, niż zapuszczać się w mroczny świat środków dopingowych. Nie chcieli znać prawdy. I dobrze: nie zamierzałem blokować ich pracy. Drażniło mnie tylko, że tak wielu z nich chciało zablokować moją. Nie mieli apetytu na to co ja. „Nadzwyczajne dowody” Lance’a poddawały im pierwszą linijkę tekstu, po której można już było nie wracać do sprawy dopingu.

Holenderski dziennikarz Marc Belinfante dwukrotnie próbował zadać poważne pytania⁷⁰.

- Jakie wrażenie zrobiło na Lansie to, co powiedział Stephen Swart?
- Bez komentarza.
- A zarzuty Emmy O’Reilly?
- Następne pytanie proszę.

I już. Dziennikarze przeczytali książkę. Lance w paru zdaniach odpowiedział na ich pytania. Nastrój owego popołudnia znalazł odbicie w nieczęsto słyszanych słowach wdzięczności ze strony Lance’a, skierowanych do przyjaciół z mediów kolarskich.

– Miałem bardzo, bardzo wiele telefonów od dziennikarzy siedzących dzisiaj w tej sali, od ludzi, którzy przeczytali książkę. „No, dobra – mówili – ale o co tyle krzyku? Przecież nic w niej nie ma”. Jestem wdzięczny za to wsparcie.

Sami wiecie, kto jest kto, i chcę wam po prostu publicznie powiedzieć: „Dziękuję, że wyciągnęliście do mnie rękę w chwili, gdy myślałem, że

ludzie wiele oczekują, a mało dają”.

To ci dopiero! Lance Armstrong. Człowiek, który przeżył raka. Człowiek, który przeżył trolla. Dziękuję chłopakom. Mistrzowska robota. Ronald Reagan spotyka Johna Wayne’a.

Wiedziałem, że jego słowa miały wywołać poczucie izolacji u mnie i kilku innych podobnych do mnie osób. Do pewnego stopnia mu się to udało.

Dla Pierre’a i dla mnie cały czerwiec 2004 roku był brzemienny w skutki, a zarazem surrealistyczny. Mikrofilm *L.A. Confidential* został przerzucony do tajnego wydawnictwa na francuskiej prowincji, stamtąd książkę przewieziono pod ochroną do tajnej hurtowni, skąd z kolei miała zostać rozprowadzona po całej Francji. Potajemność wynikała z obawy wydawców, że rozpętana przez Armstronga kampania prawna może udaremnić dotarcie książki do czytelników. Dla dwóch dziennikarzy przywykłych do pobazgranych notesów i zabałaganionych biurka cała ta heca z mikrofilmem i ukrywaniem się była czystym Jamesem Bondem.

Teraz sprawy nie wyglądały aż tak wesoło.

Przypomniałem sobie nagle zdarzenie, które miało miejsce podczas dnia odpoczynku w Tour de France w 2002 roku. Nie mając dosłownie nic lepszego do roboty, wybrałem się z duńskim dziennikarzem Olavem Andersenem do miasteczka Miribel-les-Échelles w południowo-wschodniej Francji, gdzie w swoim ulubionym hotelu Les Trois Biches zatrzymała się drużyna US Postal.

Zbliżając się do miasteczka, zobaczyliśmy aktora Robina Williamsa, który wraz z kilkoma znajomymi odbywał przejażdżkę rowerową. Williams i Armstrong byli przyjaciółmi, choć wtedy jeszcze myślałem, że Armstrong występuje w lepszych filmach. W każdym razie widok pani Doubtfire kibicującej drużynie podczas Wielkiej Pętli nie był niczym niezwykłym.

W hotelowym barze kelner powiedział nam, że zespół jest na treningu. Andersen postanowił napić się kawy, a ja usiadłem na murku okalającym zielone tereny wokół budynku.

Część mojej osoby nie chciała być w hotelu, gdy wrócą kolarze. Druga część chciała, żebym siedział na tym murku, dobrze wiedząc, że wracający z treningu Armstrong na pewno mnie zauważy. Spojrzę na niego. On spojrzy na mnie. Może mu pomacham. Tak czy owak, będzie wiedział, że tu jestem.

Siedziałem na murku, podziwiając krajobraz. Po jakichś czterdziestu minutach ukazał się łańcuszek Pocztców wracających do Miribel-les-Échelles. Armstrong zdecydowanie na przedzie. Od razu mnie dostrzegł. Posłał mi nieco bardziej zdziwioną wersję spojrzenia, jakim poraził Jana Ullricha w 2001 roku. SPOJRZENIE. Nie na tyle jednak stalowe, żeby mnie przeszyć na wylot.

Biedny Andersen sączył swoje espresso i w ogóle nie wiedział, co się dzieje. Armstrong, gdy tylko znalazł się w hotelu, powiedział parę słów właścicielowi i atmosfera w barze natychmiast się zmieniła.

Hotelarz zaczął obchodzić pomieszczenie, przyglądając się bacznie nielicznym próżniakom popijającym kawę albo drinki.

Kiedy doszedł do Andersena, zauważył pod jego koszulką zarys plakietki akredytacyjnej. Przez chwilę stał, wybałuszając oczy na duńskiego dziennikarza. Chciał go poprosić o opuszczenie lokalu, ale nie śmiał. W końcu był to publiczny bar i nie wypadało patronowi wyrzucać klienta – nawet jeśli istniało podejrzenie, że jest on dziennikarzem – ale mało brakowało. Gdyby Andersen miał plakietkę nie pod koszulką, tylko na zewnątrz, sam też prędko by się znalazł na zewnątrz.

Był to niewątpliwy dowód na to, że Lance Armstrong – przynajmniej w lipcu – może dostać wszystko, czego chce.

Minęły dwa lata i wyglądało na to, że za chwilę znów ujrzę ów dowód wyraźnie.

Niedługo po konferencji prasowej w Liège Armstrong, animator marionetek, zagrał mi na nosie, wykorzystując do tego celu Johna Wilcocksona. Tamtego roku, razem z trzema dziennikarzami: Amerykaninem Wilcocksonem, Andym Hoodem i moim australijskim kumplem Rupertem Guinnessem, miałem podczas wyścigu przenosić się z miejsca na miejsce wozem „VeloNews”, podobnie jak to często robiłem wcześniej.

John Wilcockson i ja jeździliśmy w jednym samochodzie podczas Tour de France w 1984 roku i wiele razy później. Oczywiście od roku 1999 i pojawienia się Lance’a trochę się spieraliśmy, o czym wspominałem już wcześniej. Guinness i ja nadal byliśmy przyjaciółmi i w czasie Touru nadal wlekliśmy swoje starzejące się ciała po francuskich polach i łąkach w ramach porannego joggingu.

Teraz, jakąś godzinę po zakończeniu konferencji prasowej, John podszedł do mnie z nowiną. Ekipa jedzie dalej beze mnie. To prawdziwy pech – dodał – ale nie mogą mnie zabrać do samochodu, bo – no cóż – Armstrong by się dowiedział. A wtedy nie chciałby dalej współpracować z „VeloNews”. Czyli całkiem możliwe, że świat by się zawalił.

John popatrzył na mnie, jakby mówił: „Głowa do góry, stary”.

Byłem oszołomiony. Spytałem go, z kim wobec tego mam jechać.

John wzruszył współczująco ramionami i powiedział, że przykro mu, ale nic się nie da zrobić. Potrzebowali Armstronga jak ryba wody.

Potrzebował go w każdym razie John. W 2009 roku napisał książkę *Lance. The Making of the World's Greatest Champion* (Lance. Jak się zostaje największym mistrzem świata). Wcześniej był ostatnią osobą na ziemi, która by chciała sprzedawać hagiografię Armstronga.

– Zostawiacie mnie na lodzie – powiedziałem.

Znów wzruszył ramionami.

„Wal się – pomyślałem. – Byłem już porzucany w gorszych okolicznościach przez lepsze od ciebie osoby”.

A jednak bolało.

Guinness miał później przeproszać za to, co uważał za bardzo błędną ocenę sytuacji. Z kolei Wilcockson napisał po latach, że wykonywał rozkazy pochodzące z góry: niewątpliwie z pomieszczeń zarządu na setnym piętrze budynku „VeloNews”. Niezależnie od tego, gdzie leżała prawda, był to długi weekend w Liège: wszędzie docierałem taksówkami, aż w końcu reporterzy z francuskiego dziennika „Le Monde” zaprosili mnie do swojego samochodu, ponieważ żeby relacjonować Tour, musiałem jeździć akredytowanym, a nie wynajętym pojazdem. Nie było żadnego mówiącego po angielsku dziennikarza, do którego mógłbym się zwrócić z choćby odrobiną zaufania.

W owym czasie odkrywanie prawdy o Armstrongu było utrudnione nie tylko ze względu na bojaźliwość dziennikarzy i konieczność dokumentowania zupełnie wiarygodnych zarzutów. Działaliśmy przeciwko całej machinie. W czerwcu londyńscy prawnicy Armstronga wysłali list do niemal wszystkich drukarni w Anglii, nalegając na właścicieli, żeby trzymali się z daleka od *L.A. Confidential* i jej odprysków. Po tym jak książka ukazała się we Francji, w brytyjskich mediach opublikowano dosłownie kilka niewielkich sprawozdań na temat konferencji prasowej w Liège i kilka notatek prasowych informujących, kto kogo podał do sądu. Nie doszło do żadnej dyskusji.

I oczywiście brytyjski system prawny działał w sprawie Armstronga przeciwko dziennikarzom i informatorom. W okresie gdy tyle się słyszy

o nikczemnych powiązaniach tabloidów z celebrytami i o potrzebie pielęgnowania dziennikarstwa śledczego, akurat sensowne prawa dotyczące zniesławienia są tym, czego boleśnie brak.

Jak się wydaje, angielskie prawo dotyczące zniesławienia stoi na stanowisku, że jeśli ktoś zadaje pytania, to znaczy, iż doszedł już do jakichś wniosków. Skoro więc ułożyliśmy listę pytań, na które w naszym odczuciu Lance Armstrong powinien odpowiedzieć, to z samych tych pytań wynika, że nie uważamy Lance'a Armstronga za osobę tak nieposzlakowaną, jaką jest. Prawo chroniło Lance'a już w pierwszej instancji: testy, którym był poddawany, nie dały wyników pozytywnych. Jakikolwiek pomijające to, głośno wyrażone domniemanie mogły być traktowane jak zniesławienie.

Było to jak próba pójścia za logiką Alicji w krainie czarów.

Ten facet wyglądał jak kaczką, chodził jak kaczką, brzmiał jak kaczką, ale dopóki laboratorium nie stwierdziło oficjalnie, że jest kaczką, nie mieliśmy nawet prawa zadawać pytań o Jego Kaczę Mość.

We Francji, kiedy Lance wstąpił na drogę sądową, próbując nas zmusić do zamieszczenia w każdym egzemplarzu książki jego oświadczenia o fałszywości zarzutów, otarł się o śmieszność. Pani sędzia chciała wiedzieć, dlaczego przez blisko miesiąc odmawiał odpowiedzi na postawione w książce pytania. Zadawano mu je wielokrotnie. Nasz prawnik dowodził, że dziennikarstwo śledcze nie może być uprawiane we właściwy sposób, jeśli osoby objęte podejrzeniami odmawiają odpowiedzi na pytania, a później mogą dołączać obszerne zaprzeczenia do wszystkiego, co o nich napisano.

W swoim orzeczeniu sędzia Bezio stwierdziła, że zawarte w książce pytania i zarzuty „nie muszą oznaczać zniesławienia”. We Francji nie ma mowy o dopuszczeniu się zniesławienia, jeśli zarzuty są postawione w dobrej wierze, bez premedytacji albo gdy okazują się prawdziwe.

„Sunday Times” robił, co mógł, a w końcu musiał działać w ramach systemu prawnego kraju. Jednym z powodów, dla których w ogóle powstała książka *L.A. Confidential*, było to, że już na wczesnym etapie kariery Lance’a zdobyłem przeświadczenie, iż drukowanie w dzienniku niewielkich, ściśle zgodnych z prawem opowiadań nie wystarczy do wywołania poważnej dyskusji.

Równie dobrze jednak mogłem to, co pisałem, wpychać do niszczarki, zamiast posyłać do Francji. Tam wprawdzie *L.A. Confidential* sprzedała się dobrze – w nakładzie ponad stu tysięcy egzemplarzy – ale wszędzie indziej jej oddziaływanie było słabe. Podczas konferencji prasowej w Liège Lance zgrabnie uporał się z książką, a jego prawnicy zrobili resztę.

W porównaniu z Anglią nasze doświadczenia z francuskim systemem prawnym były jak haust świeżego powietrza. Rozpatrzenie wszystkich aspektów prawnych *L.A. Confidential* zajęło Thibaultowi de Montbrial zaledwie dwie godziny. Kiedy już zobaczył, po czyjej stronie jest racja, oddał sprawie całą swą zdumiewającą energię i wiedzę.

Był za tym, żeby książka się ukazała. W całości. Jeśli znajdował coś, co mu się nie podobało, entuzjastycznie powiadamiał nas, co mamy zrobić, żeby mu się podobało. Od samego początku wierzył, że nam się uda. Spotkałem w życiu tylu prawników, którym chodziło wyłącznie o ratowanie własnego tyłka poprzez niedopuszczenie jakiejś informacji do prasy, że tym razem czułem się, jakbym umarł i poszedł do nieba. Dwie godziny, żeby przejrzeć książkę, a potem kilka tygodni, podczas których z zapałem wykonywaliśmy powierzone nam przez Thibaulta zadania. Aż się chciało pracować.

W końcu miałem przynajmniej tę satysfakcję, że książka się ukazała: wiedziałem, że w jej okładce zawarliśmy kawał dobrej dziennikarskiej roboty. Jednak system coraz bardziej na mnie napierał. Ani ja, ani Pierre,

ani żaden z dziennikarzy, których spotkałem, nawet przez chwilę nie próbowaliśmy zniszczyć Armstronga. Przeciwnie, bardziej niż ktokolwiek inny chcieliśmy wierzyć w wielkość Tour de France. Dla nas cynikami byli ci, którzy po prostu chcieli udawać, być częścią przekazywanej czytelnikom fikcji. To nie my próbowaliśmy niszczyć Lance'a. To system niszczył nas.

A Lance Armstrong potrafił być sprytny i bardzo stanowczy. Obejrzał sobie system, zrozumiał go i pięknie się nim posługiwał. Dla niego i jego sponsorów głównym rynkiem była Ameryka. Dlatego też organizował przy okrągłym stole kameralne konferencje prasowe z amerykańskimi dziennikarzami, którym schlebiało, że są zapraszani, aby przez dwadzieścia minut posiedzieć z Lance'em w hotelu. Francuskie, niemieckie, hiszpańskie, holenderskie, włoskie media? A iluż ludziom w środku Ameryki chciałoby się tłumaczyć z obcych języków i analizować wypowiedzi europejskich cieniasów, którzy uwzięli się na Lance'a?

Pozostawałem ja, anglojęzyczny dziennikarz bardzo wiarygodnej gazety. Niezależnie bowiem od tego, co w latach swojej największej sławy opowiadał i zmyślał Armstrong, tylko z „Sunday Timesem” i ze mną rzeczywiście podjął walkę na paragrafy, sugerując, że był do niej gotów przez cały czas. Choć jednak zrobił wystarczająco dużo, by ogłosić swoje zwycięstwo, nigdy nie chciał, by doszło do otwartego procesu ze świadkami składającymi zeznania pod przysięgą.

Miał prawo się przechwalać, ale za tym szło coś ważniejszego – knebłowanie ust innym ludziom w aurze prawa.

W 2004 roku wyjechałem z Liège, nawet nie patrząc w lusterko wsteczne. Nie mogłem w sobie odnaleźć ani śladu tej wielkookiej niewinności, którą miałem dwadzieścia lat wcześniej. Dreszcz, jaki wtedy poczułem, zniknął skradziony przez lekarzy o świdrujących oczach, przez lizusowatych administratorów i bezmózgich kolarzy, którzy zdradzili to, co

najbardziej kochali, a przy sposobności wyrolowali kolegów odmawiających wstąpienia do ich bractwa.

Lance rozpoczynał właśnie walkę o szóste z rzędu zwycięstwo w Tour de France. Nie widziałem powodu, żeby nie miał wygrać po raz siódmy, ósmy czy dziewiąty.

Droga przede mną zdawała się ciągnąć w nieskończoność. A ja byłem zmęczony.

Właściwie nie miałem powodu czuć się wyczerpany.

Są w życiu gorsze rzeczy, niż zostać porzuconym w środku Liège przez Johna Wilcocksona! Pierre i ja wykonaliśmy swoją robotę i zobaczyliśmy przy okazji trochę świata. Mieliśmy wewnętrzną satysfakcję i nagrodę. Innym ludziom było gorzej.

LeMondowie mieli samych siebie i byli na linii ognia od 2001 roku. Greg przeżył ciężkie chwile, ponieważ ośmielił się powiedzieć, że współpraca z Michele Ferrarim była złą rzeczą i że jeśli historia Lance'a nie jest prawdziwa, to oznacza największe oszustwo w dziejach sportu. Jak tu się z nim nie zgodzić? W ciągu dwóch lat po 2001 roku dużo ze sobą rozmawialiśmy i miałem uczucie, że gdyby nie siła Kathy, żony Grega, mogłoby do tego nie dojść.

Fala uderzeniowa dosięgła też Stephena i Jan Swartów z Nowej Zelandii. Martwili się, jak trójka ich dzieci zareaguje na przyznanie się ojca do stosowania dopingu w trakcie kariery sportowej – zwłaszcza że media próbowały przedstawić Stephena jako złego człowieka. Wspaniałe było to, że dzieci zrozumiały wszystko lepiej niż zawodowi krzykacze prowadzący programy radiowe z telefonicznym udziałem słuchaczy. Ani razu nie podważyły decyzji ojca o przyznaniu się do dopingu, a gdy Stephen i Jan wystąpili w nowozelandzkiej telewizji, wyjaśniając, dlaczego Swart złamał

kolarską znowu milczenia, dzieci żartowały, że teraz ich rodzice stali się sławni.

Któregoś dnia Jan zastała goszczącego u nich bratanka Stephen'a na przeglądaniu kolarskiej strony internetowej. Zaczęła czytać komentarze, jeden głębszy od drugiego. Ogarnął ją gniew, potem smutek, potem znowu gniew, bo internetowi snajperzy strzelali wyłącznie zza zasłony swoich pseudonimów, a ona chciała się tam dostać i im wygarnąć. Po namyśle zmieniła zdanie. Awanturowanie się nie miało sensu.

Trzymała to wszystko z daleka od Stephen'a, żeby go bardziej nie denerwować. Wiele razy jednak pytała go, dlaczego to zrobił. A co on na to? Że to jedna z najlepszych rzeczy, jakie zrobił w życiu. Choć burza huczy wkoło nas, do góry wzniesmy skroń.

A inni? W Michigan Betsy mogła wyjść cało z burzy dzięki dwóm rzeczom. Po pierwsze, poświęcona jej część książki była tak skonstruowana, że ona sama sprawiała wrażenie niechętnego świadka unikającego naszych natrętnych pytań. Po wtóre, Betsy Andreu potrafiła zadbać o siebie i ochronić swoich bliskich. Wiedziałem, że spojrzę każdemu krytykowi w oczy i powiem: „Nigdy nie miałam zamiaru kłamać na jego korzyść, nigdy”.

Jednak Frankie był akurat tutaj, w Belgii, a Lance kipiał ze złości. Czuł, że małżonkowie Andreu powiedzieli mi więcej, niż ujawniam. Słowem, nie wierzył, że Betsy nie puściła farby. Żeby zwiększyć jego obawy, zasugerowałem w irlandzkim radiu, że choć Betsy nie została wymieniona w książce jako źródło informacji, jest jednym ze świadków, którzy przyjdą do sądu na rozprawę i potwierdzą postawione przeze mnie zarzuty. Ponieważ Frankie wciąż zarabiał na życie dzięki kolarstwu, Lance miał nadzieję, że Betsy nie będzie mówić.

Frankie został wezwany do pokoju Lance'a w Liège. Lance oznajmił mu, że chce z nim pogadać Bill Stapleton. Chodziło o to, żeby Frankie przekonał Betsy do wydania oświadczenia, w którym stwierdzi, że nie była moją informatorką, i ogólnie mnie zdyskredytuje. Frankie czuł się niezręcznie. Wiedział, że Betsy nie pójdzie na coś takiego, ale był też świadom, że nie będzie dla niego życia w kolarstwie, jeśli Lance zwróci się przeciwko niemu.

Bill i Frankie ustalili przez telefon, że spotkają się następnego dnia nieopodal miejsca startu w Charleroi, jak tylko Tour wyjedzie z miasta. Stapleton przyszedł razem z kolegą Bartem Knaggsem. Obaj wiedzieli, że nie mogą zbyt bezpośrednio przekonywać Frankiego do postraszenia żony.

Poprzedniego wieczoru Frankie zadzwonił do Betsy i powiedział jej, co się dzieje. Czuł się pod presją. Jeśli Stapleton i Armstrong zdołają użyć swoich wpływów w kolarskim świecie, żeby skłonić Betsy do podpisania oświadczenia dyskredytującego jednego z autorów *L.A. Confidential*, to wtedy gem, set i mecz dla nich. Ku zaskoczeniu Betsy Frankie miał własny plan. Zamierzał następnego ranka nagrać Stapletona i Knaggsa na taśmę. Betsy zawsze wiedziała, że poślubiła geniusza.

– Jeśli ich nie nagram, to się potem wyprą tej rozmowy.

Betsy poprosiła, żeby na siebie uważał, i życzyła mu powodzenia.

Nazajutrz Frankie wsunął do kieszeni na piersiach zwykły cyfrowy dyktafon i czekał na Stapletona i Knaggsa na parkingu.

Stapleton od razu przeszedł do rzeczy: „Wiesz, że twoja żona jest źródłem informacji dla Walsh?”.

Frankie: Nie, nie, tak nie jest. Jak David Walsh zadzwonił pierwszy raz, to przekręciłem do Lance'a i mu o tym powiedziałem – bo Lance tak kazał. Gadałem z nim dwa razy, a jak David Walsh znowu zadzwonił, to mnie nie było w domu i wtedy właśnie zapytał o to

spotkanie w szpitalu [niesłyszalne]. A potem Betsy powiedziała: „Bez komentarza. Nie mam nic do powiedzenia”.

Bill: I tyle?

Frankie: O rozmowie z nim?

[niesłyszalne uwagi]

Bill: No tak.

Frankie: Tyle.

Bill: Ale Walsh mówi, że ta wiadomość pochodziła od Betsy. Może zechciałyby nam to wyjaśnić?

Frankie: Czytałem w tej książce, że Walsh dowiedział się od LeMonda.

Bill: Nie. Walsh rozmawiał z LeMondem i chyba wtedy LeMond powiedział mu, że słyszał tę historię od Betsy, czyli że to ona jest źródłem.

Frankie: Przecież Greg LeMond i Betsy nawet się nie znają. Na sto procent się nie znają...

Bill: Czy Betsy jest gotowa napisać albo nagrać oświadczenie, że nic nie wspominała Walshowi [niesłyszalne] i że nigdy nie udzieliła mu wywiadu?

Frankie: Ona powie, że jak zadzwonił, to mu powiedziała: „Bez komentarza”.

Bill: Na temat wszystkiego, o czym z nim rozmawiała?

Frankie: No, nie, bo były jeszcze inne rozmowy. Kiedy ja byłem w domu, ten jeden raz, co z nim rozmawiałem, to coś tam pletliśmy trzy po trzy, nic konkretnego, zresztą Betsy mało się odzywała. Nie pamiętam dokładnie, ale mówiła coś chyba o spotkaniu w pokoju szpitalnym.

W tym miejscu na taśmie następuje dyskusja przerywana niesłyszalnymi uwagami na temat mojego radiowego wystąpienia w Irlandii, gdzie powiedziałem, że w razie potrzeby moi anonimowi informatorzy potwierdzą swoje wypowiedzi pod przysięgą. Wtedy właśnie wspomniałem o Betsy jako o jednym ze źródeł⁷¹.

Frankie: Chciałbym dostać zapis tego [programu radiowego].

Bart i Bill: Dobra.

Frankie: David Walsh kłamie. Nie ma nigdzie nagrane, żeby Betsy mówiła coś o składaniu zeznań.

Przez jakiś czas Frank trzyma się tej wersji wydarzeń, w której Betsy mówi: „Bez komentarza”. Jednak Stapleton i Knaggs nie zmieniają planu. Naciskają dalej.

Bill: Dobrze by było, żeby Betsy napisała... żeby zechciała napisać oświadczenie, bo, widzisz, [Walsh] gadał o niej z różnymi ludźmi i mówił, że ona jest bardzo odważna i że jest gotowa postawić się Lance'owi, bo wie o nim różne rzeczy. Że tak mu [Walshowi] powiedziała.

A po chwili:

Bill: [Walsh] znajduje ludzi, którzy tak naprawdę niewiele mu mówią...

Bart: ... i rozdmuchuje to...

Bill: ... i robi z nich Bóg wie kogo. A LeMond wcale nie ma zamiaru zeznawać przeciwko Lance'owi i wszystkim tym ludziom.

I jeszcze raz:

Bill: No więc... chodzi o to, czy ona zdecydowanie powie, że [niesłyszalne] nic mu nie gadała o tym pokoju szpitalnym [niesłyszalne]. To bardzo ważne, żeby powiedzieć, że on łącznie [niesłyszalne], że kłamie na temat źródeł... i jeśli ona wyda oświadczenie, że nigdy nie będzie zeznawać przeciwko Lance'owi, to [Walsh] wyjdzie na kłamcę...

Znamienną cechą tej rozmowy i podjętej przez obóz Armstronga próby zniszczenia mojej wiarygodności jest to, że w żadnym momencie Bill Stapleton nie próbuje przekonywać Frankiego, że historia o szpitalu to nieprawda. Nie sugeruje też, że był wtedy obecny w szpitalnym pokoju – choć tak właśnie będą później twierdzić obaj z Lance'em.

Na koniec wreszcie – rozmowa trwała około dwudziestu minut – Bill Stapleton podsumowuje na użytek Frankiego całą strategię:

Bill: Bo dla nas najlepszy wynik jest taki, żeby [niesłyszalne] obsmarować go przed świadkami – że tylko zbiera haki, że zmyśla – i pokazać „Sunday Timesowi”, pokazać jego wydawcy, że to wszystko nie trzyma się kupy, i wtedy wydobyć od nich przeprosiny, a potem wycofać się z tego jebanego procesu, i już. Bo jak nie, to czeka nas otwarta wojna we francuskim sądzie [niesłyszalne] i wszyscy przychodzą zeznawać [niesłyszalne]. To by rozwalilo cały sport.

Frankie: Zgadza się.

Tak wyglądała historia Frankiego i Betsy. Kto się wychował koło Detroit, ten wie, jak sobie radzić w życiu. Byli dla siebie nawzajem oparciem.

Wiedziałem, że nie spotka ich nic złego.

[68](#) W języku niderlandzkim Luik – przyp. red.

[69](#) Nigdy nie otrzymałem tej kwoty. Lance, wciąż jesteś moim dłużnikiem.

[70](#) Belifante wiedział, że jestem czarną owcą w kolarskiej rodzinie. Powodowany współczuciem, spytał, czy chciałbym udzielić wywiadu dla jego stacji telewizyjnej. W październiku 2012 roku przysłał mi link do nagrania, wspominając tamte niewesołe czasy.

Ostatnie z pytań, jakie mi zadał podczas wywiadu, brzmiało: „Czy wierzysz, że Armstrong wygra Tour 2004?”. „Może moja odpowiedź wyda się dziwna – odparłem – ale nie obchodzi mnie to. Nie obchodzi mnie, kto wygra wyścig. Zależy mi, żeby sport był czysty. Musimy powrócić do Tour de France, wierząc weń bardziej niż teraz. Nastąpiła zła pora dla kolarstwa, ale mam nadzieję, że nadejdą lepsze czasy, a stanie się tak, jeśli będziemy uczciwi”.

[71](#) Wymienienie jej z nazwiska jako źródła informacji do *L.A. Confidential* było z mojej strony okropną bezmyślnością i zaszkodziło Frankiemu. Jednak ani on, ani Betsy nigdy się na to nie poskarżyli. Wspaniali ludzie.

ROZDZIAŁ 16

Czy jako społeczeństwo nie powinniśmy wybaczać i puszczać w niepamięć, tak żeby ci inni mogli wrócić do swoich zajęć? Na pewno tak.

Nie wiem, czy kiedykolwiek ci wybaczę.

Lance Armstrong do Paula Kimmage'a, 2009 rok

W lipcu 2005 roku Lance Armstrong wygrał swój siódmy Tour de France, ale ja sam, w przeciwieństwie do niego, byłem już znużony tą całą procesją po Francji. Przypominała nudną grę towarzyską na imprezie: żółta koszulka wędruje od jednego zawodnika do drugiego, dopóki nie trafi do gościa z Teksasu. Ten nie zdejmuje jej już aż do samego Paryża.

Zrezygnowałem więc z edycji 2005, czując, że nie mam nic więcej do powiedzenia oprócz trzech standardowych mów wyrażających dezaprobatę. Swoją nieobecnością na imprezie pozbawiłem się zaszczytu wysłuchania wyrazów współczucia, jakie Lance złożył trollom wszystkich krajów: „To szkoda, że nie umiecie marzyć o rzeczach wielkich”. Wówczas już jednak podejrzewałem, że nawet jego szczerść była udawana.

Nie tak miało się to wszystko skończyć: Lance na podium, opromieniony słońcem i uśmiechami, właśnie pokazał „walcie się” tym spośród nas, którzy próbowali, ale nie podołali. Przekręt się powiódł, a Armstrong odjeżdżał w siną dal.

Tydzień wcześniej relacjonowałem turniej golfowy Open Championship odbywający się w St Andrews, uroczym miasteczku w regionie Fife na wybrzeżu Szkocji. Mieszkaliśmy w domu oddalonym o niecałą milę od pola Old Course, dzieliłem pokój z Paulem. Nas dwóch. Pojedyncze łóżka. Jak ojciec Ted i ojciec Dougal⁷².

Był sobotni wieczór, skończyliśmy już robotę dla „Sunday Timesa”, Tiger Woods miał przewagę dwóch uderzeń przed rundą finałową, a my leżeliśmy w łóżkach i nie chciało nam się jeszcze spać. Paul miał mi coś do powiedzenia.

– Chciałbym pogadać o Armstrongu – zaczął.

– O czym? – spytałem.

– Myślę, że powinieneś odpuścić. Odwaliłeś kawał wspaniałej roboty, pociągnąłeś to tak daleko i nadszedł czas, żeby się z tego wyrwać.

– Tak myślisz?

– Przecież zabiera ci to całe życie, a Mary i dzieciom chyba też doskwiera, że tak cię to pochłonęło.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Tak, naprawdę. Zdajesz sobie sprawę, że w ostatnim czasie rozmawiamy niemal wyłącznie o Armstrongu? Za każdym razem kiedy do mnie dzwonicz, chodzi o coś, co usłyszałeś na jego temat, i coś mi się zdaje, że gdyby nie on, to w ogóle nie miałbym od ciebie wieści.

– Aż tak przeginam?

– No. I twojej karierze też to nie służy. Widziałeś, co było w zeszłym roku, kiedy prawie odszedłeś z gazety. Swoje już zrobiłeś. Złap trochę więcej równowagi w życiu zawodowym i znajdź więcej czasu dla rodziny. Pamiętaj też, że Armstrong to tylko jeden facet, nie można zapominać o całej reszcie.

Nie wyklócałem się. Kiedy najbliższy przyjaciel mówi ci coś ważnego, warto go wysłuchać. Założyć, że ma rację, i zastanowić się nad tym. Paul nie mylił się, mówiąc, jaki kawał mojego życia pochłaniał Armstrong.

Kiedyś uważano, że mężczyzna myśli o seksie co siedem sekund, ale według nowszych badań zdarza się to dwadzieścia razy na dzień. Moje myśli krążyły wokół Armstronga z częstotliwością mieszczącą się gdzieś pomiędzy.

– Panie Walsh – pyta urzędnik imigracyjny na chicagowskim lotnisku O’Hare – jaki jest cel pańskiej wizyty w Stanach Zjednoczonych?

– Służbowy.

– Czym pan się zajmuje?

– Jestem dziennikarzem sportowym, będę przeprowadzał wywiady na temat Lance’a Armstronga.

– Lance’a Armstronga? To ten kolarz, tak?

– Tak jest. Mam nadzieję udowodnić, że tak naprawdę to oszust, brał niedozwolone środki.

– Mhm... a więc, miłego dnia!

Albo stoję sobie w wolno posuwającej się kolejce do skanera rentgenowskiego na lotnisku, a obok siebie zauważam nieznanego z żółtą opaską kampanii Livestrong na nadgarstku. „Pan kibicuje Lance’owi?” – zarzucam na niego swoją sieć. „No tak, kibicuję” – odpowiada, a ja wyłuszczam mu całą historię, miażdżące dowody, przekonany, że chyba tylko bezmózgowiec nie dostrzegłby prawdy. Zapamiętałem jedną taką ofiarę – czarny garnitur biznesowy, biała koszula, elegant, bez zegarka, tylko ta opaska. Spojrzał na mnie, potrząsnął głową i przepuścił dziesięć osób w kolejce, żeby tylko się ode mnie uwolnić.

Deszczowy wieczór w Christchurch na Nowej Zelandii, jest rok 2005, wsiadam do autokaru dla mediów, drużyna British and Irish Lions właśnie przegrała międzynarodowy mecz z All Blacks⁷³. Kiedy zajmuję miejsce, zaczyna przekomarzać się ze mną Chris Hewett, popularny reporter „Independenta” specjalizujący się w rugby: „O, jest nasz Lance Armstrong!”. Rozlegają się chichoty, mnie samemu nie jest do śmiechu. „Chris, kurwa mać, a co ty takiego wartościowego napisałeś?” Chris to świetny dziennikarz i wszechstronny facet, na pewno uznał, że ostro przegiałem. Może tak było.

Pomimo ostrzeżenia wypowiedzianego pod moim adresem Paul sam nie był wiele lepszy. W 2006 roku kwaterowaliśmy w tym samym domu w Auguście podczas turnieju US Masters, imprezy marzeń każdego dziennikarza sportowego. Paul zna się z Fanny Sunesson, słynną *caddie*, która z kolei miała znajomego Szweda, szesnastoletniego gracza ligi amatorskiej, marzącego o tym, żeby zobaczyć cały turniej od pierwszej do ostatniej minuty. Nie miał jednak wejściówki na ostatni dzień. Fanny wspomniała o tym Paulowi, który miał jedną na zbyciu.

Ustalono, że znajomy Fanny wpadnie do nas wcześniej rano w niedzielę. Tuż po dziewiątej rozległo się pukanie do drzwi. Nasz gość był dobrze prezentującym się, mierzącym ponad metr osiemdziesiąt, ale chudym jak szczapa szesnastolatkiem, po którym widać było, że nie jest słabeuszem. Gdyby udało mu się zdobyć szlify zawodowca, strój też miał już odpowiedni – białe spodnie i jasnożółtą koszulkę polo. Jasne włosy i niebieskie oczy nie kłóciły się z resztą wizerunku. Był tylko jeden detal, który nie przypadł do gustu ani Paulowi, ani mnie. Żółta opaska na nadgarstku. Wejściówka na ostatni dzień turnieju Masters to pewnie największy cymes światowego sportu, ale jeśli dostaje się ją od Paula

Kimmage'a gratis, za friko, za darmochę, nie należy paradować w takiej opasce.

Nie moja wejściówka, nie mój problem. Otworzyłem tylko drzwi i usunąłem się na bok. Mózg Paula przestawił się na najwyższe obroty. „Cześć – powiedział – jesteś od Fanny? Po wejściówkę?” „Zgadza się”. „Dobra, ale najpierw pokaż tę opaskę”. Chłopak wyciągnął prawą rękę w kierunku Paula. „Nie, nie, pokaż nam ją” – powiedział Paul, dając do zrozumienia, że chce, aby chłopiec ją ściągnął. Ten posłuchał i podał opaskę Paulowi, nie rozumiejąc, po co to wszystko. Odsunąłem się jeszcze o krok od drzwi. „Teraz popatrz” – powiedział Paul do młodego Szweda.

Podszedł do szafki na sztućce i wyciągnął z szuflady parę wielkich nożyc. Potem wziął opaskę i zaczął ją skręcać w rękach raz za razem, aż z gumy utworzył się ciasno zwinięty splot. Szwed przyglądał się z bardzo niepewną miną, ale kiedy Paul przyłożył ostrze do zdeformowanej opaski, stało się jasne, co zaraz nastąpi.

Nożyce bezgłośnie pocięły gumę, a jej skrawki rozsypały się po całej kuchni. Zapadła krępująca cisza, którą przerwał Paul, wskazując rzeczowo na podłogę. „Ten facet to oszust – oznajmił. – Powinieneś o tym wiedzieć”.

Młodzieniec ze Szwecji nie odezwał się. Paul wyciągnął wejściówkę i podał mu ją z uśmiechem, mówiąc: „Miłej zabawy na turnieju!”. „Dziękuję” – odpowiedział nasz nowy znajomy.

Paul miał rację, mówiąc, że cała ta historia zabiera mi więcej życia, niż jest warta. Ale ponieważ nie została jeszcze zamknięta, ciężko było się od niej uwolnić.

W sierpniu tego samego roku dziennikarz „L'Équipe” Damien Ressiot napisał artykuł będący uwieńczeniem nadzwyczajnego dochodzenia przeprowadzonego w sprawie ponownej analizy próbek moczu pobranych podczas Tour de France w 1999 roku, która wykazała, że wygrywając

wówczas swój pierwszy Tour, Armstrong był pod wpływem erytropoetyny. Najgenialniejsze w całej historii było to, jak sprytnie Ressiot uzyskał od UCI formularze kontroli antydopingowej kolarza, dzięki czemu mógł porównać numerację laboratoryjną z numerami formularzy Lance'a.

Ostatecznie to sam Armstrong zgodził się na wydanie przez UCI formularzy Ressiotowi, ponieważ dziennikarz zasugerował, że interesuje go zezwolenie kolarza na używanie zabronionych metod i / lub substancji w celach terapeutycznych (Therapeutic Use Exemptions – TUE). Armstrong w 1999 roku nie korzystał z TUE i uznał, że w artykule będzie to przemawiało na jego korzyść. Zdobywszy formularze antydopingowe Lance'a, Ressiot miał już przed sobą proste zadanie: wystarczyło porównać numery formularzy z pozytywnymi testami laboratoryjnymi. Wystąpiło sześć korelacji.

Na pierwszej stronie „L'Équipe” pojawił się gigantyczny nagłówek *Le mensonge Armstrong* (Kłamstwo Armstronga), a w tekście artykułu wykazano w sposób niepozostawiający wątpliwości, że sześć wyników pozytywnych odkrytych podczas wstecznej kontroli próbek z 1999 roku należało do Armstronga. Determinacja Ressiota do prześwietlenia historii siedmiokrotnego zwycięzcy Tour de France wynikała z odrazy dziennikarza, jaką wywołało szykanowanie włoskiego zawodnika Filippa Simeoniego w czasie trzeciego etapu przed finałem Touru w 2004 roku. Simeoni zeznawał wcześniej przeciwko Michele Ferrariemu we włoskim procesie o doping, czym zyskał sobie wrogość Lance'a. Kiedy więc próbował przyłączyć się do grupy ucieczkowej w czasie owego etapu, Lance osobiście go przyblokował, a pozostałym harcownikom oznajmił, że nie dostaną żadnego luzu, jeśli nadal będzie z nimi jechał Simeoni.

Ale szkopał w tym, że kontrola wsteczna przeprowadzona została w celach badawczych i jej wyniki nie mogły posłużyć do wszczęcia

postępowania dyscyplinarnego przeciwko Armstrongowi. Wiedząc, że na podstawie tych pozytywnych testów nie można przedstawić mu zarzutów, Armstrong butnie wyparł się wszystkiego, stwierdzając, że prawdopodobnie próbki zostały sfałszowane. Uznał, że Francuzi urządzili sobie polowanie na czarownice, i sugerował, że wynikało to z panujących wówczas we Francji nastrojów antyamerykańskich.

Nie było to inteligentne wytłumaczenie, ponieważ francuskie laboratorium nie miało możliwości sfałszowania numerowanych próbek i powiązania ich z Armstrongiem; Ressiot wiedział, że zostały pobrane od niego, ale tylko dlatego że numery potrzebne do porównania udostępnił mu sam Lance. UCI powołała „niezależną komisję”, którą miał pokierować jej wypróbowany śledczy Emile Vrijman, holenderski prawnik zaprzyjaźniony z Heinem Verbruggenem. Kiedy Vrijman przedstawił sprawozdanie, Światowa Agencja Antydopingowa (World Anti-Doping Agency – WADA) odrzuciła je jako nieprofesjonalne i stronnicze: „Raport pana Vrijmana zawiera wiele mylnych i wprowadzających w błąd stwierdzeń”.

Choć Armstrong wykaraskał się po artykule Ressiota, był to punkt zwrotny, ponieważ ustalono, że w 1999 roku stosował erytropoetynę. Łatwo było wykazać, że przepisy nie pozwalają na wykorzystanie danych badawczych do wszczęcia postępowania przeciwko Armstrongowi, ale nie ulegało wątpliwości, że Ressiot wykazał oszustwo kolarza. Łącznie z pierwszą stroną historii poświęcono owego dnia aż sześć kolumn numeru „L'Équipe”.

Ressiot jest dziennikarzem z tej samej gliny co Pierre i podobnie jak kiedyś Pierre obecnie zajmuje się w „L'Équipe” dopingiem. „Nic mnie tak nie wścieka jak oszustwo – mówi. – Sprzedajemy historie o supersignięciach, ale kiedy okazuje się, że wcale takie nie są, nie kwapimy się, żeby wszystko odwołać. Myślę, że jako dziennikarz zrobiłem

to, co do mnie należało [pisząc artykuł o Armstrongu], i że jako grupa zawodowa powinniśmy oduczyć się budowania marzeń na fałszywych przesłankach”.

Wielu dziennikarzy, którzy byli po stronie Armstronga, ucieszyło się z jego odejścia w 2005 roku, bo coraz ciężiej przychodziło o nim pisać. Cóż jeszcze można było powiedzieć? Jego rezygnację z uprawiania sportu uznałem za okazję do uwolnienia się od całej historii, ale okazało się to niemożliwe. Wciąż powracała. Koledzy, którzy uznali, że Armstrong to wciąż kopalnia tematów, widzieli we mnie kogoś, kto może pomóc. Zawitał do nas z Kolorado Joe Lindsey przygotowujący materiał dla magazynu „Outside”. Napisał wyważony tekst o Armstrongu, przedstawiając argumenty za i przeciw. Mniej więcej w tym samym czasie do Cambridge przyjechał Dan Coyle, z którym spędziliśmy wiele godzin na rozmowie w małej restauracyjce⁷⁴. Pracował właśnie nad *Wojną Lance’a Armstronga*, książką opisującą rok spędzony z zespołem US Postal. Podobnie jak Joe również Dan rzetelnie opisał moją pracę nad historią Armstronga.

W trakcie wywiadu Dan spytał o Johna i wpływ, jaki jego strata wywarła na życie naszej rodziny. Nigdy nie trzeba mnie było namawiać do rozmowy o naszym najstarszym synu, zacząłem więc długą opowieść, przywołując wspomnienia o wspaniałym chłopcu i swoje ulubione historie. To wielka tragedia, że dane mu było przeżyć zaledwie dwanaście lat i osiem miesięcy, ale w ciągu tego czasu zdążył dać nam tak wiele. Na pogrzebie Johna był mój dawny szef z „Sunday Tribune” Vincent Browne, który w bardzo delikatny sposób życzył nam, żebyśmy z czasem zdołali uporać się ze stratą i znaleźli siłę, by żyć dalej. Wówczas nie wydawało się to takie proste. „Będziemy żyć dalej – powiedziałem – ale to już będzie gorsze życie”.

I tak właśnie jest do dziś. Tyle razy myślałem o tym, co jeszcze John mógł wnieść w nasze życie: śmiech, łzy, rodzinne uroczystości, sprzeczki, mecze, których nie dane nam było razem obejrzeć. Pamiętam też, że kilka dni po jego wypadku do kuchni wpadła radośnie uśmiechnięta Emily i choć oboje z Mary byliśmy pogrążeni w smutku, trzeba było się z tego otrząsnąć.

Gdyby nie Kate, Simon, Daniel, Emily, Conor i Molly, która pojawiła się dwa lata później, przyszłoby nam to o wiele ciężiej.

W wywiadzie udzielonym Danowi powiedziałem, że kochałem Johna bardziej niż którąkolwiek inną ze znanych mi osób. Tak wówczas myślałem, choć Emily twierdzi, że w podobnych okolicznościach powiedziałbym to o każdym z pozostałych dzieci. Pewnie tak. Pod koniec wywiadu powiedziałem Danowi, że jedną z naszych wspólnych cech z Johnem była odwaga, by stawać twarzą w twarz z ciężkimi zadaniami, zadawać trudne pytania i nie płynąć z prądem, nawet jeśli dzięki temu można utrzymać się na powierzchni. „Jeśli mam w sobie cząstkę tej wspólnej odwagi, to bardzo mnie to cieszy” – powiedziałem.

W ostatnim rozdziale swojej książki Dan opisuje, jak zaniósł jej brudnopis Lance’owi Armstrongowi, któremu pozwolił go przejrzeć przed oddaniem tekstu wydawcy. Ni stąd, ni zowąd Armstrong zaczął mówić o mnie. „Nie jest zdobywcą nagród, znanym na świecie, szanowanym facetem”. Chcąc zapewne przemówić do ludzkich uczuć Armstronga, Dan odparł, że moją motywacją, jak mu się wydawało, była przynajmniej częściowo pamięć o synu. Wspomniał, że chlubiłem się Johnem, co odpowiadało prawdzie tylko w tym rozumieniu, że jest on i pozostanie dla mnie najukochańszym z ludzi. Ta wzmianka doprowadziła Armstronga do pasji. Oto, jak opisał to Dan:

Oczy Armstronga się zwięziły. Zaczął wyłamywać sobie palce.

– Jak on mógł mieć syna, którym się chlubił? Ten typ to zwykły skurwiel. Ja jestem ojcem trójki... „Syn, którym się chlubi”... to zwykłe pieprzenie. Przepraszam. Ja go nie znoszę. To mały troll.

Podniósł głos. Staralem się zmienić temat, ale było już za późno. Rozpędzał się.

– Pieprzony Walsh – krzyknął. – Pieprzony mały troll.

Siedziałem na kanapie, ale wyglądało na to, że zapomniał o mojej obecności. Jego głos łomotał między kamiennymi ścianami:

– Troll, oskarża ludzi, kłamie. – Słowa Armstronga zlewały się w ciągły potok, czułem wielką potrzebę, aby wreszcie to przerwał. „Wygrałeś – chciałem mu powiedzieć. – Przecież wygrałeś wszystko”.

Ale on nie przerywał. Nie był w stanie przerwać. I nagle uświadomiłem sobie, że może to nie ma nic wspólnego z Walshem, z jego winą, niewinnością ani z własnym *ego*, ani też z siłą lub pieniędzmi. To nie jest żadna gra, to nie jest sport. To jest po prostu walka, która nie może się skończyć, bo gdy Armstrong przestanie walczyć, przestanie żyć.

Powietrze przeszył ptasi świergot. Armstrong popatrzył na telefon. Przestał mówić.

– Popatrz, co osiągnąłem – powiedział po odłożeniu słuchawki. – Wygrałem sześć Tourów. Zrobiłem wszystko, żeby dowieść mojej niewinności. Zrobiłem więcej niż ktokolwiek w sporcie, nie tylko w kolarstwie. Aby być kimś, kto robi coś na wielu polach, aby być kimś, z kogo, mam nadzieję, ludzie w tym mieście, w tym stanie, w tym kraju, na tym świecie mogliby brać przykład. I wiesz co? Oni nie wiedzą nawet, kto to jest David Walsh. I nigdy nie będą wiedzieć! Za dwadzieścia lat nikt go nie będzie pamiętał. Nikt.

A na świecie są miliony chorych na raka i tych, którzy wyzdrowieli. I to się liczy⁷⁵.

Całe to gadanie, że ja to troll, a on sam to mesjasz, spłynęło po mnie jak po kacze. Ale zabolalo mnie, że miał czelność mówić o mojej więzi z Johnem w taki, a nie inny sposób. Tylko Lance Armstrong mógłby coś takiego powiedzieć.

W końcu machnąłem ręką. Przyjdzie jeszcze czas, kiedy on sam też zapłacze. Co ma nadejść, prędzej czy później nadejdzie.

⁷² Chodzi tu o postacie dwóch fikcyjnych księży irlandzkich, bohaterów serialu komediowego *Ojciec Ted* (ang. *Father Ted*), wyemitowanego po raz pierwszy w Wielkiej Brytanii i Irlandii przez

telewizję Channel 4 w latach 1995–1998, w Polsce od roku 2009 prezentuje go kanał BBC Entertainment – przyp. tłum.

[73](#) British and Irish Lions (Brytyjskie i Irlandzkie Lwy) są zespołem rugby złożonym z zawodników reprezentacji Anglii, Irlandii, Szkocji i Walii, drużyna All Blacks (Cali Czarni) reprezentuje w meczach międzynarodowych Nową Zelandię – przyp. tłum.

[74](#) Daniel Coyle jest byłym redaktorem amerykańskiego magazynu „Outside”. Spędził cały rok 2004, towarzysząc zespołowi US Postal w hiszpańskiej Gironie. Wydana następnie książka *Wojna Lance’a Armstronga* (*Lance Armstrong’s War*) stała się bestsellerem. Kolejny bestseller *The Secret Race* powstał we współpracy z Tylerem Hamiltonem.

[75](#) *Wojna Lance’a Armstronga*, tłum. Aldona i Witold Matuszyńscy, Andrzej Matyszczak, Wydawnictwo Studio EMKA, Warszawa 2005, s. 344–345 – przyp. tłum.

ROZDZIAŁ 17

*W czasach wszechobecnego oszustwa
mówienie prawdy to akt rewolucji.*

George Orwell

Dzięki *L.A. Confidential* Pierre i ja staliśmy się Serge'em Gainsbourgiem i Jane Birkin dziennikarstwa kolarskiego. Choć dla czytelników anglojęzycznych na całym świecie nasza publikacja okazała się bulwersująca, już we Francji staliśmy się gwiazdami, natomiast grono fundamentalistycznych wyznawców Lance'a uznało książkę za równie trującą jak *Szatańskie wersety*⁷⁶. Choć mało kto faktycznie ją przeczytał, potępiało ją wielu. Przy takiej skali oburzenia dosyć miał dzień swojej biedy.

Dosyć, i to z naddatkiem.

Wokół naszej książki, jak po ciśnięciu kamienia w wody jeziora, zaczęły rozchodzić się kręgi, które z czasem dotarły do brzegu. Lance Armstrong wylądował w końcu w sali konferencyjnej swojej kancelarii prawnej w Dallas usadzony przed obiektywem kamery wideo w obecności przygotowanego do zaprotokołowania zeznania pod przysięgą stenografa. Wielu spośród nas, którzy przyczynili się do napisania książki, miało wylądować w podobnych pomieszczeniach.

Wszystko zaczęło się od obstawienia zakładu. Bob Hamman był kiedyś mistrzem brydża – Lionelem Messim, Michaeliem Jordanem i George'em

„Babe'em” Ruthem stolika brydżowego. Po dwunastokrotnym zdobyciu tytułu mistrza świata poniósł jednak głośną klęskę podczas turnieju na Bermudach, gdzie okantowała go, jak uważał, para Włochów. Hamman zawsze był typem twardziela, ale gdy go oszukiwano, budził się w nim Joe Pesci.

„Ja jestem zabawny? Że niby jak?”

Brydż kojarzy się ze spokojną nudną grą, ale Hamman nauczył się go, grając na pieniądze. Kiedyś był doskonałym szachistą, świetnie grał w pokera i tryktraka, ostatecznie uwiodła go zawłość reguł brydża. Jest wysokim, krzepkim mężczyzną z szopą siwych włosów wieńczącą dumną głowę.

W roku 1986 Bob Hamman założył firmę pod nazwą SCA Promotions. Rozwinięcie skrótu SCA to Sports Contests Associates (Partnerzy Zawodów Sportowych). Motorem tego przedsięwzięcia biznesowego był największy talent Boba. Potrafi on ocenić szanse wygranej w niemal każdej dziedzinie. Bob ma umysł bukmachera, a sama SCA była *de facto* solidnie zarządzaną firmą bukmacherską. Pomysł na biznes? Ubezpieczenia od ryzyka imprez specjalnych i promocji organizowanych przez inne firmy.

Na przykład pewna firma występuje jako sponsor konkursu rzutów zza głowy do kosza, wykonywanych z zawiązanymi oczami z połowy boiska. Organizuje się go dla publiczności podczas meczu ligi NBA. Firma nie spodziewa się, by komukolwiek udało się celnie rzucić i zdobyć milion dolarów nagrody, ale na wszelki wypadek ubezpiecza się w SCA. W zamian za opłaconą składkę SCA bierze takie ryzyko na siebie.

W podobny sposób firma gotowa jest do przejęcia niemal każdego rodzaju ryzyka. Swego czasu, kiedy NASA ekspediowała na Marsa dwa łaziki badawcze, do SCA zwróciła się firma Long John Silver. W razie znalezienia przez NASA oceanu na powierzchni planety chciała ona

zafundować wszystkim Amerykanom darmowe krewetki. Bob zgodził się z poglądem, że marsjański ocean musiałby zajmować co najmniej taki sam obszar planety jak najmniejszy ocean na Ziemi (czyli Ocean Arktyczny).

Niczego nie znaleziono i Bob nie musiał płacić za krewetkowy poczęstunek dla całego kraju.

Jako pomysł na biznes koncepcja SCA jest całkiem niezła, a sama firma stała się światowym liderem w branży gwarantowania wypłat nagród i premii. Kiedy w zimie 2000 roku zwróciła się do niej Kelly Price, brokerka ubezpieczeniowa z firmy Entertainment and Sports Insurance Experts, zaproponowana przez nią transakcja wyglądała na bardzo opłacalną.

SCA miała przejąć na siebie część ryzyka ponoszonego dotychczas przez spółkę Tailwind Sports⁷⁷, właściciela zespołu US Postal. Perspektywa długiej serii zwycięstw Armstronga na Tour de France była dla Tailwind zarówno kusząca, jak i niepokojąca. Kusząca, ponieważ właśnie po to miała zespół kolarski. Niepokojąca, bo sukces tego rodzaju mógł ją kosztować fortunę.

Spółka Tailwind zwróciła się zatem do SCA o wycenę zaproponowanej transakcji, która miała przynieść Armstrongowi półtora miliona dolarów w razie wygranej w latach 2001 i 2002, dalsze trzy miliony w przypadku kolejnej wygranej w roku 2003 i wreszcie pięć milionów, gdyby zapisał się w annałach sportowych szóstym kolejnym zwycięstwem w Tour de France w 2004 roku.

Z ramienia SCA agentem ubezpieczeniowym, który odpowiadał za sporządzenie oferty, był Chris Hamman, syn Boba. Samemu Chrisowi pomysł niezbyt przypadł do gustu, ale zmienił pogląd na sprawę po rozmowie z ojcem, urodzonym negocjatorem. W grę wchodził element niepewności, ryzyka. Co roku startowało dwustu kolarzy i wygrywać miał

wciąż ten sam facet? Facet po raku? Bob dał transakcji zielone światło. W styczniu 2001 roku sporządzono umowę. W zamian za składkę w wysokości czterystu dwudziestu tysięcy dolarów SCA zobowiązała się do wypłacenia Lance'owi Armstrongowi niebotycznych premii w łącznej kwocie dziewięciu i pół miliona dolarów w przypadku wygrania przezeń każdego wyścigu Tour de France w latach 2001–2004.

Niezwłocznie po zakończeniu wyścigów w latach 2002 i 2003 SCA przesłała чеки na półtora i trzy miliony dolarów spółce Tailwind Sports, która uprzejmie przekazała je Lance'owi Armstrongowi.

Wówczas ukazała się *L.A. Confidential*. Poświęciwszy książce kawał swojego życia w ciągu ubiegłych dwóch lat, Pierre i ja cieszyliśmy się z wyników sprzedaży, a jednocześnie czuliśmy rozczarowanie niewielkim wpływem, jaki wywarła. Wszystko zdawało się dobitnie świadczyć, że coś poszło mocno nie tak. Nie wzięliśmy pod uwagę dozgonnej miłości mediów do przystępnego, dobrego newsa (a takim była historia o Lansie) ani zdolności Lance'a do zastraszania i oczernienia każdej osoby spoza własnego namiotu.

Być może powinniśmy byli to wszystko przewidzieć, ale do głowy by nam wówczas nie przyszło, że gdzieś w Ameryce firma pod nazwą SCA zatrudnia nieco niekonwencjonalnego prawnika Johna Bandy'ego, który spędził sześć lat swojego życia we Francji, przez część z nich studiując na paryskiej Sorbonie. John Bandy posługiwał się biegle francuskim, a egzemplarz *L.A. Confidential* wziął do ręki powodowany osobistą ciekawością i zawodowym poczuciem obowiązku. Przeczytał książkę, wystukał na komputerze własne tłumaczenie i zamyślił się. Hej, *attendez un peu* [poczekajcie trochę – przyp. tłum.]!

Ostatnią premię w ramach transakcji, w kwocie pięciu milionów dolarów, Armstrong miał otrzymać 3 września 2004 roku. Pieniądze te

umieszczono jednak na rachunku depozytowym w banku J.P. Morgan do czasu oczyszczenia Lance'a z zarzutów o doping opisanych w *L.A. Confidential*. Samemu Lance'owi się to nie spodobało. Robota trolli sporo go kosztowała.

14 września Armstrong wspólnie z Tailwind wnieśli w odpowiednim trybie pozew przeciwko SCA do Sądu Okręgowego Hrabstwa Dallas. Początkowo doszło do osobliwego impasu prawnego. Z technicznego punktu widzenia Lance pozostawał przecież w sporze ze spółką Tailwind, nie zaś z podmiotem, który akurat ubezpieczał jej transakcję. Umowa warunkowa została zawarta pomiędzy SCA a Tailwind i stwierdzono w niej jednoznacznie: obowiązek odszkodowawczy wobec Tailwind uzależniony jest od tego, czy „warunki imprez, o których mowa w niniejszej umowie, oraz warunki umowy sponsora [z Lance'em Armstrongiem] są zgodne z warunkami niniejszej umowy”.

Oznaczało to, że nie chodziło jedynie o wygraną w wyścigach – Armstrong miał wygrywać z zachowaniem wymogów umowy warunkowej. Innymi słowy, kwestia z natury rzeczy przedstawiała się podobnie jak w przypadku pracy dziennikarskiej. Nie chodziło o to, czy Lance wygrał, ale jak wygrał. SCA zwróciła się do Tailwind z pytaniem: Czy Lance przestrzegał wszystkich zasad, czy stosował środki zwiększające wydolność? W końcu, w celu uniknięcia łańcuszka pozwów, Lance'owi pozwolono na wspólne wystąpienie z Tailwind i obie strony połączyły siły.

SCA i Tailwind wyraziły zgodę na rozstrzygnięcie sporu przez sąd arbitrażowy.

Sprawa przedstawiała się prosto. Tim Herman, prawnik występujący w imieniu Armstronga, dowodził, że SCA nie miała prawa zakwestionować jego zwycięstw. Po stronie SCA sporą część dochodzenia przeprowadził sam Bob Hamman. Przyleciał do Europy, żeby spotkać się z Pierre'em i ze

mną, w Auckland odbył posiedzenie ze Stephenem Swartem, rozmawiał też z Gregiem i Kathy LeMondami oraz z Emmą O'Reilly. Wszyscy rozmówcy potwierdzili to, co opisano w książce.

Skontaktowano się ze mną we wrześniu 2004 roku. Z miejsca podjąłem dwa postanowienia: po pierwsze, trzeba chronić źródła, po drugie, trzeba chronić naszą książkę. Cieszyłem się, że mogę pokazać, gdzie leży prawda, komuś, kogo prawda interesuje. Jak zeznałem później, w ciągu kolejnych szesnastu miesięcy odbyłem z SCA około dwudziestu pięciu rozmów telefonicznych i wymieniliśmy kilkanaście e-maili. Dostarczyłem spółce numery kontaktowe, wyjaśniłem kilka szczegółów technicznych i wyraziłem opinię na temat wiarygodności wielu osób, z którymi SCA chciała się skontaktować.

19 stycznia 2006 roku, po kilkakrotnym falstarcie, znalazłem się w pomieszczeniu kancelarii prawnej w Dallas, gdzie miałem złożyć zeznanie. Urok tego miejsca przejawiał się już w samym adresie: North Central Expressway 12655, apartament nr 810, miasto Dallas, hrabstwo Dallas, stan Teksas. Któż nie chciałby zaliczyć takiego adresu przed śmiercią?

Siedzi sobie człowiek i czeka na swoją kolejkę, pogryzając przyniesione z domu wiktuwały i gawędząc z innymi świadkami i prawnikami. W końcu trafia do wielkiej sali urządzonej w ten sposób, że zeznający zwraca się w swoją prawą stronę, gdzie zasiada trójosobowy skład sądu arbitrażowego. Po serii pytań prawników obu stron przychodzi moment, kiedy trzech arbitrzy mogą zadawać własne pytania, i takie pytania w moim przypadku padły. Choć wszystkie zeznania składa się pod przysięgą, nie dało się odczuć żadnej presji.

Swoje zeznanie składałem na późnym etapie postępowania i w przeciwieństwie do większości pozostałych jego uczestników nie

zeczynałem dotychczas pod przysięgą. Była to uprzejma rozmowa ograniczona do kwestii technicznych dotyczących praktyki i etyki pracy dziennikarskiej. „Dlaczego skontaktował się pan z panem X? Dlaczego nie z panem Y?” I tak dalej, i tak dalej. Nie dało się uniknąć wzięcia pod lupę co lepszych epizodów z epoki Lance’a:

Herman: W swoim wcześniejszym zeznaniu pan Stapleton stwierdził, że historia z Ferrarim nie była żadną wielką aferą. Że to pan, panie Walsh, rozdmuchał ją do rozmiarów skandalu, a wielką aferą stała się dopiero pod pańskim piórem. Czy to stwierdzenie odpowiada prawdzie?

Walsh: To kompletny nonsens.

Herman: Dlaczego?

Walsh: Ponieważ kiedy historia ta została opisana przez „Sunday Timesa” na początku lipca 2001 roku, niemal wszystkie gazety w Europie, niektóre na pierwszej stronie – a były to solidne, poważne tytuły – donosiły, że „Sunday Times” ujawnił współpracę Armstronga z Ferrarim. Poszedłem do salonu prasowego w swoim mieście i kupiłem spory plik gazet z całej Europy, a w każdej z nich znalazła się informacja o związkach Armstronga z Ferrarim, ponieważ Ferrari miał taką, a nie inną reputację, natomiast Lance, jak mówiłem, był wielką figurą w świecie sportu.

W pewnym momencie, co z perspektywy czasu wydaje się zabawne, zaczęliśmy bez końca roztrząsać kwestię dopuszczalności transkrypcji wywiadu, który przeprowadziłem z anonimowym źródłem. Sam w ciągu całego przesłuchania uparcie powoływałem się na przysługujące mi prawo do ochrony tożsamości rozmówcy. Poproszono mnie o opuszczenie na chwilę sali. Relacja z przebiegu rozmowy toczonej pod moją nieobecność pokazuje, z jaką dozą szacunku potraktowano uświęcone zasady dziennikarstwa. Po moim wyjściu Jeff Tillotson występujący z ramienia SCA – ten sam facet, który prowadził przyjazną część przesłuchania – objaśnił arbitrom i prawnikowi strony przeciwnej: „Mamy transkrypcję. Jest jasne jak słońce, że chodzi o Frankiego Andreu, to on jest tym anonimowym źródłem”.

Uzgodniono, że będę mógł zeznawać dalej bez konieczności ujawnienia tożsamości swojego źródła, a Frankiego wezwie się w innym terminie. Ponownie poproszono mnie do sali, a w trakcie omawiania transkrypcji wszyscy uprzejmie udawali, że nie wiedzą, o kim mówię.

W sprawie SCA przewinęło się wiele dowodów i wiele pogłosek, z których płyną dwa główne wnioski. Po pierwsze, wszyscy, którzy jeszcze nie trzymali z Lance'em, bali się go. Zaczęto nagrywać rozmowy na jego temat. Sam zaś Lance wydzwaniał do niektórych świadków przed złożeniem przez nich zeznań. Wyłącznie po to żeby powiedzieć „cześć”! Po drugie, całe otoczenie Lance'a i SCA ogarnęła obsesja na temat tego, co Betsy Andreu usłyszała w owym pokoju szpitalnym w październiku 1996 roku.

Bobowi Hammanowi i ekipie SCA chodziło przede wszystkim o dotarcie do sedna tego, co właściwie tam się zdarzyło. Kwestia ta wciąż była przywoływana. Większość pytań ze strony SCA dotyczyła tego, kto i co powiedział wówczas w Indianie. W czasie mojego zeznania zastawiono małą pułapkę. Honory domu w imieniu spółki Tailwind i Lance'a Armstronga czynił Tim Herman. Komuś udało się wytropić Lisę Shiels, dawną dziewczynę Lance'a. Sam wcześniej tego próbowałem, próbowała SCA. Uznaliśmy, że rozplynęła się we mgle. Teraz komuś udało się ją znaleźć.

Herman: Tego pan jeszcze nie widział, panie Walsh, jest to korespondencja e-mailowa pomiędzy Lisą Shiels a panią z telewizji ESPN z 2004 roku. W tej korespondencji, odpowiadając na dotyczące zdarzenia w szpitalu pytanie zadane przez osobę w żaden sposób niezwiązaną z panem Armstrongiem, pani Shiels stwierdza, że nie pamięta, by coś takiego się zdarzyło. Czy gdyby miał pan możliwość porozmawiania z panią Shiels lub zdobycia tego e-maila, dałoby to panu do myślenia na temat wiarygodności relacji, jaką przedstawiła panu pani Andreu?

Walsh: Zdecydowanie nie, a to dlatego że moje informacje pochodziły od trzech osób – od państwa Andreu i od Stephanie McIlvain, w których słowa uwierzyłem.

Herman: Aha. A czy gdyby było panu wiadomo, że w tym pokoju obecnych było nie sześć, lecz dziewięć osób, to czy nadal byłby pan tak pewien prawdziwości relacji państwa Andreu, którzy opuścili pomieszczenie tuż po tym, jak padło rzekome oświadczenie?

Walsh: W kontekście mojej rozmowy z państwem Andreu i Stephanią McIlvain nie miałoby dla mnie znaczenia, gdyby w pokoju obecna była jakakolwiek inna osoba. Uwierzyłem całkowicie w to, co od nich usłyszałem.

Kto by przypuścił, że jedno zdanie uronione przez Lance'a Armstronga stanie się po latach przedmiotem tak gorącego sporu? Podczas jednego ze wstępnych przesłuchań, które odbyło się 25 października 2005 roku w pokoiku hotelowym w Detroit, złożyła zeznanie pod przysięgą Betsy Andreu. Pojawił się wówczas niespodziewany widz. Na przesłuchanie państwa Andreu przybył Armstrong z zamiarem przysłuchiwania się posiedzeniu z udziałem Frankiego. Ponieważ zmieniono kolejność, trafił na Betsy.

Frankie to twardziel. Betsy jest jeszcze twardsza.

Pojawiwszy się tego dnia, Lance wyciągnął do niej rękę na powitanie. Uścisnęła ją. „Cześć! Jak leci?” – zagadnął. „W porządku” – odpowiedziała.

Potem Armstrong spytał: „Chcesz zobaczyć zdjęcia dzieciaków?”, po czym wyciągnął kilka fotografii swoich dzieci w towarzystwie swojej ówczesnej dziewczyny Sheryl Crow.

Betsy pomyślała: „Wydaje mu się, że będę kłamać na jego korzyść”. Ale przez sześć ostatnich lat niczym innym nie żyła. Nie miała zamiaru kłamać. Zasypano ją dociekliwymi pytaniami o to, co w 1996 roku działo się po wejściu lekarzy do pokoju konferencyjnego:

Herman: Chciałbym skoncentrować się na domniemanych wydarzeniach, jakie w rozpatrywanej sprawie mają wiązać się z pewnymi oświadczeniami pana Armstronga

złożonymi w obecności lekarzy. Jeśli można, prosiłbym, aby nam je pani opisała. Co się tam zdarzyło?

Betsy: Byliśmy w jego pokoju szpitalnym, miał do niego przyjść lekarz na umówioną wizytę. Jego osobisty lekarz, a może jakiś inny lekarz, nie jestem pewna. Miała być jakaś wizyta. Było tam sporo osób, więc weszliśmy do pokoju konferencyjnego, w tym pokoju konferencyjnym znalazły się następujące osoby: ja, Frankie i Lance, Stephanie McIlvain – wtedy spotkałam ją po raz pierwszy – Chris Carmichael i Paige, jego ówczesna dziewczyna, a obecnie żona.

Herman: Czy pamięta pani kogoś jeszcze?

Betsy: Lisę Shiels.

Herman: Kto to był?

Betsy: Ówczesna dziewczyna Lance'a.

Kluczowym argumentem, którego Lance używał, by wyprzeć się incydentu w szpitalu w Indianie, było stwierdzenie, że nie mogło do niego dojść bez obecności kolejnych trzech osób: jego matki Lindy, jego kolegi Jima Ochowicza oraz jego prawnika-agenta Billa Stapletona. Betsy obstawała przy swoim.

Betsy: Zaczęli zadawać mu pytania, jakieś banalne, już nie pamiętam. I nagle trach: „Czy kiedykolwiek brał pan środki zwiększające wydolność?”. Odparł: „Tak”. Zapytali, co to było, a Lance powiedział: „EPO, hormon wzrostu, kortyzon, sterydy, testosteron”.

Herman: Czy jest pani zupełnie pewna, że tak właśnie powiedział?

Betsy: Tak, jestem pewna.

Herman: A zatem pamięta pani, że siedziała tam, kiedy trwała ta rozmowa, w trakcie której pan Armstrong oświadczył to, co nam pani dziś zrelacjonowała. Kto jeszcze z osób znajdujących się w pobliżu mógł, pani zdaniem, usłyszeć to samo?

Betsy: Słyszeli wszyscy obecni w pokoju. I każdy z osobna.

Łyżkę dziegciu dodała Stephanie McIlvain, przedstawicielka firmy Oakley, producenta okularów słonecznych, która tego dnia była obecna w pokoju konferencyjnym szpitala. Jak już wspomniano, ona i Betsy spotkały się wówczas po raz pierwszy i zostały bliskimi przyjaciółkami.

Wielokrotnie rozmawiały później o całym zajściu. W trakcie wszystkich takich rozmów, jakie odbyły od roku 1996, Betsy i Stephanie gawędziły o tym, co obie usłyszały od Armstronga, o jego wyliczance środków, które zażywał. Betsy przypomniała sobie przyjazd Stephanie do Dearborn i wspólną rozmowę na ten temat przy kuchennym stole z udziałem całej trójki – Stephanie, Betsy i Frankiego. Tymczasem Stephanie zmieniła zdanie i podczas zeznania złożonego pod przysięgą kilka dni wcześniej przedstawiła odmienną relację.

Herman: Czy kiedykolwiek w trakcie pani odwiedzin u pana Armstronga w szpitalu była pani obecna, wraz z nim i innymi osobami, przy jakiegokolwiek rozmowie dotyczącej zażywania przez pana Armstronga środków lub substancji zwiększających wydolność?

Stephanie McIlvain: Nie.

Herman: Dobrze. Mieliśmy tu już pewne zeznanie – pozwoli pani, że przeformułuję pytanie. Czy kiedykolwiek znajdowała się pani w pokoju szpitalnym lub innej części szpitala w obecności pana Armstronga, gdy wspominał on cokolwiek na temat środków zwiększających wydolność?

Stephanie McIlvain: Nie.

Herman: Czy przypomina pani sobie, by w pani obecności jakiś lekarz pytał pana Armstronga o to, czy w przeszłości zażywał środki lub substancje zwiększające wydolność?

Stephanie McIlvain: Nie.

Biedna Stephanie. Przypomniała sobie, że Betsy dzwoniła do niej jakiś czas później z pytaniem, czy pamięta sytuację, kiedy weszło dwóch lekarzy, którzy spytali Lance'a Armstronga o środki zwiększające wydolność, a ten opowiedział im, co zażywał. Stephanie McIlvain zeznała, że odpowiedziała wówczas przecząco – niczego takiego nie pamiętała. Kiedy jednak skontaktowaliśmy się z nią w związku z *L.A. Confidential*, powiedziała nam, że była wówczas w pokoju i zapamiętała rozmowę w ten sam sposób

co Betsy. Wciąż wyrażała gotowość do przedstawienia takiej relacji, kiedy „Sunday Times” rozważał opublikowanie fragmentów książki.

Nie należy zbyt łatwo ferować wyroków w tej sytuacji. Stephanie niemal na pewno odczuwała ogromną presję. Była w lepszych stosunkach z Armstrongiem niż większość pozostałych świadków. W 2001 roku, kiedy u jej dwuletniego wówczas synka Dylana zdiagnozowano autyzm, Stephanie postanowiła zrezygnować z pracy u Oakleya i spędzać więcej czasu w domu. Dzięki interwencji Armstronga umożliwiono jej wykonywanie telepracy. Była to pomoc wykraczająca poza zwykłą uprzejmość, gest w rodzaju tych, na które stać było Lance’a. W ostatnich latach Stephanie kontaktowała się z nim w sprawie swego cierpiącego na raka sąsiada. Nic nie wskazywało, by mogła znaleźć się w sytuacji podobnej do obecnej.

Było jeszcze gorzej. Stephanie rozmawiała o zdarzeniu z Gregiem LeMondem, a on zeznał już wcześniej pod przysięgą, że pamięta tę rozmowę.

Stephanie McIlvain: Nie, powiedziałam Gregowi LeMondowi, że pamiętam, że byłam w jakimś pokoju, oglądałam mecz futbolowy i poznałam Betsy i Paige Carmichael.

Herman: Czy pamięta pani, czy pan LeMond pytał panią o to, czy w czasie kiedy była pani w owym pokoju, pan Armstrong mówił, że zażywał środki?

Stephanie McIlvain: Powiedział mi to, co usłyszał od Betsy, i spytał, czy ja też tak to pamiętam.

Herman: I co odpowiedziała pani panu LeMondowi?

Stephanie McIlvain: Nie, pamiętam, jak byłam w jakimś pokoju.

Wiadomość o tym, jaki kształt przybrała relacja Stephanie McIlvain, głęboko przygnębiła Betsy i Frankiego Andreu oraz Grega LeMonda. Pozostali sami na placu boju – wyglądało na to, że byli jedynymi osobami, które słyszały wymianę zdań na temat środków, co osłabiło argumentację

SCA w trakcie postępowania. Betsy była oszołomiona, ale jej świat wciąż był czarno-biały, a kiedy zakończono zeznania pod przysięgą i rozpoczęły się przesłuchania w Dallas, odzyskała dawną siłę.

Herman: Jak już pani wie, w toczącym się postępowaniu [Stephanie McIlvain] zaprzeczyła, jakoby usłyszała coś takiego z ust pana Armstronga. Czy w świetle tego, o czym ona sama powiedziała pani wcześniej, odpowiada to prawdzie?

Betsy: Kłamała.

Herman: Przepraszam, nie dosłyszałem...

Betsy: Kłamała.

Zdarzenie w szpitalu stało się obsesją zarówno dla ekipy Armstronga, jak i dla SCA. Być może dlatego że szczegóły tej historii są tak ludzkie i tak wiarygodne. Ludzie Armstronga najwyraźniej nie zawracali sobie głowy argumentami naukowymi. Uznali chyba, że wystarczy zająć się Emmą i Swartami. Ale szpitalny incydent mocno im doskwierał.

Bill Stapleton, zapytany o tę okoliczność podczas postępowania arbitrażowego przez adwokata Armstronga Tima Hermana, dorzucił coś od siebie: „I tego popołudnia byłem tam aż do końca meczu”.

Trzy dni później wzięty w krzyżowy ogień pytań Stapleton zeznał jednak: „To Lance opowiedział mi, co się stało... Mnie w pokoju nie było”.

Potem dodał: „To wbrew wszelkiej logice, żeby to [mogło się stać] trzy dni po operacji mózgu, że historii choroby nie sporządzono wcześniej. Ale nie, to się nie zdarzyło”.

Pięć tygodni po tym jak swoje zeznanie pod przysięgą złożyli w Michigan państwo Andreu, przyszedł czas na ich starego znajomego i *nemesis* Lance'a Armstronga, który zjawił się w tym celu w Austin w Teksasie. Był ostatni dzień listopada 2005 roku. Po krótkim objaśnieniu zasad postępowania serię pytań rozpoczął Jeff Tillotson, prawnik

reprezentujący SCA. Tillotson jest pełnym taktu człowiekiem pozbawionym agresji, ale nawet on czasem traci panowanie nad sobą.

Teraz jednak zadaje konieczne pytania w swój zwykły, stonowany sposób. Indiana. Szpital.

Tillotson: Dobrze. Czy przypomina pan sobie, żeby w czasie obecności tych osób do pokoju wszedł lekarz bądź lekarze, żeby porozmawiać z panem na temat pańskiego leczenia lub stanu zdrowia?

Armstrong: Absolutnie nie.

Tillotson: Aha. Czy w czasie pańskiego pobytu w szpitalu uniwersyteckim w Indianie ktokolwiek z personelu medycznego pytał pana o to, czy kiedykolwiek zażywał pan jakiegokolwiek rodzaju środki lub substancje zwiększające wydolność?

Armstrong: Nie. Absolutnie nie.

Tillotson: A więc taka kwestia po prostu nigdy się nie pojawiła? Nikt w ramach leczenia nigdy o to pana nie pytał?

Armstrong: Nie.

Tillotson: Czy podjęły się pan wyjaśnienia – czy mógłby mi pan wytłumaczyć – dlaczego pani Andreu miała sobie to wszystko zmyślić?

Armstrong: Hm, w swoim zeznaniu stwierdziła, że mnie nienawidzi.

Tillotson: Czy sądzi pan, że zmyśliła to wszystko, żeby odegrać się na panu lub żeby panu zaszkodzić?

Armstrong: Czy zmyśliła to, że mnie nienawidzi? ⁷⁸

Tillotson: Nie, czy sądzi pan, że zmyśla – to znaczy, według pana – mówiąc, że wyraźnie słyszała, jak pan mówił o dopingu...

Armstrong: Tak.

Tillotson: Oraz kiedy zeznała, że wyszła z panem Andreu na zewnątrz, żeby wydobyć od niego informację, czy też stosował doping. Pamięta pan to zeznanie?

Armstrong: Tak, jak przez mgłę. Ale nie mam pojęcia, czemu tak zrobiła...

Tillotson: Aha.

Armstrong: Chyba tylko z nienawiści do mnie.

Tillotson: Aha. Oczywiście utrzymywał pan z nimi stosunki. Znał pan panią Andreu, znają się państwo od jakiegoś czasu. Chciałbym zatem ustalić, czy...

Armstrong: Znałem ją tylko trochę, nie za dobrze.

Tillotson: A dlaczego pan Andreu mówi to samo?

Armstrong: Pewnie dlatego żeby pomóc żonie – nie wiem, czy sam pan jest żonaty, ale...

Tillotson: Jestem.

Armstrong: Czasem tak trzeba.

Tillotson: A zatem sądzi pan... chce pan zeznać, że pan Andreu również kłamał, mówiąc, że słyszał, jak opowiadał pan o tym, co kiedyś zażywał?

Armstrong: Na sto procent. Ale współczuję mu.

Tillotson: To znaczy?

Armstrong: No, wydaje mi się, że chce wesprzeć wersję swojej ślubnej.

Betsy i Frankie obstawali przy swojej wersji tego, co zaszło w pokoju szpitalnym. Co ciekawe, w sprawie w ogóle nie zeznawali przyjaciel i były trener Lance'a Chris Carmichael ani jego żona Paige, którzy powinni, jak można się było spodziewać, zostać powołani na świadków przez ekipę Armstronga. Podobnie jak Lisa Shiels.

Dla Stephanie McIlvain było to traumatyczne przeżycie i jestem pewien, że dałaby wszystko, byle tylko nie znaleźć się w świetle reflektorów. Wpadła jednak w pułapkę. James Startt, dzięki któremu dotarłem do Frankiego i Betsy, zeznał, że on i Stephanie McIlvain rozmawiali o zajściu podczas Tour de France w 2004 roku. Usłyszał wcześniej całą historię i kiedy wówczas nadarzyła się okazja, zapytał o nią Stephanie.

James zagadnął: „Czy to prawda – to, co się stało w tym pokoju w szpitalu... to, co opowiadała Betsy?”. A ona odparła: „Tak, to prawda”.

We wcześniejszym zeznaniu pod przysięgą SCA odnotowała słowa Kathy LeMond o presji, jaką odczuwali razem z Gregiem – presji tak silnej, że Greg, jak opowiedziała podczas rozprawy, zaczął nagrywać rozmowy telefoniczne dotyczące Lance'a. W lipcu 2004 roku nagrana została trwająca trzydzieści trzy minuty rozmowa ze Stephanie. SCA wezwała LeMonda do przedstawienia nagrania na rozprawie. Nie słuchało się tego

miło. Greg LeMond na początku rozmowy zapewnia Stephanie McIlvain, że nie nagrywa połączenia, potem mówi o niedawnych problemach osobistych, przez chwilę gawędzi o drobiazgach, wreszcie przechodzi do tego, co się działo w szpitalu.

LeMond przedstawia w zarysie historię ze szpitala w wersji Betsy i Frankiego, pytając Stephanie McIlvain, czy byłaby gotowa zeznawać, gdyby potrzebował jej pomocy w związku z ewentualnym procesem sądowym.

Stephanie: Gdybym dostała wezwanie, tobym zeznawała.

Greg: Tak?

Stephanie: Bo nie mam zamiaru kłamać. Wiesz, że ja byłam w tym pokoju. Ja to słyszałam.

Kontynuują rozmowę o Armstrongu. LeMond pozwala sobie na małą spekulację, co by było, gdyby cała legenda Armstronga legła w gruzach. Stephanie McIlvain wykazuje większy realizm:

Stephanie: No wiesz, Greg, cały szkopuł w tym, że teraz tyle osób go kryje, aż się niedobrze robi.

Greg: Ale ci, co go kryją, przecież wiedzą.

Stephanie: Wiem. Oni wszyscy wiedzą.

Greg: Tak?

Stephanie: Wiem – nie powtarzaj tego, ale wiem na pewno – że kiedy ukazała się ta cała książka, Chris Carmichael zadzwonił do mojego znajomego i powiedział: „Wiesz, siedzę sobie i zastanawiam się cały czas, kto tam wtedy był w tym pokoju. O ile sobie przypominam, to tak, przyznał się, co bierze. Ale wydaje mi się, że Stephanie i Betsy Andreu tam nie było, i chyba Lisy Shiels też nie”. Ja się tylko roześmiałam. Powiedziałam: „No, to mu powiedz, że ja tam byłam, bo pamiętam, jak sam [czyli Chris Carmichael] się rozglądał po pokoju, żeby zobaczyć, kto tam jest”. A znajomy odpowiedział: „O rany, no właśnie tak powiedział. Powiedział, że rozejrzał się po sali, żeby się upewnić, czy wszystkim można ufać”.

Ach, ta SCA. W SCA fajnie jest.

76 Z tekstem *L.A. Confidential* zapoznało się czternastu wydawców anglojęzycznych, z których wszyscy odmówili publikacji. W przypadku potencjalnych wydawców brytyjskich wystarczającym czynnikiem zniechęcającym okazała się wyrażona przez kancelarię Schillings groźba wniesienia pozwu przeciwko każdemu, kto powtórzyłby wobec Armstronga zarzuty przedstawione w książce.

77 Trzon spółki Tailwind tworzyła kadrowa grupa wpływowych ludzi biznesu, których połączyła wspólna fascynacja kolarstwem. Sponsorowali oni zespół US Postal Thomasa Weisela, a każdej wiosny spędzali jeden dzień na obozie szkoleniowym w towarzystwie Armstronga i reszty chłopaków. Weisel oraz pięciu innych inwestorów wyłożyli początkowo około dwóch i pół miliona dolarów na sfinansowanie późniejszej Tailwind Sports, spółki zarządzającej, która stała się właścicielem zespołu Postal. Grono właścicieli urosło ostatecznie do co najmniej dwudziestu osób, przy czym sama spółka wciąż odnotowywała straty.

Inwestorzy mieli również dobry dostęp do zespołu w czasie Tour de France. W trakcie wyścigu biznesmeni – jak na prawdziwych *macho* przystało – dosiadali rowerów i przejeżdżali niektóre odcinki trasy. Prowiant i bidony wieziono im w ciągnącym z tyłu konwoju samochodów. Serwowano im solidne posiłki i codziennie podwożono do najlepszych punktów widokowych. Dzień, podobnie jak w przypadku członków zespołu, kończył się masażem. Armstrong, który w zeznaniach w sprawie SCA złożonych w 2005 roku stwierdził, że posiadał około dziesięciu procent udziałów w spółce, w 2010 roku zmienił zdanie: „Byłem jednym z kolarzy zespołu. Zostałem zaangażowany przez Tailwind Sports, nigdy nic mnie nie łączyło z Postal Service – zero. Nie byłem właścicielem spółki [Tailwind Sports]. Nie miałem udziału w kapitale. Nie miałem udziału w zyskach. Nie byłem członkiem zarządu. Jaśniej nie umiem już tego wyrazić”.

Spółka Tailwind została zlikwidowana w roku 2007.

78 W rzeczywistości Betsy Andreu nigdzie w treści swojego zeznania nie stwierdza, by nienawidziła Lance’a Armstronga. Odnosząc się przy innej okazji do potajemnie nagranej taśmy, Timothy Herman poprosił Betsy, żeby przypomniawszy sobie, jak Frankie Andreu, mając spotkać się z Billem Stapletonem i Bartem Knaggsem we Francji w 2004 roku, zainstalował sobie podsłuch do nagrania tej rozmowy.

Herman spytał: „Nie wgłębiając się w szczegóły, podczas wspomnianej rozmowy z panami Knaggsem i Stapletonem, Frankie kilkakrotnie mówi, jak bardzo nienawidzi pani Lance’a Armstronga, zgadza się?”.

Betsy zaprzeczyła: „Nie, wspomina tylko, że my dwoje się nie lubimy, ale nic więcej”.

„Aha. A zatem to prawda, że nie lubi pani pana Armstronga?”

„Prawda, nie lubię go”.

ROZDZIAŁ 18

Stary, myślałem, że jesteśmy kumplami.

Lance Armstrong

Dla przyszłych biografów Lance'a Armstronga zeznanie pod przysięgą dostępne w Internecie w formie zapisu lub nagrania wideo stanowi istotne źródło informacji. „Zniesławianie mimochodem. Kompilacja”.

Przyjrzyjcie się mu. Lance siedzi cierpliwie, w liliowej koszuli, z fryzurą na jeża, i opisuje świat, w którym porządny człowiek jest nieustannie nękanym przez zastępy wszelkiej maści dziwek, pijaków, ćpunów, oszustów, kłamców i trolli. To zbyt wiele. On jest ponad to. Parokrotnie podkreśla, że jest zanadto zajęty, by móc zapoznać się z tym wszystkim, o co go pytają. Kiedy Lance nie psuje czyjejs reputacji, usiłuje przypomnieć sobie istotniejsze wydarzenia ze swojego życia. Ile dał? Co inni mówili? Kiedy spotkał najważniejsze dla siebie postaci? Wiele kwestii było wysoce niejasnych.

Armstrong miał też dar stwarzania trudności.

Tillotson: Czy zdołał pan przesłuchać taśmę, którą nagrał pan Andreu ze swojej rozmowy z panami Stapletonem i Knaggsem?

Armstrong: Nie.

Tillotson: Czy pamięta pan przedstawiony kilka lat później zapis tego nagrania?

Armstrong: Tak.

Tillotson: W porządku. Proszę spojrzeć na zakładkę 16, którą oznaczono jako „Andreu dowód rzeczowy 1”, przedstawiam panu kopię zapisu zaprezentowanego w czasie

zeznań... Nie pamiętam, wydawało mi się, że miał pan okazję zapoznać się z tym zapisem w czasie zeznania. Czy miał pan okazję, w trakcie zeznania lub od tamtego czasu, przejrzeć ów zapis?

Armstrong: Nie, proszę pana.

Tillotson: W porządku. Zamierzam teraz zwrócić – skierować – pańską uwagę na kilka wypowiedzi, proszę przejść do strony oznaczonej numerem trzy w zapisie... Jak pan widzi tu, na samej górze, pan Andreu miał powiedzieć: „Ona tego nie zrobi. Nie zrobiła – nie powiedziała Davidowi Walshowi o sali szpitalnej, wiem to z całą pewnością”... Po czym pan Andreu mówi: „Bo, wiecie, ja nigdy nie powiedziałem nikomu o sali szpitalnej”. Ktoś odpowiada: „Jasne”. „To znaczy, bo...”, dalej jest niezrozumiałe. „Szpital i... wiecie, ja nie wiem o [niesłyszalne] stało na sali szpitalnej, ale nigdy nikomu nie powiedziałem, bo ja... David Walsh dla mnie... co miałbym przez to gównem osiągnąć? Nic”. Widzi to pan?

Armstrong: Aha. Widzę. Trudno coś z tego zrozumieć, ale widzę.

Tillotson: Dobrze. Skoro pan Stapleton oglądał na sali szpitalnej mecz i wiedział, że incydent na tejże sali nie miał miejsca... domyśla się pan, czemu nie powiedział panu Andreu: „O czym pan, do diabła, mówi? Co pan ma na myśli, twierdząc, że nie powiedział pan nikomu o czymś, co nigdy się nie wydarzyło?”.

Armstrong: Cóż, nie sądzę, żeby miał zamiar go wtajemniczać, ale nie mam pojęcia, czemu tego nie powiedział.

Tillotson: Proszę przejść do strony piątej zapisu. Pozwoli pan, że zanim przejdę do pytań dotyczących niektórych wypowiedzi, zapytam pana o następującą rzecz. Czy wiedział pan, że panowie Stapleton i Knaggs mieli zamiar spotkać się z panem Andreu, aby omówić możliwość uzyskania od pana Andreu pisemnego oświadczenia w sprawie książki pana Walsh?

Armstrong: Nie. Nie przypominam sobie.

Tillotson: Nie upoważnił ich pan zatem do tego ani im pan tego nie nakazał? Zrobili to po prostu sami z siebie?

Armstrong: Nie przypominam sobie.

Tillotson: Czy zameldowali panu o spotkaniu z panem Andreu w czasie Tour de France w 2004 roku i o rozmowie na temat książki?

Armstrong: Nie przypominam sobie.

Tillotson: Dobrze. Zatem, czy zanim zostało to ujawnione w czasie zeznań pani Andreu, miał pan świadomość, że panowie Stapleton i Knaggs rzeczywiście rozmawiali z panem Andreu w czasie Tour de France 2004 w sprawie książki pana Walsh oraz możliwości uzyskania oświadczenia Betsy?

Armstrong: Myślę, że nie można tego tak ująć. To znaczy... Tour nie jest imprezą zamkniętą. Wszędzie są ludzie. Frankie należał do naszej drużyny. Ludzie, rzecz jasna, rozmawiali o książce, więc... to nie było zaskoczeniem, ale...

Tillotson: Czy pan Andreu należał do drużyny w 2004 roku?

Armstrong: Nie.

Tillotson: Dobrze. Tak więc sami chyba przyznali, że rozmowa odbyła się w 2004 roku. Musiała, ponieważ rozmawiali o książce pana Walsh, która została opublikowana dopiero w roku 2004. Prawda?

Armstrong: Zgadza się.

Tillotson: W porządku. Chyba nie całkiem zrozumiałem to, co pan powiedział. Czy przypomina pan sobie, żeby panowie Stapleton i Knaggs opowiadali panu o rozmowie z panem Andreu?

Armstrong: Nie – to znaczy nie o tej konkretnej rozmowie. Ale mogli powiedzieć, że widzieli się z Frankiem w hotelu albo wysiadłszy z autobusu. Nie wiem.

Tillotson: Dobrze. Przed zeznaniem pana Andreu dzwonił pan do niego, zgadza się?

Armstrong: Ja... tak.

Tillotson: Czy rozmawiał pan z nim?

Armstrong: Tak.

Tillotson: Dlaczego pan do niego dzwonił?

Armstrong: Cóż, chyba dzwoniłem, bo... bo my... ponieważ Kathy LeMond złożyła swoje zeznanie i opowiedziała mnóstwo niedorzeczności, o których po raz pierwszy słyszeliśmy.

Tillotson: Był jeszcze jakiś powód?

Armstrong: Oprócz przywitania się nie.

Tillotson: Czy próbował pan w jakikolwiek sposób wpływać na jego zeznanie?

Armstrong: Oczywiście, że nie.

Tillotson: Czy próbował pan go ostrzec?

Armstrong: Oczywiście, że nie. I nawet powiedział to w czasie rozmowy... powiedział: „W pełni rozumiem”. Powiedział: „Ja też o tym wszystkim nie słyszałem”. Nie. Ja...

Tillotson: Czy rozmawiał pan z nim na temat przypisywanych panu wypowiedzi w szpitalu uniwersyteckim w Indianie?

Lance nie tylko zadzwonił do Frankiego Andreu, zanim ten złożył zeznanie, ale rozmawiał też ze Stephanie McIlvain.

Tillotson: Czy rozmawiał pan ze Stephanie McIlvain przed jej zeznaniem?

Armstrong: Tak.

Tillotson: Kiedy pan z nią rozmawiał?

Armstrong: Nie pamiętam. Zadzwoniła do mnie w sprawie swojego sąsiada.

Tillotson: Czy chodziło o sąsiada, który potrzebował pomocy, tego, który choruje na raka?

Armstrong: Zgadza się.

Tillotson: W porządku. Pomijając prywatne kwestie związane z jej sąsiadem, o czym pan z nią rozmawiał?

Armstrong: Tylko o tym.

Tillotson: Czy rozmawialiście o jej zbliżającym się zeznaniu?

Armstrong: Nie.

Tillotson: Czy rozmawialiście o którymś z zeznań Kathy LeMond, Grega LeMonda albo państwa Andreu?

Armstrong: Nie.

Greg LeMond zeznał, że odebrał serię telefonów od osób z otoczenia Armstronga. Stwierdził, że John Burke, prezes firmy Trek, z którą obaj kolarze mieli umowy, powiedział mu, że osoby ze środowiska Armstronga naciskały, aby nakłonił go do wycofania zeznań na temat Ferrariego: „Lance próbował mnie przymuszać, próbował mnie zastraszać”.

Jeśli chodzi o Kathy LeMond, to w czasie składania zeznań załamała się. „Opinia publiczna stoi zdecydowanie po stronie Lance’a Armstronga i zbieramy gromy, jeśli powiemy o nim coś złego. A to jest trudne dla naszych dzieci”.

Otóż w porównaniu z wieloma szczegółami z zeznania Lance’a, co do których jego pamięć była tak słaba, że niemal go zawodziła, w tej jednej kwestii był niesłychanie precyzyjny. Nic dziwnego, że Kathy się załamała. Lance miał dla niej wiadomości na temat jej męża. Armstrong dokładnie pamiętał, jak zadzwonił do Grega po ujawnieniu przeze mnie sprawy Ferrariego. Biedny Greg. Widać, że ma wielkie problemy.

Armstrong: Zadzwoniłem więc do niego i powiedziałem: „O co tu chodzi?”.

Tillotson: Pamięta pan, co odpowiedział?

Armstrong: Usłyszałem jego wersję rozmowy, całkowicie odmienną od mojej, ponieważ Greg, o którego poważnych problemach z alkoholem i narkotykami wiedziałem, jest – był – wyraźnie pod ich wpływem: krzyczał, wrzeszczał. Musiałem w zasadzie trzymać telefon jakieś pół metra od ucha. Zdałem sobie wtedy sprawę, że mam do czynienia z szalonym człowiekiem, i próbowałem tylko... tylko przebrnąć przez tę rozmowę.

Tillotson: Aha.

Armstrong: Ale to była z jego strony napaść, co, jak widać, stoi w sprzeczności z tym, co do tej pory czytaliśmy i widzieli.

Tillotson: Pan pozwoli, że spytam o taką rzecz: to pan do niego zadzwonił? Nie on do pana? Zgadza się?

Armstrong: Ja zadzwoniłem do niego...

Tillotson: Dobrze.

Armstrong: ... do Four Seasons w Nowym Jorku.

Tillotson: Tak. Na...

Armstrong: Jego komórkę.

Tillotson: Z pańskiego telefonu komórkowego?

Armstrong: Nie. Na jego telefon komórkowy. Dzwoniłem ze stacjonarnego.

Tillotson: Żeby dowiedzieć się, czemu mówi takie rzeczy? Zgadza się?

Armstrong: Chyba raczej, żeby... To wyszło od Walsha. Rzecz jasna, nieszczerólnie ufam temu, co mówi David Walsh. Więc dzwoniłem, tylko żeby... tylko żeby wyjaśnić, czy naprawdę to powiedział.

Tillotson: Powiedział pan, że pan LeMond ma poważne problemy z piciem i narkotykami?

Armstrong: Znaczący... wie pan, nie chodzę się z nim napić, więc nie mam pewności, ale chyba dość powszechnie to wiadomo.

Tillotson: Czy zeznaje pan, że słychać było w czasie rozmowy telefonicznej, że jest pod wpływem alkoholu?

Armstrong: Był agresywny, wzburzony, zły, wojowniczy – jak pijana osoba.

Tillotson: Dobrze. Czy bełkotał albo zachowywał się w jakikolwiek sposób nieracjonalnie?

Armstrong: Chyba zawsze mówi dość bełkotliwie.

Jeff Tillotson twierdzi, że Armstrong powiedział Gregowi LeMondowi, iż wszyscy biorą środki dopingujące czy też że wszyscy to robią: „Daj spokój, Greg, wiesz, że wszyscy biorą”.

Tillotson: Czy to nieprawda?

Armstrong: Absolutnie nieprawda. Po co miałbym dzwonić do kogoś, żeby skrytykować go za mówienie, że biorę, a następnie powiedzieć, że wszyscy bierzemy? To śmieszne.

Po krótkiej dygresji wykazującej, że wspomnienia LeMonda z rozmowy były w całości wyssane z pijackiego palca, Armstrong ponownie wylewa nieco jadu:

Armstrong: A co najciekawsze w tej rozmowie – to zabrzmia niesamowicie dziecinnie – powiedziałem: „Stary, myślałem, że jesteśmy kumplami, wiesz, dobrze się między nami układało”. A on nadal krzyczał i powiedział: „Kumplami? Jak to kumplami? Nawet nie zaprosiłeś mnie w tym roku na Ride for the Roses”. Pomyślałem sobie: Moment. To o to tu chodzi? Powiedziałem: „Nie zaprosiliśmy cię, bo w zeszłym roku byłeś przez cały czas pijany. Organizowałeś konkurencyjne rozdawanie autografów, w czasie kiedy my próbowaliśmy pomagać w walce z rakiem”. Powiedziałem: „Zaprosiliśmy cię na galę, na której zamierzaliśmy przedstawić wszystkich obecnych – Miguela Induraina, Eddy’ego Merckxa, największych z wielkich. Pojawiłeś się dosłownie minutę przed tym, jak miałeś zostać przedstawiony. Oczywiście, że nie zaprosiliśmy cię kolejny raz”.

To wszystko stanowiło fascynujący obrazek ze świata, którego koniec, jak sądziliśmy, następował na naszych oczach. Gdyby nic nie wyniknęło ze sprawy SCA, a na to się zanosilo, umowa między firmą ubezpieczeniową a Tailwind Sports zobowiązywałaby ostatecznie SCA do zapłacenia całej kwoty w razie oficjalnej wygranej Lance’a w Tour de France 2004. Jeśli Lance nie wycofa się z decyzji o zakończeniu kariery, to odjedzie w stronę zachodzącego słońca sławiony na zawsze jako człowiek, który pokonał raka i zajął Francję, w tej kolejności, facet, który ochronił świat przed trollami.

Dziwne było to, kogo obawiał się najbardziej. Uważałem, że zeznania Betsy są istotne, ale że Emma bardziej szczegółowo i analitycznie

przedstawiła życie w drużynie US Postal. Byłem też pod ogromnym wrażeniem Stephena Swarta, podczas wspólnego pobytu w Nowej Zelandii w 2003 roku.

Wydawało się jednak, że najmocniej wstrząsnęła Armstrongiem właśnie Betsy. Aczkolwiek nie powstrzymało go to przed atakowaniem przy innych okazjach.

Tillotson: Ona [Emma O'Reilly] przedstawiła czy też powiedziała albo panu Walshowi, albo komu innemu, że w którymś momencie podczas wyścigu Tour de France poprosił ją pan o pozbycie się strzykawek.

Armstrong: Uhm.

Tillotson: Czy jest panu znane jej oświadczenie w tej kwestii?

Armstrong: To oświadczenie jest mi znane.

Tillotson: Czy to oświadczenie jest prawdziwe?

Armstrong: Absolutnie nie.

Tillotson: Czy używał pan kiedykolwiek w czasie wyścigu strzykawek – to znaczy: z uzasadnionych powodów?

Armstrong: Kroplówek używa się do uzupełnienia płynów. Jak w każdym sporcie.

Tillotson: Jasne. Ale słyszałem, że na przykład niektórzy zawodowi sportowcy, również kolarze, robią zastrzyki witaminowe, stąd potrzebne im są strzykawki.

Armstrong: Tak, jasne. Tak. I myślę, że w Europie jest to znacznie bardziej dopuszczalne niż w Stanach. W Europie lekarze chyba są... ekipa medyczna używa strzykawek, a tu, w Stanach, podaje się te środki doustnie.

Tillotson: Tak.

Armstrong: Nie jest to tam napiętnowane. W Ameryce widzisz strzykawkę i myślisz: O nie, czy on jest ćpunem? A w Europie jest to na porządku dziennym.

Tillotson: Moje pytanie brzmi: czy poprosił pan ją o pozbycie się strzykawek?

Armstrong: Nie.

Tillotson: Czy jednak mógł pan kiedykolwiek mieć przy sobie zużyte strzykawki w związku z jakimś wyścigiem?

Armstrong: Ja?

Tillotson: Tak.

Armstrong: Nie.

Przedstawiono Lance'owi wypowiedź Stephena Swarta na temat ustawiania wyścigów. Czy prawdą było zeznanie Stephena, że zaproponowano jego drużynie pięćdziesiąt tysięcy dolarów w związku z próbą ustawienia wyniku wyścigów, w których brał udział Lance?

Tillotson: Czy wie pan, dlaczego pan Swart to powiedział?

Armstrong: Jak już mówiłem, nie mam pojęcia dlaczego. Być może, podobnie jak Emmie O'Reilly, zapłacono mu za zeznanie, a on potrzebował pieniędzy.

Tillotson: Czy uważa pan, że to dlatego pani O'Reilly wypowiadała się na pana temat?

Armstrong: Zdecydowanie.

Tillotson: Bo potrzebowała pieniędzy?

Armstrong: Nie jestem jej doradcą finansowym, ale myślę...

Tillotson: Ale powiedział pan...

Armstrong: Wiemy już, że Walsh płacił swoim źródłom. Wcześniej temu zaprzeczał – a teraz przyznaje. Nie sądzę, żeby jakikolwiek szanujący się dziennikarz uważał, że to jest w porządku.

Tillotson: Czy ma pan jakiegokolwiek inne dowody wskazujące na to, że pani O'Reilly zmyśliła zeznanie w zamian za pieniądze, poza tym że...

Armstrong: Ja...

Tillotson: ... otrzymała wynagrodzenie?

Armstrong: Emma czy Stephen?

Tillotson: Emma. O, przepraszam...

Armstrong: Była wkurzona. Wkurzona na mnie, wkurzona na Johana. Naprawdę wkurzona na Johana. Wkurzona na ekipę. Obawiała się, że mamy zamiar ją wyrzucić jako – i to wszystko, co powiedziała – jako dziwkę czy coś takiego. Nie wiem. Ale przede wszystkim muszę przyznać... sądzę, że miała spory problem z Johanem... A to nie byłaby zbyt dobra książka, gdyby zatytułować ją „J.B. Confidential”. Nie sprzedawałaby się.

Były też oczywiście inne rzeczy. Fascynujące. Hein Verbruggen, prezes UCI, wystosował list mówiący o wszystkich testach antydopingowych, które Lance przeszedł, i o tym, jak doskonałe są jej laboratoria. Miejscami niefortunna chronologia wydarzeń groziła wpadnięciem w pułapkę nawet Armstrongowi.

Jeden z lekarzy sprawujących opiekę medyczną nad Armstrongiem, doktor Craig Nichols, obecnie szef instytutu hematologiczno-onkologicznego w Oregon Health & Science University, stwierdził w oświadczeniu złożonym pod przysięgą, że „nie przypomina sobie” żadnej wypowiedzi Armstronga w czasie leczenia, w której przyznawałby się on do zażywania środków dopingujących. Dodał: „Lance Armstrong nigdy nie przyznał, nie zasugerował ani nie zasygnalizował, że kiedykolwiek brał środki dopingujące”.

Zeznania Betsy i Frankiego Andreu zostały złożone 25 października 2005 roku w Michigan. 27 października uniwersytet stanowy w Indianie ogłosił, że fundacja Lance’a Armstronga przekazała półtora miliona dolarów na utworzenie etatu profesorskiego na onkologii. Pisemne zeznanie Craiga Nicholasa podpisane zostało 8 grudnia.

Kiedy zwrócono Lance’owi Armstrongowi uwagę na te daty, nie spodobało mu się naturalnie to, co z nich wynikało: „Rozumiem, że półtora miliona dolarów to mnóstwo pieniędzy. Ale sugerowanie, że sfinansowałem to stanowisko, aby otrzymać zeznanie albo czystą lub złagodzoną historię choroby, jest kompletnie niedorzeczne”.

Jeszcze zabawniejsza, jeśli ktoś lubi takie rzeczy, była kwestia dwóch z własnej woli wpłaconych przez Lance’a darowizn dla UCI, organu zarządzającego światem kolarskim. Kilka lat wcześniej zasilił jej kasę czekiem na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i według niej ostatnio zobowiązał się przekazać kolejne sto tysięcy. Niezwykle hojny gest jak na człowieka z tak niewielkim szacunkiem dla wszelkich instytucji i urzędasów, którzy je prowadzą.

Tillotson: Dobrze, rozmawialiśmy o WADA i UCI. Wpłacił pan datek czy darowiznę na rzecz UCI, zgadza się?

Armstrong: Owszem, tak.

Tillotson: Wie pan, kiedy to było?

Armstrong: Parę lat temu. Nie pamiętam dokładnie.

Tillotson: Na przykład w 2000 roku?

Armstrong: Nie wiem.

Tillotson: Pamięta pan, czy coś pana do tego skłoniło? Wie pan, robię coś, bo to albo to, albo to?

Armstrong: Robię to, żeby finansować walkę z dopingiem.

Tillotson: A co spowodowało... co pana do tego nakłoniło? To znaczy: czy był jakiś szczególnie powód?

Armstrong: Jeden powód, czyli wspieranie tej walki, tak jak robiłem to przy innych okazjach.

Tillotson: Czemu UCI? Czemu dał pan pieniądze akurat UCI?

Armstrong: Ponieważ jest naszym organem kierowniczym.

Tillotson: Dobrze. Ile pan ofiarował?

Armstrong: Chyba dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Tillotson: Mówi pan „chyba”...

Armstrong: Tak, mówię „chyba”, bo nie jestem na sto procent pewien.

Tillotson: Czy jednak było to coś około tej kwoty, jeśli pan... To nie byłoby...

Armstrong: Nie byłoby...

Tillotson: Dwieście tysięcy dolarów?

Armstrong: Nie.

Tillotson: Albo sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów?

Armstrong: Nie.

Tillotson: Pytam o to, czy to mogło być trzydzieści czy czterdzieści albo może dwadzieścia.

Armstrong: Mogło być. Nie sądzę, żeby tyle było. Myślę, że nie więcej niż trzydzieści.

Tillotson: Czy to był czek prywatny?

Armstrong: Nie pamiętam.

Tillotson: Czy przed wpłatą poinformował pan o niej UCI?

Armstrong: Nie pamiętam, ale nie sądzę. Nie wiem.

Tillotson: Przekazał pan dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, czy też w przybliżeniu dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, na rzecz UCI, ale nie pamięta pan, czy uprzedził, że wysłał pan czek?

Armstrong: Nie pamiętam.

Tillotson: Czy kiedykolwiek wcześniej przekazywał pan pieniądze UCI?

Armstrong: Nie.

Tillotson: Czy od tamtej pory przekazywał pan jej jakieś pieniądze?

Armstrong: Deklarowałem wsparcie finansowe, ale chyba jeszcze tego nie zrobiłem.

Tillotson: Kiedy deklarował pan wsparcie?

Armstrong: Nie pamiętam. Jakoś w tym czasie.

Tillotson: Nie. Miałem na myśli: kiedy złożył pan deklarację?

Armstrong: Jakoś w tym czasie. Nie pamiętam dokładnie⁷⁹.

Tillotson: Komu dał pan pieniądze?

Armstrong: Jak wysyła się czek czy przekaz telegraficzny, to nie wiadomo, kto je odebrał, ale...

Tillotson: Ale czy... czy dosłownie było tak, że któregoś dnia ktoś z UCI przychodzi, otwiera pocztę, a tam znajduje pański czek na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów?

Armstrong: No, nie wiem. Nie byłem przy tym obecny.

Tillotson: Dobrze. Ale czy poinformował pan o tym kogoś?

Armstrong: Powiedziałem panu, nie pamiętam.

Tillotson: W porządku. Czy rozmawiał pan z kimś z UCI w sprawie swojej darowizny?

Armstrong: Tak.

Tillotson: Z kim?

Armstrong: Rozmawiałem z Alainem Rumpfem, Heinem Verbruggenem, być może z innymi.

Tillotson: Czy wie pan, co zrobiono z pieniędzmi?

Armstrong: Właśnie powiedziałem, nie wiem.

Tillotson: Dobrze. Czyli nie wie pan, czy kupili za te pieniądze konkretny sprzęt? Nie były przeznaczone...

Armstrong: Czego nie rozumie pan w sformułowaniu „nie wiem”?

Tillotson: Nie ma pan zatem pojęcia, czemu przekazał pan dwadzieścia pięć tysięcy dolarów UCI. I nie wie pan nawet, czy dzwonił pan do kogoś, zanim...

Armstrong: Nie wiem. Teraz pana zaszokuję: mój styl różni się od stylu Davida Walsh'a – mam raczej wewnętrzną potrzebę, żeby wspierać uczciwe wyścigi, żeby wspierać czysty sport. W moim pojęciu pomawianie i zniesławianie wszystkich, kąsanie ręki, która cię karmi, i wciskanie kitu nie są dobrą taktyką. Ale zawsze jestem chętny do walki i oddany sprawie.

Przyjrzyjmy się Lance'owi Armstrongowi z tamtych czasów, a zobaczymy człowieka, który uważa, że w zasadzie uszło mu na sucho. Skończył karierę. Wrogowie zostali uciszeni lub zastraszeni przez prawników. Był ikoną. Musiał jeszcze przebrnąć przez tę ostatnią

niewygodę, a potem zabierze pieniądze i pojedzie surfować. Wszystko pozostanie na zawsze w archiwach, ale jeśli wygra, to wygra wiele. I na zawsze. Bawiło go więc to całe doświadczenie.

8 lutego 2006 roku zawarto ugodę. Firma SCA Promotions zapłaciła Armstrongowi i Tailwind Sports siedem i pół miliona dolarów – pięć milionów dolarów premii plus odsetki i honoraria prawników. Oświadczenie Armstronga pojawiło się później, kiedy zaczęły przeciekać wiadomości na temat zeznań: „Oskarżenia zostały odrzucone – powiedział. – To koniec. My wygraliśmy. Oni przegrali. Po raz kolejny całkowicie oczyszczono mnie z zarzutów”.

Niezupełnie. Chociaż „ostateczny werdykt sądu polubownego” stwierdzał, że sędziowie zawarli ugodę po „rozważeniu dowodów i zeznań”, ława przysięgłych nie wydała orzeczenia. Sprawa została zamknięta bez orzeczenia. Bob Hamman powtarzał zawsze: „Ława nie miała w tej kwestii głosu”.

Sprawa SCA była w pewnym sensie zakończeniem. Tak się przynajmniej wydawało. Lance Armstrong pożegnał się z karierą. Wszystkie zeznania składano pod przysięgą. Każdy ryzykowałby krzywoprzysięstwo, gdyby skłamał. Był to jedyny moment w całej historii Lance’a, w którym ludzie składali przysięgę⁸⁰. Nic jednak się nie stało. Przez lata dwanaście tomów zeznań i protokołów przesłuchań żyło sobie na emeryturze, zajmując masę miejsca w moim komputerze. Po czym, podobnie jak Lance, wróciły do aktywnego życia.

Czasem zastanawiam się, czy Bob Hamman od początku to zaplanował. Jest człowiekiem, który przez całe życie zajmował się badaniem przypadku i prawdopodobieństwa. Osoby, które grały z Bobem w brydża (i przegrały), mówią, że tym, co wzbudzało ich największy lęk, była jego zdolność

czytania w myślach i w kartach. On sam twierdzi, że ma coś, co określa jako „wnioskujący stan umysłu”.

Ja mam teorię, że cały okres zeznań i przesłuchań był sposobem Boba na rozwianie mgły i sprawdzenie, co trzyma w ręku jego przeciwnik. Istnieje w brydżu zagranie znane jako „psyche”. Jest to skomplikowana forma blefu. Gracz sygnalizuje jedną rzecz, a planuje inną. To znak firmowy Boba.

Musiał się szybko zorientować, że aby wystąpić o pieniądze, kiedy już arbitrzy podejmą decyzję w kwestii natury związku między SCA i Tailwindem, Lance będzie jedynie musiał udowodnić, że jest oficjalnym zwycięzcą odpowiedniego Touru. Bob jednak szedł dalej. Pozwolił, żeby urosły odsetki, żeby urosły honoraria prawników, aż nadszedł czas na rozliczenia. Zapłacił swój rachunek, ale do tego czasu, po raz pierwszy i jedyny, wszystko zostało spisane pod przysięgą.

Myślę, że Bob stworzył kapsułę czasu, do której w każdej chwili mógł wrócić i ją wykopać. Miesiąc po opublikowaniu przez USADA raportu w październiku 2012 roku przeczytałem, że prawnicy Lance’a zaproponowali SCA milion dolarów, żeby mieć pewność, iż sprawa nie będzie nad nimi ciążyć. Oferta została uprzejmie odrzucona. SCA chce więcej.

Razem z Pierre’em spoglądaliśmy czasem wstecz na *L.A. Confidential* i umiarkowane poruszenie, jakie wywołała. Przez jakiś czas nie dostrzegaliśmy szerszej perspektywy. Książka umożliwiła Bobowi Hammanowi zebranie dwunastu tomów zeznań pod przysięgą.

Można powiedzieć, że ostatecznie Bob Hamman miał szczęście. Lance wrócił do sportu nieoczekiwanie i nie miał wystarczająco dużej inteligencji emocjonalnej, żeby zdawać sobie sprawę z potrzeby utrzymania Floyda Landisa po swojej stronie. Można także powiedzieć, że odmowa zapłacenia

pięciu milionów dolarów nagrody w 2004 roku po prostu kosztowała Boba dodatkowe dwa i pół miliona kosztów sądowych na rzecz Armstronga i kolejne milion siedemset tysięcy dla własnych prawników.

To mnóstwo pieniędzy za tomy zeznań pod przysięgą i Bob, wypisując czek, nie był pewien, czy zrobił dobrze. Czy zatem po prostu miał szczęście? Wolę sądzić, że zrobił, co należało, odmawiając zapłaty pięciu milionów dolarów mężczyźnie, którego uważał za oszusta, i że ponieważ zrobił, co należało, zasłużył na nagrodę.

Ostatecznie Bob rozejrzał się i odkrył, że podoba mu się to, co trzyma w ręce. Miał w niej *L.A. Confidential*, asa w grze o wysoką stawkę.

⁷⁹ Okazało się, że deklaracja była jeszcze hojniejsza: sto tysięcy dolarów.

⁸⁰ W decyzji USADA dotyczącej Lance'a Armstronga odnotowano, że w postępowaniu arbitrażowym w sprawie używania przez pana Armstronga środków dopingujących w celu odniesienia jednego lub więcej zwycięstw w Tour de France pan Armstrong, pod przysięgą, podlegając karze za krzywoprzysięstwo, wypowiedział słowa, z których wynika, co następuje:

1. Doktor Ferrari nigdy nie przepisał, nie podał ani nie zaproponował żadnego środka czy programu dopingującego dla Lance'a Armstronga.

2. Nic w kontaktach Lance'a Armstronga z dr. Ferrarim nie wskazywało na to, że dr Ferrari zachęcał innych sportowców do stosowania środków dopingujących.

3. Lance Armstrong nie utrzymywał służbowych relacji z dr. Ferrarim od 1 października 2004 roku.

4. Lance Armstrong nie naruszył zasad UCI ani Tour de France w związku z Tour de France w latach 2001, 2002, 2003 i 2004.

5. Lance Armstrong nigdy nie stosował środków dopingujących w związku ze swoją karierą kolarską.

6. Lance Armstrong nie miał żadnej wiedzy na temat używania nielegalnych substancji przez Tylera Hamiltona, kiedy ten był członkiem jego drużyny.

7. Tyler Hamilton nie stosował środków dopingujących, będąc w drużynie Lance'a Armstronga.

Jak dowiodły zeznania licznych świadków w sprawie, każde z powyższych oświadczeń, złożone pod przysięgą i podlegające karze za krzywoprzysięstwo, było zasadniczo fałszywe i mylące, kiedy

je skladano.

ROZDZIAŁ 19

*Dobrzy ludzie śpią lepiej niż źli, ale złym
lepiej się wstaje.*

Woody Allen

W 2006 roku zrobiłem sobie przerwę. Rodzaj urlopu naukowego. Czas, żeby wyjechać, naładować akumulatory i w końcu napisać angielską książkę o całej tej historii. Byłem zadowolony, że wydawnictwo Ballantine Books, imprint nowojorskiego Random House, wydało *From Lance to Landis. Inside the American Doping Controversy at the Tour de France* (Od Lance'a do Landisa. Kulisy afery dopingowej Tour de France). W arktycznym świecie, gdzie mieszkają trolle, lód zaczął topnieć.

Był to też rok, w którym arbitraż SCA się zakończył, rok, w którym „Sunday Times” podpisał ugodę z Lance'em, rok, w którym Tour de France ruszył bez swojego siedmiokrotnego zwycięzcy.

Jest Tour. Nie ma Lance'a. Nie ma mnie. Nie przeszkadzało mi to. Paul relacjonował wydarzenie dla „Sunday Timesa”. Ja zajmowałem się innymi rzeczami. Trenowałem młodzieżową drużynę futbolową, pisałem książkę, siedziałem w domu i było to prostsze, niż się spodziewałem.

Wtedy Floyd Landis zwyciężył w Tour de France. A dzień później, jak mówią kolarze, wpadł. Czy troszkę zazdrościłem Paulowi? Nie. Strasznie zazdrościłem? Tak.

We Floydzie Landisie widzieliśmy geny, które pozwoliłyby Lance'owi kontynuować karierę. Bardziej przysadzisty, mocniej umięśniony, mniej przystojny, mniej przebiegły Floyd był jednak Floydem i miał siłę woli powodującą, że Lance wyglądał czasem przy nim jak mały kociak. Z niektórymi osobami w życiu nie należy zadzierać.

Floyd uszkodził sobie staw biodrowy w 2003 roku, podczas jazdy w okolicach San Diego. Nie złamał go w normalnym tego słowa znaczeniu: nie było żadnego pęknięcia. Nie, doszło do złamania szyjki kości udowej.

Dla większości ludzi byłaby to wskazówka, że należy zająć się czymś innym. Floydowi wszczepiono śruby z tytanu, każdą długości dziesięciu centymetrów, które miały utrzymywać głowę kości udowej na miejscu. Zaczepiały jednak o mięśnie i więzadła, wysuwając się w czasie treningu. Wymienił je więc. Następnego dnia poleciał do Europy, żeby przyłączyć się do chłopaków na obozie szkoleniowym przed Tourem. Przejechał cały wyścig do końca. To nic, że jego biodro właśnie sobie gniło jak zawilgłe polano.

Nienormalne. Nic związanego z Floydem Landisem nie było normalne.

Pochodził z najbardziej niezwykłego ze środowisk. Hrabstwo Lancaster w Pensylwanii zamieszkuje duże zgromadzenie żarliwych menonitów, co sprawia, że jest to miejsce w rodzaju: żadnego seksu, żadnych narkotyków, żadnego rock and rolla. Każdy pisarz chciałby napisać portret kolarza z czasów młodości.

Floyd dorastał w Farmersville jako menonita ze wszystkimi szykanami: kościół trzy razy w tygodniu, żadnej telewizji, żadnego sportu, żadnych ćwiczeń w niedziele, żadnego tańca, żadnych skąpych strojów, żadnego zadawania się z bezbożnymi. We wczesnych wyścigach nie mógł mieć na sobie szortów, inaczej stanąłby mu na przeszkodzie gniew boży. W końcu Floyd doszedł do wniosku, że Bóg ma poważniejsze zmartwienia.

Młody Floyd Landis zaczął pasjonować się kolarstwem górskim. Nieco to grzeszne, ale był w tym dobry. Kiedy miał szesnaście lat, rodzice wypożyczyli go na małą pogadankę: „Jeśli dalej będziesz zajmował się kolarstwem wyczynowym, twoja dusza będzie się smażyć przez całą wieczność”. Floyd w to nie wierzył. Być może Paul i Arlene Landisowie też w to tak naprawdę nie wierzyli. Stali się największymi fanami syna.

W wieku dziewiętnastu lat Floyd przeniósł się do Kalifornii. Obejrzał jeden film, *Szczęki*. Nigdy wcześniej nie próbował kawy, alkoholu ani seksu. Nadrobił to. W 1999 roku rozpoczął wyścigi szosowe i zaledwie trzy lata później podpisał kontrakt z US Postal. Trafił prosto pod skrzydła Lance’a.

Landis był zarówno dziwadłem, jak prostym chłopakiem. W Gironie, gdzie mieszkali Pocztownicy, wynajmował mieszkanie, które nawet dla ubogiego studenta byłoby małe. Dla profesjonalnego kolarza było śmiesznie małe. Po mieście poruszał się na deskorolce. Pracował jak wariat. Wszystko kwestionował. Bawił ludzi. Miał na sobie wypisane słowo „zwycięzca”.

Nic nie mogło go powstrzymać, nawet to biodro, które rozwalili w 2003 roku. Mógł wsiadać na rower tylko z jednej strony, nie był w stanie krzyżować nóg na siedząco i przez większość czasu cierpiał z bólu. Kto przejmowałby się piekłem w wieczności, skoro kolarstwo było piekłem na ziemi?

Lance wprowadził Landisa do sanktuarium z bezprecedensowym pośpiechem. Wkrótce jeździli razem na długich odcinkach. Duży brat. Mały brat. Lance widział talent tego dzieciaka. W 2002 roku i kolejny raz w roku 2003 Landis spędził pięć tygodni przed Tourem w St Moritz w towarzystwie Lance’a Armstronga i Michele Ferrariego.

Floyd był w środku, a jednak pozostawał na zewnątrz. Nieporuszony. Kiedy coś raziło jego wrażliwość, nie mógł tego znieść. Potrafił racjonalizować doping. Reszty nie tolerował⁸¹.

Nie podobało mu się, że kwestia kontraktów jest w drużynie owiana tajemnicą. Nie podobało mu się, że kolarze byli przeciw sobie podburzani. Nie podobały mu się durne przesady, pod których presją pracowali. Menonici z Lancaster zwykli mawiać, że żyją w świecie, ale ze świata nie pochodzą. Taki był Floyd Landis: w drużynie, ale nie z drużyny.

Opowieść o jego pierwszym wyścigu szosowym jest zawsze warta przytoczenia. Postanowiwszy, że nie zostanie zepchnięty na dalszy plan jako wiejski prostaczek z religijnymi zahamowaniami, pojawił się w kasku z osłoną na oczy, odblaskowej koszulce i skarpetach w kratkę. Prowadził masywny rower. Odchrząknął i oznajmił:

– Temu, kto ze mną zostanie, postawię kolację. – To bardzo rozładowało atmosferę. Wszyscy sądzili, że chłopak z farmy stroi sobie żarty. Wyjaśnił to nieporozumienie: – Nie powinniście się śmiać, bo to mnie wkurza. A jeśli mnie wkurzycie, to wszystkich was rozniosę w drobny mak.

Kiedy odskakiwał tego dnia od czołówki, krzyknął do nich: „Podobają wam się moje skarpetki? Co teraz o nich powiecie?”.

Kto nie chciałby pisać o wyścigu, który wśród najlepszych zawodników miał Floyda Landisa? Kto nie chciałby, żeby taka postać okazała się czysta? Mimo wszystko trzeba mieć nadzieję. Paul pojechał na Tour de France. Pisał wspaniale. Dostał więcej materiału, niż się spodziewał.

Wszystkie zapowiedzi nazywały ten wyścig otwartym. 1 lipca, tuż przed rozpoczęciem pierwszego Tournu po epoce Lance'a, kolarze, którzy w 2005 roku ukończyli go na drugim, trzecim, czwartym i piątym miejscu, zostali wykluczeni z powodu zamieszania ich lub ich drużyn w śledztwo

w sprawie stosowania nielegalnych środków dopingujących. Afere nazwano *Operación Puerto*, hiszpańska policja działała pełną parą przeciw dopingowi. Landis należał teraz do faworytów.

Chciało się w niego wierzyć i dobrym znakiem było to, iż powiedział, że nie oczekuje wygranej na żadnym z górskich etapów, chce tylko utrzymać pozycję podczas ostatniej czasówki w przeddzień zakończenia wyścigu. Prowadził, kiedy wjeżdżali w Alpy, ale zrzekł się zwycięstwa potulnie, ustępując w Alpach Óscarowi Pereirze, który rozpoczął ten dzień na czterdziestym szóstym miejscu, jakieś dwadzieścia osiem minut i pięćdziesiąt sekund za nim.

Na piętnastym etapie odebrał żółtą koszulkę, którą spokojnie oddał dwa etapy wcześniej. Do Alpe d'Huez przyjechał czwarty. Wyglądało, że jest w formie. Potem nastąpiły męczarnie na podjeździe do La Toussuire. Dziwnie dodawały one otuchy tym z nas, którzy przyglądali się im z daleka.

Landis dotarł do podnóża ostatniego w tym dniu podjazdu, na który kolarze od dawna gorzko narzekają, że jest za trudny, za ciężki. Kiedy dojeżdżał do miejsca, gdzie zaczynał się podjazd, miał spore towarzystwo. Byli tam wszyscy jego główni rywale, każdy wspierany przez dwóch lub trzech pomocników. Landis miał tylko jednego kolegę z grupy Phonak, ale ten jego *domestique* zniknął zaraz na początku 18-kilometrowego podjazdu.

Landis był tak narażony na niebezpieczeństwo jak pijana antylopa gnu, która wlaźła na popołudniowe barbecue dumnych lwów. Carlos Sastre, Hiszpan z drużyny CSC, rozpoczął ucieczkę. Był bezlitosny. Landis przygasł. Zaczął tracić minuty szybciej, niż mijały. Jedna, dwie, potem trzy i więcej. Im więcej tracił minut, tym mniej liczącym się był konkurentem. Wyglądał jak śmierć.

Dotarł do linii mety 182-kilometrowego etapu ze stratą ponad ośmiu minut do Sastrego i dziesięciu do zwycięzcy etapu Michaela Rasmussena z teamu Rabobanku. Rasmussen jechał doskonale, odrywając się od peletonu z dwoma innymi kolarzami po nieco ponad kilometrze od początku etapu, który obejmował przeprawę przez Col du Galibier, najwyżej położony punkt ówczesnej edycji Touru. Co za katorga. Tego dnia etap wspinaczki liczył 2000 metrów przewyższenia, osiągając podczas wspinaczki na ostatnich 42 kilometrach wysokość 2646 metrów nad poziomem morza.

Poprzedniego dnia Landis powiedział, że jest przekonany, iż może wygrać Tour. Teraz był jedenasty, z ponadośmiominutową stratą do lidera wyścigu Óscara Pereiry. Jeśli ktoś chciał wierzyć we Floyda Landisa, teraz nadszedł moment, żeby na niego postawić. Przy dobrze działającej maszynie dopingowej takie dni nie powinny się zdarzać. Już w 2006 roku doping mógł zapewnić pozbawienie życia emocji.

– Od początku cierpiałem, ale próbowałem to ukryć – powiedział po tym etapie. – W tym momencie nie sądzę, żebym wygrał Tour. Niełatwo jest odrobić osiem minut. Robiłem, co mogłem.

Teraz, z sześcioma zawodnikami, których dzieli od siebie cztery minuty, wyścig miał być rozstrzygnięty przed ostatnią jazdą na czas w sobotę, w przedostatni dzień Touru. To ten dzień Landis wybrał na swój wielki manewr.

Przedtem jednak wisiał nad nim kolejny zabójczy dzień. Ostatni etap górski – 200-kilometrowa mozolna harówka na czterech wyczerpujących podjazdach i szalonym 11-kilometrowym zjeździe do miasteczka Morzine.

I wtedy, powstawszy z martwych, Landis przypuścił atak na 130-kilometrowym odcinku pomiędzy trzema gigantycznymi alpejskimi przełęczami. Wygrał ostatni etap górski z niemal sześciominutową

przewagą, odrabiając jakieś trzy czwarte straty z poprzedniego dnia. Dla Jeana-Marie Leblanca była to podnosząca na duchu odpowiedź na jego modlitwy o koniec jednoosobowych wyścigów. Dyrektor Touru nazwał ten wyczyn najlepszą ucieczką, jaką kiedykolwiek śledził.

Później imponujący wjazd Floyda Landisa na trasie do Morzine tego dnia został porównany do wjazdu Chiappucciego na Sestriere czternaście lat wcześniej. Dla znających się na kolarstwie było to wysoce przygnębiające, ale może porównanie miało być w zamierzeniu bardziej trafne niż pochlebne.

Na drodze do Morzine ostatni podjazd, na imponującą Col de Joux Plane, jest po prostu morderczy. Ma prawie dwanaście kilometrów ze średnim nachyleniem ośmiu i pół procent. Dwa z ostatnich pięciu kilometrów wjazdu mają momentami dziesięcioprocentowe nachylenie. A potem ten przerażający 11-kilometrowy karkołomny zjazd do mety. Col de Joux Plane była jednym z nielicznych podjazdów, na których Lance Armstrong pokazał, że jest śmiertelnikiem. W 2000 roku niemal przeszedł tam zapaść i stracił dwie minuty do Jana Ullricha. Tego samego dnia 2000 roku Marco Pantani, z typowym dla siebie zapamiętaniem, przypuścił atak w mniej więcej tym samym miejscu, w którym zrobił to Landis. Pantani szybko dał za wygraną.

W 2006 roku Floyd Landis pochłonął całość.

To były emocje. W ciągu dwóch dni Floyd Landis spadł z pierwszego miejsca na jedenaste, po czym z powrotem odbił się na trzecie. Miał teraz tylko trzydzieści sekund straty do lidera wyścigu i swojego przyjaciela Óscara Pereiry z Hiszpanii. Kolejny Hiszpan Sastre był na miejscu drugim, ze stratą dwunastu sekund do lidera. Trzech kolarzy, których dzieliło od siebie trzydzieści sekund. Czasówka odzyskała swoją dawną znaczącą pozycję czynnika decydującego o wyścigu.

W podobnej wcześniejszej czasówce w pierwszym tygodniu Touru Landis przyjechał drugi, o ponad minutę przed dwoma wyprzedzającymi go obecnie w klasyfikacji zawodnikami. Jedyne kolarz, który go w tamtej czasówce prześcignął, miał teraz do niego ponad godzinę straty.

Przedostatniego dnia Touru Landis zakończył jazdę na czas na trzecim miejscu. To był koniec, naprawdę. Po wyścigu. Miał pięćdziesiąt sekund przewagi nad Pereirą i przeskoczył z trzeciego na pierwsze miejsce. Dzieciak z hrabstwa Lancaster wjechał do Paryża w żółtej koszulce lidera i zabrał ją ze sobą na szczyt podium.

Koszmar zaczął się następnego ranka, kiedy poinformowano Landisa o drobnym problemie z jego próbką moczu z Morzine. Zrezygnował ze swoich lukratywnych zobowiązań kolarskich do końca tygodnia, ukrył się gdzieś w Europie i czekał, aż wiadomość ujrzy światło dzienne. Cztery dni później jego zespół Phonak ogłosił światu smutne nowiny. Rok wcześniej Phonak przeszedł aferę Tylera Hamiltona, nie była to więc dla niego nowość.

Próbka moczu pobrana od Landisa tuż po jego imponującym i niezapomnianym etapie siedemnastym wróciła z wynikiem pozytywnym, mając niezwykle wysoki stosunek testosteronu do epitestosteronu. Stosunek ten niemal trzykrotnie przekraczał limit 4:1 dopuszczalny według norm Światowej Agencji Antydopingowej.

Późnym wieczorem w czwartek Landis przeprowadził krótką konferencję telefoniczną z amerykańskimi dziennikarzami. Kiedy zaczął głosić swoją niewinność, robił to z ciężkim sercem. Niewidzialna dłoń zdawała się kierować go w stronę życiowych zasad, w których wyrastał.

– Odpowiedź brzmi nie – powiedział po raz pierwszy zapytany, czy brał środki dopingujące. – Jednak problem polega na tym, że większość ludzi ma na temat kolarstwa wyrobione zdanie ze względu na to, jak się

w przeszłości rzeczy miały. Powiem więc nie, wiedząc, że mnóstwo ludzi założy, że jestem winny, zanim dostanę szansę, żeby się bronić.

Poprosił dziennikarzy o wyrozumiałość, o nabranie przez wszystkich dystansu.

– Nie wiem, jakie macie teraz nastawienie, i nie winiłbym was, gdyby było sceptyczne z powodu wszystkiego, przez co przeszło kolarstwo, i tego, jak potoczyły się inne przypadki. Proszę tylko, żebyście dali mi szansę na udowodnienie, że jestem niewinny.

Floyd Landis był złym aktorem, co wskazywało na to, że mógł nie być złym człowiekiem.

Prawdę mówiąc, jeśli wziąć pod uwagę ewolucję dopingu, nieco dziwne zdawało się, że ktoś, kto spędził tyle czasu w towarzystwie Michele Farrarięgo, wpadł za coś równie staromodnego jak testosteron. Może kara za niewłaściwą rzecz pokrzepiła go, ponieważ coraz głośniej protestował przeciw swojemu losowi. A jego wymówki stawały się coraz bardziej nieprawdopodobne. Tak kiepskie, że *The Late Show with David Letterman* stworzył jedną ze swoich słynnych list *Top Ten*, w której z niego drwił:

10. Tatusiowi zakręciło się w głowie od dużych wysokości w Alpach.
9. Kto mógłby się oprzeć testosteronowi z Balco o wybornym smaku „ostre chili”?
8. Chciałem zaimponować Cheryl Crow.
7. Uhm... globalne ocieplenie?
6. Świat już i tak nienawidzi Amerykanów, więc czy to naprawdę ma znaczenie?
5. Francuskie sukinsyny musiały nafaszerować mój quiche.
4. Chciałem umożliwić „New York Postowi” zamieszczenie przezabawnego tytułu *Fink Floyd*.
3. Hulk nie musieć się tłumaczyć.
2. Szczerze? Wolę się skompromitować, niż przegrać.
1. Walcie się – jestem pier... Floyd Landis.

14 maja 2007 roku wszczęto postępowanie arbitrażowe w sprawie oskarżeń USADA o stosowanie przez Landisa środków dopingujących podczas Tour de France. 20 września tego samego roku arbitrzy uznali Landisa za winnego. Skazano go na dwuletnią dyskwalifikację. Jego tytuł przekazano Óscarowi Pereirze.

Nadal trenowałem, zarzuciłem pisanie książki i dalej odpoczywałem od cotygodniowej harówki w gazecie. Trwało to do 2007 roku. Kolejny telefon od Alexa.

– Chcesz wrócić?

Chciałem.

81 Tyler Hamilton opowiadał o tym, jak po imponującym podejździe na Ventoux w czasie Dauphiné Libéré w 2004 roku dostał telefon od Heina Verbruggena z UCI. Verbruggen chciał się spotkać natychmiast po zakończeniu wyścigu. Na spotkaniu w Aigle, w Szwajcarii, główny lekarz UCI dr Mario Zorzoli przedstawił dane wskazujące na to, że Hamilton mógł przejść transfuzję krwi od innej osoby. Hamilton zachowywał się jakby nigdy nic, twierdząc, że to niemożliwe. Zorzoli nie drażył dalej sprawy.

Parę tygodni później w czasie Tour de France Floyd Landis powiedział Tylerowi Hamiltonowi, że ktoś zadzwonił z budki telefonicznej do UCI po wyścigu na Ventoux. Lance Armstrong na pierwszej linii.

ROZDZIAŁ 20

Widzę w nim moc urągliwą, wspartą przez niedocieczoną złośliwość. Owa rzecz niepojęta jest właśnie tym, czego głównie nienawidzę.

Herman Melville, *Moby Dick*

Kiedy leżysz sobie w namiocie w Gorak Shep 5170 metrów nad poziomem morza w sercu Nepalu, nie spodziewasz się, że Lance Armstrong zburzy himalajski spokój. Jednak wiadomość tekstowa od kolegi właśnie to zrobiła: „Landis, sensacyjne wyznanie, bomba, umoczeni Armstrong i reszta”.

To był, rzecz jasna, Paul Kimmage. Nie spodziewasz się esemesów w Himalajach. Nie spodziewasz się esemesów od Paula, pisanych czcionką o nazwie „Podniecenie”. Spokój wielkiej przygody został na chwilę naruszony.

Wędrówka w dół przez Lobuche i Dughlę aż do samego Pheriche zajmuje sześć godzin, długa trasa przecina starannie wydeptane ścieżki jaków, mijając kamienne mury i starożytne stupy. W Pheriche znajduje się kafejka internetowa. Co kolarstwo ze mną zrobiło! Jestem w najpiękniejszym, najodleglejszym, najspokojniejszym miejscu na ziemi i muszę dotrzeć do Internetu, żeby sprawdzić, co knuje Floyd Landis. Jestem chorym człowiekiem.

W końcu docieramy do Pheriche. Grupy niskich budynków o dachach z blachy falistej, pomalowanych głównie na niebiesko. Kafejka internetowa mieści się tuż obok Himalayan Rescue Association Clinic i nie jest trudna do odnalezienia. Nic nie jest trudne do odnalezienia w Pheriche.

Kafejka internetowa w Pheriche. Jakie to dziwne. Na kamienistej ulicy przed wejściem znajduje się rodzaj dziwacznej i błyszczącej współczesnej instalacji artystycznej. Rozpadający się budynek jest niski z przodu, ale rozbudowany do tyłu i w górę, w stronę, gdzie boczna grań potężnej góry schodzi w dół w kierunku rzeki o nazwie Tsola, a sznurek z praniem powiewa na lekkim wietrze. Na szczycie dobudówki wisi szyld: „Pheriche Internet Café. Bądź w zasięgu – gdziekolwiek jesteś. + Niemiecka piekarnia”. Sześćset rupii za dziesięć minut wolnego połączenia. Oby było warto.

Całą drogę wciąż powracało jedno pytanie: Czemu Landis to zrobił? Wygrał Tour de France w 2006 roku, pierwszy wyścig po epoce dominacji Lance'a, w której ostatnich latach był jego pomocnikiem. Następnie został zdyskwalifikowany z powodu pozytywnych wyników testu na obecność środków dopingujących. Mówiło się, że zebrał około miliona dolarów na Floyd Fairness Fund (fundusz sprawiedliwości). Wydał pewnie dwukrotnie tyle. Stracił też dwa lata i dwa miliony dolarów na nieudaną próbę oczyszczenia swojego imienia.

Powrócił do sportu po dwuletniej dyskwalifikacji, nadal głosząc swoją niewinność. A teraz to!

Co nagle spowodowało wyznanie tego, czemu tak długo zaprzeczał? Przyszedł mi do głowy D'Angelo Barksdale, postać z kultowego serialu Davida Simona *Prawo ulicy*. „Przeszłość jest zawsze z nami – powiedział D'Angelo swojemu koledze z celi więziennej. –Nasze pochodzenie, to, co przeżywamy, jak to przeżywamy, całe to gówno ma znaczenie... Jesteśmy

tym, kim byliśmy na początku, a to, co wydarzyło się wcześniej, wydarzyło się naprawdę”.

I jeszcze jedno pytanie. Czy ja oszalałem?

Jakiś czas temu w domu w Cambridge zadzwonił telefon. Odebrałem i usłyszałem mężczyznę mówiącego z lekkim południowoafrykańskim akcentem. Chciał się ze mną zobaczyć. Tak oto Lewis Pugh stanął w moich drzwiach. Lewis Pugh jest działaczem na rzecz ochrony środowiska, który manifestuje swoje poglądy, pływając. Pływał już we wszystkich oceanach na świecie. Ma zdolność kontrolowania temperatury ciała.

Woda na biegunie północnym miała minus 1,7 stopnia Celsjusza w dniu, kiedy Lewis zdjął ubrania i mając na sobie jedynie skąpe kąpielówki i czepek, wskoczył i przepłynął kilometr. Gdyby utonął, co mogło się zdarzyć, jego niczym nieasekurowane ciało opadłoby cztery i pół kilometra w ciemność, na samo dno oceanu. Odnalezienie go nie byłoby możliwe. Kiedy ludzie zastanawiali się, co on, na litość boską, robi, Lewis zadawał inne pytanie: Co my, na litość boską, robimy, że powoduje to topnienie tak dużej ilości lodowców arktycznych?

Jednak Lewis Pugh to nie tylko pływanie w zimnej wodzie, jak miałem się przekonać.

Kiedy do mnie zadzwonił, ktoś inny skończył właśnie pisanie jego autobiografii. Lewisowi się ona nie spodobała, pewnego dnia wszedł więc do Waterstones, wziął stos sportowych autobiografii pisanych przez ghostwriterów i przejrzał je jedna za drugą, aż znalazł taką, która mu się spodobała. Zwycięzcą był Lawrence Dallaglio, autor książki *It's in the Blood. My Life* (Mam to we krwi. Moje życie). To ja byłem ghostwriterem. Czasem wygrywa się na loterii, nie kupiwszy nawet losu.

Lewis odszukał mnie i zafascynowany nim, pomogłem mu napisać książkę. W 2010 roku przyszedł, chcąc wyrazić swoją wdzięczność w miły

sposób. Miał zamiar przepłynąć jezioro Pumori pod Mont Everestem, na wysokości pięciu tysięcy dwustu metrów, o temperaturze wody wynoszącej dwa stopnie Celsjusza. Dotarcie tam wymagało wyprawy z jakami i Szerpami przez najpiękniejszy kraj na ziemi.

To zmieniające życie doświadczenie. Nikt nie wraca z Nepalu bez nowego spojrzenia na istnienie. Tygodnie marszu, rozmyślań i spokoju są czymś, na co każdy powinien na jakimś etapie sobie pozwolić. Nie trzeba mnie było namawiać.

To był niezwykły czas na pobyt w Himalajach. Wyprawa tam uczy pokory, a pobyt w towarzystwie Lewisa, który próbował zwrócić światową uwagę na nadchodzący kryzys wodny, dawał ogromną satysfakcję. Co dodatkowo przejmujące, wiosna 2010 roku przyniosła nietypową odwilż na stokach samego Everestu i Nepalczycy korzystali z okazji, żeby usunąć ciała wielu alpinistów, którzy tam zginęli.

Przyszedł mi do głowy Yeats: „I będę sam, i będzie spokój – bo on jak miód”⁸².

Ale co tam. Po wiadomości tekstowej od Paula przyszedł telefon od Alexa. Nie spytał nawet, czy mam ze sobą laptopa. Moje wakacje w „Sunday Timesie” zawsze były względne, ale to mi odpowiadało. Właśnie kiedy mam odkryć tajemnicę wiecznego szczęścia, Alex pyta, czy chciałbym zająć się sprawą Landisa. Wieczne szczęście może poczekać.

Ujęcie w przyspieszonym tempie: mężczyzna w średnim wieku ze Slieverue w hrabstwie Kilkenny w Irlandii łapie swojego laptopa i parę rzeczy i wręcza te głęboko uduchowione przedmioty zaskoczonemu Szerpie. Sześć godzin w dół od szlaku do Pheriche. Znaleźć kwaterę. Trafić do kafejki internetowej (i niemieckiej piekarni). Zacząć dwudniową pracę na temat naćpanych kolarzy żyjących w innym świecie. Pisanie plecami do

Everestu. Historyczny wyczyn pływacki Lewisa przegapiony i natychmiast zapomniany. Cała troska o źródła wody na świecie wyparowała.

A jednak miło było znów poczuć się jak Ahab.

Zawsze powtarzam ludziom, że któregoś dnia wrócę w Himalaje. Tylko następnym razem zrobię to bez dwudniowej przerwy na pisanie o kolarstwie i przyjadę do domu w stanie wiecznego szczęścia.

Wracając do Floyda Landisa: ta historia stała się punktem zwrotnym. Najpierw trzeba było tego gościa zrozumieć. Zrozumieć, co go ukształtowało.

Można powiedzieć, że dwie osoby utrzymują, iż są Floydem Landisem. Jedna to dzieciak, który chciał wyrwać się z surowych menonickich pęt swojego wiejskiego środowiska w Pensylwanii i przeciwstawiał się rodzicom, wymykając się w ciemności, żeby trenować na spokojnych drogach dokoła Farmersville. Jego ojciec, przekonany, że syn szuka alkoholu lub narkotyków, śledził go. W czasie tych nocnych pościgów zobaczył inne oblicze swojego syna. Ten chłopak zostanie zawodowcem, zarobi masę pieniędzy, zażyje masę nielegalnych środków, opowie masę bajeczek i zamieszka w Kalifornii. Ale to nie z Kalifornii pochodził Landis. Był Floydem, synem Paula i Arlene, pobożnych członków menonickiej społeczności. Ludzi, którzy wierzyli w skromność, uczciwość i miłość Boga, którzy nie mylili swoich potrzeb z pragnieniami. Mimo wszystkich późniejszych wydarzeń Floyd kochał rodziców, szanował ich sposób życia.

„Jesteśmy tym, kim byliśmy na początku” – powiedział D’Angelo i w ciągu ostatnich paru tygodni Landis powrócił niepewnie do swoich korzeni. W jedynym wywiadzie od czasu doskonałego artykułu Reeda Albergottiego z „Wall Street Journal”, który opisywał szczegółowo życie, jakie prowadził, należąc do grupy Postal, powiedział Bonnie Ford z ESPN,

że nie chciał dalej „być częścią problemu”. „Chcę oczyścić sumienie” – dodał.

Bez niezwyklej historii jego życia trudno byłoby w to uwierzyć. Jednak Floyd Landis jest jedyny w swoim rodzaju. Jedna osoba. Dwie wersje.

Drugi Floyd Landis jest twardy i pragmatyczny. Lustruje teren. Ocenia, czego trzeba, żeby przez niego przejechać. Jedzie. Ściga się, żeby wygrać, ponieważ niezależnie od tego, co mówią w dzieciństwie, tylko wygrana się liczy.

W marcu 2007 roku pojechał do domu do Farmersville. Przemawiał do trzystu przyjaciół i sąsiadów i swoich rodziców w Performing Arts Center. Kiedy podniósł się, aby przemawiać, otrzymał długą owację na stojąco. Opowiedział im o swojej niewinności, o sile, którą daje mu pochodzenie z tego miejsca. Na końcu zmówiono wspólną modlitwę. Trudno sobie wyobrazić, co myślał Floyd Landis tamtego wieczoru, kiedy towarzyszące mu osoby zbierały po trzydzieści pięć dolarów od łebka, które mieszkańcy Farmersville zapłacili, żeby wesprzeć jego Fairness Fund.

Działął wtedy jako drugi Floyd Landis. Ten mężczyzna, który nie wahał się przed niczym.

E-mail wysłany przez Landisa do urzędników zajmujących się kolarstwem i walką z dopingiem w Europie i Stanach Zjednoczonych nie był atakiem na byłego kolegę z drużyny Lance’a Armstronga, lecz szczerym i płynącym prosto z serca wyznaniem własnych poważnych grzechów. Kolarze nierzadko przyznają się do dopingu, ale zazwyczaj usiłują oddzielić swoje czyny od reszty ludzi, chroniąc kolegów i współpracowników drużyny w poczuciu źle rozumianej lojalności.

Landis ujawnił wszystko. Kontekst, w jakim korzystał z dopingu, środowisko, towarzystwo. Palił za sobą mosty. Opowiedział o wsparciu i wiedzy, które jak twierdzi, otrzymał od swojego otoczenia. Podał

mnóstwo nazwisk. Przez trzy lata, od 2002 do 2004 roku, jeździł w US Postal. Nauka zaczęła się wcześniej:

LIST FLOYDA LANDISA DO UCI I USA CYCLING

6 maja 2010

2002. Johan Bruyneel poinstruował mnie, jak używać plastrów z testosteronem, w czasie czerwcowego Dauphiné Libéré, po którym poleciałem helikopterem z panem Armstrongiem z mety, chyba w Grenoble, do St Moritz w Szwajcarii, gdzie na oczach jego żony będącej świadkiem wymiany wręczono mi pudełko z 2,5 mg plastrów. Jakiś tydzień później doktor Ferrari dokonał pobrania pół litra krwi, która miała mi zostać podana w ramach transfuzji podczas Tour de France. Pan Armstrong nie był świadkiem pobrania, ale przeprowadziliśmy na ten temat długie rozmowy w czasie naszych treningów, kiedy to wyjaśnił mi też rozwój testów na obecność EPO i powiedział, że transfuzje są teraz konieczne z powodu kłopotliwości nowego testu. Wyjawił mi także wtedy, że pierwszego roku, kiedy użyto testu na EPO, pan Ferrari mający dostęp do nowego testu oznajmił mi, iż nie powinien więcej stosować EPO, jednak on nie uwierzył panu Ferrariemu i nadal je stosował. Później, po wygranej w Tour de Suisse, miesiąc przed Tour de France, wykryto u niego obecność EPO. Polecili wtedy z panem Bruyneelem do siedziby głównej UCI i podpisał umowę finansową z panem Verbruggenem w sprawie ukrycia pozytywnego wyniku testu.

To zaledwie początek listu, ale z pewnością przykuwa uwagę. Kilka smakowitych pieczeni na jednym ogniu. Floyd stawia zarzuty Armstrongowi, menedżerowi drużyny Johanowi Bruyneelowi i wielu innym. Nie robi tego umiejętnie. Tonacja jest beznamiętna i pełna rezygnacji. Słowa człowieka złamanego własnym oszustwem. Coś w jego wnętrzu powiedziało: dotąd i ani kroku dalej.

Kiedy znalazłem się w Pheriche, oskarżeniom, rzecz jasna, już zaprzeczono.

– To tylko nasze słowo przeciwko ich, a nam podoba się nasze słowo. Podoba nam się nasze stanowisko – powiedział Armstrong, który do tej pory potrafił odpierać ataki, sypiąc odpowiedzi jak konfetti.

Nie po raz pierwszy Armstrong mierzy w oskarżyciela. „Przypominam wszystkim, że to jest człowiek, który napisał książkę dla zysku, a teraz głosi zupełnie inną wersję”.

Pytanie: Której wersji należy wierzyć? Czy człowiek jest bardziej wiarygodny, kiedy jego historia opowiedziana jest dla zysku, czy jak w tym wypadku bez żadnej korzyści materialnej? Ci, których kariery zależały od wiarygodności kolarstwa, szybko potępili Landisa.

– Żal mi faceta, bo nie wierzę w ani jedno jego słowo – powiedział Pat McQuaid, prezes UCI. Tak wiele szczerów polerowało rury kanalizacyjne w poszukiwaniu lepszej pozycji, że można się było spodziewać małej nieostrożności po mniej od Lance’a doświadczonych w tym zajęciu.

Być może najbardziej Pata McQuaida niepokoiło rzucone pod koniec najbardziej złowrogie oskarżenie dotyczące zamiecienia pod dywan wyników testu na skutek wizyty Armstronga i Bruyneela u Heina Verbruggena, ówczesnego prezesa UCI. W rzeczywistości Armstrong wygrał Tour de Suisse w 2001 roku i nie startował w roku 2002⁸³.

McQuaid obrażał naszą inteligencję, mówiąc, że właściwie nie wierzy w przyznanie się Landisa do stosowania środków dopingujących.

Po co którykolwiek kolarz miałby twierdzić, że przez pięć lat stosował doping, jeśli tego nie robił? Rzeczą uderzającą w tych listach są proste szczegóły. Instrukcje Bruyneela, jak stosować plastry z testosteronem. Lot helikopterem z Armstrongiem z Grenoble do St Moritz. Ofiarowanie pudełka z plastrami przez Armstronga. Świadkiem tego wydarzenia była ówczesna żona Armstronga Kristin. W takich historiach oczekuje się, że

każdy winny będzie przeżywał moment na rozdrożu, kiedy musi zdecydować, czy odejść, czy zostać i podpisać pakt z diabłem.

Biedny Floyd Landis wylądował w drużynie, gdzie zwyczaj dopingu, jego rozmach i skala były już tak powszechnie uznane, że nie było chwili na zastanowienie. Zrobił to, co zrobił, żeby przetrwać, żeby iść dalej. Historia lotem błyskawicy rozniosła się po Europie, jak film o Jasonie Bourne. Następną była Hiszpania.

2003. Po złamaniu stawu biodrowego zimą poleciałem do Girony w Hiszpanii, gdzie tym razem pobrano mi dwie jednostki [krwi, pół litra każda] w trzytygodniowym odstępie. Odbyło się to w mieszkaniu pana Armstronga, w którym poproszono mnie, żebym został i sprawdzał codziennie temperaturę krwi. Trzymano ją w małej lodówce we wnęce razem z krwią pana Armstronga i George'a Hincapiego, a ponieważ pan Armstrong planował kilkutygodniowy wyjazd na trening, poprosił mnie o zatrzymanie się u niego i dopilnowanie, żeby nie wysiadł prąd albo coś nie stało się z lodówką. Potem w czasie Tour de France cała drużyna dwukrotnie udawała się do pokoju, który nam wskazano, gdzie czekał na nas lekarz, żeby dokonać transfuzji. Podczas Tour de France przetoczono mi krew. Byłem też świadkiem, jak poddawani byli transfuzji George Hincapie, Lance Armstrong i Chechu Rubiera. Także podczas Tour de France, dwa na trzy wieczory przez cały okres wyścigu, lekarz ekipy podawał mojemu współlokatorowi George'owi Hincapiemu i mnie małą strzykawkę oliwy, w której rozpuszczony był andriol, rodzaj przyswajalnego testosteronu. Tego roku poproszono mnie, bym wziął udział w Vuelta a España jako pomocnik Roberta Herasa, a w sierpniu między Tour de France a Vuelta kazano mi wziąć EPO, żeby podnieść z powrotem hematokryt i umożliwić kolejne transfuzje. Johan Bruyneel poinstruował mnie, abym poszedł do mieszkania Lance'a i wziął od niego EPO. Pierwsze EPO, jakie kiedykolwiek zażyłem, zostało mi wtedy podane w holu budynku, na oczach jego ówczesnej żony. To był eprex w sześciu odmierzonych strzykawkach. Stosowałem go dożylnie przez kilka tygodni, do kolejnego pobrania krwi, i nie miałem problemów na testach podczas Vuelta. W tym samym czasie Johan Bruyneel wyjaśnił mi, jak stosuje się ludzki hormon wzrostu, i kupiłem to, czego potrzebowałem, od Pepego, „trenera” drużyny, który mieszkał wtedy w Walencji z lekarzem teamu. Trenując przed Vuelta, spędziłem dużo czasu na ćwiczeniach z Matthew White'em i Michaelem Barrym, dzieliliśmy się testosteronem i EPO i omawiali stosowanie ich w czasie treningu. Ponownie w czasie Vuelta lekarz podawał nam andriol i przeprowadzał transfuzje, i nie mieliśmy problemów w czasie testów.

Z mojej małej cyberbudy w Himalajach dziwaczność życia profesjonalnych ćpunów zdawała się jeszcze wyraźniejsza. Oto był menonicki chłopiec, któremu ojciec na pewnym etapie dawał dodatkowe zajęcia, licząc na to, że zmęczenie zakończy jego zauroczenie kolarstwem. Chłopiec, który musiał walczyć i zerwać z tak wieloma rzeczami, jakie kochał, tylko po to, żeby móc jeździć. A skończył w Hiszpanii, opiekując się krwią w mieszkaniu najśłynniejszego na świecie pogromcy raka. Może to właśnie Floyd był autorem żarciku na temat Lance'a i tego, jak ciągle kap, kap, wyciekanie insynuacji i plotek, spowodowało, że krew mu zawrzała i dlatego trzymał tak dużo schłodzonej w lodówce.

W społecznościach menonickich, jak ta Floyda w hrabstwie Lancaster w Pensylwanii – spokojne miejsce o wielu urokliwych, pokrytych drewnem mostach – nie wierzy się w chrzest niemowląt. Nie trzeba zmywać żadnej plamy. Wierzy się, że ludzie rodzą się niewinni, ale ze skłonnością do grzechu. Potem rosną, aż osiągną wiek odpowiedzialności. Życie zawodowe Floyda zdawało się rozwijać według tego wzorca.

Armstrong go uwielbiał. Było we Floydzie Landisie coś rzadko spotykanego, coś nieuchwytnego. Jednak najmocniejsza strona Lance'a Armstronga była też jego największą słabością. Ludzie. Potrafił im imponować, oczarować ich, przypochebić się im, potrafił uzyskać miłość i lojalność. Ale kiedy już ich nie potrzebował, nie umiał utrzymać relacji. Nie wyczuwał potrzeb innych. Lance mógł zmienić swoje nastawienie do Floyda Landisa. Ale czy Floyd nigdy nie zmieniłby swoich poglądów na temat Lance'a? Z pewnością tak.

Po Tourze w 2004 roku konkurencyjna drużyna Phonak złożyła Floydowi Landisowi korzystną ofertę. Miał dostać dwa razy tyle, ile proponował team US Postal. Lance Armstrong mógł to zmienić jednym

telefonem. Nie zrobił tego. Floyd odszedł. Lance przypiął mu etykietę zdrajcy.

Pięć lat minęło i Floyd wygrał Tour de France, a potem stracił wygraną z powodu wykrycia dopingu. Przeszedł dwa lata dyskwalifikacji i zrobił to, co robią dobrzy żołnierze: zachował tajemnice pelotonu. Kiedy wrócił i przycisnął nos do szyby, żeby spojrzeć na kolarski świat, swój świat, Lance Armstrong kazał zaciągnąć zasłony.

Floyd był jedną ofiarą za dużo.

To nie jego pochodzenie ani szczerść powodują, że jego e-maile są tak fascynujące. Oto kolarz zdyskwalifikowany po wygraniu Touru w 2006 roku, człowiek, który spojrzawszy światu prosto w oczy i powiedział, że nic takiego się nie stało. Oto człowiek, który miał dużo, wyjątkowo dużo kłopotów, gość, który napisał książkę zatytułowaną *Positively False*. A teraz nie tylko przyznaje się do wieloletniego stosowania dopingu, ale także ujawnia dowody, które mogą zakończyć całą sprawę.

Prawda? Nie zniesiecie prawdy!

Zbyt łatwo jest odrzucić to, co napisał, jako najnowsze wynurzenia w operze mydlanej ewidentnego kłamcy. Floyd Landis kłamał i oszukiwał. Miał swój udział w tym sposobie życia, ale gdzieś w niedalekiej przeszłości dotarł do rozdroży i postanowił, że koniec z tym. A teraz, tak samo jak kiedy był kolarzem, nie ma kompromisów ani półśrodków.

2004. Ekipa ponownie zrobiła mi dwie oddzielne transfuzje, jednak tym razem Bruyneel wpadł w paranoję i pobraliśmy krew, poleciawszy do Belgii, gdzie spotkaliśmy się w mieszkaniu nieznanego człowieka, a krew przewiózł „Duffy”, ówczesny swego rodzaju asystent Johana. Drugą transfuzję przeprowadzono w autobusie drużyny w drodze z mety etapu do hotelu, w czasie której kierowca udawał, że ma kłopoty z silnikiem, i na godzinę z hakiem zatrzymał się na pustej górskiej drodze, żeby cała drużyna mogła dostać dodatkowe pół litra krwi. To był jedyny wypadek, kiedy widziałem, jak cały zespół dostaje

krw na oczach pozostałych kolarzy i kierowcy autobusu. Lance Armstrong, George Hincapie i ja byliśmy jedynymi Amerykanami w drużynie.

2005. Do tej pory nauczyłem się, jak samodzielnie wykonać większość technicznych elementów transfuzji i innych rzeczy, zatrudniłem więc Allena Lima jako asystenta do pomocy w ustalaniu szczegółów i logistyki. Pomagał Leviemu Leipheimerowi i mnie przygotowywać krew do transfuzji dla Leviego i dla mnie i pilnował, żeby była trzymana w odpowiedniej temperaturze. Obaj mieliśmy dwie oddzielne transfuzje w czasie tego wyścigu, chociaż mój hematokryt był zbyt niski na początku, zrobiłem więc pierwszą transfuzję kilka dni przed startem, żeby nie rozpoczynać z niedoborem.

2006. Rozumiecie, o co chodzi... Rzeczą wielkiej wagi jest to, że usiadłem z Andym Riisem i wytłumaczyłem mu, co robiono w przeszłości i jak bardzo ryzykuję, i poprosiłem go o pozwolenie, którego udzielił mi w postaci funduszy na przeprowadzenie opisanego przedsięwzięcia. Poinformowałem też Johna Lelanguego, a Andy Riis omówił sprawę z Jimem Ochowiczem, zanim się zgodził. W dziennikach mam znacznie, znacznie więcej szczegółów i jestem w trakcie spisywania przejrzystej historii, ale ponieważ stanowisko USAC głosi, że nie padło wystarczająco dużo szczegółów, które mogłyby uzasadnić angażowanie w to USADA, podaję ich tyle, ile w granicach rozsądku mogę umieścić w e-mailu, i dzielę się nimi z wami w celu ustalenia, na jakiej podstawie USA Cycling wysuwa takie oskarżenia. Jak tylko uzyskam zapewnienie, że mogę ufać, iż zrobicie, co należy, otrzymacie znacznie więcej informacji.

Floyd Landis

Po drodze z Gorak Shep do Pheriche i później przez dwa dni w kwaterze przychodziła mi do głowy myśl, że te oskarżenia nie są zawieszane w próżni. Pojawiły się w momencie, kiedy sądziłem, że cała historia Lance'a Armstronga się zakończyła, że pogoń za Lance'em była okresem w moim życiu, który będę musiał potraktować jako nauzkę.

Jednak to, co mówi Floyd Landis, jest interesujące: to bezpośrednio dowody i zgadzają się z tym, co wyszło na jaw do tej pory. Siedem lat wcześniej siedziałem w domu pod Liverpoolem z Emmą O'Reilly i słuchałem jej opowieści o wyrzucaniu strzykawek, przekraczaniu granic

i przekazywaniu Armstrongowi preparatów na parkingu McDonalda pod Niceą. Opowiedziała mi o ukrywaniu śladów wkłucia po zastrzykach i o wystawianiu przez drużynę recept z wcześniejszą datą na kortykosteroidy. Zeznała to wszystko pod przysięgą w 2006 roku.

Siedziałem w Himalajach w pokoju, słabo oświetlonym, nie licząc światła z mojego laptopa, i myślałem o Frankiem i Betsy w Detroit. O wszystkich telefonach i rozmowach. O historiach, które znali z czasów eurokolesi, młodych amerykańskich kolarzy pnących się w górę albo spadających na dno w starym świecie. To wszystko też zeznali pod przysięgą. Armstrong powiedział, że Betsy jest rozgoryczona, napędzana jedynie odczuwaną do niego nienawiścią. Drużyna Frankiego nie mogła wziąć udziału w wyścigach sponsorowanych przez właściciela zespołu.

I o tym wieczorze w październiku 2003 roku spędzonym w Aucklandzie w domu Stephena Swarta, który jeździł z Armstrongiem dla Motoroli w latach 1994 i 1995. Stephen powiedział, że Armstrong był w drużynie głównym głosem popierającym doping. Swart później powtórzy te oskarżenia pod przysięgą. Armstrong określił go mianem rozgoryczonego byłego kolegi z teamu.

Pomyślałem też o Mike’u Andersonie, osobistym asystencie zatrudnionym przez Armstronga na dwa lata, 2003 i 2004. Ten gość był tak kluczową postacią w życiu rodziny, że Kristin Armstrong nazwała go H2, *husband number two* (mąż numer dwa). Spotkałem się z Andersonem w Austin w Teksasie, gdzie opowiedział mi o dniu, który zmienił jego spojrzenie na Armstronga.

Wiosną 2004 roku Armstrongowie się rozeszli. Lance związał się z piosenkarką Sheryl Crow i miał zabrać ją po raz pierwszy do Girony. Według Andersona, który był w Gironie przed swoim szefem, Armstrong zadzwonił i poprosił go, żeby obejrzał mieszkanie i „od-Kikował” je

(Armstrong nazywał swoją byłą żonę Kik). Wykonując polecenie, Anderson, jak twierdził, znalazł w szafce z lekami buteleczkę z napisem „androstenone” i sprawdziwszy w laptopie listę zakazanych medykamentów, stwierdził, że jego szef stosuje doping.

Od tej pory ich relacje nigdy nie były takie jak dawniej. Kiedy Mike Anderson ujawnił publicznie swoje odkrycie, Armstrong zlekceważył go jako rozgoryczonego byłego pracownika.

Kontakt z Emmą O'Reilly, Swartem, małżonkami Andreu i Andersonem utrzymywałem długo po zakończeniu wywiadów. Ujmując to nieco melodramatycznie, byliśmy jak grupa ocalałych. Kiedy ludzie z naszego otoczenia zaczęli mieć dość naszego mówienia o Lansie i wielkim skoku, zawsze mogliśmy porozmawiać między sobą. I jedna rzecz nieustannie mnie zastanawiała: Dlaczego wszyscy ci porządni ludzie mieliby wymyślać podłe kłamstwa na temat Armstronga?

Teraz Floyd Landis dokładał swoją historię.

Leżąc w tym namiocie w Gorak Shep, skierowałem myśli w stronę jego poprzedników. Różnica w e-mailach Landisa polegała na sposobie przedstawienia. Nie zaprezentował ich publicznie. Zamiast tego spoliczkował nimi jak parą rękawiczek władze kolarskie i świat antydopingowy. Żądał satysfakcji. Stawiał wyzwanie ich honorowi, świeżo odkrywcy na nowo własny. Co zamierzacie z tym zrobić?

Na szlaku jaków mówiło się, że Amerykańska Agencja Antydopingowa była tym zainteresowana, poważnie zainteresowana, a śledczy federalny Jeff Novitzky miał zamiar zarzucić sieci w wodach, gdzie pływały grube ryby.

Podobał mi się wybór Novitzky'ego. Mieszka w Burlingame na obrzeżach San Francisco, jakieś półtora kilometra od Bay Area Laboratory Co-operative. Jego najważniejsza sprawa, sprawa BALCo, rozwijała się

niemalże na jego progu. Praca nad osławioną sprawą BALCo, dotyczącą zaopatrywania baseballistów z Major League w sterydy, udowodniła jedną rzecz. Kłamstwo może ujść na sucho w wielu wypadkach, ale okłamywanie śledczych federalnych to kiepski pomysł. Federalni mają większą władzę niż my, trolle. Floyd Landis, najdziwniejszy i najtrudniejszy do rozgryzienia koleś z całego peletonu, otworzył puszkę Pandory.

Gdyby Jeff Novitzky uznał kiedyś, że drużyna US Postal prowadziła program dopingowy, Armstrongowi i innym groziłoby postawienie zarzutów. Gdyby Jeff Novitzky uznał kiedyś, że przez Tailwind Sports agencja rządowa US Postal Service została okradziona, oskarżenia byłyby znacznie poważniejsze. Kary za sprzeniewierzenie takich funduszy są drakońskie.

Floyd Landis z hrabstwa Lancaster podpalił taki lont, że fajerwerki widziałem aż w Himalajach. Rano zafundowałem sobie prysznic, przyjemność, która kosztowała więcej niż pokój. Znalazłem swojego uśmiechniętego Szerpę za siedem dolarów dziennie i wyruszyłem, żeby przyłączyć się z powrotem do oddalonej o sześć godzin grupy. Lewis, jak się okaże, przepłynął lodowate jezioro w dwadzieścia dwie minuty. Przeżył i zmanifestował swoje poglądy.

Jednak w drodze powrotnej pogrążony byłem we własnym małym świecie. Myślałem o tej długiej podróży przez świat kolarstwa, o szczęśliwej niewinności początków. O sporach z Paulem na rue Kléber nad kawą i „L'Équipe”. Myślałem o pierwszych przesłankach, że coś jest nie tak z tym ukochanym przez nas sportem, o pierwszym uzmysłowieniu sobie, że nasi bohaterowie mają nieczyste sumienie i wiadra pigulek. Tak bardzo zagłębiliśmy się w ten świat i w końcu zacząłem myśleć, że nie da się go zmienić.

Lewis Pugh na tej wielkiej górze miał większe szanse, żeby coś zmienić, niż ja. Mógł ocalić świat. Nikt nie mógł ocalić kolarstwa. A oto jednak Floyd Landis przejął to zadanie. Coś znów ruszyło.

Wędrowałem przez Himalaje, przegapiwszy to, co przyjechałem tu zobaczyć, ale szczęśliwszy, niż czułem się od dłuższego czasu. Po powrocie z tego miejsca nikt nie jest tym samym, kim był przed wyruszeniem.

Dzięki bogom za dar Internetu! Znacznie ułatwia drogę do oświecenia.

.....

[82](#) Fragment wiersza *Innisfree, wyspa na jeziorze* w przekładzie Stanisława Barańczaka, w: tenże, *Wiersze wybrane*, wybór Wanda Rulewicz, Tomasz Wyżyński, oprac. Wanda Rulewicz, Wrocław – Warszawa – Kraków 1997 – przyp. tłum.

[83](#) Tę kwestię traktuje się obecnie jako zwykły błąd, a nie powód do wątpienia w istotę historii. W *The Secret Race* Tyler Hamilton napisał: „Tak, u Lance’a wykryto obecność EPO podczas Tour de Suisse. Wiem, ponieważ mi powiedział”. Dalej Hamilton cytuje w tej kwestii Armstronga: „Bez obaw, stary, spotkamy się z nimi. Wszystko już załatwione”. Jeszcze dalej Hamilton pisze znów, że słyszał rozmowę telefoniczną Armstronga z Heinem Verbruggenem w autobusie drużyny: „Mógł równie dobrze rozmawiać z partnerem biznesowym, przyjacielem”. Przedstawiciele UCI twierdzą, że wynik testu Armstronga z 2001 roku z Tour de Suisse był „podejrzany”, a nie pozytywny.

To w tym czasie Armstrong przekazał UCI darowiznę w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów na rzecz walki z dopingiem.

W październiku 2012 roku Pat McQuiad, prezes UCI, określił Landisa i Hamiltona mianem „kanalii”.

ROZDZIAŁ 21

24 lipca 2005

To był burzliwy romans, jednak Lance Armstrong żegna się z Tour de France. Po siedmiu wygranych z rzędu, poprzedzonych pokonaniem raka jąder, Strażnik z Teksasu odchodzi. Tytułem ustępstwa w uznaniu osiągnięć i jako wyraz swoistego zawieszenia broni między nim a francuskimi kibicami Armstrongowi

*Przykro mi, że nie wierzycie w cuda. Ale to jest niesamowity wyścig. To wspaniałe wydarzenie sportowe i powinniście uwierzyć. Powinniście uwierzyć w tych sportowców i powinniście uwierzyć w tych ludzi. Do końca życia będę kibicem Tour de France. I nie ma tu żadnych tajemnic – to ciężki wyścig i wygrywa się go ciężką pracą. **Lance Armstrong***

pozwolono na wygłoszenie mowy pożegnalnej. Oglądany przez trójkę swoich dzieci, mówi w romantycznych słowach o wyścigu, który do niego należał. Ma parę słów dla wyklętego ludu ziemi. Żal mu, jak mówi, tych, którzy nie potrafią marzyć. Twierdzi, że chce, aby Tour był wiecznie żywy. Ma ciepłe słowa dla swoich dawnych rywali stojących z nim razem na podium, Jana Ullricha i Ivana Bassy. I już go nie ma. Pustka jest odczuwalna. Wiatr przegania tumany kurzu przez wymarłe miejsciny działów sportowych. W ciągu siedmiu lat Lance Armstrong dominował całą debatę, wszystkie plotki, domysły i wszystkie etapy. Pozostawia po sobie pole, na którym brakuje człowieka jego formatu. Dla jego miłośników i oponentów właśnie zaczęła się post-Lance'owa epoka w świecie kolarskim. Elvis opuścił okręt.

27 lipca 2006

Francja wrze od spekulacji, od kiedy UCI ujawniła rano po zakończeniu Tour de France, że u niewymienionego z nazwiska kolarza wykryto w ostatnim tygodniu wyścigu obecność środków dopingujących. Kiedy Floyd Landis, zdobywszy poprzedniego dnia pierwsze miejsce, odwołuje

Oświadczam twardo i kategorycznie, że moja wygrana w Tour de France jest wyłącznie wynikiem wieloletniego treningu i mojego całkowitego oddania kolarstwu. **Floyd Landis**

swój udział w wyścigu w Holandii, spekulacje rosną. Dzisiaj, cztery dni po jego triumfie, potwierdzono, że zwycięzca Touru miał pozytywny wynik testu. Po siedmiu latach spekulacji na temat Lance'a Armstronga jego następcą wpadł niemal na zwycięskim podium. Floyd Landis, z barkami chłopaka z farmy, rudymi włosami i propellerem w miejscu bioder, przygotowuje się do wytłumaczenia przed światem.

Tymczasem we Włoszech, niemal w tym samym czasie co Tour, zakończył się jednodniowy wyścig Granfondo Michele Bartoli dla zaawansowanych amatorów. Granfondo jest włoskim odpowiednikiem wyścigu Tour de Flanders, z mnóstwem brukowanych odcinków i ostrych zjazdów. W niedzielę pewien kolarz z drużyny Partizan Whistle wjeżdża pod stromym łukiem do Monte Carlo na dobrej pozycji w stawce. To ma być jego ostatni wyścig. Jego żona Yuliet właśnie uciekła z Kuby. Jeszcze jeden wyścig, a odłoży swoje marzenie i znajdzie pracę, z której będzie mógł ich oboje utrzymać. Jednak na osiemset metrów przed metą upada. Zwykła wywrotka. Nie zastanawiał się nad tym, dopóki wieczorem w hotelowym łóżku nie zauważył, że jeden pośladek ma groteskowo spuchnięty. Poszedł do szpitala. W czasie gdy Floyd Landis stawia czoło świeżo rozpiętanemu piekłu, rankiem w czwartek kolarz leży na stole operacyjnym gdzieś w Toskanii. Otwierają go, licząc, że uda się wykonać

drenaż krwiaka i uratować mu życie. Nie jest to łatwe. Poziom hematokrytu wynosi 58. Jedna czwarta krwi to pozostałość po EPO. Reszta jest rozrzedzona lekami przeciwzakrzepowymi. Patrzą na tego szalonego głupca, który ryzykował życie dla kolarstwa.

Ma szczęście, że przeżył.

Jak Floyd Landis jest Amerykaninem z Pensylwanii. Nazywa się Joe Papp. Jest pięć miesięcy starszy od Floyda.

Koniec 2006 roku

Oto Kayle. Wygląda jak postać z powieści Elmore'a Leonarda, ale Kayle Leogrande, gość od tatuaży, jest z krwi i kości i stanowi źródło kłopotów Lance'a.

Kayle był niezłym juniorem, po czym porzucił wszystko w wieku osiemnastu lat. Ożenił się, spłodził dzieci, rozwiódł się, został tatuażystą. Jeśli czujecie potrzebę wytatuowania się u gościa, który zajmuje poczesne miejsce w historii sportu, wiedzcie, że jest właścicielem studia na parterze centrum handlowego w Upland w Kalifornii.

Tak czy inaczej, po dziewięciu zmarnowanych latach Kayle wrócił do kolarstwa. W 2004 roku obejrzał Lance'a w telewizji i to go zainspirowało. W roku 2005 przeszedł na zawodowstwo w ekipie Jelly Belly-Kenda. W 2006 wrócił do amatorstwa. W 2007 znów zaczął jeździć zawodowo z Rock Racing. Zdawało się, iż drużyna rozumie, że niektórzy mają za sobą przeszłość.

Leogrande pierwszy raz kupił EPO pod koniec 2006 roku od Joego Pappa. Papp wrócił do Stanów. Sześć tygodni przed tym jak omal nie umarł we Włoszech, w czasie Presidential Cycling Tour of Turkey, miał pozytywne wyniki testu. Im niżej znajdujesz się w łańcuchu pokarmowym, tym bardziej nieuczciwie stosujesz środki. Wybór do testu w jednym z tych

wyścigów nic nie oznaczał. Drużyna zawsze coś wymyśli. A to łapówkę. A to sfałszowanie próbki przez strzepnięcie do środka odrobiny substancji chemicznej schowanej pod paznokciem. Kiedy Joe Papp powiedział, że musi zrobić test, koledzy mieli dla niego inną propozycję. Drużyna chciała wprowadzić przez cewnik do jego pęcherza mocz innej osoby. Joe powiedział: „Hmmm, zaryzykuję, dzięki”. Teraz więc oczekiwał dyskwalifikację od 31 lipca 2006 roku aż do 31 lipca roku 2008.

Zajmował się jednak rozprawdaniem. EPO, które kupił od niego Kayle Leogrande, nie miało instrukcji użytkowania. Pierwsze kilka razy po wzięciu Kayle miał mdłości.

Co to ma wspólnego z Lance'em? Spotkali się tylko raz, po wyścigu w Ojai w Kalifornii w 2005 roku. Mało prawdopodobne, żeby Lance pamiętał ich rozmowę.

Kayle pamięta. Był zdenerwowany, nie wiedział, co powiedzieć.

Mógł powiedzieć coś fajniejszego. Jednak teraz Lance niewątpliwie pamięta to nazwisko.

Kiedy Kayle znów przeszedł na zawodowstwo w wieku lat trzydziestu, zaczął nagle sprawiać wrażenie faceta, który miał za sobą świetlaną przyszłość. W klasyku Redlands Bicycle 2007 został liderem klasyfikacji punktowej, a także ukończył na drugim miejscu kryterium będące drugim etapem wyścigu. Wziął udział w trzech wyścigach International Cycling Classic-Superweek w Wisconsin. W klasyfikacji generalnej zajął drugie miejsce.

W którymś momencie sezonu 2007 musiał zacząć myśleć o swoim dilerze, ponieważ 18 maja 2007 roku niejaki Joe Papp składa zeznania na Pepperdine University w Malibu w Kalifornii w sprawie Floyd Landis kontra USADA. Papp, który bardzo stara się podkreślić, że zeznaje jako ekspert, nie przeciwko Floydowi Landisowi, opisuje swoje doświadczenia

ze środkami dopingującymi, w szczególności z testosteronem. Jego znajomość rzeczy sięga jednak znacznie dalej: raz w czasie wyścigu wstrzyknął sobie *pot belge*. Jego słowa nadwerężają nieznacznie linię obrony Landisa, stwierdzającą, że testosteron jest *passé* i tak nieskuteczny, iż nie dorasta do oczekiwań czołowego kolarza.

Floyd Landis nie jest zadowolony.

Po co wezwali Joego Pappa? Kim, do cholery, jest ten facet?

Floyd Landis

Będzie jeszcze mniej zadowolony, kiedy później odkryje, że USADA wezwała eksperta, który nadal zajmował się rozprawdaniem środków dopingujących, profesją, z jakiej trudno było się Joemu Pappowi wyrwać.

Jestem pewien, że pomyślał: Kim jest ten durny wytatuowany koleś?

Kayle Leogrande

Jednak w roku 2007 Kayle Leogrande stanął znów ochoczo w szeregach zawodowców, tym razem w ekipie Rock Racing. Miał większy dostęp do wiedzy. Był urodzonym kolarzem, a z EPO we krwi przechodził samego siebie. Był tak dobry, że zaczął podejrzewać, iż wszyscy znają jego tajemnicę. Tak więc tego lata, 26 lipca 2007 roku, podczas Superweek w Wisconsin spanikował, kiedy zażądano od niego zrobienia testu. Był tak pewien złych wieści, że następnego dnia powiedział swojej *soigneur* Suzanne Sonye o stosowaniu dopingu. Był przekonany, że Suzanne nie będzie temu przeciwna.

Tak powiedział później „New York Timesowi”.

Ale Suzanne była temu przeciwna.

Kayle Leogrande

Pech!

Tak więc w styczniu 2008 roku Kayle Leogrande przerzucił się na karierę sądową. Przede wszystkim został ujawniony jako dotychczas anonimowy kolarz, który pozywał USADA, domagając się, żeby nie testowano jego próbki B moczu pobranej poprzedniego roku w czasie Superweek w Wisconsin.

W całej sprawie istniała jedna trudność. Wynik badania jego próbki A na obecność środków dopingujących był ujemny. Niezależnie od tego USADA chciała przetestować próbkę B. Były inne powody, by sądzić, że kolarz stosował doping. Ostatecznie próbka B pozostała nietknięta, ponieważ bez dodatniego wyniku pierwszej próbki nie można było testować drugiej. Pozew został oddalony.

USADA poszła dalej i Kayle został zdyskwalifikowany na podstawie zeznania pod przysięgą Suzanne Sonye i naszego przyjaciela Frankiego Andreu, który był szefem drużyny Rock Racing. Przesłuchanie brało

również pod uwagę dowody poszlakowe, takie jak billingi wyszczególniające jego połączenia telefoniczne z facetem o nazwisku Joe Papp. Zdjęcie ramienia ze znajomymi tatuażami i dłoni wywijającej fiolkami EPO. Plus odręczna, podpisana przez Kayle'a notatka do Joego Pappa.

Joe, 2 pudełka G. 100 IU, 7 pudełek E. 60 000, 500 dolarów. Mój rewanz! Dzięki.

Kayle

Joe Papp dostarczył dowód. Kayle Leogrande został jednak oskarżony o doping. Teraz już Lance Armstrong zaczął zapewne wyciągać wnioski: Poznaj swoją *soigneur*. Traktuj ją dobrze.

Salony tatuaży muszą być kopalnią złota, bo Kayle Leogrande dorzucił kolejnych kilka procesów. Wniósł sprawę o zniesławienie przeciwko byłej *soigneur* z Rock Racing Suzanne Sonye i podobną przeciwko byłemu kolarzowi zawodowemu Mattowi DeCanio, który teraz zajmował się

kampanią antydopingową. Wszystko skończyło się dwuletnią dyskwalifikacją za „nieanalizowany wynik dodatni”, czyli wykroczenie dopingowe stwierdzone nie na podstawie testu laboratoryjnego, ale wszystkich dostępnych dowodów. Pierwszy taki przypadek w USADA. Zasady gry uległy zmianie.

I kiedy Kayle właśnie myślał, że już jest po wszystkim...

Nie było.

Leogrande wyprowadził się z mieszkania, które wynajmował, chcąc zacząć od nowa. W lodówce w garażu zostawił zapas EPO. Kiedy właścicielka mieszkania zadzwoniła do niego w tej sprawie, powiedział jej, żeby zrobiła z lekiem, co chce.

I zrobiła.

Sypnęła go.

Parę tygodni później śledczy z Amerykańskiej Agencji do spraw Żywności i Leków (Food and Drug Administration – FDA) zapukał do jego drzwi. Nie jakiś śledczy. Jeff Novitzky. U jego pasa wisały skalpy Marion Jones i Barry’ego Bonds’a i kiedy rozległo się pukanie, niebo się zachmurzyło. W świecie pełnym śledczych Novitzky jest superśledczym. Jeśli puka do twoich drzwi, jesteś w większych tarapatkach, niż powinieneś.

Novitzky: Sądzi pan, że Lance bierze?

Leogrande: Gdyby był pan kolarzem na tym poziomie, to co by pan zrobił?

To był początek 2008 roku. Leogrande wszystko wyznał. Novitzky jest wysoki, szczupły i przystojny i pachnie kordytem, ale w stylu prowadzenia dochodzenia ma w sobie coś z porucznika Columbo.

Leogrande był płótką. Joe Papp był nieco większy. Michael Ball, właściciel teamu Rock Racing, jeszcze trochę większy. Ball znał najgrubsze ryby.

Novitzky wiedział, że podstawową zasadą śledztwa federalnego jest nigdy nie wrzucać żadnej ryby z powrotem do rzeki. W tej sprawie istniał trop, który miał doprowadzić do większych nazwisk i większych rzeczy. Lodówka z EPO otworzyła drzwi służbom federalnym i dała im szansę węszenia w świecie teamu Rock Racing, drużyny mającej reputację azylu dla nawróconych kolarzy.

Novitzky wiedział też, że dla grubszych ryb większość tego, co wydarzyło się we Francji, pozostawała we Francji. Ale wiele grubych ryb wracało do domu, jeździło dla drużyn amerykańskich i prawo omerty zdawało się nie obowiązywać z tą samą mocą po powrocie do środowiska, w którym pomysł stosowania środków dopingujących, by wygrać wyścig kolarski, był nadal nowością.

Lance Armstrong i kilka innych grubych ryb złożyli przysięgę w Ameryce w 2006 roku w sprawie SCA. I wiele z tych osób nieźle żyło z drużyny sponsorowanej przez agencję rządową US Postal. Istniały powiązania, na przykład Tyler Hamilton, niegdyś Pocztowiec, obecnie w teamie Rock Racing. Leogrande i Lance. Novitzky znał się na tym.

Dzięki śledztwu USADA otrzymała informacje o osobach, u których Leogrande i inni kolarze zaopatrywali się w nielegalne środki dopingujące: o liście klientów Joego Pappa.

1 grudnia 2008

Lance Armstrong ogłasza, że w 2009 roku ponownie weźmie udział w Tour de France. Niemal dokładnie w tym samym czasie Kayle Leogrande, durny wytatuowany gość z Rock Racing, zostaje zdyskwalifikowany na dwa lata przez USADA. Jego sprawa urośnie do rozmiarów długiego śledztwa, którego punktem kulminacyjnym będzie dożywotnia dyskwalifikacja Armstronga ze sportu.

30 stycznia 2009

Antydatowane zawieszenie Floyda Landisa dobiega końca. W ciągu roku 2008 Landis służył jako nieoficjalny konsultant ekipy Rock Racing, teraz jednak może odejść i robić to, w czym jest najlepszy. Teraz, kiedy może znów jeździć, oczekuje się, że odetnie się od przeszłości i z radością wyjedzie na szosę. On tymczasem zagłębia się jakby coraz bardziej w swój melancholijny świat poczucia winy i wyparcia. W lutym wraca do należytego ścigania się i bierze udział w Tour of California. Pojedzie z odpowiednio nazywającą się drużyną Ouch⁸⁴.

Kiedy widzę, co teraz dzieje się z Lance'em, nie potrafię nie odczuwać pewnej frajdy.

Kayle Leogrande

Gdyby nie Leogrande, kto wie, może nigdy nie doszłoby do śledztwa w sprawie Armstronga.

Travis Tygart

Tymczasem w podziemnym światku coś wisi w powietrzu.

Wiosną francuski magazyn „L'Express” dorzuca łyżkę dziegciu do beczki miodu. „L'Express” twierdzi, że informacje zdobyte w wyniku włamania do sieci należącego do francuskiej agencji antydopingowej LNDD (Laboratoire National de Dépistage du Dopage, francuskie laboratorium antydopingowe) zostały przekazane do pracowni w Kanadzie z komputera byłego trenera Landisa Arniego Bakera. W maju Landis i Baker zostają wezwani do Francji, żeby zeznawać przed francuskimi śledczymi badającymi kradzież danych LNDD.

W styczniu 2009 roku USADA otrzymała z różnych źródeł informacje na temat osób, u których mogli zaopatrzyć się w środki dopingujące pan Leogrande i inni kolarze. Następnie wszczęła śledztwo w sprawie stosowania i rozprowadzania nielegalnych środków na kolarskiej scenie południowej Kalifornii, zaczęła prowadzić dochodzenie

i rozpatrywać różne związane z tym tropy. USADA zrozumiała, że Floyd Landis może być w posiadaniu informacji przydatnych w tej sprawie. **USADA**

Pierre Bordry, kontrowersyjny szef francuskiej agencji antydopingowej, wiedział, że jego laboratorium zostało jakoś naruszone. Bordry często prowadził walkę ze swoimi zwierzchnikami i z UCI. Musiał się dowiedzieć, jak poufne informacje (część z nich to szczegółowe dane naukowe) stały się własnością publiczną. Złożył więc w listopadzie 2006 roku skargę, twierdząc, że ktoś włamał się do komputera w jego głównym laboratorium. W tym czasie komputery zajęte były analizą próbek moczu oddanych przez Floyda Landisa podczas tegorocznego Touru. W próbkach tych wykryto już testosteron i Landis był na najlepszej drodze do utraty tytułu mistrza w Tour de France. Jednak hakerzy, którzy zdobyli dostęp do komputerów laboratorium, majstrowali przy folderach związanych z jego sprawą. Zmienione dane zostały następnie rozproszony jako potwierdzenie, że praca laboratorium była tak niechlujna, iż nie może stanowić rzetelnego dowodu przeciw Landisowi. Właśnie kiedy Landis planował zostawić to za sobą i iść dalej, wyłonił się francuski skandal komputerowy, żeby mu to uniemożliwić. W listopadzie 2011 roku Landis i Baker otrzymają od francuskich sądów wyrok roku więzienia w zawieszeniu. Nieźle jak na menonitę wychowanego bez telewizji i radia.

Przez cały rok 2009 Floyd Landis zachowywał się dziwacznie. Od pierwszego dnia swojej kompromitacji kategorycznie się wszystkiego wypierał. Nie tylko nabrał w tym pewności siebie, stał się niemal mesjański. Opublikował *Positively False*, założył Fairness Fund, wygłosił też masę przemówień i odbył wiele spotkań promujących książkę. Jego małżeństwo się rozpadło. Teść odebrał sobie życie. Floyd znajdował czasem ucieczkę w alkoholu, ale głównie stawiał swojej depresji czoło na trzeźwo.

Na początku kwietnia 2010 Floyd Landis stwierdził, że co za dużo, to niezdrowo. Na przesłuchaniu przed władzami antydopingowymi reprezentowali go Maurice Suh i Paul Scott. Ten drugi był prawnikiem mającym niejaką praktykę w chemii doświadczalnej. Zaprojektował antydopingowe programy dla drużyn kolarskich.

Landis zadzwonił do Scotta, powiedział mu, że chce wyjść z cienia. Ma informacje. Przekáže je. Chce tylko, żeby to, co dzieje się w jego życiu, się skończyło. Wznowienie jego kariery nie poszło gładko. Czuł się wyizolowany. Faceci, z którymi stosował środki dopingujące, w szczególności jeden, mieli własne problemy, nie chcieli wyciągnąć pomocnej dłoni.

Scott był trafnym wyborem. Przyjaźnił się z doktorem Danem Eichnerem, naukowcem pracującym dla USADA. Scott i Eichner odbyli rozmowę telefoniczną, w czasie której Scott odmówił ujawnienia Landisa, a Eichner przystał na to, udając, że nie jest w stanie zgadnąć, kim może być ten domniemany informator.

12 kwietnia 2010

Dwa dni po rozmowie telefonicznej w sprawie informacji Landisa Eichner i Scott spotykają się w domowym gabinecie tego ostatniego. Eichner otrzymuje dodatkowe informacje od Scotta na temat praktyk dopingowych drużyny kolarskiej US Postal Service. Scott bardzo szczegółowo opisuje program dopingowy Pocztców, w tym stosowane przez nich transfuzje, a także udział w nim Armstronga, doktora Ferrariego, Bruyneela, Jose „Pepego” Martiego, doktora Luisa Garcíi del Morala i kilku kolarzu, między innymi Landisa. Można powiedzieć, że Eichner nie może doczekać się pójścia do biura następnego dnia rano.

20 kwietnia 2010

Po wymianie kilku wiadomości bezpośrednio z Floydem Landisem Travis Tygart z USADA spotyka się z nim w celu omówienia naruszenia przez niego oraz inne osoby przepisów antydopingowych, a także ewentualnego wykorzystania informacji na ten temat przez USADA. USADA zapewnia Landisa, że wszelkie informacje zostaną użyte zgodnie z tym, co stanowią przepisy. Floyd Landis jest zadowolony z zapewnień Trávisa Tygarta. Mówi mu też, że posiada informacje, iż w doping był zamieszany Michael Ball, właściciel drużyny Rock Racing. Agencja antydopingowa sugeruje, żeby Landis „dotarł” z informacją o Ballu do Novitzky’ego, ponieważ w sprawie Rock Racing zostanie wszczęte dochodzenie.

Następnie 30 kwietnia 2010 roku (z własnej woli, jak wszyscy starają się podkreślić – chociaż był to świetny pomysł) Landis wysłał e-maila do Steve’a Johnsona, prezesa USAC. Informacja, że Johan Bruyneel zna się na plastrach z testosteronem, to niemal na pewno najbardziej fascynujący początek e-maila, jaki Steve Johnson kiedykolwiek otrzymał.

Dalej szły szczegóły tego szaleństwa, ułożone w porządku chronologicznym, wszystkie pozbawione komentarzy czy przymiotników, jedynie suche informacje, które mogłyby pogrążyć każdego – od Lance’a przez UCI po papieża.

Maj 2010

Wygląda na to, że w wyniku gniewu Landisa Armstrongowi może grozić postępowanie sądowe. Kiedy Landis wysłał e-maile do USA Cycling, oskarżając Armstronga i innych kolarzy o doping, uważa się, że wniósł też tak zwany pozew *qui tam*. Pozwy tego typu wnoszone są przez informatorów, którzy zeznają, że fundusze rządowe zostały

sprzeniewierzone, nielegalnie zdobyte lub skradzione. Niewiele z nich wygrywa bez interwencji i wsparcia amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości.

Nigdy nie podobali mi się Chłopcy z ferajny, dopóki nie przeszedłem przez to bagno.

Floyd Landis

W sprawie Lance Armstrong kontra agencja US Postal gra potencjalnie szłaby o kwestię, czy jakakolwiek część trzydziestu dwóch milionów dolarów z kontraktów sponsorskich dla drużyny Pocztców została wydana na zorganizowany doping, naruszając te kontrakty. Wydział cywilny Departamentu Sprawiedliwości przeprowadza własne, oddzielne dochodzenie w sprawach *qui tam* niezależnie od jakichkolwiek innych dochodzeń trwających w tym czasie. Gdyby Landis wygrał, mógłby otrzymać do trzydziestu procent odzyskanych przez rząd pieniędzy. Twierdzono, że Departament Sprawiedliwości się zastanawia. Tymczasem Armstrong, jak miał w zwyczaju, poszedł na całego. Upublicznił serię e-maili wysłanych do niego przez Floyda Landisa w poprzednich tygodniach.

Chciałbym jeszcze raz przypomnieć, że telefony do moich najbliższych przyjaciół z oskarżeniami o alkoholizm i obłąd będą nieskuteczne, a już z pewnością zamieszczane na Twitterze groźby, że jeśli mam coś do powiedzenia, powinienem to po prostu powiedzieć, kiepsko świadczą o Twoim zdrowiu psychicznym. Może dobrym pomysłem byłoby poszukanie fachowej pomocy. Oczywiście, jak już powiedziałem, droga sądowa jest bardziej pożądana. **E-mail Floyda Landisa do Lance'a Armstronga**

Kiedy zapytano go, jak odpowiedział na te e-maile i dlaczego odpowiedzi nie zostały również upublicznione, Armstrong dał do zrozumienia, że na nie nie odpowiedział. Kiedy wszyscy byli coraz bardziej zafascynowani opowieścią Landisa, Armstrong wydał ostateczny werdykt.

Jak powiedziałem na początku, przypomina karton skwaśniałego mleka – jeden łyk i wiesz, że się zepsuło. Nie wypijasz całości ani nie bierzesz kolejnych łyków. **Lance o Landisie**

22 października 2010

Teraz atakują się już wzajemnie w gangsterskim stylu. Do starcia dochodzi w ogrodzie przed domem Lance'a Armstronga. To weekend Livestrong Race for the Roses, dorocznej zbiórki pieniędzy dla głównej organizacji charytatywnej Armstronga zajmującej się walką z rakiem. Jarosław Popowicz, kolarz jeżdżący w ekipie RadioShack, przyjechał na to wydarzenie do nieco dziwacznej miasteczka Austin w Teksasie. Rozdaje autografy w dużym sklepie rowerowym Armstronga Mellow Johnny's.

Kiedy Popowicz wychodzi ze sklepu i kieruje się w stronę swojego auta, podchodzi do niego nieznajomy mężczyzna i chwyta drzwi samochodu kolarza, zanim ten zdąży je zatrzasnąć. Popowicz, nie znając najwyraźniej wydarzeń z Dallas z listopada 1963 roku, przełamuje impas, sugerując uprzejmie, żeby porozmawiali w pokoju hotelowym. Wsiada do samochodu. Mężczyzna pędzi do swojego SUV-a i jedzie za kolarzem do hotelu.

Przed Hyatt Regency ubrany na czarno (według świadków) mężczyzna stoi na środku drogi i każe Popowiczowi zatrzymać samochód. Popowicz próbuje go wyminąć, ale pojawiają się dwa następne SUV-y, jeden blokuje przód, drugi tył. Kobieta z odznaką przywołuje Ukraińca ruchem ręki do samochodu.

Kiedy Popowicz wysiada, pierwszy mężczyzna, ten sprzed sklepu rowerowego, wręcza mu wezwanie do sądu w Los Angeles, gdzie ma się pojawić 3 listopada, żeby zeznawać w śledztwie federalnym w sprawie kolarstwa. Kilka tygodni później na Popowicza czekały kolejne niespodzianki, kiedy na rondzie w pobliżu jego willi w Quarracie, malowniczej toskańskiej miejscowości, karabinierzy wyskoczyli ze wszystkich stron, eskortowali go do domu, po czym przeszukali cały

budynek i komputery. „Sports Illustrated” napisał później, że włoska policja znalazła nowe foldery łączące Armstronga z Michele Ferrarim.

19 listopada 2010

Mówi się, że Jeff Novitzky, Eliot Ness dla człowieka myślącego, jest w Europie i pokazuje Francuzom, co to znaczy być *suave*. Podobno dzięki swojemu urokowi wyciąga od miejscowych żandarmów szczegóły ich śledztwa w sprawie wyrzucania odpadów medycznych w czasie Touru w 2000 roku. Widziano go też w Lyonie swobodnie wchodzącego do siedziby Interpolu, gdzie spotykał się z prokuratorami z całej Europy. Plotkarski młyn utrzymuje, że pod kilkoma choinkami mogą pojawić się akty oskarżenia. Paru obecnych i byłych zawodowców zostało już wezwanych przed tak zwaną wielką ławę przysięgłych. Czyżby śledztwo zataczało szersze kręgi? Czy Novitzky złapie nieuchwytnego Teksańczyka w Orient Expressie? Słuchaj w przyszłym tygodniu. Albo nie. Jeśli jesteś Juanem Pelotą. *Alter ego* Lance’a zamieszcza wpis na Twitterze, drażniąc się z Novitzkym. Może to tylko Juan Pelota – ale jest niezniszczalny.

Hej, Jeff, ¿cómo están los hoteles de cuatro estrellas y la clase business del avión? ¿Qué más necesitas?

(Hej, Jeff, jesteś zadowolony z czterogwiazdkowych hoteli i pierwszej klasy w samolocie? Czyśmś jeszcze mogę służyć?) **Juan Pelota** alias **Lance Armstrong**

W grudniu amerykańskie gazety doniosą, że Floyd Landis, idąc do domu Michaela Balla, dyrektora generalnego Rock Racing, wiosną 2010 roku, miał ze sobą podsłuch i małą ukrytą kamerę wideo.

16 lutego 2011

Stwierdzając, że pragnie się poświęcić rodzinie, walce z rakiem i prowadzeniu fundacji, którą założył, sam przezwyciężywszy nowotwór,

Lance Armstrong odchodzi z kolarstwa po raz drugi.

Nadszedł jego czas, żeby się wycofać. Wygrał już wszystko, niczego już nikomu nie musi udowadniać.

Eddy Merckx

Tak więc Lance wkłada pantofle i kiedy nie jest w laboratorium, zwalczając raka, spędza czas w ogrodzie i bawi się z dziećmi. Wszystko jest w porządku całą wiosną. I wtedy:

20 maja 2011

Tyler Hamilton obwieszcza wszem wobec, że rozmawiał z wielką ławą przysięgłych. Co więcej, wszystkim to poleca.

Do momentu wejścia na salę rozpraw nikomu o tym nie powiedziałem. Moje zeznanie trwało sześć godzin. Jakby coś we mnie pękło. Otwarłem się. Powiedziałem całą prawdę i tylko prawdę. I poczułem ulgę, jakiej nigdy wcześniej nie zaznałem – cały ciężar tych wszystkich tajemnic, który spoczywał przez lata na moich barkach, nagle zostaje zdjęty. Zrozumiałem, że dla mnie to jest najlepsze wyjście. **Tyler Hamilton**

Należy zaznaczyć jedną rzecz, jeśli chodzi o Tylera Hamiltona i doping. A mianowicie: nie jest w tym zbyt dobry. Przeszedł dwuletnią dyskwalifikację za dodatni wynik podczas Vuelta a España w 2004 roku. Śledztwo w związku z *Operación Puerto* w Hiszpanii w 2006 roku ujawniło jego cały program dopingowy i oskarżono go między innymi o stosowanie mieszanki substancji, w tym EPO, hormonu wzrostu, testosteronu i kortyzonu. Po dwuletniej dyskwalifikacji Hamilton wrócił do wyścigów, ale w 2009 roku wykryto u niego obecność zakazanego sterydu o nazwie DHEA.

Nawet na emeryturze nie ma spokoju.

Jest mnóstwo oszustów i kłamców, którym uszło to na sucho. Nie tylko Lance. Mało brakowało, a ja sam też nadal byłbym dziś oszustem i kłamcą. **Tyler Hamilton**

21 września 2011

W strumieniu oskarżeń pojawia się włoski akcent. „Corriere della Sera” donosi, że Armstrong dokonał wpłaty dla Michele Ferrariego przez firmę w Szwajcarii należącą do osób trzecich. Śledztwo prowadzone przez szwajcarskie i włoskie władze ponoć wykazało, że Armstrong zlecał wpłaty na konto firmy o nazwie Health and Performance w regionie Neuchâtel. Ferrari został oczyszczony z zarzutów w 2006 roku, Armstrong jednak dwa lata wcześniej przysiągł zerwać z nim współpracę i twierdził, że od tego czasu utrzymywał z doktorem tylko kontakty towarzyskie.

3 lutego 2012

Studio przerwało produkcję własnego przeboju po dwudziestu miesiącach realizacji. Jeff Novitzky i Lance Armstrong nie będą się jednak pojedynkować na srebrnym ekranie. Długie, pozornie niekończące się śledztwo federalne w sprawie Lance’a Armstronga i jego byłych zawodowych ekip kolarskich zakończyło się mało efektownie. W Los Angeles biuro prokuratora generalnego wydało lakoniczne oświadczenie, że przerywa swoje dochodzenie w tej sprawie. FBI i FDA powiedziały prasie, że są „oburzone, zaskoczone i rozzłoszczone” tą decyzją. Nie wspominając, że czują się nabite w butelkę.

Cieszę mnie wiadomością, że prokuratura okręgowa zamyka dochodzenie. To właściwa decyzja i pochwalam jej podjęcie. Nie mogę się doczekać dalszego życia jako ojciec, zawodnik i orędownik walki z rakiem bez tych dystrakcji. **Lance Armstrong**

Wzywając wytrwale świadka za świadkiem, aby dostarczyć poufne dowody wielkiej ławie przysięgłych, FBI otrzymało powiadomienie o treści oświadczenia trzydzieści minut przed jego wydaniem. Jednak stało się to dwa dni przed amerykańskim Super Bowl i naród spokojnie przyjął, że

Lance Armstrong się wywinął. Po tym nagłym zakończeniu śledztwa, które opierało się na zeznaniach dziesiątków świadków, ogromnej liczbie naukowych i finansowych dokumentów i zaangażowało wiele organów ochrony porządku publicznego w Stanach i za oceanem, pozostały pytania. Bezpośrednim skutkiem przerwania śledztwa były utrzymujące się plotki, że Novitzky i jego ekipa badają nowe poszlaki i spodziewają się aktów oskarżenia późną wiosną. Nic z tych rzeczy.

Dlaczego śledztwo zostało nieoczekiwanie przerwane, pozostaje tajemnicą. Jedna teoria głosi, że wysoko postawieni przyjaciele Armstronga wywarli nacisk, co doprowadziło do umorzenia sprawy przez okręgowego prokuratora federalnego André Birotte'a. Inna, że Birotte postanowił nie kontynuować sprawy z powodu kosztów i niepewnego wyniku.

Jednak Novitzky, odjeżdżając w stronę zachodzącego słońca, przekazał pałeczkę Travisowi Tygartowi z USADA.

W odróżnieniu od prokuratora okręgowego zadaniem USADA jest ochrona czystego sportu, a nie egzekwowanie określonych przepisów karnych (...). Nasze dochodzenie w sprawie dopingu w kolarstwie trwa dalej i z niecierpliwością oczekujemy otrzymania informacji zebranych podczas śledztwa federalnego. **Travis Tygart**

Armstrongowi i paru osobom z jego otoczenia perspektywa, że USADA będzie kontynuować dociekania, nie spędzała snu z powiek. Travis Tygart z pewnością nie mógł tak po prostu położyć łapy na owocach osiemnastomiesięcznego finansowanego przez rząd federalny śledztwa? USADA spokojnie zauważyła, że prowadziła dochodzenie w sprawie dopingu w grupie US Postal przynajmniej od 12 kwietnia 2010 roku, a od końca 2010 roku do 3 lutego roku 2012 przesłuchiwała zaledwie paru świadków „przez wzgląd i szacunek” dla trwającego śledztwa federalnego.

Istnieją ważne dowody (...) w kwestii rodzaju stosowanych środków dopingujących. Gdyby te informacje zostały przekazane, byłyby ogromnie pomocne. Amerykańska

Agencja Antydopingowa bardzo chce zdobyć te dowody, a my chcielibyśmy, żeby tak się stało, ponieważ mogą tam znajdować się bardzo istotne informacje. **John Fahey, WADA**

Po ogłoszeniu, że pan Birotte przerwał dochodzenie prowadzone przez prokuraturę, USADA natychmiast przystąpiła do zaplanowania wezwań potencjalnych świadków, z których większość została przesłuchana między 15 marca a 12 czerwca 2012 roku. Teraz akcja się zagęszcza i nabiera tempa.

31 maja 2012

USADA wyciąga rękę. Zachęca Armstronga, żeby się spotkał, był uczciwy i wziął udział w rozwiązaniu sprawy. On ma inne rzeczy na głowie.

12 czerwca 2012

USADA przechodzi do następnego etapu. Na podstawie niepodważalnych dowodów, jakie uzyskała podczas swojego dochodzenia, USADA powiadamia Lance'a Armstronga, Johana Bruyneela, doktora Pedra Celayę, doktora Luisa Garcíę del Morala, doktora Michele Ferrariego i Jose „Pepego” Martiego, że wnosi oficjalne powództwo w sprawie naruszenia przepisów antydopingowych.

Te oskarżenia są bezpodstawne, wywołane chęcią zemsty i wspierane przez zeznania kupione i opłacone obietnicami anonimowości i nietykalności. Mimo że USADA utrzymuje, iż szeroko zakrojony spisek ciągnął się przez ponad szesnaście lat, jestem jedynym sportowcem, którego postanowiono obciążyć oskarżeniami. Złośliwość USADA, jej metody, praktyki w stylu sądu kapturowego i decyzja, aby najpierw ukarać, a potem rozstrzygnąć sprawę, pozostają w sprzeczności z naszymi ideałami sprawiedliwości i fair play. **Lance Armstrong**

Nazwawszy działania USADA „polowaniem na czarownice”, Armstrong zaczyna pisać na Twitterze.

Drogi @usantidoping – wysłaliśmy już wam TRZY listy z prośbą o wszystkie związane ze sprawą informacje, żebym mógł odnieść się do Waszej komisji rewizyjnej. Do tej pory nie było żadnej odpowiedzi ani nawet potwierdzenia odbioru. To działa w obie strony – pora grać według zasad. **Lance Armstrong**

27 czerwca 2012

Antydopingowa komisja rewizyjna USADA zaleca wytoczenie procesu Armstrongowi, Bruyneelowi, Celai, Garcíi del Moralowi, Ferrariemu i Martiemu. Następnego dnia USADA wystosowuje do wszystkich zainteresowanych list z zarzutami, który przedstawia możliwe sankcje i informuje ich o prawie do przesłuchania przed bezstronnymi arbitrami. Armstrong jest znów niewzruszony. „Procesuje się” za pośrednictwem Twittera.

Czy ja dobrze rozumiem... przyjdź i powiedz @usantidoping dokładnie to, co chcę usłyszeć, w zamian za nietykalność, anonimowość i możliwość dalszego brania udziału w największych wydarzeniach kolarskich...

@usantidoping nie chodzi tu o oczyszczenie kolarstwa – to raczej są po prostu zwykłe wybiórcze oskarżenia, które śmierdzą zemstą. **Lance Armstrong**

9 lipca 2012

W ramach ostatecznego rzutu prawniczych kości Armstrong idzie w poniedziałek rano do sądu w Austin w Teksasie i wnosi powództwo, próbując zatrzymać proces. Musi popsuć plany USADA do soboty. Sędzia okręgowy Sam Sparks odrzuca pozew niemal od ręki, mówiąc o nim: „przydługa, gorzka polemika”.

Nazywa się to czasem werdyktem „nie gadaj, bo i tak cię nie słucham”. Sparks pozwala jednak prawnikom Armstronga na złożenie poprawionego powództwa. Mimo wszystko niedobrze być teraz jednym z prawniczych *domestiques* Armstronga.

Sąd nie ma zamiaru zaspokajać chęci Armstronga do rozgłosu, autokreacji czy szkalowania oskarżonych, przeglądając osiemdziesiąt w większości niepotrzebnych stron w poszukiwaniu punktów zaczepienia dla jego roszczeń. Wbrew temu, co najwyraźniej sądzi Armstrong, pisma procesowe składane w sądach okręgowych Stanów Zjednoczonych nie są notkami prasowymi, blogami ani owocami dziennikarstwa dochodzeniowego... Większość tych stron zawiera „zarzuty” całkiem niezwiązane z roszczeniami Armstronga, które – jak sąd przypuszcza – zostały włączone jedynie dla nadania większego rozgłosu medialnego sprawie i podburzenia opinii publicznej przeciw oskarżonym. **Sędzia Sam Sparks**

10 lipca 2012

Armstrong wnosi poprawiony pozew. Tego samego dnia USADA ogłasza dożywotnie wykluczenie z pracy w kolarstwie trzech byłych współpracowników drużyny US Postal Service: doktora Luisa Garcíi del Morala, doktora Michele Ferrariego i Jose „Pepego” Martiego, trenera zespołu.

20 sierpnia 2012

Wracamy do sądu na kolejne rozdanie. Sędzia Sparks oddała poprawioną skargę Armstronga, zasadniczo orzekając, że jego prawo do należytego procesu nie mogło zostać naruszone przez USADA, zanim jakiegokolwiek postępowanie zostało w ogóle wszczęte.

Na tym długi proces właściwie się kończył.

Sąd orzeka, że Armstrong wyraził zgodę na prowadzenie mediacji z USADA, a zastosowane rozsądnie przepisy postępowania arbitrażowego są wystarczające, aby zapewnić należyty proces.

Sędzia Sam Sparks

23 sierpnia 2012

Lance Armstrong ogłasza, że nie będzie kwestionował obciążających go dowodów i rozumie, iż takie postępowanie doprowadzi do jego dożywotniej dyskwalifikacji i odebrania mu wszystkich tytułów od roku 1998, w tym siedmiu wygranych w Tour de France. A ja przypomniałem sobie dzieciaka z hotelowego ogrodu w Grenoble w 1993 roku, opowiadającego o swojej miłości do Lindy, swojej samotnej matki, która nauczyła go, żeby nigdy się nie poddawał. „Kiedy z czegoś rezygnujesz, poddajesz się” – mówiła mu i, jak wtedy powiedział, jego mama nie wychowała słabeusza. Teraz poddał się i ogłosił śmierć Lance’a Armstronga, czempiona kolarstwa. Wszystko, co pozostało, to rytuały pogrzebowe.

10 października 2012

Zgodnie z przepisami USADA przedstawia swoje „pisemne uzasadnienie” szczegółowo opisujące dowody przeciw Lance’owi Armstrongowi i podstawy oskarżenia. Pewien komentator pisze o tysiącstronicowym dokumencie, którego jedyni nieprzekonani obecnie ludzie po prostu nie chcą znać.

22 października 2012

W Genewie Międzynarodowa Unia Kolarska wyjątkowo niechętnie przyjmuje raport USADA. Prezes Pat McQuaid i duch czasów zupełnie się wzajemnie nie uznają.

Nie uważam, żeby UCI powinna przeproszać. Nie trzymała go za rękę, kiedy wbijał sobie igłę w tyłek. Jest dorosły i zdaje sobie sprawę, że łamie przepisy. Prezes nie jest odpowiedzialny, jeśli ktoś bierze udział w programie dopingowym. Kolejna rzecz, która mnie złości, to robienie z Landisa i Hamiltona bohaterów. Są tak dalecy od bycia bohaterami, jak dzień jest daleki od nocy. Nie są bohaterami. Są kanaliami. **Pat McQuaid**

Prawda jest taka, że na ich [UCI] warcie Lance Armstrong zrobił największy przekręt, jaki sport kiedykolwiek widział. **Travis Tygart**

Kayle Leogrande wrócił do robienia tatuaży. Joe Papp odsiedział jakiś czas w areszcie domowym u swojej matki w Pensylwanii.

[84](#) *ouch* (ang.) – au! – przyp. tłum.

ROZDZIAŁ 22

Pokaż mi bohatera, a napiszę ci tragedię.

Francis Scott Fitzgerald

Szare poniedziałkowe popołudnie w kawiarence przy londyńskiej autostradzie M25. Mam cappuccino bez pianki i telefon, który nie przestaje dzwonić. Jego żądania są bezustanne. Jest jak dziecko ciągnące mnie za rękaw. Nie przestaje. To samo za każdym razem.

„David? Czy to David? Czy udzieli pan wywiadu w sprawie Lance’a Armstronga i dzisiejszych wiadomości?” Kanada, Australia, Nowa Zelandia, Francja, Stany Zjednoczone, Irlandia, Niderlandy, Belgia i tak wielu z mediów blisko mnie. Nie, nie, nie, tak, nie, nie, nie, nie, tak, nie, nie, nie, tak, nie, nie, nie, nie.

Siedem próśb pochodzi od BBC: Radio 4, Radio 5 na żywo, Radio 2, BBC Radio Foyle, BBC Belfast, Newsnight, World Service. Były czasy, że teksty na temat Armstronga obrysowane były czarnym kółkiem przez BBC, które odpychało je jak najdalej od siebie. Były czasy, że wątplenie w Lance’a Armstronga przypominało wkroczenie pomiędzy ludzi mediów z dzwonkiem ostrzegającym, że jesteś nieczysty.

Nastał dziś jednak dzień, 22 października 2012 roku, w którym Lance’a oficjalnie uznano za wyrzutka wygnanego ze sportu przez własnych ludzi z UCI, organu zarządzającego kolarstwem. Jej prezes Pat McQuaid orzekł,

że dla byłego siedmiokrotnego mistrza Tour de France „nie ma miejsca w kolarstwie”.

To była od początku podejrzana historia stworzona przez chciwość i cynizm, a następnie podszyta najlepszymi lekami, jakie można kupić.

Zastanawiam się, jakim cudem Patowi McQuaidowi może wydawać się, że dla niego samego jest miejsce. Wielokrotnie myślałem o doniosłym Tour de France w 1999 roku i zaniedbaniach UCI w kwestii ochrony własnego sportu. Od poprzedniego roku wiedziała, że kolarstwo jest w opłakanym stanie. Wiedziała ze swoich poprzedzających wyścig w 1999 roku badań krwi, że większość najlepszych kolarzy stosuje EPO. Wiedziała też, że test na obecność EPO powstanie w najbliższym czasie.

Jak trudne byłoby dyskretne ponowne przetestowanie próbek jesienią 2000 roku, kiedy test był gotowy do wdrożenia? Spora liczba wysoko postawionych oszustów wyleciałaby ze sportu na dwa lata, w tym Lance. Jakież by to było ostrzeżenie. Zamiast tego UCI siedziała bezczynnie podczas jednego za drugim nic niewartego Tour de France.

McQuaid nie był wówczas prezesem, jednak mimo to, słuchając go teraz, słyszę tylko tupet.

To jednak jest doniosły dzień. Sam Armstrong zmieni niebawem swój profil na Twitterze, usuwając pięć słów: „siedmiokrotny zwycięzca Tour de France”. Odchodzi teraz w cień, kolejna przestarzała historia oszustw, kłamstw, dopingu, zastraszania i sportu, który nie był sportem. Ikona, której spadła maska z twarzy. „Największy przekręt, jaki sport kiedykolwiek widział” – mówi Travis Tygart, dyrektor wykonawczy Amerykańskiej Agencji Antydopingowej.

Wracam myślą do dzieciaka, którego poznałem w 1993 roku, kiedy przeprowadzałem z nim wywiad w pierwszym tygodniu jego debiutanckiego Tour de France. Rozmawialiśmy przez trzy godziny

w hotelowym ogrodzie na obrzeżach Grenoble i dobrze się dogadywaliśmy. On był Teksaszczykiem we Francji, tak bardzo pozbawionym chłodu, że od razu czuło się do niego sympatię, a jeśli nie zdobył cię swoim amerykańskim nieokrzesaniem, robił to swoją potrzebą sukcesu. Nic nie mogło mu stanąć na drodze.

Czy zawsze był takim samym człowiekiem? Stosował doping, zanim zachorował na raka, ale kiedy wrócił, był twardszy, bardziej skoncentrowany, mniej tolerancyjny względem porażek i, tak, bardziej bezwzględny w dążeniu do zwycięstwa. Czterokrotnie próbował swoich sił w Tourze, jego najlepszy wynik to trzydzieste szóste miejsce. Po chorobie wrócił odmieniony: fizycznie, psychicznie i chemicznie wzmocniony. Od niego wiemy, że istniały dwa programy dopingowe: zwykły i elitarny. On awansował.

Czytelnicy „Sunday Timesa” byli w większości zde gustowani tym, co napisałem. Upokarzająca uwaga Keitha Millera uderzała w czułe miejsce. „Czasem ludzie chorują na raka duszy. I możliwe, że to wiele o nich mówi”.

Sądziś, że nie da się cię dotknąć, dopóki ktoś nie powie, że masz raka duszy.

Przez trzynaście lat ten temat był centralną częścią mojego życia. Mary, moja żona, miała tego większą świadomość niż ktokolwiek. Kiedy wyjechałem, by napisać tę książkę, zawarła w e-mailu swoje myśli.

Kiedy Lance Armstrong po raz pierwszy zjawił się w naszym życiu trzynaście lat temu, nie przyszło mi do głowy, że wyrze na nie tak duży wpływ. Nie oceniam, czy jest dobry, czy zły, stwierdzam tylko jego stałą obecność. Mamy szóstkę dzieci i posiłki były czasem pytań. Gdybym miała podsumować, co sądziły dzieci, powiedziałabym, że wierzyły tacie, kiedy mówił, że Lance stosuje doping, ale sądziły też, że to nigdy nie zostanie ujawnione. „Nie będziesz w stanie tego udowodnić, tato”.

Dave był zawsze bardzo zaangażowany w tę sprawę. Uważałam, że ze słusznych powodów. Chciał, żeby ludzie zobaczyli, kim naprawdę jest Lance. Kiedy mówiono mi, że

mój mąż ma obsesję na punkcie Lance'a, nie podzielałam tej opinii. Jednak Lance wszędzie za nami podążał. Na przyjęcia, śluby, zebrania w domu ludowym. Zawsze znalazł się ktoś, kto miał pytanie, często ustawiała się kolejka pięciu czy sześciu osób. Byli też dziennikarze i ekipy telewizyjne, które przychodziły do nas do domu. Raz Dave, wychodząc na golfa, krzyknął do mnie, że później tego dnia przyjedzie ekipa telewizyjna, ale on wróci, zanim [ci z telewizji] przyjadą. Pochodzili z Kanady i dotarli do naszego domu dwie godziny przed Dave'em. Co było robić?

Moja przyjaciółka Fiona mówi, że były czasy, kiedy obawiałam się, że Lance Armstrong będzie kosztował Dave'a jego pracę, i przypuszczam, że faktycznie się tego kiedyś obawiałam. Kiedy nadszedł koniec Lance'a i w końcu odebrano mu te tytuły, w dziwny sposób było mi go żal. Było mi żal, że tak dużą część życia spędził na zdobywaniu podziwu ludzi na całym świecie, a potem tak się wystawił... Można się domyślać, że nasze obiady nie są już tak ożywione, ale wiercie lub nie, nadal mamy mnóstwo pytań na temat Lance'a.

Moje ostatnie wspomnienie to dzielenie się Dave'em przez kilka lat z Betsy. Wchodziłam do jego gabinetu, on rozmawiał przez telefon, zanim cokolwiek zdążyłam powiedzieć, mówił: „To tylko Betsy”. Ile razy to słyszałam!

Teraz, tego dnia, 22 października 2012 roku, gra była dla Armstronga skończona. „Oczyszczony z zarzutów” to zwrot, jakiego używają wszyscy, którzy przeprowadzają ze mną wywiady. Szybko go znieubiłem. Nie tak się czuję. Nie potrzebowałem, żeby McQuaid mówił mi to, co obaj wiedzieliśmy. Cała satysfakcja wynika ze znaczenia, jakie to ma dla grupy ludzi, którzy w taki czy inny sposób przyczynili się do poszukiwania prawdy w tej historii.

Przyszedł mi na myśl Christophe Bassons i to, że jego prześladowanie podczas Tour de France w 1999 roku stało się dla mnie punktem zwrotnym w poglądach na temat Lance'a Armstronga. Było wtedy oczywiste, że nie można być jednocześnie przeciw dopingowi i przeciw Bassonsowi. Niemożliwe. Wygonili go jednak z miasta, a na czele linczującego tłumu, któremu brakowało jedynie białego kaptura i kawałka sznura, stał Armstrong.

Bassons porzucił kolarstwo zawodowe znacznie wcześniej, niż powinien. Jego trener Antoine Vayer poradził mu powrót do nauki. To właśnie zrobił i teraz pracuje w regionie Bordeaux dla francuskiego ministerstwa sportu, zajmując się sprawami organizacyjnymi i kwestiami związanymi z kontrolą antydopingową.

Oto co Christophe napisał zapytany 22 października, jak się czuje, kiedy jego stary wróg poszedł na dno:

Wiadomość, że Lance'owi Armstrongowi odebrano zwycięstwa w Tourze, nie przynosi mi wielkiej radości. Cieszę się tylko, że sprawiedliwości stało się zadość. Oszukiwał. Należało to ustalić i go ukarać. Ważne było też ustalenie, że ludzie kwestionujący jego wyniki nie byli zgorzkniali, ale szczerzy i uczciwi.

Nie żałuję tego, co zrobiłem w 1999 roku. Sposób, w jaki Armstrong traktował mnie podczas tamtego wyścigu, odzwierciedlał jego charakter i metody narzucania swojej woli peletonowi. Jako jedyny powiedział mi w twarz to, co inni kolarze o mnie myśleli. Gdyby mieli możliwości albo dość sprytu, żeby stworzyć takie imperium jak Armstrong, postąpiliby dokładnie tak samo. Nie byli ani trochę uczciwsi od niego, tylko mniej inteligentni i mniej odważni. Nie mają prawa wytykać go palcem, jak to już niektórzy zrobili.

Mimo wszystko zdziwiony byłem wpływem, jaki Armstrong wywarł na swoich kolegów z drużyny, zastraszając ich i namawiając do stosowania dopingu. Przypomniało mi to o sytuacji w Festinie parę lat wcześniej. Richard Virenque, podobnie jak Armstrong, nie traktował łagodnie swoich kolegów, szczególnie tych, którzy się z nim nie zgadzali.

Na razie myślę, że pewnie lepiej nie myśleć o przeszłości i pozwolić Lance'owi Armstrongowi na wytłumaczenie się przed amerykańskim systemem sprawiedliwości. Świat sportu powinien o nim zapomnieć, ale nie powinien niszczyć go psychicznie. Armstrong nadal pozostaje człowiekiem z osobowością zbudowaną w dzieciństwie. Wiem, że miał trudne dzieciństwo, co może wyjaśniać jego potrzebę wygranej za wszelką cenę, nawet jeśli oznacza to brak szacunku do innych.

Dziś czuję dla niego więcej litości niż pogardy. Zawsze wolałem być na swojej pozycji, nie jego. Jestem uczciwy, szczerzy i szczęśliwy. Nie sądzę, by on mógł powiedzieć to samo.

Wbrew temu, co sądzą niektórzy, w szczególności Laurent Jalabert [były kolarz, obecnie komentator sportowy], nie uważam Lance'a Armstronga za wielkiego czempiona.

Był tylko kimś, kto gotów był porzucić zasady etyczne, żeby za wszelką cenę wygrać. Jego historia to historia porażki i nic ponadto.

Uwaga powinna być teraz skierowana nie na Lance'a Armstronga, ale na sport, który nadal jest przeżarty dopingiem i oszustwem. Tour de France 2012 mnie nie uspokoił.

Bassons pokazał, że istnieją dwa sposoby jeżdżenia w Tour de France i nie można popierać obu. Nie można też być niezdecydowanym. To po jego stronie należało się znajdować, a jedyny rak duszy w kolarstwie toczył wstrzykujących sobie środki chemiczne do żył codziennie rano.

Dawno, dawno temu kolarstwo zawodowe zafascynowało mnie, korzystając z mojej niewinności, i przyciągnęło do świata, który był pięknie prosty i bogato złożony. Jednego dnia etap Tour de France może zmusić człowieka do wysiłku większego niż kiedykolwiek i nadal sprawiać wrażenie szachów na kółkach. W tych niewinnych latach kiedy nie było EPO z jego zdolnością wypaczania i zatruwania, Greg LeMond był największym kolarzem, jakiego kiedykolwiek widziałem – obdarzonym takim naturalnym talentem, że było to niemal nie *fair* względem jego rywali.

Był niegdyś kibicem Lance'a Armstronga, ale ta relacja zrobiła się z biegiem czasu niewesoła. Dziedzictwo Grega jako doskonałego, czystego kolarza było zawsze większe niż to, co Lance mógł osiągnąć. To nie powstrzymało Lance'a. Skrzywdził Grega na gruncie i zawodowym, i prywatnym. Przez trzy lata po 2001 roku dużo rozmawialiśmy, a Greg przeszedł wiele ciężkich chwil. Bez Kathy mógł tego nie przetrwać. 22 października spytałem Kathy LeMond, jak się czuje:

Odczuwałam niepokój przed ogłoszeniem decyzji UCI. Zawsze wiedziałam, że nie należy wierzyć w bezstronną decyzję jej szefów, ale czułam, że orzekną w jedyny możliwy sposób, żeby się ratować, przynajmniej chwilowo. To oznaczało, że muszą uznać Lance'a za winnego. Powinien był zostać usunięty z Touru w 1999 roku, ale system nie zadziałał.

Kiedy wszystko wyszło na jaw, w naszym domu nie było radosnego szaleństwa. To wszystko zbyt wiele kosztowało i ten sport, i naszą rodzinę. Dla mnie to było jak proces sądowy, w którym oskarżonego uznaje się za winnego. Przepięstwo zostało popełnione, a ofiary cierpią. Owszem, orzeczenie winy sprawcy jest przyjemne, ale nie daje radości, raczej poczucie ulgi. Są inni, którzy nie zostali jeszcze pociągnięci do odpowiedzialności za swoje czyny, i mam nadzieję, że będą stopniowo skazywani.

Reputację Grega, naszą firmę, młodość naszych dzieci – wszystko to pochłonęła bezwzględna wendeta przeciw Gregowi i mnie, ponieważ nie zgadzaliśmy się na kłamstwa. Uznaliśmy z Gregiem, że mimo iż skutki będą koszmarnie, jedynym wyjściem jest szczerść w kwestii tego, co wiemy. Dzieci były z nami, kiedy powiedzieliśmy prawdę na temat Lance'a Armstronga, wspólnie przeżywana ciężka próba wzmocniła więc naszą rodzinę. Zawsze wspierały swojego tatę.

Pewnie mogłabym współczuć Lance'owi, ale nie po tylu latach ingerowania w nasze życie. Nie ma mowy. Różnił się od reszty. Jego zdolność mieszania się we wszystkie dziedziny naszego życia zdawała się bez granic. To było naprawdę chore.

Ciekawe, że jest na Twitterze i zamieszcza zdjęcia ze swoimi siedmioma żółtymi koszulkami. To naprawdę pokazuje, że jest inny od przeciętnego człowieka. Gdzie jego wstyd? Nie widzę. Żadnych przeprosin dla ludzi, których życie i kariera zostały zniszczone. Ani słowa do osób, które dały się przez lata mamić jego wersją historii. Wszyscy słyszeliśmy jego mowę na podium Tour de France, ganiącą ludzi za kwestionowanie jego wyników. Skąd bierze się coś takiego?

Jestem ogromnie zawiedziona, że tyle lat zajęło byłym kolegom z drużyny i personelowi rozwiązanie tej sprawy. Wszyscy ci kolarze, którzy wzięli w tym udział, składali swoje zeznania tylko przyparci do muru. Wiem, że takie pytanie będzie teraz wyglądało nieprzyjemnie, ale jak można zachowywać milczenie, kiedy niszczonych jest tak wielu niewinnych?

Greg tak wiele stracił w tej walce. Miał odwagę mówić rzeczy, które należało powiedzieć, i nie cieszyło się to popularnością, ale był autentyczny. Pamiętasz, Davidzie, powiedzieliście z Gregiem prawie dwanaście lat temu, że to był albo największy powrót w historii sportu, albo największe oszustwo. Teraz już wiemy.

A mój najstarszy przyjaciel Paul Kimmage? Przebrnęliśmy przez to wszystko ramię w ramię. Niewinni, zanim wojna się rozpoczęła, jesteśmy teraz znużonymi weteranami. W wojnie wypowiedzianej dopingowi w sporcie musi się mieć poczucie moralnej pewności i Paul je miał. Ono napędza jego odwagę. Przypomniał mi raz, co powiedział Sam z *Władcy*

pierścieni: „Na tym świecie istnieje dobro, panie Frodo, i warto o nie walczyć”. Paul zdejmuje rękawice i walczy gołymi pięściami, ale zawsze stoi po stronie dobra.

Spytałem go, jak czuł się w ten poniedziałek.

Straciłem rachubę, ile razy świętowałem koniec Armstronga od czasu jego cudownego wywinięcia się z pozytywnego wyniku testu na kortykosteroidy w 1999 roku. W roku 2000 pokazano zdjęcia del Morała wyrzucającego strzykawki: Koniec. Jest udupiony.

Ujawnienie jego współpracy z Ferrarim w 2001: Koniec. Jest udupiony.

Wydanie *L.A. Confidential* w 2004: Koniec. Jest udupiony.

Śledztwo „L'Équipe” i ta wspaniała – przepraszam, jestem nieobiektywny – pierwsza strona z *Le mensonge Armstrong* w sierpniu 2005: Koniec. Jest udupiony.

Proces SCA w październiku 2005: Koniec. Jest udupiony.

E-maile Floyda Landisa w kwietniu 2010: Koniec. Jest udupiony.

Wiadomość, trzy miesiące później, że jest przedmiotem śledztwa federalnego prowadzonego przez Jeffa Novitzky'ego: Koniec. Jest udupiony.

Trzydzieści lat przedczesnych nadziei i soczystego przeklinania.

Nie jestem pewien, jak się czułem, kiedy w końcu dorwała go USADA. Parokrotnie użyłem słowa „uszcześliwiony”, ale nie czułem się aż tak dobrze. Byłem zadowolony, ale nie uszcześliwiony. I nie czułem się tak dobrze, jak źle czułem się w lutym, kiedy umorzono śledztwo rządowe. Wierz mi, to nie był dobry wieczór *chez nous*: Koniec. Nietykalny!

Byłem całkowicie zrozpaczony.

To, że Travis Tygart przejął pałeczkę, było marnym pocieszeniem. Jak mogłoby mu się udać, skoro nie udało się Novitzky'emu? A jednak z pewnością mu się udało. Ogłosił prawdę, przemienił fikcję w fakty, a ikonę w pariasa.

Tykalny! Oklaski, Eliocie Ness.

Ale co z moją dystyngowaną książką o ostatnich trzynastu latach, Paul? Koniec. Udupiona.

Myślę też, co ten dzień oznaczał dla Charlesa Pelkeya, z którym dzieliłem samochód i podróż przez labirynt moralny Touru w 1999 roku. Było to fajniejsze, niż powinno być. Kiedy przypominam sobie niekończące

się wypowiedzi Lance'a na temat tego, jak ciężko pracował, jakby tylko on ciężko pracował, myślę o Charlesie i podejrzewam, że nie ma kolarza, który pracowałby ciężiej od niego. Dostałem kiedyś od niego esemesa tuż po jedenastej rano czasu brytyjskiego. Zadzwoiłem. „Charles, późno się kładziesz”. W Laramie było trochę po czwartej nad ranem. „Właściwie – powiedział – to właśnie wstałem. Jedynym sposobem, żebym mógł pogodzić pracę z uczeniem się do dyplomu prawnika, jest zaczynanie dnia o czwartej rano”.

Charles rozważał fakty i dochodził do własnych wniosków. Jest teraz prawnikiem i sądzę, że giętki umysł dobrze mu służy. Teraz, kiedy Lance został usunięty z historii kolarstwa, chciałem wiedzieć, co myśli Charles, a mogłem być pewien, że naprawdę potrafi myśleć:

Muszę przyznać, że w 1999 roku, przygotowując się do pierwszego wyścigu po aferze Festiny, byłem przekonany, iż ten arogancki młody Teksaszczyk, który pokonał czwarte stadium raka, może śmiało należeć do awangardy nowej ery kolarstwa. W pewnym sensie miałem rację, ale z niewłaściwych powodów.

Jak ktokolwiek racjonalny, kto stanął twarzą w twarz ze śmiercią i przecierpiał raka, operacje i chemioterapię, mógł narażać swoje życie i zdrowie, biorąc niebezpieczne leki? Ten argument wysunął sam Armstrong w czasie wywiadu dla NPR zaledwie dzień przed Wielką Pętlą. Kupiłem to. Jednak nie na długo.

Miałem zaszczyt spędzić Tour w 1999 roku z Davidem Walshem, moim dobrym przyjacielem Rupertem Guinnessem i moim szefem Johnem Wilcocksonem. Czterech mężczyzn wpakowanych na trzy tygodnie do małego samochodu i rozmowa niezmiennie schodzi na kwestię dopingu. Walsh przyjechał na Tour ze zdrową dawką sceptycyzmu. Sceptycyzmu, który został podsycony, kiedy w próbkach Armstronga poddanych badaniu w dniu prologu wykryto obecność kortykosteroidów.

Nie, nie kupiłem antydatowanych recept (ale posłusznie poinformowałem o wyjaśnieniach Armstronga). Kiedy dotarliśmy do Paryża, wiele osób w biurze prasowym zadawało otwarcie pytania o wybitne wyniki Armstronga, w szczególności Francuzi, których narodowy wyścig został niemal zniszczony przez skandal dopingowy zaledwie rok wcześniej.

Pytania doprowadziły do tej osławionej już odpowiedzi pana Armstronga, który zaczynał mieć wyraźnie dość „niewłaściwej” uwagi, jaką na nim skupiano: „Panie »Le

Monde«, nazywa mnie pan kłamcą czy ćpunem?”. Właściwie, Lance, „pan »Le Monde«” nazywał cię jednym i drugim, a trzynaście ostatnich lat potwierdziło, że miał po temu wszelkie prawa.

Dla mnie historia Lance’a skończyła się w zasadzie w momencie, kiedy USADA wydała swoje dwustustronicowe „uzasadnienie decyzji” wsparte niemal tysiącem stron dowodów i oświadczeń złożonych pod przysięgą. Nie jestem już dziennikarzem zajmującym się kolarstwem, a jednak urwałem cały dzień pracy w swojej kancelarii, żeby przeczytać tak dużo z tej góry dokumentów, jak jestem w stanie.

Powiedziałem to już wcześniej i powtórzę: uderzające było dla mnie to, że czytając akta USADA, czułem się, jakbym czytał obszerną wersję *Co ukrywa Lance Armstrong? Tajemnice L.A.* McQuaid potępiający destrukcyjny wpływ Armstronga na kolarstwo przypominał burdelmamę oburzającą się na upadek moralności w swoim środowisku. Brakowało temu do pewnego stopnia szczerości.

Zatem 22 października nie myślałem tak naprawdę zbyt dużo o Lansie Armstrongu. Myślałem raczej o ludziach, takich jak Betsy i Frankie Andreu, Emma O’Reilly, Greg LeMond, David Walsh, Pierre Ballester, Paul Kimmage i niezliczone rzesze innych, którzy zostali zaatakowani, zdeprecjonowani, a nawet pozwani przez potężną ekipę prawników Armstronga.

Myślałem o ludziach takich jak przedstawicielka Oakleya Stephanie McIlvain, która w oczywisty sposób padła ofiarą brutalnego zastraszania i niczego nie ujawniała z obawy, że straci pracę zapewniającą jej środki na utrzymanie niepełnosprawnego dziecka. Myślałem też o tych, co przyznali się do dopingu, jak Floyd Landis czy Tyler Hamilton, i ich zeznania posłużyły za nic, która raz pociągnięta, spruła legendę jak tani sweter.

Spędziłem też nieco czasu, myśląc o nieustępliwym szefie USADA Travisie Tygarcie, który naprawdę poświęcił czas na wysłuchanie tych ludzi i wykorzystał swoje znaczne możliwości, żeby dorwać kogoś, kto przez lata sądził, że z jakiegoś powodu nie podlega kontroli. Podlegał.

Co więcej, zastanawiałem się przez jakiś czas nad cynicznym wykorzystywaniem choroby, na którą cierpią miliony na całym świecie, przez kogoś, kto używał tego, co w przeciwnym razie można by określić jako „dobry uczynek”, jako tarczy odwracającej uwagę dociekliwych od pytań zadawanych na temat jego mocno niedoskonałego charakteru. Przeszedłem ostatnio sam trzy operacje i pięć miesięcy chemioterapii, nie podobała mi się więc chełpliwa postawa demonstrowana przez kogoś nazywanego przez wielu z nas, dziennikarzy, „Jezus od raka”.

Nie, dla mnie oświadczenie wydane przez UCI 22 października nie było kamieniem milowym. Posłużyło zaledwie jako ostatni gwóźdź do trumny, która powinna była znaleźć się głęboko pod ziemią lata temu.

Dziwna sprawa. Kiedy Pat McQuaid rzucił kartę, która mogła być, jak miał nadzieję, ostatnią kartą w grze, mistrz brydża Bob Hamman miał najwięcej powodów do radości. To on trzymał w ręku jedyne w całej sprawie zeznania pod przysięgą. Bob przeczytał *L.A. Confidential* i postanowił wstrzymać wypłatę pięciu milionów dolarów bonusu, który winien był Lance'owi Armstrongowi za wygraną w Tourze w 2004 roku. Wszyscy poszli do sądu i przysięgli mówić prawdę. Teraz wiemy, że niektórzy kłamali.

Jako karciarz Bob jest jednym z najlepszych. Brydż, remik, poker, cokolwiek. „Błagam – mówi tym swoim powolnym teksańskim akcentem – nie mów o pokerze. Mam dość odmawiania ludziom, którzy chcą, żebym grał w tę grę”. Teraz, osiem lat po zdecydowaniu, że nie powinien płacić bonusu człowiekowi, który jego zdaniem oszukiwał, gość z SCA ma w ręku mocne karty.

Jak się czuł 22 października?

Kiedy Pat McQuaid i UCI potępili ostatecznie Lance'a, byłem zdumiony. Czy to ta sama organizacja, której prezes honorowy Hein Verbruggen dopiero co w zeszłym roku głośno i publicznie stwierdził, że Lance Armstrong nigdy nie stosował dopingu? Wyglądało mi na to, że niewiele w raporcie USADA było dla UCI nowością. UCI była lisem obserwującym kurnik. Chyba przyszła teraz dla niej pora na zmiany.

Kiedy zastanawiałem się dalej nad wypowiedzią McQuaida – „Byłem oburzony tym, co przeczytałem w raporcie USADA” – zdumiało mnie, że informacje szerzone przez „polujących na czarownice” wywołują takie zaskoczenie, tak wyraźnie alergiczną reakcję szefa organizacji, która przez ponad dekadę sprawiała wrażenie pozbawionej kierownictwa, a od czasów afery Festiny składała ciągle gołosłowne deklaracje. Albo być może McQuaid miał po prostu zespół odstawienia, ponieważ jego zapasy medykamentów zakupionych z darowizn na rzecz walki z dopingiem zostały uszczuplone.

Nieetyczna decyzja SCA, aby zakwestionować skrupulatne przestrzeganie przez świętego Lance'a niemal wszystkich znanych ludzkości konwenansów, legła cieniem na kanonie ogólnie uznawanych wartości. Słowa McQuaida bynajmniej tego cienia nie rozproszyły.

Zdumiony jestem też, że ta bezpodstawna krytyka świętego spowodowała, że niczego nieświadomi do tej pory sponsorzy niesprawiedliwie doszli do fałszywych wniosków, iż byli bezczelnie oszukiwani. To pokazuje, jak okrutny potrafi być świat.

Tak czy inaczej, ponieważ wszyscy ci rzucający kamieniami sprawiają wrażenie, jakby się świetnie bawili, być może nadszedł czas, żeby SCA przyłączyła się do zabawy.

Przypomina mi to trochę sytuację sprzed wielu lat, podczas przerwy w remiku na wysokie stawki, kiedy jeden z graczy spytał obserwatora, co sądzi o grze. Obserwator odpowiedział: „Twój przeciwnik oszukuje na wszystkie możliwe sposoby, ale możesz sobie pozwolić na danie mu forów”. Choć prawda została uznana zarówno przez przyjaciół, jak i wrogów, dostaliśmy bolesną nauczkę, że nie zawsze możemy „sobie pozwolić na danie mu forów”, szczególnie jeśli wszystko jest ustawione. Obyśmy teraz, kiedy ostatni z „sędziów” opuścił arenę i nie został nikt, kto mógłby zapewnić osłonę ogniową, mogli wrócić na z grubsza wyrównane pozycje.

W dniu kiedy Armstrong wygrał swój pierwszy Tour de France, napisałem dla „Sunday Timesa” tekst sugerujący, że osiągnięcie zwycięzcy raka nie powinno być podziwiane: „Czasem należy świętować, ale w niektórych wypadkach równie odpowiednie jest wstrzymanie się od tego i zastanowienie się (...) [a w tym wypadku] istnieje przemożna konieczność dochodzenia”.

Gazeta opublikowała artykuł bez dyskusji, chociaż moi koledzy musieli się po cichu zastanawiać, w co się pakujemy. Kolejne lata były dla mojego szefa Alexa Butlera trudne. Czasem też stawały się jeszcze trudniejsze, bo ślepo odmawiałem uznania, że ma jakieś inne obowiązki poza chronieniem mnie. Mawiał: „Kiedy prawda wyjdzie na jaw, będziesz mógł napisać, co tylko chcesz”. To zawsze wydawało mi się zbyt odległe.

Wywołaliśmy też spore niezadowolenie paru prawników, ale „Sunday Times” zdobył się na coś, czego nie robi prawie żadna gazeta. Skończyło się na tym, że poparli czynami moje słowa. Lance nieźle na nas zarobił. Pozostałem jednak na swoim miejscu. Alex również. W kwestii prawnej nie padło jeszcze ostatnie słowo, ale nasi ludzie dali mu zielone światło.

„Sunday Times” czuł się okradziony i teraz nadszedł czas, żeby odebrać to, co sprawiedliwie się nam należy.

Będąc autorytetem w kwestii stanowiska, jakie gazeta zajmowała w stosunku do całej sprawy z 1999 roku, Alex był świadkiem wielu zmian.

Żałuję tylko jednej rzeczy. Nie zachowałem listów. Przez lata nazbierało się ich mnóstwo, pewnie setki. „Dlaczego go prześladowacie? Nie możecie po prostu zachwycać się jego osiągnięciami? Powinniście się wstydzić”. Przez jakiś czas je przechowywałem. Obiecywałem sobie, że odpowiem na każdy z nich w dniu, kiedy prawda zostanie ujawniona. Jednak w miarę upływu lat stało się to tylko kolejnym postanowieniem, które nie zostało dotrzymane. A teraz, kiedy gra skończona, tak bardzo chciałbym móc odpowiedzieć na te listy.

Kiedy imperium L.A. w końcu upadło w październiku 2012, cieszyłem się ze względu na Davida. Ze względu na Mary. Nie mogę jednak powiedzieć, żebym poczuł jakieś wielkie emocje czy zdziwienie. Czemu? Proste. Lata wcześniej doszedłem do własnych wniosków. Czy zawsze uważałem, że L.A. stosuje doping? Może nie. Jestem beznadziejnym romantykiem. Chciałem mu wierzyć. Ale chciałem też wierzyć Davidowi Walshowi. A to nie było łatwe. Nie na tym też polegała moja rola. Moim zadaniem było kwestionowanie opinii Davida i spieranie się z nim. Podawanie w wątpliwość jego wniosków.

Jednak na samym początku tej trzynastoletniej sagi powziąłem przekonanie, że David wie, o czym mówi. Kochał Tour de France. Kochał kolarstwo. I znał się na nim. Znacznie lepiej ode mnie. Cierpliwie i metodycznie przedstawiał swoje argumenty przeciw Armstrongowi w moim biurze i na stronach „Sunday Timesa”. I zacząłem wierzyć. Ponieważ mimo całego niepokoju, jaki wprowadzały artykuły Davida, nikt nie potrafił odpowiedzieć mi na jedno proste pytanie: skoro wszyscy stosują środki dopingujące, jakim cudem ten Amerykanin roznosi ich na strzępy? Zawsze czułem, że wyjaśnienie Davida jest bardziej prawdopodobne.

I nigdy nie polubiłem Armstronga. Ani jego metod. Ani jego ludzi. Ani kosztownych prawników. Ani kumpli w mediach. Potulnych, przymilnych korespondentów kolarskich, fanklubu L.A. Nawet niezliczeni dziennikarze, którzy mówili mi, jaki kawał wspaniałej roboty odwała „Sunday Times”, podczas gdy ich własne gazety przyłączają się do schlebienia L.A., budzili moje obrzydzenie. A jeszcze bardziej dziennikarze, którzy szydzili ze śledztwa Walsh, ponieważ byli zbyt cholernie leniwi, żeby podjąć własne. Wiedzą, o kim mowa.

Nawet po tym jak zmuszono nas do ugody z Armstrongiem, kiedy pozwał „Sunday Timesa”, zawsze czułem, że ostatecznie wygramy i odzyskamy pieniądze. To była tylko kwestia czasu. Dlaczego? Ponieważ prędzej czy później ktoś puści farbę. Amerykanie odgrywali w tej sadze główne role. Mówiłem Davidowi: „Ktoś się nawróci, będzie musiał zapłacić za kosztowny rozwód albo po prostu będzie chciał powiedzieć prawdę i zrzucić z siebie ciężar... Amerykanie tak robią”. I jeden po drugim kolarze z grupy US Postal opowiadali, co wiedzą. To, co zostałyby powiedziane lata wcześniej, gdyby nie nasze surowe prawa w kwestii zniesławienia.

Najlepsza chwila? Skakanie po pokoju w Holandii w sierpniu 2005 roku po telefonie o szóstej trzydzieści rano od Davida z informacją o doskonałym raporcie na prawach wyłączności w „L'Équipe”, pod tytułem *Le mensonge Armstrong* – który ujawniał, że Teksasńczyk stosował EPO po 1999 roku.

Najgorsza chwila? Czysta mordęga procesu sądowego. I tkwienie w biurze, kiedy pan sędzia Eady rozkładał naszą obronę, podczas gdy Armstrong siedział z bezczelnym uśmiechem w Teksasie. Brytyjskie prawa w kwestii zniesławienia są mocno winne.

Najbardziej zawstydzająca? Kiedy Pat McQuaid powiedział, że nie ma dla Lance'a Armstronga miejsca w kolarstwie, zdałem sobie powoli sprawę, że publicznie obiecałem przebiec nago po biurze, kiedy L.A. zostanie w końcu zdemaskowany.

Mogłem pisać wciąż o sprawie Armstronga, ponieważ dla wystarczającej liczby ludzi prawda miała znaczenie. Rozmawiali ze mną oficjalnie i prywatnie. Dokładnie tydzień przed Bożym Narodzeniem w 2003 roku siedziałem z Jonathanem Vaughterssem przy stole w restauracji w Denver, a on opowiadał mi, że teraz kolarze dozuują mikroskopijne porcje EPO i łatwo oszukują nowy test. Opowiedział mi też historię, która wywołała mój wielki gniew z powodu tego, co stało się ze sportem. To był już szczyt wszystkiego.

Kiedy Jonathan właśnie miał przejść z US Postal do Crédit Agricole pod koniec sezonu 2000, pokazał swojemu ówczesnemu *directeur sportif* Johanowi Bruyneelowi kontrakt zaoferowany przez francuską drużynę. Crédit Agricole dawał znacznie więcej pieniędzy niż US Postal, ale Bruyneel miał możliwość przebicia go, żeby zatrzymać Vaughtersa w swoim zespole. Przejrzał propozycję Crédit Agricole.

„Przy twoim poziomie hematokrytu [Vaughters ma naturalnie wysoki hematokryt, 48 czy 49] – powiedział – nie będziesz w stanie uzasadnić takich zarobków”.

Natura postawiona na głowie: naturalnie wysoki hematokryt powinien być korzystny, ale na planecie Doping jest zły.

Spytałem Vaughtersa, jak odczuł 22 października. Napisał:

Nie mogę powiedzieć, żebym cokolwiek poczuł w dniu, kiedy UCI podtrzymała decyzję USADA dotyczącą Lance'a Armstronga. Nie czułem ani radości, ani ulgi. Nie czułem się ani dobrze, ani źle. W środku zawsze wiedziałem, że tak się stanie, jeśli przyznam uczciwie, co się wydarzyło. Emocje zatem powiązane były z decyzją, którą powziąłem lata wcześniej, dotyczącą tego, jak zareaguję, jeśli zostanę zapytany o doping i o Lance'a.

Szczerze mówiąc, Davidzie, to ty przekonałeś mnie do zmiany drogi. Kiedy spotkałeś się ze mną w 2003 roku, pisząc książkę i zadając pytania, na które nikt nie chciał odpowiadać, coś poczułem. W tamtym czasie postanowiłem już porzucić kolarstwo i nigdy nie oglądać się za siebie, nie wracać do sportu i trzymać się od niego z daleka. Powiedziałeś: „Jak może się coś w ogóle zmienić w sporcie, jeśli porządni faceci odchodzą albo zostają wypchnięci?”. To zapadło mi w pamięć.

Nie jestem porządnym facetem, ale zrozumiałem, że nie mogę dopuścić, by ci porządni porzucili kolarstwo, i zrozumiałem też, że moim zadaniem jest dopilnować, by nie zostali wypchnięci.

Uświadomiwszy to sobie, postanowiłem, że kiedy nadejdzie odpowiedni moment, szczerze powiem o swojej przeszłości i przeszłości kolarstwa. Ta chwila, wiele lat temu, naładowana była emocjonalnie. Niewielu ludzi na świecie naprawdę mierzy się z popełnionymi przez siebie błędami. To jest bardzo bolesne. Prawdziwe emocje.

Od tamtego momentu począwszy, wszystko było po prostu tym, czego zawsze się spodziewałem. Powolne zmierzanie w kierunku nieuniknionej konkluzji. Takie, z jakiego nie ma żadnych korzyści, chyba że porządni faceci, którzy nie zostali odsunięci od sportu, postanowią użyć emocji i bólu i skierować je tak, żeby ten proces więcej się nie powtórzył. Może to daje nadzieję. I ta nadzieja jest jedynym użytecznym uczuciem, jakie powinno pozostać po tamtym dniu.

Chyba więc coś jednak czułem: niepewną nadzieję. Nadzieję, że sport może uczyć się na błędach i zmieniać. Zmieniać tak, żeby to nigdy nie wydarzyło się ponownie.

Pierre Ballester miał inne podejście do kolarstwa. Chciał wziąć udział w sprawie, a został wylany z „L'Équipe” za swoje starania. *L.A. Confidential* były naszym wielkim rzutem, ale kości zostały sfalszowane. Jak można ujawnić prawdę, jeśli ci, z którymi rozmawiasz, nie chcą cię słuchać? UCI nie chciała wiedzieć, że jej sport jest chory. Tour de France wolał przemykać oko na cyrk, jakim stał się wyścig, a zbyt wielu kibiców nie mogło znieść świadomości, że święci są grzesznikami.

Tant pis – pomyślał Pierre. Odsłużył swoje na froncie, ale skończył, myśląc, że to bezsensowna wojna. Miał wyrobione poglądy. Po „L'Équipe” dostał pracę we Francuskiej Federacji Rugby (Fédération Française de Rugby – FFR) i łączy to z pracą nauczyciela w Ośrodku Szkolenia Dziennikarzy (Centre de Formations des Journalistes – CFJ) na rue du Louvre w drugiej dzielnicy Paryża. Kiedy nie pisze o rugby ani nie inspiruje następnego pokolenia francuskich Pierre'ów Ballesterów, pisze książki.

Na początku 2013 roku pojawi się we francuskich księgarniach jego najnowsza książka, a jest to niezwykła historia Francuzki podróżującej osiemnaście lat temu w głąb Amazonii, w pobliże granicy brazylijsko-wenezuelskiej, żeby pomagać rdzennym Indianom Janomami przygotować się do zmian, do których zostaną zmuszeni. Poznała ich język, wyedukowała indiańskich nauczycieli i nauczyła plemię portugalskiego.

Została pielęgniarką i lekarzem Indian i poślubiła mężczyznę z ich plemienia. Tak zagłębiła się w życie w jednej z najbardziej odciętych części świata, że zapomniała swój ojczysty francuski i kiedy kontaktowała się z młodszym bratem w Paryżu, napisała do niego po angielsku. W ciągu osiemnastu lat odwiedziła Paryż tylko trzykrotnie.

W październiku 2010 roku Pierre pojechał do miejsca nad Amazonką, w którym ta kobieta teraz żyje. Dotarcie tam zajęło mu dziewięć dni.

Ostatnie cztery dni podróży spędził na małej łódce. Przez miesiąc żył między Janomamami. „To kompletnie inny świat. Nie znają własności, pojęcia czasu, a życiem ludzi kieruje jedynie potrzeba znalezienia jedzenia. Polują i łowią ryby, i pilnują, by mieć zapas pitnej wody”.

Janomamowie swoją paryżankę nazywają pieszczotliwie „Kobieta z Czarnym Okiem”, ponieważ kiedy pojawiła się u nich po raz pierwszy, miała oczy umalowane czarnym eyelinerem. Nigdy czegoś takiego nie widzieli. Pierre zatytułował swoją książkę *L'Amazone*, co stanowi grę słów między nazwą rzeki a mityczną kobietą wojowniczką. To historia Anne Ballester, jego siostry.

Można więc sobie wyobrazić, że Pierre nie siedział przylepiony do komputera 22 października, czekając na reakcję UCI na raport USADA:

Byłem w CFJ w tamten poniedziałek. Zapomniałem, że taki raport istnieje, ale jeden ze studentów usłyszał o nim, a wiedział, że byłem zaangażowany w sprawę Armstronga. Powiedział mi o tym. Później usłyszałem szczegóły: „McQuaid wstrząśnięty zawartością raportu”, i po prostu się roześmiałem. Co za hipokryzja. Armstrong może zasługiwać na karę, ale jak można wyróżniać go spośród innych? Jaka jest różnica między nim a Ullrichem czy Bassem? Czuję do Lance’a sympatię, ponieważ tej nocy w klubie w Oslo, po wygraniu mistrzostw świata, widać było, że jest ciekawym facetem. Można było z nim pogadać o wielu rzeczach, nie tylko kolarstwie, i pomyślałem: „Lubię tego gościa”.

Jednak zmienił się. Po powrocie do sportu w roku 1998 był twardszy niż stal. Może doświadczenie raka wywarło na niego taki wpływ. Nadal uważam go za niezwyklego faceta. Oczywiście kłamał, oszukiwał, traktował wiele osób jak pieprzony sukinsyn, ale czy wyobrażacie sobie, jakiej trzeba było inteligencji, żeby stworzyć to, co on stworzył? Musiał wziąć pod uwagę mnóstwo rzeczy.

Nie mam szacunku dla tego, jak większość mediów podeszła do tematu. Kiedy Lance wygrywał, był ich przyjacielem, bohaterem. Nikt nie powiedział o nim złego słowa. Byli wtedy tchórzami i miażdżąc go teraz, nadal zachowują się w tchórzliwy sposób. Pogrzebanie Lance’a Armstronga jest teraz aż nazbyt łatwe.

To, co brzydziło mnie w Lansie, to sposób, w jaki trzymał w garści społeczność chorych na raka, robiąc jednocześnie swoje w sprawie kariery.

Zazdroszczę trochę swojej siostrze życia w świecie, gdzie życiowym wyzwaniem jest zdobycie wystarczającej ilości jedzenia i wody. Walczy o lepsze życie dla plemienia Janomamów, próbując chronić środowisko, i robi coś naprawdę pożytecznego. Tego zazdroszczę jej najbardziej.

Latem 2004 roku Lance zaczął wywierać naciski na świadków, usiłując, bezskutecznie zresztą, pozwać do sądu Emmę O'Reilly i Stephena Swarta. Zadzwoił do Grega LeMonda. Frankie Andreu poczuł dar przekonywania Billa Stapletona w Charleroi. To był nerwowy okres i o ile Emma odczuwała stres bardziej niż ktokolwiek, to Stephen był najbardziej opanowany. Po opublikowaniu książki udzielił wywiadu Philowi Taylorowi z „New Zealand Herald”, w którym powtórzył wszystko, co powiedział w 1995 roku na temat popierania przez Lance'a dopingiu.

Pamiętam rozmowę z Emmą o wywiadzie ze Stephenem: ona czerpała z niego siłę. Taki jest Stephen: łagodny, ale nieustępliwy. „Dopóki wierzysz w słuszność swoich opinii i wiesz, czemu to robisz, musisz mocno się tego trzymać. Moim motorem działania było to, że kiedy odchodziłem ze sportu [pod koniec 1995 roku], był on w bardzo kiepskim stanie. Miałem małego synka, który bardzo się nim interesował i zadawał pytania. Co miałem mu powiedzieć?” – mówił Philowi Taylorowi w wywiadzie dla „New Zealand Herald” 12 października 2012 roku.

Stephen nie zamierzał dowodzić, że Armstrong stosuje doping, tylko opowiedzieć o swojej karierze w kolarstwie zawodowym. Tak się zdarzyło, że Lance Armstrong był ważną postacią w dyskusji na temat dopingiu w drużynie Motoroli w połowie lat dziewięćdziesiątych. Byłoby wygodnie, aczkolwiek nieuczciwie, pominąć jego osobę. Jan Swart zamieściła link do wywiadu Taylora na stronie ich syna Logana na Facebooku.

Logan przemierza obecnie wzdłuż Amerykę Południową. Jego komentarz na Facebooku na temat wywiadu zadowolił jego mamę. „Mój

tata ma jaja” – napisał. Jego przyjaciele szybko dodali komentarze: „Zdecydowanie”, „Musisz być dumny, Logan!” *et cetera*. Rankiem po zaakceptowaniu przez UCI sankcji względem Armstronga sąsiad zostawił gazetę na progu Stephena, ponieważ zawierała artykuł wychwalający jego odwagę.

Postrzeganie tego, co zrobił, przez pryzmat odwagi nie leży w naturze Stephena.

Otrzymałem liczne gratulacje, szczególnie od osób, których nawet nie znam. Rodzina i przyjaciele zawsze ogromnie mnie wspierali i kiedy wszystko wyszło na jaw, pomyślałem: „To znaczy więcej dla nich niż dla mnie, ponieważ uwierzyli w moje słowa i powody, dla których o tym mówiłem”. W mojej opinii UCI to słaba, mająca trudności instytucja o złej kulturze rozprzestrzeniającej się od samej góry. Potrzeba jej dużych porządków, i to szybko.

Wolę myśleć o swoich planach spotkania się z Loganem w Puerto Montt na południu Chile w Boże Narodzenie i wyruszenia na rowerach przez szlak Carretera Austral do Cochrane, czyli w przybliżeniu tysiąc dwieście kilometrów. Byłem na wycieczkach rowerowych w Alpach Południowych w Nowej Zelandii i jeździłem po nich tygodniami, ale ta trasa jest dłuższa i zupełnie inna. Będzie jak wyścig, z momentami kiedy nie chcesz wracać na szlak, ale i tak to robisz. Będzie wspaniale.

I dobrze zrobi mi spędzenie tego czasu z Loganem. Nigdy nie wyjeźdzaliśmy na tak długo, a część nocy spędzimy w dwuosobowym namiocie. On potrafi sobie radzić, przejechał już z Holandii do Sztambułu i zwiedzał na rowerze Nepal. W Nepalu przez pół roku spał na bitej ziemi w sierocińcu i opiekował się dziećmi. Widział znacznie więcej świata niż ja, a to da mi nowe doświadczenia. Będziemy sami we dwóch, z czego się cieszę.

Wiele osób, które po drodze spotkałem, zostało moimi przyjaciółmi. A niektórzy moimi bohaterami. Miałem pracę, wsparcie gazety i szefa działu sportowego oraz miesięczną pensję. Nigdy nie popadałem w konflikty. Jednak widziałem mężczyzn i kobiety, których życie i serce były częściowo związane ze stroną przeciwną. Ludzi, którzy mieli wiele do stracenia. Ludzi, którzy zmagali się codziennie ze swoim sumieniem

i zmuszali się do zrobienia tego, co należy. Bardziej niż cokolwiek innego na sportowej arenie ta walka świadczyła o heroizmie i charakterze. Szczególne miejsce na tej liście zawsze zajmowała Emma O'Reilly.

W tamten poniedziałek byłam zajęta i chyba wiadomości dotarły do mnie dopiero następnego dnia. Słuchałam Pata McQuaida, gdy próbował zdystansować siebie i UCI od Lance'a i od problemu. Wygląda na to, że społeczność kolarska zmienia się na lepsze znacznie szybciej niż organ, który powinien tej zmianie przewodzić. Jeśli chodzi o kolarzy, robią coś naturalnego: bronią swoich krótkoterminowych interesów.

Spoglądam wstecz na te trzynaście lat i widzę je w świetle dwóch wierszy W.B. Yeatsa, poruszających temat decydującego momentu w historii Irlandii: *Wrzesień 1913* i *Wielkanoc 1916*. W 2003 roku, kiedy postanowiłam udzielić pierwszego wywiadu, naprawdę chciałam coś w sporcie zmienić. Inni chcieli tego samego i staliśmy się rewolucjonistami września 1913:

„... nieczęsto się modlili. / I tak pisany był im stryk, / A cóż uciuć mogli w biegu?”⁸⁵.

Byliśmy prześladowani, to z pewnością, ale co próbowaliśmy ocalić? Dobrze jednak, że przerwaliśmy milczenie i nigdy tego nie będę żałować. To, że raport USADA dotarł do sedna sprawy i pokazał nam dokładnie, co się działo, jest dobre. Cieszę się ze względu na ludzi, którzy mieli odwagę powiedzieć prawdę: świadków i dziennikarzy. Nie było ich wielu, naprawdę.

W *Wielkanocy 1916* Yeats pisze o majorze Johnie MacBridzie, mężczyźnie, którego nie lubił: „Następny, zapity pyszałek, / Choć skrzywdził niegdyś boleśnie / Kogoś, kto żyje w mym sercu, / Też musi znaleźć się w pieśni”⁸⁶.

Myślę o tych wersach i, tak, myślę o Lansie i Johanie i krzywdach, które tak wielu wyrządzili. Nie byli pijani, ale byli pyszałkowaci. Jednak to główny wątek z *Wielkanocy 1916* najlepiej odnosi się do tego, co widzieliśmy w kolarstwie w ciągu ostatnich paru miesięcy. Yeats pisze o egzekucji irlandzkich patriotów podczas powstania wielkanocnego, śmierci, która doprowadziła bezpośrednio do zdobycia przez Irlandię niepodległości: „Wpisuję to wszystko w swój wiersz – / McDonagh i MacBride, / I Connolly, i Pearse, / Zawsze, gdziekolwiek na ziemi / Zielone barwy są żywe, / Zmieniają, zmieniają się wszyscy: / Rodzi się piękno straszliwe”⁸⁷.

Szczerłość pomogła wyciągnąć prawdę na światło dzienne i dopilnować, by ludzie, którzy zasługują na karę, zostali ukarani. Jednak podobnie jak Yeats myślał o 1916 roku, zbyt wiele krwi przelano: sądzę, że było zbyt wiele stresu i zajadłości, i zniszczenia w procesie dochodzenia do prawdy w naszej małej kolarskiej historii.

Piękno straszliwe. Zawsze.

Frankie Andreu od wielu lat znał Lance'a Armstronga. Pamiętam zażyłość, jaka zrodziła się między mną a Paulem, kiedy całymi dniami rozmawialiśmy o kolarstwie na rue Kléber w 1984 roku. Jak musieli czuć się ci dwaj goście? Mieszkali i jeździli w Europie na początku lat dziewięćdziesiątych. Cały czas razem. Jedli wspólnie, rozmawiali, wspólnie spotykali się ze znajomymi. I wspólnie trenowali, odbywali te niekończące się jazdy w pobliżu jeziora Como, potem w Nicei. Przez jakiś czas Frankie był dla Lance'a jak brat.

Poślubił jednak Betsy, niezwykłą kobietę, która wymagała od niego wyższych standardów zachowania niż to, do czego był kiedykolwiek zdolny Lance. Poprosiłem Frankiego, żeby opisał mi swoją reakcję na rozwiązanie sprawy z 22 października. „Czego chcesz?” – spytał poważnym tonem, który spowodował, że przyjaciele nazywali go Ajax, nawiązując do szorstkości proszku do czyszczenia. Betsy spytała go, co o niej napisał. „Niewiele – odpowiedział. – Tylko rzeczowe stwierdzenia, o które mnie proszono”. Wybuchła.

Kiedy Betsy się wścieka, lepiej pozwolić burzy się przetoczyć. Tak uczynił Frankie, przyjmując ciosy ze zwykłym spokojem. Później powiedziała: „Czemu mi nie przerwałeś i nie powiedziałeś, co napisałeś?”, a on odpowiedział: „Czemu nie zwolniłaś ani nie zatrzymałaś się, żeby dać mi dojść do głosu?”.

Ta historia jest bardzo typowa dla Frankiego i Betsy, najbardziej żytej pary, jaką znam.

Oto co Frankie naprawdę napisał:

Nie pamiętam, gdzie byłem, kiedy UCI podtrzymała decyzję w sprawie Armstronga. To nie ma znaczenia. Dla mnie prawda została ujawniona w raporcie USADA i cokolwiek wydarzyło się później, nie było moim problemem. Miałem dość bronięcia się, dość

Lance'a Armstronga i byłem gotów na uwolnienie się od jakichkolwiek z nim związków. Wszystko się wreszcie skończyło.

Stwierdzenie, że przez ostatnie parę lat było nerwowo, jest niedopowiedzeniem. Stresem, z którym musiałem sobie radzić, była niepewność finansowa. Czasem zupełnie nie miałem pojęcia, jak pogodzić dążenie do prawdy i jednocześnie próbę utrzymania pozycji w kolarstwie. Doprowadzało to do wielu kłótni między moją żoną a mną. Czasem chciałem porozmawiać, a ona nie chciała. Czasem ona chciała porozmawiać, a ja nie chciałem. Zwykle przegrywałem. Zaczęło się w 2006 roku wezwaniem do sądu od SCA. Odszedłem z Tour de France, a ona została sama w domu i to na nią spadł cały impet ataków Armstronga. Nastąpiły długie rozmowy telefoniczne, wylała wiele łez i była zła, że niewłaściwie ją przedstawiono. Wiedziała, że sport przeżywa trudności i nadszedł czas na zmiany. Działaniami Betsy kierowały jej wychowanie i standardy etyczne. Pokazała mi, że nieustępliwość i samoobrona mogą być wyzwalające.

Nie przyszło to za darmo. Wielokrotnie padły między nami krzywdzące słowa albo ignorowaliśmy się wzajemnie. Wiele razy kładliśmy się do łóżka źli na siebie. Z biegiem czasu pewne rzeczy, z których nie zdawałem sobie wcześniej sprawy, stały się oczywiste: Betsy miała mnóstwo silnej woli i determinacji. Trzymała się swoich przekonań jak nikt. Za kulisami wiele osób nas wspierało, ale też wiele było przeciw nam. Nadciągały nienawistne wiadomości i zaczynało się w niej gotować. Miała odwagę, której mnie brakowało. W miarę upływu czasu zorientowałem się, że odgrywa bardzo ważną rolę – była naszym głosem. Głośne kłamstwa płynące wciąż z obozu Lance'a nie były już jedynym słyszalnym dźwiękiem. Wiedziała, że jedynym sposobem na ujawnienie prawdy jest bronienie się za wszelką cenę. Robiąc to, broniła i mnie i za to jestem jej wdzięczny.

Teraz jednak, w tej kafejce przy M25, nie czuję radości ze zmiany frontu Pata McQuaida w sprawie USADA i Armstronga. Ktoś kiedyś powiedział, że przeznaczenie jest tym, co spotykasz na drodze obranej, by ominąć przeznaczenie. Co dziwne, dziś nasz syn John, zabity na rowerze siedemnaście lat temu, powinien obchodzić trzydzieste urodziny.

W skandalu Armstronga chodziło o to, że nawet w 1999 roku, roku jego pierwszej wygranej, nie trzeba było być Woodwardem czy Bernsteinem, żeby się zorientować w sytuacji. Po południu Amerykanin uzyskał swoje pierwsze wspaniałe wyniki w Alpach, na etapie kończącym się w Sestriere, a wielu dziennikarzy w pokoju prasowym żartowało z tego, z jaką łatwością

Armstrong wjechał na górę. Wspiął się z nonszalancją kogoś na niezłym dopingu.

A teraz, tego dnia, kiedy siedzę w kafejce, Armstrong wreszcie został pokonany: 22 października, urodziny Johna. Dzwonię do Betsy, w której cieniu aerodynamicznym jechałem przez niemal dziesięć lat. Mówię jej, że są urodziny Johna, i mimo że jest daleko, w Michigan, czuję jej smutek.

– Urodziny Johna – szepcze. – To jego prezent dla ciebie.

Przyjemna myśl.

[85](#) William Butler Yeats, *Wrzesień 1913*, tłum. Michał Kłobukowski, w: tenże, *Wiersze wybrane*, wybór Wanda Rulewicz, Tomasz Wyżyński, oprac. Wanda Rulewicz, Wrocław – Warszawa – Kraków 1997 – przyp. tłum.

[86](#) Tenże, *Wielkanoc 1916*, tłum. Tomasz Wyżyński, w: tenże, *Wiersze wybrane*, dz. cyt. – przyp. tłum.

[87](#) Tenże, *Wielkanoc 1916*, dz. cyt. – przyp. tłum.

PODZIĘKOWANIA

Nie chcę Was dłużej zanudzać, jednak jest parę osób, które zasługują na podziękowania.

Mam nadzieję, że ci, którym należy się największe uznanie, zostali odpowiednio docenieni w samej historii. Tym, co wyróżniało Emmę O'Reilly, Betsy Andreu, Stephena Swarta i Grega LeMonda, była ich chęć ujawnienia prawdy w czasach, kiedy nic z tego nie mieli oprócz szkalowania i innych form zastraszania. Stanowili jeden z motywów mojej pracy. Kolarze, którzy jeździli czysto w tych najmroczniejszych dniach, byli drugim. Nie znam Christophe'a Bassonsa, Gilles'a Deliona ani wielu innych, ale dopóki istnieli kolarze odmawiający stosowania dopingu, sprawa warta była podejmowanej walki.

Dzięki znajomości i przyjaźni z Paulem Kimmage'em uświadomiłem sobie po raz pierwszy, że czysta jazda może w zasadzie zakończyć karierę zawodową. Świat sportu traktował go w demoralizujący sposób, ale w ciężkich chwilach pojawiła się w nim determinacja, żeby nigdy nie stać się kolejnym kibicem z maszyną do pisania. Prawość Paula była niezmienna. Podczas olimpiady w Atlancie zjedliśmy zęby na historii Michelle Smith i byliśmy zainspirowani pracą naszego kolegi Toma Humphriesa, który jest zdecydowanie najbardziej utalentowanym dziennikarzem sportowym, jakiego czytałem. I wspaniałym człowiekiem.

Wielu moich przyjaciół dziennikarzy spowodowało, że ta podróż była ciekawa, i dawało niezachwiane oparcie w najważniejszych momentach. Tom Goldman z Northwest Public Radio był jednym z pierwszych

Amerykanów, którzy odważnie zajęli się historią Armstronga. Charles Pelkey, Gwen Knapp, Alex Wolff i niedawno zmarły Randy Starkman z Kanady zawsze byli po naszej stronie. Pierre Ballester, współautor *L.A. Confidential*, od dawna jest moim wspaniałym przyjacielem.

Podobnie jak wielu innych. Alex Butler, szef działu sportowego „Sunday Timesa”, jest moim przyjacielem i zwolennikiem. Niewielu redaktorów pozwoliłoby mi na drażnienie sprawy Armstronga tak, jak to zrobił Alex, i za to będę mu dozgonnie dłużny. Jakiś czas temu Alex nazwał Lance’a „niewyczerpanym tematem” i się nie mylił. Jego zastępcą w najtrudniejszych momentach był Alan English, który bardzo się wtedy napracował i pozostaje moim prawdziwym przyjacielem. W „Sunday Timesie” znaleźliśmy prawdę i postanowiliśmy ją ujawnić. Inni koledzy – Hugh McIlvanney, Stephen Jones, Jonny Northcroft i Simon Ritter – także zapewniali ogromne wsparcie.

Wiele osób uważało po drodze, że się mylimy, inni jednak nas popierali. Przypominam sobie wieczór podczas Tour de France w Veyrier-du-Lac koło Annecy z Peterem Zaballosem i jego rodziną – ze zwyczajnymi Amerykanami, którzy kochają swój kraj, ale chcą znać prawdę w sprawie Lance’a Armstronga. Wystarczająco wiele osób uważało, że jakkolwiek byłaby bolesna, prawda powinna ujrzeć światło dzienne.

Jestem również winien wyrazy wdzięczności Kerrowi MacRae, Ianowi Marshallowi i ekipie z Simon & Schuster, którzy odwalili kawał dobrej roboty przy publikacji tej książki. Zostałem przedstawiony w wydawnictwie Simon & Schuster przez mojego agenta Richarda Reltona, który poprosił o „dziesięciominutową rozmowę” i wygląda na to, że na razie ze mną zostanie. Potrzebowałem urlopu na napisanie tej książki i jak zawsze Alex i „Sunday Times” szczerze mi go ofiarowali. Szukając spokoju, pojechałem na południowe wybrzeże Irlandii, gdzie mój brat

Brendan wraz z żoną Mary zapewnili mi piękny dom i doskonałe posiłki. Dziękuję też ich najstarszemu synowi Brendanowi za cytaty z Brada Pitta z filmu *Siedem*, który pojawia się w motcie na początku.

Moja własna rodzina była cudownie oddana, żeby nie powiedzieć: pobłażliwa, przez wszystkie „Armstrongowe” lata. Gdyby historia nie była tak cholernie interesująca, nie uszłoby mi to na sucho. Nasze dzieci nie zawsze jadły warzywa, ale nigdy się nie nudziły.

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

Motto

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Podziękowania

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
Seven Deadly Sins

© 2012 by David Walsh

Projekt okładki
Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ.ART.DESIGN

www.panczakiewicz.pl

Opieka redakcyjna
Damian Strączek

Weryfikacja merytoryczna
Rafał Szmytka

Korekta
Barbara Gąsiorowska

Copyright © for the translation by Matylda Biernacka (rozdz. 18–22)

Copyright © for the translation by Mieczysław Godyń (rozdz. 11–17)

Copyright © for the translation by Miłosz Habura (rodz. 1–10)

© Copyright for this edition by SIW Znak Sp. z o. o., 2013

ISBN 978-83-240-2079-9

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracowany na podstawie *Oszustwo Niedoskonałe. Jak zdemaskowałem Lance'a Armstronga*, wydanie I, Kraków 2013

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com